

Moja wieś – moje miejsce

Prace konkursowe V i VI edycji

**Konkurs organizowany
przez LGD „Kraina Dinozaurów”
2014–2015**

Z uwagi na ograniczenia objętości publikacji
w niektórych pracach może wystąpić brak korelacji tekstu ze zdjęciami

Wydawca:
Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania
„Kraina Dinozaurów”
ul. Guznera 3, 47-175 Spórok
Tel. 77 461 12 28
e-mail: krainadino@onet.eu
www.krainadinozaurow.pl

Opracowanie Graficzne:
Anna Golec

Copyright by Stowarzyszenie LGD „Kraina Dinozaurów”

ISBN 978-83-938035-3-8

Przygotowanie do druku, druk i oprawa:
Omikron Sp. z o.o.
www.omikron.net.pl

Projekt
Iwgraf
ul. Polna 14, 47-175 Kadłub

Podziękowanie

Stowarzyszenie LGD „Kraina Dinozaurów”

składa podziękowania:

Zespołowi Szkolno-Przedszkolnemu nr 3 w Dębskiej Kuźni
Publicznemu Gimnazjum im. Jana Pawła II w Dobrodzieniu
Zespół Szkolno-Gimnazjalny im. Wincentego z Kielczy w Kielczy

Publicznemu Gimnazjum w Kolonowskiem

Gminnemu Zespołowi Szkół Gimnazjum nr 1 w Ozimku

Zespołowi Szkół w Ozimku

Publicznemu Gimnazjum w Turawie

Publicznemu Gimnazjum nr 1 w Zawadzkiem

Zespołowi Gimnazjalno-Szkolny w Zębowicach

Zespołowi Szkolno-Gimnazjalny w Żędowicach

Za uczestnictwo i za pomoc w organizacji

Konkursu „Moja Wieś – Moje Miejsce”

Stowarzyszenie LGD „Kraina Dinozaurów”

składa podziękowania :

Wójtowi Gminy Chrzastowice

Burmistrzowi Gminy Dobrodzień

Burmistrzowi Gminy Kolonowskie

Burmistrzowi Gminy Ozimek

Wójtowi Gminy Turawa

Burmistrzowi Gminy Zawadzkie

Wójtowi Gminy Zębowice

Centrum Informacji Turystycznej w Zawadzkiem

Stowarzyszeniu Kobiet Żędowickich

za pomoc w organizacji Gali Podsumowującej Konkurs

„Moja Wieś – Moje Miejsce”

SPIS TREŚCI

Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Kraina Dinozaurów”	7
„Moja wieś – moje miejsce” Konkurs dla gimnazjalistów z terenu Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania „Kraina Dinozaurów” „Moja wieś, moje miejsce V”	12
Gala podsumowująca konkurs „Moja wieś, moje miejsce”	13
„Moja wieś, moje miejsce VI”	14
Gala podsumowująca konkurs „Moja Wieś – moje miejsce” – 2015	15
„MOJA WIEŚ – MOJE MIEJSCE V”	17

Kategoria:

CIEKAWY MIEJSCE „KRAINA DINOZAUROW”	17
„HUTA JAKO CIEKAWY MIEJSCE W REGIONIE”	17
„GDZIE ZEGAR NA CHWILE STAJE...”	21
„OD ŁANU ZBOŻA I ZAGONU KARTOFLI DO STADIONU”	23
„SYNAGOGA I CMENTARZ ŻYDOWSKI W DOBRODZIENIU”	25
„WSRÓD BOCIANICH GNIAZD”	27
„AZYL”	30
„HISTORIA KOŚCIOŁA W SZEMROWICACH”	32
„JEZIORO TURAWSKIE	34
– MOJE ULUBIONE MIEJSCE W SZCZEDRZYKU”	34
„W NAJZIELEŃSZEJ Z NASZYCH DOLIN...”	36
„KRONIKA WSI RZĘDOWICE”	38
„MÓJ TATA – PREZES”	39
„PRZYGODA NA MIEJSCU STAREGO MŁYNA”	41
„STARY SERWIS KONNY I ROLNICZY W SZEMROWICACH”	44
„TUR – MOCARZ PUSZCZ”	45
ŁĄCZĄC PASJĘ I POMOC INNYM,	49
MIĘDZY JAZDĄ KONNĄ A HIPOTERAPIĄ”	49

Kategoria:

OPOWIADANIE LUB LEGENDA PODKREŚLAJĄCE SPECYFIKĘ I HISTORIĘ TERENU LGD	53
„GARERETY, CZYLI TURAWSKI RÓD GARNIERÓW”	53
„HISTORIA NAUCZYCIELKĄ ŻYCIA”	56
„KADŁUB WOLNY – WIEŚ LUDZI WOLNYCH”	61
„DOBRE CASY NASZYCH OŁPÓW I OŁMÓW SYKOWANIE DO ŻYNIACKI, PIECYNIE KOŁOŁCA I INNE RZECY CO MUSIAŁA ZROBIĆ MOJA OŁMA ANKA”	65
„CZY TO NAPRAWDĘ BYŁ CUD?”	67
„MOJA HISTORIA POWSTANIA JEZIORA TURAWSKIEGO”	69
„ŁO JAJKACH WIELKANOCNYCH MOJEJ OŁMY”	72
„LEGYNDA ŁO KACMIE, FTORYJ ŚŁOŁD ZAGINOŁ”	74
„SPEŁNIONA OBIETNICA”	76
„KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ I ŚWIĘTEGO WOJCIECHA W GRODZCU”	79
„WODA PRZECIW WODZIE, CZYLI JAK POWSTAŁO JEZIORO TURAWSKIE”	81

„WILCZY POMNIK”	83
„KANAL ŁĄCZĄCY ZAWADZKIE Z PLUDRAMI”	85
„POCZĄTKI OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W RZĘDOWICACH”	86
„ŚLADY POBYTU ŚWIĘTEGO WOJCIECHA W DOBRODZIENSKIEJ OSADZIE”	88
„LEGENDY MOJEJ MIEJSCOWOŚCI”	89
„WOJSKOWI OSADNICY”	90

Kategoria:

OSOBA, KTÓRA W SZCZEGÓLNY SPOSÓB PRZYCZYNIŁA SIĘ BĄDŹ PRZYCZYNIA DO ROZWOJU LUB PROMOCJI OBSZARU KRAINY DINOZAUROWÓW”	93
„PAUL GOTTSCHOLL – KRASIEJOWSKI WIT STWOSZ”	93
„KS. HELMUT GOLLETZ – FUNDAMENT INTEGRACJI LOKALNEJ I MIĘDZYNARODOWEJ”	96
„CZY POECI POTRAFIĄ ZAPARZYĆ HERBATĘ?”	99
„GABRIELA KOŹLIK – ŚLĄZACZKA W CZEPKU URODZONA”	103
„MYZYCY Z POKOLENIA NA POKOLENIE”	105
„FOLKLORYSTYCZNA NUTA”	108
„MUZYKA WIZYTÓWKĄ NASZEJ GMINY”	111
„ADAM LEDWOŃ- IDOLEM MŁODYCH SPORTOWCÓW”	113
„JOACHIM HALUPCZOK – MISTRZ ŚWIATA W 1989 ROKU W KOLARSTWIE”	116
„O SWOJEJ PRACY OPOWIADA CHĘTNIE, Z RADOSNYM WYRAZEM TWARZY – JAK O NAJLEPSZEJ PRZYJACIÓLCE”	118
„EDWARD BARCIK”	120
„ERYKA ŚWIERC – NAJFAJNIEJSZA BABKA W BIESTRZYNNIKU”	121
„CZŁOWIEK SUKCESU – GERARD KOTARSKI”	123
„HRABIA FRANZ VON ZAWADZKI- PAN NA KALINOWIE, JARYSZOWIE I PONISZOWICACH”	126
„KAWALER MALTAŃSKI”	128
„WALDEMAREK”	131
„JERZY FARYS – CZŁOWIEK, KTÓRY O SWOJEJ PASJI, MÓWI Z PASJĄ”	133
„CZŁOWIEK, KTÓRY ZWYCIĘŻĄŁ DZIĘKI WYTRWAŁOŚCI – JOACHIM HALUPCZOK MISTRZ KOLARSKI”	135
„IRENA SŁABOŃ – KOBIETA Z PASJĄ”	136
„MÓJ TATA – CZŁOWIEK Z PASJĄ”	138
„ZĘBOWICZANIE – MUZYKA I ŚPIEW Z TRADYCJAMI”	139
„ZOFIA LEDNIEWSKA”	141
„MOJA WIEŚ – MOJE MIEJSCE VI”	143

Kategoria:

CIEKAWY MIEJSCE LGD „KRAINA DINOZAUROWÓW”	143
„WIATR OPOWIADA ICH DZIEJE...OBOZY JENIECKIE W OZIMKU I OKOLICY”	143
„KULTURA OZIMKA W CZTERECH ŚCIANACH ZAMKNIĘTA...”	146
„KAŻDY DOM MA SWOJĄ CIEKAWĄ HISTORIĘ... HISTORIA DOMU PRZY OPOLSKIEJ 31 W ŻĘDOWICACH”	149
„HISTORIA HUTY MAŁAPANEW”	152
„ANTONIÓW – UROCZE MIEJSCA”	154
„HISTORIA MOJEGO DOMU”	157

„JEDNOŚĆ W MIEJSCU, O KTÓRYM NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ – HISTORIA RSP „JEDNOŚĆ” W DOBRODZIENIU”	159
„POGAŃSKI PAGÓREK W KIELCZY”	162
„TO MIEJSCE ZACHWYCIŁO MNIE SWOJĄ HISTORIĄ”	164
„CMENTARZ (NIE)PAMIĘCI W OZIMKU”	165

Kategoria:

OPOWIADANIE LUB LEGENDA PODKREŚLAJĄCE SPECYFIKĘ

I HISTORIĘ TERENU LGD	169
„PRAWDZIWY BOHATER CZYLI O ZĘBOWICACH W CZASIE POWSTANIA ŚLĄSKIEGO”	169
„ECHA TRAGEDII GÓRNOŚLĄSKIEJ W GMINIE ZĘBOWICE”	172
„SZLAKIEM ZĘBOWICKICH POMNIKÓW W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ”	175
„NIGDY NIE CHODŹ NA RAKWIOŁY”	178
„HISTORIA W POCZTÓWKACH ZAPISANA...”	180
„TAJEMNICA ŚW. MARII MAGDALENY”	184
„JAK TO Z TYM JAJKIEM BYŁO?”	187
„O DIABLE, KTÓRY STRASZYŁ NAD RZEKĄ MAŁA PANEW”	189
„SZLAKIEM KAPLICZEK DANIECKICH”	192
„HISTORIA OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W ZĘBOWICACH”	194
„PRZYDROŻNE KRZYŻE I KAPLICZKI MÓWIĄ”	197
„ZA WIELKOM WODOM”	199

Kategoria:

**OSOBA, KTÓRA W SZCZEGÓLNY SPOSÓB PRZYCZYNIŁA SIĘ, BĄDŹ PRZYCZYNIA
DO ROZWOJU LUB PROMOCJI OBSZARU KRAINY DINOZAUROW**

„O ZWYKŁYCH – NIEZWYKŁYCH MIŁOŚCIACH DO MAŁEJ I DUŻEJ OJCZYZNY. PANI SYLWIA WIDAWSKA I PASJE SERCU JEJ BLISKIE”	203
„NASZA PANI JADZIA – NAUCZYCIELKA Z PASJĄ”	206
„WSPOMNIENIE O PANU JERZYM SZWUGRZE”	209
„PIOTR LEMPA – WYBITNY ŚPIEWAK OPEROWY Z DOBRODZIENIA”	211
„TERESA OZIMEK OD KRASZANKI DO PORCELANĘ”	214
„CHÓR KANTATA POD KIERUNKIEM PANA WŁADYSŁAWA REGNERA”	216
„KSIĄDZ ALOJZY MALCHE REK	219
– CZŁOWIEK, KTÓRY ZMIENIŁ OBLICZE KRASIEJOWA”	219
„KARL FRIEDLICH SCHNIKEL	223
– ARCHITEKTURA INSPIRACJA DO ŻYCIA”	223
„SOŁTYS BLISKI MEMU SERCU”	225
„ZAGADKA MIEJSCA URODZENIA WINCENTEGO”	228
CZŁOWIEK O WIELU PASJACH”	230
„BEATYFIKOWANY KSIĄDZ JÓZEF CZEMPIEL Z ŻĘDOWIC – DUSZPASTERZ, PATRIOTA, CZŁOWIEK”	233
„SZKOLNY WOLONTARIAT, CZYLI CZY JEST W TOBIE DUSZA WOLONTARIUSZA”	237
„TAKIEJ SOŁTYSKI TO ZE ŚWIECĄ SZUKAĆ ...”	239

Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Kraina Dinozaurów”

Misja LGD

Stowarzyszenie Kraina Dinozaurów działa na rzecz rozwoju lokalnej aktywności społecznej z zachowaniem zasad zrównoważonego rozwoju.

Wizja LGD

Jest to dobre miejsce do życia i rozwijania gospodarki. Wioski mają swój charakter, atrakcje, produkty lokalne, wioski są estetyczne.

Mieszkańcy dbają o tradycje i lokalne dziedzictwo. Ludzie są gościnni, zintegrowani, aktywni, przedsiębiorczy, otwarci na turystów.

Jest to obszar z rozwiniętą turystyką, ze specyficznymi atrakcjami i produktami (teren odkryć paleontologicznych wraz z parkiem rozrywki, Jeziora Turawskie, szlak kajakowy, szlak hutniczy, trasy rowerowe), z rozwiniętą bazą gastronomiczno-noclegową oraz dobrą infrastrukturą komunikacyjną i techniczną.

Ludność: 70 784

Powierzchnia: 804,77 km²

LGD „Kraina Dinozaurów” obejmuje teren siedmiu gmin:

Chrzastowice
Dobrodzień
Kolonowskie
Ozimek
Turawa
Zawadzkie
Zębówice

Atrakcje w „Krainie Dinozaurów”

- Wykopaliska paleontologiczne w Krasiejowie – Obecnie na terenie wykopalisk można zwiedzać „Pawilon Paleontologiczny”, park rozrywki Jura Park i Park Nauki i Ewolucji Człowieka
- Trasy rowerowe
- Spływy kajakowe
- Jeziora Turawskie
- Lasy Stobrawsko-Turawskie
- Obiekty architektury zabytkowej, sakralnej i drewnianej
- Imprezy cykliczne
- Tradycje i obyczaje
- Kuchnia tradycyjna i regionalna

Teren Krainy Dinozaurów położony jest na Równinie Opolskiej wchodzącej w skład Niziny Śląskiej i w całości położony jest w zlewni rzeki Mała Panew i jej dopływów. Obszar leży w granicach Obszaru Chronionego Krajobrazu Lasów Stobrawsko-Turawskich, stąd też jego największym walorem jest położenie w kompleksie zasobów leśnych i zbiorników wodnych.

Teren LGD „Krainy Dinozaurów” połączony jest gęstą siecią oznakowanych szlaków rowerowych, które prowadzą po leśnych ścieżkach, jak również przez malownicze wioski i miasteczka.

Rzeka Mała Panew ze względu na swój wyjątkowy charakter nazywana jest „Opolską Amazonką”, ponieważ ma wiele cech rzeki górskiej. Jej malownicze zakola kryją wiele niespodzianek i niezapomnianych widoków. Spływ Małą Panwią to niesamowita przygoda zarówno dla rodzin z dziećmi, jak i miłośników mocnych wrażeń. Na terenie Krainy Dinozaurów znajduje się kompleks Jezior Turawskich, które są rajem dla fanów sportów wodnych (żeglarstwa, kajakerstwa), amatorów wodnych kąpeli oraz wędkarzy.

Ponad 60% powierzchni obszaru stanowią lasy. W granicach Lasów Stobrawsko-Turawskich znalazło się kilka zespołów przyrodniczo-krajobrazowych oraz obszary zakwalifikowane jako użytki ekologiczne i pomniki przyrody. Występuje tutaj wiele chronionych gatunków roślin i zwierząt. Lasy Stobrawsko-Turawskie, ze względu na przewagę borów sosnowych mających duże walory bioterapeutyczne (działają kojąco, przeciwastmatycznie i odkażająco), posiadają duże znaczenie dla turystyki i wypoczynku mieszkańców okolicznych miast.

Niezwykłą atrakcją jest również teren odkryć paleontologicznych w Krasiejowie, gdzie odnaleziono wiele skamieniałych szczątków prehistorycznych zwierząt. Jednym z najcenniejszych znalezisk są kości „śląskiego jaszczura z Opola” (*Silesaurus Opolensis*) – przedstawiciela linii genealogicznej dinozaurów i najstarszego pradinozaura w Europie. Dziś w miejscu wykopalisk można spędzić czas w JuraParku – wspaniałym parku rozrywki, który łączy zabawę z nauką oraz zwiedzić pawilon paleontologiczny i park nauki i ewolucji człowieka.

Zabezpiecza on największe w Europie skamieniałości triasowych płazów i gadów.

Ekspozycja pt.: „Świat Opolskiego Dinozaura” ma charakter „in situ”. Jest to jedyne muzeum na świecie, które stoi nad czynnym stanowiskiem paleontologicznym.

Informacje o zasobach przyrodniczych terenu zostały zebrane w ramach działania LGD „Kraina Dinozaurów” i opracowane w formie inwentaryzacji przyrodniczej, którą można znaleźć na stronie internetowej www.krainadinozaurow.pl, w zakładce Inwentaryzacja.

Na terenie „Krainy Dinozaurów” można odnaleźć również bogate i często unikatowe zasoby hutnictwa, które stanowią jeden z najcenniejszych, charakterystycznych dla naszego regionu elementów. Na naszym terenie istnieją zarówno ślady najstarszego okresu hutnictwa jak i początków rozwoju nowoczesnego hutnictwa w wieku XVII i XVIII. Produkcja hutnicza na tym obszarze stała się jedną z najbardziej znaczących gałęzi gospodarki, a tym samym motorem rozwoju miejscowości na terenie Krainy Dinozaurów.

Huta Małapanew w Ozimku, kiedyś zwana Królewska, jest najstarszym zakładem hutniczym w Polsce, a jednym z najstarszych w Europie, który od momentu swojego powstania działa do dnia dzisiejszego. Niezwykłą atrakcją jest najstarszy w Europie wiszący most żelwny, wykonany w 1827 r. w Hucie „Małapanew” według projektu inspektora maszynowego Schotteliusa – wspaniałe dzieło sztuki inżynierskiego i hutniczego. Atrakcją turystyczną jest również dawny kanał hutniczy w Kolonowskim – to jeden z najstarszych zabytków przemysłu hutniczego nie tylko w mieście, ale również na Śląsku. Dziś kanał od dawna już nie jest eksploatowany i został po części zasypany. Na istniejących odcinkach wciąż jednak stanowi malownicze urozmaicenie krajobrazu.

Te i wiele innych informacji dotyczących hutnictwa na obszarze Krainy Dinozaurów można znaleźć w opracowanej inwentaryzacji zabytkowych obiektów związanych z tradycjami hutniczymi na stronie internetowej stowarzyszenia.

Na terenie Krainy Dinozaurów można również odnaleźć wiele cennych zabytków architektury sakralnej i wiejskiej. Najbardziej znane to drewniane kościoły: w Bierdzanach, Radawiu, Dobrodzieniu, Zakrzowie Turawskim oraz murowane m.in. Kościół ewangelicki z 1819 r.

w Ozimku – późnoklasycystyczny, zabytek klasy zerowej, Kościół pw. Świętego Bartłomieja w Kielczy, neobarokowe kościoły w Krasiejowie i Dębju, Kościół pw. Św. Karola Boromeusza w Staniszczech Wielkich i wiele innych.

Ciekawostką historyczną na terenie LGD jest cenna pamiątka upamiętniająca wykup chłopów z poddaństwa (z całej miejscowości Kadłub Wolny). Są to oryginalne dokumenty przechowywane w drewnianej skrzyni z 1605 roku. Akt ten miał i ma ogromne znaczenie w historii miejscowości i całej Europy. Jan von Bess – stolnik który cały swój majątek rycerski sprzedał swoim poddanym zwalniając ich jednocześnie z poddaństwa oraz zrzekł się wszelkich praw, jakie nad nimi posiadał. Było to wydarzenie niewątpliwie wyjątkowe, ponieważ cała Europa tkwiła głęboko w systemie feudalnym. Chłopi nabyli: folwarki, łąki, stawy, młyny, jeden tartak, lasy, wrzosowiska, zarośla i Karczmę w Kadłubie. Dokument poświadczający wystawiony został w dniu 13 grudnia 1605 roku przez Kancelarię Księstwa Opolsko-Raciborskiego, w imieniu cesarza Rudolfa II.

Wszystkich odwiedzających zachęcamy również do spróbowania tradycyjnych produktów i potraw regionalnych serwowanych przez lokalne restauracje oraz gospodarstwa.

Nasz region jest odpowiednim miejscem dla osób poszukujących spokoju, odpoczynku, regeneracji, relaksu oraz poznania tradycji i atrakcji naszego regionu.



Tablica promująca walory przyrodniczo-kulturowo-historyczne LGD „Kraina Dinozaurów”



Najstarszy żelazny most wiszący w Ozimku



Drewniana Chata w Kielczy



Jeziora Turawskie



Zameczek Myśliwski w Kątach



Dokument potwierdzający wykup chłopów z poddaństwa z Kadłuba Wolnego



Jura Park w Krasiejowie



Zespół „Śpiewające Dinozaury”

„Moja wieś – moje miejsce” Konkurs dla gimnazjalistów z terenu Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania „Kraina Dinozaurów”

Stowarzyszenie LGD „Kraina Dinozaurów” organizuje doroczny konkurs dla uczniów szkół gimnazjalnych z terenu LGD pod tytułem „Moja wieś – moje miejsce”.

Do tej pory odbyło się już sześć edycji konkursu.

Przedmiotem konkursu jest praca autorstwa ucznia, wykonana pod opieką nauczyciela, prezentująca w oryginalny sposób jedną z trzech kategorii konkursowych:

- „Ciekawe miejsce LGD „Kraina Dinozaurów”;
- „Opowiadanie lub legenda podkreślające specyfikę i historię terenu LGD”;
- „Osoba, która w szczególny sposób przyczyniła się bądź przyczynia do rozwoju lub promocji obszaru Krainy Dinozaurów”.

Cele przedsięwzięcia:

- zainteresowanie młodzieży sprawami lokalnymi
- zdobycie informacji na temat ciekawych a nieznanych do tej pory osób, miejsc i legend znanych mieszkańcom LGD
- uzyskanie opisów i zdjęć szczególnych miejsc, osób z terenu LGD, opowiadań, legend
- zdobycie materiałów do stworzenia publikacji promujących teren LGD
- promocja działalności Stowarzyszenia wśród mieszkańców
- promowanie autorów najciekawszych prac ukazujących nowe, twórcze spojrzenie na znane lokalnie atrakcje

„Moja wieś, moje miejsce V”

Piąta edycja konkursu odbyła się w roku 2014. Na konkurs zgłoszono 54 prace. W sumie wzięło w nim udział 57 uczestników pod okiem 14 nauczycieli. Zgłoszono 17 prac w kategorii „Opowiadanie lub legenda podkreślające specyfikę i historię terenu LGD”, 15 prac w kategorii „Ciekawe miejsce LGD „Kraina Dinozaurów” oraz 22 w kategorii „Osoba, która w szczególnie sposób przyczyniła się bądź przyczynia do rozwoju lub promocji obszaru Krainy Dinozaurów”.

Prace opiniowała grupa specjalistów:

- Elżbieta Kaliszan (gmina Chrzastowice)
- Sabina Skrabania (gmina Zawadzkie)
- Jolanta Mrochen (gmina Kolonowskie)
- Czesława Gola (gmina Ozimek)
- Teresa Żulewska (gmina Turawa)
- Alicja Włodarz-Kempa (gmina Dobrodzień)
- Dorota Wons (gmina Zębowice)

Gimnazja reprezentowane w konkursie:

- Zespół Gimnazjalno-Szkolny w Zębowicach
- Zespół Szkolno-Gimnazjalny w Żędowicach
- Gminny Zespół Szkół – Gimnazjum nr 1 w Ozimku
- Zespół Szkół w Ozimku
- Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 3 w Dębskiej Kuźni
- Publiczne Gimnazjum im. Jana Pawła II w Dobrodzieniu
- Publiczne Gimnazjum w Turawie

Gala podsumowująca konkurs odbyła się dnia 16 maja 2014 r. w Zespole Gimnazjalno-Szkolnym w Zębowicach. Na podsumowaniu pojawili się uczniowie wszystkich gimnazjów biorących udział w konkursie wraz z opiekunami prac. Wszystkim laureatom wręczono nagrody a każdy z uczestników otrzymał pamiątkowy dyplom i drobny upominek. Na galę zaproszono również osoby, które były bohaterami prac w kategorii „Osoba, która w szczególnie sposób przyczyniła się bądź przyczynia do rozwoju lub promocji obszaru Krainy Dinozaurów”. Kolejnym punktem programu były występy uczniów szkół gminy Zębowice. Zebrani mogli poznać sylwetki wybranych absolwentów gimnazjum, zapoznać się z walorami przyrodniczymi i kulturowymi gminy, posłuchać śpiewu lokalnych zespołów, obejrzeć krótkie przedstawienia w gwarze śląskiej w wykonaniu gimnazjalistów oraz podziwiać układy taneczne w wykonaniu najmłodszych uczniów szkoły podstawowej.

Gala podsumowująca konkurs „Moja wieś, moje miejsce”



„Moja wieś, moje miejsce VI”

W 2015 roku odbyła się szósta edycja konkursu. Na konkurs zgłoszono 36 prac. W sumie wzięło w nim udział 39 uczestników pod okiem 16 nauczycieli. Zgłoszono 12 prac w kategorii „Opowiadanie lub legenda podkreślające specyfikę i historię terenu LGD”, 10 prac w kategorii „Ciekawe miejsce LGD „Kraina Dinozaurów” oraz 14 w kategorii „Osoba, która w szczególny sposób przyczyniła się bądź przyczynia do rozwoju lub promocji obszaru Krainy Dinozaurów”.

Prace opiniowała grupa specjalistów:

- Elżbieta Kaliszan (gmina Chrzęstowice)
- Barbara Skwara (gmina Zawadzkie)
- Jolanta Mrochen (gmina Kolonowskie)
- Joanna Bachłaj (gmina Ozimek)
- Teresa Żulewska (gmina Turawa)
- Alicja Włodarz-Kempa (gmina Dobrodzień)
- Dorota Wons (gmina Zębowice)

Gimnazja reprezentowane w konkursie:

- Publiczne Gimnazjum nr 1 w Zawadzkiem
- Zespół Gimnazjalno-Szkolny w Zębowicach
- Zespół Szkolno-Gimnazjalny w Żędowicach
- Gminny Zespół Szkół – Gimnazjum nr 1 w Ozimku
- Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 3 w Dębskiej Kuźni
- Publiczne Gimnazjum im. Jana Pawła II w Dobrodzieniu
- Publiczne Gimnazjum w Turawie
- Zespół Szkół w Ozimku
- Zespół Szkolno-Gimnazjalny w Kielczy

Gala podsumowująca konkurs odbyła się dnia 14.05.2015 r. w Centrum Informacji Turystycznej w Zawadzkiem. Gala rozpoczęła się od wystąpienia Pani Prezes LGD Anny Golec, która powitała wszystkich zgromadzonych na Gali: uczestników konkursu, nauczycieli – opiekunów prac, przedstawicieli Urzędu Marszałkowskiego, reprezentantów władz gmin Stowarzyszenia, reprezentantów gimnazjów, które brały udział w konkursie, osoby wyróżnione tytułem „Osobowość LGD Krainy Dinozaurów”, osoby oceniające zgłoszone prace oraz uczniów.

Program artystyczny przygotowany i przedstawiony został przez:

- Zespół Żędowianie działający przy gimnazjum w Żędowicach – tańce regionalne i narodowe
- uczniów kółka teatralnego z gimnazjum w Zawadzkiem – przedstawienie pt. „Czerwony Kapturek”
- uczniów z gimnazjum w Kielczy – występ taneczny i chórny

Przedstawiono zebrany informacje o działalności LGD, realizowanych przez Stowarzyszenie inicjatywach oraz cele i założenia konkursu. Wszystkim uczestnikom konkursu zostały wręczone pamiątkowe dyplomy i drobne upominki ufundowane przez gminy a laureatą wręczono nagrody ufundowane przez stowarzyszenie.

Prezes LGD „Kraina Dinozaurów” podziękowała włodarzom gmin, którzy zaangażowali się w pomoc w przygotowaniu gali a także wszystkim gimnazjom biorącym udział w konkursie przedstawiciel Urzędu Marszałkowskiego – wicemarszałek Roman Kolek, wyraził swoje uznanie dla tak ciekawej inicjatywy jaką jest konkurs „Moja wieś, moje miejsce” – dla jego organizatorów i uczestników.

Gala podsumowująca konkurs „Moja Wieś – moje miejsce” – 2015





Kategoria:
CIEKAWY MIEJSCE „KRAINA DINOZAUROW”

MIEJSCE I
„HUTA JAKO CIEKAWY MIEJSCE W REGIONIE”

Autor: Zuzanna Respondek

GZS w Ozimku

Opiekun: Marzena Wolicka-Mazurkiewicz

Zawsze, kiedy spaceruję po Ozimku i jestem w okolicy Kościoła Ewangelickiego, moją uwagę przykuwa zabytkowy most. Jednak patrząc na niego, w oddali widać zabudowania, które dla większości z nas są nieznanymi. To część tak zwanej starej huty. Oprócz jej pracowników nikt nie ma tam wstępu, a przecież to od niej zaczęła się historia naszego miasta. W tej pracy chciałabym przedstawić losy tego niegdyś wielkiego przedsiębiorstwa, które obecnie trochę podupadło. Być może, dlatego stoi teraz coraz bardziej na uboczu naszego codziennego życia.

TROCZY HISTORII

Początki działalności człowieka na tych terenach są bardzo odległe i sięgają XIV i XV wieku. Już wtedy przeprowadzano tu prymitywne metody wytopu żelaza. W wykopanych w ziemi dołach (kuźnicach), zasypywano węglem drzewnym wydobytą nieopodal rudę darniową, uzyskując niewielkie ilości płynnej stali, którą później czerpano i zalewano prymitywne formy. Mogły to być wówczas, na przykład narzędzia. Metoda była prosta i jak na tamte czasy w księstwie opolskim wystarczająca. Właśnie pokłady, owej rudy darniowej, skłoniły ówczesnych ludzi do zajęcia się tą profesją. Kiedy nad rzeką Małą Panew osiedlił się pewien chłop (jak podają przekazy) o nazwisku Ozimek, powoli zaczęły następować tutaj zmiany. Zbudował wodny młyn i młyn dla ludzi mąkę.

Z początkiem XVIII wieku, gdy zapotrzebowanie na żelazo wzrosło, powstały pierwsze „wysokie” piece, w których osiągnięto wyższą temperaturę i wydajność. W tym okresie nad Małą Panwią istniało przed powstaniem samej Huty, 12 wysokich pieców.

Po zajęciu Śląska przez króla pruskiego Fryderyka II nastąpił kolejny okres rozwoju hutnictwa. Autorem projektu jego rozbudowy był minister Heinitz, a wykonawcą został hrabia Reden. To on zwrócił uwagę na tereny nad Małą Panwią, proponując zbudowanie tu huty żelaza. Fryderyk II wydał rozporządzenie o jej budowie na lewym brzegu rzeki, między wsiami Krasiejów i Schodnia. Miejsce to było korzystne pod względem komunikacyjnym, czyli w niedużej odległości od Odry oraz zasobne w drewno, którego miały dostarczać okoliczne lasy państwowe, zaś sama rzeka Mała Panew stanowiła ważne źródło energii. Hutę usytuowano na miejscu młyna wodnego, należącego do opisanego wcześniej chłopca – młynarza. Nazwisko właściciela przeszło później na nazwę osady zamieszkałej początkowo przez fachowców i urzędników. Realizatorem budowy zakładu był miejscowy nadleśniczy Rehdanz. Już w sierpniu 1754 roku stanął na miejscu młyna pierwszy wysoki piec, a w roku następnym

drugi. W listopadzie na prawym brzegu Małej Panwi uruchomiono dwa nowe piece do fryzowania. Właśnie rok 1754 uznawany jest za początek istnienia huty.

Na wstępie, nowy zakład nastawiony był na produkcję zbrojeniową. Później jednak robiono tu maszyny i urządzenia dla różnego przemysłu, także dla rolnictwa. Powstaje, również osada dla robotników i ich rodzin, które ciągle się powiększa. W 1789 roku zastosowano, zamiast węgla drzewnego koks do wytopu surówki (całkowita nowość w Europie). Do pierwszej wojny światowej, należała ona do departamentu wrocławskiego Urzędu Górniczego. W latach 1834 – 1918 nazywała się Konig Huttenamt Malapane. W 1928 roku administracja przeniesiona została do Gliwic. Po objęciu władzy przez Hitlera (lata trzydzieste ubiegłego wieku), huta weszła w skład koncernu Oberhütten Actien Gleiwitz Hutte Malapane. Pojawia się elektryczność i zastępuje stare, wysokie piece nowoczesnymi na prąd. W czasie II wojny światowej huta zostaje jeszcze unowocześniona i odnowiona.

Już w tamtych czasach słynęła z wysokiej jakości swoich wyrobów. Jeszcze w XIX wieku „MALAPANE” uznawana była za jedną z najlepszych hut na naszym kontynencie.

Po wyzwoleniu tych ziem z okupacji niemieckiej w 1945 roku nastąpił nowy rozdział w jej historii. Lata powojenne to prawdziwy rozkwit terenów nad rzeką nad Małą Panwią.

Opisując historię huty, nie sposób pominąć wiszący most, który do niedawna był jej nierozdzielalną częścią i wizytówką. Koszt jego budowy wyniósł wówczas 4.200 talarów i był główną przeprawą przez rzekę na szlaku Dobrodzień – Opole. Oddano go we wrześniu 1827 roku. Jego projektantem i wykonawcą został królewski mistrz hutniczy Karol Schottelius. Most oparł się wielkiej powodzi w 1830 roku, jednak uległ uszkodzeniu wiele lat później (1945), kiedy to próbował przez niego przejechać radziecki czołg. Obecnie, jako atrakcja turystyczna jest on najstarszym mostem w Europie i stał się wielką dumą miasta. Został on odrestaurowany i aktualnie odbywa się na nim tylko ruch pieszy. Nocą świeci.

Powojenne losy to już zupełnie nowy rozdział historii Huty Mała Panew. Poprosiłam więc mojego dziadka, który całe życie związał z tym miejscem, aby opowiedział mi coś więcej. Któregoś wiosennego dnia poszliśmy na spacer zobaczyć, jak dziś wygląda odnowiony most. Postanowiłam zadać mu kilka pytań: **Dziadku, kiedy przyjechałeś do Ozimka i ile miałeś wtedy lat?**

– Przybyłem tutaj z Ostrowca Świętokrzyskiego w 1953 roku. Miałem wówczas 15 lat. Zapisalem się do miejscowego Technikum Odlewniczego, gdzie po kilku latach nauki zdobyłem zawód. Pamiętam, że pierwszą noc spędziłem w budynku dzisiejszego szpitala, w którym był hotel dla młodzieży- DMR (Dom Młodego Robotnika). Sama szkoła naprzeciwko już istniała, jednak bez „podstawówki”, którą dobudowano wiele lat później.

– **Czy pamiętasz, jak wyglądał Ozimek – ile było osiedli?**

– Moja wnuczko, to już tak dawno, ale pamiętam jak dziś, iż życie w mieście skupiało się wokół hotelu robotniczego (obecny Urząd Miasta i Gminy) i bloków przy ulicy Dzierżona i 22 Lipca. Razem z budynkami na Mickiewicza były to jedyne osiedla w Ozimku. Cała reszta terenów obecnego miasta to wtedy łąki i pola uprawne kilku gospodarstw, które tutaj wtedy istniały.

– **Czy już wtedy stał Dom Kultury?**

– Tak, jednak stał samotnie bez budynków wokół niego. Te powstały niedługo później już za moich czasów.

– **Jak wyglądała w owych czasach huta?**

– W tym okresie następował intensywny jej rozwój i rozbudowa. Już wtedy działała tak zwana Nowa Huta – odlewnia B, w rejonie dworca kolejowego. Stanowiła ona jeden z najnowocześniejszych technicznie i technologicznie oddziałów tego typu, nie tylko w Polsce, ale również w Europie. Nastawiona była na masową produkcję odlewów. Powstawały też inne oddziały:

mechaniczny, konstrukcyjny, nowa ciepłownia, magazyny i wiele innych. Moje młode lata w tym zakładzie to pasmo jej ciąglej rozbudowy i modernizacji.

– Pamiętasz, ile osób wtedy tam pracowało?

– Od 1966 roku, kiedy to prowadzono ruch czterobrygadowy, ponad sześć tysięcy ludzi. Te lata to także rozwój samego Ozimka, którego głównym „motorem napędowym” stała się sama huta – finansująca powstające osiedla mieszkaniowe kolejno: 1-go Maja, Plac Wolności, Dłuskiego, 8-go Marca, Słowackiego i Sikorskiego. Szkoły, przedszkola, dworzec autobusowy (już nieistniejący), nowy hotel robotniczy i OSSIR przy ulicy Słowackiego. Warsztaty szkolne, a także nowe kościoły w mieście i w Schodni, to ogromna zasługa huty.

– W którym roku przeszedłeś na emeryturę?

– W 1998 ze stanowiska kierownika oddziału po czterdziestu latach pracy, udałem się na zasłużony odpoczynek. Zostawiłem tu całe swoje życie, doczekałem się dzieci i wnuków.

– Bardzo dziękuję Ci za te informacje – to prawdziwy kawał historii.

Jak widać z powyższego tekstu, huta stała się swoistą kolebką tego regionu. Obecnie pracuje tam mój tata i może od niego też usłyszę coś ciekawego.

– Czy mógłbyś mi opowiedzieć o tym miejscu?

– Jestem z nią związany od ponad dwudziestu pięciu lat. Kiedy zaczynałem, w latach osiemdziesiątych zatrudnionych wówczas było ponad siedem tysięcy osób, na trzech zmianach 7 dni w tygodniu. Dziesiątki autobusów, oraz pociągi przywoziły ludzi z bliska i z daleka do największego zakładu pracy w okolicy. Pamiętam też niekończące się tłumy wychodzące o 14.30 do domu. Był to tradycyjny obrazek tamtych czasów, gdy huta miała swoje lata świetności. Praca była czymś powszechnie dostępnym i oczywistym, czymś o co nikt nie musiał się martwić bez względu na wiek i wykształcenie. Huta zasilala finansowo miasto i gminę. Posiadała własne ośrodki wczasowe w górach i nad morzem. Dopłacała do wypoczynku pracowników i ich rodzin, stając się tym samym „opiekunem” szerokiej grupy ludzi, którzy nie byli do końca z nią związani. Uzupełnieniem tego niech będzie fakt, iż dysponowała własną zakładową służbą zdrowia w budynku na swoim terenie. Przez lata korzystali z niej nie tylko hutnicy, ale również ich najbliżsi oraz reszta społeczeństwa. Nie sposób pominąć faktu, iż wszystkie osiedla mieszkaniowe w Ozimku powstały dzięki finansowemu i organizacyjnemu wsparciu tego przedsiębiorstwa. Szkoda też, że rozpoczęta budowa kompleksu rehabilitacyjno-sportowego z basenami w lesie nigdy nie została ukończona.

– Jak to się stało, że tak spadło zatrudnienie?

– Po zmianach ustrojowych, na początku lat 90-tych drastycznie spadło zapotrzebowanie na stal. Upadło wiele kopalń, cementowni, zakładów przemysłowych, dla których huta w Ozimku była dostawcą swoich odlewów. Stopniowo zmniejszono zatrudnienie i ograniczono produkcję. Doszło też do zwolnień grupowych. Ten proces trwa już ponad dwadzieścia lat. Jej powierzchnia również zmalała, zlikwidowano większość działów. Realia gospodarki rynkowej uwidoczniły wiele nowych problemów. Dzisiaj pracuje tutaj zaledwie kilkaset osób, jednak firma ta ciągle istnieje i podtrzymuje hutnicze tradycje. Obecnie mało kto pamięta, ale wówczas początek maja – Dzień Hutnika to okres wielkiego świętowania w naszym mieście. Nagradzano zasłużonych pracowników, organizowano akademie a także kilkudniowe festyny, najczęściej na tak zwanej „wyspie” (aktualnie Rehdanża).

– Z czego słynie huta?

– Głównie z produkcji odlewów stalowych różnej wielkości o wadze od kilograma do nawet kilkunastu ton. Powstają tu elementy zwykłe, żeliwne, stopowe, manganowe i inne dla wielu gałęzi przemysłu na całym świecie. Prawdziwą dumą huty są walce staliwne, będące aktualnie największymi produkowanymi w niej odlewami. Kupują je wielkie walcownie, wytwarzające blachy z których tłoczy się później, na przykład karoserie samochodowe. Stal wytapia się dziś

w nowoczesnych elektrycznych piecach łukowych. Działa tu linia automatycznego formowania. Słynie też z tego, że jest najstarszą działającą hutą w Polsce.

– Dziękuję, tato, te informacje uzupełnią moją opowieść o tym ciekawym miejscu.

Myślę, że pokazałam to miejsce od interesującej strony, gdyż huta w Ozimku to trochę zapomniany symbol naszego miasta i nierozzerwalna część tego regionu (gminy). Czas zaciera ślady i historię, ludzie odchodzą, więc warto pielegnować tę historię. W dawnym budynku biurowca /MANHATAN/ czynne jest Muzeum Hutnictwa Doliny Małej Panwi. Każdy zainteresowany może tutaj pogłębić swoją wiedzę na ten temat i zobaczyć wiele ciekawych, unikatowych materiałów i eksponatów. Obecnie nie ma już dni otwartych do zwiedzania huty jak to bywało kiedyś, więc zachęcam wszystkich do odwiedzenia tej wystawy. Jego twórcą jest Pan Józef Tomasz Juros – osoba zasłużona dla gminy Ozimek, gorąco propagująca historię Doliny Małej Panwi.



Materiały:

Artykuły z prasy – ----- Wiadomości Ozimskie nr 2/2013

Regiopedia.pl / opolskie/ ----- strona internetowa

Huta Małapanew.pl ----- strona internetowa

Muzeum Hutnictwa Doliny Małej Panwi ----- strona internetowa

Wywiady z poprzednim i aktualnym pokoleniem pracowników (mój dziadek i tato)

– notatki i zapiski własne.

MIEJSCE II „GDZIE ZEGAR NA CHWILĘ STAJE..”

Autor: Paulina Puchała

ZGS w Zębowicach
Opiekun: Iwona Grabowska

*Tradycja to piękno, które chronimy,
a nie więzy, które nas krępują.*

~Ezra Pound

Często przechodzimy obok nich. Nierzadko, niezauważone czekają na gościa. Czy to tylko magazyn staroci? Może raczej ślad przeszłości? Wchodząc tam, czujemy zapach tradycji, wyobrażamy sobie naszych przodków odzianych w ubrania znajdujące się na manekinie czy szyjących na maszynie stojącej obok. Podobizny ich twarzy wiszą na ścianie izby, czekając na wizytę potomków. Izby? Jednej? Może w innych gminach, bo my możemy się pochwalić aż trzema. Czas okazał się bardzo łaskawy i zatrzymał się u nas, w Zębowicach, Kadłubie Wolnym i Radawiu. Ocalił i pozostawił posąg młodym – zabytki kultury.

Gminna Izba Regionalna to zdecydowanie jeden z symboli Zębowic. Miejsce spotkań tradycji z młodymi ludźmi, pomieszczenie (a właściwie dwa), w którym przeszłość nadal żyje. Opiekuje się nią pan Gerard Wons, ale stworzona została głównie przez miejscowych gimnazjalistów. Ówcześni trzecioklasiści brali udział w latach 2005-2006 w projekcie „Szkoła Marzeń”, mający na celu atrakcyjnie przybliżyć młodzieży lokalną historię oraz tradycje. Gimnazjaliści jeździli na wycieczki, brali udział w zajęciach pozalekcyjnych i spotykali interesujące osoby, jednak najważniejszym celem było właśnie stworzenie izby regionalnej.

Prace nad tym wyjątkowym miejscem trwały cztery miesiące – od maja do września 2006 r. Uczniowie, rodzice i nauczyciele sami je zaprojektowali i urządzili. Efekty pracy można było zobaczyć po raz pierwszy 15 października 2006 r. Wtedy odbyło się uroczyste otwarcie Gminnej Izby Regionalnej. Po przywitaniu gości, występach artystycznych i przemowach nadszedł czas na zwiedzanie i wpisy do książki pamiątkowej. Zaprezentowano także inne prace uczniów, stworzone w ramach koła regionalnego, np. słowniki gwarowe, śląskie książki kucharskie, prace napisane na konkurs „Ze Śląskiem na Ty”... Po poczęstunku odbyła się zabawa taneczna. Wszystkie eksponaty otrzymano od mieszkańców gminy. Można zauważyć, że pomieszczenie jest podzielone tematycznie, m.in.: na kuchnię, szkolny kącik czy typową śląską garderobę. Sama mogę się pochwalić, że niektóre z nich (np. tablica rejestracyjna wozu z XX w., książki do nabożeństw) pochodzą z mojego domu, a na ścianach wiszą obrazy moich przodków. Unikatami wśród zbiorów są: stara poniemiecka „Kronika Szkoły i Gminy Zębowice” oraz poniemieckie Księgi uczniów szkoły w Radawiu. Poczłówek, starych ubrań i przedmiotów codziennego użytku jest tu ponad 280! Liczba eksponatów stale się powiększa, a miejsce staje się coraz bardziej popularne wśród miejscowych i gości. Niektórzy mogą pomyśleć, że to miejsce martwe, w którym znajduje się tylko kilka starych „gratów”. Nic bardziej mylnego! Opiekunowie dbają o atrakcyjność



miejsca i regularnie odbywają się tu spotkania i różnego typu imprezy. Niejednokrotnie Izbę odwiedzają przyjezdni zainteresowani historią lokalną. Gościliśmy już m.in.: burmistrzów, wójtów i starostów powiatu oleskiego, członków TSKN z całego województwa, wicemarszałka Józefa Kotysia, prof. Grzegorza Janusza z UMCS w Lublinie, grupę pracowników naukowych z UO oraz Uniwersytetu Poczdamskiego. A to dopiero początek długiej listy. Nierzadkim widokiem są spotkania miłośników historii z okolicy i nie tylko. Ponadto odbywają się tu lekcje dla przedszkolaków i uczniów z Zębownic, w samym 2013 roku odbyło się w sumie 12 takich spotkań dla 136 uczniów i 58 przedszkolaków. Izba współpracuje też z LGD „Kraina Dinozaurów”, Muzeum Wsi Opolskiej w Bierkowicach i naukowcami, a jej dokonania opisują lokalne gazety („Kulisy powiatu”, „NTO”) czy stacje telewizyjne, takie jak TVP Opole, TV „Schlesien Jurnal”, „TV Silesia”. Izba wydaje okolicznościowo pocztówki, zarówno po polsku, jak i po niemiecku, a na każdej znajduje się oryginalna pieczętka. Nie sposób opisać wszystkiego co dzieje się na pierwszym piętrze Domu Spotkań w Zębownicach. To prawdziwe miejsce spotkań tradycji i kultury ze współczesnym człowiekiem, gdzie czas wydaje się trochę zwalniać. Słowa nie oddają klimatu Gminnej Izby Regionalnej w Zębownicach. Najlepiej więc przyjechać i zobaczyć na własne oczy. Mieszkańcy Kadłuba Wolnego postanowili zmienić starą, zaniedbaną gospodę w miejsce pożyteczne, ale przede wszystkim kulturalne. Stowarzyszenie Rozwoju Wsi Kadłub Wolny podpisało w 2010 roku umowę ze Wspólnotą Karczmę o udostępnieniu pomieszczenia na izbę regionalną. Rok później pani Aleksandra Dylka, przy pomocy pań Marianny Dylki, Krystyny Czaj, Bożeny Miozgi oraz pana Damiana Otrząska napisała wniosek o przyznanie pomocy do Lokalnej Grupy Działania „Kraina Dinozaurów”. Ku radości zaangażowanych, został rozpatrzony pozytywnie. W styczniu 2012 r. rozpoczął się gruntowny remont, w którym pomagali mieszkańcy wsi. Bezpłatnie, z dobrego serca. Obniżono sufit, nałożono tynk, wymieniono drzwi i okna. Nowym nabytkiem stał się kominek, odświeżono też wygląd toalety. Po odmalowaniu ścian i wymianie podłogi, nie można było odnaleźć śladu po starej karczmie.

Po sześciu miesiącach ciężkiej pracy, otwarto Multimedialną Izbę Regionalną w Kadłubie Wolnym. 26.06.2012 r. poświęcono to miejsce i po raz pierwszy można było podziwiać eksponaty. Kadłubska izba to przede wszystkim zdjęcia, portrety, dokumenty. Spisana i przekazana została Historia Wspólnoty Lasów i Historia Wspólnoty Karczmę. Możemy tu też znaleźć tradycyjny strój ludowy. Jednym z nielicznych eksponatów są stare organy, które zostały подарowane przez ZGS w Zębownicach. Sam instrument ma bardzo zawiłą historię.

– Szkoła miała problem, co z nimi zrobić? Uczniowie mogliby zniszczyć ten instrument, a nikt nie potrafił na nim grać. Zmarnowałyby się, a szkoda, bo to kawałek historii. Zaraz wiedziałam gdzie go zabrać! – mówi pani Marianna Dylka.

Jest tu też kąciak poświęcony św. Annie, gdzie znajduje się jej obraz, zrobiony głównie ze zboża przez Kadłubian. Ważnym eksponatem jest na pewno stara laska sołtysa.

– Nie mogliśmy otworzyć izby podobnej do tej w Zębownicach – tłumaczy pani Marianna Dylka – mamy za mało przestrzeni na gromadzenie większej ilości mebli czy innych eksponatów, dlatego skupiliśmy się na dokumentach, fotografiach i obrazach. Najważniejsza jest gablota umieszczona pod oknem. Leży tam kopia dokumentu wykupu poddaństwa z 1605 r. – najstarszego dokumentu odnalezionego na terenie naszej gminy oraz dębowej skrzyni. Niestety, tylko kopie, do prawdziwych pism zwiedzający nie mają dostępu.

Za to reszta jest całkowicie oryginalna. Wszystko, co znajduje się w izbie, zostało подарowane przez mieszkańców gminy. –To na przykład mapa Kadłuba Wolnego, jeszcze po niemiecku – opowiada pani Krystyna Czaja – opiekunka izby.

To miejsce, podobnie jak Gminna Izba Regionalna w Zębowicach, znajduje się na trasie Morawsko-polskich ścieżek tradycji i poznania, a o następnym kandydacie do tej listy opowiem za chwilę.

Pomysł na otwarcie najmłodszej izby wyszedł od Bartosza Grabowskiego – pasjonata historii z Radawia, który chodzi obecnie dopiero do drugiej klasy liceum. Jak opowiada, zaainspirowała go działalność pana Gerarda Wonsa, który opiekuje się Gminną Izłą Regionalną w Zębowicach. Bartosz realizuje swój projekt wraz ze Stowarzyszeniem Rozwoju Wsi Radawie, których członkowie są także młodzi – większość to dwudziestolatkowie, a sam prezes ma dopiero 22 lata. Projekt dopiero raczkuje, jednak udało się zbierać wiele eksponatów, głównie mebli, np. drewniane łóżko, kuchenny kredens, stolik, a także przedmioty codziennego użytku, jak tarka do prania czy maszyna do szycia. Jednak pożądane są też książki, dokumenty czy stare pocztówki. Członkowie SRW Radawie są obecnie na etapie przygotowania projektu do LGD.

– Potrzebujemy pieniędzy na ramy, gabloty i środki konserwujące – opowiada licealista – mamy nadzieję, że nasz wniosek zostanie rozpatrzony pozytywnie, bo sam zebrałem już wiele ciekawych książek i dokumentów, które niestety leżą tylko u mnie w szafie. Mieszkańcy Radawia, dowiedziawszy się o naszych działaniach, sami znoszą eksponaty. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, izba zostanie otwarta już pod koniec tego roku albo na początku 2015. Szczególnie ujmujący jest fakt, że muzeum chcą otworzyć ludzie młodzi, licealiści i studenci, przed którymi świat stoi otworem, a jednak wolą swoją małą ojczyznę i dom rodzinny, którzy wiedzą, jak ważne są korzenie i tradycja oraz starają się przekazać rówieśnikom skarby historii. Izby regionalne to nie tylko kurz na starych meblach, wyblakłe zdjęcia i dziurawe mapy. To historie, zarówno przodków jak i osób zaangażowanych w powstanie tych miejsc. Pamiętajmy o tym, że wizyta w takim muzeum to spotkanie z pokoleniem, które nas opuściło, ale dało nam tak wiele. Mamy niebywałą okazję podziwiać wytwory pracy ludzkiej i wyobrazić sobie minione czasy.

Bibliografia:

- Rozmowy z panem Gerardem Wonssem, Bartoszem Grabowskim oraz paniami Marianną Dylką i Krystyną Czają;
- Kronika Izby Regionalnej w Kadłubie Wolnym;
- Dokumentacja pana Gerarda Wonsa;
- http://www.wspolnota-kadlubwolny.pl/izba_regionalna.html;
- Zdjęcia własnego autorstwa oraz Bartosza Grabowskiego

MIEJSCE III

„OD ŁANU ZBOŻA I ZAGONU KARTOFLI DO STADIONU.”

Autor: Aleksandra Madera

PG w Turawie

Opiekun: Sabina Węgrzyn Gawel

Kotórz Mały, wieś należąca do gminy Turawa. To tutaj znajduje się organizacja mniejszości niemieckiej, stacja kolejowa, przedszkole, dawna szkoła, a przede wszystkim najbardziej znany w okolicy Ludowy Klub Sportowy Silesius Kotórz Mały. Jako młoda sportsmenka, mieszkająca nieopodal tego obiektu postanowiłam dowiedzieć się jak on w ogóle powstał.

Z tej przyczyny postanowiłam udać się o pomoc do aktualnego prezesa klubu – pana Norberta Komora. Oczywiście znalazłam go przy pielęgnacji murawy boiska. Wy tłumaczyłam mu, co mnie do niego sprowadza, po czym udaliśmy się do sali klubowej. Ma się rozumieć, że

jako wierna fanka już niejednokrotnie tu byłam, ale wchodząc nie mogłam się oprzeć temu, aby poprzeglądać zdobyte trofea w szklanych gablotkach wiszących na ścianach. Widok lśniących pucharów, medali oraz dyplomów naprawdę robił wielkie wrażenie.

Po chwili przeszliśmy do debaty na temat historii klubu. Pan Norbert tłumaczył mi wszystko zaczynając od słów: *Dziółsko zacuno to się tak, ze pod Texasem spotkało się na piwie kilku chłopów...* Reasumując całą opowieść pana prezesa można to zrozumieć w ten sposób: po skończonej pracy jak zawsze spotkało się na „soczek” w lokalnym barze kilku chłopów. Znudziły im się biadolenia na temat swoich żon i przeszli do rozmowy o Kotorzu Małym. Stwierdzili, że jest to najpiękniejsza wieś pod słońcem, ale mimo to dobrze by było ją jeszcze jako urozmaicić. Nagle ni stąd, ni zowąd z radia znajdującego się na ladzie wydobył się krzyk prezentera meczu, który był puszczonej już wcześniej z magnetofonu: „GOOOOOL, GOOOOOL! Wygraliśmy!” Mężczyźni w tym samym momencie popatrzyli na siebie jednocześnie myśląc o tym samym. Postanowili wybudować swój własny klub sportowy.

Z tej racji ubiegli się do władz panujących wówczas we wsi. W tym przypadku do sołtysa Kotorza Małego – Pawła Komora oraz do Naczelnika Gminy – J. Bugajskiego. A oni, jak to przypadło na porządnych chłopów byli również fanatykami sportu (w szczególności piłki nożnej) projekt ten poparli. Kropkę nad i przypieczętowano na zebraniu wiejskim w Kotorzu Małym w dniu 13.04.1976 r. Stało się. Słowo stało się czynem. Powstał klub sportowy z zarządem na czele którego stał:

- **Jarosław Sokolski** – przewodniczący,
- **Józef Komor** – wiceprzewodniczący,
- **Artur Długosz** – sekretarz,
- **Jerzy Lempik** – skarbnik,
- **Rudolf Król, Ryszard Mudrzyński, Józef Borek** – członkowie.



Wkrótce Urząd Gminy w Turawie ofiarował działkę o powierzchni 3,14 ha w celu budowy stadionu sportowego. Jakże wielką była radość mieszkańców Kotorza, kiedy dowiedzieli się o powstaniu w ich wsi klubu. Bez namowy i zbędnych próśb podążyli na pomoc w budowie. Pod wpływem zapału i niesamowitej energii do dalszych działań w krótkim czasie wykonano płytę boiska, pawilon sportowy, miejsca dla widzów. Chciałabym zwrócić uwagę na to, że praca wykonywana wówczas z pewnością wymagała

od wszystkich ogromnego poświęcenia i trudu, ponieważ nie było prądu na budowie. Pan Bernard Prudlik – jeden z mieszkańców, który wkładał swe siły i starania zrelacjonował mi, że naprawdę nie było lekko: *„W kazde popołudnia, po zjedzonym mitaku, spotykali my się tam, przy łopatach, kalfasach, misiungu i krok po kroku pociskali my ta robota do przodu. Z dumy num serce corolż barzej rosło”*. Niemalży wkład w pomocy przy budowie boiska miał również pan Jan Nowak. *„Moja pómoc polegała na przewożyniu, odwożyniu, dowożyniu furmanką materiałów na budowa. Przewiółż zejch tury zimii i rozmaitych, potrzebnych im rzeczy”*.

W niedługim czasie powstało boisko sportowe o wymiarach 67 m x 100 m i ułożono obrzeża wokół bieżni sportowej o długości 400 m.

Z inicjatywy działaczy klubu w 1979 r. przeprowadzono po raz pierwszy tzw. „Wodzenie Niedźwiedzia”, czyli potocznie mówiąc „Bery”. Zebrane datki, przeznaczone naturalnie na

dalszy rozwój obiektu. W sezonie 1978/79 oficjalnie uformowała się pierwsza drużyna LZS Kotórz Mały.

Mecze cieszyły się dużą popularnością w niemalże całej gminie Turawa i nie tylko! Z rozgrywki, na rozgrywkę grono kibiców coraz bardziej się powiększało.

Udało mi się zdobyć kartę jednego z pierwszych zawodników LZS-u Kotórz Mały. Za- uważamy, że jej treść jest podobna do współczesnych legitymacji sportowych.

I tak to się zaczęło – **od łanu zboża i zagonu kartofli do stadionu.**

Do dnia dzisiejszego wymienione w tekście osoby są oddanymi fanami swojej drużyny, która powstała dzięki ich własnym staraniom i trudom.

Kończąc, chciałam dodać, że klub sportowy organizuje liczne koncerty, z których zebrane pieniądze są przeznaczane na cele charytatywne. Oprócz tego obiekt jest udostępniany na festyny wiejskie, w których udział biorą wszyscy mieszkańcy gminy Turawa i okolic. Plac służy również organizacji zawodów strażackich. Ponadto z placu zabaw znajdującego się na terenie klubu mogą korzystać wszystkie dzieci, które mają ochotę na chwilę radości, śmiechu i zabawy. W imieniu pana Norberta Komora serdecznie zapraszam wszystkich na dołączenie do kręgu kibiców i wspólny udział w zabawach.

Praca powstała w oparciu o następujące źródła i materiały:

1. Bibliografia:
 - „Księga historii Ziemi Turawskiej” – Jerzy Farys
2. Relacja ustna:
 - Norbert Komor – aktualny prezes LZS-u Sielsius Kotórz Mały,
 - Bernard Prudlik – mieszkaniec Kotorza Małego,
 - Gertruda Czurlok – aktualnie najstarsza mieszkanka Kotorza Małego,
 - Jan Nowak – mieszkaniec Kotorza Małego.
3. Zamieszczone fotografie pochodzą z:
 - moich albumów rodzinnych,
 - prywatnych zbiorów mieszkańców wsi.

WYRÓŻNIENIE

„SYNAGOGA I CMENTARZ ŻYDOWSKI W DOBRODZIENIU”

Autor: Zuzanna Sułkowska

PG w Dobrodzieniu **Opiekun: Ewa Malik**

Zainteresowałam się tematem bytności żydów w naszej okolicy podczas spacerów wraz z moją mamą. Jedną z naszych pieszych tras prowadziła właśnie koło cmentarza żydowskiego. Zaciekała mnie historia ludzi pochowanych właśnie na tym cmentarzu. Postanowiłam w tej pracy napisać właśnie o ich kulturze i religii.

Obecnie cmentarz wygląda znacznie lepiej niż kiedyś. Jest to zasługa młodzieży z naszej szkoły, jak i z Niemiec oraz kraju tak odległego od nas jak Izrael. Odnowa cmentarza była zorganizowana w 2001 roku dzięki inicjatywie pod tytułem „Antyschematy”. Młodzież przyczyniła się do odnowy cmentarza. Odkopywała i podnosiła nagrobki, oczyszczała teren z chaszczy. W trakcie akcji mogli oni również zawrzeć przyjaźnię z ludźmi z innych państw. Potłuczone części nagrobków, których nie dało się niestety złożyć, zostały powieszono na zachodniej stronie muru cmentarza, tworząc lapidarium. Wstawiono wtedy także nową bramę

z wykutą na niej menorą. To naprawdę cudowne, że ludzie w tak młodym wieku interesują się historią naszego terenu. Niestety nie wszędzie ludzie szanują różne od swoich religie.

Przed Holocaustem w Polsce istniało około tysięcy kirkutów. Do naszych czasów przetrwało jedynie 399 cmentarzy, z czego 190 zostało ogrodzone płotami i nadal znajdują się pod opieką troskliwych grabarzy. Pozostałe 303 kirkuty przeznaczono do celów rolniczych lub pod zabudowę, a ostatnie 72 cmentarze stały się wysypiskami śmieci. Te ostatnie miały szczególnie przykrą historię. To naprawdę okropne jak ludzie potrafią nie szanować nawet zmarłych, którzy mieli odmienne poglądy i religie. Na całe szczęście mieszkańcy naszej gminy są bardziej tolerancyjni. Bardzo się cieszę, że mieszkam właśnie tu.

Nasz cmentarz został założony w XVIII wieku. Przez wzgląd na datę jego teraźniejszy wygląd nie powinien dziwić. Jest on otoczony murem tylko z trzech stron – zachodniej, północnej i południowej. Wschodniej strony „cegłanego płotu” brakuje. Może to być spowodowane tym, że był dewastowany. No cóż, czasem nawet w najlepszej gminie znajdują się czarne owce. Kirkut jest również już wiele lat bez opieki. Ostatni grabarz wraz ze swoją rodziną wyprowadził się z małego domku koło cmentarza zaraz po wojnie. Krótko po tym dom zburzono.

Nasz cmentarz żydowski może nie jest kolosem, ale nie jest też całkiem mały. Ma on powierzchnię 0,54 hektara. Na cmentarzu znajduje się około dwustu nagrobków. Najstarszy z nich pochodzi aż z 1773 roku. Znajdują się tu również macewy rodziny Stein, czyli krewnych żydowskiej świętej kościoła – Edyty Stein (Dobrodzieniu znajduje się także ulica imienia Edyty Stein). Cmentarz żydowski w Dobrodzieniu znajduje się kilometr od centrum miasta. Możliwe, że dzięki swojemu położeniu przetrwał wojnę. Jego położenie było za to spowodowane rygorystycznymi zasadami religijnymi. Mówiły one o tym, że kirkut ma się znajdować na uboczu, aby gwar miasta nie zakłócał spokoju zmarłych. Jeszcze w 1971, czyli w sumie nie tak dawno, bo 43 lata temu wisiała tam tabliczka mówiąca, że jest to cmentarz zabytkowy. Później niestety została zerwana. Ciekawostką jest to, że kirkuty były często podzielone na trzy części: żeńską, męską i dziecięcą. Możliwe, że nasz cmentarz też jest tak podzielony, ale tego nie wiemy na pewno. Jedną z ciekawszych rzeczy jest również to, że na kirkutach zakopywano również stare i zniszczone już wyposażenie synagog takie jak na przykład nieużyteczne już Tory. Żydzi najczęściej odwiedzali cmentarz żydowski podczas święta Dniem Pojednania, czyli Jom Kippur. Wtedy to ubierali się odświętnie i szli grupami na cmentarze. Zakładali oni najczęściej świąteczny kitel, przepasany ozdobnym pasem. Ten strój miał świadczyć o pobożności i szacunku dla zmarłych.

Postanowiłam porozmawiać na ten temat również z babcią. Ona opowiedziała mi o innym budynku wybudowanym przez żydów. Była to synagoga. Jeśli by się głębiej zastanowić to żydzi poczynili na tym terenie dość sporo zmian. Bardzo żałuję, że synagoga nie przetrwała do naszych czasów. Możemy o niej słuchać jedynie z opowiadań naszych przodków oraz oglądając ją na starych zdjęciach. Na nich niestety również nie została pokazana w całej okazałości. Na wszystkich zdjęciach, które udało mi się znaleźć było widać tylko jej fragment.

Pierwszą synagogę wybudowano w 1781 roku, czyli około 52 lata po pojawieniu się żydów w Dobrodzieniu, ponieważ ci znaleźli się tu około 1729 roku. Według pruskich statystyk w tamtym okresie w Dobrodzieniu znajdowało się 120 żydów. Synagoga znajdowała się koło rynku. Po 65 latach spłonęła. Była ona dość młoda. Wraz z nią spaliły się również budynki w głównej części rynku. Było to w 1846 roku. Wielu ludzi mieszkających w centralnej części Dobrodzienia straciło wtedy dach nad głową. Synagogę odbudowano w 1848 roku. Była ona już stabilniejsza i trwalsza, bo nie z drewna. Została odbudowana prawdopodobnie dzięki datkom miejscowych żydów. Wtedy to na miejscu pierwszej powstała druga synagoga. Trzeba sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać taka przeciętna synagoga. Były to budynki zwykle nieco wyższe niż pozostałe, budowane w stylu mauretańskim. Była ona piętrowa. Na piętrze znajdowały się pokoje dla kobiet, a na parterze dla mężczyzn. Ciekawostką jest, że już od średniowiecza w synagogach pojawiał się babiniec. Było to miejsce, z którego

kobiety mogły obserwować całe wnętrze. Według zaleceń religijnych było to spowodowane troską o modlących się mężczyzn, gdyż podczas modlitwy nic nie mogło ich rozpraszać.

W dobrodzieńskiej synagodze znajdował się okazały ołtarz ufundowany i подарowany przez braci L. I A. Sachs. Postanowiono zadbać w tamtych czasach o edukację żydowskiej młodzieży. Przy synagodze wybudowano dwuklasową szkołę żydowską. W 1878 roku uczęszczało do niej 36 uczniów. John Friedlander sfinansował także sierociniec. Przy synagodze wybudowano również mykwę, czyli zbiornik z bieżącą wodą. Gdy na początku XX wieku zmalała populacja żydów w Dobrodzieniu, synagogę wykupiła powiatowa kasa oszczędności. Niedługo po tym zburzono ją. Tak skończyła się historia synagogi w Dobrodzieniu. Synagoga znajdowała się obok obecnego Domu Kultury w Dobrodzieniu. Żałuję tylko, że w żaden sposób nie upamiętniono tego miejsca.



Synagoga znajdowała się po lewej stronie ratusza.

Dzięki tej pracy dowiedziałam się naprawdę sporo na temat religii żydowskiej. Mam nadzieję, że zainteresuje ona innych ludzi i zachęci do poznawania innych religii i wglębiania się w historię ich miejscowych zabytków. Niektóre są bardzo ciekawe i mogą zdziwić i zmienić sposób myślenia. Jestem dumna z tego, że mieszkam w takiej gminie jak Dobrodzień, gdzie ludzie dbają o swoje zabytki

Bibliografia:

- Irena Osadnik, „Dobrodzień. Monografia miasta 1374-1939 w świetle literatury niemieckiej i polskiej, Dobrodzień 2004,
- „Echo Dobrodzienia” Dobrodzień 1994,
- <http://www.sztetl.org.pl/pl/article/dobrodzien/11,synagogi-domy-modlitwy-i-inne/29,synagoga-w-dobrodzieniu-plac-wolnosci-/>
- <http://www.visitopolskie.pl/pl/objects/details/id,4606/m,Staniszczce-Male/t,Cmentarz-zydowski-w-Dobrodzieniu.html>
- <http://www.sztetl.org.pl/pl/article/dobrodzien/5,historia/?print=1>
- http://pl.wikipedia.org/wiki/Cmentarz_%C5%BCydowski_w_Dobrodzieniu
- <http://www.fzp.net.pl/historia/cmentarze-zydowskie-w-polsce>
- <http://pl.wikipedia.org/wiki/Synagoga>

WYRÓŻNIENIE „WŚRÓD BOCIANICH GNIAZD”

Autor: Anna Scholtyssek

ZGS w Zębowicach Opiekun: Iwona Grabowska

Jestem mieszkanką pięknej wsi Zębowice. Znajduje się ona w powiecie oleskim, województwie opolskim. W mojej miejscowości jest wiele pięknych miejsc. Większą część terenu zajmują gęste lasy, które są zamieszkiwane przez dzikie zwierzęta. Ta praca nie będzie jednak dotyczyć dzikich zwierząt. Wręcz przeciwnie, bardzo miłych i podziwianych ptaków. Bocian

biały to powszechnie znany i lubiany ptak o białym upierzeniu z czarnymi lotkami oraz długimi czerwonymi nogami i dziobem. Bociany budują jedne z największych gniazd mogących osiągać do 2 m wysokości i 1,5 m średnicy. Czasem gniazdują kolonijnie, natomiast rzadko z dala od osad ludzkich. Najczęściej osiedlają się na podmokłych terenach w pobliżu pól uprawnych. Jest to gatunek chroniony, zagrożony utratą odpowiednich żerowisk w wyniku osuszania terenów podmokłych, utratą miejsc gniazdowych oraz śmiertelnością spowodowaną kolizjami z liniami energetycznymi. Pokarm tych ptaków jest wyłącznie zwierzęcy i bardzo urozmaicony, od różnych zwierząt wodnych po myszy i duże owady. Piękno tych ptaków spowodowało, że już w szkole podstawowej rozpoczęłam obserwację ich zachowań i tworzyłam swoje pierwsze mapki ich gniazd.

Obecnie w gminie Zębowice zamieszkane są tylko 3 gniazda. Kiedyś jednak było ich więcej. Najmłodszym gniazdem jest to, które znajduje się w samym centrum Zębowic. Powstało ono około 2 lata temu. Jego mieszkańcy upodobili sobie słup stojący między neogotyckim kościołem pod wezwaniem NMP w Zębowicach, a posiadłością Państwa Barowskich przy ulicy Oleskiej 19. Nie znam szczegółowych informacji na temat tej pary bocianów i niestety nie wiem, ile młodych wylęгло się w ciągu tych dwóch lat. Z całą pewnością znajdują się mieszkańcy, którym przeszkadza biały osad na chodniku w okolicy masztu. Naprzeciwko słupa osiedlonego przez ptaki znajduje się Pizzeria, którą odwiedza sporo ludzi o każdej porze dnia. Codziennie przemieszczą się tamtejszą ulicą dużo przechodniów i pojazdów. Jak widać, hałas i codzienne życie mieszkańców Zębowic nie przeszkadza ptakom.

Tej wiosny para przyleciała prawdopodobnie pierwszego kwietnia. Tylko raz zastałam obydwu osobniki w gnieździe. Kiedyś spotkałam pana bociana na łące, poszukującego pożywienia dla partnerki. Niestety nie miałam przy sobie aparatu, aby zrobić zdjęcie. Kiedy byłam ostatnio w centrum Zębowic, widziałam panią bocianicę w gnieździe. Była bardzo zajęta swoją osobą, ale znalazła chwilę by spojrzeć w obiektyw.

Od mieszkańców Zębowic dowiedziałam się, że było niegdyś w Zębowicach jeszcze jedno gniazdo. Znajdowało się ono na kominie przemysłowym przy ulicy Opolskiej. Powstało w 2000 roku, lecz po niedługim czasie zostało zniszczone z niewiadomych przyczyn. Kolejne bocianie gniazdo w gminie Zębowice zostało utworzone w Pruskowie. We wsi oddalonej o ok. 2 km na północ od Zębowic. Prawdopodobnie powstało w 1994 roku na nieczynnym słupie postawionym na łące koło stawu, ok. 10 od budynku mieszkalnego przy ulicy Oleskiej 5. W 1994 r. nie wiadomo ile było młodych, lecz zostały one odchowane. W roku 1995 i 98 było ich 4. Niestety w 1997 i 2001 roku potomstwo nie przeżyło z niewyjaśnionych przyczyn. Jedną z mieszkanki Pruskowa – pani Skowronek, wspomina, że czasami matka specjalnie wyrzucała jaja z gniazda. Kiedy był urodzajny rok, obfity w przysmaki ptaków, bocianica zajmowała się piskletami i wychowywała je, ale gdy rok był nieudany, ptak pozbywał się młodych, wyrzucając je z gniazda, bądź w gorszy sposób – zadziobując je. W latach 1999-2000 zostały odchowane 2 młode, a w 2003 i 2004 roku o jedno więcej. Przez dłuższy czas bociany nie odwiedziły swego gniazda, dopiero w 2009 roku wróciły. Niestety nie na długo, ponieważ w 2010 roku widzieliśmy je już po raz ostatni. Pani Skowronek wspominała także o wydarzeniu sprzed kilku lat, kiedy pomiędzy końcem lata, a początkiem jesieni na jednej z pruskowskich łąk zgromadziło się mnóstwo bocianów. Prawdopodobnie blisko 100 ptaków. Zapewne przygotowywały się do odlotu. Był to przepiękny widok.

Następne gniazdo, o którym wcześniej nie wiedziałam, znajdowało się kiedyś w Kadłubie Wolnym przy ulicy Głównej 19. Jest to wieś oddalona od Zębowic również o ok. 2 km na wschód. Zostało ono utworzone na drzewie liściastym, oddalonym o 100 metrów od budynku mieszkalnego. Prawdopodobnie powstało w 1954 roku, lecz zostało zajęte przez parę dopiero w 1995 roku. Nie mam pewności czy te informacje są prawdziwe. Podobno w 1996

roku, bociany nie wróciły do gniazda i nie zagościły w nim aż do dzisiaj. Gniazdo zostało zniszczone. W Radawiu, wiosce oddalonej o 6 km na zachód od Zębownic istniały kiedyś 3 gniazda. Jedno z nich powstało przy ulicy Szkolnej 17, na drzewie oddalonym do 100 m od budynku. Zostało zbudowane w 1995 roku przez mieszkańców, lecz żadna para nie zechciała w nim zamieszkać. Prawdopodobnie ludzie zniszczyli gniazdo.

Drugie gniazdo zbudowano w 1999 roku. Znajdowało się na słupie oddalonym 20 m od budynku mieszkalnego przy ulicy Polnej 8. Co prawda, para bocianów zajęła gniazdo w 1999 roku, ale następnego roku już się stamtąd wyniosła.

Trzecim gniazdem w Radawiu jest to, które istnieje do dzisiaj. Znajduje się na nieczynnym słupie, oddalonym ok. 30 m od budynku mieszkalnego przy ulicy Stawowej 13. Powstało ono w roku 1995.

W 1997 roku było odwiedzane przez parę tylko okresowo. W 1998 roku wylęły się 2 młode, lecz rok później potomstwo nie przeżyło. Tak samo było w roku 2001. W 2000 roku zostały odchowane 3 młode, w 2003 roku 2, rok później 4, pięć lat później 3, a w roku 2010 powtórzyła się sytuacja sprzed 9-ciu lat.

Kilka lat temu stało się nieszczęście. Gniazdo spadło z masztu, ale dzięki szybkiej pomocy strażaków OSP w Radawiu, wróciło na swoje miejsce w lepszym stanie. Zamiast drewnianej platformy, zainstalowano stabilniejszą, metalową.



KIEDYS



DZISIAJ

1 kwietnia, gdy pojechałam do Radawia, aby zrobić zdjęcia bocianom, akurat natknęłam się na jednego żerującego w polu. Od razu wyciągnęłam aparat i uwieczniłam ten piękny widok. Podobno w tej samej wsi jest również spotykany bocian czarny. Był widziany kilka razy w parku należącym do pałacu, w którym obecnie mieści się Dom Pomocy Społecznej, przez

leśniczego – pana Krzysztofa Janika oraz mieszkańców Radawia. Niestety nie udało mi się go spotkać ani dotrzeć do żadnych informacji. Ostatnim gniazdem, o którym pragnę wspomnieć, jest to najstarsze. Znajduje się ono na słupie elektroenergetycznym w ogrodzie rodziny Dworaczyk w Poczołkowie. Odległość od budynku mieszkalnego wynosi 7 m. Wybrałam się również do Poczołkowa, aby przeprowadzić wywiad z jedną z mieszkank. Była to 89-cio letnia pani Urszula Miozga. Opowiedziała mi, jak to było kilkadziesiąt lat temu: „– Jak te bociany przyleciały na wiosna, to się tukej coś im upodobało na tym stromie. Łone boło takie serokie, rozłożone, ale łoni ino chodzili i chodzili, a ino nie mieli pewności i polecili. I tak bez połra dni. Ale potym wierza bajtle je przestrasoły, bo dziennie za tymi bocianami zagładały, no i posły stąd. Potem tukej na mascie sie upodobały. Dzieci wołały: „Stork, Stork! Du beste bringt mir einen Schwester!”, a chłopcy wołali „Stork, Stork! Gib mir eine Bruder!“. I to tako wojna boła kuliś bocianów, bo ino chcieli mieć rodzyństwo, Ta chciola mieć Schwester, a ten Bruder’a. No i to tak boło z bocianami. Jak masty postawili to i potym jakoś ino bociany przychodziły, a ino coś tam gdakały. Az potym strażoki zrobili gniozdo. (...) Piyrwej ludzie godali, ze jak bociany są w powietrzu, to jest na dobry rok, a jak są na ziemi, to jest na cinyzki rok”. Przeprowadziłam w Poczołkowie jeszcze jeden wywiad z panem Wodarczykiem, sąsiadem

rodziny Dworaczyk. Od Pana Wodarczyka dowiedziałam się, że jeden bocian przyleciał już w połowie marca, a drugi dopiero rankiem 31.03. Po południu nie było już tego drugiego. Tak samo było kolejnego dnia. Rankiem był, ale po południu znów go nie było. Nie wiadomo, co się z nim dzieje. W zeszłym roku jeden z nich był sam, a później dopiero doleciał do niego drugi. Miały jedno młode, które było wyrzucone z gniazda. Prawdopodobnie zdechło. Dwa lub trzy lata temu, młode także zostały wyrzucone z gniazda. Któregoś roku były 3 młode. Pewnego razu przyleciały dwie pary i biły się o gniazdo. Jedna para wygrała i zajęła gniazdo, a druga nie wiadomo... Pan Wodarczyk ma akurat dobry widok na gniazdo, ponieważ z jego pokoju bardzo dobrze widać co robią ptaki. Między innymi można zobaczyć jak rodzice karmią młode, wyciągając sobie z dzioba pokarm i dawają go młodym do gardła. Bociany zawsze szczyliły się uznaniem i sympatią ludzi w naszej gminie. Tym bardziej, że wiadomo, iż częściej zamieszkują one raczej północną część kraju. Dlatego jesteśmy dumni z tego, że aż tyle z nich chce żyć u nas chociaż przez pół roku. Nie śpiewają tak pięknie jak inne ptaki, ale za to potrafią tak cudnie klekotać, że słyhać ich w różnych zakątkach gminy. Mam nadzieję, że zechcą przylatywać do nas co roku i kto wie, może zaczną spełniać marzenia dzieci o rodzeństwie. To by była heca...

Źródła:

- Wywiady z Panią Urszulą Miozgą, P. Wodarczykiem
- Strona internetowa- <http://baza.bociany.pl/gniazda/gmina/gm/1913>
- Strona internetowa: www.bocianopedia.pl

„AZYL”

Autor: Anna Tomal

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik- Libor

Dziś ludzie bardzo często zastanawiają się, gdzie tak naprawdę znajduje się ich azyl; sacrum, w którym bez żadnego wstydu i oporu mogą otworzyć całą swoją duszę na otaczający świat. Dla niektórych jest to po prostu rodzinny dom – dla innych, może to być puste pole na peryferiach miasta. Każdy człowiek definiuje piękno inaczej, postrzega je w odrębny sposób, często kształci według swojej estetyki czy wymagań. Warto zastanowić się jednak, czy nie są one zbyt wysokie względem rzeczy dookoła nas. Swoim prywatnym i nietykalnym rajem na Ziemi bez wątplenia mogę nazwać – smutny z pozoru – Dom Dziecka w Turawie. Mimo ogólnego przekonania społeczeństwa o jego wewnętrznym dramacie, tak naprawdę jest to dom szczególnie i przepełniony empatią na krzywdę drugiego człowieka. Dom Dziecka w Turawie powstał 1 stycznia 1949 roku, ze względu na potrzeby społeczne, po krwawej w naszych dziejach drugiej wojnie światowej. Wówczas do placówki trafiło około 100 sierot wojennych, zaraz po utracie rodziny. Wtedy siedziba była własnością Skarbu Państwa, natomiast organem prowadzącym i nadzorującym – Kuratorium Oświaty w Opolu. Od 1998 roku właścicielem jest Powiat Opolski, kontrolę prowadzi Wojewoda Opolski. Do niedawna Dom Dziecka znajdował się w siedzibie wielkiego, starego pałacu, w miejscowości Turawa. Niestety ze względu na częste pożary i słaby stan techniczny, placówka z przepięknej, zabytkowej budowli, została przeniesiona do innego miejsca, na tzw. „Rybaczówkę”, oddaloną 2 km od miejscowości Turawa. Uroczyste otwarcie nowego Domu Dziecka odbyło się 20 września 2011 roku. Nieoficjalnie dzieci i młodzież

przybyła tam wcześniej. Uroczystość zawierająca wiele przemówień, gratulacji oraz przecięcie biało-czerwonej wstęgi rozpoczęła nowy etap życia, rozwoju i standardów zamieszkujących placówkę dzieci. Tamten dzień otworzył drzwi do nowego, dobrze rokującego na przyszłość domu, który moim zdaniem nie jest tylko funkcjonalny, a także piękny. Za szarą, stalową bramą wejściową można ujrzeć wielki budynek, w kolorze kawy z mlekiem, z czarnymi akcentami. Jest on zadbany i utrzymany w nieskazitelnej czystości, co poprawia komfort wizualny, natomiast wesołe dzieci biegające wokół domu – emocjonalny, wielu ludzi z zewnątrz. Dookoła budynku – nie licząc parkingu – zasiana jest bujna, zielona trawa. Naprzeciw drzwi wejściowych stoi duża, drewniana buda, dla przywiezionych przez dyrektora – Waldemara Dzieszkowskiego – szczeniąt. Niestety pamięć podpowiada mi imię tylko jednego z nich... jasnobeżowy, cieszący się większą sławą wśród mieszkańców piesek, wabi się Pampuch. Drugi zwierzak był czarny jak smoła- z przekazanych mi informacji już dawno uciekł ze swojej przytulnej budy, w następstwie czego, zostawił „kolegę” samego. Być może wrócił- warto to sprawdzić. Wchodząc do domu, w głównym korytarzu, pierwsza w oczy rzuca się duża, kremowa kanapa, obstawiona z dwóch stron wysokimi, zielonymi kwiatami, stojących w solidnych brązowych donicach. Służy ona głównie rodzicom i gościom odwiedzającym dzieci tamtejszego ośrodka. Po prawej stronie, na lekkim podwyższeniu, za przezroczystą szybą, znajduje się pomieszczenie wychowawców, przeznaczone do wspólnych rozmów, narad czy planów na dany dzień. Dalsze kroki korytarzem ukazują zdjęcia mieszkańców placówki, powieszona na ścianach. Trzeba być jednak niesamowicie ostrożnym, ponieważ z każdą godziną przybywa biegających po nim dzieci.

Na parterze jest również pokój rozwojowy, nad którym kontrolę oraz odpowiedzialność sprawuje psycholog Anna Marcinków. Choć z pozoru wygląda jak normalne, kolorowe pomieszczenie, tak naprawdę kryje w sobie wiele ciekawych pamiątek i skarbów, takich jak stare i współczesne kroniki. Zawierają one zdjęcia oraz opisy wyjazdów, uroczystości i innych ważnych dla domu wydarzeń. Niektóre poświęcone są tylko wychowankom – na każdej stronie widnieje zdjęcie z imieniem i nazwiskiem danego dziecka. Idąc schodami do góry, napotykamy na pokoje wychowanków, salę multimedialną, pomieszczenie wychowawców, pracujących w godzinach nocnych. Pokoje dzieci są przeróżne. Od jednoosobowych, po kilkuosobowe. Każdy wyposażony jest w miejsca do spania, telewizory, biurka oraz szafy.

Mój pokój przystosowany był dla dwóch osób. Ze względu na specyfikę historii mojej współlokatorki, miał w sobie coś intrygującego i pouczającego, co zapoczątkowało moje postrzeganie oraz docenianie życia na każdym kroku. Sala multimedialna składa się z wielkiego stołu, przy którym stoi około 15 krzeseł, kilku komputerów, tablicy multimedialnej, na której często oglądaliśmy razem filmy. Drzwi sali prowadzą do drugiej części domu, która nie różni się bardzo od poprzedniej. Właściwie jej główna różnica tkwi w rozmieszczeniu pomieszczeń – poza tym jest taka sama. Na parterze drugiej części placówki znajduje się kuchnia i miejsce, w którym wszyscy razem wspólnie spożywaliśmy posiłki, rozmawialiśmy na różne tematy. Pomieszczenie, które dało mi dwóch, nowych przyjaciół, to tzw. „Grupa Usamodzielnienia”. To właśnie tam mieszka młodzież, przygotowująca się do samodzielnego życia. Być może właśnie ze względu na jej wiek, znalazłam przychylne mi, moim poglądom i przekonaniom osoby. Życie w „Grupie Usamodzielnienia” nie jest jednak już tak łatwe, jak przeciętnych wychowanków. Młodzież zamieszkująca tę grupę ma mnóstwo obowiązków, które nie raz przekładały się na złość i frustrację wśród mieszkańców. Podczas pobytu w Domu Dziecka najbardziej zauroczył mnie taras na tyłach budynku. Kiedy jest się w tym miejscu pierwszy raz, wszystko co złe, gdzieś znika, zapominamy o krzywdach, jakie wyrządziło względem naszej osoby życie. Piękny krajobraz, niekończącego się jeziora sprawia, że człowiek odsyła swoją duszę w zupełnie inny wymiar – miejsce, w którym nie ma zawiści, krzywdy, kłamstw czy obłudy. Latem jest tam najwspanialej. Kiedy słońce chowa się za horyzont, widać tylko ścierające się

z niebem, wysokie fale, unoszone przez wiatr. Pierwsze gwiazdy na czystym niebie zwiastują porę przemyśleń, mogłabym powiedzieć małego rachunku sumienia i podsumowań własnego „ja”. Nie każdy tego dozna, to oczywiste. Jednak kiedy zostawałam tam sama, a ciemnogatowe niebo otulało jezioro i okolice, nie było słycać nic, poza własnym głosem z głębi duszy oraz odgłosami szumiących fal. Nadzwyczajność opisywanego przeze mnie miejsca nie tkwi tylko w samym centrum placówki. Dookoła niej, są równie niesamowite, miejsca, zakątki. Przed wjazdem do Domu Dziecka, znajduje się kilka drewnianych domków, dla odwiedzających wielkie jezioro ludzi, pełno przeróżnych, kolorowych i różnej wielkości łódek, łodzi, skuterów wodnych i innych rekreacyjnych sprzętów. W powietrzu unosi się zapach świeżej grillowanej ryby, co pozwala na jeszcze lepsze odczucia podczas pobytu w tym miejscu.

W Domu Dziecka spędziłam tylko trzy miesiące, jednak był to dla mnie czas najważniejszego okresu „nauki”. Nauki, nie szkolnej, lecz tej życiowej. Ludzie zamieszkujący placówkę są osobami wyjątkowymi i niewiarygodnie silnymi, biorąc pod uwagę fakt przykrych doświadczeń, nie raz w bardzo młodym wieku. Pomimo awersji wielu ludzi do tego miejsca, warto przemyśleć i zweryfikować swoje życie, przynajmniej po to, aby zmierzyć się ze swoimi słabościami i zobaczyć świat, od wielu lat uważany za tabu, własnymi oczami. Dopiero wtedy będziemy przygotowani na to, aby oceniać i wyrażać opinię. Tak jak mówiłam wcześniej, placówka ma w sobie wiele zalet, nadzwyczajności. Nie jest to jednak tylko atrakcyjny obszar, lokalizacja turystyczna. Z każdym krokiem odczuwa się niesamowite emocje, związane z historią, po części dramatem, lecz głównie zdziwienie, które towarzyszy nam, kiedy widzimy wśród mieszkańców budynku zadowolenie, motywację i ogromne szczęście, mimo tego, jak zostali potraktowani przez los czy własne rodziny. Od czasu pobytu w Domu Dziecka jestem inną osobą. Staram się zawsze żyć tak jak oni i nie poddawać się, gdy życie podrzuci mi pod nogi wielkie kłody. Uważam, że właśnie ten dom zasługuje na miano najpiękniejszego zakątka naszego regionu. Dzięki niemu widzimy, jak wiele trzymamy w swoich garściach, podczas gdy inni nie mają podstawowej jednostki życia, jaką jest rodzina. My często jej nie doceniamy. Wybrałam właśnie te miejsce, ponieważ żyję w przekonaniu o jego wszechogarniającej poetyczności i urokliwości oraz przesłaniu, jakie niesie dla każdego przeciętnego człowieka. Bardzo chciałabym odwiedzić po raz kolejny budynek Domu Dziecka, ponieważ właśnie z niego wyniosłam ze sobą bagaż doświadczeń, przemyśleń i emocji, które towarzyszą mi do dnia dzisiejszego. Często zastanawiam się nad losem dwóch tamtejszych przyjaciół, innych dzieci... niestety na razie nie posiadam możliwości aby tam pojechać. Z całego serca zachęcam innych, aby zapanowali sami w sobie i zrobili to za mnie. Jestem również zdania, że każdemu, kto odwiedzi to miejsce, w sercu zostanie chociaż mała cząstka lekcji, jaką niesie ze sobą same przekroczenie progu tego właśnie azylu.

„HISTORIA KOŚCIOŁA W SZEMROWICACH”

Autor: Magdalena Skowronek

PG w Dobrodzieniu

Opiekun: Andrzej Kniejski

Pierwsza wzmianka o wsi pojawiła się w dokumencie wydanym przez księcia opolskiego Jana II Dobrego 12 X 1493 roku. To właśnie za rządów Jana II nabiera szczególnej intensywności historia, życia religijnego mieszkańców Szemrowic. W tym czasie dochodzi do wybudowania na terenie Szemrowic pierwszego w tej okolicy kościoła. Niestety, do naszych czasów nie dotrwał żaden dokument, który byłby zaopatrzonej w jakiegokolwiek szczegóły

związane z budową i konsekracją świątyni. Niektóre wydawnictwa skłaniają się do tego, aby przyjąć rok 1500 za umowny punkt czasowy, w którym powstał kościół Szemrowicki. Jedno jest pewne od samego początku nosił wezwanie trójcy świętej.

Kościół Trójcy świętej w Szemrowicach zawsze cieszył się znaczącą popularnością jako miejsce pielgrzymkowe. Niejednokrotnie papieże udzielali specjalnych odpustów wiernym przybywającym do tego kościoła w uroczystość trójcy świętej. Na przestrzeni wieków kościół Szemrowicki kilkakrotnie przebudowywano: w 1679 roku został odnowiony, a dwukrotnie go powiększono w 1694 i 1773 roku. Był to kościół orientowy [zwrócony ku wschodowi] drewniany, o konstrukcji zrębowej na podmurowaniu ceglany, szalowany. Prezbiterium było zamknięte ścianą prostą, przy nim od północy znajdowała się niewielka prostokątna zakrystia. Starsza część nawy wykonana była na planie zbliżonym do kwadratu, a przy niej, od południa była czworoboczna kruchta. Nowsza część nawy znajdowała się od zachodniej strony – pochodziła z drugiej połowy XVII wieku, była szersza i wyższa od dawniejszej, z czworoboczną wieżą od zachodu. Wnętrze kościoła nakryte było stropem płaskim, w starszej części kościoła niżej zawieszonym. W zakrystii strop był belkowany, fazowany. W górnej i partii ścian



nowszej części kościoła wykonano dekorację z ozdobnie wyrzynanych desek umieszczonych pod stropem. Okna były zamknięte półkolistą od góry, częściowo od dołu – prostokątne. We wschodniej ścianie prezbiterium znajdowało się okno okrągłe. dachy pobite były gontem: nad prezbiterium i starszą częścią nowy rozciągał się wspólny dach trój spadowy z daleko wysuniętym okapem w części prezbiterialnej położony w takiej formie po rozbudowie kościoła. Niska wieża charakteryzowała się konstrukcją słupową, o ścianach pionowych szalowanych deskami. Hełm wieży był baniasty. Z latarnią zwieńczoną kopułą, pobity gontem szczytę znajdował się duży kuty krzyż z datą 1782. Ołtarz główny pochodził z pierwszej połowy XIX wieku. Zdobiły go barokowe rzeźby aniołów. Dwa ołtarze boczne pochodziły z tego samego okresu – były flankowane parami kolumn i zwieńczone trójkątnymi przyczółkami, w których znajdowało się oko opatrności. W lewym ołtarzu umieszczony był obraz „Męczeństwo świętego Sebastiana”. Prawy ołtarz poświęcony był Matce Bożej różańcowej – stała tam jej figura. Ambona kościelna była klasycystyczna. Kościół mieścił w sobie także ludową rzeźbę świętego Jana Nepomucena i świętego Józefa. Na wyposażeniu kościoła była monstancja z dekoracją w stylu regencji. Cynowy krzyż ołtarzowy pochodził z pierwszej połowy XIX wieku.

21 V 1965 roku spłonął zabytkowy kościół. O godzinie 20.00 zakończyło się nabożeństwo majowe. Proboszcz z ministrantami przygotował jeszcze katafalk potrzebny do Mszy Świętej żałobnej w rocznicę śmierci, która miała być sprawowana następnego dnia. Potem wszyscy wyszli z kościoła, pozostawiając wszystko w jak najlepszym porządku. Palili się tylko jak zawsze wieczna lampka. O godzinie 21.00 gospodyni przysłała do kościoła, aby uruchomić dzwon wieczorny. Przestraszyła się świetlistych błysków, które były widoczne wewnątrz kościoła i pobiegła pospiesznie po proboszcza. Chciał on przejść przez zakrystię do ołtarza głównego aby uratować monstancję i kielich znajdujące się w tabernakulum. Wnętrze kościoła było jednak całkowicie zajęte przez ogień. Nie udało się nic uratować: ołtarze, organy a także paramenty liturgiczne zgromadzone w zakrystii – wszystko to przepadło bezpowrotnie. Przyczyną była wadliwa instalacja elektryczna. Silny wiatr, materiał drewniany i stosunkowo późne zauważenie pożaru przyczyniły się do tego że kościół w całości spłonął bardzo szybko.

Parafianie otrząsnęli się bardzo szybko z nieszczęścia po utracie kościoła i gdy tylko udało się załatwić wymagane zezwolenie przystąpili do budowy nowej świątyni. Budowę nowego kościoła pw. Trójcy Świętej rozpoczęto 11 VII 1967 roku a konsekrowano 8 X 1972 roku.

Bibliografia:

Piotr Kuc, Dzieje kościelne Szemrowis

„JEZIORO TURAWSKIE – MOJE ULUBIONE MIEJSCE W SZCZEDRZYKU”

Autor: Monika Cieloch

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik- Libor

Stałam naprzeciwko Jeziora Turawskiego, rozkoszując się jego pięknem. Dwukilometry wał rozciągał się wzdłuż Wielkiego Jeziora. Wody było dużo, ale jeszcze na tyle, aby spokojnie przespacerować się po miękkim piasku. Z niewielkiej górki była możliwość zejścia na dół po niewielkich skałkach. Na podmokłej ziemi, w niektórych miejscach spostrzegłam kilka małych, zielonych glonów, znajdujących się dziesięć centymetrów od brzegu. Wokół wielkiego obszaru zalanego wodą znajdowały się drzewa z suchymi gałązkami, a niekiedy nawet z zielonymi listkami lub z rozkwitającymi, białymi kwiatami.

Ich cudną woń poczułam, mimo tak dużej odległości. Słowiki przepięknie śpiewały, unosząc się w powietrzu nad zieloną łąką. Dróżka, na której się znajdowałam, choć bardzo długa, prowadziła do przepompowni. W połowie drogi, ominęłam ogromne drzewo, które stało tutaj przez wiele, wiele lat. Pod jego ogromną koroną z długich gałęzi znalazłam miejsce, w którym można było odpocząć w cieniu.

Z daleka nadbiegały małe sarenki. Ledwie je zauważyłam, a one już zdążyły mnie ominąć i zniknąć, gdzieś pomiędzy drzewami. Przez chwilę lekko powiewał wiatr. Słońce zaczynało się zniżać, co oznaczało, że niedługo zapadnie zmrok. Na różowo-pomarańczowo-szarym niebie nie było żadnej chmurki.

Z oddali widziałam unoszący się szary dym znad elektrowni w Opolu.

Nikogo nie zauważyłam. Żadnej żywej duszy. Przez cały czas panowała głucha cisza.

Rok 1913

Obudziłam się o godzinie 5:00. Pierwsze, co zobaczyłam to była miska z czystym praniem, unosząca się na wodzie. Przetarłam jeszcze zaspane oczy. Nie mogłam uwierzyć, że powódź nadal trwa.

Usiadłam na skraju łóżka, opierając się plecami o białą ścianę. Ubrania, które wczoraj były starannie ułożone na krześle, teraz leżały mokre na drewnianej podłodze, prawie niewidoczne w szaro-niebieskiej cieczy. Byłam zaskoczona, kiedy spostrzegłam, że biała kreda, którą zostawiłam wczoraj na drewnianym stoliku, znajdowała się właśnie tam, gdzie moje ubrania do szkoły, czyli koło krzesła. Nagle zaczęła się w szybkim tempie rozpuszczać. Popadłam w przygnębienie. To była jedyna kreda, którą miałam. Trudno będzie taką samą znaleźć. Wstałam. Rozejrzałam się dookoła. Są. Wskoczyłam na łóżko mojego brata, które stało obok mojego. Potem wyjęłam z górnej półki szare, gumowe kalosze. Na całe szczęście

stały tam, gdzie zawsze: koło zepsutego zegara dziadka. Przy okazji wyciągnęłam z starej szafy białą, zużytą sukienkę z ciemnoszarym fartuszkim. Poszłam w kierunku kuchni. Już od progu widziałam swoją mamę, która z wielkim przejęciem szykowała śniadanie dla mojego młodszego rodzeństwa. Pocałowałam ją w policzek, mówiąc przy tym „Dzień dobry, mamusi”. Założyłam na siebie wielką pelerynę przeciwdeszczową i udałam się do kurnika, po jajka. Mały, drewniany domek dla kur, jak to nazywał mój pięcioletni brat Jasiu, stał tuż obok naszego domu. Aby dostać się do środka, trzeba wejść po drewnianej drabinie. Bez trudu znalazłam kilka, niedużych jajek. Uradowana, włożyłam je delikatnie do swojego fartuszka. Kiedy pokazałam je mamie, wprost nie umiała się opanować ze szczęścia. Rzadko mamy, aż tyle do jedzenia. Zdarza się niekiedy, że na śniadanie mamy mały bochenek chleba, który ledwo starczy dla naszej ośmioosobowej rodziny. Dzisiaj się nam poszczęściło. Razem z mamą, dziesięcioletnią siostrą Teresą i babcią Barbarą nakryliśmy stół białym obrusem z haftowanymi kwiatami. Położyliśmy gliniane talerze, kubki i drewniane łyżki na długim stole. W tym czasie najmłodszy Jasiu i czternastoletni Maciek pomagali tacie w karmieniu zwierząt gospodarskich. Natomiast dziadek Edmund zajmował się naprawą zepsutych bron. Gdy wszystko było gotowe, mama zawołała „swoich mężczyzn” na śniadanie. Był ciemny chleb, upieczony przez babcię, słodki miód, który dostaliśmy od naszego sąsiada, masło zrobione przez Teresę, a także jajka na miękko, które znalazłam dzisiaj wcześniej rano. Po udanym posiłku, każdy z nas zajął się swoimi obowiązkami. Babcia robiła na drutach swetry na zimę dla nas wszystkich, wykorzystując przy tym długie nitki wełny. Moja młodsza siostra myła naczynia, a ja z mamą udałyśmy się na targ.

Kilometr od naszego gospodarstwa stało dziesięć stanowisk. Po prawej stronie było ich sześć, a po lewej cztery. Najczęściej była sprzedawana marchewka, pietruszka, sałata, rzodkiewka albo ziemniaki. Przez pięciodniową powódź ponieśliśmy duże straty w uprawach rolnych. Dlatego większość sprzedających, przyjeżdża właśnie tu. Dla obu stron są to korzyści: nas ratuje to od głodu, a sprzedawcy mają z tego zysk.

Podczas oglądania ubrań, usłyszałam przypadkowo rozmowę, pomiędzy dwoma mężczyznami. Jeden był niskiego wzrostu, miał krótkie, brązowe włosy. Ubrany był w białą, lnianą bluzę. Drugi osobnik był blondynem, który miał taki sam strój, co pierwszy. Mówili bardzo cicho i niewyraźnie, więc niewiele zrozumiałam. Słyszałam, coś o pomiarach geodezyjnych, które nadal trwają. Zaczęli się zastanawiać, czy nie najlepsza byłaby przeprowadzka mieszkańców. Natężyłam słuch, licząc na więcej informacji. Niestety mnie zauważyli. Natychmiast przerwali dyskusję, po czym ruszyli zwartym krokiem przed siebie. Wracając z mamą tą samą drogą, zastanawiałam się nad tym, czy to, o czym rozmawiali ci dwaj osobnicy, rzeczywiście się sprawdzi.

Rok 1933

Jak zawsze o godzinie dziewiątej w sobotę, odwiedzałam moją już trzydziestoletnią młodszą siostrę Teresę. Dzisiaj przypadają czwarte urodziny jej najmłodszego synka, a mojego siostrzeńca Zbyszka. W prezencie urodzinowym podarowałam mu pudełko cukierków. Podczas, gdy Zbyszek bawił się z innymi chłopcami w chowanego, to my w tym czasie rozmawialiśmy, w jakiej to znalazłyśmy się trudnej sytuacji. Woda się szybko podnosiła, co powodowało wielkie straty w naszym gospodarstwie. Niszczyła nasze uprawy. Pięć lat temu osoby, które sprzedawały swoje towary, codziennie odwiedzały naszą Zamość. Teraz widzę ich tylko raz w tygodniu z małą ilością udanych plonów. Od dłuższego czasu dotykał nas głód. Najbardziej zależało mi na moich dzieciach. Codziennie rano szykowałam im większe porcje, aby miały dużo sił i energii, podczas lekcji w szkole. Za to ja z mężem odczuwaliśmy niedosyt przez cały dzień. Trwałoby to dłużej, gdyby nie nagła decyzja o zmianie miejsca

zamieszkania. Robotnicy, którzy zajmowali się pomiarami geodezyjnymi (trwały przez pięć lat, podczas I wojny światowej zostały przerwane) ostatecznie zdecydowali się zbudować zbiornik, który zapobiegał zalaniu budynków mieszkalnych. Nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy się przeprowadzić, gdzie indziej. Rodziny, które zmieniały miejsce zamieszkania dostawały nowe chałupy i pola. Kilka tygodni później, kiedy wszyscy mieszkańcy z Zamościa, Krzyśliny oraz przysiółka Łuk i Pustków wynieśli się, zaczęto budować wał.

Rok 1938

Odkąd opuściłam to piękne miejsce, minęło pięć lat. Wszystko się zmieniło. Kiedyś to miejsce tętniło życiem. Dzieci głośno krzyczały, kobiety śpiewały, mężczyźni pracowali. Teraz stałam na niewielkiej górze, a przed sobą widziałam ogromną ilość wody. To było jezioro, nazwane Jeziorem Turawskim. Wokół zbiornika sztucznie rosły małe drzewka. Jeszcze małe, ale na pewno za kilkanaście lat wyrosną na olbrzymie drzewa. Śpiewu ptaków słuchałam z wielkim uwielbieniem. Już niedługo nastanie dzień, gdy moje wnuki będą spędzać miłe popołudnia, pływając w jeziorze czy puszczając latawce w wietrzne dni. Nie żałuję tej decyzji, którą podjęłam, mając trzydzieści sześć lat. Nie sądziłam, że dożyję dnia, gdy zobaczę, coś tak pięknego jak to.

„W NAJZIELEŃSZEJ Z NASZYCH DOLIN...”

Autor: Magdalena Klemens

GZS w Ozimku

Opiekunowie: Marzena Wolicka-Mazurkiewicz, Małgorzata Szpala



„Schloss” – którego historii nie zna większość mieszkańców. To ogromna strata, biorąc pod uwagę, jak barwną przeszłość ma ten budynek.

Budowa pałacu zaczęła się w 1730 roku na zlecenie Martina Scholtza von Löwencrona – właściciela wsi Turawa, który, niestety, nie doczekał się ukończenia budynku, gdyż zmarł. Jego majątek przejął syn – Anton. Pałac został zbudowany na planie kwadratu. Nad wejściem głównym umieszczony jest herb rodziny Löwencron – pędzący koń.

W zamku znajdowała się też brama przejazdowa – między nowym a starym skrzydłem pałacu. W środku, przy wejściu głównym, znajduje się żelazna płyta. Nikomu jeszcze nie udało się odkryć do czego ona prowadzi. Zdanie starszych mieszkańców wsi też jest podzielone –

jedni mówią, że zapewne to drzwi od piwnicy, natomiast drudzy twierdzą, że to wejście do tunelu prowadzącego do oddalonego o 500 metrów grobowca. Jeszcze inni sądzą, że ten tunel został wybudowany w razie ewakuacji właścicieli. Niestety, drzwi są zamknięte od wewnątrz, a grobowiec został wysadzony. Tunel mógł zostać wybudowany na zlecenie ówczesnego właściciela – Karla Garniera, który także przebudowując zamek, usunął bramę przejazdową i na jej miejscu złączył ze sobą dwa skrzydła budynku. Pałac nie zawsze wyglądał tak samo – kilka lat po ukończeniu budowy została dobudowana do niego wieża i skrzydło ufundowane przez Annę Barbarę von Garnier – żonę Antona, której ród – von Garnier przejął majątek. Podczas wojny napoleońskiej cała Turawa została ograbiona ze wszelkich dóbr. Ucierpiał także pałac, który w dużym stopniu został zniszczony. W późniejszych latach obiekt ten przebudowywali późniejsi właściciele. Zmiany nie zawsze różniły się aż tak bardzo, czasem był to tylko remont, a niekiedy powstawały kolejne części budynku. W 1877 roku wybuchł pożar, w którym spalone zostały trzy pokoje. W 1945 roku rosyjscy żołnierze kilka razy próbowali spalić pałac, jednak pożary zawsze zostawały ugaszone. Niestety, poważnie ucierpiał księgozbiór biblioteki rodziny Garnierów. Został spalony podczas ogniska urządzonego podczas jednej z zabaw tychże żołnierzy. W 1950 roku na terenie zamku utworzono Dom Dziecka. Z początku przebywały tam tylko sieroty wojenne. Kilka lat później budynek został poddany gruntownemu remontowi.

Pomieszczenia zostały podzielone na mniejsze, a pokoje, które wcześniej nie nadawały się do zamieszkania przez młodych wychowanków, zostały dostosowane do ich potrzeb. Nie tylko zamek uległ przebudowie – jego otoczenie także się zmieniło. Na miejscu stawu z wyspą, który znajdował się w południowej części terenu, powstało boisko. Od 2002 roku na terenie pałacu zanotowano cztery kolejne pożary. W 2011 roku wychowankowie Domu Dziecka zostali przeniesieni w inne miejsce. Pałac został wystawiony na sprzedaż. Wykupiła go warszawska spółka, która planuje utworzyć w tym miejscu hotel.

Uważam, że ten budynek to wspaniałe dzieło sztuki. Nie każdy region może pochwalić się barokowym pałacykiem otoczonym parkiem pełnym pięknych okazów lip, dębów i jaworów. Budynek ciekawi nie tylko swoją historią, lecz także wnętrzem. Po latach wojny zamek z zewnątrz nie wygląda zbyt dobrze, natomiast w środku mogą kryć się intrygujące tajemnice, których przykładem jest żelazna płyta przy wejściu. Oprócz niej na terenie pałacu mogą znajdować się inne sekretne i niezbadane przejścia, którymi dawniejsi mieszkańcy prawdopodobnie skracali sobie drogę. Najbardziej zainteresowała mnie jednak powtarzalność pożarów dachu, szczególnie w ostatnich latach. Co jest przyczyną? Czy zwykła usterka techniczna, czy może zamek jest przeklęty? Redaktorzy gazet, zbierając informacje, piszą, że to wada sieci elektrycznej, natomiast osoby mieszkające w sąsiedztwie zamku twierdzą, iż na poddaszu nie znajduje się żadna instalacja energetyczna. Czyż to nie jest ciekawe? Po wejściu do budynku jedyne uczucie mogące towarzyszyć turyście to lekki strach wywołany przez panujący półmrok i wilgotne powietrze. Słuchając opowieści najstarszych mieszkańców wsi, można dowiedzieć się wielu faktów dotyczących życia byłych właścicieli zamku i wsi. Ciekawa jest również okolica zamku. W sąsiedztwie znajduje się ogród edukacyjny. Posadzonych zostało tam wiele okazów drzew, kwiatów i krzewów, które – szczególnie na wiosnę – urzekają nas swoim pięknem. Okoliczne lasy, bogate w sosny wydzielające zdrowe olejki eteryczne, udrażniające drogi oddechowe, przyciągają licznych turystów pragnących cieszyć się długim życiem w zdrowiu. W krainie dinozaurów znajduje się wiele miejsc zasługujących na uwagę. Według mnie jednak historia rozłożona w czasie – tak jak dzieje zamku „Scholls” w Turawie jest bardziej interesująca, gdyż samemu można dowiedzieć się o zdarzeniach i miejscach, które do tej pory nie zostały zbadane ani opisane. Niejednokrotnie wystarczy jedna rozmowa ze starszym mieszkańcem Turawy, by dowiedzieć się szczegółów niezawartych w publikacjach na temat wsi, a zapewniam, że są bardzo ciekawe. Sama historia powstawania zamku jak

i wiążącego się z nią rodu von Garnier – właścicieli pałacu, jest na tyle tajemnicza, że przykuła moją uwagę. Mam nadzieję, że z biegiem czasu zdobędę więcej informacji na opisywany temat i doczekam się dnia, w którym zobaczę zamek w pełni odbudowany i przywrócony do dawnej świetności, a jego tajemnice zostaną w końcu rozwiązane. Zatem zachęcam wszystkich turystów jak i miłośników odkrywania tajemnic przeszłości do odwiedzenia zamku w Turawie.

Bibliografia:

1. Jerzy Farys, Księga historii Ziemi Turawskiej, Dzieje Gminy, Urząd Gminy Turawa, Opole 2013.
2. www.wikipedia.pl
3. www.polskiezabytki.pl
4. Rozmowa z babcią – Urszulą Kulikowską

„KRONIKA WSI RZĘDOWICE”

Autor: Weronika Szczygiół

PG w Dobrodzieniu

Opiekun: Andrzej Kniejski

Witam w Rzędowicach. Jest to wieś gminy Dobrodzień, leżąca w powiecie oleskim i województwie opolskim. Jeżeli przyjrze się tablicy szlaku drogowego 901, czy tablicy miejscowości to zapamiętaliście pisownię nazwy naszej miejscowości i nie będziecie mylić jej z Żędowicami koło Zawadzkiego, ponieważ obie miejscowości różni nie tylko ortografia, ale topografia, wielkość, odmienność językowa i gwara. Rzędowice to niewielka wieś rolnicza „rozrzucana” na powierzchni 700 hektarów i podzielona na tzw. Przysiółki. Wskazując od północy na prawo kolejno znajdujemy: Pustkowie, Kwierucie (znane też jako „Szwajcaria Rzędowicka”), Chopia Gowa, Żródelfka. Przysiółki te mogą stanowić cel dłuższych spacerów w piękne słoneczne dni wśród pól i zagajników. Znajdziemy też drogi prowadzące do lasów, gdzie spotkać możemy spacerujących sympatycznych mieszkańców, a także rowerzystów i naszych lokalnych biegaczy, którzy często, aż z samego Dobrodzienia i okolic wybierają nasze ścieżki na swoje przebieżki. Ogółem w Rzędowicach jest ok. 90-95 zabudowań, część z nich to gospodarstwa rolne, ale część stanowią budynki mieszkalne z małymi budynkami gospodarczymi. Zabudowania są starej daty, ale regularnie remontuje się je i modernizuje. W większości „Rzędowianie” to rolnicy, gospodarujący przeciętnie na areale 15-25 ha przypadający na 1 gospodarstwo. Pola uprawne rozciągają się na obszarze ok. 160 ha. Hoduje się też bydło i trzodę chlewną.

W centrum Rzędowic na skrzyżowaniu dróg Dobrodzień – Klekotna (tj. ul. Dobrodzieńskiej z ul. Słoneczną i z ul. Leśną) rzuca się w oczy oddalona od zabudowań charakterystyczna kapliczka po wezwaniu Matki Boskiej Różańcowej zbudowana w latach 1911-1913 przez Alberta Matziola. Rodziny Maciołów do tej pory żyją we wsi. Nieopodal kapliczki na początku wspomnianej wcześniej ul. Leśnej stoi pierwsza szkoła w historii wsi nazywana „szkółką”. To budynek z 1846 roku – obecnie jest to Dom Mniejszości Niemieckiej. Ten budynek liczący już 168 lat i jest starannie odremontowany. Tu praktycznie rozgrywają się najważniejsze sprawy we wsi, czyli zebrania, imprezy dla dzieci i dorosłych. Od strony południowej przy ulicy Dobrodzieńskiej stoi szkoła zbudowana w latach 1906-1908, zlikwidowana w latach 1982-1983. Obecnie odbywają się tu tylko wybory. Jak już wcześniej wspomniałam można znaleźć tutaj można wiele kapliczek. Między innymi na północ od kaplicy wiejskiej na rozstaju polnym

zachowała się kapliczka z roku 1900. Jak mówią „gawędziarze wiejscy”, została ona zbudowana na cześć i podziękowanie Bogu za szczęśliwy powrót z wojny. Idąc wzdłuż ulicy Leśnej obok stawu zobaczymy okazały kopiec pod krzyżem dębowym. Ponoć pod tym krzyżem zostali pochowani Szwedzi z czasów „potopu”.

Z drugiej strony stawu znajduje się „strażnica” pięknie odremontowana, założona i zbudowana przez Johana Ohmana, Piotra Zajonza i Alojzego Goja. Prawdę mówiąc jest to stosunkowo mała „strażnica”, ale obecnie od kiedy przynależymy do powiatu oleskiego, wiele się dzieje, bo co najmniej raz w roku bierzemy udział w zawodach z których niejednokrotnie wracamy z pucharami i na tarczy zwycięstwa. Oczywiście angażujemy się też w akcje gaśnicze itp.

Na skraju lasu jadąc od ulicy leśnej, leży olbrzymi głaz z ledwo już widocznym napisem niemieckim. Ma to być ponoć grób tajemniczego grafa... Powodem do chwalenia się naszą miejscowością jest niewątpliwie to, iż na naszych terenach lubił przebywać król saksoński Fryderyk August III, który udawał się tutaj na polowania.

Bibliografia:

Opowieści byłej pani sołtys Rzędowic Pani Hermańskiej.

„MÓJ TATA – PREZES”

Autor: Karolina Lempa

PG w Dobrodzieniu

Opiekun: Ewa Malik

Jestem mieszkanką Zwozu. To mała wieś znajdująca się w sołectwie Główczyce w gminie Dobrodzień. Zwóz liczy 71 mieszkańców. Mieszkańcy zajmują się rolnictwem. Uprawiają zboża, kukurydzę i ziemniaki.

Stowarzyszenie Rozwoju Wsi Główczyce, Gosławice, Zwóz powstało 30.04.2008 roku i ma swoją siedzibę w Główczycach przy ulicy Dobrodzieńskiej, na pierwszym piętrze w budynku po byłej Szkole Podstawowej, którą zamknięto w 2004 roku. W swych szeregach zrzesza mieszkańców Główczyc, Gosławic i Zwozu.

Członkami reprezentacyjnymi są:

- PREZES – Gerard Lempa,
- WICEPREZES – Alfred Durok,
- SEKRETARZ – Joachim Ptok,
- SKARBNIK – Bernadeta Thomaszowski,
- CZŁONEK ZARZĄDU – Elżbieta Zajonc,
- CZŁONEK ZARZĄDU – Jolanta Kowolik.



Stowarzyszenie bardzo dobrze współpracuje z Ochotniczą Strażą Pożarną z Główczyc, z którą podpisano umowę partnerską oraz dobra współpraca układa się z Urzędem Gminy w Dobrodzieniu od którego to Stowarzyszenie dzierżawi pomieszczenia. Dobra współpraca układa się także z LGD „Kraina Dinozaurów”, za pośrednictwem której pozyskuje środki

unijne na swoje projekty. Pierwszym projektem, który został zrealizowany w 2010 roku był Projekt „Remont Świetlicy Wiejskiej”.

W trakcie projektu zostały połączone dwie klasy na pierwszym piętrze, zamontowano sufity podwieszane, wymieniono okna, drzwi, tynki oraz zamontowano nową podłogę. W 2012 roku zrealizowano następny projekt pod nazwą „Adaptacja pomieszczeń wraz z aneksem kuchennym”. Podczas projektu wyremontowano pomieszczenie przeznaczone na kuchnię. Zamontowano aneks kuchenny wraz z wyposażeniem, zakupiono lodówkę, garderobę, szafę oraz stoły na świetlicę wiejską. Obydwa te projekty zostały dofinansowane za pośrednictwem LGD „Krainy Dinozaurów” przez Urząd Marszałkowski w Opolu ze środków unijnych. W swej siedzibie Stowarzyszenie prowadzi świetlicę środowiskową pod nazwą „Słoneczna” dla dzieci z tych trzech wsi. Podczas zajęć dzieci mogą korzystać z zajęć sportowych, dydaktycznych, muzycznych i zajęć komputerowych w świetlicy komputerowej gdzie znajduje się pięć stanowisk, którą prowadzi OSP Główny. Zajęcia prowadzi pani Monika Pietrucha.

W 2012 roku Stowarzyszenie w tejże świetlicy prowadziło projekt pod nazwą „Świetlica wiejska szansą rozwoju dla dorosłych i dla dzieci”. Projekt ten finansowany był przez Urząd Pracy w Opolu. Podczas projektu dzieci i ich rodzice uczestniczyli w zajęciach muzycznych, sportowych, logopedycznych, psychologicznych, plastycznych. Zgodnie z projektem zostało przeszkolonych sześciu multiplikatorów, którzy po skończeniu całego projektu uzyskali wykształcenie umożliwiające pracę z dziećmi w podobnych świetlicach. W swej siedzibie Stowarzyszenie organizuje także spotkania seniorów na których dzieci z świetlicy przygotowują przedstawienia, a także zabawy karnawałowe i andrzejkowe oraz udostępnia sale dla mieszkańców Główny, Gosławic i Zwozu. W świetlicy organizowany jest corocznie w lutym biwak strażacki dla młodzieży z gminy Dobrodzień i sąsiednich. W trakcie biwaku są prowadzone Zajęcia z pierwszej pomocy. Każdego roku w pierwszych dniach lipca są organizowane „Dni Główny”. Organizatorami są: Stowarzyszenie wraz z OSP Główny. W trakcie festynu organizowane są:

- w piątek – dyskoteka,
- w sobotę – zlot pojazdów pożarniczych „Fire Track Schow”, w którym to uczestniczy około 50 pojazdów przybyłych z całego kraju, około południa odbywa się uroczysta msza,
- w niedzielę – festyn rodzinny, w którym może uczestniczyć nie tylko ludność naszych wiosek ale też okolic.

Wywiad z moim tatą

1. *Dlaczego mieszkańcy utworzyli Stowarzyszenie?*
Powstało aby zagospodarować budynek po byłej szkole oraz reprezentować mieszkańców w różnych sprawach.
2. *Jak układa się współpraca z LGD „Krainą Dinozaurów”?*
Układa się dobrze, realizowane są różne projekty, a Stowarzyszenie uczestniczy w szkoleniach i zebraniach z LGD „Krainą Dinozaurów”.
3. *Jakie Stowarzyszenie ma plany?*
Chcemy kontynuować to co zaczęliśmy.
4. *Czy chciałbyś zostać prezesem?*
Tak, chciałem żeby reprezentować Główny, Gosławice i Zwóz.
5. *Czy trudno być prezesem?*
Bardzo trudno, ponieważ trzeba włożyć dużo serca aby wszystko się udało.

Stowarzyszenie zjednoczyło wszystkich mieszkańców trzech wsi. Pomagają sobie nawzajem na przykład zorganizować festyn. Wymyślają co zrobić by upiększyć nasze trzy wsie i jak zorganizować środki na to co chcą zrobić.

BIBLIOGRAFIA

- Internet,
- wiadomości od prezesa,
- książka „Portrety Wsi Ziemi Dobrodzieńskiej”.

„PRZYGODA NA MIEJSCU STAREGO MŁYNA”

Autor: Kamila Wróblewska

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik- Libor

Dziś jest piękny dzionek, nie powiem. Kilka porządnych szarż po terenach krasiejowskich lasów i para jeźdźców z wierzchowcami nabawili się niezłej zadyszki. No cóż, po wyczynie nagroda dla zdyszanego konia. Z leśnej dróżki wyjechałyśmy na drogę ruchu ulicznego, parę aut przejechało, przez co moja klaczka potańczyła w miejscu zadem. Popatrzyłam na moją przyjaciółkę. Chyba nie uwierzy, ale głowa sięga mi do kolan jak siedzi na tym swoim „kucorku”. Dunia, moja kobyłka, mierzy metr sześćdziesiąt pięć, tyle ile ja mam wzrostu, koleżanka za to jeździ na kucyku metr dwadzieścia i ma bliżej do ziemi. Grzecznie przeszłyśmy przez jezdnię i owszem po pasach. Kierowałyśmy się na niewielki choć wysoki most, minęłyśmy pole ogrodzone siatką z budowlanymi sprzętami a także materiałami do budulca. Donia nie mogła się nadziwić, co to za ciekawe rzeczy. Kacperek szedł szybko, z czego śmieszne rzucało Leą, jednak ona pokochała tego malca i na żadnym innym kucyku nie ma zamiaru jeździć. Szczerze to ją bardzo rozumiem nie chcę zmieniać wierzchowca, Kocham jak nosi mnie na swoim grzbiecie Dulcysia, czterokopytna przyjaciółka, do której mam bezgraniczne zaufanie.

- Kama teraz w lewo.

I skręciłyśmy. Najpierw łydka potem wodzą tak, żeby koń ładnie pracował... Słowa instruktora z LKJ Ostroga. Na drodze do rzeki Mała Panew, gdzie miałyśmy zamiar się wykapać ktoś zostawił na tej ścieżce kilka beli siana. Mały stanął jak wryty, a jego wyraz mordki zdawał się mówić „To jest straszne! Nie przejdę!”

- Ha ha! Lea chyba zastygł z przerażenia!

- Bo nigdy beli siana nie widział, „paskud jeden”...

Gdy Kacperek spostrzegł, że „straszne siano” zostało opanowane przez Dunie, przebiegł galopem za ostatnią belę i prawie do mniejszej polanki. Ruszyłyśmy za nimi kłusem, no to jednak mniejsze zwierzę i drobi kroki nawet w szybszym biegu, a większy zwierz wydłuża przez co mną tak nie rzuca w siodle jak kumpelą.

- Jeszcze kilka metrów i raj.. ah

- Tak... chłód wody... ah...

Dojechałyśmy. Pierwsze zejście strome i bardziej dla plaźowiczów niż koni, drugie przystosowane do tego typu zwierząt. Lea poszła pierwsza, stanęła przy takiej jakby tamie z drewnienek, zeszła z małego.

- Stan wody jakby się podniósł.

- No to fajnie, Przynajmniej popływamy!

Chyba na słowo „popływamy” moja ciemno gniada w siwiźnie przyjaciółka najpierw chrapiąca na straszną wodę, ruszyła szaleńczą szarżą w najciemniejsze miejsce na rzece. Rozbryzg wody potężny ... no ba! Od kiedy to pięćset siedemdziesiąt sześć kilo wpada z rozpędem do najgłębszej dziury?!

Wylądowałam na szyi Duńki. Cała mokra, ona także. Kobyłka o wielu imionach zaczęła bawić się wodą, kopać, parskać w niej oraz skakać jakbym miała do czynienia z żrebakiem, który pierwszy raz wszedł do wody. Cieczy po brzuch konia aż prawie po strzemiona, cała kulbaka mokra ... moje ulubione siodło! Jednak gdy spojrzałam w stronę kumpeli, ze śmiechu wpadłam do wody! Ona z grzywką zmokniętą na twarzy aż po samą brodę, z rozmazanym tuszem do rzęs rozbawiała, jednak wszystkiego dopełniał Kacperek z górną wargą do góry z zębami na wierzchu i rozbawionymi oczami oznajmiał całym sobą: „Ja chcę jeszcze raz! Fajnie było.”

Obie roześmiane rozsiodłałyśmy konie, przyłączając się do zabawy zaliczyłam podtopienie, a także wytarzanie się razem z Dulcyneą. Po wodnych wariacjach nadszedł czas na rozczesanie, z małego kłaki sierści schodziły garściami, z czego w wodzie przeważała barwa rudo białych nitki, mniej sierści zrzucała moja ciemno gniada dama, dlatego że zimowej ochrony miała mniej i nie wyglądała jak misiowa kulka.

Do stajni wróciłyśmy zmęczone, a zarazem zadowolone, że ta dwójka się porządnie wyszalała.

Zastanowiło mnie jedno, co tam kiedyś było? Oporządzone konie robiły panierkę, kiedy odnosiłam sprzęt jeździecki.

– Siema!

Charakterystyczne powitanie doszło z drugiego pokoju. To Kasia, ale nazywamy ją Kate. Siedząca po turecku na naszym ulubionym „marchewkowym polu”, to znaczy przy wielkiej górze, marchwi rozłożonej na brązowym kocu.

– Jak po terenie?

– A całkiem dobrze. Wyszalały się konie.

Doszła w tym czasie Lea.

– Kama zaliczyła szarżę w wodę.

– Lea za to chluzt z naszego rozpędu.

Kate śmiała się tak, że na chwilę musiała odłożyć struganie warzywek.

– Pytasz Kami co tam kiedyś było?

– Owszem.

Zapytałam kumpelę jak karmiłyśmy konie. Chwilę, może dłużej zastanawiała się co odpowiedzieć.

– Był tam stary młyn, młynarz miał mękę dla mieszkańców, i mieszkał w młynie wraz z rodziną...

– I tyle ?

– Nie!

Spojrzała na domek, w którym mieściło się „marchewkowe pole” a także siodlarnia. Napelniałyśmy już ostatni żłób, to znaczy Duni. Dwie miarki owsa bo to duży koń, z dziesięć marchewek i dwa jabłka, nie pozwalałam jej jeść chleba, uważam, że aż tak bardzo nie zużywa energii aby opychać ją jeszcze chlebem. Kate zabrała worek z chlebem za to mi zostały dwa puste wiadra, jedno po marchwi, a drugie po owsie. Poszłam za nią. Weszła do domku położyła worek przy schodach na strych.

– To co dalej jesteś ciekawa co tam kiedyś było?

Tylko kiwnęłam głową. Kasia otworzyła drzwiczki prowadzące na schody a one na strych, gdzie jak już to wiem trzyma siano i słomę dla koni. Weszła pierwsza.

– Jak już Ci pewnie wiadomo kiedyś Ewelina wspominała o tej historii. I pewnie pamiętasz jak mówiła, że mieszkał tu stolarz?

– Tak teraz sobie przypominam.

– A więc tak, mówię Ci o stolarzu, bo to jest także pewna postać, która odbiła się na tej opowieści.

Strych. Troszeczkę przerażające miejsce, gdzie nie gdzie prześwitywał promień zachodzącego już słońca jednak było ciemniej niż na dworze. Jest tam jeden jedyny pokoik, w którym jedyne co widziałam przez dziurkę od klucza, bo pomieszczenie bywa zamykane, to łóżko, regał i zagracony przeróżnymi papierami, sprzętami stolarskimi porządny drewniany stół. Obok drzwi wnęka, tam to istny bałagan. Sanki drewniane, chomąto z dyszlem jakies wiadra metalowe tyle mogłam zobaczyć im dalej rzeczy umieszczone tym mniej zauważalne ich kontury. Naprzeciwko zaraz za schodami, ogrodzone żeby nie wypaść pokoik bez ścian wewnętrznych, w rogu piętrzą się mniejsze bele siana oraz słomy.

Usłyszałam przekręcenie kluczyka w zamku i głos Kate.

– Gotowe. Chodź może lubisz takie klimaty.

Posłusznie weszłam za nią do tego nader ciekawego pokoiku.

Pierwsze co mnie zaciekawiło, to zdjęcia oczywiście czarno-białe, powieszzone na ścianach, naliczyłam ich z sześć z czego głównie przedstawiają dwóch mężczyzn. Jeden ubrany w luźną koszulę, chyba szare spodnie z pasem i czarne jako takie buty. Drugi z czapką na głowie, tylko i z raczej białym i przypominającym materiale fartuchem przepasanym na biodrach.

– Dobrze patrzysz, ten z czapką i niby takim fartuszkim to młynarz, a ten obok to nasz stolarz. Byli dobrymi przyjaciółmi.

– Nieźle... A skąd to wiesz?

Przyjaciółka wyciągnęła z szufladki regału zakurzoną książeczkę w granatowej lub wyblakło niebieskiej okładce.

– Ma się sposoby, ale gdy jest pamiętnik do zapisywania ważnych wydarzeń? Czemu by nie skorzystać?

– Dobra jesteś. Mogę poszperać?

– Pewnie. To w takim razie Ty sobie tu pobądź, a ja skoczę po herbatę do domu.

Spodobało mi się tu. Od razu wzięłam się do roboty. Najpierw pamiętniczek, otworzyłam, kartki żółtawe, a pismo wyblakłe pewnie mają z kilkadziesiąt lat. Gdzieniegdzie powpinane zdjęcia, niektóre samego stolarza, a inne pewnie z rodziną i przyjacielem. Znalazłam fotkę z obojgiem mężczyzn, do tego jeden trzymał karego konia a wszyscy byli na tle pięknego młyna. Wpis rozmazany, ale zrozumiałam co nieco, że zakupili oto konia, aby pomagał obojgu w pracy, młynarzowi do orania pól, a koledze do transportowania mebli. Przekartkowałam o kilka stron dalej, zdjęcie konia i stolarza, przywiózł do kościoła drewniany krzyż. Podpisane „Kłos i ja pod kościołem”. O stronę dalej młynarz i koń, i wpis „Kłos z ,” imię zamazane „u leśnika z mąką”. Ładnie mieli, żyć tu tak. Znowu poprzewracałam kilka lub więcej stron naprzód. Napisane niestarannie, jakby w biegu albo i szybko tak od niechcenia. „Dzisiaj o 10 rano zapalił się młyn”. Przerwałam, co ale dlaczego? Czytam dalej „Sąsiad, ten kowal cztery domy obok zauważył ogień dopiero po około godzinie” zamazane pismo, „Vincent spłonął żywcem ratując dzieci. Zona z poparzeniami, ale jakoś z tego wyszła”. Zamknęłam pamiętnik. To straszne, aż mi się żal zrobiło i młyna i młynarza i stolarza. Nagle drzwi na dole zaczęły strasznie trzaskać. Właśnie przeglądając dziennik zamieszkałej tu i już zmarłej osoby przeląkł mnie strach. Ciemno się na dworze zrobiło, nawet widziałam poszczególne gwiazdy na niebie. Dobrze, że noszę przy sobie latarkę. Odłożyłam dziennik na stolik i z zapaloną zesłam na dół. Jak na złość przy ostatnim schodku się zgasiła! I trzasło, ruch wykonany przy tym normalny jakby coś lub ktoś te drzwi rzucał. Stałam w korytarzu pomiędzy siodlarnią, „marchewko-

wym polem”, a także schodami. Duch jakby się uspokoił i zostawił drewno w spokoju. Nad to pokazało białe zęby i różową wargę. Ciche, ale za to radosne rzenie totalnie mnie rozbroiło od środka. Otóż zapomniawszy zamknąć boksu Duni, klacz wyszła i zaczęła szukać czegoś do zabawy, napotoczyły się biedne drzwiczki. No że też nie mogła sobie wybrać innej zabawki?! Właśnie przyszła Kate z dwoma kubkami herbaty.

– I co? Podobało się tam?

– Tak. Ale więcej nie.

– Historia młyna.... dość drastyczna.

Podawała mi zielony kubek.

– Tak... aż mi się ich szkoda zrobiło.

– Też tak miałam. A doszłaś do imienia stolarza?

– Nie...

– Miał na imię Zygmunt.

Podeszła do nas moja kochana dziewczynka i trącała nas pyszczkiem czy aby nie mamy czegoś dobrego i dla niej. Rozluźniona dalej myślałam nad młynem, jednak to co się stało nigdy się nie odstanie, takie życie, lecz my mamy o tym pamiętać i nigdy nie zapomnieć.

– To co Kate? Kiedy w teren?

„STARY SERWIS KONNY I ROLNICZY W SZEMROWICACH”

Autor: Betina Szczygiół

GZS w Ozimku

Opiekun: Sylwia Widawska

Na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku, zaczęły rozwijać się kuźnie, które były bardzo ważnym elementem wsi. Kiedyś nie było natomiast sklepów z wyrobami metalu, dlatego wszelkie narzędzia potrzebne w gospodarstwie wykuwał kowal.

W 1923 roku Piotr Brzytwa otrzymał tytuł mistrza kowalskiego w Kluczborku, oznaczało to już wyuczenie fachu i rozpoczęcie pracy w tym kierunku. Jednak dopiero w 1929 roku zakupił on działkę w Szemrowicach i wybudował na niej małą kuźnię. Dwóch pracowników razem z właścicielem od siódmej rano do godziny siedemnastej zajmowali się podkuwaniem koni z wszystkich gospodarstw we wsi i okolic, naprawianiem wozów na kołach drewnianych, pługów, bron, motyk oraz produkcję nowych wozów o rozmaitej ładowności. W pracowni wykorzystywano kowadło, ogień kowalski, giętarkę do obręczy i nożyce ręczne oraz odpowiednie ubranie chroniące ciało. Zawsze rano rozniecało się w palenisku ogień, który był podtrzymywany miechem. W palenisku rozgrzewało się żelazo, które następnie kuto, nadając mu odpowiedni kształt.

Do kuźni przyjeżdżali gospodarz, w celu podkucia konia, będącego niezbędnym elementem w każdym gospodarstwie, dlatego musiał mieć dokładnie wyczyszczone i podkute kopyta. Piotr Brzytwa za pomocą swojego przedsiębiorstwa zyskał wielkie poważanie we wsi oraz był jednym z bogatszych mieszkańców. Dwaj pracownicy byli natomiast czeladnikami kowalstwa, co było bardzo dobrym wykształceniem w ówczesnych czasach. Właściciel zakładu (w środku) z pracownikami po bokach. (Archiwum prywatne Bernarda Brzytwy). W 1947 roku właściciel wprowadził do produkcji wozy o gumowych kołach. Zwiększył się popyt na unowocześnione pojazdy, a więc kuźnia zaczęła się rozwijać. W związku z tym, w 1950 roku, Piotr Brzytwa zdecydował się na dobudowę stanowiska dla tokarza. Od tego czasu w kuźni

zaczęto toczyć metal i dziesięć lat później w roku 1960 na wystawie artystycznej w Katowicach wystawiono żelazną, ozdobną lampę, którą nagrodzono dyplomem. Widok części zakładu – przybudówka do części pomieszczeń gospodarczych na stanowisko tokarza, rok 1949-1950. W latach 1948-1963 Bernard Brzytwa wyuczył się na czeladnika kowalskiego, co przyczyniło się do wprowadzania produkcji kotłów centralnego ogrzewania. Już cztery lata później syn właściciela przejmuje działalność ojca, kontynuując przedsiębiorstwo. Nowy produkt szybko przyniósł wysokie zyski, dlatego syn właściciela w 1969 roku podjął decyzję o budowie nowego, większego oraz bardziej innowacyjnego warsztatu. Zakupiono wówczas nowe maszyny i urządzenia do obróbki metalu: prasy hydrauliczne, nożyce gilotynowe, tokarki, jak i spawarki. Na początku swojej działalności zatrudniał dwóch pracowników. W swojej branży Bernard Brzytwa produkuje kotły centralnego ogrzewania, jednak nie odchodzi od świadczenia usług dla ludności. Nadal pracownicy podkuwają konie i naprawiają maszyny.

Bernard Brzytwa w 1970 roku otrzymał w Katowicach tytuł mistrza ślusarskiego. Po pięciu latach właściciel zdecydował się na rozburzenie kuźni i przeniesienie wszelkich prac do nowego warsztatu, jednak nie podkuwano już koni, nie będących już podstawą gospodarstw, lecz zastąpiono je ciągnikami. Był to poważny nowoczesny krok w gospodarowaniu. Zakład w szybkim tempie się rozwijać. Zaczął się nowy nabór pracowników oraz uczniów, którzy po trzech latach praktyki zdawali egzamin czeladnika. W 1991 roku do produkcji weszły żelazne huśtawki i elementy placu zabaw, które zaczęto eksportować do Hamburga, wtedy rozpoczęła się współpraca z niemieckim inwestorem. W ciągu wielu lat wyprodukowano około 2500 sztuk zabawek. W 1993 roku ostatecznie rozbudowano warsztat i zwiększono go o półtora raza. Od tego czasu odeszło się od naprawiania urządzeń rolnych, a produkowano jedynie kotły.

Historia kuźni jest bardzo interesująca, gdyż w dawnych czasach było to jedno z głównych miejsc pracy we wsi, pomagających i świadczących usługi miejskiej ludności. Kuźnia tętniła zawsze życiem, była pełna dźwięków i wesołych głosów. Do dzisiaj stosuje się związek frazeologiczny, który nawiązuje do starej tradycji stapienia metalu: „kuć żelazo, póki gorące”, co oznacza robienie czegoś wykorzystując sprzyjające okoliczności.

Bibliografia:

- rozmowa z panem Bernardem Brzytwą, synem założyciela kuźni,
- archiwum prywatne Bernarda Brzytwy,
- http://pl.wiktionary.org/wiki/ku%C4%87_%C5%BCelazo,_p%C3%B3ki_gor%C4%85ce
- <http://pl.wikipedia.org/wiki/Ku%C5%BAnia>
- http://www.izbapamieci.org.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=15&Itemid=24

„TUR – MOCARZ PUSZCZ”

Autor: Weronika Puchrowicz

PG w Dobrodzieniu **Opiekun: Ewa Malik**

Gdy czytamy książki, urzeka nas opis cudownych miejsc. Oglądając filmy, często jesteśmy oczarowani scenerią przedstawionych sytuacji. Wyjeżdżamy na wycieczki, by zwiedzić cudowne zakątki, posłuchać niesamowitych historii.

Ciągle chcemy czegoś nowego. Przychodzi jednak taki moment (takim momentem jest np. zaproszenie nauczyciela języka polskiego do udziału w konkursie, mającym na celu opo-

wiedzenie o tym, co jest nam bliskie) że zaczynamy rozumieć, że powinniśmy, mamy nawet obowiązek, pokazać miejsce, w którym urodziliśmy się, dorastamy, gdzie czujemy się bezpiecznie.



Dla mnie takim miejscem jest wieś Turza, w której moi rodzice zamieszkali przed 26 laty. Nie miałam więc nigdy możliwości zasłyszania od babci czy dziadka ciekawych historii związanych z moją wsią, ale znaleźli się w moim życiu ludzie, którzy potrafili te braki wypełnić. Myślę tu o mojej niani, pod opieką której pozostawiała mnie mama, idąc do pracy, jej męża, który stał się najlepszym dziadkiem na świecie i nieżyjącego już dzisiaj Dyrektora szkoły w Turzy Pana Henryka Maruszczyka. To jego zapiski znalazłam

w szufladzie mamy, z których wyczytałam, że władcy tych ziem, a więc książęta, tworzyli osady i wsie narokowe, w których ludność poddańcza wykonywała jednakowe zawody lub specjalistyczne obowiązki. Jako spuścizna tamtych czasów pozostały przeróżne Bobrowniki, Psary, Sokolniki, Rybarze, Łagiewniki czy właśnie Turze.

Tur – moczarski owczy las – był własnością królów i książąt, nikomu bez ich zgody nie wolno było nań polować. Był zastrzeżony dla rycerzy wysokich rodów, którzy w pojedynkach z tymi zwierzami dokumentowali swą odwagę i wyrabiali sobie sprawność bojową. Zbierali przy tym laury sławy, a ich czyny opiewali dworscy poeci i wędrowni rybalki. Mogło się jednak zdarzyć, że rycerz przegrywał ten pojedynek, stąd zapomniane już powiedzonko: „czarny byk wziął go za rogi” oznaczało najpierw dosłownie, później w przenośni śmierć. Powinnością mieszkańców Turz, Turaw, Turowów i miejscowości o podobnych nazwach była opieka nad tymi olbrzymami. Chłopi musieli więc kosić łąki, suszyć i zbierać siano, a zimą dowozić do ostoji turów. Ale chronione i dokarmiane przez nich zwierzęta były niebezpieczne i do tego częstokroć niszczyły im ubogie plony na poletkach. Nie pomagały tu nawet silne ogrodzenia. Łąki po przejściu stada były wypasione i rozdeptane. Nie dziwnym jest, że chłopcy niechętnie spełniali swe obowiązki a gdy się zdarzyła okazja, uszczuplali stado podstawowe.

Pozostaje pytanie, kiedy w okolicy wyginęły tury?

W ostatnich latach XIII w. przez większość dzielnic Polski przeszedł wielki pomór bydła. Być może, że był to początek zagłady tutejszych turów. Nieliczne ocalałe sztuki, ich potomstwo mogło jeszcze przeżyć do połowy następnego wieku, podobnie jak to było na Pomorzu Zachodnim. Prawdopodobnie już w XV w. powstało w Turzy ognisko dymarskie czyli prymitywna huta żelaza. Jednak nigdy nie powstał tu większy zakład hutniczy.

Najstarsze zapiski

W roku 1501 ówczesny właściciel Dobrodzienia Franciszek Kalinowski sprzedał Turzę Mateuszowi Gelhornowi. W roku 1602 panem był tu Jan Turski. Na dokumencie z roku 1612 widnieje jako świadek Bartolomeusz Donat pan na Turzy. W 1648 r. właścicielem Makowczyc i Turzy był Wilhelm Joachim z Kozłowa.

W 1739 r. został sporządzony akt kupna wolnego gospodarstwa kmiecego w Ligocie Dobrodzieńskiej przez Wojtkę Pacha w ramach świadczeń dla dworu musiał on zjawić się 24 razy na całodzienne polowania jako naganiacz oraz służyć parokonną furmanką przy odłowieniu ryb w stawach Ligoty i Turzy. Wtenczas panem na Turzy był Józef Kozłowski. Dnia 11. grudnia 1740 ochrzczono jego syna Józefa Fryderyka.

Z powodu zatargu o wyprostowanie biegu potoku dowiadujemy się, że w 1755 r. właścicielką Turzy była wdowa po niedawno zmarłym Wilhelmie Karmańskirn – Joanna z d. Wallhofen (pierwszym jej mężem był Karol Henryk von Czornberg).

W 1858 r. dwór i wieś Turza posiadała 12 domów i zakład przemysłowy – razem 101 mieszkańców. Jednakże trzy lata wcześniej tych mieszkańców było aż 168. Widocznie wtedy zlikwidowano tu hutę żelaza.

Do Turzy należał też młyn wodny – 6 mieszkańców i przysiółek Murków – 7 domów – 63 osoby.

Do 1922 roku Turza należała do Powiatu Olesno. Po podziale Lublinieckiego na część polską i niemiecką włączono Turzę do nowo powstałego Powiatu Dobrodzień.

Obecnie, czytając na stronie Urzędu Miasta i Gminy Dobrodzień, wsie Myślina- Turza liczą 949 mieszkańców, zajmują powierzchnię 1763 ha. Sołtysem jest pani Brygida Langer.

Położenie Turzy

Turza leży na tzw. Obniżeniu małej Panwi, części Równiny Opolskiej. Rzeka Mała Panew jest dopływem Odry, w jej dorzeczu płynie rzeczka Myślina, z którą wiąże się wiele moich wspomnień. To miejsce, w którym próbowałam moich pierwszych rzucanych na wodę kaczek, mogłam spotkać prawdziwą ropuchę i zerwać na pobliskiej łące kwiaty do sypania w Boże Ciało. To tu, w pobliżu rzeczki Myślinki, na bezpiecznym odcinku drogi nauczyłam się prowadzenia pierwszego w życiu pojazdu – mojego przepięknego niebiesko-pomarańczowego rowerku z koszykiem dla mojego chomika.

Pamiętam, gdy któregoś dnia mama zapowiedziała, że pokaże mi ciekawe miejsce. Droga prowadziła przez mały las, nieopodal kościoła, nagle skręciła w dół. Przed moimi oczami ukazał się widok koła młyńskiego. Woda podnoszona do góry przez sprytnie skonstruowany mechanizm nagle z hukiem opadała w dół, by po chwili znów podążać ku górze. Byłam oczarowana. Myślę, że nie mniej niż wtedy, gdy po wielu latach stanęłam przed znajdującymi się w Parku Narodowym Hohe Tauern wodospadami Krimmler (najwyższe wodospady w Austrii).

Okolice Turzy porośnięte są lasami. Dominuje w nich sosna i świerk, pozostałe gatunki to liściaste: dąb, buk, brzoza i olcha. Nigdy nie brakowało mi więc pięknych okazów liści, kasztanów, żółodzi na jesienne ludziki, czy też czerwonej jarzębiny na korale.

Runo leśne obfituje w przeróżne gatunki grzybów. Do najcenniejszych zaliczamy borowiki podgrzybki, które co roku zachęcają do przyjazdu grzybiarzy z Górnego Śląska. W moim domu to tata, który jest miłośnikiem lasu i świetnym znawcą grzybów, dba o to, by zebrać w lesie i wysuszyć na słońcu grzybki, które trafiają w kapuście i pierogach na wigilijny stół. Latem zbieramy do pierogów jagody, które co roku dość obficie owocują a także maliny i jeżyny.

Nie brakuje w naszych okolicach miejsc, w których można odpocząć. Można pospacerować, zobaczyć będące pod ochroną gajowe, konwalie, wiciokrzew. Jest również mnóstwo okazów roślin niechronionych, które mogą zaszczyścić szkolny zielnik na lekcje przyrody czy biologii.

W czasie wędrówek po okolicznych lasach i po polach możemy zaobserwować typowe zwierzęta: dziki, sarny, lisy, zające i wiewiórki. Występują ptaki takie jak: wróble, jaskółki, szpaki, szczygły, sikorki i krukowate.

Wśród takich pięknych pól, łąk i lasów stoi budynek szkoły. Szkoła Podstawowa w Turzy została wybudowana w 1921 roku. Były to czasy przedwojenne i nasze ziemie należały wtedy do Niemiec, więc była to szkoła niemiecka. Uczyło się w niej osiem oddziałów. Było dwóch nauczycieli – profesor Miler i nauczyciel Kraft. Każdy był odpowiedzialny za cztery

klasy. Oprócz tego dziewczyny od czwartej klasy uczyły się gotowania i szycia pod opieką żony pana Milera. Dyrekcja szkoły znajdowała się w Dobrodzieniu. Nauka odbywała się w języku niemieckim. Przedmioty były prawie te same co dziś, oprócz języka polskiego. W szkole znajdowała się doskonale wyposażona kuchnia i pracownia krawiecka, sala sportu, prysznice, w których obowiązkowo dwa razy w tygodniu dzieci musiały się kąpać.

Wakacje szkolne były podzielone na kilka okresów, np.: wakacje letnie trwały 6 tygodni, 2 tygodnie wakacji jesiennych (wykopki), 2 tygodnie na Wielkanoc. Wakacje letnie dzieci spędzały obowiązkowo na koloniach. Były wysyłane w różne okolice. Dzieci miały wypocząć od nauki, pracy w gospodarstwie i w domu. Zaciekała mnie również informacja, że wspomnień pana Jana Kiwicz, że gdy termometr szkolny pokazywał 25 stopni rozlegał się szkolny dzwonek, który oznajmiał „Hitzefrei”, czyli przerwę w zajęciach szkolnych.

W czasie wojny nie przzerwano nauki. Dwa lata przed końcem wojny został zmieniony profesor Miler. Uczył od tego czasu w Dobrodzieniu. W Turzy uczył w tym czasie pan Mynsy, o którym pani Hildegarda Maleska podczas rozmowy powiedziała z rozrzewaniem w głosie: „To był bardzo dobry nauczyciel, wymagający, ale konkretny..... po prostu dobry człowiek”.

W 1945 Turza będąca częścią gminy Dobrodzień znalazła się w granicach Polski i wtedy szkoła została zamknięta na około cztery miesiące. Po tym czasie szkołę przejęła Polska i od tego czasu uczono się języka polskiego. Pierwszymi polskimi nauczycielami byli państwo Ludwik i Karolina Wojakiewiczowie i pan Roman Górniak. W tym składzie uczono siedem klas. Do szkoły w Turzy przychodziły dzieci tylko z Turzy, ponieważ w Myślinie istniała też szkoła podstawowa. System nauki przebiegał w ten sposób, że uczono jednocześnie dwie klasy.

W latach 60-tych była znowu szkoła ośmioklasowa. Od 1974 szkołę przebudowano i połączono obie wioski, to jest Turzę i Myślinę. Zmienili się nauczyciele. Uczyło znacznie więcej wykładowców. Od tego czasu szkoła pracuje cały czas.

Obecnie w Publicznej Szkole Podstawowej w Turzy zatrudnionych jest 15 nauczycieli. W sześciu oddziałach uczy się 66 uczniów.

Z okna naszego mieszkania rozpościera się niesamowity widok. Po drugiej stronie ulicy łąka, którą nazywamy kocią łączką, ponieważ ilekroć spojrzeć przebiega nią jakiś kociak, nieco dalej kawałek ziemi ornej, most z torami kolejowymi i dalej już tylko przepiękny las i niebo. Szkoda tylko, że torami nie mkną już tak jak dawniej pociągi, tylko od czasu do czasu słychać turkot przejeżdżającego pociągu towarowego lub drezyny. Jest w odgłosie przejeżdżającego pociągu jakaś tajemnica., „Jak mkną pociągi po żelaznych szynach, tak my szukamy nowych dróg. Na małej stacyjce przyjaźni być może znajdziemy swój świat”.

Moja starsza siostra często wspomina, jak podróżowała pociągiem na trasie Myślina-Kluczbork. To była frajda, poznała magię podróży pociągiem, w Kluczborku mama zabierała ją na pyszne truskawkowe i czekoladowe lody i powrotna podróż do domu.

Po 1990 roku, zaczął się powolny kryzys kolei i stacja została zamknięta w 2004 roku, więc niestety, gdy ja się urodziłam, pociągi osobowe już na tej trasie nie kursowały.

Tak oto zbliżam się do końca mojej wędrówki po najbliższej okolicy. Pragnęłam, by ta podróż pokazała nie tylko obiekty, które w niej się znajdują, czy też znajdowały, przyrodę, która ją otacza, ale by na chwilę ożyły wspomnienia ludzi w niej żyjących. Usłyszałam kiedyś, że człowiek jest naprawdę u siebie, gdy na pobliskim cmentarzu jest coraz więcej mogił, przy których czuje potrzebę modlitwy i zapalenia znicza. Pomimo, że na miejscowym cmentarzu nie mamy grobów członków rodziny (znajdują się one na ziemiach skąd pochodzą moi rodzice) to jednak są tu groby ludzi, którzy w życiu mojej rodziny odegrali ważną rolę i na zawsze pozostaną w naszych sercach i pamięci.

„Są chwile, które w pamięci zostają
i choć czas mija, one nadal trwają.
Są takie osoby, miejsca, które raz poznane
już zawsze będą pamiętane.”

Bibliografia:

- Wikipedia
- Szkolne Echo Publicznej Szkoły Podstawowej w Turzy, artykuł Betiny Jonczyk, 1994 r.
- Echo Dobrodzienia i okolicy
- Notatki „z szuflady” byłego Dyrektora SP w Turzy p. Henryka Maruszczyk
- Informacje zaczerpnięte ze wspomnień mieszkańców p. Hildegady Maleska i Jana Kiwity
- Strona internetowa UMiG Dobrodzień

„ŁĄCZĄC PASJĘ I POMOC INNYM, MIĘDZY JAZDĄ KONNĄ A HIPOTERAPIĄ”

Autor: Joanna Balcer

PG w Turawie

Opiekun: Sabina Węgrzyn-Gaweł

Dzisiejszy świat jest bardzo zmotoryzowany. Coraz częściej naturę zastępuje się maszynami, a rośliny rosnące w naturalnym środowisku są wypychane przez te rosnące w szklarniach, naszpikowane chemią. W tym świecie człowiek traci kontakt z przyrodą, nie czuje potrzeby spędzania czasu ze zwierzętami i nawet nie wie, co traci.

Jednak nie w Zawadzie. W Zawadzie nikt nie wytrzeszcza oczu na widok człapiącego ulicą konia, ot zwykła przejażdżka. Codziennie można spotkać rolnika pracującego na polu. Po dachach chodzą koty, a ulicami często przebiegają psy. W rzekach pływają dzikie kaczkę. Skupmy się jednak na tych „zwykłych konnych przejażdżkach”. Na pierwszy rzut oka, faktycznie, nic specjalnego. Kucyk z grzywą pozaplataną w warkocz, dziecko siedzące na grzbiecie konia i wysoka, uśmiechnięta kobieta rozmawiająca z młodym jeźdźcem. Niewiele osób wie, że za tym kryje się coś więcej. Coś, co się nazywa hipoterapią.

Hipoterapia to sposób leczenia, polegający na kontakcie z koniem. Poprawia ona funkcjonowanie człowieka w sferze fizycznej, jak i psychicznej, emocjonalnej, a nawet społecznej, ponieważ poprawia poczucie własnej wartości i rozwija pozytywne kontakty społeczne. Stanowi jedną z rehabilitacji osób niepełnosprawnych, o najróżniejszych schorzeniach, a swoją specyfikację zawdzięcza uczestniczącemu w terapii koniowi.

Nasz koń, biorący udział w hipoterapii, to Baśka, rasy fiordzkiej. Ze względu na swoją rasę jest idealnym terapeutą, ale ma wiele swoich cech indywidualnych, przez które jest jeszcze bardziej uwielbiana przez dzieci i dorosłych. Przede wszystkim, jest nadzwyczaj spokojna, nie robi na niej wrażenia burza, wybuchająca petarda, jadąca karetka czy syrena strażacka. Jest niesamowitym przytulakiem i łakomczuchem, od razu potrafi wypatrzeć wystającą z kieszeni marchewkę. Przez swoje łakomstwo jest może trochę pulchniutka, ale tym lepiej dla pacjenta, ponieważ siedzi on bezpośrednio na grzbiecie, żeby łatwiej mu się było trzymać ma do dyspozycji jedynie pas z dwoma uchwytami. Jest to bardzo ważne, ponieważ w siodle ciało konia oddziałuje na jeźdźcę dużo słabiej, dopiero przy bezpośrednim kontakcie możemy poczuć każdy mięsień konia. „To taka żywa huśtawka” – śmieje się p. Asia, właścicielka stajni. Ma to

większe znaczenie, niż się wydaje, dzięki takim właśnie ruchom konia, pacjentowi w mózgu koduje się prawidłowy wzorzec ruchu miednicy podczas chodzenia, ponieważ ruch, w jaki wprawia miednicę kołysanie końskiego grzbietu jest taki sam, jak prawidłowy ruch przy poruszaniu się człowieka. Bardzo ważną rolę odgrywa hipoterapeuta – jest nim u nas pani Magdalena Wienke, nazywana przez jeźdźców i amazonki, po prostu panią Magdą. Oprócz prowadzenia terapii, jest również nauczycielką jazdy konnej, uwielbianą przez klientów. „Pani Magda jest naprawdę świetną instruktorką, lubię ją, często z nami żartuje” – przyznaje jedna z amazoнок, Sandra. „Myślę, że jest dobrą instruktorką i hipoterapeutką, ma świetne podejście do dzieci i zwierząt” – wyznaje Ania. „Przede wszystkim, ma swoje własne metody, które się sprawdzają w rzeczywistości, nie trzyma się obowiązkowo wzorców książkowych, które działają tylko w części podopiecznych, ma swój indywidualny sposób nauczania, dający wspaniałe efekty. Jej uczniowie za nią przepadają, a zwierzęta ją lubią, i mają do niej szacunek” – wyjaśnia Stefa. „Ma swojego konia, Misia, który jest bardzo dobrze ułożony, to typowy koń-profesor, znosi z cierpliwością próby początkujących, a na popełniane błędy reaguje, jakby nam chciał powiedzieć, że tak nie wolno”. P. Magda jest w naszej stajni kilka lat, ale wszyscy zdążyli ją polubić. „Któregoś dnia, zabrałam się z moją siostrą, Elizą, na pierwszą jazdę. Ona jeździła już miesiąc, ja chciałam spróbować, bo widziałam jaką frajdę jej to sprawia. Miała być wtedy jakaś inna instruktorka, bo pani Asia, u której jeździła Eliza, była na jakimś szkoleniu. Przyszłyśmy z siostrą na tą jazdę, ona zaczęła czyścić swojego konia, a ja jej pomagałam, bo nie wiedziałam, jak się zajmować końmi, ani na jakim ja będę mogła jeździć. Jakoś w międzyczasie przyszła p. Magda, ale nie domyśliłyśmy się, że to ona jest tą drugą instruktorką. Wyglądała strasznie młodo, myślałam, że to nastolatka, która będzie z nami jeździć. Dopiero po jakimś czasie, gdy zauważyłam, że pomaga wszystkim i bez problemu radzi sobie z upartymi końmi, wtedy się domyśliłam, że jest instruktorką. Szybko się do niej przekonałam, wiedziała, co mówi, już na pierwszej jeździe nauczyła mnie wielu rzeczy. Jednocześnie, była bardzo miła, można było z nią pogadać i pożartować. Do teraz, często żartujemy z samych siebie.” – opowiada Martyna.

„Lubię panią Magdę za to, że wie jak podejść do każdego, kogo uczy. Ma indywidualne metody na każdego, osobnego człowieka i wie, na czym się musi skupić w pracy z nim. Martwi się o nas, bywało, że starała nam się pomóc, nawet jeśli sama była w gorszej sytuacji.” – wyjaśnia Patrycja. „Kiedyś, koń, na którym jechałam przestraszył się jadącego auta i spadł, a on oszołomiony biegł przed siebie i wpadł na panią Magdę. Mi się nic nie stało, z kolei pani Madzia była dość mocno potłuczona po zderzeniu z koniem, ale mimo wszystko upewniała się najpierw, czy jestem cała i czy nic sobie nie zrobiłam”.

„Panią Magdę poznałam gdy jeszcze byłam w ciąży.” – mówi p. Asia. „Zdawała właśnie kurs na instruktora, a ja miałam niedługo urodzić. W czasie, gdy ja byłam w szpitalu, już po zdaniu przez nią kursu, ona mnie zastępowała i uczyła jazdy konnej. Gdy wróciłam, słyszałam od dzieci pochlebne opinie na jej temat, więc została i pracuje do dziś, bardzo miło nam się razem współpracuje, a dzieciaki ją bardzo lubią.”

„Do Stajni Zawada trafiłam w 2009 roku. Przygotowywałam się do egzaminów instruktorskich, więc w sumie zaczęło się od treningów” – wspomina p. Magda. „Zaraz po tym, zostałam na stałe instruktorką w Zawadzie. Później robiłam kurs hipoterapii, obecnie zajmuję się oboma rzeczami jednocześnie. Obecnie, wiele rodziców zapisuje swoje niepełnosprawne dzieci, bo wiedzą, że to pomaga, widzą postępy u innych pacjentów. Mam do czynienia z wieloma, różnymi schorzeniami. Jest bardzo dużo ludzi z paraliżem nóg. Ogromną radość sprawia widok pierwszych kroków człowieka, który jeszcze niedawno poruszał się wyłącznie na wózku inwalidzkim. Wśród leczonych, najczęściej jest chyba autystów, dzieci z Zespołem Downa lub z Mózgowym Porażeniem Dziecięcym. Są dzieci, u których widać ogromne postępy, jest to bardzo satysfakcjonujące, ale są również takie, u których nie widać poprawy. Te

drugie, w większości są przymuszane przez rodziców do terapii, dlatego podchodzą do ćwiczeń z niechęcią, albo wcale ich nie robią. Miałam przypadek autysty, który na każde zajęcia przychodził z płaczem. Zazwyczaj, z rodzicami wsadzaliśmy go siłą na konia, bo dobrowolnie nie dało się z nim dogadać. Podczas zajęć krzyczał, płakał, bił mnie, mamę, konia, nie było mowy o chwili spokoju. Po jakimś czasie odmówiłam współpracy, bo widziałam podejście dziecka, miało gdzieś ćwiczenia i robiło awantury. Tymczasem, inni autyści, chętni do współpracy wykazali duże postępy. Z reguły jednak dzieci są chętne do współpracy, ponieważ sam koń świetnie motywuje, nie jest to maszyna która zawsze reaguje tak samo, tylko żywe stworzenie, które reaguje inaczej na każdy bodziec i poczucie, że to żywe stworzenie czeka na sygnał do działania jest dla dziecka motywujące.”

„W pracy instruktora nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać. O ile w hipoterapii ja zajmuję się dzieckiem, a konia pilnuje wolontariusz, na jeździe grupowej o wiele trudniej wszystkiego dopilnować. Zdarzało się, że skupiając się na jednym jeźdźcu i wykonywanym przez niego zadaniu, nie zauważałam momentu, w którym inny koń się czegoś przestraszy i zrzuci. Moim zadaniem jest przekazać jeźdźcowi wiedzę i dopilnować, aby po upadku nie zniechęcił nikogo do koni. Bywa, że ktoś po upadku stwierdza „Nie, to nie dla mnie”. W takim momencie staram się taką osobą przekonać, że spaść z konia to nic złego, ale nie zawsze mi się to udaje. Są to głównie ludzie, którzy „kochają” konie aż do momentu, w którym idzie coś nie po ich myśli. Koń to żywa istota, nigdy nie wiadomo, co zrobi, więc jeżeli ktoś nie chce mieć do czynienia z trudnościami, jazda konna nie jest dla niego. Osoby, które nie zrażają się w żadnej sytuacji do hipiki, po pewnym czasie są świetnymi jeźdźcami i wiedzą, jak sobie poradzić ze stworzeniem większym i cięższym od siebie. Na ogół jednak dogadują się ze swoimi podopiecznymi dobrze, widzę, że są z dnia na dzień coraz lepsi, niektórzy uczą się już dłużej, niż ja uczę ich. Jazda konna sprawia wielką frajdę, jeżeli ktoś kocha konie i chce z nimi spędzać czas. Gdy mam już doświadczonych jeźdźców, czasem jeździmy razem do lasu, galopowanie po leśnych ścieżkach i polanach jest niesamowitym przeżyciem i sama lubię takie wypadki.”

Hipoterapia w Zawadzie nie jest nowością. Była już wcześniej prowadzona przez firmę zewnętrzną, ale po czasie z niej zrezygnowano, a stajnia stała się wyłącznie pensjonatem dla innych koni. Po przejęciu jej przez p. Asię, nabrała charakteru szkółki jeździeckiej, w której można rekreacyjnie zapisać się na jazdę. Hipoterapię wznowiła właśnie p. Magda. Mimo tego, że takie metody leczenia nie są często spotykane, chętnych nie brakuje. Codziennie jest prowadzonych kilka godzin zajęć, a pacjentów nadal przybywa. Nawet, jeśli ma się drobne wady kręgosłupa, tego typu terapia może się okazać najskuteczniejszą, ponieważ poprzez ćwiczenia, jakie wykonuje terapeuta ze swoimi pacjentami, koryguje się postawa ciała, reguluje się napięcie mięśniowe. Stosowanie hipoterapii może się okazać doskonałym wyjściem, gdy nie ma efektów przy innych sposobach leczenia. Stajnia Zawada jest miejscem atrakcyjnym dla fanów koni, każdy znajdzie coś dla siebie. Patrząc z boku na wszystko, co się tam dzieje, człowiek się cieszy, że może spędzać czas w tak wyjątkowym miejscu.

„Nawet jeśli nasza stajnia nie jest prestiżowym ośrodkiem dla przyszłych sportowców, nie zamieniłabym jej na żadną inną. Tutaj można się oderwać od zatłoczonych miast i żyć w zgodzie z naturą, zaprzyjaźnić się z niesamowicie inteligentnym zwierzęciem i znaleźć chwilę wytchnienia i relaksu.” – podsumowuje jedna z amazonek, Karolina.

Kategoria:
**OPOWIADANIE LUB LEGENDA PODKREŚLAJĄCE
SPECYFIKĘ I HISTORIĘ TERENU LGD**

MIEJSCE I
„GARERETY, CZYLI TURAWSKI RÓD GARNIERÓW”

Autor: Damian Pielorz

GZS w Ozimku

Opiekun: Sylwia Widawska

A gdyby tak zatrzymać się na chwilę i skręcić w boczną uliczkę?

W przenośni i dosłownie.

*Przyjrzeć się miejscom tajemniczym i pięknym,
zapomnianym i rzadko uczęszczanym.*

*Miejscom, gdzie toczyło się niegdyś piękne i bujne,
nieco inne od naszego, życie dawnych wieków*

*W lasach, w rozwidleniach rzek,
na dawnych wysepkach, wzniesieniach, na uboczu,
stoją od wieków przyglądające się naszym dziejom
zamki i pałace, rezydencje wielkich magnatów (...).*



Parę dni temu czytając naszą wojewódzką gazetę Nową Trybunę Opolską zwróciłem uwagę na trochę dziwny tytuł: „Graf von Garnier wraca do Heimatu”, który opowiadał o pewnym rodzie z ... Turawy. Turawa – wieś stosunkowo mała, licząca około 900 mieszkańców. Założona w 1562 roku przez Georga von Koenigsfelda. Leży na Równinie Opolskiej, nad rzeką Mała Panew, która jest prawym dopływem Odry. W jej skład wchodzi jednaście wsi. W gminie oprócz zespołu pałacowego z XVIII – XIX wieku możemy zobaczyć jeszcze stajnie, zespół parkowy z potężnym

pomnikiem przyrody – dębem szypułkowym. W Turawie dosyć dobrze rozwijało się hutnictwo, jednak dziś pozostało już niewiele śladów tej działalności, resztki kanałów, staw pałacowy i budynki młyna przy ulicy Kościuszki 12. Jednak najbardziej zaciekała mnie historia francuskiego rodu von Garnierów.

Rodzina Garnierów była rodem kupców i bankierów. Na początku XVIII wieku osiedlili się w Wiedniu. Skąd rodowód Garnierów na Opolszczyźnie? Otóż Józef von Garnier był właścicielem majątku w okolicach Lublińca, a dokładniej w Kochanowicach.

Założycielem, czyli protoplastą rodu von Garnier na Śląsku był Peter Garnier (Gareret). W 1716 roku poślubił Marię Józefę, z którą miał wiele dzieci, między innymi Annę von Garnier, która w późniejszym czasie osiedliła się w Turawie. Przeniósł się do 1746 roku, kiedy to Antoni von Löwencron – dziedzic Turawy – ożenił się z córką założyciela rodu. Tak się zaczęła historia Garnierów na Opolszczyźnie. Niestety, wszystkie ich dzieci umierały, a on sam dożył wieku 44 lat.

Francuska wyszła za mąż za hrabiego Frantza von Gaschin z Żyrowej. Hrabina, w trosce o swoje zmarłe dzieci, ofiarowała im kościół pod wezwaniem św. Michała w Kotorzu Wielkim, który stoi do dzisiaj w nienaruszonym stanie. Władczyni po śmierci swojego drugiego męża stworzyła majorat, gdyż chciała utrzymać niepodzielny majątek i dobra ziemskie Turawy. Majorat składał się z wsi, takich jak: Turawa, Kobylnie, Kotorz Wielki i Mały, Ligota Turawska, Bierdzany, Zakrzów Turawski i Gosławie. Początkowo spadkobiercą miał być jej młodszy brat Ignacy z Bierdzan, jednak z powodu kłótni rodzeństwa, zmieniła testament. Po śmierci wszystko odziedziczyły dzieci jej najstarszego brata: Andrzej, Franciszek, Antoni, Alojzy i Jan. Majątek przechodził bardzo szybko z rąk do rąk. Pierwszym spadkobiercą majoratu został Xawery von Garnier. Następnie przejął go hrabia Franciszek Serafin z predykatem „Garnier-Turawa”. Wspaniałą fortunę liczącą 33000 mórg (1 morga = 0,55 ha) odziedziczył po nim syn Konstancy von Garnier, który po otrzymaniu władzy oddaje majątek swojemu potomkowi – Hubertowi von Garnier. W 1866 majorat liczył około 3298 hektarów.

„Najszlachetniejszy z szlachetnych”, czyli kilka słów o ostatnim dziedzicu „Gareretów”

Hubert von Garnier był ostatnim właścicielem majoratu. Urodził się 25 listopada 1879 roku. Zanim zaczął podróżować po świecie, był uczniem gimnazjum w Turawie. Początkowo hrabia, jak większość młodzieńców w jego wieku, postawił na służbę wojskową. Szósty właściciel wielkiego terenu musiał jednak wrócić do Turawy, gdyż jego majorat był zadłużony. Szukając oszczędności zwolnił urzędników i zaciągnął kredyt, jednak to za jego panowania Turawa najbardziej się rozwinęła. Po zażegnaniu kryzysu Hubert wyjechał na wakacje. Tam poznał swoją przyszłą żonę – Annemarię von Kulnitz, z którą w 1900 roku wziął ślub. Rok później urodził im się syn – Bobi. „Hrabia żył jak lubił. Inwestował, modernizował, bawił się i urządzał huczne polowania (...)”. Podczas gruntownej renowacji pałacu władca wydał około cztery miliony marek. W całym przedsięwzięciu pomagał mu jego teść, który wspomógł go kwotą około 700 tys. marek. W 1903 roku nadeszły nowe problemy. Z powodu silnych fal na Małej Panwi władca musiał wydać około pół miliona marek. Kiedy Hubertus objeżdżał konno brzegi rzeki, miejscami woda sięgała mu po szyję. Skutki były bardzo uciążliwe dla mieszkańców, powódź zniszczyła aż 86 mostów, wiele pól i łąk oraz część gospodarstw, spowodowała, że władca nie miał już pieniędzy. Podczas silnych fal na rzece, w Kotorzu Wielkim powstawały burze. Z powodu silnych błyskawic, w Kotorzu spaliło się około 80 gospodarstw. Pożar zmusił von Garniera do spotkania się z cesarzem Wilhelmem II w celu uzyskania pożyczki. Władca wspomógł go w postaci 40 tysięcy marek. Mogłoby się wydawać, że Hubert poddał się, gdyż spotykały go nieszczęścia. Wręcz przeciwnie. Hrabia rozbudował hodowlę koni w Kobylnie. Dzięki jego pomocy założono stawy hodowlane o powierzchni 600 mórg. Modernizowano

tartak, młyny i cegielnię. W czasie, gdy Hubert von Garnier rozwijał Turawę, jego schorowana żona zdradzała męża nad morzem. Ostatecznie małżonkowie się rozwiedli, a hrabia w 1919 ożenił się z daleką kuzynką – Helene Bethusy-Huc.

Hrabia turawski interesował się polowaniem. Według źródeł, hrabia w ciągu jednego sezonu zdołał upolować około dwa lub trzy tysiące sztuk zwierząt. Polował z samym Wilhelmem II.

Podczas II wojny światowej zginęli jego dwaj synowie – Karl Heinz oraz Datlev. Sam zaś Hubert von Garnier musiał opuścić kraj i uciekać z pałacu w Turawie, gdyż nadciągały wojska Armii Czerwonej. Podobno przed samym wyjazdem hrabia po raz ostatni polował w lesie. Ostatecznie Rosjanie weszli na teren pałacu 22 stycznia 1945 roku. Niestety, żołnierze rosyjscy spalili większość część książek, robiąc z nich ognisko. „Najszlachetniejszy z szlachetnych” zmarł 6 października 1952 w Bawarii, a jego małżonka żyła jeszcze dziesięć lat. Jednak Hubert zostawił po sobie pamiątkę, która „była, jest i będzie”. Mówię o Jeziorze Turawskim, które powstało dzięki niemu. W sprawie budowy jeziora udał się do samego Adolfa Hitlera, by przedstawić mu problem regulacji Odry oraz budowy jeziora. Jak możemy się domyśleć, przekonał go. Władca sprzedał część ziem na budowę. Dzięki powstaniu Jeziora Turawskiego prawdopodobnie ród Garnierów został ochroniony przed bankructwem.

Pałac von Garnierów

Początkowo w miejscu dzisiejszego pałacu w Turawie był zameczek myśliwski, który został stworzony przez książąt polskich. W 1730 budowę rozpoczął Martin Scholz von Loewenkron. Po ślubie Anny von Garnier z Antonim von Loewenkron, młodzi wydali pieniądze na remont pałacu. Jednak to wspomniany Hubert von Garnier gruntownie wyremontował pałac. Już w 1937 pałac został przeznaczony dla sierot, a od 1949 roku stworzono tu Państwowy Dom Dziecka. Niestety, od 2011 roku nie pełni już wspomnianej wcześniej funkcji.

Obecnie została w nim zachowana sala balowa zdobiona przeróżnymi rzeźbami, obrazami czy też ozdabianymi meblami. Obok pałacu rozciąga się park z XVIII i XIX wieku. Warto zwrócić uwagę na pomnik przyrody w postaci dębu szypułkowego oraz dwóch jesionów, które dodatkowo nadają miłą atmosferę okolicy.

Parę tygodni temu chciałem zrobić mały wywiad z mieszkańcami Turawy na temat rodu von Garnierów. Na moje pytanie: „Z czym kojarzą się Pani/Panu słowa: Gareret lub Garnier”?, najczęstsza odpowiedź brzmiała: „Garnier to ta słynna firma kosmetyczna produkująca kosmetyki na skalę światową”. Chyba nie to chciałem usłyszeć.

Garnierowie – turawski ród, któremu obecni mieszkańcy Turawy i inni ludzie powinni zawdzięczać wiele. Dzięki nim do dziś możemy korzystać z wypoczynku nad Jezioro Turawskim i podziwiać XVIII-wieczny pałac. Za ich panowania Turawa „rozwinęła skrzydła”. To oni rozwijali istniejący już wcześniej przemysł hutniczy. Obecnie słowo „Garnier” kojarzy się ludziom prędeż ze sławną firmą, która produkuje kosmetyki na skalę światową. Młodzi ludzie nie zawsze przywiązują wagę do historii swej małej ojczyzny, a jej poznawanie jest bardzo ważne dla przyszłych pokoleń. Szkoda również, że ludzie nie docenili pracy Garnierów, niszcząc ich grobowiec rodzinny. Był to jeden z piękniejszych obiektów sakralnych, który został wyburzony w 1965 roku. Pałac również był podpalany już trzy razy, również w tym roku. Cieszy jednak fakt, że firma TFS zainteresowała się dworem. Spółka kupując w 2012 roku teren twierdziła, że wyremontuje pałac i stworzy w nim hotel, ale czy dotrzyma obietnicy. Pan Marcin Zamojski mówił, że „plan remontu jest nadal aktualny, chcemy pozyskać unijne dotacje na ten cel, a decyzji spodziewamy się już w marcu”. Jednak czy inwestycja się uda? Możemy jedynie żyć nadzieją, że pałac znów odzyska swój blask i będzie tak jak dawniej piękną wizytówką Turawy.

Warto zauważyć, że 3 listopada 2012 roku szczątki ostatniego właściciela turawskiego pałacu spoczęły w kaplicy przedpogrzebowej w Kotorzu Wielkim. Pomysłodawczynią sprowadzenia ich z Niemiec do gminy Turawa, była jego mieszkająca we Francji wnuczka, Beatrix.

Myślę, że Hubertus von Garnier znalazł na Turawskiej Ziemi właściwe sobie miejsce pochówku, tutaj się przecież wychował, pracował i przez wiele lat żył.

Bibliografia

- Emmerling Danuta i Ryszard, Śląskie zamki i pałace. Opolszczyzna, Wydawnictwo ADAM, Maj 2000.
- Farys Jerzy, Księga historii Ziemi Turawskiej, Wydawnictwo Sindruk, Opole 2013.
- Juros Józef Tomasz, Historia, zabytki i ślady hutnictwa w dolinie Małej Panwi, Wydawca Stowarzyszenie Dolina Małej Panwi, 2012.

b) artykuły prasowe:

- Banik Joanna, „Garnierowie z Turawy”, Nowa Trybuna Opolska, 19 sierpnia 2005.
- Farys Jerzy, „Garnierowie z Turawy”, Nowa Trybuna Opolska, 31 października 2012.
- Ogiolda Krzysztof, „Graf von Garnier wraca do Turawy”, NTO, 03 listopada 2012.
- zdjęcie na stronie tytułowej – herb rodziny Garnierów, źródło: internet

MIEJSCE I „HISTORIA NAUCZYCIELKĄ ŻYCIA”

Autor: Miriam Gajda

GZS w Ozimku

Opiekun: Iwona Podstawa

Chciałabym opisać w mojej pracy interesujące miejsce, które niesie ze sobą wielką tajemnicę. Zafascynowana tą historią, postaram się przenieść w czasie. Wszystko zaczęło się od opowieści mojej babci, kiedy mówiła o swojej młodości. Wspomniała o Cmentarzu Żydowskim, znajdującym się przy ulicy Lublinieckiej w Dobrodzieniu. Niezwykła historia tego miejsca sprawiła, że postanowiłam zagłębić się w wiedzy na ten temat i podążać ścieżką zamierzchłych czasów.

Kilka słów o ludności żydowskiej w Dobrodzieniu.

Osadnictwo żydowskie w Dobrodzieniu sięga XVIII wieku. Żydzi osiedlili się tu, jak przypuszczają badacze, zapewne przed rokiem 1729. Być może ich pojawienie się w Dobrodzieniu miało związek z wydaniem w maju 1713 r. przez cesarza Karola VI edyktu tolerancyjnego (*Toleranzpatent*), który zezwalał Żydom na osiedlanie się na Śląsku po opłaceniu specjalnego podatku tolerancyjnego. Podczas pierwszej wojny śląskiej w 1742 r. większość Śląska znalazła się pod panowaniem Królestwa Pruskiego (z wyjątkiem Śląska Cieszyńskiego i Księstwa Opawskiego). W 1781 r. wybudowano w Dobrodzieniu drewnianą synagogę. Według pruskiej statystyki z 1787 r. żyło tu 120 Żydów. W latach 20. XIX w. w Dobrodzieniu powstał szpital żydowski. Był bardzo cenionym obiektem, w którym pracowało wielu wykształconych Żydów. Znajdował się on w pobliżu synagogi. Historyk oraz miłośnik dawnych dziejów, pan Paweł Mrozek opowiadał, iż w 1830 r. otworzono żydowską, dwuklasową szkołę, która znajdowała się przy synagodze. W 1878 r. uczęszczało do niej 36 uczniów. Wspomniany pasjonat mówił, iż nie dotarł do informacji związanych z przedmiotami wykładanymi w tejsze szkole, jednak przypuszczał, że nie różniły się od wykładanych w szkole katolickiej, natomiast jedyna różnica

dotyczyła znajomości Pisma Świętego, gdyż Żydzi przykładali do tego większą wagę. Niestety, w 1846 r. w wielkim pożarze miasta spłonęła synagoga. Okazało się jednak, że w krótkim czasie wybudowano nową. W 1849 r. w mieście żyło 233 Żydów.

W 1866 r. otworzono sierociniec żydowski, sfinansowany przez Johanne Friedlander. Znajdował się on przy ul. Ogrodowej. Na przełomie XIX i XX w. rozpoczęła się emigracja śląskich Żydów na Zachód. Z tego powodu w 1896 r. liczba Żydów w mieście zmalała do 175.

Po zakończeniu I wojny światowej i odrodzeniu państwa polskiego większość Żydów śląskich zdecydowanie opowiadała się po stronie Niemiec. Okazało się, że proces ten dotyczył także Dobrodzienia. Mimo to w 1933 r. w mieście żyło jeszcze 38 Żydów. Z opowieści pana Mrozka wynikało, iż podczas «nocy kryształowej» nazisci zniszczyli sklep Siednerów na rynku. Była to rodzina wielopokoleniowa, która przyczyniła się do rozwoju Dobrodzienia. Na zachowanych zdjęciach miałam przyjemność zobaczyć ten sklep. Zachwyliłam się jego okazałością i kunsztownym wyposażeniem.

Przeprowadzony w maju 1939 r. spis powszechny ustalił, że w Dobrodzieniu mieszkało jeszcze 14 Żydów (sześciu mężczyzn i osiem kobiet) oraz 3 osoby uznane za tzw. mieszkańców żydowskich. Nie znamy losów ostatnich Żydów z Dobrodzienia. Możemy tylko przypuszczać, że ok. 1940 r. zostali wywiezieni do jednego z gett w Generalnym Gubernatorstwie albo w Zagłębiu Dąbrowskim. Mogli także bezpośrednio trafić do któregoś z obozów pracy przymusowej. Po II wojnie światowej społeczność żydowska w Dobrodzieniu nie zdołała się odrodzić. Pan Mrozek wspomniał, iż w czasie tegorocznych Świąt Bożego Narodzenia, Dobrodzień odwiedziła wnuczka ostatniego żydowskiego działacza. Była pod wrażeniem, gdyż zachowało się wiele budowli, które były jej bliskie w okresie dzieciństwa. Odwiedziła także Cmentarz Żydowski, na którym pochowano jej dziadka.

Historyczne zapiski oraz pasjonat pan Mrozek potwierdzają, że Żydzi stanowili ważną i aktywną część ludności naszych terenów. Przywiązywali dużą wagę do nauki, więc wielu z nich zostawało uczonymi, artystami oraz osobami na wyższych stanowiskach. Rodzicom zależało na starannym wykształceniu dzieci, zwłaszcza, że byli to ludzie majątni. Mówił, że wielu z nich było właścicielami, pełnomocnikami lub dzierżawcami największych sklepów na tych obszarach.

Z opowieści historyka wynikało, iż niektórzy zostali nawet posiadaczami majątków królewskich, a później szlacheckich. Byli zarządcami oraz skarbnikami miasta i okolic. Cieszyli się ogólnym uznaniem ówczesnych mieszkańców.

Prawdziwa, zachowana perełka Dobrodzienia...

Cmentarz żydowski założono w końcu XVII wieku, a dokładnie w 1750 r., dlatego że w tym roku wymagano udokumentowania tegoż obiektu. Kronikarze jednak przypuszczają, że powstał o wiele wcześniej. Zajmuje pow. 0,54 hektara. Jest ogrodzony murem z cegły, zniszczonym w kilku miejscach. Położony przy ul. Lublinieckiej, w gęstwinie drzew, z dala od miasta, wśród uprawnych pól przetrwał zawieruchę wojenną. Pan Mrozek wspomniał, iż kirkuty były umieszczane w odległych miejscach z racji żydowskich tradycji. Do II wojny światowej cmentarz był własnością gminy w Dobrodzieniu. W 1939 r. przejął go Zrzeszenie Żydów w Niemczech, w 1943 policja państwowa, a po wojnie Skarb Państwa. Według opowieści historyka po opuszczeniu domu przycmentarnego przez rodzinę ostatniego grabarza i opiekuna cmentarza – dom wyburzono. Od tego czasu nikt się cmentarzem nie opiekował, chociaż jeszcze w 1971 roku na murze



była tabliczka, że jest to cmentarz zabytkowy, ale potem została zerwana. Kirkut zarastał i był dewastowany, a cegły z muru znikaly. Pierwsze próby odnowienia niszczonego cmentarza poczyniono już w 1987 roku, ale do realizacji nie doszło. W lipcu 2001 r. młodzież polska, niemiecka i izraelska uczestniczyła w programie *Antyschematy*, podczas którego uporządkowano teren cmentarza. Usunięto wówczas gęste krzaki, potłuczone kawałki macew umieszczono na zachodnim murze ogrodzenia nekropolii i utworzono w ten sposób lapidarium. Bardzo mnie zaciekało, gdyż widziałam taki obiekt po raz pierwszy. Na pamiątkę zrobiłam parę zdjęć. W bramie umieszczono nową metalową furtę, w której znajduje się menora. Koordynatorem i realizatorem programu było Polskie Towarzystwo im. Janusza Korczaka. Patronat nad pracami objął ambasador Izraela w Polsce, prof. Szewach Weiss. Na cmentarzu znajduje się około dwustu płyt nagrobnych, a najstarszy nagrobek pochodzi z 1773 roku. Kirkut ten to miejsce szczególne. Ukryte na uboczu, porośnięte wysoką trawą intryguje swą atmosferą i zachwycają finezją wykonania hebrajskich inskrypcji, w późniejszych czasach pracowicie wykutych w kamieniu, granicie czy piaskowcu przez nieznanymi rzemieślników – artystów. Dowodem są pozostałości w Dobrodzieniu. Przede wszystkim to miejsce pochówku, dlatego tym bardziej zasługuje na szacunek. Kirkut ten to pamiątka po krewnych rodziny Stein – świętej kościoła katolickiego Edyty Stein, gdyż znajdują się tam ich macewy. Będąc na tym cmentarzu, postanowiłam odczytać napis jednego z nagrobków.

Dnia 12 adar 577 (28.02.1817) według małej rachuby.

Tu została pochowana kobieta poważana, zacna i prawa.

Dawała chleb głodnym i biednym,

udzielała także dobroczynności, miła w swoich czynach.

*To jest cnotliwa i pobożna pani Gitel, córka szanowanego pana Abrahama,
błogosławionej pamięci!*

Zmarła w dobrej sławie i odeszła do nieba.

Niech jej dusza będzie związana w węzeł życia!

Wierzenia, zasady i tradycje Żydów.

Z zaciekawieniem słuchałam opowieści historyka na temat wierzeń oraz tradycji.

Okazało się, że według ludności żydowskiej cmentarze były miejscem świętym, ale jednocześnie rytualnie nieczystym, stąd przy wyjściu często znajdowała się studnia, przy której należało dokonać ablucji. Ortodoksyjni wyznawcy judaizmu do ablucji używali specjalnego kubka z dwoma uchwyty, trzykrotnie polewając ręce wodą, za każdym razem przekładając kubek z prawej do lewej dłoni. Historia mówi, że w Dobrodzieniu także znajdował się taki obiekt. Niestety się nie zachował. Nieczystość cmentarza uniemożliwiała też wstęp na jego teren Kohenom, czyli dzisiejszym kapłanom, choć zakaz ten nie dotyczył pochówków ich bliskich. Nawet wtedy musieli jednak zachować stosowny dystans od grobu. Niezwykle istotna była zasada nienaruszalności grobu. Szczątki ludzkie miały bowiem oczekiwać na nadejście Mesjasza. Dlatego też cmentarzy żydowskich zabroniono rozbierać, a ekshumacja dopuszczalna była tylko w ściśle określonych przypadkach. Dla Żydów najważniejszym okazało się to, co kryje ziemia, a nagrobki – choć naturalnie otaczane szacunkiem – miały znaczenie wtórne. Żydowski grób nie mógł być ponownie wykorzystany. Nie istniało też pojęcie „likwidacji” cmentarza. Przez szacunek dla zmarłych, na cmentarzu nie można było spożywać jedzenia, pić, wnosić Tory, a więc wykonywać czynności niedostępnych dla nieboszczyka, zabraniano także wypasu zwierząt czy zbierania siana. Niedopuszczalnym było też traktowanie cmentarza jako skrótu drogi. Mężczyźni na jego terenie powinni nosić nakrycie głowy. Charakterystyczny dla cmentarzy żydowskich był podział terenu na część męską, żeńską i dziecięcą. W Dobrodzieniu także zauważyłam taki porządek. Często w pobliżu wejścia chowano rabinów oraz inne osoby zasłużone dla lokalnej

społeczności. Na cmentarzach zakopywano także wyposażenie synagog, na przykład zniszczone zwoje Tory. Na żydowskich grobach często widywano ułożone kamyki. Geneza tego zwyczaju ma kilka wyjaśnień. Prawdopodobnie obyczaj pochodzi z dawnych czasów, gdy zwłoki grzebano na pustyni. Zabezpieczenie przed dzikimi zwierzętami miejsca pochówku poprzez ułożenie na nim kamieni, było wyrazem szacunku dla zmarłego. Pan Mrozek podkreślił, iż na groby nie przynoszono kwiatów i zniczy, jednak przenikanie kultur zaciera obecnie tę różnicę. Macewa swym wyglądem nawiązywała do bramy, symbolu przejścia z życia ziemskiego do życia w innym świecie. Często nagrobki były malowane – ślady polichromii do dziś przetrwały na wielu macewach. Wykonywano je z różnych materiałów – z granitowych głazów, piaskowca, marmuru, żeliwa lub drewna. Dla osób szczególnie zasłużonych wznoszono wysokie macewy, które stanowiły upamiętnienie jego pozycji w społeczeństwie. Obiekt przedstawiony na zdjęciu to pomnik aktywnego działacza Dobrodzienia. Znajduje się w środku Cmentarza Żydowskiego. Jest widoczny dla każdego, kto zawita na tymże kirkucie.

Ze względu na nietrwałość materiału, do dziś zachowały się jedynie nieliczne drewniane macewy. Zasady judaizmu sprawiają, że na grobach nie ma zdjęć czy podobizn. Możemy natomiast spotkać się z bardzo bogatą symboliczną ornamentyką. Jedną z nich jest Gwiazda Dawida, którą uchwyciłam na zdjęciu. Nawiązywała do imienia Dawida, symbolizowała przenikanie światła widzialnego w niewidzialne. Stanowiła także symbol tygodnia oraz siedmiu planet.

Na starszych macewach nie znajdziemy nazwisk, a jedynie imiona zmarłych oraz imiona ich ojców. Przez setki lat Żydzi określali tożsamość imieniem oraz imieniem ojca. Dopiero w okresie zaborów władze nakazały im przybranie nazwisk. Nadawali je urzędnicy, a za wymyślenie dobrze brzmiącego nazwiska oczekiwali stosownej gratyfikacji finansowej. Żydzi, którzy z różnych powodów nie wnieśli odpowiedniej opłaty, otrzymywali nazwiska ośmieszające lub obraźliwe.

Na macewie nie umieszczano daty urodzenia. Wiek zmarłego określano, pisząc: „*mąż stary i sędziwy*”, „*młody mężczyzna*”, „*wyrwana w młodych latach*”. Zawsze natomiast pojawiała się data zgonu, podawana według kalendarza żydowskiego, który ma 12 lub 13 miesięcy. Na macewach pomijano najczęściej pierwszą cyfrę roku. Warto wspomnieć o oryginalnym zwyczaju wykonywania miniatur nagrobków. Żydzi przechowywali je w domach, a w każdą rocznicę śmierci zapalali przed nimi świecę i odmawiali modlitwę. Widok prawdziwej miniatury zrobił na mnie ogromne wrażenie. Była piękna i ozdobna, nie przypuszczałabym, że pochodzi z tak zamierzchłych czasów.

Żydowski pogrzeb...

536 przykazanie judaizmu nakazuje pochowanie zmarłego. Dawniej rabini zalecali, by pogrzeb odbył się stosunkowo szybko, nawet w ciągu doby od chwili zgonu. Niewykluczone, że jest to spuścizna z czasów, gdy Żydzi żyli na pustyni – w gorącym klimacie przetrzymywanie zwłok z oczywistych względów nie mogło trwać długo. Jeśli jednak pogrzeb miałby mieć miejsce podczas święta – na przykład w czasie szabatu – pochówek odkładany był do następnego dnia. Wśród innych powodów usprawiedliwiających opóźnienie pogrzebu wymieniano: konieczność przetransportowania zwłok na znaczną odległość czy też konieczność oczekiwania na przyjazd najbliższej rodziny. Po śmierci ciało układano na łożu. Zmarłemu zamykano oczy, często zakrywając je skorupkami. Jest to związane z zapisem Talmudu. Domownicy przez cały czas asystowali przy zwłokach i recytowali psalmy. Zaniechanie tego obowiązku uważane było za brak szacunku. W domu zaślaniano lustra i wylewano wodę ze wszystkich naczyń. Najbliżsi zmarłego dokonywali symbolicznego rozdarcia ubrania, zwanego «kria». Organizacją pochówku zajmowało się bractwo pogrzebowe *Chewra Kadisza*, czyli *Święte Bractwo*. Udział w nim uważano za wielki zaszczyt. Zgodnie z biblijnym zapisem «*Z prochu powstałeś*

i w proch się obrócisz”, ciało powinno być pochowane w taki sposób, by nie utrudniać pełnego zespolenia z ziemią. Zapewnienia pana Mrozka świadczą o tym, że zwłoki musiały mieć styczność z ziemią, dlatego Żydzi przez setki lat chowani byli bez trumien. Orszak żałobny na swej drodze zatrzymywał się kilkakrotnie, w ten sposób – poprzez okazanie braku pośpiechu w trakcie ceremonii – oddawało się cześć zmarłemu. Żałobnicy odmawiali wówczas psalmy. Niegdyś powszechnym obyczajem była obecność w czasie pogrzebu płaczek. W związku z 468 przykazaniem, zabraniano wrywania na znak żałoby włosów z głowy. Wbrew powszechnym sądom, ciała nie krępowano w celu uzyskania pozycji kucznej. Zwłoki składano do grobu w pozycji poziomej, skierowane wzdłuż osi wschód – zachód. Większość macew była też zorientowana w kierunku wschodnim lub w stronę bramy cmentarnej. Po złożeniu zwłok do grobu, przysypywało się je cienką warstwą ziemi i odmawiano modlitwę *El Male Rachamim*, w której wymieniano imię nieboszczyka oraz miejsce jego zamieszkania. Po zasypaniu zwłok syn lub najbliższy krewny odmawiał kadisz. Na koniec ceremonii pogrzebowej żałobnicy ustawiali się w dwóch rzędach, pomiędzy którymi przechodzą członkowie najbliższej rodziny zmarłego. Zachowały się zdjęcia tegoż obrządku. Osoby uczestniczące w pogrzebie nie wracały tą samą drogą, którą przyszły na cmentarz. W czasie stypy spożywano jaja oraz soczewicę. Czas żałoby dzielił się na trzy okresy. Pierwszy z nich – zwany po hebrajsku Sziwa – trwa siedem dni od chwili zgonu. W tym czasie członkowie najbliższej rodziny zmarłego powinni powstrzymać się od pracy i pozostać w domu. Nie mogli jeść potraw mięsnych, pić wina, nosić skórzanego obuwia oraz odbywać stosunków seksualnych. Trwały odpowiednio trzydzieści dni i dwanaście miesięcy.

Cmentarz nie jedno ma znaczenie...

Cmentarze żydowskie były też miejscem, gdzie... odbywały się śluby. Pan Mrozek wspominał, że dotyczyło to jednak tylko sytuacji wyjątkowych. Zgodnie ze starym żydowskim przesądem, śluby na cmentarzach aranżowano w celu zażegnania zarazy. Jedną z takich ceremonii opisał Mosze Boruchowicz w „*Księdze Pamięci Żelechowa*”. Kiedy w 1942 roku mieszkańcom getta zagroziła epidemia tyfusu, postanowiono urządzić ślub na cmentarzu. Był to stary zwyczaj z czasów zaraz. W tym samym czasie zamierzano też pogrzebać zniszczone święte księgi z domu modlitwy. Stroje chłopskie i mieszczańskie, które zakładano na ślub były skromne, szczególnie kobiece. Natomiast męskie odznaczały się większym szykiem i elegancją. Potwierdzeniem jest umieszczone przeze mnie zdjęcie.

Cieszę się, że mogłam opisać to interesujące miejsce, które jest unikatem na naszych ziemiach. Poznanie kultury, zwyczajów oraz obrządków ludności żydowskiej niezwykle mnie zaciekało oraz utwierdziło w przekonaniu, że należy pamiętać o szacunku do innych narodowości i religii. Jak się okazuje historia ma w sobie wiele tajemnic, które wciąż zadziwiają człowieka. Szczęśliwym jest ten, kto podąży oraz wyznacza jej ścieżkę...

Źródła:

- M. Wodziński, Hebrajskie inskrypcje na Śląsku XIII–XVIII wieku, Wrocław 1996.
- M. Borkowski, A. Kirmiel, T. Włodarczyk, Śladami Żydów: Dolny Śląsk, Opolszczyzna, Ziemia Lubuska, Warszawa 2008.
- Rozmowa z p. Pawłem Mrozkiem – prezesem MTR w Dobrodzieniu.
- I. Osadnik, Dobrodzień. Monografia miasta 1374–1939 w świetle literatury niemieckiej i polskiej, Dobrodzień 2004.
- Fotografie – Miriam Gajda.
- www.kirkuty.xip.pl

MIEJSCE II „KADŁUB WOLNY – WIEŚ LUDZI WOLNYCH”

Autor: Magdalena Jasińska

PG w Dobrodzieniu
Opiekun: Ewa Malik

Nazywam się Albert Halbe. Jestem adwokatem i prowadzę swoją kancelarię we Wrocławiu. Pochodzę z Górnego Śląska, gwara śląska nie jest mi obca. Może właśnie dlatego pewnego pogodnego dnia 1936 roku zgłosili się do mnie wieśniacy z jakiegoś Kadłuba Wolnego.

Sprawa wydawała się od razu przegrana. Otóż niemiecki sołtys Richard Sorich uważał, że tamtejsze lasy należą do gminy, a nie do mieszkańców wsi i zadecydował o wyrębie drzewa, które sprzedano fabryce papieru w Krapkowicach. Wcześniej wieśniacy złożyli sprawę do sądu w Opolu. Tam oczywiście przegrali. Postanowili się odwołać do Wyższego Sądu Krajowego we Wrocławiu, licząc na odzyskanie strat poniesionych w wyniku wycinki. Każdy głupi wie, że konflikt z państwem niemieckim oznacza przegraną. Ale pieniądze to pieniądze.

Rozpocząłem przygotowania do rozprawy. Zapytałem się mieszkańców wioski czy mają jakieś dokumenty, które mogłyby zadziałać na naszą korzyść. Odpowiedzieli mi:

– Jeśli chce Pan obejrzeć dokumenty, to musi Pan do nas przyjechać.

Co miałem zrobić? Kilka dni później udałem się na spotkanie do Kadłuba Wolnego położonego w rejencji opolskiej w powiecie oleskim niedaleko Zębowic. Wioska taka jak inne – domy, pola, pastwiska. W oddali powoli kręcił się młyn, słychać było trzaski z kuźni, a stara karczma zapraszała do swego progu. Udałem się w wyznaczone miejsce. Mieszkańcy byli wobec mnie nieufni, niektórzy starali się zachować pozory uprzejmości, inni wyraźnie okazywali swoją niechęć. Wyczuwało się między nimi nitkę napięcia.

– Ufamy panu, Panie Halbe. Te dokumenty były strzeżone przez naszych pradziadów i dziadów przez wiele lat, tylko nieliczni wiedzą, gdzie się znajdują. Zazwyczaj nie pokazujemy ich nikomu spoza naszej wspólnoty. Nie chcemy, by wpadły w niepowołane ręce – powiedział mężczyzna, wyglądający na gospodarza. Wziął do ręki ogromny klucz i otworzył starą, dębową skrzynię. Czynił to z ogromnym szacunkiem. Wszyszczygromadzeni zamilkli. Przyglądali się wyjmowanym papierom z nadzwyczajną czcią.

„Muszą być dla nich bardzo ważne, skoro tak je chronią” – pomyślałem.

– Oto one. Może Pan je pooglądać, tylko proszę ostrożnie, są niezwykle cenne.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że przyczynią się do rozwoju sprawy.

Zacząłem przeglądać papiery. Wydawały się bardzo stare, widniały na nich woskowe pieczęcie. Kartki pożółkły i lekko zniszczyły się ze starości. Tekst był ledwo widoczny, pisany prawdopodobnie po czesku. Zacząłem czytać...

„ (...) wymieniony pan von Bess jego poprzednio wymienionymi kadłubskim poddanym, których przez sprzedaż, wymieniony z wszystkimi tymi prawami, które nad niemi miał, z poddaństwa wypuszcza, ten cały majątek kadłubski sprzedawa, jak od dawna jest ograniczony, z folwarkami, łąkami, stawami, miejscami stawnymi, młynami, miejscami młyńskimi, jeden



tartak, lasy z gąszczami odrośniętymi i nieodrośniętymi, wszelkie polowania, wielkie i małe użytki, jakie ino mogą się nazywać, z urokiem, niskim i wysokim prawem i ani sobie ani jego spadkobiercom nic nie zatrzymując (...) Dane we wtorek po niedzieli palmowej 1605/5.IV/Jan Bess (...)

„Niesamowite... Tylko, że bez zgody panującego władcy taki dokument nie miał w ogóle mocy prawnej” – zastanowiłem się. Sprawa stała się nagle interesująca. Zaciekawiony sięgnąłem po następny pergamin.

„My Rudolf z bożej łaski wybrany rzymski cesarz, po wsze czasy rozmnożyciel rzeszy w Niemczech, książę na Śląsku, w Opolu (...) Całej gminie sławnej i całości wsi Kadłub Wielki jego poddanym ich spadkobiercom i potomkom, terażniejszym i przyszłym, których on przez ta sprzedaż ze wszystkimi prawami, które on nad nimi miał z poddaństwa wypuszcza, tak, że wymieniona gmina, cała ogółność wsi Kadłub Wielki z potomkami, ta poruszoną, kupioną posiadłość, majątek Kadłub ze wszystkimi przynależnościami będą mogli odziedziczyć porządkowo i prawnie mieć, posiadać, używać, rozdawać, sprzedawać, zastawiać mienie (...)”

„Niewiarygodne! Przecież to wydarzyło się w XVII wieku! To były czasy głębokiego feudalizmu, gdzie mocno rozwinęło się poddaństwo polegające na zapewnieniu przez pana opieki chłopom w zamian za ich posłuszeństwo, posługę. Chłopi byli osobistą własnością pana i często byli nieludzko traktowani. Samo to, że uzbierali dość pieniędzy, by móc się wykupić, było dostatecznie nieprawdopodobne. Mój zawód nigdy nie przestaje mnie zadziwiać” – pomyślałem. Moje brwi ze zdziwienia wysoko się uniosły. Do rzeczywistości przywróciło mnie pytanie gospodarza:

– I co Pan o tym myśli?

– To bardzo interesująca historia! Pierwszy raz spotykam się z czymś takim. Czy mogę spytać skąd chłopci znaleźli 2500 talarów na wykup? Jak podzielono kupioną ziemię – spytałem zaciekawiony. Głos zabrał pewien starzec:

– Nikt dokładnie nie wie, skąd wzięli pieniądze. Prawdopodobnie zarobili na wycince drzew. Mówi się, że stronę kupujących reprezentowało siedmiu kmieci: Pietruch, Gordala, Miozga, Wypych, Donatka, Pawełek i Grala, którzy po wykupie dodali do swoich nazwisk końcówkę -ski. Po takim wydarzeniu, czyli wykupie z poddaństwa nazwę wioski z Kadłuba Wielkiego zmieniono, na Kadłub Wolny. Ziemię chłopci podzielili między siebie według wkładu pieniężnego. Aby nie dzielić lasów, karczmy i stawów, utworzono wspólnotę chłopską, która wspólnie zarządzała majątkiem. Chłopi wspólnie rąbali las, wspólnie go zalesiali i wspólnie czerpali korzyści. Nikt nie miał prawa do sprzedaży swojej części lasu. Założyli pierwszą spółkę. I tak pozostało do dzisiaj. Nadal jesteśmy wspólnotą chłopską. Tylko spółka karczmy oddzieliła się od spółki lasów.

– I udało się przetrwać spółce od XVII wieku? Bez żadnych wielkich kłótni i sądów!

– Nie, nie. Nie wszystko szło tak łatwo. Czasami wybuchały spory między współwłaścicielami, często gmina nie chciała uznać naszej własności. Sprawa podobna do tej odbyła się już w 1871 roku, kiedy to prezydent rejencji opolskiej chciał włączyć nasze lasy do lasów państwowych. Po 9 latach sąd uznał nasze pełne prawo do własności. Mamy nadzieję, że tym razem będzie podobnie – dokończył starzec.

– Postaram się spełnić wasze oczekiwania. Teraz mamy wyraźne dowody. Wystarczy tylko zawieźć skrzynię do Wrocławia i wszystko pójdzie jak z płatka. – odpowiedziałem. Mieszkańcy oburzyli się na tę wiadomość i zarzekali się, że dokumentów nikomu nie oddadzą, bo jeszcze ktoś ukradnie, zniszczy. Opuściłem wioskę w nieciekawym nastroju. Właśnie odkryłem jedną z najbardziej wyjątkowych historii tego terenu i mam to wszystko stracić, bo wieśniacy nie pokażą swoich dokumentów. Trzeba będzie ich jakoś przekonać. Muszę znaleźć jeszcze jakiś świadków, poszukać wzmianek o dokumentach. Zdziwiło mnie własne zachowanie. Sprawa

wieśniaków z pozoru nudna, nabrała nagle kolorów. Pragnąłem dowiedzieć się więcej, poznać tę tajemniczą miejscowość. Jednym słowem – zaangażowałem się.

Minęły już dwa miesiące i sprawa nie poruszyła się nawet o krok. Na razie mieszkańcy nie chcieli mówić o papierach. W razie czego chcieli mieć asa w rękawie. Musiałem opierać się na świadkach. Niestety strona przeciwna znalazła ich wielu i zaczęło działać to na naszą niekorzyść. Pewnego razu na sali sądowej padły słowa o polskim charakterze spółki. „Myślą, że polska narodowość pomoże im wygrać” – pomyślałem. Zacząłem iść w tą samą stronę. Przy pomocy kilku znajomych znalazłem jedno poufale pismo dotyczące mieszkańców Kadłuba Wolnego, wysłane do Wyższego Sądu Krajowego we Wrocławiu. Oleski starosta niejaki Elsner napisał w nim, że: *„Kadłub to najbardziej polska wieś w powiecie oleskim.”* Podczas plebiscytu na Śląsku mieszkańcy wioski w 71% głosowali za Polską, a w całej gminie 52% i to wybitnie wskazuje na polskość spółki. Starosta starał się wpłynąć tym pismem na wynik procesu. Myny wszystkim zrzedły, gdy pokazałem na sali sądowej te informacje.

W końcu ujawniliśmy wiadomość o dokumentach. Wieśniacy mieli je przywieść na następny termin rozprawy. Przyjechało ich około 120, ale ja już przywykłem do ich szalonych planów i ogromnego uporu. Choć pierwszy raz byłem zbulwersowany, z drugiej strony miało to swoje plusy: nikt im nigdy nie podskoczył i nikt też za bardzo nie chciał upominać jak zrobili coś nie tak. Gdy podeszli, zapytałem się ich:

– Macie je ze sobą?

– Oczywiście, że mamy. A wie pan, że gdy tylko tutaj padło o dokumentach słówko, to zaraz następnego dnia żandarmi do wsi weszli i jęli od domu do domu chodzić i o papiery wypytywać. My wcześniej dla bezpieczeństwa podzieliliśmy je między siebie. Nikt się nie przyznał, że ma choćby skrawek pergaminu. „Zdaje się, że coś ten a ten ma” – mówiliśmy i odsyłaliśmy ich jeden do drugiego. I nic nie znaleźli! Ha, ha, ha! – zaśmiał się mężczyzna.

– To bardzo dobrze – uspokoiłem się. Teraz na pewno się uda.

Na sali sądowej pewny wygranej prawnik gminy powiedział:

– Wysoki Sądzie! Sprawdziliśmy miejscowość i nie znaleźliśmy żadnych dokumentów potwierdzających, że lasy są własnością mieszkańców. Dowód, który złożyli mieszkańcy nie istnieje. Wnioskuję zatem, abysmy przesłuchali dodatkowych świadków, którzy potwierdzą należność lasów do gminy.

– Czy oskarżyciel ma coś do powiedzenia? – zapytał sędzia.

– Tak. Dokumenty istnieją i znajdują się na tej sali. Oto one – odpowiedziałem. Jeden z chłopów wyciągnął z kurtki stare manuskrypty. Przeciwnicy byli zdziwieni, a jednocześnie wściekli. „Jak to możliwe?! Przecież przeszukaliśmy całą wieś i nic nie znaleźliśmy!” – słyszałem gorączkowe szeptki między nimi.

– Czy można je zobaczyć? – spytał się sędzia. Mieszkańcy zaczęli się szybko naradzać. Po czym powiedzieli mi, że do ręki sędziemu dokumentów nie dadzą. „Znów to samo” – zdenerwowałem się, choć nie dałem tego po sobie poznać.

– Wysoki Sądzie! Mieszkańcy boją się, by tak ważne dla nich manuskrypty, które przetrwały 328 lat uległy zniszczeniu. Czy Wysoki Sąd zgadza się na ich przeczytanie?

– Wysoki Sądzie! Sprzeciw! To niezgodne z prawem. Sąd i obrona powinni mieć wgląd w manuskrypty. Mieszkańcy specjalnie zataili przed wszystkimi istnienie dokumentów i odmawiają oddania ich w ręce sądu, ponieważ nie jesteśmy pewni ich wiarygodności – jak zwykle sprzeciwił się prawnik gminy.

– Sąd zgadza się na przeczytanie dokumentów – odrzekł sędzia. Wściekłość i zdenerwowanie było widać teraz wyraźnie na twarzach sołtysa i jego prawnika. Wieśniacy uśmiechali się zadziornie. Wziąłem stare pergaminy i zacząłem czytać:

„W imię Boga Amen został zawarty z wolnej woli pełno ważny traktat, w niczym nie-odwołany, między Wielmożnym panem Von Bess wielkiego lasu na Szumiradzie i gminie i całej ogólności wsi Wielki Kadłub, tych podwładnych, tego wymienionego Jana von Bess, w obecności pana Krzysztofa Hofa od Kantorów na Osiecku duchownego pana Benbus, proboszcza z Zębowice następującej treści: (...)”

Gdy przeczytałem traktat, potwierdzenie cesarza i kilka innych dokumentów, zobaczyłem zdziwienie wszystkich obecnych na sali, podobne do mojego, gdy poznałem tę niezwykłą historię ubogich chłopów.

– Wysoki Sądzie! W traktacie z 1605 roku jest dokładnie napisane, że mieszkańcy wykupili się z poddaństwa za 2500 talarów i tym samym dostali ziemię, włącznie z lasami. Wnioskuje, zatem o przyznanie spółce pełnych praw do karczmy i lasów i wynagrodzenia za poniesione szkody – odpowiedziałem. Po godzinnej przerwie sędzia ogłosił wyrok, niestety częściowy.

– Sąd po dogłębnym zbadaniu sprawy przyznaje Wspólnocie Chłopskiej Lasów Drobnowłościańskich wsi Kadłub Wolny prawo do karczmy. Jest to jednak wynik częściowy. Pokazane dokumenty muszą zostać dokładnie zbadane, by móc ogłosić wyrok końcowy – powiedział sędzia i zastukał młotkiem. Byłem mocno zawiedziony. Miałem nadzieję, że wreszcie uda się zakończyć ten spór. Ciągnie się to już ponad dwa lata. „Może chodzi o tę polskość spółki. Trzeba to jakoś zatrzeć” – pomyślałem.

Razem z wieśniakami zabraliśmy się za ukrycie ich polskiego pochodzenia. Za moją radą członkowie zarządu zaczęli kolejno zmieniać swoje nazwiska na bardziej niemiecko-brzmiące. Nazwę miejscowości postanowiono zmienić na Freihöfen. Teraz nie powinni znaleźć w tej sprawie żadnego punktu zaczepienia. Wyrok końcowy ciągle odwlekano i odwlekano. W końcu po ponad dwu letnim przebiegu procesu, przez który przewinęło się kilkudziesięciu świadków, 4 lutego 1938 roku zebraliśmy się, aby usłyszeć wyrok końcowy: – Sąd przyznaje Wspólnocie Chłopskiej Lasów Drobnowłościańskich wsi Freihöfen prawo do karczmy i lasów. Po za tym nakazuje gminie wypłacić odszkodowanie za spowodowane szkody.

Udało się. Chłopi odzyskali swoją własność.

Pożegnałem się z mieszkańcami przed budynkiem sądu i każdy udał się w swoją stronę. „Wszystko ma swój koniec” – pomyślałem. Przez te dwa wspólnie spędzone lata polubiłem tych upartych wieśniaków. Ich przebiegłość, dziwne pomysły ... To jak przez te wszystkie lata walczyli o swoje prawa wzbudziło we mnie podziw i szacunek. A to jak wykiwali tych niemieckich żandarmów! I miny tych z gminy, gdy jeden z mieszkańców wyciągnął papiery zza pazuchy! Po kilku latach chłopci z Kadłuba Wolnego znowu zapukali do drzwi mojej kancelarii, ale to już zupełnie inna opowieść.

Bibliografia

- E. Cichoń „Wielka księga ziemi zębowickiej”, Zębowice 2010
- Z. Jasiński, F. Tosch, „Kronika szkolna, jako źródło dziejów edukacji”, Opole 2013
- Z. Jasiński „Kadłub Wolny”, „Głos Olesna”, 1976 nr 8,
- T. Marszałek „Historia spółki leśnej w Wolnym Kadłubie”, Opole 1974
- R. Piech „Na progu ósmego stulecia Wolnego Kadłuba”, Racibórz 1993
- M. Tracz „Kadłub Wolny wspólnota ludzi wolnych” w „Rzeka, która łączy ... Historia lokalna powiatu oleskiego”, Olesno-Gliwice 2003
- www.wspolnota-kadlubwolny.pl
- Skorzystałam także z wiadomości uzyskanych w rozmowach z mieszkańcami Kadłuba Wolnego.

MIEJSCE II
**„DOBRE CASY NASYCH OŁPÓW I OŁMÓW...
SYKOWANIE DO ŻYNIACKI, PIECYNIE KOŁOŁCA
I INNE RZECY CO MUSIAŁA ZROBIĆ MOJA OŁMA ANKA”**

Autor: Anna Lyp

GZS w Ozimku

Opiekunowie: Marzena Wolicka-Mazurkiewicz, Małgorzata Szpala

Chcam wom łopowiedzieć, jak to pierwy mojoł ołma sykowała się do wydaniół, to je do weseloł i do piecynia kołołca. Mienskała łona w małej wsi pod Łozimkiem. Nałokoła jej dumu były łonki, pola i małoł rzycka. Bezto praomła i praołpa mieli blisko do roboty, bo robili na gospodarcze. Mieli kupa dzieci, bo as dwanołście, a mojoł ołma była łoststnioł snich wszystkich. Buło dojs tych wesel, a zdarziło sie, ze i dwa w ciągu roku. Mój ołpa Józek jeżdźił na zollety ino pół roku i zarolż chciol sie żynić. Pogołdoł ze swojoł przysłom świgemuter no i ani się nie łobrócili jus buło wesele. Najlepszom porum roku na tyn wyielki fajer buła jesień, bo przysol cas na zniwa ze swojego łogroda. Łon jednak chciol się prandzyj żynić i wesele buło w maju. Miesionc przed weselem trza buło iść na łopowiedzi do fardołrza. I w trzeciol niedziela przed uroczytojściom buły łopowiedzi, wtedy fardołrz pogolđali się z modymi i zrobili potrze mały egzamin, sie sun gotowi do tego zeby mieć familia. Mojoł ołma pejdziła mi ze ołpa kedy gołdoł przikołzania trzuns sie ze strachu i miol gos choby mody synek w skole przy rectorze. Po łopowiedziach przysol cas na sycie klejda. Syła go swołcka, a mojej ołmie starsol siostra ze biołlusieńkiego štofu. Ołma Anka miała tejla łoltanioł i wszystkiego na gowie, ze trza buło w klejdzie zrobić abnejry, bo klejd zrobił sie dłoł niej za srogi. Tante Agi, to je siostra mojego praołpy, przisłała ołmie jako geśienk z Niemiec pyinkny welon. Kedy jus klejd buł fertich trza buło go skludzić blank na zadek w śranku, coby zołdyn go nie łobejrzoł, a nołbarzij mody pon, bo inacyj przinojsiułoby to pecha.

Trza tes buło naszykować geśyr i esbestek. Pozycalo sie to łot familiji i somsiadów ze wsi. Przywojziło się to we waszkorbach na furach we sianie, coby sie nie potrzaskało. Zycalo się tys fajne garce na zupa abo kapusta.

Dwa tydzie przed weselem buło rojmowanie izb. To buła ćynskoł robota, bo trza buło wszystkie mejble, łoska, śranki rałs. Ołma gołdała ze ukłolđali tedy dłoł modych łuska na górze, kaj niefortzi ten cas spali na sianie, abo tes pod pierzynom. Kedy izby buły narychtowane, wymiecone i wyrojmowane trza buło sprolsać kucharyje to je: ciotki, dobre somsiolđki i siostry na piecynie weselnego kołołca. Kazdoł nojpierw łokludziula swojoł gospodarka, a potym blank rano ungefer ło siódmej jus sie zbiyroły. Jesce musam wom pejdzieć skunt tyila materyje się brało na kołołc. Wszystkie siostry, ciotki i psziołcielstwo jak wiedziało, ze baje sie wtojś wydołwać, to sykowali pocta. Pocta to nic innego jak jajka, syr, masło, monka – wszystko, co sie dołwało do kołołca. Bezto jak kazdy przyinius yno trocha to i tak buło dojs materyje i kołołca stykło dłoł kołzdego. No ja, tyrołs jus wyicie, co to je pocta na kołołc. Jak jus wszystkie buły to kazdoł miała swój przidziol roboty: melanie syra, wołynie masła, przesiwanie monki. Hohcajtmuter nie mogła sie ciś do piecynioł yno narychtowała śniołdanie. Dobroł snita s leberwusztym, bołn kafel s mlykiem i wyncyj nie trza buło. Po genisowaniu nakłolđali rozrobiuny tołwur na fury i jechali do piekarni. Kucharyje siedzioly przy cieście i chlastały je, bo słońce kedy nagrzejje to łone uciekoł s wanienek. Piekolś jus cekoł, na nich, bo prandzej wiedział is majom przyyjechać. Tam czyjściły blachy z łolejym. Piekolśz zieleł ciastona na kazdoł, ugniatoł na niej i dzioboł widelkom, zeby luft uciek z niego. Potym w pier

przi jus zahajcowanym wielołku wkłóđłano sesnołście blach kołółca z syrem, dopiero po tym z makym i nadziewkom. Ołma gołdała ze taki herny kołółc był z dekom, cyli cienkim ciastem rozkulanym jak na nudle, a łoznacół dobre i udane zycie. Po skonceniu pieczenia swojzili zał gotowy na furach do dom. Kłóđli je na sianie w izbach zeby się wydychoł.

Hohcajtmuter cekala jus z mitakiem. Wszycy posiođłali i pojedli sie klusek, kapusty, rolad z zołzom. Potym przisoł cas na kostprołba kołółca z kafejem i mlykiem. Po genisowaniu trza buł krojć i pakować do pacek. Tradycjom buł przyłozdołbianie gałonskom merty i na papiyrze pisała modoł pani dloł kogo moł łon być. Najczyłsciej modoł na motoradzie z bratym, zapakowani z przodku i z zadku koframi z kołółcym rozwojzili po krewnych. Dzieci lołtały po sąsiadach i tes poznojsili, a za to dostołwali tringeld, cyli drobny pienionc na siokolada. Połra dni przyd weselem masołsz bił cielika abo tes projsika, s których to potym robiono wuszť, lejberwuszť, preswuszť i mienso na rolady. Czyńść farfocli dołwano do zupy i rolad. Gdy jus wuszty buły fertich, skludzano je do zimnych wałkuchni na dworze. Wia ze młodzięzy nie pasuje gołdanie ło gorzole, ale jak łonske wesele to trza ło niej trocha pejdzieć, a robiło sie je tak. Spirytus miensalo sie z cystom wodom ze studzionki, kłóroł stała na łrodku podwórka. Potym roztołpiało sie cuker, cyli robił się karmyl i potym łoncyło sie go z gorzołom. Łot dołwna zbierano flaski i łponty, kłóre mocono w wodzie i do nich przelywano gorzoła.

Richtich na weselu byli dwaj łpontowi i łoni wpierw pilnowali – trzymali pod klucym – i na fajerze lołli gojłsciom.

Dzień przed buł polterabent. Tak buł zawsze i praolma narichtowała kołółca, zrobiła teju i bołn kafeju. Muzykanty i przebierańce, druski, mode państwo tańcowali cuzamen do kupy, a potym gojłscie przyd progym do dom, trzaskali łolki, talerze na szczyńście.

Chwila potym dołwano na stół zymłolki, łnity z preswuszťym i sznaps na uciecha. Dugo tes tańcowali, a kedy szli do dom, przebranoł cygana pobrała resta ze stoła i uciekla. Na sam wiecór abo wsas rano mode państwo, slo pot gołe niebo porzykać i poprojsić Ponbucka ło błogosławieństwo.



Wyjłcie z domu rodzinnego mojej ołmy.

Myłsam, ze kołzdy tera bandzie wiedział, jak to pierwy u mojej ołmy Anki, ale nie ino u nij łodbywały sie wesela. Wszyccko cuzamen z familiom, po Bożymu.

Obyłmy chcieli wziońć pszikłół ze starszego i dołwiadconego pokolynioł nasych Ołmów i Ołpów, co sie umieli zgođzić, pomołgać i wspiyrać w ciynskich chwilach – a takich buło kiedyjs dojs kans. Lołtali i bawili sie na jednym podwórku, gołdali prołwda, rzykali, pszołli sie i buło im wszystkim dobrze.

Ciesy mnie, ze mogam żyć w takiej familji i žycam wszystkim, coby tes mieli takie zgođne i fajne rodziny.

Bibliografia:

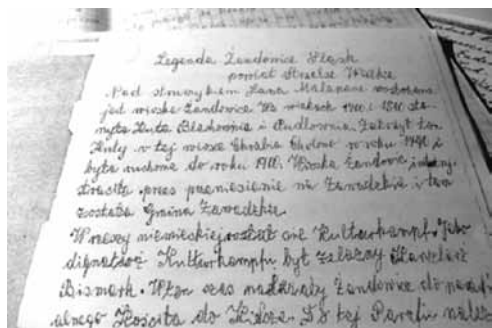
- Rozmowa z Anną Kostka – moją Babcją,
- zdjecia prywatne z archiwum rodzinnego,
- dawne wspomnienia Sióstr mojej Babcji
- dziennik mojego Pradziadka – kronika prowadzona od 1822 roku siegająca do 1975 roku

MIEJSCE III „CZY TO NAPRAWDĘ BYŁ CUD?”

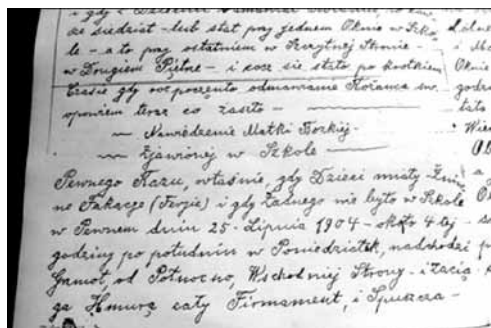
Autor: Paulina Pluder

ZSG w Żędowicach
Opiekun: Anita Stachowska

Ręce mi drżą, kiedy otwieram stare, pożółkłe zeszyty. Z namaszczeniem wertuję kartka po kartce. Widzę równe, staranne pismo. Czasami z trudem odczytuję wyrazy. To trzy stare żędowickie kroniki. Pierwsza z nich została spisana ręką Tekli Swobody z domu Szostok, mieszkanki Żędowic, która urodziła się w 1899 roku, a zmarła w roku 1991. Z powodu problemów wzrokowych kobiety pracę nad pisaniem dokończył jej najstarszy syn (źródło 1). Kolejne zapiski, które mam przed sobą, to kronika wsi Żędowice nieznanego autora. Obejmuje ona historię Żędowic od okresu Kulturkampfu do sprowadzenia kopii obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej w 1907 roku (źródło 2). Kronika została udostępniona mi przez panią Karinę Gryc, katechetkę w naszej szkole. Trzeci zeszyt jest próbą przepisania tejsze kroniki. Niestety – nie skończono pracy. Obecnie zeszyt z tymi zapiskami znajduje się w posiadaniu rodziny Lisiak (źródło 3). Co mnie skłoniło do sięgnięcia po te stare zapiski? Wiadomo, że zawsze warto poznawać historię miejscowości, w której się mieszka. Ja jednak szukam w nich czegoś innego – odpowiedzi na pytanie, czy w Żędowicach naprawdę wydarzył się cud. Próbuję przenieść się w czasie i zrekonstruować dawne wydarzenia...



Źródło 1



Źródło 2

Trzy stare żędowickie kroniki

25 lipca 1904 roku był dla mieszkańców Żędowic zwykłym dniem pracy. W ten słoneczny poniedziałek każdy zajęty był swoimi obowiązkami. Harmonię i powszedniość tego dnia zmieniło wydarzenie, które według miejscowej ludności było prawdziwym znakiem od Boga. Nikt nie spodziewał się, że to zdarzenie tak bardzo wpłynie na dotychczasowe życie religijne Żędowic. Lecz czy to naprawdę był cud?

W ten bezchmurny, wakacyjny dzień, jak mówią wspomniane kroniki, między godziną 15.00 a 16.00 ukazała się na niebie ciemna chmura, która nadchodziła z północno-wschodniej strony. Przez swój nadzwyczajny wygląd zwracała uwagę wielu mieszkańców. „Była tak niewielka, że mogłaby jedna wiejska kobieta do zopaski ją zmieścić” – pisze kronikarz. Chmura zatrzymała się nad budynkiem szkoły i na krótką chwilę dała obfity deszcz i grad. „Rozjaśnia się nagle i dziwnie ogarnuje naszą wioskę żędowicką jasnością wielką, a nad szkołą ukazuje się jakoby

tecza śliczna i spuszcza się aż na dół na ziemię, a w tem to blasku ukazuje się naraz śliczny obraz Matki Boskiej i daje się wszystkim widzieć i spuszcza się niżej” – czytamy (źródło 2). Okolicznym mieszkańcom zdawało się, iż szkoła cała płonie, więc kto mógł, przybył, aby gasić pożar. Pierwszym świadkiem tego zdarzenia była mieszkająca w pobliżu Kunegunda Zymela. Kiedy ujrzała jasność w oknie szkoły, krzyknęła: „Cud, Matka Boska się objawiła!”. Szybko nadbiegła jej sąsiadka – Krystyna Schaton, aby sprawdzić, co się stało. Wkrótce zbiegli się i inni. Wielkie było zdziwienie zebranych wokół budynku, gdy zamiast ognia ujrzeli jaśniejące oblicze Matki Boskiej. A znajdowało się ono w czwartym oknie od drogi na drugim piętrze szkoły, co skrzętnie odnotował i nawet na rysunku przedstawił jeden z kronikarzy (źródło 2).

Naoczny świadek w ten sposób opisuje widok obrazu: „Ów obraz przedstawiał prawdziwie Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku i była Ona w koronie, także i Dzieciątko jej było w koronie królewskiej. (...) Ów obraz był koloru niebiesko-biało-zielonawego i miał szaty bardzo piękne i perłami były ozdobione owe szaty – także też i obie korony były ozdobione perłami ślicznymi i aż się błyszczały od piękności. Także u samych nóg Dzieciątko był napis z literami i dobrze było widać owe litery – Pod Twoją Obronę uciekamy się Święta Boża Rodzicielko – a ów napis był na jasno-zielono-białej wstążce” (źródło 2). Matka Boska, zwrócona we wschodnim kierunku, miała bardzo miły, a zarazem poważny wyraz twarzy. Jej postać promieniowała światłością – jasność tę można było dostrzec z dużej odległości.

Informacje o objawieniu szybko rozeszły się po całej okolicy. Na miejsce cudu przybywało wiele osób. Przez całą noc ludzie modlili się oraz śpiewali pieśni. Tak było przez kilka kolejnych dni. Nie powiodły się próby zakrywania czy też zamalowania obrazu – wizerunek Matki Najświętszej nadal był widoczny. Ludzi nie zniechęciło także lekceważenie sprawy ze strony księdza Wajdy – ówczesnego proboszcza, nic nie dały próby karaniania ani też interwencji policji. Ludzie po prostu głęboko wierzyli w to, co widzą.

Wizerunek Matki Boskiej nie był widoczny dla wszystkich. Nie widzieli go ci, którzy przybywali na miejsce z czystej ciekawości. Mogli go zobaczyć jedynie ludzie, którzy głęboko w niego wierzyli i oddawali mu należytą cześć. „I ja, który to oznajmuję, samem na swoje oczy widział ów obraz – mając wtedy 22 lat – ale dopiero na drugi dzień – w dzień świętej Anny, gdym szedł do huty do pracy przed 6-tą rano – a ów obraz był bardzo śliczny i miły i był takim – jakim ja go opisał, bom go widział dobrze” – daje świadectwo nieznanemu kronikarz (źródło 2).

Ciekawe, ilu ludzi dzisiaj zobaczyłoby ten piękny obraz. Czy ja sama bym go zobaczyła? Czym tak naprawdę jest cud? Słownik podaje, że to zjawisko, które według wierzeń religijnych nie wynika z praw przyrody, lecz daje się wytłumaczyć tylko interwencją Boga. A zatem wszystko się zgadza – przecież objawienie w Żędowicach było niezwykłym, niecodziennym zdarzeniem. Nie da się tego wyjaśnić w jakiś racjonalny sposób. Ludzie, którzy na własne oczy widzieli wizerunek Matki Boskiej, mówią: „Widok tego wizerunku przenikał każdego do głębi. Obrazu takiego nie mógł namalować żaden malarz” (źródło 1). Dlaczego więc Kościół nie uznał tego objawienia jako cud? Dlaczego cała sprawa zakończyła się na jednej wizycie obserwatora z Kurii?

„Aby objawienie zostało uznane za cud – mówi pani Karina Gryc, katecheta w naszej szkole – musi być spełnionych kilka warunków: w szczególności zdarzenie to musi być związane ze zjawiskiem nadprzyrodzonym, a jego świadkiem ma być człowiek o zdrowej psychice i dojrzałej pobożności. Najważniejsze jest jednak, aby w objawieniu zawarta była zdrowa nauka Kościoła, dotycząca wiary i moralności, warunkiem są także owoce tego niezwykłego zdarzenia – powinny być one dobre i trwałe”. Weryfikacja takiego objawienia trwa latami, czasami nawet wiekami, nie zawsze kończy się ona zajęciem stanowiska przez Kościół.

Cud jest znakiem zbawienia, rodzajem komunikacji osobowej pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Wydaje mi się, iż samo miejsce, w który dokonał się żędowicki cud nie jest

przypadkowe. Obraz znajdował się w oknie klasy bardzo pobożnego nauczyciela. Mężczyzna bardzo często odmawiał tam z dziećmi różaniec. „W tej klasie, gdzie się objawienie stało, był nauczycielem pan Wolf przez kilka lat aż do 1 kwietnia 1904. Nauczyciel Wolf odmawiał ze swą działawą w tej klasie każdy dzień w południe różaniec do Najświętszej Maryi Panny. Od 1 kwietnia został Wolf przeniesiony ze Żądowic, a klasę objął nauczyciel Szemetzka – już nie zakładnik różańca” – czytamy w kronice (źródło 1). Nauczyciel Wolf zawsze w południe odmawiał z uczniami różaniec i zachęcał je, aby kochały i czyły Matkę Boską. Modląc się, stał przy oknie. Tam, gdzie wydarzył się cud.

Świadkowie tego zdarzenia mieli ogromną wiarę – przecież gdyby nie uwierzyli w to, co widzieli, cała sprawa zakończyłaby się już dawno temu. Gdyby nie przekazali swoich przeżyć, nigdy nie dowiedziałabym się, że w mojej małej miejscowości zdarzyło się coś tak niecodziennego. Dla ludzi wówczas żyjących było to naprawdę bardzo ważne. Na pamiątkę tego wydarzenia zakupili bowiem i sprowadzili do naszej wioski kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej (1907 rok). A w 1950 roku wybudowali obok małego kościółka piękny, duży kościół – dziś Sanktuarium pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej. Poprzez to objawienie pogłębiła się wiara żędowiczian, wzrosła ich religijność – żywa do dziś. W tym znaczeniu był to więc prawdziwy cud. Bo prawdziwe cuda dzieją się w ludzkich sercach.

W 2004 roku z okazji 100-lecia cudu w Żędowicach odbyło się uroczyste nabożeństwo ku czci Matki Boskiej. W tym dniu spod kościoła ruszyła procesja, w której uczestniczyło wielu mieszkańców wioski. Widać było ich skupienie oraz szacunek i cześć, jaką oddają objawionej Matce Jezusa. Wraz z orkiestrą i sztandarami pochód dotarł przed budynek szkoły. Tam odbyło się specjalne nabożeństwo oraz wygłoszone zostało kazanie dotyczące objawienia. Mimo iż Kościół nigdy oficjalnie nie uznał tego zdarzenia za cud, pamięć o nim jest wciąż żywa wśród mieszkańców Żędowic.

Bibliografia

1. Kronika Tekli Swobody (źródło 1)
2. Kronika wsi Żędowice nieznanego autora (źródło 2)
3. Zeszyt znajdujący się w posiadaniu państwa Lisiak (źródło 3)
4. Ks. Józef Żyłka, Cud w Żędowicach, Wydawnictwo św. Krzyża w Opolu
5. Internetowy słownik języka polskiego
6. Strona internetowa www.szafarze.kuria.zg.pl
7. Strona internetowa www.glosojcapiop.pl
8. Wywiad z panią Kariną Gryc

MIEJSCE III

„MOJA HISTORIA POWSTANIA JEZIORA TURAWSKIEGO”

Autor: Kevin Słowik

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik-Libor

Jezioro Turawskie zostało zbudowane w latach 1933-1939, aby umożliwić regulację poziomu wody na Odrze. Pełni ono też funkcję rekreacyjno-wypoczynkową. Zbiornik posiada powierzchnię 24 km², głębokość 13 m i pojemność około 108 mln m³. W celu budowy zlikwidowano m.in. Zamoście, Krzyślinę i Pustków. Zanim powstały te wioski, kiedyś na tych

terenach znajdowała się osada późnorzymska, ciałopalny cmentarz i las, który zajmował połowę zbiornika. Do jeziora uchodzą dwie rzeki: Mała Panew i nieco mniejsza Libawa. Na północnym i południowym brzegu znajdują się liczne plaże otoczone lasami sosnowymi z ogromną liczbą ośrodków wypoczynkowych. Wschodnie krańce akwenu to rozległe, płytkie laguny i piaszczyste łachy. Jezioro Turawskie jest ostoją wielu rzadkich gatunków ptaków i ryb. Uprawia się nad nim żeglarstwo i wędkarstwo. W pobliżu zbiornika znajdują się inne jeziora: „Średnie” i „Małe”, które powstały na miejscach wydobywania żwiru. Jezioro Srebrne (Osowiec, Zielone lub Szmaragdowe) znajduje się w lasach w okolicach wsi Osowiec. Jest oddalone o około 2 km od Jeziora Turawskiego.



Dawno temu, na początku lat 30. XX wieku, kiedy ludziom nawet się nie śniło, że kiedyś ich wioski zostaną zalane, pewien niemiecki oficer pełnił służbę na rynku w Krzyślinie. Znajdował się na nim barokowy kościół, kilka wiejskich sklepów i plebania proboszcza. Obrzeża wioski zajmowały rozległe bagna. Tam ludzie się nie zapuszczali. Uważali, że nad tym miejscem panuje aura grozy i magii. Pomimo cywilizacji i postępu techniki mieszkańcy tamtejszych regionów mocno w to wierzyli.

Jako iż był środek stycznia, a temperatura spadła do -19°C , oficer owinął się szczelnie szalem, zapiął płaszcz oraz założył rękawiczki i poszedł na codzienny obchód. Całą Krzyślinę obszedł bardzo szybko i teraz zostały mu tylko tajemnicze mokradła, nad którymi spowijała się gęsta, biała mgła. Prowadziła na nie wąska droga porośnięta mchem, porostami i niewielkimi krzewinkami takimi jak wrzos. W centrum moczaru stał stary, drewniany, słowiański kościółek – pozostałość po dawnej osadzie. W wietrzne dni lub noce, poruszany wiatrem dzwon w wieży dudnił głośno, przesywając ciszę budzącym grozę dźwiękiem. Ludzie wierzyli, że zwiastuje to śmierć, więc zawsze uważnie słuchali czy dzwon bije. W kilku miejscach, ponad wysoką trzciną, wystawały spróchniałe po dawnych zabudowaniach belki, oblepione glonami i wodorostami.

Podśpiewując sobie, doszedł do mostu, pod którym płynęła kiedyś rwąca, szybka rzeka. „Jakie to miejsce musiało być kiedyś piękne” – pomyślał. Nagle jego uwagę przykuł podłużny jasny kształt pod mostem. Gdy podszedł bliżej, zobaczył rudowłosą, młodą dziewczynę. Leżąc zupełnie nago, przyglądała się swojemu odbiciu w zamarznętej kałuży, przy której leżały duże, kolorowe muszle. Kobieta była bardzo ładna. Jej duże zielone oczy otoczone były gęstymi rzęsami, a piegowate policzki były lekko zarumienione. Ciało miała smukłe, delikatne i mlecznobiałe. We włosy wpięła sobie kilka przekwitniętych kwiatów białej lilii wodnej. Zauważając jego obecność, zerknęła na niego zamglonym wzrokiem. Patrzyli sobie prosto w oczy.

- Jestem Turawa. – powiedziała kobieta melodyjnym głosem – Mieszkam na tych bagnach od bardzo dawna. Jestem ich opiekunką i patronką.
- Nie ma ci zimno? – zapytał oficer zatroskanym głosem
- Ależ skąd. Nie czuję ciepła czy zimna. Niestety muszę iść, ponieważ zaczyna świtać. Spotkajmy się tu jutro o tej samej porze.

Oficer i Turawa spotykali się od tamtego czasu każdego wieczora. Oczarowani sobą nawzajem, nie mogli zrozumieć dlaczego los ich połączył tak silnym uczuciem, ale byli mu

za to wdzięczni Ich miłość kwitła z dnia na dzień. Jednak pewnego razu oficer nie przybył na umówione spotkanie, z powodu epidemii cholery. Turawa nie wytrzymała z tęsknoty i smutku. Pograżona w rozpacz poszła do starego kościółka. Siedząc w dzwonnicy, mocny podmuch wiatru poruszył dzwonem, a ten zabił 3 razy. Przegniłe sznury, które go trzymały, pękły. Żelazny dzwon runął w dół prosto na lamentującą Turawę. Gdy mężczyzna odnalazł jej ciało, pochował je w miejscu ich pierwszego spotkania w korycie rwącej rzeki pod mostem.

Oficer długo nie mógł pogodzić się z śmiercią ukochanej. Postanowił uczcić jej pamięć i wybudować jezioro. Wydał nakaz, w którym wszyscy mieszkańcy wyznaczonych miejscowości musieli się przenieść w inne miejsce. Prace nad budową trwały 6 lat. Oficer do końca życia został wierny swojej ukochanej. Po jego śmierci jego zwłoki skremowano i rozsypano w szkarłatne wody jeziora, nazwanego imieniem wybranki jego serca.

Czasami w mroźne, styczniowe noce można usłyszeć bicie dzwonów starego kościółka, tęskny śpiew Turawy oraz lamenty oficera. Przechadzają się razem po gładkiej tafli jeziora, znikając w świetle księżyca.

Na obszarze o powierzchni 2125 ha, obejmującym okolice Jeziora Turawskiego, ustanowiono obszar specjalnej ochrony ptaków. Obejmuje on 24 gatunki tych zwierząt. Zbiornik Turawski jest jedną z najważniejszych na Opolszczyźnie ostoi dla ptaków migrujących. Jesienią i wiosną zatrzymują się na nim liczące do 22 000 osobników stada. Wiele rzadkich i pierwszych stwierdzeń gatunków ptaków w kraju miało miejsce właśnie na tym zbiorniku. Zbiornik Turawski pokrywa się w całości z Obszarem Chronionego Krajobrazu Lasy Stobrowsko-Turawskie.

Jezioro Turawskie było największym miejscem wypoczynkowym na Opolszczyźnie. Rzesze turystów, harcerzy i wczasowiczów wybierało się nad nie w czasie wakacji i urlopów. Niestety zbiornik z roku na rok staje się coraz bardziej zanieczyszczony. Latem, zapach glonów roznosi się po okolicy, a woda staje się gęstą, zieloną breją. Prace, które pozwoliłyby na przywrócenie dawnej świetności tego miejsca zostaną prawdopodobnie zrealizowane za około 20 lat. Do tego czasu jezioro może stać się bardzo trudne do wyczyszczenia. Marszałek województwa opolskiego wydał w tej sprawie nakaz spustu wody, który miałby nastąpić każdego roku od 21 lipca do 30 października. Sprzyjałoby to znajdowaniu żerowisk przez zagrożone gatunki ptaków. Nakaz wywołał spory skandal od strony wędkarzy i władz pobliskich gmin. Ich zdaniem spuszczenie wody w okresach letnich i jesiennych doprowadziłoby do śmierci wiele gatunków ryb i rozkwitu sinic, które od dłuższego czasu zarastają jezioro. Byłoby to dużym powodem spadku turystyki. Mieszkańcy województwa opolskiego, śląskiego i dolnośląskiego nie mieliby po co odwiedzać tego miejsca, ponieważ jezioro stałoby się jednym wielkim bagnem i żerowiskiem dla ptaków. Mocny zakwit sinic spowodowany jest dużą ilością wieloletniego osadu, zbierającego się na dnie jeziora o wadze 1,5 mln ton.

Mieszkańcy Opolszczyzny darzą Jezioro ogromnym sentymentem. Stojąc w letnie wieczory na wale w Szczdrzyku można podziwiać cudowne zachody słońca. Ognista kula schodzi w dół, odbijając się od wody, która staje się pomarańczowo-czerwona. Gdy słońce zniknie za horyzontem, jedynymi źródłami światła są liczne ogniska, organizowane przez letników nad brzegiem. Cisza, przerywana jedynie śpiewem ptaków, powoduje, że moment spędzony nad Jezioro Turawskim staje się magiczny. To najlepsze uczucie stać nad szumiącą wodą i podziwiać cuda matki natury.

MIEJSCE III

„ŁO JAJKACH WIELKANOCNYCH MOJEJ OŁMY”

Autor: Magdalena Kulik

GZS w Ozimku

Opiekun: Sylwia Widawska

Jajko je symbolom nowego zycia i dloł tej przycyny na wiosna obdarowywano sie jajkoma. Aby jesce barzij pogłambić tyn zwyczaj, wybrano Poniedziałek Wielkanocny, bo wtedy zmortwychwstanie i zycie zwyciężoło nad śmierciom. W dołwnych casach nie zdolbiono jaj, ino dołwano chłopom te, ftore mioły oznaki zdrowioł. Nie mogły łone mieć chropowatej skorupki, ani nierownej barwy. Zanim jesce wynaleziono chemiczne farby, jajca malowano farboma, ftore dała nom natura – łupiny cebule, dołwały kolor od żółtego do brunzu. Z modych, wygotowanych piórek żyta abo jynczmiynia boła farba od żółtej po zielonom. Z kory dymbu wyłajziły rozmaite brunzy, a z kory olchowej – siwy i corny. W latach 50. XX wieku, zaczynto uzywać farb chemicznych, ftorymi farbuje się w dzisiejszych casach materiały na ubrania. Rano, w Poniedziałek Wielkanocny, chopcy polewali dziołchy wodom, a łone dołwały im jajka. Aby ten cały ceremoniał barzij ubogacić, modzieńcy dodołwali do wody pachnideł, np. sok z brzozy abo wywar z tataraku. Kobitki, aby się zrewanzować zaczył jaja barwić na kolorowo. Kazdy kolor mioł swoje znacynie. Jajka zielone dołwano tym, ftórzy łajzili jesce do szkoły podstawowej i przedszkola. Corne dostołwały szanowane osoby, takie jak nauczyciel, ksiundz czy hrabia. Brunołtne dostołwali narzycyni i modzi żonkosie. Fioletowe – starszoł kawalerka, a niebieskie – karluse, ftórzy zostali chycyni na urzyndowaniu z innymi frelkoma. Żółte zaś dołwała panna chopcu, ftorego nie chciała. Jaja te jako jedyne boły surowe. Wkłodało się je chopcu do kabzy i zgnołtało, gołdając takie słowa „ Jajo mosz – mnie nie bydziesz mieć”.

Cas płynoł i coroz barzij zaczynto udoskonalać jajka. Zdobiyńiy jaj zajmowały sie yno kobity, chopom w tym casie nie wolno boło włazić do izby. Jako ciekawostka można wspomnieć, że w latach 80. XX wieku, w Polsce wschodniej, w poblizy wsi Folwarki Tylwickie, zauważono zwyczaj skłodańia pisonek w okresie wiosynnym na grobach przez ludność wyznania prawosławnego. Jajka zrobione z kamieni na poła szlachetnych, połoncone z lepsymi metaloma, zdobione technikoma jakby łod jubilera, boły na pocontku yno dloł rodziny carskiej. W nasych casach i u nos na Ślunsku w urocyste śniołdanie, w Niedziela Wielkanocnoł, trza podzielić sie poświnyconym jajkiem. Podobnie jak bożonarodzeniowy zwyczaj łomania się opłatkim, je to symbol przyjołcielstwa. Świonteczne jajca zdobi się na rozmaite sposoby i dlołtego majom łone byle jake nazwy:

1. Krusonki – jaja łozdobione przez wyskrabywanie.

2. Pisonki – powstajom przez rysowanie na skorupce goroncym, roztopionym woskiem, a po tyn przez zanurzynie jajka w farbie. Jako narzyndzi do pisania uzywano szpilek, jęglów, piorek, kozików, szideł, słumek i drewinynek. Zdarzało sie nawet, że kobityy uzywały take narzyndzia jak słomki, patyki cy dyntki z opon rowerowych.

3. Naklejonki – na skorupki jajek naklejoł sie trołwy rosnonce na podmokłych łonkach. Robi sie to na wydmuchanych jajkach. W dzisiejszych casach jajka som przyłozdołbiane sitowim, płatkoma bzu, skrowkoma kolorowego, błysconcego papiuru, tkaniny, nicią, itp.

4. Nalepionki – powstajom przez ozdobańie skorupki jajca różnoborwnymi wycinankoma z papiuru.

5. Ażurki – robione som z wydmuchanych jaj łod kury, kacki, gansi abo strusia. W skorupce nawiercoł się otwory. Wydmuchane jajko z nawierconymi wzoroma je malowane najczynściej farbom akrylowom.

Moją ołma – Rita Gryc, miyszkanka Scedrzika zdołi świonteczne jajca inacyj niz jej komratki. Postanowiołach pogołdać z nią ło tym zwycaju, na co ołma zarolżki przystała. Zadałach jej byle jake pytania ło dekorowaniu jajec.

M.K.: Witej ołma! Chciałabych sie dowiedzieć jako Ty robis swoje jajca. Mom nadzieja, ze powies mi, skond u ciebie takol interesa, cy w Twojej rodzinie mołcie jakies tradycje zwionzane ze pisankoma.

R.G.: Chytnie ci łodpowia, ale co chciałabyś wiedzieć?

M.K.: Skond wziyno sie u Ciebie take zamiłowanie i łod kiedy się tym zajmujesz?

R.G.: Łod najmodych łołt. Na pocontku, kiedy bołach jescy bardzo małol, razem z moimi siostroma i mamom robiolmy my jajka metodom trawienia. Na pewno nie wiys, co to znacy. Powia ci dziołcha. Jajka farbowało sie w łuskach cebule abo jakiejś inkszej farbie, a potyn najczynściej igła albo coś ostrego tonkało się w kwasie i wytrawiało wzory na skorupce. Tera już rzadko widza takie jajca. Technika choć prostoł, wyglondoła bardzo piynknie.

M.K.: Cy ftojs Ciebie zachyncoł do zdołbienia jajec?

R.G.: Zaclach podpatrywać moje starsze siostry, ftoze swojym kawalerom sykowały kruzonki. Łone łod zawsze drołpały jajka, to zech i joł chciała spróbować co umia. Drapałach dla swoich bliskich, az pewnego razu wymysłolach inkszy sposolb.

M.K.: Wiam, że Twojoł technika je colkiem inakszol. Moze pejdziałabyś mi coś ło niej?

R.G.: Ja... U nołs w okolicy chyba yno joł takom metodom zdołbia jajka. Oklejom pofarbione, wydmuchane jajka rożnymi elementoma, ftoze sama uhekluja. Na pocontku hekluja wielkanocne symbole, na przyklad jajka, kurzynta, zajonce, kosyki cy bazie. Potyn musa zafarbować jajka, a na końcu naklejom uheklowane rzecy na wydmuski.

M.K.: Skond sie wziona u Ciebie takol interesa?

R.G.: Bardzo lubia heklować. Kiedyjs robiolach serwetki i przysol mi do gowy pomysł, aby przenijs te wzory na jajka wielkanocne.

M.K.: Łod jak dołwna robis takom metodom?

R.G.: Już z jakiejś piynnołście łołt.

M.K.: A cy mołs jakiejś tradycje zwionzane z jajkoma?

R.G.: Od zawse obdarywuja w Lany Poniedziałek wszystkich moich wnukolw, ziynciolw i chopcolw, ftozry przidą mie polołć. Chcam tyz przekazywać ta tradycja robienia jajek całej mojej rodzinie. Joł naucolach twoje ciotki i mama, a wiam, ze łone naucyły ciebie. Ty musis naucyć swoje dzieci, pamiyntej! To je piynknoł, słonskoł tradycja.

M.K.: Cy yno robis to dloł siebie, cy mołs z tego jakeś korzyłści?

R.G.: Przed Wielkanocom jezdz na konkursy. Żałuja, ze moja technika nie podlegolw ocynie, bo je łona nietradycyjnoł. Co roku wybierom sie do Bierkowic i wystolwiom moje jajka na sprzedolż. Ciesą się łone duzym powodzyniem. Należa tyz do „Caritasu”, bo lubia sie udzielać dloł innych, a jak robia jajka, wspomolgom potrzebujonych. Co roku robimy w Scedrziku kiermasz wielkanocny, na ftorym, miyndzy innymi sprzedolwane som moje jajca. Piyniondze ze sprzedolży przeznaczone som na potrzeby ludzi biydnych.

M.K.: Cy to znacy, że nie zdobyłas nigdy zołdnej nagrody?

R.G.: Choć moja technika nie podlegolw ocynie, polra razy dostalach wyrólżnienie i drobny geschenk, no wiys – prezynnt.

M.K.: Ołma, bardzo Ci dzienkuja, żeś ze mnom pogołdała. Mom nadzieja, ze jescie dlugo byndzies zdołbia jajka i zyca ci kans pomyslolw i przyjymnołci w swojej pasji.

W dzisiejszych casach, modzi nie bardzo garnom sie do podtrzymywania tyj tradycji. Dziołchy łobdarowujom chopcolw szokoladowymi jajcoma abo pisankoma kupionymi w sklepie. Zdołbiyne jajec wielkanocnych je jednom z najstarszych tradycji, ftoze pielyngnuje sie u nołs na Słonsku. Dziynki mojej ołmie, ftozolw naucyła moja mama skrobiana jajec, joł tyż umia robić kruzonki.

Brałach nawet półra razy udział w konkursie szkolnym i zajęłach 2 miejsce. Tyn piynkny zwyczaj trza pielyngnować, bo musi łon przetrwać do nastympnych pokolyń, bo to przeca nase, ślonskie! Choć wymołgoł łon dużo roboty i cierpliwości, licy sie efekt końcowy. Krusonki to nas produkt regionalny, chyttnie kupowany przez auslyndrów, ftorzy przijyzdzajom do nołs na bezuch z cołej Europy.

Bibliografia:

- Cząstka-Szymon B., Ludwig J. Synowiec H. „Słownik gwary Górniego Śląska”, Wyd. Leksykon, Wydanie drugie poprawione, 2000.
- Jasiński Bogdan „Opolskie kroszonki”, Wyd. Związek Śląskich Rolników w Opolu, 2013.
- Lipka Jerzy „O jajku prawie wszystko, czyli o wielkim dziele sztuki na małej skorupce”, Wyd. NOWIK sp. j. 2005
- Wywiad z panią Ritą Gryc.
- Prywatne zdjęcia Rity Gryc.
- www.wikipedia.pl

WYRÓŻNIENIE **„LEGYNDA ŁO KACMIE, FTORYJ ŚLOŁD ZAGINOŁ”**

Autor: Jesika Lysy

ZGS w Zębowicach
Opiekun: Barbara Puchała

(...) każdy mit, każda legenda musi mieć jakieś korzenie. U tych korzeni coś leży.

Andrzej Sapkowski

Miyskom we małyj wiosce, ftoł nazywoł się Knieja. Łostało nołs ino 280 ludzi, bo resta wyjechała do Niymiec za robotom. Z kołzdyj strony widać lasy i ło tych lasach ołpa łosprawioł mi zawse, jak mioł trocha casu. Chciałabych właśnie dzisieij łopisać Wom takol legynnda: *Downo, downo tymu, za starego piyrwyj sto metrow w bok łod drogi, co idzie w strona Chobio, stoła srogoł, drewnianoł kacma. Postawioł jom jakiś bogaty gospodołtr kniejski, ale jak się nazywoł, tego juz zołdyn nie wiy. Do tyj kacmy łazyli chopy i baby, piyli gorzałka i tańcowali. Nieftorzy sykowali tam krzciny, wesela, skórki i inksze fajery.*



Jednego roku, bez wielki post, tys tam boła zabawa. Ludzie bawiyli sie na catego przzi muzyce, aż narolż rozpynał sie srogi gewiter. Corne chmury zakroły całe niebo, zrobiola sie łokropno wija i zacla łomać wszystkie stromy. Do tego jesce gichnoł desc. Wszystkie łoslepioły blice. Narolż ftoś, albo coś zacla sie łokropnie śmiołć, pisceć i ryceć. Nołgle srogo blica drzistła w kacma i łona sie zacla pollic. Do tego zymia sie rozwarła i ja wciongła pod siebie razym z tymi wszystkimi grzesznikom. Ludzie tłumacom sie to tak, iz Ponbocek ukoroł wszystkich, ftorzy tam byli, bo bez post zołdyn nie śmiy fajrować.

Tera je tam srogoł dziura, na ftorzy nic nie rośnie. Pownoś, jak sie tam jedzie po ćmoku, to z tyj dziury słyhać jakby ftoś groł muzyka. Mozno do tera je tam ta kacma? Na tym placu stoła piyrwyj wiejskoł kacma. Ołpa mi padoł, ze nieftorzy łosprawiajom ło tyj kacmie inkszo bojka, ftoł tys chca Wom pejdzieć:

Dzielo sie to downo, fest downo tymu. W Knieji miyskało kans gryfnych dziolchow, a nojgryfnijyszo z nich boła jedna Rozalia. W tyj Rozalii zakochał sie jyj somsiad, Jan. Łon ja kochał, jak zodnego inksego na świecie, a łona go tak samo. Jak śli bez wieś, wszyjscy sie za niymi łobrołcali, bo wyglondali jak z łobrołzka. Znali sie łod dziecka i juz downo łobiecali, ze sie pożyniom. Jednego dnia Jan dostał powołaniy do wojska, bo gynał wtedy wybuchała wojna. Zołdyn sie go nie pytoł, chce abo nie chce- musioł pakować manele i rusać na front.

Ciynzko mu boło na sercu, bo nie chcioł łostawić samyj swojyj dziolchy.

Kiedy sie trefyli, to Jan pejdziol jyj tak:

– Moj ty kwiołtusku kochany, musa iś na wojna.

Rozalia, jak to usłysała, zacla beceć:

– Ło moj ty biydoku! Dyć mi cie tam zabijom i co biydn pocna sama na tym świecie! Camu genał ty!?!...

– Nie be mie doś dugo, ale joł Cie tak bardzo kochom, ze na pewno po wojnie po ciebie przidam. A ty na mie cekej!

– Joł byndam na ciebie cekać, tak dugo, ile be trza- padała dziolcha.- Mos tu moj pieszczonek, zebyś ło mnie pamiyntoł.

Jan uwierzol w to, co mu pejdziata jego ukochanoł. Wzion gysiynek, doł kusika i rusol przed sia.

Wojna ciongła sie jednak bardzo dugo, mijoł dziyń za dnym, miesionc za miesioncym, rok za rokijm, a synka dalej nie boło...

Rozalia boła modom, gryfnom dziolchom. Miała dugie, jasne wosy, niebieskie choby świe-tlicka łocy i różowe wargi. Durch sie śmiola, bez to łoltali za niom chopcy. Nie czwało dugo, a zapomniała ło łobietncy, wtoro dała Janowi.

Zawrociol jyj w gowie Karol z Chołbia. Wozioł jyj maskety i ketki, prawioł słodkie słowka i tańcowol z niom w kozdoł sobota. Ani sie łobejrzała, a juz byli po słowie. Cuła sie przy nim bardzo szczynśliwoł.

Zacły sie przigotowania do weseloł. Łojciec Rozalii zabiol wieprzka, narobioł przewusztu, krupniokow, zymlokow i wusztu. Kobyty napiykły kołoca z jagodami, syrym i z makiym. Potyn narychtowały piyknie kacma i łobstrojyły kościol...

Wojna sie skońcoła, zadowolony Jan wrocoł do chałpy. W ryncie ścisokoł pieszczonek łod swojyj dziolchy i mysoł, jak jom wreście uściskoł. Jak boł jedna wieś przed Kniejom, dowiedziol sie łod zebroka, ze w kacmie je srołgie wesele. Boł bardzo ciekawy, fto sie żyni i posol tam łobejrzeć.

Juz sie ćmiolo, jak zasol pod kacma. Zajrzol bez łokno do środka...

Patrzy, patrzy a tam hołda ludzi, ftorzi tańcowali i śpiywali. Musieli juz mieć fest w cubie, bo na stołach boło połno proznych flasek. Coś go podkusioło, zeby pocekać jesce trocha pod tym łoknym i obejrzeć fto to sie żyni. Po połtru minutach dojrzoł wreście modol żonka. To boła jego Rozalka!!! Zrobiol sie bioły jak papier i brakło mu dechu. Jak przisoł do siebie, zaklon pod nosym:

– Do stu piorunow! Niech zymia weźnie ze sobom ta niewierno kobyta i wszytkich ludzi, ftorzi sam som! Nołgle wszytko zacło sie rusać, zymia pochłonoła tych ludzi i srogoł kacma, tak jak to som Jan padoł. Pownoś do dziś dnia na tym placu dziejom sie rozmaite rzeczy, ludzie łomijajom to miejsce z daleka, bo sie bojom sił niecystych.

Jak to w kozdyj legendzie: ździebko prowdy i ździebko cygaństwa. Ale fajnie się sucho, pra?

Źródła:

- rozmowa z Ernestem Lysy
- rozmowa z Heleną Kuzior
- „Wielka księga Zębovic”
- zdjęcie wykonała autorka pracy
- rysunek karczmy wykonała autorka pracy

WYRÓŻNIENIE „SPEŁNIONA OBIETNICA”

Autor: Julia Panic

ZGS w Zębowicach
Opiekun: Barbara Puchała

Tak długo, jak coś żyje w ludzkiej pamięci, nie rozplywa się w niebycie.

Jodi Picoult „Dziewiętnaście minut”

W dawnych czasach, jak mówi legenda, otaczające gminę Zębowice lasy nawiedzały watahy wilków. Mieszkańcy, chcąc bronić swego dobytku, budowali na nie pułapki – kopali olbrzymie doły i maskowali je chrustem. Gdy drapieżnik ugrzązał w sidłach, nie miał szans na uwolnienie i ginął z głodu lub z rąk zdesperowanych chłopów. Ale nie tylko wilki wpadały w zasadzki.

Pewnego razu mieszkańcy Knieji zorganizowali w karczmie zabawę z okazji udanych żniw. Zaprosili muzykantów z pobliskich Zębowic, żeby przygrywali im do tańca. Barcik, Etmunt, Lucek i Hanik z radością przyjęli zaproszenie, bo kniejskie panny słynęły z urody i wdzięku. Im też nic nie brakowało: Barcik był wysokim urzekającym blondynem, Etmunt zaś dowcipnym i charyzmatycznym brunetem, Lucek tymczasem umiał każdą młodkę namówić do tańca, a Hanik imponował dziewczętom swoją siłą i energią. Świetnie się bawili. Ludzie jedli, pili, bawili się i tańczyli do samej północy, a gdy opadli z sił, postanowili powrócić do swych domów. Nikt nie pomyślał o biednych grajkach, którym w środku nocy przyszło samotnie wędrować przez las.

Barcik, Etmunt i Lucek wyruszyli przed pierwszą godziną, zostawiając Hanika, który obiecał pomóc w sprzątnięciu karczmy. Etmunt przyspiewywał po cichu ludowe piosnki, a Barcik z Luckiem przygrywali mu na skrzypkach, by dodać sobie otuchy. W oddali było słychać wycia wilków. Noc była wyjątkowo ciemna, a mrok rozjaśniała tylko tarcza księżyca. Muzykanci starali się patrzeć pod nogi, ale co chwilę potykali się o jakąś gałąź. Odetchnęli dopiero na skraju lasu, gdy ujrzeli przebliski światła. Tracąc swoją czujność, szybkim krokiem ruszyli w kierunku wsi.

Gdy byli już na skraju lasu, uradowani stracili swoją czujność. Zapomnieli, że tego dnia ludzie z Zębowic, kopali nowe doły na drapieżniki, które nocą nie dawały im spokoju i zagryzały zwierzynę. Na jeden z tych świeżych wykopów natrafił Barcik, którego dodatkowo popchnął niecierpliwym Lucek. Po chwili zorientowali się, że wpadli do pułapki, w której chwilowo bawiły wilki. Na szczęście nie poturbowali zwierzaków, bo mogło by się to dla nich tragicznie skończyć. Niestety, Barcik pod wpływem silnego upadku złamał nogę w kolanie, a Etmunt skrzył kostkę. Lucek ucierpiał najmniej – lądując na kolegach doznał tylko paru zadrapań.

– Pomocy! Ej ludzie! Je tam fto?! – zaczęli wołać przerażeni.

Szybko zorientowali się, że nikt ich nie usłyszy.

– To je darymne. Tu nikaj nie widać chałpów – rzekł zrezygnowany Lucek. – Musimy yno dować pozor, coby te wilki nołs nie zezarły.

– Jak bandziemy kans i gošno wrzesceć to moze wilki ucieknom i dajom nom pokoj – poradził Etmunt. – Bandziemy śpiywać i zabrzencymy do Anioła Stroza, možno nołs wysucho. Na ten cas tyła mozymy yno zrobić i cekać. Łon jest nom w stanie pomoz. – wyciągnęli swoje skrzypki i odśpiewali pieśń do Najświętszej Marii Panny:

*Paniynko nasza, co w niebie królujesz
I jak poranno gwiozdka nad swiatym blyndujesz.
Tyś już za starego piyrwy była wybrano,
Byś Ponboczka Mamulką była ukochaną.
Poradziłaś Ty yno piyrszemu grzychowi,
A co sie niy udało łojcu Adamowi.
Innoś ty je niź Ewa, zgniotłaś łeb diabłowi,
Co chcioł w węża przebraniu szkodzić człowiekowi.
Panno Maryjo co dycki wysłuchosz kōżdego,
Wykludź nos z tyj dziury, a postawimy Ci kaplicka!
Piynknie cie tyż proszymy Paniynko Maryjo,
By synek Twój, Ponboczek te rzykania przijon!
Pochwalon być Ponboczku we Trójcy jedyny,
Do Ciebie tak wołamy twe syny.
Paniynko Swiynto, kero ludziom pszajesz
I Ponboczkowe łaski pobożnym rozdajesz.
Ty na wysokim niebie siedzisz we koronie,
Ale nos fest grzeszników mosz w pewnyj obronie.
Tyś je we większym blasku niź krzok łod Mojżyszso,
Kery goreje dobrym i ludzi pociyszso.
Tyś niy yno Mamulką Ponboczka naszego,
Ale wszystkich krześcijan, człowieka kōżdego.
Panno Maryjo co dycki wysłuchosz kōżdego,
Wykludź nos z tyj dziury, a postawimy Ci kaplicka!*

Śpiewali tak bez przerwy. Wilki przestraszone głośną muzyką skuliły się w kącie i zaczęły popiskiwać. Biedni grajkowie nie mogli już śpiewać, gardła im wyschły z braku wody. Zaczęli po cichu robić rachunek sumienia i żegnać się z tym światem.

O świcie Anioł Stróż zlitował się nad nimi i zesłał ratunek. Usłyszeli kroki i wesoło podśpiewywanie – ktoś szedł w ich kierunku!

– Ej! Chopy! – budził kolegów Etmunt. – Słyszycie no? Wtoś sam lyjzie.

– Fto tu sie plynce tak wcas? – odważnie zapytał Lucek.

Wtem ktoś podbiegł i zapytał:

– Chopcy, co wy sam robicie? Alech sie wystrasoł, jak zech wos nikaj nie umioł znojs!

Hanik pochylił się nad wykopem. Gdy zobaczył kolegów nie mógł powstrzymać łez radości, ale zaraz się cofnął, bo dostrzegł skulone wilki.

– Hanik, dobrze ze to ty. Jus my myśleli ze po nołs i zezrom nos te bestyje – zaczął lamentować Bercik.

– Nigdych sie tak nie radowoł, ze cie widza jak tera. – powiedział Etmunt.

Hanik zmarszczył brwi i fuknął na nich:

– Wezna jakoś gałąź i wołs wyciongna stond, a potyn powiycie mi, co zejście narobiyli ze sam siedzicie jak ejzle.

Oddalił się na chwilę, by poszukać jakiegoś solidnego kija, który wytrzymałby ich ciężar. Muzykanci wydostali się i wrócili do domów, dziękując za wybawienie z opresji Aniołowi Stróżowi. Opowiedzieli wszystkim o swojej przygodzie i bardzo szybko dotrzymani swej obietnicy – wybudowali kapliczkę wotywną. Na przedniej ścianie postawili Anioła Stróża, a do środka powiesili obrazek z Matką Boską.

Opisana przeze mnie legenda ma też swoją wersję wierszowaną pt. „Cud – kaplica, której autorem jest Josef Lyssy z Düsseldorfu:

*Ponad trzystuletnie to dzieje
Na drodze z Zębowic do Knieje
Na niebezpieczne wilczury
Kopali ogromne dziury
Chrusem je przykrywano
Przy tym o muzykantach zapomniano.*

*I tak razu pewnego nie wilczury
Lecz muzykanci wpadli do dziury
Muzykanci oczom nie wierzą
W kącie wilki zęby szczerzą
Już są przy testamencie
Ale Anioł Stróż przybył
w tym momencie.*

*„Na trąbkach Boga wychwalają
O cud nagle strachu nie znają
Wilki złęknione w kącie się ściskają,
Słyszą jak pobożnie grają.
Muzykanci widzą gwiazdy na niebie,
Każdy szepcze do siebie
Aniele Boże Strózu mój...
Żadne talary i znój.
Nie będę skąpił tobie Boże
Nie pozwól mi umrzeć w tej norze.*

*Już spełnia się Boga wola
Zdyszani lecą przez pola.
Anioł Stróż drogę wskazuje
I tak muzykantów ratuje.*

*Trąbkorze słowa dotrzykali
Dla Anioła kaplicę wybudowali.
Na drodze z Zębowic do Knieji stoi „Piękna Panna”
Na cześć Anioła i dla Maryji hosanna!*

Kapliczką od lat opiekuje się rodzina Lyssy. Co roku zmierza do niej procesja błagalna o urodzaj. Zawsze podobał mi się jej prosty wygląd. Zbudowana na planie kwadratu kapliczka jest ceglana z dwuspadowym daszkiem i dwoma murkami po bokach. Na jej szczycie widać odlaną postać Anioła Stróża. Za nim widnieje metalowy krzyż. Obecnie w środku stoją dwie figurki Matki Boskiej. W okienku, zwieńczonym łukiem, widać jeszcze obrazek z Janem Pawłem II, ozdobiony żółtymi kwiatami. Wokół kapliczki posadzono żywopłot i dodatkowo ją ogrodzono.

Źródła:

- „Wielka Księga Ziemi Zębowickiej”
- „Piękna Panna” Małgorzata Waliczek
- „Biblia Ślązoka” Marek Szołtysek

„KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ I ŚWIĘTEGO WOJCIECHA W GRODŹCU”

Autor: Magdalena Gruszka

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik- Libor

Grodzic (niem. Friedrichsgrätz) – wieś w Polsce położona w województwie opolskim, w powiecie opolskim, w gminie Ozimek. Wieś została założona w 1752 r. wśród lasów jako kolonia czeskich husytów, chroniących się w protestanckich Prusach przed prześladowaniami religijnymi. Swoją nazwę otrzymała na cześć ówczesnego króla Prus, Fryderyka II. W 1945 r. wieś została włączona do Polski jako Grodzic. Wieś ma charakterystyczny dla XVIII-wiecznej kolonizacji fryderycjańskiej geometryczny układ przestrzenny. Osią osady jest prosta droga z równoległym kanałem, gęsto zabudowana po obu stronach domami wiejskimi zwróconymi ku niej przeważnie szczytami.

W Grodźcu znajduje się kościół rzymsko-katolicki. Należy on do parafii Matki Boskiej Częstochowskiej i świętego Wojciecha, a także do dekanatu Ozimek w diecezji opolskiej. Zabytek ten wiąże się z bardzo rozbudowaną oraz ciekawą historią.

Wiosną 1945 roku, do Grodźca przybyli nowi mieszkańcy – repatrianci z Kresów Wschodnich. Część wioski była już opuszczona przez Czechów – ostatnich mieszkańców Friedrichgrätz – dawnego Grodźca, którzy należeli do ruchu społeczno-religijnego, który obejmował protestantyzm. Opuścili wioskę w wigilię Bożego Narodzenia 1945 roku wraz ze swoim pastorem. Ze względu na fakt, iż budynek nie był świątynią katolicką, Biłczanie nie odprawiali obrzędów w jego wnętrzu. Początkowo brali udział w mszach świętych w Krasiejowie oraz w kaplicy w Chobiu, niedaleko miejsca osadzenia. Ze względu na brak kapłana, pierwszy sołtys Grodźca, pan Józef Szatkowski zorganizował delegację do Kurii Administracji Terytorium Kościelnego Śląska Opolskiego w Opolu. Kuria bardzo szybko zareagowała w tej sprawie. Po krótkim czasie Grodzic zyskał pierwszego duszpasterza, księdza Wincentego Spyry. Latem 1945 roku, proboszcz dokonał poświęcenia kościoła protestanckiego dla celów kultu katolickiego. W Grodźcu zaczynały odbywać się msze święte oraz nauki rekolekcyjne. Kapłan zmuszony był do zamieszkania w domu prywatnym koło kościoła ze względu na fakt, iż po opuszczeniu Friedrichgrätz przez pastora, ludzie zdewastowali plebanię. Po krótkim czasie, parafii został przydzielony wikary – Wincenty Urban, późniejszy biskup pomocniczy archidiecezji wrocławskiej. Po dwóch latach posługi kapłańskiej, tymczasowy proboszcz został przydzielony do innej parafii. Jego następcą został ksiądz Paweł Bernaisch, który w 1960 roku wyjechał do Niemiec. Następnym proboszczem został ksiądz Edmund Cisak, który swą posługę pełnił 44 lata. Ostatecznie jego miejsce objął w 2005 roku ksiądz Zdzisław Banaś. Pełni on rolę proboszcza do dnia dzisiejszego.

Grodzic, położony wzdłuż drogi wiodącej z Opolu do Częstochowy, został założony w ramach kolonizacji fryderycjańskiej Śląska w 1751 roku jako osada sprowadzonych husytów – Braci Czeskich. Władze pruskie wybudowały dla nich pośrodku wioski, jednonawowy kościół z klinkierowej cegły w stylu neogotyckim. Był to rok 1891. Po II wojnie światowej, w miejsce przymusowo wysiedlonej ludności niemieckiej w 1945 roku, Grodzic zasiedliła ludność polska, która przybyła również w ramach przymusowej repatriacji z dawnych Kresów Wschodnich – głównie z Biłki Szlacheckiej koło Lwowa, z Jeziernej koło Tarnopola, a także

z innych stron. Z powodu, iż była to ludność katolicka, dotychczasowa świątynia protestancka w Grodźcu stała się od tej pory katolickim kościołem parafialnym, który w ciągu minionych lat kilkakrotnie odnawiany i malowany, nabierał coraz bardziej estetycznego wyglądu. W głównym ołtarzu kościoła znajduje się umieszczony w 1961 roku obraz Matki Boskiej, Patronki Sybiraków. W 1974 roku, 23 lipca, biskup Franciszek Jop potwierdził sanktuarium Maryjne w Grodźcu, podnosząc miejscowy kościół parafialny do rangi kościoła odpustowego. Od 1989 roku w tej miejscowości zaczęły odbywać się doroczne pielgrzymki opolskich Sybiraków do swojej Patronki. Pierwszego maja 1994 roku w Grodźcu koronowano obraz Matki Boskiej Grodzieckiej Sybiraków oraz erygowano Sanktuarium Maryjne przez Prymasa Polski, księdza kardynała Józefa Glempa. Jednocześnie zrodziła się myśl utrwalenia tułaczego dziedzictwa Sybiraków – projekt budowy Kalwarii: *wotum – daru* na 10-lecie koronacji Matki Boskiej Biłeczko-Grodzieckiej Sybiraków i 25-lecie pontyfikatu Jana Pawła II. Finałem przedsięwzięcia stało się uroczyste poświęcenie Kalwarii 29 sierpnia 2004 roku przez księdza Arcybiskupa Alfonsa Nossola.

W czasie II wojny światowej, obraz Matki Boskiej znajdował się w Biłce Szlacheckiej w dekanacie lwowskim. W kwietniu 1945 roku obraz został zabrany przez wyjeżdżających do Polski repatriantów z kościoła w Biłce Szlacheckiej i przywieziony do Woli Małej koło Łańcuta gdzie umieszczono go w klasztorze Sióstr Służebniczek. Obraz Matki Boskiej Biłeczko-Grodzieckiej posiada wymiary 150 cm x 85 cm. Jest to obraz barokowy z XVII wieku, olejny, malowany na desce, pochodzi ze szkoły lwowskiej. Przedstawia on Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku, na ciemnowiśniowym tle aksamitu. Postać ukazana *en face* nosi na twarzy dwa cięcia mieczem. Prawą rękę zgiętą w łokciu, z wygiętą dłonią, Maryja opiera na piersiach. Na lewym ramieniu trzyma małego Jezusa, który w swojej lewej ręce podtrzymuje przyciśniętą do boku książkę. Zaś prawa ręka Dzieciątka jest zgięta w łokciu i uniesiona do góry. Spod jego sukni, widoczne są białe stopy. Zarówno matka jak i dziecko przyodziani są w masywne, trybowane, posrebrzane i zdobione w pozłacane kwiaty suknie. Oboje na głowach posiadają pozłacane korony zwieńczone krzyżami, a wokół głów aureole ze złotych gwiazd. Gałązki kwiatowe i obramowanie sukien są pozłacane, a twarz i ręce obu postaci są utrzymane w tonacji żółto-brązowej. W 1961 roku proboszcz Grodziec Edmund Cisak przejął obraz Matki Boskiej od sióstr spod Łańcuta i przywiózł go do swojej parafii. W następnych latach kościół parafialny kilkakrotnie podnoszony był do rangi kościoła uprzywilejowanego. Słynący łaskami wizerunek Pani Grodzieckiej, przyciągający coraz bardziej dawnych kresowiaków, a zwłaszcza sybiraków, sprawił, że kościół w Grodźcu zaczął być uważany za sanktuarium Matki Boskiej, patronki Sybiraków. Wyproszone za wstawiennictwem Pani Grodzieckiej łaski, na przestrzeni wieków nie były spisywane. Jedynym dowodem były wota, które w większości poginęły. Ocalało ich niewiele. Znajdują się one w kościele parafialnym po obu stronach ołtarza. Okupacja sowiecka Kresów Rzeczypospolitej Polskiej od 17 września 1939 roku spowodowała prześladowanie ludności polskiej, wywozy na Sybir, do łagrów, więzień i obozów zagłady. Dlatego też przed każdą mszą świętą na powitanie obrazu lud śpiewa starą pieśń biłeczka: „Z radością wielką głosimy, Twoją Maryjo cześć, chwałę. Wzorem swych przodków Cię czcimy, bo tu swe miejsce obrałaś. O Grodziecka Matko droga, w wierze chciej utwierdzać lud. Bądź pośredniczką u Boga, wzmacniaj na życia trud”.

Parafię w Grodźcu zamieszkuje 1820 osób. Zasięgiem duszpasterskim obejmuje ona trzy miejscowości: Grodziec, Mnichus oraz Chobie. Natomiast kościół otacza opieką klasztor Zgromadzenia Sióstr Świętego Feliksa z Kantalicjo Trzeciego Zakonu Regularnego Świętego Franciszka Serafickiego, zwane również Zgromadzeniem Sióstr Felicjanek. Niestety od kilku lat dom zakonny stoi pusty.

„WODA PRZECIW WODZIE, CZYLI JAK POWSTAŁO JEZIORO TURAWSKIE”

Autor: Natalia Jarocka

ZS w Ozimku

Opiekun: Barbara Gawlik- Libor

Zapewne wielu z nas było kiedyś nad jeziorem. Miło spędzaliśmy czas kąpiąc się w chłodnej wodzie, opalając gdy pogoda dopisywała i spacerując po piaszczystej plaży, pozwalając aby wiatr czesał nam włosy. Ja osobiście w każde wakacje bywałam w Turawie na dużym jeziorze, by odpocząć i miło spędzić czas z rodziną i znajomymi. Do tej pory nigdy jednak nie interesowałam się jak powstało to kąpielisko. Wiedziałam, że jest to sztuczny zbiornik, ale nic poza tym. Kiedy dowiedziałam się całej historii powstania jeziora, byłam bardzo zaskoczona.

W kwietniu 1903 roku niespodziewanie przez trzy dni padał śnieg. Kiedy stopniał, okolice zamieniły się w jeden wielki ocean. Widoczne były tylko małe wysepki, które w rzeczywistości były Kotorzem Małym i Kotorzem Wielkim.

Woda sięgała po pas. Chłopi okładali workami z piaskiem brzegi Małej Panwi, by żywioł nie dotarł do ich gospodarstw. Gdy woda opadła, a rzeka wróciła do swego koryta, ludzie zastali rozkładającą się padlinę, której musieli się szybko pozbyć, by nie wybuchła epidemia. Powódź uszkodziła także wiele tysięcy drzew. Wykarczowano 140 000 kubików drewna. Po 6 miesiącach w miarę normalnego i spokojnego życia, wioski zalała kolejna fala.

Do tej pory nie wiadomo kto tak właściwie wpadł na pomysł wybudowania sztucznego akwenu w okolicach Turawy, ale podobno był to Adolf Hitler. Prawdopodobnie zachwyił się okolicą podczas wizytowania Otmuchowa.

W 1913 roku zaczęto przeprowadzać pomiary geograficzne, ale zostały one ukończone 15 lat później z powodu wybuchu I wojny światowej.

16 kwietnia 1933 roku Adolf Hitler podjął decyzję o natychmiastowej budowie zbiornika retencyjnego, aby zakończyć problem wylewającej się Odry. Pod koniec maja w Turawie odbyła się komisja rządowa, która zezwoliła na budowę jeziora.

Od pewnego czasu wśród mieszkańców można było dopatrzyć się podniecenia i napięcia. Przed posiadłościami mieściły się toboły ze spakowanymi rzeczami. Ludzie wychodzili z domów, biegali do sąsiadów wymachując rękami i śpiewając przy tym wesołe pieśni. Młodzi cieszyli się z opuszczenia obecnego miejsca zamieszkania na rzecz przeniesienia się do przygotowanych już wcześniej dla nich nowych domów w Ligocie Turawskiej, Dębskiej Kuźni i Zakrzowie Turawskim. Starsi jednak nie dzielili ich zapału. Woleli pozostać w dawnych domostwach. Jednak decyzja została już podjęta.

Więści o rozpoczynających się pracach szybko się rozniosły. Robotnicy z najdalszych zakątków w zawrotnym tempie zjeżdżali się do Turawy. Zarobki były dużo wyższe niż w centralnej Rzeszy, więc nawet kobiety wstępowały do brygad budowlanych.



Wraz z rozpoczęciem pracy ziemia zaczęła odsłaniać swoje tajemnice. Łopaty zamieniono na miotełki, a robotników zastąpili niemieccy archeolodzy. Okazało się, że 20 metrów pod ziemią ukrywał się świat z III wieku naszej ery.

Zabytki późnorzymskiej kultury zostały uratowane przed zatonięciem, ale uszkodziła je wojna. Ich znaczna część w 1956 roku wróciła z Brna do Warszawy, a potem do muzeum w Opolu. Archeolodzy odkryli także dwa całopalne cmentarze, ale z powodu braku czasu nie mogli ich dokładnie zbadać. Wiemy tylko, że jeden z nich: 700 metrowy jest położony koło Kotorza Wielkiego, a drugi naprzeciwko Szczedrzyka.

W 1938 roku cała posiadłość Walentego Kensego z Kryśliny zniknęła pod wodą na zawsze. To samo stało się z wszystkimi innymi gospodarstwami na obszarze 22 kilometrów kwadratowych pomiędzy Szczedrzykiem, Kotorzem i Turawą.

Budowanie akwenu było bardzo ciężką i czasochłonną pracą. Jednak ludzie chcieli zostać zatrudnieni przy budowie zbiornika. W czasie układania wodoszczelnego fartucha iłowego trzeba było zachować czystość budulca. – Robotnicy nie mogli w żadnym wypadku, czy to na rękach, czy na narzędziach wnieść najdrobniejszej ilości piachu – wyjaśnia Alfred Kupka, turawski pasjonat historii, który zna od podszewki technologię budowy zbiornika. – Pracownicy musieli zmieniać obuwie, gdy wchodzili na teren układania łu. Sześć hektarów dół przeobraził się w staw nazywany do dziś przez miejscowych Thonloch, od niemieckiego słowa thon, czyli łu. Koryto zajmujące 12 hektarów o głębokości 17 metrów wypełniła woda, tworząc Jezioro Srebrne. Pojawiły się także sąsiadujące z nim wodne akwenu: Jezioro Średnie i Jezioro Małe.

Wiosną 1937 roku okolice przyszłego jeziora zazieleniły się po raz pierwszy. Do obsadzenia użyto 100 000 sadzonek ze specjalnymi gatunkami traw, krzewów i drzew, które pochodziły z zalanych wiosek.

Kiedy Hitler dokonywał aneksji Australii, do zbiornika w Turawie wlewała się woda. Mieszkańcy zapomnieli o zbliżającej się wojnie. Wkrótce robotników zastąpili jeńcy z Anglii, Włoch i więźniowie narodowości żydowskiej. Ludziom mieszkającym w okolicy nie wolno było się do nich zbliżać pod groźbą surowych kar. Elżbieta Gwionda ze Szczedrzyka pamięta jak wychudzeni ludzie jedli ślimaki podrzucane im przez dzieci i chleb pozostawiany w szczelinach płotu.

Do dziś ludzie zastanawiają się dlaczego na kilka lat przed wojną Hitler postanowił wybudować w Turawie zbiornik retencyjny, skoro planował już działania wojenne. Chodzą także pogłoski o rzekomym odnalezieniu wejść do podziemnych fabryk ukrytych pod dnem jeziora. Miały by tam być przygotowane rakiety V1 i V2. Podobno mnóstwo ludzi o tym wiedziało, ale mieli obowiązek milczeć aż do śmierci. Dlaczego jednak nikt o tym nigdy nie wspomniał? Rzekomi odkrywcy piszą – „niewolnicy nigdy nie oglądali światła słonecznego, byli izolowani od lokalnej społeczności w podziemnych barakach, a po skończeniu robót oślepieni. Czasem nawet pozbawiani języków i transportowani nocą ciężarówkami na stację kolejową w Kotorzu Małym, skąd rozwożono ich do obozów koncentracyjnych”.

Obecnie Jezioro Duże w Turawie jest miejscem rekreacyjnym i wypoczynkowym. Nikt nie przyjeżdża tam, by dowiedzieć się historii powstania kąpieliska, tylko aby odpocząć. Kiedyś też zupełnie o tym nie myślałam. Zależało mi tylko na tym by miło spędzić czas. Teraz wiem, że gdy będę tam przyjeżdżał nic nie będzie już takie same. Poznałam historię tego miejsca i teraz do głowy w dalszym ciągu przychodzą mi pytania na które nie umiem znaleźć odpowiedzi. Dlaczego właśnie w Turawie Hitler postanowił wybudować sztuczny zbiornik wodny? Przecież w Polsce jest tyle pięknych miejsc. Czemu akurat w miejscu gdzie mieszkali ludzie? Było tyle łąk i pól, które można było zagospodarować w ten sposób. Czy to prawda, że chciał pod jeziorem budować rakiety, które pomogą mu wygrać wojnę? Jedno wiem na pewno: nigdy w pełni nie będę mogła odpowiedzieć na te pytania.

„WILCZY POMNIK” Autor: Bartosz Witkowski

ZGS w Zębowicach Opiekun: Barbara Puchała

W gminie Zębowice, w pobliżu Kosic oraz Radawia, stoi Pomnik Wilka. Niektórzy nazywają go też Wilczym Kamieniem, ponieważ tylko tyle z niego pozostało od 15 maja 1927 roku. Z powstaniem tego pomnika wiąże się kilka opowieści.

Jedna z nich mówi, że 15.05.1927 r. nadleśniczy z Kosic, Hagen, jedząc śniadanie w lesie, został zaatakowany przez wilka. Po zastrzeleniu zwierzęcia doniósł o zajściu panu von Aulockowi, właścicielowi okolicznych lasów, który wysłał łeb wilka do Wrocławia, w celu dokonania ekspertyzy (był on tam pokazywany na wystawie). Dwa lata później w miejscu zajścia major polecił wznieść pomnik wilka. Na kamieniu umieszczono miedzianą tabliczkę z wrytą sylwetką zwierzęcia. Tablica ta zaginęła.

Przed stu laty na tych terenach wilki były rzadkością. Miejscowi podejrzewali, że przeszły przez zamrzniętą Wisłę z głębi Polski, szukając pożywienia podczas wyjątkowo ciężkiej zimy. A zima w roku 1929 była bardzo surowa, temperatura spadła do -35 stopni Celsjusza. Padały dzikie zwierzęta, woda w studniach zamarzała, a zwierzęta gospodarcze trzymano w domach. Bardzo ucierpiały drzewa owocowe. Za to upalne i słoneczne lato zaowocowało w dobre zbiory. 18.06.1931 r. przez wieś przeszedł orkan. Ogromny wichur pozrywał dachy, wywracając nawet mury. W lesie zniszczył drzewostan oraz najprawdopodobniej pomnik poświęcony wilkowi. Miejscowi, opowiadają tę historię, używając pięknej gwary, ale, jak to bywa z przekazami ustnymi, wiele faktów jest zmienionych, niektóre dodane, a inne zapomniane.

A bóło to tak:

Na pocóntku 1900 roku we Kosicach miyskoł fejster, ftory nazywoł się Hagen. Ból rok 1927. Nastala łostról zima. We Rosji zamarzyły wszystkie rzyki. Bug tyz zamarznoł i tak z daleka – jak łosprowioł moj ujek – przisoł sam do nos wilk. Fejster Hagen, jak znoł jego ślady, poznoł ze to je jakiś cudzy zwiryz i łazioł za nim, az go dopadnoł. 15 maja 1927 roku Hagen zastrzełoł wilka. Nase zakopali go i postawiyli pomnik . Na pamiontka tego zdarzynioł wieś Kosice zmiynioła nazwa na Wolfshagen i tak się mianowała az do końca II wojny światowyj. Po wojnie pomnik sie zniscoł, to na tym placu położono kamiynie. Postawiono tablicka ze napisym, datom i fto zabiół tego wilka. Namalowany boł tyn wilk.

Spróbuję opowiedzieć legendę o wilku swoimi słowami:

Prawie sto lat temu gminę Zębowice, podobnie jak resztę kraju, nawiedziła wyjątkowo ostra zima. Tak niskich temperatur nie pamiętali najstarsi ludzie. Stawy, jeziora i rzeki skuła gruba warstwa lodu. Ciężko żyło się nie tylko ludziom, ale i leśnej zwierzynie, którą opiekował się leśniczy Hagen .

Pewnego dnia, podczas obchodu swojego rewiru, dostrzegł on na śniegu świeże ślady. Bardzo się zaniepokoił, bo rozpoznał trop wilka. Pomyślał, że pewnie głodny drapieżnik przywędrował z południa w poszukiwaniu pożywienia. „Byle tylko nie wyjadł mi całej zwierzyny i nikogo nie skrzywdził” pomyślał. Gdy wrócił do domu po dniu ciężkiej pracy, nie mógł zapomnieć o nieproszonym gościu. Kiedy odpoczywał sobie spokojnie w swej leśniczówce, przyszła do niego Wronowa – piękna niewiasta w średnim wieku, która wzrostem dorównywała leśniczemu. Od razu, kiedy tylko przekroczyła próg, zaczęła wypytywać o plotki związane z obecnością wilka.

– Panie Hagen czy to prawda że w pobliskich lasach grasuje wilk ? – zapytała.

– Tak mi się wydaje – odparł Hagen. – Zauważyłem że w lasach są jakieś dziwne ślady, śmiem podejrzewać, że są to ślady wilka.

– O matko! – krzyknęła przerażona – Moje dzieci codziennie biegają do lasu!

– Niech się pani nie martwi – uspokajał kobietę – wilki nie atakują za dnia.

Kobieta nie dawała za wygraną, cały czas ciągnęła temat i chciała wiedzieć, jak on się tu pojawił i co będzie dalej.

– Jeśli to prawda, to co ma pan zamiar z tym zrobić? – zapytała uparta chłopka.

– Obiecuję, że znajdę to zwierzę i zastrzelę, żeby pani mogła spać spokojnie.

– Jeżeli uważacie, że dacie radę to trzymam was za słowo, bo inni gospodarze powiedzieli, że jeśli wy się nie zgodzicie, to sami urządzą wyprawę, żeby zabić wilka.

Wieczorem, po umyciu się i przeczytaniu kilku stron książki, Hagen położył się do łóżka, ale długo nie mógł zasnąć. Wciąż widział zatroskaną twarz kobiety i zastanawiał się, jak wytropić wilka. Wiedział przecież, że to niezwykle inteligentne zwierzę i nietłatwo je podejść.

Następnego dnia wstał skoro świt i ruszył w kierunku wsi. Zapukał do drzwi Piechów. Gospodarz zaprosił go do środka i poczęstował dobrym, obfitym śniadaniem a sam poszedł do obory oporządzić zwierzęta. Gdy wrócił, zapytał:

– Co was do mnie przyniosło, panie Hagen? Przecież ja już nie kłusuję – dodał zdenerwowany.

– Nie o to chodzi. Zna pan las jak własną kieszeń, więc pomyślałem sobie, że mógłby mi pan pomóc...

– Na pewno chodzi panu o tego wilka! – przerwał mu podekscytowany chłop. – Kilka dni temu widziałem jego ślady!

A Żona gospodarza dodała:

– Wiecie co, on chyba urządził sobie z naszego kurnika spiżarnię, bo ciągle znikają mi kurczaki!



Leśniczy zaśmiał się pod wąsem i zwrócił się do gospodarza:

– To co powiecie na godzinę 20:00 koło mojego domu?

– Będę punktualnie – odparł chłop.

Hagen wrócił do leśniczówki i postanowił chwilę się zdrzemnąć, bo wiedział, że czeka go bardzo pracowita, ciężka noc. O północy zbudził się, zrobił kanapki i bardzo ciepło się ubrał. Wziął lampę i torbę, przerzucił dubeltówkę przez ramię i wyszedł. Przed drzwiami czekał już Piech. Mężczyźni bardzo szybko wytropili wilka, który nawet nie oderwał pyska od upolowanego zająca, gdy dopadł go pocisk ze strzelby leśniczego. Zwierz padł martwy, a obok jego ciała powiększała się plama krwi, która po chwili zamarzała na mrozie.

Następnego dnia rano Hagen odwiedziły kobiety z Radawia, które miały dla bohatera różne dary.

– Bardzo panu dziękujemy! – wykrzyknęła uradowana

Wronowa. – Nie będę się już martwiła więcej o moje dzieci biegające do lasu.

– Nic się takiego nie stało, ja po prostu wypełniłem swój obowiązek – odrzekł onieśmielony mężczyzna.

– Ale jak to nic takiego, dla nas to bardzo ważne! – krzyknęła Piechowa.

– A mój mąż powiedział, że zbierze chłopów i postawią pomnik w tym miejscu, gdzie zabiliście wilka – dodała inna z niewiast. – Każdy musi się o tym dowiedzieć i pamiętać przez wiele lat, że leśniczy Hagen zabił wilka i uratował mieszkańców przed tym stworzeniem.

Jak powiedziała, tak się stało.

Zdjęcie przedstawia kamienie leżące w miejscu w którym zabito wilka.

Źródła:

- „Wielka Księga Ziemi Żębowskiiej”, E. Cichoń i M. Dedyk
- Rozmowa z Bartoszem Grabowskim
- Rozmowa z Dominikiem Kanią
- Rozmowa z Gerardem Wonssem
- „Ze Śląskiem na Ty”, Krystian Czech

„KANAL ŁĄCZĄCY ZAWADZKIE Z PLUDRAMI”

Autor: Dagmara Beldzik

PG w Dobrodzieniu

Opiekun: Dorota Puchrowicz

Mieszkam w Pludrach. Niedawno zainteresowała mnie historia mojej miejscowości. Szukałam informacji w Internecie, ale na Wikipedii było tylko napisane tak: „Przed drugą wojną światową wieś znajdowała się w granicach Niemiec. Do 1936 roku nosiła nazwę *Pluder*, a po 1936 r. *Wildfurt*”. Postanowiłam poszukać w innych źródłach. W domu znalazłam książkę, a raczej książeczkę, było tam dużo informacji, ale nie wzbudziły one mojego zainteresowania. Było tam napisane ile mieszkańców było w którymś tam roku, ile było wtedy budynków, kilka wzmianek o starej szkole, że był jeden nauczyciel na stu uczniów i wszyscy musieli się zmieścić w jednej klasie (...) Teraz w starej szkole jest biblioteka.

Doszłam do miejsca, gdzie było napisane o Kronice. Słyszałam o niej już wcześniej. Mama powiedziała mi, że stacja kolejowa była wybudowana w 1923 roku i nikt nigdy nie słyszał, żeby była remontowana... Pludrach była niedawno poczta, ale ją zlikwidowano i przeniesiono do Dobrodzienia. Tylko tyle dowiedziałam się od mojej mamy. Szukałam jednak dalej. Poprosiłam dziadka, żeby mi opowiedział jakąś historię, ale on powiedział, że potrzebuje czasu na zastanowienie się i, że do mnie zadzwoni jeśli coś mu się przypomni. Czekałam z wielkim zniecierpliwieniem na telefon od dziadka. Po kilku dniach zadzwonił z radosną wiadomością, że chce mi o czymś opowiedzieć... Oto fragment Jego opowieści.

„Wszystko zaczęło się w Zawadzkim. Tam powstała huta Stali. Trzeba było transportować ogromne ilości rudy, a z powrotem żelazo i węgiel, wszystko musiało być dostarczane na czas. Przyszło więc komuś do głowy, żeby wykopać kanał z Kolonowskiego do Zawadzkiego.

Ten kanał jest do dziś. Wzdłuż drogi Kolonowskie – Zawadzkie. Po lewej stronie płynie rów, to jest dawny kanał. Tym kanałem była przewożona stal, ruda żelaza i węgiel. Oczywiście głównym środkiem transportu były barki, pociągane przez konie. Wiedziano jednak, że najtańszym transportem był transport wodny, ale brakowało wody, ponieważ jest to piaszczysty teren. Ludzie doszli do wniosku, żeby wykopać kanał. Wszystko organizował hrabia Kolona, ponieważ to były jego tereny i on miał tam udział. Był właścicielem czy współwłaścicielem (tego dziadek dokładnie nie wiedział)”. Dziadek opowiadał dalej.



„W czasie I wojny światowej wykorzystywano ludzi do kopania kanałów. Był jednak duży problem z doprowadzeniem wody (aż z Koszwic, z rzeki). Ten kanał jest kopany lasami, koło Piły do Pięciu Stawów Pluderskich. W tych stawach była magazynowana woda. Kanał (co szedł z Zawadzkiego na Kolonowskie) był zasilany tą wodą ze stawów. Tak to rozwój przemysłu zmienił w Pludrach krajobraz i powstały jeziora, który mają ponad sto lat. A huta dawała ludziom pracę. Około 1964 roku, latem, było takie oberwanie chmury, że spowodowało powódź. Oprócz jednego wszystkie stawy były zarwane, na szczęście zostały naprawione. Są one do dziś” – skończył z dumą dziadek.

Byłam wdzięczna dziadkowi, że opowiedział mi tą historię, gdzieś głęboko w każdym z nas drzemie potrzeba dowiedzenia się czegoś z życia swojej rodziny, wsi. Czujemy się wtedy silniejsi, związani z jakąś grupą, czy po prostu z drugim człowiekiem. Okazało się, że ta historia wniosła coś nie tylko do mojego życia, ale dziadek częściej się uśmiecha i zagadnął już kilka razy, że może, „coś jeszcze sobie przypomni z lat, gdy był przystojny i młody”. Dla mnie ważne jest to, że jest, kocha nas i wspiera, a może przy okazji przypomni sobie i opowie kolejną ciekawą historię?

Bibliografia

Wikipedia

Zdjęcia archiwalne – zbiory prywatne

Rozmowa z dziadkiem

„POCZĄTKI OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W RZĘDOWICACH” Autor: Kinga Polańska

PG w Dobrodzieniu Opiekun: Andrzej Kniejski

Historia naszej Ochotniczej Straży Pożarnej wiąże się z osobą Alojzego Goja. Urodził się on w Szemrowicach, gdzie Straż Pożarna już istniała. Po ślubie w 1924 r. przeniósł się do Rzędowic i z jego inicjatywy rozpoczęto budowę remizy strażackiej o wymiarach 7,5 x 5,5 m (budynek ten istnieje do dziś), którą ukończono w 1930 r. On też był jej pierwszym kmdantem.

Budowniczymi remizy byli: Franciszek Zajontz, Teodor Gryga i Jan Ochman. Wszyscy byli z zawodu murarzami, a pomagali im miejscowi mieszkańcy. Wyposażenie remizy było bardzo skromne (ręczna pompa, syrena). Pierwsza sikawka ręczna była czterokołowa, niestety oddano ją w 1974 r. na złom, jak również beczkowóz konny o pojemności 600 litrów.

Druhowie nie tylko brali udział w gaszeniu pożarów, ale czynnie uczestniczyli w życiu społecznym wsi.

Po wojnie, ze względu na brak mężczyzn dopiero uchwałą z 3.03.1949 r. reaktywowano Ochotniczą Straż Pożarną w Rzędowicach. Ze względu na stan zdrowia, założyciel Alojzy Gój został jej honorowym członkiem (został ranny w czasie I wojny światowej).

Lista założycieli reaktywowanej OSP w Rzędowicach po II wojnie światowej w 1949 r. wraz z podpisami (dokument z 1967 r.).

Druhowie straży w latach 1930–1968 czynnie brali udział w kontrolach przeciwpożarowych. Co roku przed żniwami po trzech strażaków wchodziło na strychy. Obok wybielonych kominów musiało stać wiaderko z piaskiem, wodą i bosak. Zwracali uwagę na ogólne porządki w gospodarstwach.

W 1953–1955 r. wybudowano zbiornik przeciwpożarowy na Pustkowiu w lasku przy ul. Mostowej. Jednym z pracowników na koparce pracował Józef Zajac. W pracy byli zaangażowani wszyscy mieszkańcy, gdyż do wiejskiego stawu dzieliła ich odległość dwóch mil, co przy konnym sprzęcie było nie lada wyzwaniem.

Strażacy na czele z komendantem Bernardem Kusiem i prezesem Pawłem Niesłonym byli również „komórką” kulturalno-oświatową na wsi. To oni 14 grudnia 1961 r. zakupili telewizor i radio Preludium, gry planszowe (szachy, chińczyk, warcaby, młynek, a dla dzieci „piłkę nożną” i grę grzybobranie) do mającej powstać świetlicy mieszczącej się na pierwszym piętrze budynku w centrum wsi.

W 1962 odbyła się uroczystość otwarcia świetlicy OSP, gdzie był drugi telewizor we wsi (pierwszy w szkole). Strażacy współpracowali z ówczesną kierowniczką Szkoły Podstawowej z Panią Janiną Regner. To ona była pomysłodawczynią i reżyserką przedstawienia pt: „Stryj przyjechał”. Tytułową rolę grał prezes OSP Paweł Niesłony. Brali również w niej udział Jerzy Kuś, Jerzy Dada, Nina Paluch i inni. Sztuka ta zajęła pierwsze miejsce w Okręgowym Przeglądzie Teatrów Amatorskich w Lublińcu. Nagrodą był aparat fotograficzny „Zorka”, który zachował się do dziś.

Dla OSP w Rzędowicach nie było żadnych dotacji, ani z gromady Szemrowice, czy powiatu lublinieckiego. Wszystkie fundusze strażacy wypracowywali sobie sami prowadząc bufety weselne w karczmie, czy też organizując zabawy taneczne. Kupowali węże strażackie, hełmy, drabiny itp. Dopiero 4.11.1971 r. otrzymali pierwszą syrenę alarmową elektryczną, która była zamontowana na dachu Szkoły Podstawowej w Rzędowicach. Od momentu kiedy Ochotnicza Straż podlegała już pod Urząd Gminy w Dobrodzieniu, otrzymywała ona potrzebny sprzęt i wyposażenie, jak również środki na zakup kombinezonów i remonty budynku.

Od momentu istnienia do 1968 r. remiza była drewniana. W pomalowanej na szaro budce, nocne dyżury przeciwpożarowe pełnił Piotr Bonk. Funkcja jego była częściowo społeczna, raz w roku chodził od domu do domu i zbierał dobrowolne datki za pilnowanie.

W tym roku Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Rzędowickiej obok budynku straży ma zamiar postawić tablicę edukacyjną ze szczególnym uhonorowaniem jej założyciela Alojzego Goja, który nie tylko był jej założycielem, ale i poetą ludowym (miał nagranie swej twórczości w Radiu Poznań). Rzeźbił, wykonywał różne sprzęty drewniane, ale my mimo jego wielu talentów pamiętamy o nim, jako założycielu naszej straży, która mimo upływu 84 lat nadal angażuje naszych mieszkańców nie tylko do ratowania mienia, ale również do wielu prac na rzecz naszej społeczności.



Remiza OSP w Rzędowicach – wygląd współczesny.

Bibliografia:

- Zdjęcia
- dokumenty
- informacje o OSP w Rzędowicach – zbiory prywatne Pani Elżbiety Sacha

„ŚLADY POBYTU ŚWIĘTEGO WOJCIECHA W DOBRODZIŃSKIEJ OSADZIE”

Autor: Jessica Sacha

PG w Dobrodzieniu

Opiekun: Andrzej Kniejski

Św. Wojciech (ur. 956 – zm. 23 kwietnia 997) był biskupem i męczennikiem, którego Kościół w Polsce uznaje za jednego ze swoich głównych patronów. Pochodził z książęcego rodu czeskich Sławnikowiców, spokrewnionego przez Dąbrówkę z dynastią Piastów. Jego krew leży u fundamentów Kościoła i państwa na ziemiach piastowskich.

Jako apostoł pogan w swej ostatniej misji dotarł do wybrzeży Bałtyku, gdzie 23 kwietnia 997 roku poniósł śmierć męczeńską. Przy jego grobie spotkali się w 1000 roku cesarz Otton III i książę Bolesław Chrobry, a wydarzenie to przeszło do historii jako Zjazd Gnieźnieński.

Już wówczas św. Wojciech – wychowanek szkoły w Magdeburgu, biskup praski, mnich rzymski, apostoł Węgier i Polski, wreszcie męczennik pruski, którego ciało znalazło się w Gnieźnie – urastał do rangi symbolu duchowej jedności tworzącej się wówczas Europy.

Nie ma dokumentu potwierdzającego pobyt świętego Wojciecha w Dobrodzieniu, ale przekazy ustne i legendy oraz trasa jego misji wskazują na to, że faktycznie przechodził przez Dobrodzień. Według legendy w miejscu, gdzie obecnie jest drewniany kościółek św. Walentego (1630 r.) stał już kościół katolicki, gdyż Górny Śląsk należał do diecezji praskiej (Czechy) i przyjął chrzest już przed rokiem 966.

Jedna z legend (zapisana w „Gawędach z przeszłości Górnego Śląska” Wiesławy Korzeniowskiej) głosi, że w drodze do Prus w 984 roku, święty Wojciech (St. Adalbert) zatrzymał się w Opolu, a następnie w Dobrodzieniu. W Opolu uzdrowił konającą już córkę pobożnej Złotki i dokonał licznych nawróceń. Święty Wojciech przechodząc przez Dobrodzień miał wyrzec słowa: „Póki z tego kościoła zostanie choćby jeden kołek, to mieszkańców ominą wszystkie zarazy”. I rzeczywiście – te największe, znane z opisów zarazy, omijały nasze miasto, choć wokoło były tereny bagniste, ogniska epidemii. W Dobrodzieniu choroby takie jak tyfus czy cholera były przyczyną śmierci kilkunastu osób, a np. w Oleśnie około 90% mieszkańców.

Z pobytom świętego Wojciecha związane są udokumentowane miejsca ku Jego czci. Od zamku prowadziła w stronę północną (obecnie ulica Mickiewicza) ulica Zamkowa. Dochodząc do ulicy Lublinieckiej i na skrzyżowaniu z ulicą Oleską (obecnie Kościuszki) stała drewniana kapliczka z Jego figurą. Po przeciwnej stronie ulicy Oleskiej było również źródło świętego Wojciecha. W narożnym dwupiętrowym budynku wybudowanym po wielkim pożarze Dobrodzienia (1.06.1846) do 1945 roku mieściła się drogeria imienia świętego Wojciecha, gdyż budynek ten stał na miejscu drewnianej kapliczki. Potwierdzenie tego faktu można znaleźć w „Katholischer Kirchenkalender” z 1930 roku, w którym zamieszczono firmowy anons reklamowy.

W 1882 roku ówczesny proboszcz parafii kościoła świętej Marii Magdaleny wraz z burmistrzem postanowili wybudować przydrożną kapliczkę murowaną ku czci świętego na rozstaju dróg do Szemrowic, przy wybudowanym w 1837 roku murowanym kościele ewangelickim. Do chwili obecnej kapliczka ta z figurą świętego Wojciecha i pamiątkową tablicą upamiętniającą jego pobyt w naszym miasteczku jest naszą dumą. Łączy ona nasze dwie parafie i od pokoleń co roku 23 kwietnia są uroczyste procesje błagalne do naszego Patrona. W tym roku obchodzimy 1030 rocznicę (984-2014) pobytu świętego Wojciecha w Dobrodzieniu.

Kapliczka neoklasycystyczna usytuowana po wielkim pożarze miasta przy kościele Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. Wewnątrz kapliczki znajduje się barokowo-ludowa ciosana w drewnie polichromowana rzeźba świętego Wojciecha.

Bibliografia:

- Podania i legendy o Świętym Wojciechu; „Żywyoty Świętych” – Święty Wojciech
- Dokumenty i informacje – zbiory prywatne Pani Elżbiety Sacha



„LEGENDY MOJEJ MIEJSCOWOŚCI”

Autor: Maximilian Twardawski

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni Opiekun: Jolanta Gawlyta

Tę opowieść trzeba zacząć od początku. Wiele milionów lat temu niedaleko dzisiejszej miejscowości Falmirowice wybuchł wulkan, lava spaliła prawie cały las i zatrzymała się jako bazalt, żłobiąc niewielkie zagłębienie w terenie.

Tam na progu XIX wieku zamek swój zbudowała rodzina władająca wsią Dobre Dembe. Nie była to jednak wspianała murowana warownia, lecz niewielki drewniany zamek z ogromnymi jak na swoje rozmiary lochami. Ostatnim znanym mieszkańcem tegoż zamku był zbój Madej, prawdopodobnie jeden z najgorszych leśnych bandytów. Pochodził on z okolic Wąwozu Dule, w którego jaskiniach później zamieszkał. Był on straszny i okrutnym człowiekiem. Już w młodości zamordował swoich rodziców, a później było tylko gorzej. Chodził wszędzie ze swoją ogromną maczugą zbyt ciężką chyba dla zwykłego śmiertelnika, rozbijał nią głowy wszystkich ludzi, którzy się na niego natknęli, okradał ich następnie, a skarby nosił do swej groty. Mimo iż stał się prawdziwym bogaczem, nigdy nie chodził obwieszony biżuterią lub we wspianiałych ubraniach, nie miał nawet miecza.

Pewnego razu Madej napotkał małego chłopca, oczywiście od razu chciał go zabić, lecz chłopiec poprosił, aby mógł jeszcze odzyskać cyrograf w piekle. Madej rzekł mu na to, żeby sprawdził, co na niego tam czeka. Chłopiec powrócił z wieścią o madejowym łożu wypełnionym nożami i sztyletami, a także przeróżnymi ostrymi narzędziami, o machinie, która co chwilę to się rozciągała to znów zwiwała w kłębek. Nad nim zaś wisiała kadź z olejem, a pod spodem znajdowało się ognisko.

Zbój o tym usłyszawszy, poprzysiął dozągoną poprawę, zamieszkał w opuszczonym wtedy zamku w Falmirowicach i starał się wszystkich uszczęśliwiać. Rozpoczęto tam prace wydobywcze bazaltu służącego do budowy domostw i dróg. Z kolei z drugiej strony wsi aktualnie nazywanej „kamieńcem” odkryto złoża metalu, było to głównie żelazo. Sam Madej pomagał w odkrywce minerałów i także głównie dzięki niemu metal zostawał przewożony



do dzisiejszej Dębskiej Kuźni gdzie wytwarzano z niego narzędzia potrzebne do wykopu rud. Niedługo po tym złoża na „Steinbruchu” zostały wyczerpane a doły zalane wodą, rudy metalu także zostały wyeksploatowane i zasypane piaskiem. Większość mieszkańców zaczęła właśnie próby z pszczelarstwem i miodowarnictwem. Niestety bez większych rezultatów.

Kolejną opowieścią są „cudy” Błażeja Giesy (Gisy). Otóż pewnego razu kiedy wsłuchiwał się w pluskanie wody w jeziorze objawił mu się anioł i dał zdolność leczenia skomplikowanych złamań i ziołolecznictwa oraz znajomość chorób, o których wioskowy medyk nie miał pojęcia.

Następnie nadeszli Szwedzi. Podobno sam Madej, a później i jego duch walczyli w obronie pobliskich wiosek przed zgubą. Właśnie ostatnimi „mieszkańcami” zamku zbója byli uwięzieni w lochach Szwedzi. Zginęli oni wszyscy, gdy podpalony zamek zapadł się pod ziemię, w jezioro. (Sam staw według niektórych jest głębokości równej wysokości dębskiego kościoła). Po przejściu wrogiej nawałnicy we wsi zostało sześciu ludzi w tym Błażej Giesa, dzięki wspólnym wysiłkom w przeciągu trzech lat wieś została odbudowana i ponownie zaludniona.

Ostatnia opowieść dotyczy walki mieszkańców Dębna i Falmirowic z powracającymi Szwedami. Byli to dezerterzy, lecz w dość znacznej liczbie utworzyli coś na kształt kompanii najemników. Nikt jednak nie chciał ich nająć więc z nudów atakowali pobliskie wsie rabując cały dobytek mieszkańców i zabierając kobiety. Z kolei mieszkańcy zaczęli się odgryzać i pewnego razu aktualny sołtys kazał pochować całe zapasy z wyjątkiem niewielkiej ilości jedzenia, którą zatruto. To ostatecznie powstrzymało rabunkowe zapędy, a także wszystkie inne niegodziwości.

Nasza wieś i gmina Chrzęstowice skrywiają jeszcze wiele miejsc owianych tajemnicą i legendą. Należy je przekazywać kolejnym pokoleniom, których obowiązkiem powinno być zagłębianie się w historię „małej ojczyzny”.

Bibliografia:

- Agnieszka Malik, Jan Płaskoń, Sekrety i cienie, Opole 2007
- Oficjalna strona wsi Falmirowice (<http://www.falmirowice.cba.pl/>)

„WOJSKOWI OSADNICY”

Autor: Anna Maria Pryszcz, Weronika Kuliberda

ZGS w Zębowicach

Opiekun: Barbara Puchała

Opolszczyzna to bardzo specyficzny region, gdzie przenikają się różne kultury i narodowości. Obok rodowitych Ślązaków mieszka tu ludność napływowa. Po II wojnie światowej (w 1945 r.) w Jałcie, a następnie w Poczdamie zdecydowano, że z przyznanych Polsce wschodnich obszarów Niemiec wysiedlona zostanie cała ludność niemiecka. Do tych domów przesiedlić mieli się Polacy ze wchodu ponieważ, tam miała odbudować się prawdziwa Ukraina. Na Śląsk przybywali również osadnicy z ubogich obszarów Polski centralnej.

Napływ ludności z przedwojennych kresów wschodnich Polski rozpoczął się tuż po zakończeniu II wojny światowej, latem 1945 r. emigranci, którzy osiedlili się w Zębowicach, przybyli między innymi z Biółki i Czarnoszowic. Zanim dotarli do swoich nowych domów, musieli przebyć długą podróż w niezwykle uciążliwych warunkach.

– Po tygodniowym zbieraniu się do wagonów towarowych, które służyły do transportu węgla i drewna, odbyliśmy 1-2 tygodniową podróż na nowe ziemie – wspomina jedna z emigrantek.

Wagony były przepelnione i zimne. Nie było na czym usiąść, więc wszyscy musieli siedzieć na podłodze. Każdy chciał ze sobą coś zabrać, by mieć pamiątkę po swoim domu lub, by po prostu nie kupować nowych rzeczy i zaoszczędzić trochę pieniędzy. Ludzie bali się wyjeżdżać, ponieważ nie wiedzieli, co ich czeka po drugiej stronie. Zastanawiali się, czy będą mieli gdzie mieszkać, czy tamtejsi ludzie ich zaakceptują, czy w ogóle tę podróż przeżyją.

– *Najpierw zameldowaliśmy się w urzędach, a potem przydzielono nam baraki na tartaku w Kędzierzynie-Koźlu, gdzie mieliśmy mieszkać* – wyjawiała nam jedna z uczestniczek podróży na zachód.

Pierwsi osadnicy, którzy pojawili się na naszych terenach nie czekali na urzędy i instytucje. Gnani biedą, lub wyrzucani zza Bugu przez władze radzieckie, jechali po prostu szukać nowego miejsca zamieszkania. Wśród nich byli m.in. państwo Jadach, Bobra, Batkowski, Regieta, Sochor i Bandrowski. Przesiedleńcy mieszkali tam tymczasowo, do czasu znalezienia stałego miejsca pobytu. Ci, których rodzina była w wojsku, bądź oni sami w nim byli, otrzymywali mieszkania w majątku w Zębowicach, gdyż ich dotychczasowe domy były zniszczone lub zajęte przez innych ludzi. Kto jaki dom otrzymał, zależało od szczęścia, ponieważ odbyło się losowanie tych mieszkań.

W majątku ziemskim, z którego utworzono Gospodarstwo Rolne Wojska Polskiego, ludzie mieli zapewnione mieszkanie i pracę. Znajdowały się tu również przedszkole i szkoła, zapewniające opiekę młodszym i naukę starszym dzieciom.

Osadniczka wojskowa, pani Katarzyna Bandrowska, na tle Zamku, który od 1947 roku był siedzibą Szkoły Podstawowej w Zębowicach.

Osadnicy, jako dodatek do mieszkań, dostawali 9-10 ha pola, co było powodem zazdrości miejscowych rolników i źródłem wielu nieporozumień. Przesiedleńcy nie czuli się początkowo bezpiecznie na naszych terenach, gdyż nie znali nikogo. Podobne były uczucia miejscowych, którzy bali się, że utracą swoje gospodarstwa. Jedna z emigrantek opowiadała, że początkowo nikt nie chciał jej ustąpić miejsca w kościelnej ławce. Dopiero potem, gdy jej koleżanka zapłaciła za tę ławkę i przyczepiono kartkę, że ona ma w niej podczas mszy świętej siedzieć, kobiety niechętnie przesuwały się, ustępując miejsca. W szkole między uczniami też bywało różnie, ale dzieciom łatwiej przełamać uprzedzenia i pierwsze przyjaźnie szybko się zawiązały. Zdarzało się też i tak, że „obcy” chłopak miał szkolną „narzeczoną”, która była rodowitą Ślązaczką. Jednak po kilku miesiącach, latach, mieszkańcy zaczęli się dogadywać z osadnikami.

– *Byli tacy dobrzy, że nawet chlebem by się podzielili* – mówi jedna z osadniczek.

Wiele zwyczajów różniło „starych” od „nowych” mieszkańców. Na Wielkanoc koszyczki z pokarmem do święcenia nieśli do kościoła tylko przesiedleńcy. Inaczej też brzmiała ich mowa – Ślązak zjadał „chlyb”, a oni „chljeb”. Dzisiaj te różnice już się zupełnie zatarły i niebawem pewnie zapomnimy o nich, bo młodzi, potomkowie dawnych kresowiaków, są już Ślązakami z krwi i kości.

Źródła:

Rozmowa z Katarzyną Bandrowską

Rozmowa z Janem i Edeltrudą Prysycz

„Górny Śląsk, zarys dziejów do połowy XX wieku”, Michał Lis

Zdjęcia ze zbiorów prywatnych pani K. Bandrowskiej i państwa J. i E. Prysycz



Kategoria:

**OSOBA, KTÓRA W SZCZEGÓLNY SPOSÓB
PRZYCZYNIŁA SIĘ BĄDŹ PRZYCZYNIĄ DO ROZWOJU
LUB PROMOCJI OBSZARU KRAINY DINOZAUROW**

MIEJSCE I
„PAUL GOTTSCHOLL – KRASIEJOWSKI WIT STWOSZ”
Autor: Magdalena Machulla

GZS w Ozimku
Opiekun: Sylwia Widawska

„W życiu tak naprawdę liczy się czas, jaki poświęcamy dla naszych przyjaciół, miłości i pasji, którą kochamy, reszta tego codziennego surowca to codzienna monotonia”.

Pana Paula Gottscholla znam od dawna. Mieszka niedaleko mnie, można powiedzieć, że jesteśmy dalszymi sąsiadami, choć mieszkamy na różnych ulicach. Skromny, starszy człowiek średniego wzrostu, na pozór niczym specjalnym nie wyróżniającym się spośród ludzi. Często widuję go jadącego w stronę centrum wsi na rowerze lub idącego obok swej żony do kościoła. Nigdy nie udało mi się z panem Paulem zamienić więcej słów oprócz zwyczajnego „Dzień dobry”, mało tego, do dziś nie wyobrażałam sobie na jaki temat moglibyśmy rozmawiać. Życie toczy się swoim torem, gna do przodu. Każdego dnia pogrążeni jesteśmy załatwianiem wielu ważnych spraw niecierpiących zwłoki. Na co dzień nie myślimy o innych, ważnych sprawach dotyczących np. naszej wioski. Nie zastanawiamy się nad tym, kto wyremontował przystanek autobusowy w centrum wsi lub kto pomógł w remoncie naszego kościoła. A przecież nic wokół nas nie robi się samo. Rodzi się więc pytanie: „Kto stoi za tym wszystkim?”. Jednym z takich ludzi aktywnych społecznie, chętnie włączających się w różnego rodzaju prace prowadzone nie tylko na terenie naszej wioski jest pan Paul Gottscholl – utalentowany rzeźbiarz z Krasiejowa.

Kiedy pojechałam do domu pana Paula, by poinformować go o tym, że chciałabym napisać o nim, o jego życiu i pasji pracę konkursową pan Paul nie ukrywał zaskoczenia. Powiedział do mnie: „Na pewno znajdziesz innego, bardziej znanego człowieka ode mnie. Na szczęście pan Gottscholl nie dał się długo prosić i przekonywać. Wkrótce w niedzielne popołudnie spotkaliśmy się w jego domu, ponieważ chciałam porozmawiać z moim bohaterem i zadać mu kilka pytań.

Już na „Dzień dobry” przed głównymi drzwiami domu pana Gottscholla oprócz mojego bohatera przywitała mnie dość duża rzeźba około 1,5 metra wysokości przedstawiająca postać starego człowieka.

– Ładna rzeźba co ona przedstawia?

– Jest to „Rübezahnl” tzn. Liczyrzepa, znany też jako Karkonosz – rzeźba z legendy śląskiej Gór Karkonoszy. Zrobiłem rzeźbę tej postaci, bo interesowałem się nią od młodych lat.

To mój Dobry Duch, nad którym pracowałem ponad miesiąc. Rzeźbę wykonałem z dębu, ponieważ dąb, to najtrwalsze drzewo.

Ciekawe życia dziecko

Paul Gottscholl urodził się 25.01.1935 roku w Spóroku, jako jeden z pięciorga dzieci Franciszka i Anny Gottscholl. Tylko on i jego brat wyróżniali się z pośród rodzeństwa zdolnościami ponad-przeciętnymi. Przez 4 lata uczęszczał do niemieckiej szkoły podstawowej, a po II wojnie światowej do polskiej szkoły w Spóroku. Następnie przez 2 lata kształcił się w szkole zawodowej jako modelarz. 12 kwietnia 1961 roku zrobił mistrzowski tytuł modelarstwa w Izbie Rzemieślniczej w Katowicach. Był żywym ciekawym świata dzieckiem. Od szkolnych lat odkrywał swoją pasję rzeźbiarską. W dzieciństwie lubił poezję i lirykę. Sam napisał 12 wierszy o różnej tematyce. Od zawsze lubił czytać. Do dziś czyta wiele książek w języku polskim i niemieckim. Pierwszą rzeźbę wykonał w wieku 12 lat. Miała ona 30 cm wysokości i przedstawiała temat Joanny d'Arc na koniu. Była to dziewczica z Orleanu, dowodząca wojskami francuskimi. Pomysł zrobienia tej rzeźby zrodził się po przeczytaniu książki o tej bohaterce.

Rzeźbić to znaczy mieć wyobraźnię, plan, cierpliwość i talent malarski

„Obróbka drewna zawsze mnie ciekawiła. Rzeźbiarstwo to moja pasja, której poświęcałem i poświęcam do dziś każdą wolną chwilę. Wiadomą rzeczą jest, że gdy się ożeniłem w dn. 3.10.1960 roku urodziły mi się dzieci i czasu na rzeźbienie było niewiele. Wtedy najważniejsza była rodzina, dom i praca. Na szczęście pracowałem jako modelarz 42 lata w Hucie Mała Panew w Ozimku, co pozwoliło mi utrzymywać kontakt z moją pasją. Dziś od 23 lat jestem na emeryturze. Zacząłem mieć więcej czasu na realizację mojego hobby i plan rzeźbienia. W rzeźbiarstwie najważniejszy jest plan, umiejętność malowania, wyobraźnia i cierpliwość. Do każdej rzeźby potrzebuję jednak natchnienia i weny”.

15 kwietnia 1998 roku w Kościele pw. św. Małgorzaty w Krasiejowie kiedy proboszczem był ksiądz Alojzy Malcherek rozpoczął się duży remont tej świątyni. Wśród licznych robót jakie wówczas wykonano znalazły się prace przy gruntownym odrestaurowaniu ołtarza głównego i ołtarzy bocznych. We wszystkich pracach od początku brał czynny udział nasz bohater. Całością kierowali doktor Marek Maciąg z Opola i profesor Maciuch z Rzeszowa. To oni zwracali się bezpośrednio do pana Paula Gottscholla dając mu konkretne prace do wykonania. W sumie nazbierało się ich około 300 różnego rodzaju elementów, które zostały wykonane w drzewie lipowym. Jest to najlepszy i najbardziej ulubiony materiał, w którym tworzy nasz artysta.



Chrzcielnica, ambona, ołtarz Matki Bożej, ołtarz Miłosierdzia Bożego oraz różnego rodzaju podesty pod figury i księgi liturgiczne, tabernakulum ołtarza bocznego to dzieła pana Paula Gottscholla.

Obok na zdjęciu widać artystę, który sfotografował się w ramie przeznaczony na obraz Miłosierdzia Bożego, który znajduje się w bocznym ołtarzu kościoła w Krasiejowie. Nie trzeba chyba dodawać, że ramę pan Paul zrobił własnoręcznie. Trzeba również wspomnieć o tym, że pan Paul Gottscholl pracował także przy odrestaurowaniu Kościoła w Dębskiej Kuźni. Jest on także autorem ramy obrazu Matki Bożej, który znajduje się w Katedrze w Opolu. Ta praca została wykonana na prośbę księdza Baldego, który był proboszczem w Parafii św. Krzyża w Opolu. Wszystkie elementy ołtarzy zarówno w kościele w Krasiejowie jak i w kościele w Dębskiej

Kuźni są wykonane z lipy, o którym rzeźbiarz mówi, że to najbardziej wdzięczne drewno nadające się do rzeźbienia.

Myślę, że każdy kto choć raz był w Kościele pod wezwaniem św. Małgorzaty w Krasiejowie zachwyił się pięknem i okazałością jego wnętrza, ponieważ robi on naprawdę duże wrażenie. Jest chyba sprawą jasną, że ktoś, kto przyczynił się poprzez swoją pracę i zaangażowanie do tego wizerunku jest człowiekiem nieprzeciętnym, o niepodważalnych zdolnościach. Dlatego śmiało możemy powiedzieć, że pan Paul Gottscholl zasłużył na miano krasiejowskiego Wita Stwosza. Trzeba w tym miejscu jeszcze zwrócić uwagę na bardzo ważną rzecz. Wszystkie prace od tych najmniejszych do największych, artysta wykonał za darmo, za przysłowiowe „Bóg zapłać”. Jest to godne podziwu, ponieważ w dzisiejszym materialnym świecie, większość ludzi uważa, że za darmo niczego nie warto robić, mało tego, szerzy się łapówkarstwo, a pieniądze przysyłania większość cenniejszych wartości życia.

Czym można więc wytłumaczyć takie szlachetne postępowanie artysty? Jest to niewątpliwie wielkie zaangażowanie i miłość do tego, co się robi, bezgraniczne i całkowite oddanie się własnej pasji i pokonywanie wszelkich napotkanych trudności. Ważne jest również to, że setki godzin prac rzeźbiarskich zostały poświęcone dla szczytnego celu.

Na pytanie: „Co Pan czuje patrząc na tak pięknie odrestaurowane ołtarze w kościele?” odpowiedział:

– „Gdy klęczę i modłę się dziękuję Bogu za mój talent i za to, że mogłem przyczynić się do tak pięknego wyglądu świątyni. Niejednokrotnie przypomina mi się mozolna, ciężka praca oraz przeciwności jakie musiałem pokonać, by móc rzeźbić. Często ścisną mnie w gardle, czuję wielką dumę i satysfakcję z tego, że pozostawiłem swój wkład następnym pokoleniom.

Dorobek artysty

Wszystkich prac jak mówi artysta jest bardzo wiele. Są to m.in. już wyżej wymienione rzeźby „Joanny d’Arc”, „Rübezahl”, czy rzeźba „Anny samotrzeciej”. Za najważniejszy sukces uważa swoją prywatną rzeźbę pt. „Markus”, na której wyryte są dwa przykazania miłości. Ostatnimi pracami jakie wykonał artysta są „Cztery pory roku”. Większość swych prac zrobił dla rodziny, aby zostawić po sobie jakieś pamiątki. Ale brał również udział w konkursach rzeźby w muzeum w Bierkowicach, robiąc tam wystawy.

Na pytanie: „Czy ma Pan jeszcze jakieś marzenia?” odpowiedział:

– „Moim marzeniem jest to, by być zdrowym i móc dalej tworzyć, rzeźbić. Chciałbym zrobić dla siebie obraz pt. „Ostatnia wieczerza”, którego szkice mam przygotowane.

Pan Paul Gottscholl to człowiek wszechstronnie uzdolniony. Czyta książki zarówno w języku polskim jak i niemieckim, lubi pismo gotyckie. Od dzieciństwa interesował się poezją i liryką. Sam napisał 12 wierszy o różnych tematykach. Dwa razy brał udział w konkursach poezji ogólnopolskiej pt. „In der Sprache des Herzens”. 12.12.2009 roku zajął w tym konkursie trzecie miejsce. Wiersz pt. „Velorne Heimat” został wydany w książce opublikowanej przez organizatorów tego konkursu. Poza tym interesuje się historią np. szczególnie zafascynował się postacią Fryderyka Wielkiego, który założył wiele osad w powiecie opolskim, a co najważniejsze sprowadził na nasze tereny ziemniaki. Zna wszystkie narzędzia, którymi posługiwali się nasi prajcowie.

Pan Paul Gottscholl, to z pewnością utalentowany i bezgranicznie oddany swojej pasji człowiek. Jest on wszechstronnie uzdolniony, nie szukający rozgłosu, sławy ani korzyści materialnych. Swoim zamiłowaniem do rzeźbiarstwa może „zarazić” niejedną osobę. Pan Paul jest przykładem osoby spełnionej, ponieważ już za życia pozostawił po sobie wiele cennych rzeźb, pamiątek oraz różnego rodzaju dzieł. Za to wszystko podziwiam go tym bardziej, że dziś coraz rzadziej można spotkać takich ludzi jak on. Uważam, że dzięki takim osobom jak pan Paul Gottscholl tradycje rodzinne, jak również nasze hobby i talenty będą rozwijane. Jestem dumna z tego, że mieszka on w naszej miejscowości.

Dziś, kiedy spotykamy się na ulicy na naszych twarzach pojawia się uśmiech, patrzę na pana Paula przez pryzmat artysty jakim niewątpliwie jest, z podziwem i wielkim szacunkiem. Bardzo się cieszę, że mogłam poznać bliżej pana Gottscholla osobiście i napisać, jakim zwyczajnym, a zarazem jakim wielkim jest człowiekiem. W dniu 29.02.2002 roku za osiągnięcia w twórczości artystycznej otrzymał nagrodę od Marszałka Województwa Opolskiego.

Bibliografia:

- Wywiad z panem Paulem Gottschollem
- Zdjęcia wykonane na potrzeby tej pracy
- Informacje zawarte w poprzedniej pracy pt. „Stuletnia chluba Krasiejowa – historia kościoła pod wezwaniem św. Małgorzaty”

MIEJSCE II

„KS. HELMUT GOLLETZ – FUNDAMENT INTEGRACJI LOKALNEJ I MIĘDZYNARODOWEJ”

Autor: Wiktoria Halupczok

GZS w Ozimku

Opiekun: Iwona Podstawa

W ojczyźnie ma się przeszłość i przyszłość w obczyźnie tylko teraźniejszość.

Ludwik Hirszfeld

Krzyżowa Dolina to na pozór wieś jak każda inna. Jest statystycznie niewielka, więc można pomyśleć, że nic się w niej nie dzieje. Szczęśliwie to tylko pozory, bo gdy zobaczymy naszą małą ojczyznę z bliska, zauważamy przepiękne zakątki tej wspaniałej miejscowości. Wówczas uświadamiamy sobie, że ukrywa coś niezwykłego. Skąd bierze się niepowtarzalność tej niewielkiej miejscowości? Odpowiedź jest prosta. Mieszkamy na Śląsku. Znani jesteśmy z gwary i dbania o własne otoczenie. Lubimy się chwalić tym, co nasze, dlatego właśnie podejmujemy działania w celu odnowienia i rozwoju naszej małej ojczyzny, aby jak to u nas mówią: „oko radowało”.



Wielu jest wśród nas ludzi chętnych do działania. Mówiąc o nich, jako pierwszego muszę wymienić ks. Helmuta Golletza. Od kilku lat przyglądam się jego pracy dla rozwoju naszej wsi. Jego wkład jest naprawdę imponujący. Miejscowi często nazywają go przyjacielem i dobroczyńcą, co świadczy o ogromnej wdzięczności dla Niego i dlatego właśnie postanowiłam Jemu poświęcić moją pracę. Ksiądz Helmut Golletz, syn Jana i Elżbiety, urodził się 25 marca 1958 r. i wychowywał właśnie u nas, w Krzyżowej Dolinie. Święcenia kapłańskie przyjął 19.06.1984 roku. Następnie wyjechał do Niemiec i dziś jest proboszczem dwóch parafii pw. św. Józefa w Bredenborn i pw. św. Jana Baptysty w Kollerbeck. Co pewien czas przyjeżdża do Polski, zawsze pozostawiając po sobie jakiś ślad. Z każdą jego wizytą powstaje w Krzyżowej Dolinie coś nowego. Obserwując liczne działania duszpasterza, zadawałam sobie pytanie: Dlaczego podjął działania w naszej miejscowości, dba o jej rozwój kulturalny i społeczny, jeśli wcześniej postanowił wyjechać do

Niemiec? Postanowiłam Go o to zapytać osobiście. Jego odpowiedź była prosta: – „*Od zawsze byłem związany z Krzyżową Doliną. Tutaj jest mój dom rodzinny i korzenie. Moim marzeniem było zawsze, by wioska się zmieniła, stanęła na nogi, by miała coś swojego, centrum, gdzie mieszkańcy mogliby się spotykać. Mam na myśli mały kościółek – kaplicę, pomieszczenia gdzie razem przeżywaliby smutne i radosne chwile. Miałem jeszcze jeden powód – tłumaczył. – Był to rodzaj podziękowania za przygotowanie moich prymicji. Wszyscy ludzie wówczas mi pomagali. Byłem i nadal jestem pierwszym księdzem z Krzyżowej Doliny*”.

Wdzięczność ks. Helmuta Golletza przerodziła się w czyn. Był wraz z Maksymilianem Sklorz i Rudolfem Widera inicjatorem wybudowania Kaplicy św. Liboriusza w miejscu, gdzie znajdowała się stara część szkoły podstawowej w Krzyżowej Dolinie. Spotykał się z mieszkańcami i finansowo wspierał przedsięwzięcie. Duchowny otrzymał w prezencie od swych parafian z okazji 40 urodzin znaczną kwotę pieniężną. W całości przeznaczył ją na budowę kaplicy, nie oczekując niczego w zamian. Prace prowadzone przy świątyni trwały ponad pół roku. 7 października 2001 zakończono budowę budynku sakralnego.

Dzięki działaniom księdza kaplica otrzymała tabernakulum, monstrancje, stacje drogi krzyżowej, figury świętych, a niedawno nawet relikwie św. Liboriusza, które duszpasterz otrzymał od niemieckiego biskupa Hansa-Josefa Beckera. Obecnie miejsce to stanowi jedną z największych atrakcji Krzyżowej Doliny. Są w niej odprawiane różańce za zmarłych, nabożeństwa majowe oraz Drogi Krzyżowe. Kilka razy w roku jest tam również prowadzona msza święta. Na tym jednak działalność ks. Helmuta Golletza się nie kończy. W 2006 roku rozpoczęto budowę dzwonnicy, która miała powstać obok kaplicy świętego Liboriusza, a już w maju tego samego roku nastąpiło jej poświęcenie przez ks. biskupa Pawła Stobrawę. Były to trzy dzwony: św. Józefa, Najświętszej Marii Panny oraz św. Liboriusza, który waży aż 420 kilogramów. Sponsorami dzwonów byli: ksiądz Helmut Golletz wraz z parafianami z Bredenborn i Kollerbeck, mieszkańcy Krzyżowej Doliny (w tym byli, obecnie mieszkający w Niemczech), znajomi z okolicznych wsi i innych miejscowości. Wszystkie zaś zostały wykonane na Śląsku, w pracowni pana Felczyńskiego. Dziś kaplica św. Liboriusza wraz z dzwonnica stanowią perełkę wśród obiektów sakralnych Gminy Ozimek. Ksiądz jest również członkiem Stowarzyszenia Świętego Liboriusza, które działa na terenie naszej miejscowości. Zostało ono założone w 2007 roku. Jego nadrzędny cel to opieka nad Kaplicą Świętego Liboriusza w Krzyżowej Dolinie i kulturowe urozmaicenie życia społecznego w miejscowości. Innym miejscem, które jest bardzo bliskie księdzu jest Ochotnicza Straż Pożarna. Dzięki Jego działalności nasza jednostka otrzymała samochód specjalistyczny, sprzęt pożarniczy, czyli m.in. kombinezony, motopompę oraz pomoc finansową. Z powodu częstych pożarów w okolicach naszej miejscowości, pomoc ta okazała się być nieocenioną. Ks. Helmut Golletz ufundował także m.in. wraz z innymi sponsorami, sztandar i zakupił figurę św. Floriana. Uroczyste poświęcenie sztandaru odbyło się w kwietniu 2005 r.

Działania duchownego są bardzo różnorodne. Dzięki Niemu, nasza wieś wyróżnia się na tle innych miejscowości. Podejmowane przez Niego kroki integrują mieszkańców Krzyżowej Doliny i uatrakcyjniają ich życie społeczne. Jednak to i tak nie wszystkie działania podjęte przez duszpasterza. Już od kilku lat przyjeżdżają do nas mieszkańcy Jego niemieckich parafii. Ksiądz pokazuje im nasz region, kulturę i tradycje. Podczas jednej z wizyt goście zwiedzili m.in. Opole, Ozimek, Górę Św. Anny, JuraPark, nasz kościół parafialny w Krasiejowie, a także udali się na wycieczkę do kopalni soli w Wieliczce. Duchowny zachęcał ich również do udziału w dożynkach oraz imprezach plenerowych. Ksiądz Golletz dba nie tylko o integrację lokalną, ale również tworzenie więzi międzynarodowych. Zapytałam więc Go, dlaczego jest ona tak ważna.

– „Kontakty międzyludzkie są bardzo ważne – odpowiada – zawiązują przyjaźnie, pokazują jak żyją inni. Dzięki nim można poznać tradycje i obyczaje innych państw, np. co podaje się na stół, jak co smakuje – śmieje się – moi parafianie po dzień dzisiejszy wspominają pobyt w Krzyżowej Dolinie – „in Kreuzthal” po naszymu. Wasza gościnność, rozmowy z wami i wszystko, co powstało w tak krótkim czasie. Można by było książkę napisać. – odpowiada z uśmiechem- Powiem ogólnie: to, co zobaczyli, zmieniło ich pogląd na społeczeństwo polskie i wszyscy zgodnie twierdzili, że tak pięknych okolic jeszcze nie widzieli”.

Ksiądz Helmut nie tylko przywozi ze sobą gości, ale także zabiera mieszkańców naszej miejscowości do Niemiec. Podczas jednej z takich wizyt mieszkańcy Krzyżowej Doliny zwiedzili zabytkowe miasto Höxter, miejscowości Kollebeck oraz Bredenborn, jak również tamtejszą jednostkę Ochotniczej Straży Pożarnej. Brali również udział w dziękczynnych mszach świętych. Podczas jednej z nich obecne były wszystkie poczty sztandarowe z obydwóch miejscowości wraz ze sztandarem naszej jednostki OSP. Nasi mieszkańcy mieli wówczas okazję spotkać tych, których nie tak dawno gościli na Oktoberfeście i Dożynkach w Krzyżowej Dolinie. Działania księdza Helmuta Golletz wzbudzają we mnie ogromny podziw. Łączy odległych mieszkańców, tworząc wspólnotę przyjaciół. Podejmowane przez Niego kroki są zawsze przemyślane i przynoszą niezwykle pozytywne efekty. Skutkiem właśnie takich działań jest podpisana w dniach 19/20.05.2007 r. Umowa o Przyjaźni w Bredenborn i w Kollerbeck. Po odprawionej w dniu 23.07.2007 Mszy Św. przez ks. Helmuta Golletz posadzono w Krzyżowej Dolinie drzewko przyjaźni z ziarenek poświęconych przez Papieża Benedykta XVI. Zasadzenia rośliny dokonali Burmistrz Jan Labus oraz ks. Helmut Golletz. Dwa drzewka przyjaźni zostały posadzone również w Berdendorn i Kollerbeck. Drzewko to jest jedynym w Polsce Drzewkiem Papieskim.

Starania ks. Helmuta Golletz, oprócz oczywiście mieszkańców Krzyżowej Doliny, doceniły również władze gminy. Został Mu nadany tytuł „Honorowego Obywatela Gminy Ozimek” dnia 07.10.2006 r. Podczas uroczystości wręczenia wyróżnienia orkiestra zagrała hymn narodowy oraz hymn Unii Europejskiej. Przewodniczący Rady Miejskiej Czesław Kaczmarek przekazał ks. Helmutowi Golletz akt nadania tytułu, po czym burmistrz miasta Jan Labus wręczył symboliczny klucz do bram miasta.



Nagrodzenie ks. Helmuta Golletz za działalność na rzecz Krzyżowej Doliny.

Obecnie ks. Golletz przebywa za granicą Polski, spełniając obowiązki proboszcza. Postanowiłam zapytać Go, czy ma jeszcze jakieś plany związane z naszą miejscowością.

Początkowo nie chciał zbyt wiele zdradzać. Powiedział tylko, że nadal będzie odwiedzał Krzyżową Dolinę i wspierał ją finansowo, przy aktywnym współudziale swoich dwóch parafii. Po chwili jednak zdradził, że ma dla mieszkańców naszej miejscowości

niespodziankę. Jest to rzecz niezwykła, a mianowicie błogosławieństwo obecnego papieża Franciszka z Rzymu. Dodał, że odprowadził w dniu 25.03.14 w Bazylice św. Piotra na ołtarzu błogosławionego Johannes XXIII mszę św. za zmarłych i żyjących mieszkańców Krzyżowej Doliny oraz błogosławieństwo to przywiezie w lipcu na uroczystość św. Liboriusza.

Jako mieszkanka Krzyżowej Doliny bezsprzecznie jestem dumna, że poznałam tak wspaniałą osobę, jak ks. Helmut Golletz. Mogę go świadomie nazwać przyjacielem naszej miejscowości, a przede wszystkim prawdziwym patriotą, który mimo wyjazdu za granicę, nie zapomniał o swojej małej ojczyźnie i dalej wspiera jej mieszkańców.

Sądzę, że Jego działalność i postawę najtrafniej ujmują słowa:

«W ojczyźnie ma się przeszłość i przyszłość. W obczyźnie tylko teraźniejszość».

Bibliografia:

- wywiad z Ks. Helmutem Golletz
- informacje własne
- <http://www.sw-liborius.cba.pl/>
- <http://www.ozimek.pl/przewodnik/miejscowosci/krzyzowa,dolina,.html>
- http://krzyzowa-dolina.cba.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=97&Itemid=102
- http://www.pastoralverbund-mariemuenster.de/city_info/anzeige/news/aktuelles/show.cfm?Region_ID=251&ID=15001#

Źródła zdjęć:

- kolekcja własna
- archiwalnych stron internetowych Krzyżowej Doliny
- http://www.pastoralverbund-mariemuenster.de/city_info/anzeige/news/aktuelles/show.cfm?Region_ID=251&ID=15001#

MIEJSCE II

„CZY POECI POTRAFIĄ ZAPARZYĆ HERBATĘ?

Autor: Anna Plottnik

ZGS w Zębowicach
Opiekun: Iwona Grabowska



Na pozór 21 marca to zwykły i nieszczególny dzień. Przeciętny człowiek może nie wiedzieć, że tego dnia świętujemy pierwszy dzień wiosny, Dzień Leśnika, a także ... Dzień Poezji. No właśnie, poezja – z pozoru trudny, nudny i poważny temat. Czy aby na pewno? Problem w tym, jak się o tym przekonać, przecież poeci kojarzą nam się z kimś dziwnym, przypuszczalnie mieszkają w domach z ogromnymi bibliotekami, chodzą z głową w chmurach i nie pamiętają o tak przyziemnych sprawach jak rachunki czy posiłki. Okazuje się, że twórcy wierszy jeszcze nie wyginęli, a nawet żyją pośród nas. Nie wierzycie mi? Musicie uwierzyć, bo przekonałam się o tym na własnej skórze, gdy przypadkiem spotkałam się z panią Łucją Opielą – poetką z Łąki. Jak do tego doszło? Nauczycielka języka polskiego poinformowała

nas o konkursie „Moja wieś – moje miejsce V”. Brałam w nim już kiedyś udział, dlatego też postanowiłam spróbować swoich sił po raz kolejny. Chciałam jednak napisać pracę o kimś nietuzinkowym, interesującym, najlepiej z ciekawym hobby. Dowiedziałam się na języku polskim, że w naszej gminie mieszka poetka. To był strzał w dziesiątkę! Czy można znaleźć kogoś bardziej intrygującego i fascynującego? Co może być dziwniejszego od pisania wierszy w XXI wieku?

Byłam pewna, że muszę poznać Panią Łucję. Przy pomocy naszej polonistki udało mi się. Nie ukrywam, że nie wiedziałam, czego mam się spodziewać: energicznej, szalonej osoby z kartką papieru i ołówkiem w kieszeni, czy może przeciwnie, spokojnej pani, której głębokie spojrzenie będzie chowało się za grubymi szklami okularów? Jakie było moje zdziwienie, gdy drzwi otworzyła sympatyczna, miła kobieta. Wbrew pozorom poeci zajmują się jednak przyziemnymi sprawami, co więcej, robią pyszną herbatę! Okazało się, że pisanie wierszy wcale nie przeszkadza w prowadzeniu domu. Przejdźmy jednak do sedna – oto czego dowiedziałam się podczas tej rozmowy. Poetka pochodzi z Łąki – niewielkiej miejscowości, w gminie Zębówice. Ponieważ kobiet nie powinno pytać się o wiek, pozostanmy przy informacji, że urodziła się 13 grudnia. Gdy była dzieckiem, nie ujawniał się jej talent do pisania wierszy. Od małego lubiła jednak czytać. Gdy chodziła wypasać krowy czy gęsi, zabierała ze sobą książkę. Zdarzyło się nawet, że zwierzęta wróciły do domu, a ona zaczytana została na łące i wracała dopiero po skończeniu lektury. Moim zdaniem był to przejaw artystycznego „chodzenia z głową w chmurach”. O tym, że poeci bujają w obłokach, Pani Łucja napisała wiersz, który zadedykowała swojej polonistce. Ponieważ bardzo mi się spodobał, postanowiłam zamieścić w swojej pracy.

>Pomiędzy<

*Spróbujcie wybaczyć poecie
kiedy głowę nosi wysoko w chmurach
nieopatrnie siada na własny kapelusz
wsluchuje się w śpiew morskich syren
oddechem pieszcząc muszelkę
zauroczony każdym wschodem słońca
na skrzydłach poezji szybuje
czasem zbyt wysoko nad rzeczywistością
niecierpliwym słowem dotyka
niezabliźnionej rany życia
rażony piorunem logiki i faktu
nigdy nie spada na cztery łapy
obudzony pomiędzy snem jej*

Pani Łucja zaczęła tworzyć około 1985 roku. Jednak na początku, jak sama twierdzi, było to tylko pisanie do szuflady. Pewnego dnia dowiedziała się z jednej z lokalnych gazet o Klubie Autorskim przy Wojewódzkim Domu Kultury w Opolu. Postanowiła spróbować swoich sił i wysłała zgłoszenie wraz z kilkoma wierszami. Ku jej zdziwieniu zaproszono ją na bezpośrednią rozmowę z Panią Hanną Gryczmańską, która miała zdecydować o przyjęciu nowych członków klubu. Pierwsze pytanie, jakie zostało zadane, brzmiało: „Czy wie Pani, co to jest wiersz biały?”. Pani Łucja wiedziała i chętnie przyjęła propozycję wstąpienia do klubu oraz nauki pisania wierszy bez rymów, które stawały się wtedy bardzo popularne. Spotkania klubu odbywały się co tydzień. Pod okiem pani Hanny grupa pięciu poetów szlifowała swoją technikę. Poetka przekonała się tam, że do powstania wiersza oprócz uczuć i przemyśleń, które autor chce przelać na papier, potrzebna jest też wypracowana godzinami technika. Z klubem wiąże się wiele wspomnień Pani Łucji. Było to miejsce, gdzie ktoś po raz pierwszy profesjonalnie zajął się jej pasją i pomógł technicznie dopracować utwory. Klub ten co jakiś czas wydawał tomiki z utworami swoich członków. Pierwszy zbiór, w którym pojawiły się wiersze Pani Łucji to „Prezentacje 3”. Był to już trzeci tom wydany przez klub. Prace członków klubu zostały docenione na wielu konkursach. Między innymi w I Jesiennym Konkursie Literackim o nagrodę „Stalowego Pióra”, w 1989 r. organizowanego przez Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Nysie. Wszystkie trzy

miejsca zajęli wtedy członkowie klubu. Pani Łucja otrzymała II nagrodę za wiersze „Ta moja” oraz „*** Moje bliskodalekie przyjaciółki”. Niestety, po pewnym czasie klub zaczął upadać. Przy Domu Kultury zaczęły powstawać inne organizacje i tym sposobem Klub Autorski przy Wojewódzkim Domu Kultury w Opolu zakończył swoją działalność. Pani Łucja jednak zawsze będzie wspominać go z wielkim sentymentem, ponieważ to miejsce dało jej podstawy do rozwijania swojej pasji. Mimo zakończenia działalności klubu, Pani Łucja nie zamierzała zrezygnować z dalszego tworzenia poezji. Co więcej, zaczęła sama wysyłać swoje utwory na różnego rodzaju konkursy. Chciałam zobaczyć jej dyplomy, lecz nie sądziłam, że zostaną nimi zasypana. Pani Łucja była doceniana na tytu konkursach, że wypisanie ich wszystkich zajęłoby kilka stron. Zależy mi jednak na tym, żeby wymienić chociaż kilka. Zacznę od Konkursów na Amatorską Twórczość Artystyczną organizowanych w Namysłowie. Pani Łucja sześciokrotnie stawała tam na podium, a raz zdobyła wyróżnienie. Aż jedenaście razy jej prace zostały docenione na Konkursie Poezji Religijnej w Ludźmierzu, ostatnio w 2011 roku. Konkursy wiązały się z nagrodami. Nagradzane utwory były przeważnie wydawane w tomikach, lecz Pani Łucja dostawała też nagrody w formie pieniężnej lub rzeczowej. Z kilkoma z nich wiążą się pewne anegdoty. W 1990 r. za zestaw wierszy „Kos” w Konkursie na Nieprofesjonalną Twórczość Literacką, organizowanym przez Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, Pani Łucja zdobyła II miejsce. Za tę nagrodę kupiła sobie czarne, skórzane mokasyny, które wspomina do dziś. Kiedyś zdarzyło jej się wygrać krzesło do biurka. Było ono bardzo wygodne, ale cały problem leżał w tym, jak przetransportować je do domu. Na szczęście udało się je zmieścić w maluchu. Moim zdaniem, pisanie wierszy to bardzo trudna sprawa. Ciekawiła mnie techniczna strona ich powstawania. Utwory Pani Łucji są niezwykle przemyślane, poważne i głębokie. Powiedziała mi, że inspiracją są dla niej codzienne wydarzenia, przeżycia, obserwacje i uczucia. W ten sposób powstały wiersze takie jak „Moja wieś” czy „*** Moje bliskodalekie przyjaciółki”, które wielokrotnie zostały nagrodzone. Były one odpowiedzią na emigrację, wyjazdy rodziny i znajomych w poszukiwaniu lepszego życia.

*Moje blisko dalekie przyjaciółki
odleciały do cieplejszych krajów
zostały po nich puste gniazda
nic z ciepła nic z muzyki
i ta jednoznaczność
w kształcie kłódki drzewi.*

Moja wieś

*Moja wieś posiwała od pożegnań
skurczyła się o dom
zamknięty na cztery cisze
gospodarzem przypadkowo
została starość
o której w pośpiechu
zapomniano w biurze paszportu*

Wszystkie wiersze Pani Łucji są napisane językiem literackim. Zdradziła mi jednak, że w niedalekiej przyszłości zamierza stworzyć wiersz w gwarze śląskiej, który długo już za nią chodzi. Łącznie poetka napisała około stu wierszy, choć nigdy dokładnie ich nie liczyła. W ciągu dnia Pani Łucja pracuje w firmie Coroplast w Dylakach i zajmuje się domem. Dopiero

wieczorem, gdy wszyscy domownicy zasypiają, ona otwiera drzwi do swojego tajemniczego świata poezji. Wtedy do głowy przychodzi jej najwięcej pomysłów. Koncepcje nowych utworów napływają bardzo spontanicznie i często w zaskakujących momentach. Niektóre wiersze powstają w ciągu kilku minut, godzin, a inne chodzą po głowie przez wiele dni. Podczas jednych z warsztatów poeci musieli napisać wiersz w pół godziny. Jak na prawdziwego artystę przystało, Pani Łucja nie poddała się i zaczęła tworzyć. Tak powstał wiersz „Pierwszą rosą”, który wraz z utworem „Prośba” zajął II miejsce w III Opolskim Konkursie Literackim dla Twórców nieprofesjonalnych. Sama również uwielbia czytać, ulubionymi autorami poetki są: R.M. Rilke, C.K. Norwid, H. Poświatowska, J. Harasymowicz, ks. J. Twardowski, a jej ukochaną powieścią jest „Wielki Rybak” Lloyda C. Douglasa. Co ciekawe, Pani Łucja nigdy nie kształciła się w kierunku swojej pasji. Po ukończeniu szkoły podstawowej ukończyła kurs rolniczy, ponieważ miała przejąć gospodarstwo po rodzicach. Trudno jednak było się z tego utrzymać, tym bardziej, że w międzyczasie została matką czworga dzieci. Zaczęła rozglądać się za jakimś zajęciem i znalazła pracę w przedszkolu w Radawiu jako intendentka. W wieku czterdziestu lat zdecydowała się na pójście do szkoły średniej. Gdy zdała maturę postanowiła pójść na studia. Zastanawiała się nad wyborem kierunku. Psychologia, historia, a może filologia polska? Do głosu doszło wtedy praktyczne myślenie Pani Łucji. Postanowiła wybrać administrację kierunek, który pomógł w zdobyciu dobrej pracy. Poetka bardzo pilnuje swoich wierszy. Nikomu nie pozwala zerknąć bez jej wiedzy do szuflady z utworami. Na co dzień nie zwierza się innym, jest skryta, jeśli chodzi o swoje osobiste przeżycia. Dlatego w utworach przekazuje całą paletę swoich uczuć i emocji. Poezja jest dla niej sposobem na wyrażenie siebie. Największą radość sprawiają jej sytuacje, gdy ktoś ze znajomych, sąsiadów pyta się: „Naprawdę Ty to napisałaś? Bardzo mi się spodobał ten wiersz” lub „Wzruszyłam się, gdy to przeczytałam”. Właśnie wtedy autorka wie, że ktoś czyta jej utwory i rozumie uczucia, które chciała w nich przekazać. Jej wiersze publikowały lokalne gazety, np. „Echo Dobrodzienia”, „Nowiny z Gminy”, „Trybuna Opolska”, a nawet „Gość Niedzielny”. Ukazały się także w kilku „Wyborach wierszy” powstałych po Konkursie Poezji Religijnej w Ludźmierzu. Jak już wspominałam, zostały też wydane w ramach tomu „Prezentacje 3”. W roku 1993 autorka została zaproszona do zaprezentowania swoich dzieł w książce „Polska poetów”. W domu Pani Łucji jest wiele urywków gazet, kserokopii z artykułami na temat jej prac, lecz po kilkunastu latach nie wiadomo, z jakich gazet one pochodzą. Kiedy zaczęłam pisać tę pracę rozmawiałam ze znajomymi, pokazywałam otrzymane wiersze, okazało się, że bardzo mało osób wie o utalentowanej mieszkance Łąki. Szkoda, ponieważ w jej dziełach każdy znajdzie coś dla siebie. Mojej mamie spodobał się utwór „Przebudzenie”, a mnie „>Pomiędzy<”.

Wiem, że Pani Łucja myślała o wydaniu swojego tomiku wierszy, lecz jest to bardzo kosztowne przedsięwzięcie. Może właśnie ta praca zainspiruje kogoś do pomocy w spełnieniu jej marzenia. Powinno się przecież promować lokalnych artystów, którzy wzbogacają naszą małą ojczyznę. Nie powinniśmy tolerować sytuacji, w których miejscowi twórcy są bardziej znani w kraju niż w swoim regionie. Mnie Pani Łucja już zainspirowała. Od jutra ja też będę chodzić z głową w chmurach. Może nawet narodzi się z tego jakiś wiersz?

Źródła:

- Rozmowa z Panią Łucją Opiela
- „Prezentacje 3”
- „IX Wybór wierszy Ludźmierz 2001”
- „X Wybór wierszy Ludźmierz 2002”
- „XII Wybór wierszy Ludźmierz 2004”
- „XV Wybór wierszy Ludźmierz 2007”

- „XVI Wybór wierszy Ludźmierz 2008”
- „XVII Wybór wierszy Ludźmierz 2009”
- „XVIII Wybór wierszy Ludźmierz 2010”
- „XIX Wybór wierszy Ludźmierz 2011”
- „Gazeta Ziemi Namysłowskiej” nr 7/99
- „Gość Niedzielny” 19.03.2003 r.
- „Echo Dobrodzienia”
- „Polska Poetów”
- „Dedykacje”

MIEJSCE III

„GABRIELA KOŹLIK – ŚLĄZACZKA W CZEPKU URODZONA”

Autor: Ewelina Strzelbicka

ZSG w Żędowicach
Opiekun: Jolanta Baron

Panią Gabrielę Koźlik znam od małego, często ją spotykam w sklepach, w kościele albo w szpitalu w Strzelcach Opolskich. Czytałam o niej w lokalnych gazetach i słyszałam w Radiu Katowice jej monolog wygłoszony na konkursie „Po naszymu, czyli po Śląsku”. Pani Gabriela napisała mi również tekst na „Śląskie Beranie”, które odbywa się co roku w naszej szkole.

Wice Ślązaczka roku 1996 pracuje jako analityk medyczny w Szpitalu Powiatowym w Strzelcach Opolskich. Ma dwóch synów, męża, dwie krowy, kury i kaczki.

Do wzięcia udziału w Konkursie „Po naszymu, czyli po Śląsku” namówiły naszą bohaterkę koleżanki z pracy. Podały jej adres, pod który ma się zgłosić i czekały... W końcu pani Gabi wysłała do RK pozdrowienia z Żędowic i w odpowiedzi otrzymała zaproszenie do wzięcia udziału w konkursie.

Początki tego konkursu sięgają 1993 roku. Jego pomysłodawcą jest senator Maria Pańczyk, od 40 lat związana z Radiem Katowice. W konkursie wzięło już udział blisko dwa tysiące uczestników z kraju i z zagranicy. Wśród nich jest aż czworo utytułowanych Ślązaków z Żędowic (Tomasz Koj, 1999, Edyta Koj, 2004, Robert Poloczek, 2007). Można stwierdzić, że to właśnie pani Gabriela utorowała drogę kolejnym laureatom z naszej wsi.

Wspomnienia z tego wydarzenia do dziś są żywe.

Mój mąż mie tam wzioł. Siedzimy, czekamy na moja kolej i ino widza, jak wszyscy się czegoś uczom. W końcu prziszła moja kolej i dali mi tekst do przetłumacznia z polskiego na śląski. Jakoś mi poszło, a potym kozali mi godać. No i wleciało mi do gowy, że powia, jak się robi syr, masło i jak się krowa doi. Moje koleżanki, jak to usłyszały, to widziały ta maśniczka, tyn kibel...Potym łostało nos dwadziścia, a na koniec wybrali ino czterech. No to żech gołdała o weselu i o moim szacu. I tak żech wygodła te moje II miejsce – kończy wspominać.

Pani Gabriela Koźlik (z domu Poloczek) urodziła się w 1966 r. w Żędowicach. Wychowywała się w rodzinie wielopokoleniowej. Była najmłodszym z czworga rodzeństwa państwa Poloczków. Jak mówi:

Urodziółach się w niedziela i akurat trefioło na fajer, unkel miał 25 lot kapłaństwa.

– Jeszcze się nie urodziła, a już wszystkim terminy ustowio – stwierdzili zaproszeni na rodzinną uroczystość goście.

Gwary śląskiej nauczyła się pani Gabi w domu rodzinnym.

U nos zawsze godało się po śląsku i to nie było tak, że każdy starał się, co by było poprawnie. Tak my godali, jak my słyszeli. Wszystkim godałam zawsze za dwoje i szczerze.

Nawet w szkole nasza bohaterka posługiwała się gwarą. Do dzisiaj wspomina, jak pani nauczycielka przeprowadzając wywiad środowiskowy wśród dzieci z rodzin wielodzietnych, zapytała ją o zajęcia rodziców.

Mama na wieczór siedzi za żelazniokiyim i zoki sztrikuje – odpowiedziała pierwszoklasistka.

Skończyło się wezwaniem mamy do szkoły, w celu wyjaśnienia „podejrzanego” zajęcia i zniechęceniem się do polskiego języka literackiego.

Dzieciństwo pani Gabi było szczęśliwe. Ku niezadowoleniu o 6 lat starszego brata *zawsze bołach przy nim, nad wodom, jak w bala grali abo na kołach jeżdzyli.*

– Tyn to miał urwanie gowy zy mną, bo jak kajś jechoł, musioł mie na gypekhalter brać, a potym nie chciałam tego koła puścić i musiałam je pilnować – dodaje.

Pani Koźlik od dzieciństwa marzyła o pracy pielęgniarki. Już w przedszkolu na balu przebierańców wystąpiła *w biołym klajdzie, z czepkiym, na wtórym boł krziż.* Strój ten uszyła jej posiadająca zdolności krawieckie mama.



Była w końcu pielęgniarką w czepku! Mimo pomyślnie zdanych egzaminów do Studium Medycznego w Tarnowskich Górach pani Gabriela nie została przyjęta ze względu na obowiązującą wówczas rejonizację. Toteż rozpoczęła naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. Mieszka I w Zawadzkim, a później ze względu na bliskie położenie w Policealnym Studium Medycznym w Tarnowskich Górach kontynuowała naukę na kierunku analityk medyczny. Pani Gabi całym sercem oddana jest swojej pracy. Obecnie pracuje w laboratorium medycznym. Bardzo przeżywa, *gdy przychodzą wyniki pacjenta, które są beznadziejne, ale jak na drugi raz są dobre, to jo się tak ciesza, jakby to ło mie się rozchodziło.*

Mimo że pielęgniarką nie została, to teraz nie wyobraża sobie, żeby mogła robić coś *innszego*. A największą radość sprawia jej kontakt z ludźmi, bo może sobie *z kimś pogodać*.

Pani Gabi to prawdziwa śląska kobieta. Jak twierdzi „żodnyj roboty się nie boi”. A w życiu robiła już sporo. „Bołach pomocnikym handlangra (murarza), laihyntryigra (grabarza)”, kelnerką, a nawet śpiewała w chórze. O tym, że pani Koźlik potrafi, również pięknie śpiewać, mieliśmy okazję przekonać się podczas wielu imprez środowiskowych.

Pani Koźlik jest osobą rozpoznawalną wśród lokalnej ludności. Swoją działalnością sprawia, że gwara śląska w naszej wsi i okolicy jest ciągle żywa. Wielokrotnie była członkiem jury w konkursach gwarowych, uświetniała swoimi występami imprezy środowiskowe, np. Biesiadę Śląską w Żędowicach, Dni Gminy Zawadzkie, Dożynki Gminne, czy ostatnio Dzień Śląski w miejscowości Wojska.

Co roku chętnie uczestniczy w spotkaniach „Czelodkowiczów”, czyli laureatów konkursu „Po naszymu, czyli po śląsku”. Odbywają się one zwykle w okolicach Świąt Bożego Narodzenia.

W roku 2006 Czelodkowicze przijachali do Żandowic! – wspomina pani Gabi.

Było to pierwsze takie spotkanie Czelodki. Kolejne odbywały się m.in. w Cieszynie, czy w Katowicach.

Pani Gabriela Koźlik jest bez wątpienia osobą nietuzinkową. Na jej twarzy zawsze gości uśmiech a na ustach dobre słowo. Jak tylko czas jej na to pozwala służy wiedzą, doświadczeniem, mądrością i znajomością gwary innym ludziom. Ja jestem tego najlepszym przykładem. Przez ostatnie dwa tygodnie miałam zaszczyt przebywać w towarzystwie pani Gabi, wydarzenie to na długo pozostanie w mojej pamięci.

Bibliografia:

- materiały zgromadzone podczas wywiadu z panią Gabrielą Koźlik,
- zdjęcia udostępnione przez panią Gabrielę Koźlik,
- www.gwarek.com.pl,
- www.zedowice.pl,
- „Krajobrazy Zawadzkiego” nr 3 luty 2005,
- „Krajobrazy Zawadzkiego” grudzień 1999.

WYRÓŻNIENIE **„MYZYCY Z POKOLENIA NA POKOLENIE”**

Autor: Wanessa Dylka

ZGS w Zębowicach **Opiekun: Iwona Grabowska**

Muzyka powinna zapalać płomień w sercu mężczyzny i napełniać łzami oczy kobiety.

Ludwig van Beethoven

Nie znam lepszych słów, które wyraziłyby trafniej misję muzyki. Koncerty Orkiestry Dętej z Kadłuba Wolnego tak właśnie wpływają na słuchacza, jak chciał sam Beethoven i to już od ponad 100 lat. Najpiękniejszy w tym jest sposób przekazywania pasji muzykowania – z pokolenia na pokolenie.

Orkiestra Dęta z Kadłuba Wolnego istnieje od bardzo dawna, pierwsze zapiski na jej temat pojawiły się już w 1907 r., lecz mówi się, że orkiestra mogła istnieć już pręcej. Ponad 100 lat istnienia skłania do zastanowienia nad jej fenomenem.



Wszystko zaczęło się w Kadłubie Wolnym ponad sto lat temu od muzycznego i wesołego Jana Czai II. Uwielbiał on grać na trąbce, siedząc pod gruszą. Zainterесował się nim dyrektor szkoły w Kadłubie Wolnym – Oskar Michalczyk. Tak rozpoczęła się wspólna gra, bowiem znalazło się jeszcze kilku chłopców chętnych do gry na instrumencie. Wielu cennych rad udzielał im doświadczony muzykant weselny – Andrzej Kasprzyk. Wszystkich amatorów doskonalili jednak „mistrz muzyki dętej i smyczkowej” – Stefan Wiener, z zawodu kowal.

Żeby trenować grę, muzykanci zbierali się w ogrodzie Józefa Miozgi. Do pierwotnego składu orkiestry należeli: Czaja Jan II (trąbka), Czaja Piotr I (klarnet), Czaja Piotr II (alt), Dikta Wilhelm (bęben), Kowolik Franciszek (tenor), Krawczyk Jan (trąbka), Krawczyk Józef (klarnet), Miozga Franciszek (bas), Miozga Józef V (tenor). Mecenasem orkiestry był Maciej Lankosz – właściciel sklepu, zaś miejscowy karczmarz August Mendel zapraszał muzykantów do grania w karczmie. Orkiestra pod kierownictwem Jana Czai II grała na uroczystościach kościelnych m.in. na odpustach, zarówno w Zębowicach, jak i w sąsiednich parafiach, do których chodzili pieszo ze swoją parafią w procesji (taka była tradycja). Również co roku pielgrzymowali na odpust do parafii pw. Św. Anny w Oleśnie oraz na Górę św. Anny na obchody Kalwaryjskie. Grali często na weselach, pogrzebach, a w Nowy Rok chodzili po domach z muzyką, składając życzenia. Z biegiem lat skład orkiestry się zmieniał, odchodzili starsi, przybywali młodszy. W ostatnich latach II wojny światowej działalność orkiestry została zawieszona. Po wojnie, w 1946 r. orkiestra zaczęła ponownie funkcjonować, dalej pod kierownictwem Jana Czai II.

Członkami orkiestry w czasach przedwojennych jak i powojennych byli m.in.: Aleksander Czapla i Teodor Lempa z Poczółkowa, Aleksander Jeziorowski z Ligoty Dobrodzieńskiej, Eryk Bryś z Klekotnej, Tomasz Kowolik z Kadłuba Wolnego, Piotr Psyk z Siedlisk, Wojciech Jośko z Kadłuba Wolnego, Paweł Serwusiok z Zębowic, Paweł Gawlik z Kadłuba Wolnego, Franciszek Kontny z Pipów, Emil Wieczorek z Pruskowa, Gerhard Kurda z Nowej Wsi, Rudolf Kaczmarczyk z Poczółkowa, Jan Wyrwach z Dobrodzienia, Werner Nowak z Osiecka, Rajmund i jego syn Joachim Czaja z Zębowic, Antoni Miozga z Siedlisk, Alojzy Kowolik z Kadłuba Wolnego, Jerzy Bryś z Dobrodzienia, Edmund Kij z Nowej Wsi, Erich Czaja z Kadłuba Wolnego, Emil Tomys z Leśnioków, Herman Schipert z Kocur, Hubert Świgoń z Zębowic, Wilhelm Jośko i Andrzej Jonczyk z Zębowic oraz inni nie wymienieni wyżej, którzy krótko grali w orkiestrze.

Po Janie Czai II orkiestrę przejął jego zięć – Paweł Gawlik. Orkiestra grała wtedy podobnie jak wcześniej na uroczystościach kościelnych oraz przy innych okazjach, np.: weselach, pogrzebach, prymicjach itp. W 1976 roku Paweł Gawlik postanowił wyjechać na stałe do Niemiec. Kierownictwo początkowo chciał oddać w ręce Rajmunda Czai, ale ten nie chciał brać na siebie takiej odpowiedzialności ze względu na ogrom prac na gospodarstwie. Za to odpowiednim kandydatem okazał się Jerzy Kutz, któremu to ostatecznie przekazano kierownictwo nad orkiestrą. Jerzy Kutz należał do naszej orkiestry od 1958 r., pręcej grał w orkiestrze w Szemrowicach. Pan Kutz jest niezwykle muzykalną osobą, swoje zainteresowanie muzyką wykazywał już od dziecka, a od 12. roku życia zaczął pobierać nauki gry na instrumencie u niejakiego pana Gajowskiego. Jerzy Kutz potrafi grać na waltorni, trąbce, tenorze, barytonie i tubie. Niegdyś udzielał innym lekcji na tych instrumentach, w sumie na lekcje gry uczęszczało do niego ok. 50 osób. Orkiestra Jerzego Kutza pozostała dalej wierna tradycjom, ale zmniejszył się skład orkiestry ze względu na starzenie się bądź wyjazdy za granicę, dlatego postanowiono werbować do grania młodych. To nie było trudne, gdyż wtedy już młodzież uczęszczała na lekcje do kierownika orkiestry. Sukcesywnie uzupełniali skład orkiestry. Tak orkiestra dotrwała lat 90-tych. Jednak problem wykuszania się dalej trwał, w 1996 roku orkiestra liczyła zaledwie 9 członków. Postanowiono dalej ogłaszać nabór chętnych do nauki. Zgłosiło się ponad 40 chętnych chłopców i dziewczyn w wieku 11-13 lat. W styczniu 1997 roku odbyło się spotkanie z chętnymi i ich rodzicami. Zakwalifikowano 40 kandydatów do nauki, których podzielono na 5 grup. Brakowało jednak instrumentów. Pan Jerzy Kutz namówił swojego znajomego Mariana Sieradzkiego z Mikołowa, który zajmował się skupem używanych instrumentów i ich remontem do wypożyczenia instrumentów na czas nauki. Pan Sieradzki przystał na to, ale został jednak problem płacenia za dzierżawę. Urząd Gminy w Zębowicach zawarł umowę z panem Sieradzkim na dzierżawę instrumentów na okres 1-go roku. Wreszcie można było zacząć naukę, każdego uczestnika szkolono

indywidualnie. Instruktorami grup byli: Jerzy Kutz, Waldemar Czaja, Grzegorz Libera, Alfons Witek oraz Paweł Szczygieł. Postępy uczniów były tak duże, że rodzice, widząc zaangażowanie dzieci, zdecydowali się płacić za dalszą dzierżawę instrumentów. Raz w tygodniu odbywała się również grupowa lekcja prowadzona przez Jerzego Kutza.

W maju 1998 roku oficjalnie powstała Orkiestra Dęta prowadzona przez Jerzego Kutza, wraz z nowymi członkami. Ponieważ potrzebowano nowego sprzętu, wystąpiono z wnioskiem o jego zakup do Urzędu Gminy Zębowice i Urzędu Miasta i Gminy Dobrodzień. Gminy Zębowice nie stać było jednak na taki wydatek, natomiast burmistrz Gminy Dobrodzień, zauważwszy, że w orkiestrze gra młodzież z gminy Dobrodzień, postanowił zakupić instrumenty. Był to początek Międzygminnej Młodzieżowej Orkiestry Dętej Zębowice-Dobrodzień z siedzibą w Zębowicach.

Pierwszy oficjalny koncert orkiestry odbył się we wrześniu 1998 roku. W tym samym miesiącu, muzycy wystąpili na Dożynkach Gminnych w Łące. Gościł tam poseł do Sejmu RP pan Henryk Kroll i jak wspomina pan Kutz, dziwił się tak młodym składem orkiestry oraz tym, że w orkiestrze były też dziewczyny. Rok 1999 zdecydowanie był wypełniony występami, zaczął się od kołędowania w kościołach w Zębowicach i Szemrowicach. Następnym miejscem koncertu był Dobrodzień, tam orkiestra brała udział w Przeglądzie Zespołów Artystycznych Mniejszości Niemieckiej w Dobrodzieniu. Na ten koncert przybyła także delegacja z miasta partnerskiego Haan. Występ tak im się podobał, że zaprosili orkiestrę na festyn do Haan, który miał się odbyć 1 maja. Następne wystąpienia to: festyn majowy w Dobrodzieniu, festyn strażacki w Katowicach, festyn w Żytniowie, przegląd zespołów artystycznych mniejszości narodowych i etnicznych „Źródło” w Dobrodzieniu, festyn „Caritas” w Turzy oraz dożynki w Zębowicach i Dobrodzieniu. Od 1 lutego 2001 roku orkiestra przyjęła nową nazwę Międzygminna Orkiestra Dęta Dobrodzień Zębowice z siedzibą w Dobrodzieniu. Skład zespołu się zmieniał, niektórzy odchodzili, a przychodzili nowi, m.in. doświadczeni muzycy z Dobrodzienia czy muzycy z Ozimka. Od 19 lipca do 25 lipca 2002 roku w Dobrodzieniu gościła Orkiestra z Kaiserslautern (miasta partnerskiego powiatu oleskiego). W tym czasie odbywały się warsztaty muzyczne, a obie orkiestry spotykały się codziennie na próbach, a potem dały wspólny koncert na festynie powiatowym, który odbywał się w Dobrodzieniu. Łącznie obie orkiestry liczyły 82 osoby. Wspólny koncert odbył się również w amfiteatrze w Gorzowie Śląskim. W 2003 roku orkiestra koncertowała m.in. w Tułowicach i w Mikołowie na „Dniach Mikołowa”. W 2004 roku orkiestra została ponownie zaproszona do Haan. 1 maja orkiestra wystąpiła w Düsseldorfie na festynie z okazji poszerzenia Unii Europejskiej o nowe państwa. 2 maja odbył się koncert w Haan z okazji podpisania umowy partnerskiej między miastami Haan i Dobrodzień. W ciągu 3 lat wciąż ubywało chętnych, a nowych nie przybywało, z tego względu władze miasta i gminy Dobrodzień 10 sierpnia 2007 roku zrezygnowały z utrzymywania Międzygminnej Orkiestry Dętej Dobrodzień-Zębowice. Pożegnalny koncert odbył się 9 września w Kniei na dożynkach Gminy Zębowice. Orkiestra jednak nie przestała istnieć, dalej istnieje dzięki wiernym jej członkom, lecz bez nazwy. Obecnie liczy 17 członków, głównie w wieku 20-35, wyjątkiem jest najstarszy, wierny członek orkiestry – wójt Gminy Zębowice – Waldemar Czaja. Orkiestra aktualnie działa pod kierownictwem p. Mariusza Czai, który nadał orkiestrze nieco inny charakter, bo teraz orkiestra gra również utwory nowoczesne. Za cel postawił sobie udowodnienie, że orkiestra nie musi być nudna i może stanowić rozrywkę na różnego rodzaju imprezach. Zespół gra zarówno na uroczystościach kościelnych jak i festynach, przeglądach muzycznych czy innych imprezach muzycznych. Wyjątkowo miło członkowie wspominają koncert na rynku w Krakowie wraz z słynnym śpiewakiem operowym z Dobrodzienia – Piotrem Lempą. Próby orkiestry odbywają się systematycznie w piątki. Takim właśnie sposobem orkiestra istnieje po dziś dzień.

Mam nadzieję, że ponad stuletnia tradycja nie zostanie przerwana i orkiestra dalej będzie istnieć, jest bowiem chlubą naszej gminy i zostawia po sobie miłe wspomnienia, a u byłych członków wywołuje łzy wzruszenia i uśmiech na twarzy, gdy tylko mogą podzielić się swoimi doświadczeniami w orkiestrze. Chociaż granie na instrumentach dętych nie jest łatwe, wierzę, że orkiestra złowi świeży narybek wśród moich rówieśników.

Źródła:

- Wywiad z p. Jerzym Kutzem
- Notatki własne p. Kutza
- Wywiad z p. Rajmundem Czają – byłym członkiem orkiestry
- Wywiad z p. Mariuszem Czają – obecnym dyrygentem orkiestry

Zdjęcia:

- Prywatne zbiory p. Jerzego Kutza
- Prywatne zbiory p. Rajmunda Czai
- Strona internetowa – www.picasaweb.google.com/maniek430

WYRÓŻNIENIE **„FOLKLORYSTYCZNA NUTA”** **Autor: Sara Halupczok, Marta Rapińska**

GZS w Ozimku

Opiekun: Marzena Wolicka-Mazurkiewicz

Przyszliśmy dziś do Was z naszymi piosnkami, Patrzajcie, słuchajcie i bawcie się z nami
(słowa piosenki „My jesteśmy z Grodzca”)

W promieniach popołudniowego słońca dostrzegamy ich barwne kwiatki na głowach.

Na scenie jest ich trzynastu, śpiewają folklorystyczne piosenki. Kobiety mają na sobie ludowe stroje. W ich skład wchodzi: biała koszula, spódnica i kamizelka. Nie może także zabraknąć czerwonych koralików, zabytkowej, kresowej chusty i kwiatka we włosach. Chusty są przekazywane z pokolenia na pokolenie, mają już ponad sto lat. Spódnice najczęściej są plisowane, chociaż zdarzają się też gładkie. W zespole jest trzech mężczyzn – muzyków. Zazwyczaj mają oni na sobie eleganckie spodnie idealnie współgrające z białą koszulą, na którą czasem zakładają kamizelkę. Tak kolorowo było od początku...



Zespół powstał w maju 1975 roku w Zielone Świątki, z inicjatywy Haliny Gładkovej. Zaistniał przy Kole Gospodyń Wiejskich.

Tak założycielkę opisała Zofia Cichowska, jedna z członkiń zespołu: „Była pedagogiem z prawdziwego zdarzenia, a także bardzo dobrą dyrektorką Szkoły Podstawowej w Grodzcu”.

Na początku swojej działalności zespół składał się z szesnastu pań, którym towarzyszyła kilkusobowa kapela. Panie

rozwickały się amatorsko i tak jest do dzisiaj. Grupa ma korzenie kresowe i podtrzymuje tradycję, mówią o tym słowa utworu: „My jesteŃmy z Grodzka, wesołe biłczanki, lubim śpiewać, tańczyć, boŃmy kresowianki”. Wykonywane piosenki sã bardzo stare. „Sã przywiezione ze Wschodu, zaczerpnięte zostały od naszych dziadków, sã mało znane” – powiedziała jedna z pań.

Zofia Cichowska, która szczególnie ukochała „małą ojczyznę”, uważa, że tradycja nie powinna zaginać, poniewaŃ utrzymuje cały naród. Przodkowie śpiewających pań pochodzã z okolic Lwowa, lecz same panie, z wyjątkiem jednej, urodziły się w Grodzcu. Kobiety wzięły udział w tworzeniu ksiãŃki kulinarnej o daniach kresowych. PrzysłuŃyły się do jej powstania, podajã przepisy. Zespól zaangaŃzował się równieŃ w przygotowanie inscenizacji wesela kresowego, które odbyło się 12 czerwca 2011 roku, podczas Dni Grodzka. Rozpoczęła się ona przejazdem orszaku weselnego przez wieś. Na przedstawienie przybyli goście zapraszani przez druŃki i druŃbów. W szczelnie wypełnionym namiocie zaprezentowano widowisko przedstawiające wesele w Biłce Szlacheckiej. Wzięli w nim udział aktorzy-amatorzy z Grodzka. Podczas inscenizacji nie zabrakło tradycyjnych potraw, takich jak kapusta, studzinina, chulupci z kaszã gryczanã i pierogi. Na stole dumnie prezentował się kurowaj – „To taka baba, bardzo wysoka, do góry jest plecionka, przystrojona mirtã lub barwinkiem”. WaŃne jest to, że kresowe wesele odtworzono na podstawie scenariusza Krzysztofa Kleszcza. Przypomniało ono starszym mieszkańcom miejscowości o dawnych zwyczajach, a młodym przybliŃyło tradycję ich dziadków. W trakcie występu poŃlugiwano się gwarã wschodniã. „Teraz się juŃ tak nie mówi, ale gwarę jeszcze słychać u moich dziadków czasami, więc wystarczyło mi tylko odŃwieŃżyć” – powiedziała Łucja Furman grająca ZoŃkę. Zaprezentowano cały przebieg wesela, poczãwszy od swatania po zakładanie przez pannę młodã chusty na głowę. Tradycja nakazywała, że kaŃda dziewczyna, która wyszła za mãŃ, nie mogła pokazywać się bez chusty na głowie. Po uroczystości gości częstowano tradycyjnymi potrawami i zapraszano do tańca. Dni Grodzka, w czasie których prezentowano „Wesele kresowe”, można zaliczyć do udanych dzieki pięknej pogodzie i licznemu udziałowi mieszkańców Grodzka.

Tak na temat zespołu wypowiedziała się pani Zofia Cichowska.

- **W jaki sposób grupa kultywuje tradycję?**
- Na wszystkich występach, gdzie jesteŃmy zapraszani, przewaŃnie sã śpiewane piosenki kresowe (...). Tradycja to przede wszystkim Święta BoŃego Narodzenia, doŃzynki, tu się piecze bochenek chleba (...), a my pieczemy kurowaj.
- **Czy zespól przekazuje tradycję kolejnym pokoleniom?**
- ChciałybyŃmy, ale młodzi się po prostu do tego nie garnã.
- **Czy szykujã się Panie obecnie do jakiś występów?**
- Obecnie przygotowujemy się do Dni Grodzka (spotkanie piosenki kresowej kresowiaków) i do konkursu „Wiatraki”, który odbywa się w Tarnowie Opolskim – Kosorowicach, a takŃe do spotkań kresowych w Łosiuwie.
- **Kiedy odbywajã się próby i ile czasu panie na nie poŃwięcajã?**
- Ćwiczymy we wtorki. PoŃwięcamy na to dwie godziny, a jak trzeba to nawet dłuŃej przed występami. Na próbę moŃe przyjść kaŃdy i poŃluchać.

„Piosenki sã śpiewane takŃe gwarã, tak jak to kiedyŃs było na Śląsku” – mówi członkini zespołu. Trasę występów wyznaczajã takie miejscowości jak: Olszanka, Głuchołazy, Stare Olesno, Rzeszyce, Zębowice, Grodków, Kluczbork, Popielów, Bogdanowice, Skorogoszcz, Krasiejów, Bierkowice, Dobrodzień, Katowice, Ozimek. Zespól udziela się artystycznie podczas: BoŃego Narodzenia, doŃynek, Dnia Seniora, Zielonych Świętek, Wielkanocy, Dni Grodzka, Ńwięta Nowej Trybuny Opolskiej, Festiwalu Piwa, Ńwięta Trzech Króli i podczas miesiãca maryjnego. Grupa występowała goŃcinnie w zakładach karnych, w Muzeum Śląskim w Katowicach, a takŃe w Muzeum Wsi Opolskiej w Bierkowicach. Zespól zdobył pierwsze miejsce

podczas Święta Opolskiej Pieśni Ludowej w Gogolinie, brał udział w imprezach o charakterze ogólnopolskim, regionalnym i gminnym. W Lewinie Brzeskim za prezentację widowiska pod tytułem „Bóg się rodzi” zajął drugie miejsce w Wojewódzkim Przeglądzie Zespołów Kolędniczych „HERODY”. Grupa jest wielokrotnym laureatem Wojewódzkiego Przeglądu Amatorskiej Twórczości Artystycznej „Wiatraki” organizowanego przez Gminny Ośrodek Kultury w Tarnowie Opolskim. W kronice swej działalności zespół odnotował wielokrotnie koncerty w Muzeum Wsi Opolskiej w Opolu.

Brał udział w imprezach organizowanych przez Muzeum w ramach Festiwalu Folklorystycznego „Po obu stronach granicy”, mającego miejsce w Głuchołazach i Prudniku. Zespół zaprezentował także swój dorobek artystyczny podczas Przeglądu Amatorskich Zespołów Ludowych i Grup Obrzędowych „Na Ludową Nutę” organizowanego przez Lokalną Grupę Działania „Kraina Dinozaurów”. Uświetniał liczne imprezy okolicznościowe, a wszystkie otrzymane nagrody i wyróżnienia motywowały do dalszej pracy. Grono muzyczne może pochwalić się również odznaką zbiorową „Zasłużonemu Opolszczyźnie” za działalność popularyzującą kulturę ludową. „Grodziec” ma na swoim koncie nagrania radiowe kresowych pieśni ludowych, kolęd, pastorałek i gawęd, a także wywiad dla Radia Plus Opole. Lista dokonania jest więc długa.

Teraz powiedzmy kilka słów o strojach.

- **Czy stroje do występów są szyte, każdy na inną okazję?**
- Nie, są szyte co pewien czas. Czasem dostajemy na nie jakieś dofinansowanie, ale przeważnie musimy za nie same płacić.
- **Kto decyduje o tym, jaki strój będzie na dany występ? Czy dochodzi w tej kwestii czasem do małych sprzeczek?**
- Decyduje kierowniczką zespołu. Raczej dogadujemy się w tej kwestii.

Zespół swoją działalnością urozmaica wiele wydarzeń kulturalnych. W 2015 roku będzie obchodził 40-lecie istnienia. Na wszystkie swoje jubileusze grupa zaprasza również inne zespoły. Swoje występy wzbogaca takimi utworami jak: „Hej tam koło młyńca”, „Czyja ta dziewczyna”, „Idzie chmureczka, deszcz leje”, „Czy pamiętasz Janeczku”, „O Boże, Mój Boże”. To tylko kilka z całego zbioru piosenek, a łącznie jest ich ponad dwieście.

Teraz zaprezentujemy jedną z nich: „W moim ogródeczku zakwitła lilia, a jej zerwać nie mogę, ja jej zerwać nie mogę. Miałem ja dziewczynę z dalekiej krainy, ale mi ją nie chcą dać, miałem ja dziewczynę z dalekiej krainy, ale mi ją nie chcą dać...”. Gdy grupa odwiedza nowe miejsce, wita się z gośćmi trzema piosenkami. Tematyka utworów jest głównie obyczajowa, miłosna i religijna. Grono nie odmawia udziału w takich uroczystościach jak wesela i chrzciny.

Obecnie w skład zespołu wchodzi dziesięć śpiewających kobiet: Józefa Cichowska, Zofia Cichowska, Maria Cichowska, Maria Halupczok, Halina Winnik, Janina Wierna, Anastazja Domerecka, Joanna Podkowa, Anna Juszczyzyn, Józefa Pawelec oraz trzech muzyków: Józef Palt (akordeon), Stanisław Bojdunik (skrzypce) i Ryszard Gałka (bęben).

W okresie trzydziestodwuletniej działalności zespołem kierowały zamiennie następujące osoby: Czesława Sękowska, Zofia Januszewska, Józefa Cichowska, która tę funkcję pełni po raz drugi już od siedmiu lat.

Zespół ceni wartość rodziny. W grupie śpiewają kuzynka i trzy siostry, które wyszły za mąż za trzech braci. Wśród członków była niegdyś siostra tych trzech braci.

Jedna ze wspomnianych sióstr prowadzi zespół, a druga kronikę.

Oto kilka słów o doświadczeniach naszej rozmówczyni.

- **Czy śpiewanie sprawia Pani dużą przyjemność?**
- Lubię śpiewać, zresztą u nas wszyscy lubili śpiewać, rodzice i mój dziadek też bardzo ładnie i dobrze śpiewali. My to w ogóle lubiliśmy śpiewać (...). Mój pradziadek był

organistą. Rodzina ze strony ojca to bardzo muzykalni ludzie. Śpiewanie to jest po prostu moja pasja.

- **Co sprawiło, że zdecydowała się Pani dołączyć do zespołu?**
- Lubię śpiewać. Wcześniej była moja siostra jeszcze kierowniczką tego zespołu. I oni zawsze jak próbę mieli, to ja przy tych próbach byłam, mnie to strasznie pociągało i po prostu któregoś dnia zdecydowałam się, że dołączę do zespołu.
- **Czy realizuje się Pani w tym zespole?**
- Po prostu lubię śpiewać i wydaje mi się, że się w tym realizuję. Jak śpiewam, to myślę, że tak.
- **Jaka atmosfera panuje w grupie?**
- Bardzo dobra, nieraz się tam posprzeczamy, jeżeli chodzi o jakieś piosenki, ale raczej atmosfera jest super. Staramy się być zgodni.
- **Czy nie ma Pani czasem ochoty zrezygnować ze śpiewania w zespole?**
- Nie, absolutnie nie. Chyba, że już nie będę mogła. Śpiewam nie tylko w zespole, ale też w mieszkaniu jak coś robię, na przykład sprzątam, to puszczam sobie jakąś kasetę i razem z nią śpiewam.

Panie nie były debiutantkami, wcześniej śpiewały w chórach kościelnych. A teraz kilka ciekawostek o „Grodźcu”. W zespole występuje osiemdziesięcioletnia pani, która mimo swojego wieku nadal śpiewa. Wszyscy członkowie mają razem osiemset trzydzieści pięć lat. Średnia wieku kobiet wynosi sześćdziesiąt siedem lat, a panów pięćdziesiąt pięć lat.

Grupa swoimi działaniami potwierdza, że kieruje się tym mottem: „Naród pozbawiony tradycji to żaden naród, tylko zbiegowisko” (Stanisław Lem). Przywiązanie do tradycji sprawia, że grupa trzyma się razem i chętnie jest zapraszana przez lokalne społeczności na Opolszczyźnie.

Bibliografia:

1. Albumy, płyta, kronika zespołu „Grodziec”, własność Zofii Cichowskiej
2. Ocalone dla pokoleń, oprac. Helena Gruszka, Dom Kultury w Ozimku
3. Witold Żurawicki, Wesele kresowe, www.tvp.pl/opole/aktualności/kulturalne/wesele-kresowe, dostęp 5 kwietnia 2014 r.
4. Wywiad z Zofią Cichowską przeprowadzony przez autorki pracy konkursowej w kwietniu 2014 r.

WYRÓŻNIENIE **„MUZYKA WIZYTÓWKĄ NASZEJ GMINY”**

Autor: Katarzyna Wójcik

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni
Opiekun: Jolanta Gawłyta

Spacerując ulicą, spotykamy wielu ludzi. Każdy z nich jest inny, ale każdy z nich kryje w sobie coś wyjątkowego. Jednym z nich jest człowiek, który swoją pasją zaraził już wiele osób. Udowodnił, że codzienne próby i ćwiczenia dają niesamowity rezultat. Pokazał, że muzyka to język, który na scenie podczas występów pozwala nam porozumieć się i poznać uczucia słuchaczy. Jest nim Pan Jacek Zganiacz, który do muzyki zachęcił również mnie. Do dziś rozwijam swoje umiejętności gry na trąbce. Pięć lat temu koło DFK i Urząd Gminy w Chrzastowicach utworzyli Młodzieżową Orkiestrę Dętą. Początkowo zajęcia odbywały się indywidualnie. Uczniowie zaczęli od podstaw. Codzienne ćwiczenia i trenowanie sprawi-

ły, że za rok młodzież połączyła swoje siły i zaczęła wspólnie muzykować. Dzięki zaangażowaniu pana Jacka orkiestra licząca obecnie 29 muzyków wiele już osiągnęła i zaprezentowała się nie tylko w Polsce, ale również za granicą. Wszyscy członkowie orkiestry dążą do doskonałości. Jest to bardzo trudne zadanie, ale staramy się z całych sił. Co roku wyjeżdżamy



na tygodniowe obozy, by jeszcze intensywniej pracować. Bierzymy udział w wielu przeglądach, konkursach, by pokazać swoje starania i wysiłek włożony w to co robimy. Granie na instrumencie to nie jest nasz obowiązek, ale przyjemność i radość z tego, że mamy możliwość rozwijania się pod każdym względem. Gdy inni rówieśnicy swój wolny czas poświęcają na zabawy i różnego rodzaju przyjemności, my ćwiczymy z nadzieją, że w przyszłości nasze starania przyniosą oczekiwane

efekty. Kiedy występujemy przed liczną publicznością, często „zjada” nas stres, a to świadczy o niezwykłym przejściu się, by wszystko jak najlepiej wyszło. Jednak nigdy by się to nie udało, gdyby nie pomoc i wsparcie rodziców, którzy chętnie angażują się w życie orkiestry do czego przekonuje ich nasz kapelmistrz. Organizują różne festyny, bale, przyjęcia, gdzie orkiestra pokazuje się z jak najlepszej strony. W okresie świąt Bożego Narodzenia młodzież daje piękne koncerty noworoczne w kościołach naszej gminy i nie tylko. W repertuarze orkiestry są zarówno polki, jak i walce, muzyka rozrywkowa, filmowa, biesiadna i kościelna. Z czasem nasza orkiestra wzbogaciła się o zdolną, młodą wokalistkę Paulinę Bannert, która uświetnia każdy nasz występ. Cały czas z niecierpliwością czekamy z otwartymi ramionami na nowych muzyków, którzy zechcą do nas dołączyć.

Moim zamiarem jest przybliżenie i opisanie działalności Pana Jacka Zganiacza i jego orkiestry, który swoją pracą przyczynia się do promowania naszej gminy w różnych zakątkach Polski i nie tylko.

Swoją pasję zaczął rozwijać w bardzo młodym wieku. Jako chłopiec uwielbiał grać z kolegami w piłkę, jeździć na rowerze, ale wszystkie te przyjemności musiał ograniczyć, kiedy rodzice zapisali go do szkoły muzycznej. Młody Jacek z czasem coraz bardziej pogłębiał swoje zainteresowania muzyczne i postanowił dalej kształcić się w tym kierunku.

Był bardzo zdolnym uczniem i robił niesamowite postępy w grze na swoim instrumencie – waltornii. Rozpoczynając swoją przygodę z muzyką, nie przypuszczał, że w przyszłości będzie to jego zawód. Jednak wszystko się zmieniło. Dziś Pan Jacek jest profesjonalnym waltornistą, dobrym nauczycielem oraz wspaniałym dyrygentem naszej orkiestry. W swojej karierze zdobył wiele osiągnięć. Jego pierwszym poważnym krokiem w świat muzyki było ukończenie Akademii Muzycznej. Pasją Pana Jacka jest nauka przyszłych muzyków. Wpaja nam, że musimy pokochać to co robimy i uwierzyć w swoje możliwości, że muzyka płynie z serca, a nie z kawałka blaszki uformowanej w różnorodne instrumenty. Każdego dnia budząc się, powinniśmy brnąć przez codzienność z niecierpliwością na nadejście momentu, kiedy grając na instrumentach popłyniemy w świat muzycznej fantazji.

Muzyka to nie tylko melodia, rytmy, dźwięki, ale także wyjątkowe uczucie, którym obdarzył nas Bóg. To niepowtarzalne uczucie pomaga nam włączyć się w tajemniczość muzyki. Muzyka jest jak wyłom, przez który dusza, jak więzień uciekający z więzienia leci czasem

w regiony wolności. Muzyka uspokaja, pozwala odetchnąć od obowiązków, ale gdy trzeba pobudza nas do walki z codziennymi zmaganiem.

Pan Jacek zdradził nam jedno ze swych marzeń: „*Chciałbym kiedyś móc na żywo wysłuchać koncertu noworocznego w wykonaniu Filharmoników Wiedeńskich.*”. Pojawia się pytanie – *Dlaczego?* Odpowiedź jest bardzo prosta. Na świecie nie ma dwóch dokładnie takich samych przedmiotów, rzeczy. Tak samo jest z muzyką. Każde wykonanie jest inne. Możemy próbować tysiące razy, ale nigdy nie powtórzymy tego w podobny sposób. Taka jest natura tego pięknego świata, który nas otacza. Wsłuchując się w grę muzyków, szukamy swych gustów muzycznych, dzięki którym wybieramy swoich faworytów. Filharmonicy wiedeńscy tak właśnie oczarowali swoją grą naszego Pana Jacka.

Człowiek z pasją, którego chciałam przedstawić to niezwykła osoba, która dzięki swoim zasługom i zaangażowaniu odniosła już wiele sukcesów, ale najcenniejszym dla niego osiągnięciem jest radość i zadowolenie z widoku pukającego w drzwi klasy ucznia, który pragnie dalej brnąć i zdobywać wiedzę, którą mu zaoferował Pan Jacek Zganiacz. Również udane występy orkiestry, zadowolenie słuchaczy oraz zaangażowanie muzyków w orkiestrze – także można zaliczyć do sukcesów.

Bibliografia:

- Google.pl
- chrzastowice.vipower.pl
- własny zakres wiedzy

„ADAM LEDWOŃ – IDOLEM MŁODYCH SPORTOWCÓW”

Autor: Szymon Wróbel

ZSG w Zębowicach

Opiekun: Iwona Grabowska

Radawie to niewielka wieś położona w województwie opolskim, w powiecie oleskim, w gminie Zębowice. W tej tu uroczej i spokojnej miejscowości wychował się wielki sportowiec – idol wielu młodych sportowców – Adam Ledwoń.

Adam Ryszard Ledwoń urodził się 15 stycznia 1974 w Oleśnie. Był najstarszym synem Barbary i Ryszarda Ledwońów. Od samego początku nic nie wskazywało na to, że zostanie wielkim człowiekiem sportu. Dzieciństwo spędził w swojej rodzinnej miejscowości – Radawiu. Był dzieckiem pełnym energii, bardzo dobrze się uczył w szkole, chodził na kółko fotograficzne, zawsze rozpieszczał go energia i wraz z kolegami z klasy był skory do różnych psikusów. Kiedy miał 6 lat mama usilnie starała się odkryć jego talenty. Wysłała go do szkoły muzycznej w Kluczborku, niestety nauczyciele wytrzymali z nim tylko pół roku i na tym zakończyła się jego edukacja muzyczna. Kolejnym krokiem była nauka języka francuskiego, w związku z tym, że na lekcje chodził z przyjacielem z okresu niemowlęctwa z Grzegorzem Woźniakiem – to było dla nauczycielki p. A. Zielińskiej za duże wyzwanie, więc wyrzuciła ich na bruk – Adam nie został więc poliglotą. Teraz, po latach, można powiedzieć, że los tak chciał, bo zaraz po francuskiej edukacji przyszła do szkoły gazetka „Głos Odlewnika”, w której zamieszczone było ogłoszenie o naborze do szkoły piłkarskiej HKS Ozimek. „*Do trzech razy sztuka* – stwierdziła mama Adama – *albo to albo nic*”. Tata zawiózł go na pierwszy trening. Nie chciano go przyjmować, bo był za młody. Ojciec nie dał jednak za wygraną, uparcie dążył, aby sprawdzić umiejętności

piłkarskie chłopca. I co się okazało? Adam posiadał niezwykle talent piłkarski. Można by rzec, że te jego niezwykle zdolności były dziedziczne. Dziadek Adama grał w Pogoni Lwów, Ryszard Ledwoń – ojciec Adama – był zawodnikiem LZS Radawie i często grał z Adamem na radawskim boisku. Młodszy brat – Łukasz – również jest piłkarzem, grał w Odrze Opole. „*Geny się dziedziczy i nie ma na to rady* – mówi mama Adama, Barbara Ledwoń – *musiałam się pogodzić, że nie będę miała muzyka czy filologa języka francuskiego*”.

Gdy trener HKS Ozimek zobaczył, jakie umiejętności posiada Adam, to przyjął go do klubu bez wahania. I tak właśnie rozpoczęła się kariera sportowa Adama Ledwonina. „*Mój mąż przez kilka lat woził go starym trabantem na treningi do Ozimka – wspomina p. Barbaropotem psującym się wiecznie motorem (którego często musiał pchać), a jak już nie było czym, Adam jeździł 15 km do Ozimka rowerem. Tak jak mawiał Napoleon Hill: „Do sukcesu nie ma żadnej windy, trzeba iść po schodach...”*. *Szybko musiał nauczyć się samodzielności, bo był wiecznie w rozjazdach (na treningach, meczach czy zgrupowaniach)*.” „*Wiesz o niezwykle uzdolnionym chłopaku z maleńkiego Radawia rozeszła się szybko i szeroko po futbolowej Polsce*” – czytamy w gazecie pt. „Tempo” z 25 kwietnia 1997 r. „*Prze do przodu niczym czołg* – dalej pisze redaktor gazety – *po drodze stara się miażdżyć wszystko, co ma pod nogami. Jego filozofia futbolu zawiera znaną wszystkim maksymę, że cel uświęca środki. Taki jest w życiu i na boisku, sukces ponad wszystko...*” *Sukces nigdy nie jest efektem „słomianego zapалу”* – pisał James Madison – *tu trzeba przejść przez prawdziwy ogień. Adam był uparty, solidny, pracowity, systematyczny, nie zniechęcał się przeciwnościami losu. „W klasie 6. szkoły podstawowej złamał nogę – wspomina nauczycielka z Radawia, Zofia Laskowska-Qach – było to bardzo skomplikowane złamanie, wszyscy myśleliśmy, że to koniec kariery sportowej Adasia, byliśmy w błędzie. Adam po rocznej przerwie wrócił do piłki nożnej i starał się być jeszcze lepszym zawodnikiem. Prawdziwy twardziel* – podsumowała p. Zosia. Dzięki niezwykle talentowi, uporowi i ambicjom Ledwoń odnosił sukcesy i piął się bardzo szybko po szczeblach kariery sportowej. Tak jak pisał Eurypides: „Wygrywa tylko ten, kto ma jasno określony cel i nieodpartą pragnienie, aby go osiągnąć, sukces jest wynikiem właściwej decyzji”. Dzisiaj wiemy, że Adam Ledwoń wybierając drogę kariery sportowej, dokonał właściwej decyzji. To było jego przeznaczenie.



W sezonie 1990/1991 był zawodnikiem trzecioligowej Odry Opole. W 1991 roku przeszedł do GKS Katowice, w którego barwach 26 października zadebiutował w I lidze w wygranym 2:1 meczu z Olimpią Poznań. Pierwszego gola w najwyższej klasie rozgrywkowej strzelił 20 czerwca 1993 w spotkaniu ze Śląskiem Wrocław, przyczyniając się do zwycięstwa 4:2. Trzy dni później wraz z katowickim klubem wywalczył puchar Polski – w finałowym pojedynku tych rozgrywek z Ruchem II Chorzów wystąpił w podstawowym składzie, a w serii rzutów karnych zdobył decydującą o zwycięstwie bramkę. Ponadto z GKS-em dwukrotnie został wicemistrzem Polski (1992, 1994). Regularnie występował również w europejskich pucharach – Pucharze Zdobywców Pucharów i Pucharze UEFA (w sezonie 1994/1995 grał m.in. w meczach z Girondins Bordeaux i Bayerem Leverkusen. W latach 1998–1999 Ledwoń był piłkarzem Bayernu Leverkusen. W niemieckim klubie nie wywalczył jednak miejsca w podstawowym składzie i przez półtora roku rozegrał w Bundeslidze jedynie 10 meczów. W sezonie 1999/2000 regularnie występował

w drugoligowej Fortunie Kolonia. W 2000 roku przeszedł do Austrii Wiedeń – przez następne dwa lata był jej podstawowym zawodnikiem. Dzięki rozegraniu jednego meczu na początku sezonu 2002/2003 (pojedynek z Grazer AK, w którym grał od 77. minuty przysługuje mu tytuł mistrza Austrii. W latach 2002–2005 był zawodnikiem Admiry Wacker Mödling, następnie zaś występował w Sturmie Graz (2005–2007). W maju 2007 roku podpisał dwuletni kontrakt z Austrią Kärnten. Po raz ostatni w karierze zagrał 26 kwietnia 2008 roku w przegranym 1:3 pojedynku ze Sturmem Graz. Od początku Mistrzostw Europy w Austrii i Szwajcarii współpracował z polskimi dziennikarzami. Adam Ledwoń – jeden z najbardziej zadziornych obrońców Polskiej Ligi zawsze mówił: „Jazda z nimi na Maksa! Jak nie będzie jazdy, nie będzie wyniku”. Dla niego rywalizacja na boisku to prawie wojna. Jest przykładem piłkarza niepokornego, strasznie zawziętego i szalenie ambitnego na boisku. Poza murawą piłkarz prezentował zupełnie inny typ charakterologiczny – twierdzi redakcja gazety „Tempo” – aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek. Jest miły, uprzejmy, na tej twarzy niewinnego anioła trudno znaleźć rysy wojownika. *„Dla wszystkich mieszkańców Radawia był aniołem – wspomina p. Z. Laskowska-Qach – zawsze pamiętał o zawodnikach LZS-Radawie, ufundował dla nich firmowe stroje „adidas”, uczniom PSP w Radawiu rozdawał piłki z autografami i inne akcesoria sportowe, zawsze brał udział w charytatywnych turniejach sylwestrowych halowej piłki, zawsze pomagał przyjaciom, nigdy nikomu nie odmówił pomocy”*. W Wiedniu zorganizował turniej dla zawodników Odry Opole i przyjął ich we własnym domu.

Na 50-lecie GKS-u Katowice został wybrany do Złotej 11-stki w plebiscycie kibiców i redaktorów. Sukces Ledwonio stał się sukcesem całej Opolszczyzny, a szczególnie sukcesem maleńkiego Radawia. *„Wszyscy byliśmy dumni z osiągnięć Adama – wspomina p. B. Ledwoń-najbardziej wzruszyła mnie chwila, gdy Adaś założył biało-czerwoną koszulkę reprezentacji Polski, miałam łzy w oczach – wspomina p. Barbara. Drugi moment to wtedy, gdy strzelił zwycięskiego gola w meczu o Puchar Polski w przeddzień swojego ślubu”*.

Futbol jest najbardziej rozpowszechnionym sportem świata. Piłkę nożną kochają ludzie na całym świecie. Wszyscy uwielbiają w nią grać, oglądać mecze i kibicować swoim ulubionym drużynom i zawodnikom, tym bardziej wtedy, gdy zawodnik jest bliski naszemu sercu, bo wychował się na tym samym podwórku. Adam Ledwoń pokazał nam wszystkim, że z takiej niewielkiej wsi również prowadzi droga do wielkiego świata i do ogromnego sukcesu.

Bardzo lubił to, co robił. On na zawsze pozostanie w sercach wszystkich kibiców piłki nożnej. Jest żywym dowodem na to, że wiele w życiu można osiągnąć, jeśli się tego naprawdę chce. To idol wielu młodych sportowców.

Adam Ledwoń jest osobą, która w szczególny sposób przyczyniła się do promocji Krainy Dinozaurów. Swoimi osiągnięciami i sukcesami spowodował, że maleńka miejscowość w Gminie Żębówice stała się znana w całej Polsce, a także poza jej granicami.

Źródła:

1. Wywiad z mamą Adama Ledwonio p. Barbarą Ledwoń;
2. Wywiad z nauczycielką PSP Radawie p. Zofią Laskowską-Qach;
3. Artykuł gazety «Tempo» z 1997 r. pt. „Żywot piłkarza niepokornego”;
4. Złote myśli – www.myslizlote.pl/;
5. Adam Ledwoń – Wikipedia, wolna encyklopedia;
6. Zdjęcia z archiwum prywatnego państwa Ledwonioów;
7. Zdjęcie Radawia z lotu ptaka – Wikipedia-grafika;

„JOACHIM HALUPCZOK – MISTRZ ŚWIATA W 1989 ROKU W KOLARSTWIE”

Autor: Anna Buhl

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni
Opiekun: Joanna Gawlyta

5 lutego przypadała 20. rocznica śmierci Joachima Halupczoka, kolarskiego mistrza świata i najlepszego sportowca Polski 1989 roku w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. Joachim Halupczok (ur. 3 czerwca 1968 w Niwkach, zm. 5 lutego 1994 w Opolu) był on polskim kolarzem szosowym, wicemistrzem olimpijskim, dwukrotnym medalistą mistrzostw świata. Joachim Halupczok zmarł w wieku niespełna 26 lat. Zasłabł podczas rozgrzewki przed halowym turniejem piłkarskim w Opolu, natomiast zgon nastąpił w karetce w drodze do szpitala.

Dla świata to był szok. Zmarł przecież zawodnik, który pięć lat wcześniej był mistrzem świata w kolarstwie.

Przeszedł na zawodowstwo. Jego kariera była jak z bajki. Niestety z czasem pojawiały się kłopoty ze zdrowiem.

Halupczok pochodził z Opolszczyzny, która była prawdziwym kolarskim zagłębiem. Już w wieku 19 lat trafił do reprezentacji Polski. Wziął udział w Wyścigu Pokoju. Już w debiucie w tej prestiżowej imprezie zajął wysokie siódme miejsce.

Nie musiał pracować tak dużo jak inni. Zazwyczaj po zawodach czy zgrupowaniach wracał do swoich Niwek i tam rzucał rower w ką.

W 1988 roku osiągnął pierwszy poważny sukces. Sięgnął po srebrny medal igrzysk olimpijskich w Seulu. Polacy przegrali wówczas walkę o złoto tylko z ekipą NRD i to o zaledwie siedem sekund.

Kolejny rok należał już do Halupczoka. To wtedy nastąpiła eksplozja jego talentu. To był bystry i inteligentny chłopak. Potrafił słuchać, chciał się uczyć i wyciągał wnioski. Potrafił potem to wszystko zastosować na trasie. Halupczok wyciągnął wnioski ze startów w poprzednim sezonie i już od początku kolejnego jeździł jak rutyniarz.

Wprawdzie nie udało mu się wygrać Wyścigu Pokoju, w którym zajął czwarte miejsce, ale za to wielką klasę pokazał na wyścigu Gran Premio della Liberazione.

– Wygrał we Włoszech na trudnej trasie koło Koloseum odjechał rywalom jak chciał. A zawody te, to były właściwie takie małe mistrzostwa świata.



W końcu przyszedł mistrzostwa świata we francuskim Chambery. W wyścigu drużynowym Polacy, startujący w identycznym składzie jak w Seulu, znowu przegrali z NRD. Srogi rewanż nastąpił jednak w wyścigu ze startu wspólnego. W Chambery już cały kolarski świat był pod wrażeniem Polaka.

Halupczok na 11. rundzie (do przejechania było 15) miał jeszcze prawie minutę straty do sześciuosobowej ucieczki. Na kolejnej jednak był już na czele w towarzystwie dwóch Włochów, Niemca i Francuza. Polak zdecydował się jednak na szaleńczy atak na zjeździe z Cote de Mantagnole. Pędził z prędkością 100 kilometrów na godzinę. Nikt nie starał się go gonić, bo to była szaleńcza jazda Halupczoka. Wielu fachowców twierdziło, że Joachim Halupczok jest jednym z faworytów wyścigu o mistrzostwo świata amatorów, ale to, co pokazał 21-letni kolarz

LKS Ziemia Opolska przeszło wszelkie oczekiwania. Wygrał tęczową koszulkę w stylu dawno nieoglądanym na światowym czempionacie. Na piekielnie trudnej trasie zdeklasował wprost rywali, jadąc dwie rundy samotnie po złoty medal i mając na mecie prawie 3-minutową przewagę nad goniącymi go bezskutecznie rywalami.

Znakomita jazda Polaka zaowocowała zawodowym kontraktem, choć nie obyło się bez burzliwych dyskusji.

– Wiele ludzi sprzeciwiło się, aby Halupczok przeszedł na zawodowstwo. Wiedzieli, iż jest to zawodnik niezwykle utalentowany, ale jednocześnie nieukształtowany. Według nich był zbyt krótko w kadrze. Joachim miał zaledwie 21 lat. Nie miał tej należytej opieki. Nie było jeszcze czegoś takiego, jak teraz, kiedy spokojnie wprowadza się zawodników do zawodowego peletonu, stopniując obciążenia. Trafił do peletonu zawodowego, gdzie choć są przeprowadzane badania, trzeba być jednak dość samodzielnym. Na to chyba nie był do końca przygotowany. Halupczok zdecydował się ostatecznie na przejście na zawodowstwo. Szybko zrozumiał, że kolarstwo zawodowe to nie są przelewki.

W pierwszym z trzech wielkich tourów, wyścigu Giro d'Italia, spisywał się znakomicie. Bez tremy u debiutanta. Zajmował wysokie piąte miejsce, kiedy musiał się nagle wycofać z imprezy ze względu na kontuzję kolana.

Był na tyle utalentowany, że bez specjalnie rozbudowanego treningu można go było wprowadzić na naprawdę wysoki poziom. Miał naturalną bazę, ale nie miał tego wyjechanego w kilometrach. Kontuzja została wyleczona w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi i Halupczok wrócił do startów. Nic nie zapowiadało początków tragedii. Jesienią przeprowadzono Polakowi dokładne badania. Okazało się, że cierpi on na arytmie serca. To znaczy, że w czasie wysiłku fizycznego pojawiają się groźne dla życia skurcze dodatkowe.

– Już w pierwszym roku pobytu we Włoszech, lekarze wykryli, że coś z jego sercem jest nie tak, ale przymknęli na to oko, bo w końcu był mistrzem świata. Gdyby miał poważne problemy, to na pewno nie osiągnąłby takiego wyniku. Dopiero w drugim roku szefowie grupy postanowili wysłać go na badania do Trento do specjalistycznej kliniki. Tam przebadano go od A do Z. Nie ścigał się przez kilka miesięcy. Wrócił dopiero pod koniec sezonu. Na początku 1992 roku dolegliwości częściowo ustąpiły i kolarzowi zezwolono na powrót do peletonu. Cieszył się. Był pełen nadziei. Startował w hiszpańskiej Vuelcie, zajął piąte miejsce w Midi Libre, ale badania wykonane pod koniec sezonu znów wykazały, że arytmia się pogłębia. Jesienią 1992 roku Halupczok, w wieku 24 lat, został zmuszony do zakończenia kariery. Nikt w zawodowym peletonie nie chciał ryzykować zatrudnienia Polaka. Lekarze powiedzieli mu, że będzie żył, ale miał zakaz forsowania organizmu ćwiczeniami fizycznymi. Dla jego kolegów informacja że Joachim ma poważne kłopoty z sercem i przez to musi zakończyć karierę, była bardzo dużym zaskoczeniem. Badania, które przechodził w Polsce w Centralnej Przychodni Sportowo-Lekarskiej, nic nie wskazywały na takie kłopoty. Wówczas lekarzem kadry był pan profesor Romuald Lewicki z Zakładu Medycyny Sportowej Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Miał robione badania EKG spoczynkowe i wysiłkowe. Achim słynął z bardzo niskiego tętna spoczynkowego. Wtedy permanentnie robiło się takie badania rano i wieczorem. Jego tętno schodziło wówczas do poniżej 40 uderzeń na minutę. To świadczyło o dużej adaptacji układu krążenia do wysiłków wytrzymałościowych.

5 lutego 1994 roku serca Halupczoka zabiło po raz ostatni. Był spontaniczny i przebojowy. Zawsze myślał pozytywnie.

Pozostawił po sobie dwójkę dzieci. Robert urodził się zaraz po jego ślubie w 1988 roku. Ania nigdy nie poznała swojego taty. Kiedy Halupczok zmarł, pani Barbara była właśnie w ciąży. W podopolskich Niwkach, na rozstaju dróg, prowadzących w cztery strony świata, stoi pomnik z brązu poświęcony Joachimowi Halupczokowi. Tak właśnie zginął mistrz świata

amatorów z 1989 r. Joachim Halupczok. Oficjalną przyczyną śmierci był zawał. Jednak po pewnym czasie zaczęto mieć wątpliwości co do jego przyczyny śmierci i sugerowano że powodem zgonu było używanie przez niego EPO.

– Koledzy znali go bardzo dobrze i są pewni że Joachim nie bawiłby się w coś takiego jak EPO. W tym czasie w Polsce w ogóle nie mieliśmy pojęcia o istnieniu takiego wspomagania. To spekulacja w ogóle nieuzasadniona. Dla ludzi Joachim nie był człowiekiem, który mógł zrobić coś takiego. Uważali za nieprawdę, opowieści o tym, że Achim brał jakieś środki, że Włosi u niego je przedawkowali, czy go otruli. To był bardzo utalentowany zawodnik. Halupczok na jednym z wyścigów jechał, choć dopadła go angina, myślał tylko o tym, żeby zająć jak najlepsze miejsce.

Dwa-trzy tygodnie po anginie, na następnym wyścigu zrobiło mu się słabo. Miał uczucie nierównego bicia serca i zaburzenia rytmu. To były typowe objawy niezaleczonego zapalenia mięśnia sercowego. Z wnioskiem o nadanie pośmiertnie Joachimowi Halupczokowi tytułu „Honorowy Obywatel Gminy Chrzęstowice” wystąpiła Wójt Gminy Chrzęstowice – Helena Rogacka. W dniu 18 marca 2010 r. Rada Gminy Chrzęstowice podjęła uchwałę nr XXXIV/260/2010 w sprawie nadania tytułu „Honorowy Obywatel Gminy Chrzęstowice” Joachimowi Halupczokowi.

Dzięki temu utalentowanemu kolarzowi – Joachimowi Halupczokowi Niwki jak i cała Gmina Chrzęstowice stały się bardziej znane i sławniejsze.

Memoriał Joachima Halupczoka

Co roku w Niwkach, w Szczedrzyku lub w Turawie odbywa się Memoriał Joachima Halupczoka – wyścig kolarski. Zostaje on rozegrany zazwyczaj w czerwcu. W zawodach biorą udział juniorzy młodszy i juniorki młodsze oraz zawodnicy w kategorii U23 i junior.

Co roku liczba zawodników wzrasta. W ubiegłym roku liczba uczestników wyniosła 186 osób.

„O SWOJEJ PRACY OPOWIADA CHĘTNIE, Z RADOSNYM WYRAZEM TWARZY – JAK O NAJLEPSZEJ PRZYJACIÓŁCE”

Autor: Katarzyna Cichoń

ZS w Ozimku

Opiekun: Barbara Gawlik-Libor



Okres powojenny to szybki rozwój Huty Małapanew. Stale rosnąca wielkość produkcji zakładu powodowała duży napływ nowych pracowników, a to wpływało na rozwój miasta Ozimek. Władze miasta i Huty Małapanew zmuszone były do podejmowania różnych działań mających na celu zaspakajania wszystkich potrzeb ludzkich coraz większej liczby mieszkańców. Wielu ludzi wyróżniało się w tym czasie dużą aktywnością społeczną. Podobnie było z zaspakajaniem potrzeb kulturowych dorosłych i dzieci. Jedną z najbardziej uczących i zaspakajających głód wiedzy w tamtych czasach, była książka. Osobą, która w Ozimku bardzo znacznie przyczyniła się do popularyzacji czytelnicy

twa i rozwoju biblioteki, była moja sąsiadka pani Zofia Smelster. Pani Zofia Smelster z domu Dugiełło urodziła się 19 grudnia 1931 roku we Lwowie. Mieszkała z rodziną w kamiennicy obok klasztoru benedyktynów. Kiedy miała 8 lat, wybuchła wojna i ojciec pani Zofii został wywieziony na Sybir. Bezpiecznie przeżyła wojnę. W 1946 roku rodzina pani Smelster przeniosła się do Polski i osiadła w Krakowie. Zofia Dugiełło zdobyła tam średnie wykształcenie. Następnie przeniosła się do Bytomia i zdobyła kwalifikacje bibliotekarskie. Poznała tam swojego przyszłego męża Jerzego. Dwa lata później poślubiła go i przyjęła nazwisko Smelster. W 1958 roku mąż pani Zofii dostał nakaz pracy w Hucie Małapanew. We wrześniu tego samego roku małżeństwo zamieszkało w Ozimku, a w połowie listopada pani Zofia rozpoczęła pracę w bibliotece. Pracowała w Zakładowym Domu Kultury Huty Małapanew w Ozimku. Jak sama mówi: „U mnie w domu dużo się czytało. Wszędzie były książki i dało się wyczuć charakterystyczny zapach książek. Myślę, że zamiłowanie i zapal do bibliotekarstwa otrzymałam po wuju, który miał piękny księgozbiór”. W międzyczasie urodziła syna Jacka. Mieszka tu nadal, chociaż sama przyznała, że razem z mężem miała przyjechać do Ozimka na czas określony, nie mieli w zamiarach zostać tu na stałe, lecz aura Ozimka i urodzenie syna, zmieniło ich plany na dalsze życie. Pani Zofia przejęła posadę kierownika biblioteki po Annie Kościelniakowej. W tym okresie przeniesiono bibliotekę z drewnianych baraków Huty Małapanew do pomieszczeń w Zakładowym Domu Kultury. Do biblioteki przychodzili ludzie, którzy nie potrafili mówić w języku polskim, więc pani Smelster wraz z innymi pracownikami uczyła ich wymowy. Na jednym z seminariów wojewódzkich pokazano zdjęcia nowoczesnych metalowych regałów. Pani Zofia była na tym spotkaniu i pożyczyła te zdjęcia. Przekonała ZDK (Zakładowy Dom Kultury) i Radę Zakładową, by zakupić takie regały i zrobić ogólną modernizację Biblioteki. Dostała 50.000 złotych od Działu Zaopatrzeń i skierowana do Olsztyna zamówiła produkcję tych regałów. Jednak wystąpiły pewne komplikacje. Wydano zarządzenie, które mówiło, że nie można kupować w Centralnym Zaopatrzeniu i Zbytu. Pracownicy biblioteki napisali pismo o konieczności modernizacji wewnątrz bibliotecznych, ale i tu były kolejne problemy. Centrala Zaopatrzenia Hutnictwa musiała zdobyć trzy odmowy wykonawców z trzech województw. Pani Zofia uzyskiwała trzy odmowy. Jednak Centrala dalej nie chciała wydać pozwolenia. Pani Zofia dowiedziała się, że Dom Kultury Huty Batory otrzymał 60.000 złotych na rzeczy potrzebne do biblioteki. Dzięki tej wiadomości wreszcie zaakceptowano modernizację. Z czego wiem te metalowe regały są w bibliotekach do dziś. Również dzięki pani Smelster do biblioteki przybywało 1200 książek rocznie, a liczba czytelników ciągle wzrastała. Powiedziała mi, że bibliotekę codziennie odwiedzało sto czterech czytelników i pod koniec dnia była tak wyczerpana, że nie potrafiła dojść do domu, ale tak kochała tę pracę, że nie potrafiłaby bez niej żyć.

Pani Zofia pomyślała również o dzieciach i z jej pomocą co czwartek były wyświetlane bajki, a młodzież miała zorganizowane spotkania z różnymi autorami książek, np.: z J. Meissner. Dzięki działalności mojej sąsiadki, biblioteka może szczycić się takim sprzętem i ilością książek, a o samej pani Smelster pisano w gazetach, zaś w książkach o jej pracy bibliotekarskiej. Nawet w Domu Kultury zrobiono wystawę o jej osobie. Pani Zofia Smelster lata spędzone w bibliotece wspomina z uśmiechem na ustach, chociaż wyznała mi, że to bardzo ciężka praca, powiedziała: „Kiedy książki w bibliotece wydawano przez okienko, trzeba było poznać czytelnika i jego zainteresowania. Każdemu czytelnikowi szukałam stopy książek, a on wybrał może jedną lub dwie. Niby pracy bibliotekarza nie widać, ale w bibliotece zawsze znajdzie się coś do roboty. Owszem jest to ciężka praca, ale od zmęczenia większa jest satysfakcja, kiedy czytelnik wypożyczy książkę poleconą przez ciebie i ją przeczyta. Gdy w bibliotece zrobiono modernizację i czytelnik miał wolny dostęp do książek, bibliotekarzom było łatwiej”.

Pisałam o tym z wielkim zaangażowaniem. Ja, która bardzo lubię czytać książki, żyłam tyle lat obok kobiety, która całe swoje dorosłe życie poświęciła książkom. Dopiero szukając

materiałów do tego wypracowania, dowiedziałam się o działalności mojej sąsiadki i jej wielkiej miłości do książki. Mimo wielkiej różnicy wieku myślę, że zostaaliśmy „przyjaciółkami”, a połączyła nas książka. Jestem dumna, że żyję obok tak wielkiego człowieka.

„EDWARD BARCIK”

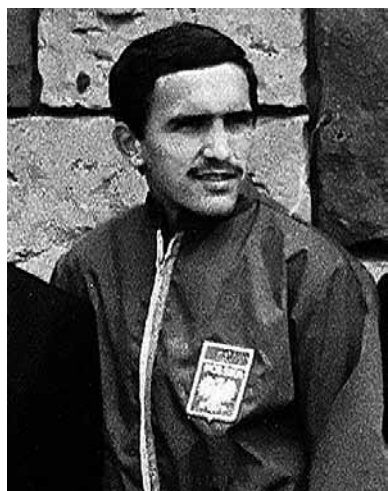
Autor: Kamil Czech

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni Opiekun: Jolanta Gawlyta

Gmina Chrzastowice znajdująca się niedaleko miasta Opola może cieszyć się dużym uznaniem ze względu na sukcesy swoich wybitnych kolarzy. W czasie ich działalności sportowej godnie reprezentowali naszą gminę, zdobywając trofea i inne prestiżowe nagrody. Jednym z nich był Pan Edward Barcik, kolarz szosowy, który osiągnął wielki sukces sportowy w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku.

Edward Barcik urodził się 31 stycznia 1950 r. w Prusicach na Opolszczyźnie. Rok po narodzinach razem z bratem i rodzicami przeprowadził się do Chrzastowic, gdzie spędził swoje dzieciństwo. Karierę sportową rozpoczął w 1966 roku, zostając członkiem LZS „Opolanka” Grabie. Ponadto dołączył do załogi ZSMW, czyli Związku Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej. Pierwszy raz uczestniczył w wyścigu szosowym w Ozimku w 1967, kończąc go z dobrym czwartym miejscem. Jednak dopiero w latach siedemdziesiątych w drużynowych wyścigach szosowych jak i w wyścigach indywidualnych i w wyścigu dwójkami okazał się być wielkim prymusem kolarstwa szosowego, dorównując takim sławom jak Stanisław Szozda.

1971 rok był dla Pana Edwarda Barcika przełomowy, ponieważ odniósł drugi największy sukces w swojej karierze sportowca. Otóż wspólnie z innymi gwiazdami kolarstwa szosowego, Lucjanem Lisem, Stanisławem Szozdą i Ryszardem Szurkowskim brał udział w mistrzostwach świata w Mendrisio (Szwajcaria). Zdobył tam brązowy medal, będąc na podium z drużyną asów kolarstwa, co było wielką zasługą dla młodego kolarza.



Jako kolarz najbardziej zasłynął z występu na XX Igrzyskach Olimpijskich w Monachium w 1972 r. Ponownie w wyścigu drużynowym z Janem Smyrakiem, Stanisławem Szozdą i Lucjanem Lisem zdobywa srebrny medal, zostając wicemistrzem. Te dokonanie zapisało się w pamięci Opolan, ponieważ nasi olimpijczycy zdobyli pierwszy medal olimpijski w historii Opolszczyzny. Było to największe dokonanie Edwarda Barcika.

W 1973 doznał poważnej kontuzji barku, co nie dawało mu szansy uczestnictwa w Wyścigu Pokoju. W 1974 r. planował powrócić do kolarstwa szosowego, startując w Francji i Włoszech. Jednakże wkrótce po tych wyścigach ponownie odczuwał ból związany z kontuzją, co odbiło się na jego formie. Mimo kłopotliwej sytuacji zdecydował się, aby kontynuować przygotowania do sezonu kolarskiego. W tym czasie jak i parę lat wcześ-

niej zdobył tytuły mistrza Polski w 1971 r. (Kędzierzyn Koźle) w wyścigu indywidualnym i w 1970 i 1974 w wyścigu dwójkami.

Za swoje liczne dokonania został wielokrotnie wyróżniony. W plebiscycie „Trybuny Opolskiej” dwukrotnie triumfował jako Najlepszy Sportowiec Opolszczyzny. Ponadto w 1972 r. był zwycięzcą plebiscytu „Dziennika Ludowego na Najlepszego Sportowca Wsi”. W późniejszym czasie naszego kolarza szosowego odznaczono „Złotym Krzyżem Zasługi”, a także Medalem „Za Wybitne Osiągnięcia Sportowe”. Wzorowo reprezentując Gminę Chrzastowice zasłużył na nadanie mu tytułu „Honorowego Obywatela Gminy Chrzastowice” w dniu 18 marca 2010 r.

Po wielu latach sam twierdził, iż osiągnął 30% sukcesu, mówił, że było go stać na wiele więcej. Wyznanie przedstawiciela Gminy Chrzastowice, Opolszczyzny, a nawet kraju, świadczyło o jego mistrzowskiej postawie.

Edward Barcik od 1981 r. zamieszkuje tereny Niemiec, ale z dużą częstotliwością odwiedza swoją rodzinną miejscowość. Warto także wspomnieć o pewnej interesującej ciekawostce. Ulica, którą zamieszkiwali Edward Barcik i Benedykt Kocot, także kolarz szosowy, nazywa się dzisiaj ulicą Olimpijczyków ze względu na olimpijski dorobek obu sportowców. Zmiany dotyczące nazwy tej sławnej ulicy możemy zawdzięczać Pani Wójt Gminy Chrzastowice, Helenie Rogackiej, która wystąpiła w tej sprawie.

Pan Edward Barcik to osoba, obok której nie możemy przechodzić obojętnie. Jest to człowiek godny podziwu a zarazem szacunku. Uważam, że jego działalność sportowa w dużym stopniu przyczyniła się do zmiany wizerunku Gminy Chrzastowice jak i Opolszczyzny. Startując w wyścigach kolarskich z wielkim zaangażowaniem i odwagą, pokazał, że Polak potrafi dużo osiągnąć w swoim życiu. Śmiało możemy stwierdzić, iż jest autorytetem dla przyszłych kolarzy szosowych jak i dla nas. Moim zdaniem to zaszczyt mieszkać we wsi, z której pochodzą takie sławy. W dodatku nasz „mistrz” jest członkiem mojej rodziny, co bardzo sobie cenię. Osobiście jestem dumny z jego osoby i doceniam trud włożony w rozwój pasji, czyli kolarstwa szosowego. Uważam, że każdy honorowy obywatel tak jak Pan Edward Barcik powinien być wyróżniony w swojej profesji. Serdeczne gratulacje i wszystkiego najlepszego dla Pana Edwarda.

„ERYKA ŚWIERC – NAJFAJNIEJSZA BABKA W BIESTRZYNNIKU”

Autor: Małgorzata Gabryś

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik-Libor



Eryka Świerc – kobieta sukcesu. Urodzona, by robić karierę. Jest kobietą uroczą o twardym charakterze. Mimo swojego wieku potrafi zdziałać więcej niż kilka młodych kobiet. Założyła zespół folklorystyczny „Dzióbki”, którego kierowniczką jest od 1975 roku do dziś. Wie, jak zachwycić publiczność i sprawić, by bawiła się świetnie.

Pani Eryka urodziła się 29 grudnia 1933 roku w Biestrzynie. Od zawsze wiedziała, że będzie się zajmować muzyką. Gdy w 1975 roku założyła zespół „Dzióbki” usłyszało o niej społeczeństwo. Podczas 39-letniej działalności w zespole odnotowała na swoim koncie wiele osiągnięć, wyróżnień i nagród. Ale jej działalność nie opiera się tylko na muzyce. Jest ona animatorem kultury zaangażowanym

w działalność kulturalną na terenie Miasta i Gminy Ozimek. Dostała wiele nagród między innymi Honorową Odznakę „Zasłużony Opolszczyźnie” oraz „Zasłużony Działacz Kultury”, którą przyznało jej Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Mimo wielu obowiązków związanych z działalnością w zespole Pani Eryka godziła wielogodzinne próby z pracą w gospodarstwie domowym i wychowywaniem dzieci. Nie przeszkadzało jej zmęczenie. Wiedziała, że jest silna i zdoła temu podołać. I udało się. Dzięki jej zaangażowaniu o niej i jej zespole usłyszała cała Polska. Panie zaczęły jeździć na rozmaite konkursy i festiwale.

Pani Eryka jest bardzo aktywną kobietą. W zespole jak i w życiu prywatnym. Dowodem tego jest przebogata dokumentacja potwierdzająca jej aktywność. Pozwoliła mi wziąć ją do domu. Oglądając ją, nie mogłam się nadziwić, ileż nagród i wyróżnień otrzymał jej zespół jak i ona sama. Piękne zdjęcia, notatki prasowe i artykuły pozwoliły mi przenieść się w wyjątkowe czasy świetności zespołu. Niesamowite uczucie.

Mimo że Pani Eryka sprawia wrażenie poważnej kobiety, jest urocza i prze zabawna. Rozmowa z nią zawsze jest pełna śmiechu i humoru. Rozmawiając z nią na temat jej twórczości miałam także okazję bardziej ją poznać. Okazała się kobietą bardzo miłą, uczynną i pomocną, ale także odważną. „Bez odwagi nie osiągnęłabym tego wszystkiego, bo odwaga była mi potrzebna w wielu momentach życia” powiedziała. Dowodem tego jest to, że Pani Eryka razem ze swoim zespołem była walczyć w Warszawie o naszą Opolszczyznę. Z wielkim szyldem „ZAWSZE I WSZĘDZIE OZIMEK OPOLSKI BĘDZIE” maszerowały ulicami stolicy. Ich zdeterminowanie jest godne podziwu.

Zespół Pani Eryki sam w sobie jest wyjątkowy. Ich członkiniami są wspaniałe kobiety. W zespole występuje naturalna wymiana pokoleń. „Z tych starszych tylko ja jeszcze zostałam!” powiedziała mi Pani Eryka. Mimo wieku dalej jest bardzo przebojowa i pięknie śpiewa. Zdecydowanie jest liderką zespołu. Widać to na pierwszy rzut oka.

Pani Eryka często odwiedza szkoły w naszej gminie. Wraz z zespołem śpiewa pieśni ludowe i opowiada o tradycjach jakie panowały w jej domu np.: podczas świąt. Pokazują także jak kisiło się dawniej kapustę i robią to dokładnie tak, jak nauczyły ich tego matki oraz babcie. Przyznam szczerze, że gdy odwiedziły naszą szkołę pierwszy raz zobaczyłam jak fachowo kisi się kapustę. Dopiero wtedy zrozumiałam ile zajmowało to czasu i jak bardzo trzeba było się przy tym napracować.

Pani Eryka z całą pewnością zasłużyła na miano zasłużonej dla naszej gminy. Nadano jej tytuł honorowy „Zasłużony Dla Gminy Ozimek”, który otrzymała 26 czerwca 2010 roku. Wręczono jej wtedy legitymację i medalion. Na pewno musiała być z siebie bardzo dumna. Była również laureatką Nagrody dla Animatorów i Twórców Kultury Marszałka Województwa Opolskiego.

Historia wsi śląskich to działka Pani Eryki. Zna ją całą! Byłam pod wrażeniem jej wiedzy. Tak samo byłam pod wrażeniem jej niesamowitej pamięci. Powiedziała mi, że pamięta całutki wiersz, który recytowała na konkursie w 1975 roku! Ja nie pamiętam wierszy, których uczyłam się raptem dwa lata temu, a ona pamięta wiersz, który recytowała 39 lat temu. Jest to godne podziwu.

Oglądając kroniki bardzo spodobał mi się benefis Pani Eryki z okazji jej 70-tych urodzin. Wchodząc na scenę Domu Kultury w Ozimku powiedziała „– Jeruna, ale mom nerwy!”. Opowiadając o swojej karierze powiedziała: „– No, a żeby mój chłop nie narzekał na wyjazdy, to mu sweter przywiozłam, bo to wiecie, że jak w chałupie żony nie ma, to się nerwowo robi i nie puści zaś na występy”.

W zeszłym roku obchodziła swoje 80-te urodziny. Było to wielkie wydarzenie dla społeczeństwa wsi i naszej gminy. Pomimo przeżytych lat wciąż jest aktywna, a jej wygląd nie wskazuje na dany wiek. Trzyma się kobieta, oj trzyma!

Mam wielkie szczęście, że znam tak znakomitą osobowość, która mieszka w sąsiedniej miejscowości. Jest kobietą tak otwartą, że zawsze można do niej przyjść, porozmawiać, wejść przejazdem z wycieczki, a ona i tak przyjmie wszystkich z otwartymi rękoma. Miałam możliwość przekonania się o tym, co już wcześniej opisałam. Dzięki jej opowieściom poznałam historie, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam także ile nagród pozyskał zespół Pani Eryki. Z opowieści znajomych nie wszystkiego można było się dowiedzieć. Wołałam przekonać się o tym sama. I gdy nadarzyła się okazja napisania pracy bardzo się ucieszyłam, że będę mogła zgłębić wiedzę na temat życia i twórczości Pani Eryki.

Na pewno niejedni z Was znają tą wspaniałą kobietę i jej poczucie humoru, które jest jej znakiem rozpoznawczym. Zewsząd skąd wyjdzie zawsze pozostaje po niej wiele radości i miłych wspomnień. Właśnie te wspomnienia będą dla mnie jak i dla mojego pokolenia ważnym życiowym drogowskazem, że pomimo trudu codziennego życia, ciężkiej pracy i wielu zmartwień można zrobić wiele dobrego dla siebie jak i dla swojej małej „ojczyzny” – wioski, gminy, powiatu lub całego województwa czego żywym przykładem i wzorem do naśladowania jest moja kochana Eryka Świerc. Kobieta, która zmieniła moje podejście do wielu ważnych spraw życia codziennego. Życzę jej wszystkiego dobrego i chcę, aby dalej była tak szczęśliwa i przebojowa jaka jest dziś. Śmiało można ją nazwać „twardą babką”. Swoją postawą z pewnością zasłużyła sobie na miano „NAJFAJNIEJSZEJ BABKI W BIESTRZYNNIKU”.

„CZŁOWIEK SUKCESU – GERARD KOTARSKI”

Autor: Filip Sowa

ZGS w Zębowicach Opiekun: Barbara Puchała

Pan Gerard Kotarski urodził się 1 października 1958 roku w Kadłubie Wolnym w wielodzietnej rodzinie robotniczej. Ojciec, Stanisław, z zawodu był elektrykiem, a mama, Elżbieta, zajmowała się domem i siedmiorgiem dzieci. Pan Gerard był czwartym dzieckiem z rodzeństwa. Do przedszkola i szkoły podstawowej uczęszczał w Kadłubie Wolnym. Po ukończeniu podstawówki poszedł do Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Kluczborku uczyć się zawodu piekarza, chociaż marzył już jako dziecko, że będzie kierowcą. Praktykę w zawodzie piekarza odbywał w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Zębowicach. Naukę ukończył w 1976 roku i rozpoczął pracę jako piekarz w GS w Zębowicach.

Pracował do października 1977 roku, bo otrzymał bilet do wojska. Służył dwa lata w Nadwiślańskiej Jednostce Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Po powrocie z wojska wrócił do pracy w GS. Następnie pracował jako traktorzysta w Spółdzielni Kółek Rolniczych w Zębowicach. Był też kierownikiem sklepu spożywczego w Zębowicach.

Myśl o pracy na własny rachunek powstała przy sprzątaniu magazynu chleba we wrześniu 1987 roku. Działalność gospodarczą w zakresie piekarstwa rozpoczął 17 listopada 1987 roku w niedużej, przedwojennej piekarni w Kadłubie Wolnym przy ulicy Murka 14, kontynuując tradycję Johana Pichnia, poprzedniego właściciela piekarni, który zginął podczas wojny. Gerard Kotarski wyremontował ją, przywrócił do świetności. Firma rozwijała się małymi krokami, nie wiadomo było jaka będzie jej przyszłość, gdyż trudno zaistnieć na rynku nowicjuszowi.

Początkowo produkcja była niewielka, miała zaspokajać zaopatrzenie na świeże pieczywo mieszkańców wsi Kadłub Wolny. Pan Kotarski pracował w piekarni wraz z małżonką Marią. Wyroby cieszyły się ogromnym powodzeniem i z każdym dniem ilość klientów się powiększała, zapewne dlatego, że pieczywo od początku było produkowane według starych receptur bez konserwantów. Po chleb przyjeżdżali ludzie już nie tylko z Kadłuba Wolnego, ale i z okolicznych miejscowości. Przyczyniło się to do zatrudnienia 02.01.1991 roku pierwszego pracownika. Jednak praca w trójkę nadal nie zapewniała wymaganej ilości pieczywa, więc zapadła decyzja o zatrudnieniu drugiego piekarza. Powstał system dwuzmianowy. Szybko okazało się, że moc przerobowa pieca jest zbyt mała na takie ilości chleba, a technicznie nie istniała możliwość jego rozbudowy, dlatego, jak tylko nadarzyła się okazja wynajęciu budynku piekarni od Spółdzielni Handlowo-Produkcyjnej w Zębowicach, pan Gerard nie zahałał się ani przez chwilę i podjął decyzję o wydzierżawieniu go. Od 1 września 1994 roku Gerard Kotarski przeniósł siedzibę firmy do Zębowic na ulicę Izydora Murka 5. Tam, dzięki nowym możliwościom, oferta firmy szybko się rozrastała. Najpierw o nowe wyroby piekarskie, później o całą gamę tradycyjnych wyrobów cukierniczych. Znacznie zwiększyła się również liczba odbiorców towaru. Obecnie jest ich trzydziestu siedmiu. Pochodzą z gmin: Dobrodzień, Ozimek, Opole, Turawa, Murów i oczywiście Zębowice. Aktualnie firma zatrudnia trzydziestu jeden pracowników. W biurze pracuje jedna osoba, która zajmuje się sprawami pracowniczymi i finansowo-księgowymi. Wykwalifikowani piekarze i cukiernicy, dzięki zdobytej wiedzy i doświadczeniu, produkują najwyższej jakości pieczywo, ciasta i torty.



Pracownicy piekarni i cukierni uczestniczą w szkoleniach, na których zgłębiają wiedzę, zaznajamiają się z nowymi produktami oraz technologiami produkcji. Właściciel organizuje również pokazy w firmie, które mają na celu dokształcanie swoich pomocników.

Dużą zasługą pana Gerarda jest kształcenie uczniów w celu nauki zawodu. W okresie swojej działalności przyjął 51 praktykantów, z tego 47 zdało egzamin czeladniczy, a 27 dostało pracę w piekarni.

Na rozwój firmy ma wpływ bardzo wiele czynników. Pan Kotarski mówi: „Dobra organizacja, zgranie zespołowe personelu, ludzkie traktowanie pracowników oraz godne ich wynagrodzenie za pracę pozwala człowiekowi działać bardziej efektywnie”. Pan Gerard pracuje „na produkcji” na równi z robotnikami, głównie w cukierni. Troszczy się o dobre warunki pracy dla piekarzy i cukierników – dba o stały dostęp pracowników do napojów, zamontował klimatyzatory, spełnia wymagania sanitarne, poprzez zamontowanie pryszniców umożliwiających korzystanie z kąpeli. Oprócz wynagrodzenia za wykonywaną pracę, zatrudnieni korzystają z Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych, pomimo że nie ma obowiązku jego tworzenia. Pan Kotarski, troszcząc się również o dobre samopoczucie podwładnych, organizuje dla nich spotkania integracyjne przy muzyce i tańcach. Celem organizowania tych spotkań jest wytworzenie mocniejszej więzi między nimi. Budowa zaufania, wzajemnego zrozumienia, zapewnienie warunków do wymiany poglądów i doświadczeń pomiędzy pracownikami przekłada się na efektywność, jakość i szybkość pracy tych pracowników, a więc czynniki wpływające na poziom osiąganych przychodów. Według pana Kotarskiego dobra, przyjazna atmosfera wśród pracowników jest niezwykle istotna.

Rozwój firmy pana Gerarda Kotarskiego to nie tylko zwiększenie zatrudnienia, ale również unowocześnienie technologii produkcji. Idąc z duchem postępu pan Kotarski zakupił liczne nowe maszyny i urządzenia, które w znacznym stopniu ułatwiają pracę. Powiększył piekarnię, później cukiernię. Wymienił w piekarni i cukierni piece węglowe na olejowe. Wybudował chłodnie, które pozwalają na przechowywanie większej ilości ciast i tortów. Rozbudowa przyczyniła się do zwiększenia ilości produkowanych towarów, gdyż większe są możliwości techniczne.

Wyroby piekarnicze i cukiernicze rozwożone są własnymi samochodami dostawczymi, wyposażonymi w chłodnie, do 39 stałych punktów. Pan Kotarski posiada 2 sklepy firmowe w Opolu. W maju 2014 roku planuje otworzyć w Zębowicach lodziarnię oraz kolejne sklepy firmowe. Ponadto w wyroby pana Gerarda zaopatrują się liczne restauracje, w których organizowane są imprezy okolicznościowe. W trosce o klienta pan Kotarski często sponsoruje lokalne imprezy (dożynki, festyny, itp.) dostarczając ciasta, chleby, bułki. Ma to dobre strony – jest to formą reklamy. Na takich uroczystościach gromadzi się sporo osób, nie tylko z okolicy. Mają okazję skosztować produktów i jeśli zasmakują, pozyskuje się wielu klientów.

Pan Gerard inwestuje w reklamę i reprezentację firmy. Przed budynkiem zawieszony jest duży szyld ze znakiem firmowym. Na samochodach i ubraniach pracowników również znajduje się logo firmy. Do tortów dodaje się czekoladowe wizytówki (oczywiście z logo firmy).

Właściciel piekarni wspiera finansowo: DPS w Radawiu, biegi „Dobrodzieńska Dycha”, Stowarzyszenie Rozwoju Wsi w Kadłubie Wolnym, Zębowicach i Malichowie, ZSP w Dobrodzieniu, szkoły na terenie gminy Zębowice, OSP w Kadłubie Wolnym, LZS w Radawiu, Budkowicach i Ligocie Turawskiej.

Pan Gerard Kotarski posiada dyplom mistrzowski zarówno w zawodzie piekarza jak i cukiernika. Za swe osiągnięcia w dziedzinie nauki zawodu pracowników młodocianych otrzymał wiele wyróżnień oraz złotą odznakę Mistrza, nadaną przez Związek Rzemiosła Polskiego w Warszawie dnia 27.02.2006 roku. Zajął I miejsce w województwie opolskim w konkursie Bezpieczny Zakład Pracy organizowany przez Państwową Inspekcję Pracy.

Pan Kotarski nie ma wiele czasu wolnego na rozrywkę. Najbardziej lubi spacerować ze swoim psem. Ponadto hobby piekarza jest jazda motorem. Marzy o uruchomieniu motoru BMW z 1939 roku, który należał do jego ojca. W latach 70. został on sprzedany, a w 2008 ponownie odkupiony. Aktualnie znajduje się w renowacji.

Pan Gerard Kotarski swoją pracowitością osiągnął sukces i nie żałuje decyzji podjętej w 1987 roku. „Wszystko co ma, zawdzięcza ciężkiej pracy. Praca sprawia mu ogromną radość, nie potrafi bez niej żyć” – mówi pani Zofia Kotarska, szwagierka pana Gerarda. Bez wątpienia można go nazwać Człowiekiem Sukcesu, który bardzo dobrze promuje naszą gminę.

Bibliografia:

- wywiad z Gerardem Kotarskim
- wywiad z Zofią i Józefem Kotarskimi
- wywiad z Anną Jendrzej
- informacje ze strony internetowej kotarski.com.pl
- zdjęcia udostępnione przez Gerarda Kotarskiego

„HRABIA FRANZ VON ZAWADZKI – PAN NA KALINOWIE, JARYSZOWIE I PONISZOWICACH”

Autor: Justyna Szopa

ZSG w Żędowicach Opiekun: Jolanta Baron

Zawadzkie to miasteczko na Górnym Śląsku. Leży na wschodnim krańcu województwa opolskiego, w północnej części powiatu strzeleckiego, głównie na lewym brzegu Małej Panwi. Całe terytorium miasta stanowi płaską równinę, wzniesioną ok. 210 m n.p.m. Jedynie na zachodnim krańcu miasta występują małe zalesione wzniesienia piaszczyste typu wydmowego. Obszar Zawadzkiego i jego najbliższych okolic jest mocno podmokły, w pewnych rejonach, zwłaszcza leśnych, zmienia się w mokradła i grzęzawiska, stąd osada ta dawniej nosiła nazwę Moczydoły. Powierzchnia gminy wynosi ok. 82,2 km² (0,9% terenów województwa), w tym powierzchnia miasta to ok. 16,5 km² (20% terenów gminy). Bogactwem gminy Zawadzkie są lasy, zajmujące około 60% ogólnej powierzchni. Wyróżniającym elementem w krajobrazie terenów miasta są występujące w południowo-wschodniej jego części rozległe łąki.

Jak powstało Zawadzkie...

Pierwsze wzmianki dotyczące terenów wchodzących w skład gminy Zawadzkie pochodzą z XIV wieku. Dzieje Zawadzkiego są ściśle związane z hutnictwem żelaza, którego liczne zakłady wyrosły w XVII w. oraz w pierwszej połowie XIX w. Wtedy też okolice zaczęły się zaludniać. Poprzednikami dzisiejszej huty były zakłady hutnicze powstałe w ramach wielkiej własności ziemskiej rodu Collonów. Rodzina ta już w 1651 r. wykupiła tereny dzisiejszego powiatu strzeleckiego, okazując zainteresowanie istniejącym tam przemysłem hutniczym. Ostatni przedstawiciele tej rodziny włoskiej, panów na Toszku i w Strzelcach Wielkich, szybko dostrzegli korzyści płynące ze zmiany tradycyjnej gospodarki rolnej oraz leśnej na nowocześniejszą przemysłową.

Najstarszą miejscowością przemysłową w okolicy są Żędowice, gdzie w roku 1752 po długiej przerwie uruchomiono hutę żelaza. Hrabia Norbert Collona uruchomił tu nieczynne wówczas prymitywne piece hutnicze typu dymarek. W 1753 r. państwowy kapitał pruski zainwestował w przemysł hutniczy nad Małą Panwią. Tak więc w roku 1761 panowanie na ogromnym obszarze wokół późniejszego Zawadzkiego objął następca Hrabiego Norberta – Hrabia Philipp Colonna. Wzorem Fryderyka Wielkiego, którego imieniem nazwano Chorzów, na Górnym Śląsku założył cały szereg zakładów hutniczych, wokół których utworzyły się później małe osiedla. W roku 1780 powstała huta Colonna, późniejsze Kolonowskie. Kolejne huty i miejscowości to: Kowalowskie (1783), Fosowskie (1790) oraz Brzynczka (1790). W 1790 roku utworzono też kolonię węglarzy nazywaną Filipolis (od imienia hrabiego Philippa Colonna). Większość majątku Collonów odziedziczył hrabia Andreas Renard w 1815 r., który rozbudował zakłady hutnicze nad Małą Panwią. W latach 1819–1821 powstała na obszarze dzisiejszej wsi Staniszcze Wielkie Huta Renarda. Na początku XIX wieku powstaje kolonia Świerkle, a w 1824 roku kolonia Bemowskie dla robotników huty w Żędowicach.

W roku 1836 pełnomocnik generalny Andrzeja Renarda – **Franz von Zawadzki** utworzył zakład w Zawadzkiem. Postać hrabiego przypomina pomnik, który znajdował się na dawnym rynku, a przedstawia popiersie hrabiego na kamiennym cokole chronione żeliwnym baldachimem.

Z chwilą kiedy hutę z przyległościami przejął **hrabia Franciszek von Zawadzky** Moczydoły otrzymały lokalizację pod nową nazwą Zawadzkie, stało się to faktem w 1836 r. Od tego też czasu datuje się intensywniejszy rozwój całej miejscowości, co oczywiście związane jest z ciągłym przekształcaniem przemysłowym huty lub wprost wielu hut, które razem należały do właściciela okolicznych włości – hrabiego Andrzeja Renarda. Na jego cześć huta otrzymała nazwę „Andrzej”. Natomiast hrabia Zawadzky, pan na Kalinowie, Jaryszowie i Poniszowicach, był zarządcą części tych dóbr i jednocześnie założycielem nowoczesnej huty, pracującej przede wszystkim dla celów zbrojeniowych. Był to pierwszy zakład w okolicy, który do rozpalania wielkich pieców zaczął używać węgla, a nie – jak inne huty – drewna ściąganego z okolicznych lasów. Rozwój i postęp techniczny huty spowodował, że coraz więcej ludzi zaczęło przybywać na te tereny, szukając pracy w przemyśle hutniczym. Do całości tego przemysłu o charakterze militarnym należały również młyny prochu w niedalekim Krupskim Młynie. Tak więc już ponad 160 lat temu huta stała się zalążkiem przyszłego miasta przemysłowego.

W 1880 r. powstało Stare Zawadzkie – obecnie rejon ulic: Andrzeja, Księdza Wajdy, Stawowej, a w roku 1888 – Żydownia, zwana także Palestyną (ufundował ją bogaty Żyd wrocławski Izrael Pinczower, stąd nazwa). Połączenie okolicznych osad w samodzielną gminę pod nazwą Zawadzkie nastąpiło na mocy Dekretu Pruskiego z 31 maja 1897 r. Już wówczas posiadała ona szereg obiektów typowo miejskich: szkoły, szpital, aptekę, stację kolejową oraz dwa kościoły: katolicki i ewangelicki.

Gdyby nie budowa miejscowej huty, miasto byłoby dziś małą wsią i nazywałoby się zupełnie inaczej.

Kim był hrabia Franz von Zawadzki?

Franz von Zawadzki urodził się 18 stycznia 1791 r. i pochodził prawdopodobnie z Krakowa. Powszechnie nazywany Benno, ożenił się z Barbarą z domu von Rudziński-Rudno, urodzoną 2 marca 1798 r. Barbara znacznie przeżyła swojego męża. Zmarła 11 października 1871 r. Po śmierci męża w 1849 r. była właścicielką Kalinowa, gdzie ufundowała remont kościoła, pałacu i dróg oraz uregulowała stosunki między szlachtą a kmieciami i określiła zakres powinności zagrodników w stosunku do dworu.

Franz von Zawadzki był niemieckim szlachcicem, prawą ręką hrabiego Andreea Renarda, który władał miejscowymi ziemiami. Choć nie miał wykształcenia hutniczego, to dostał zadanie kierowania miejscową hutą, która znajdowała się nad Małą Panwią.

Pierwsze piece hutnicze stanęły na wąskiej działce (500 metrów długości) między korytem Małej Panwi, a szosą Renarda w 1836 r. Zakład nosił nazwę Zawadzky – Werk. Początkowo w ośrodku wybudowano 8 pieców fryserskich, 4 młotownie z czterema podwójnymi kominami i jedną dmuchawą w drewnianej obudowie. Do pracy potrzebna było wtedy 40 osób. W 1840 r. zatrudnił już 160 pracowników, z czego ponad połowę stanowiły kobiety. W 1841 r. hutę uzupełniono pierwszymi piecami pudlarskimi, a w 1843 r. walcownią żelaza sztabowego. Do podgrzewania bloków żelaza używano węgla kamiennego w ilości 60 tysięcy ton rocznie. Węgiel sprowadzano z kopalń górnośląskich furmankami, a także, zimą, saniami. W latach 1856–1858 zaczęto sprowadzać go kolejami. Hrabia Renard był tak zadowolony z pracy Zawadzky'ego, że nazwał hutę jego imieniem. W 1852 r. ku czci szefa zakładu wzniesiono pomnik, a później od jego imienia nazwano miasto.

Franz von Zawadzky, równoległe z szefowaniem w hucie, udzielał się politycznie. W latach 1841-1848 był Przewodniczącym Sejmu Prowincjonalnego. Wraz z rozwojem huty,



*Herb rodu hrabiego
Franza von
Zawadzkiego*

Franz von Zawadzky zyskiwał coraz większy majątek, dzięki czemu mógł sobie pozwolić na zakup majątków w Kalinowie, a później także w Jaryszowie, Poniszowicach, Niewiesiu oraz Niekarni. Franz von Zawadzky zmarł 19 czerwca 1949 roku w wieku 58 lat. Pochowany został obok kościoła pod wezwaniem św. Wawrzyńca w Strzelcach Wielkich.

W trzy lata po jego śmierci w roku 1852 w Zawadzkiem odsłonięto pomnik z popiersiem faktycznego twórcy miejscowości, herbem rodziny i napisami wokół cokołu:

Franz von Zawadzky. Pan na Kalinowie, Jaryszowie i Poniszowicach; z prawej strony: Handel – Rolnictwo – Przemysł; z lewej: Franzowi von Zawadzkiemu, długoletniemu szefowi jako wspomnienie Miłości – Szacunku, wzniesiono przez urzędników hr. Renarda w 1852 r.

Przez ponad 100 lat upamiętniał powszechnie szanowanego człowieka. Pomnik zniszczono w 1962 r. Losy resztek obelisku nie są znane.

Po Franzu von Zawadzky i jego żonie Barbarze pozostały kamienne tablice, które znajdują się przy kościele św. Wawrzyńca w Strzelcach Opolskich.

Bibliografia:

Literatura:

Jan Rajman, Zawadzkie historia i współczesność, Opole, 1990

Jerzy Lubos, Zawadzkie miasto w rozwoju, Katowice, 1969

Z biegiem Małej Panwi z biegiem lat... Zarys dziejów terytorium gminy Zawadzkie pod. Red. Joachima Szulc, Kraków, 2009

Strony internetowe:

<http://www.lozawadzkie.wodip.opole.pl/polish/liceum/ciekawe/HUTA/daty.html>

<http://www.strzelecopolski.pl/franz-von-zawadzky>

<http://opolskie.regiopedia.pl/wiki/franz-von-zawadzky>

http://www.lasowice.eu/readarticle.php?article_id=17

www.strzelecopolski.pl/franz-von-zawadzky

http://fotopolska.eu/Zawadzkie/b17785,Walcownia_Rur_Andrzej_sp_z_oo_.html

„KAWALER MALTAŃSKI”

Autor: Karolina Pyć

ZGS w Zębowicach

Opiekun: Barbara Puchała

Człowiek jest wspaniałą istotą nie z powodu dóbr, które posiada, ale jego czynów. Nieważne jest to co się ma, ale czym się dzieli z innymi.

Jan Paweł II

Na świecie żyje ponad 7 miliardów ludzi, wśród nich jest wielu biednych, głodujących i chorych. Są też osoby, które są szczególnie wrażliwe na krzywdę innych. Te postaci świetnie zdają sobie sprawę, że w trudnej sytuacji może znaleźć się każdy. Skoro im powodzi się dobrze, to chętnie pomagają innym. Jednym z takich ludzi jest Bernhard Serwuschok.

Urodził się 25 lutego 1955 roku w Szemrowicach (gmina Dobrodzień). W roku 1957 przeprowadził się do Zębowic, gdzie uczęszczał do przedszkola i szkoły podstawowej.

Po zakończeniu nauki podjął pracę jako dekarz-blacharz u Piotra Bednarka koło Lublińca. Dwa lata później zatrudnił się w Hucie generała Karola Świerczewskiego w Zawadzkiem, gdzie pracował od 1973 do 1974 roku. W wieku dwudziestu lat, a dokładnie 1 maja 1975

roku, zawarł związek małżeński z Teresą Niestrój, z którą jest związany do dziś. Nowożeńcy wprowadzili się do domu, znajdującego się na terenie tartaku w Zębowicach. W roku 1979 nastąpiła kolejna zmiana – państwo Serwuschok przeprowadzili się do Czarnowásów i zamieszkali w odziedziczonym domu. Doczekali się czworga dzieci (dwóch synów i dwóch córek).

W roku 1988 rodzina Serwuschoków zdecydowała się na emigrację do Republiki Federalnej Niemiec i od tamtego przełomowego momentu mieszkają w Vechcie (Dolna Saksonia). Od razu po przyjeździe pan Bernhard podjął pracę jako monter kurników. Przez dwa lata pracował w delegacji w krajach skandynawskich, głównie w Finlandii i Szwecji, a później w fabryce części samochodowych w Damme (Dolna Saksonia), gdzie jest zatrudniony do chwili obecnej. Do działalności charytatywnej skłoniła go kłeska żywiółowa, która nawiedziła Polskę, Czechy, Niemcy, Słowację oraz Austrię. Wszystko zaczęło się od pamiętnej powodzi tysiąclecia w 1997, gdy Bernhard Serwuschok poczuł, że musi pomóc rodakom w swoim heimacie – Śląsku Opolskim. Nie był w stanie siedzieć bezczynnie, gdy wiedział, że może pomóc i tak też zrobił. Pomoc humanitarna była jego prywatną inicjatywą. Swoje przedsięwzięcie i pierwszą akcję wspomina w ten sposób: „Od zakonu maltańskiego pożyczyłem ciężarówkę, żeby przywieźć dary. Wielu maltańczyków mi pomaga, przyjeżdżają ze mną i przede wszystkim dorzucają się do kosztów paliwa”. Krystyna Pietrek sołtys wsi Czarnowásy tak relacjonowała pierwszą akcję: „Bernhard Serwuschok z pierwszym transportem przyjechał w listopadzie 1997 roku. Dostarczył wtedy: meble, zlewozmywak z szafką, kuchenki, kuchenkę mikrofalową, lodówki, zamrażalki, pralki, krzesła ogrodowe, materace i bojler elektryczny. Dary były używane, jednak nadawały się do dalszego użytkowania i eksploataowania. Zostały przekazane do Polskiego Czerwonego Krzyża w Opolu. Poświęcając swój urlop, z własnej inicjatywy zorganizował trzy transporty ze swoich prywatnych środków”.

Wkrótce Bernard Serwuschok przywoził kolejne dary, już jako rycerz Krzyża Maltańskiego. Kierując się mottem Maltańczyków, „Obroń wiary i pomoc potrzebującym”, swoją pomoc skierował do mieszkańców Czarnowásów, szpitala w Kup, szkoły i przedszkola w Czarnowásach, klubu sportowego LZS Swornica również w Czarnowásach. Mieszkańcy gminy Dobrzeń Wielki zostali obdarowani wózkami inwalidzkimi. Wsparł także szpitale w Opolu, Oleśnie i Kluczborku, domy starców i stację Caritas w Opolu, hospicjum w Starych Siólkowicach, domy dziecka w Sowczycach i Turawie oraz DPS w Radawiu.

Kolejnym wyzwaniem dla kawalera maltańskiego okazała się ponowna powódź. Dnia 27.05.2010 roku z Vechty wyruszył transport dla ofiar kłeski żywiółowej. Zalany mieszkańcom подарowano 2,6 tony darów, które przekazano Radzie Sołeckiej w Czarnowásach. Przywiezione produkty to: puszki z zupami i konserwami mięsnymi, budyń, herbata, soki oraz mydło i płyny do kąpieli. Wartość darów wynosiła 2 600 euro – to dużo ponad 10 000 zł. Rada Sołecka rozdzieliła dary między potrzebujących w trzech turach. Pomoc uzyskało 208 powodziń. Jednak na tym się nie skończyło – niebawem przybyły kolejne transporty dla powodziń i osób potrzebujących pomocy.

Rok 2012 był obfity w transporty, planowano około 8, a zrealizowano ich aż 15! 11 razy ofiarodawca osobiście pojawił się w Polsce, a pozostałe 4 transporty przekazał Maltańczykom w Nysie. Jednym z owych 15 transportów był ten z dnia 30 sierpnia 2012 roku. Donosił o tym dziennik „Nowa Trybuna Opolska”: *Tym razem Bernhard Serwuschok przyjechał do swojego heimatu busem z przyczepą. Razem z nim na Opolszczyznę dotarł inny kawaler maltański, Ernst Möhlemann. „Przywieźliśmy 2,5 tony darów o łącznej wartości 4 tysięcy euro” – mówi pochodzący z Zębowic kawaler maltański. W środku była żywność, słodycze, soki, środki dezynfekcyjne, zabawki i ubranka dla dzieci oraz stylowe, rzeźbione meble. Obdarowani zostali: Caritas w Opolu, dom kultury w Zębowicach, Dom Pomocy Społecznej w Radawiu, DPS w Kluczborku,*

Pokrzywnica. To już 208 transport z darami Bernharda Serwuschoka, mieszkającego od lat w niemieckiej Vechcie.

7 grudnia 2011 roku Bernhard Serwuschok obchodził 15-lecie swojej działalności charytatywnej na Śląsku Opolskim. W siedzibie OSP Czarnowąsy zorganizował przyjęcie dla 60 osób. Wśród obecnych gości znajdowali się: Marszałek Opolszczyzny Józef Sebesta, Wójt i Zastępca Wójta gminy Dobrzeń Wielki, Sołtys Czarnowasów Krystyna Pietrek, Wójt Gminy Zębowice Waldemar Czaja oraz przedstawiciele Maltańskiej Służby Medycznej z Nysy, która dzięki wsparciu Bernharda Serwuschoka jest najaktywniejszą Maltańską Służbą Medyczną w Polsce oraz bliscy jego sercu przyjaciele. Podczas tej uroczystości Kawaler Maltański postanowił, że wykona 12 transportów w roku 2012, w związku z tym, że rok ma 12 miesięcy. O tym zamiarze wiedzieli tylko on i jego żona. Udało się tego dokonać, bo 5 grudnia 2012 roku wyruszył 212 transport do Polski.

Między 2012 a 2014 rokiem z Niemiec przybyło do Polski mnóstwo transportów z darami, których wyczekiwali z utęsknieniem potrzebujący. W lutym 2014 roku filantrop ponownie pojawił się w Polsce. W tym roku podczas akcji „Pomoc dla Śląska” obdarowane zostały Hospicjum w Starych Siolkowicach, Zębowice i Dobrodzień. Podczas pobytu w Grodnie (Białoruś) Maltańczyk usłyszał o matce, która chciała sprzedać swoją nerkę, by operować syna z powikłaniami po wcześniejszym zabiegu. Zdesperowana kobieta postanowiła sprzedać nerkę, by mieć środki na operację syna. Bernhard Serwuschok, wzruszony postawą 32-latką, postanowił pomóc chłopcu. Po powrocie do Niemiec rozesłał do klubów sportowych pisma z prośbą o wsparcie dla chorego. Na jego apel odpowiedziały Borussia Dortmund i Bayern Monachium, przekazując po 10 000 DM. Kawaler Maltański sprowadził matkę z dzieckiem do Vechty, a stamtąd zawiózł ich samochodem do kliniki w Aachen. Sasza pomyślnie przeszedł operację, jego mama uratowała swoją nerkę. Szczęśliwi wrócili do domu w Grodnie. Bernhard Serwuschok jest przekonany, że ta sytuacja na zawsze pozostanie w jego sercu, bo pokazuje, co dla własnych dzieci są w stanie zrobić ich matki. Mówi, że wydać potomstwo na świat to nie sztuka, ale należy je wychować i zapewnić im godne życie.

26 kwietnia 2005 roku Rada Powiatu nadała Kawalerowi Maltańskiemu Bernhardowi Serwuschokowi zamieszkałemu w Vechcie tytuł Honorowego Obywatela Powiatu Kluczborskiego. 2 lata później, w roku 2007, Marszałek Województwa Opolskiego wręczył mu Odznakę Honorową „Za zasługi dla województwa Opolskiego”. W tym samym roku został laureatem spośród 5000 Malteser (Maltańczyków) z całego Münsterland! Sylwetkę Bernharda Serwuschoka przedstawiono w książce pt.: „80 Guten Taten Malteser Deutschland zum 80 Geburtstag Papst Benedikt XVI” (po polsku: „80 dobrych czynów Maltańczyków z Niemiec na 80 urodziny Papieża Benedykta XVI”). Wydano ją w dekoracyjnych okładkach, a na pięćdziesiątej stronie opisano działalność charytatywną i zaangażowania pana Bernarda w pomoc dla rodaków na Śląsku. Dodatkowo dołączono również zdjęcie ze szpitala w Kluczborku. Rada Gminy w Dobrzenu Wielkim 13 grudnia 2008 roku nagrodziła darczyńcę tytułem Honorowego Obywatela Gminy Dobrzeń Wielki. Podczas wygłaszania przemówienia altruista wspominał o kwocie miliona euro, którą niebawem miała przekroczyć wartość przekazanych darów. Kolejne odznaczenie otrzymał w styczniu 2009 roku – starosta Jan Kus wyróżnił najojniejszych sponsorów z terenu powiatu oleckiego. Nagrodę January 2008 otrzymał między innymi Bernhard Serwuschok.

Następny zaszczyt jaki spotkał Maltańczyka to otrzymanie Diamentowych Spinek w roku 2009. „Nowa Trybuna Opolska” tak relacjonowała to zdarzenie: *Wręczyliśmy też dwie, szczególnie ważne nagrody – Diamentowe Spinki, którymi nagradzamy osoby i instytucje wybitne, które od lat wspierają pomysłami i oddaniem Opolszczyznę. Diamentową Spinkę otrzymali Bernhard Serwuschok i Fundacja Rozwoju Śląska oraz Wspierania Inicjatyw Lokalnych.*

Dnia 30 maja 2012 roku Rada Miasta Nysa odznaczyła działacza tytułem Honorowego Obywatela Miasta Nysy.

W październiku 2012 roku Prezydent Niemieckiego Stowarzyszenia Zakonu Maltańskiego, Erich Georg Prince of Lobkowicz, wyróżnił go Srebrną Plakietką. Niedawno otrzymał również nagrodę „Dobry uczynek miesiąca”. Tygodnik „Rundschau” tak zatytułował artykuł o Bernhardzie Serwuschoku: „Ein Leben im Dienst der Schleisen-Hilfe” („Życie w służbie dla Śląska”). Burmistrz Vechty Willibald Meyer wręczył mu dyplom i czek na 100 euro.

Kawaler z Vechty wychował się w Zębowicach i po latach radni przyznali mu tytuł Honorowego Obywatela Gminy Zębowice. Wójt gminy, Waldemar Czaja, tak się wypowiadał na ten temat: „Bernhard Serwuschok wozi dary na Opolszczyznę od 1997 roku, ale od 5-6 lat szczególnie intensywnie wspomaga naszą gminę. U nas się wychował, później wyjechał do Niemiec, a teraz przyznaliśmy mu honorowe obywatelstwo, żeby czuł się jeszcze bardziej związany z nami. Chcieliśmy mu też tą decyzją podziękować za charytatywną pracę dla wszystkich potrzebujących”. Dobroczynca osobiście odebrał ten dowód uznania podczas Dni Zębowic w sierpniu 2013 r. Trudno mu było ukryć wzruszenie, gdy wszyscy ludzie obecni w namiocie wstali i zaczęli śpiewać „Sto lat!”

Zapewne wszyscy mieszkańcy gminy Zębowice będą głosować na swojego krajana, który kilka dni temu został nominowany do tytułu Człowieka 25-lecia Powiatu Oleskiego.

Maltańczyk planuje kolejne transporty i zamierza przyjechać do Polski na przełomie kwietnia i maja, choć regeneruje siły po chorobie. Niedawno wyszedł ze szpitala, jest po dwóch zawałach, ale Bóg zostawia go na ziemi, bo wie, że ma jeszcze sporo do zrobienia. W 2015 roku przejdzie na zasłużoną emeryturę, choć mniemam, że nie będzie odpoczywał, lecz dalej kontynuował swoją misję „Pomoc dla Śląska”.

Bibliografia:

- *Rozmowa z Bernhardem Serwuschokiem
- *Korespondencja mailowa z Bernhardem Serwuschokiem
- *Praca magisterska Leszka Ogrodnika
- *www.nto.pl
- *Nowa Trybuna Opolska
- *Picasa Web Albums Maniek 430

„WALDEMAREK” **Autor: Karolina Knopp**

PG w Turawie **Opiekun: Sabina Węgrzyn-Gaweł**

Bardzo niedawno temu, w pewnej wiosce Węgry, w zwyczajnej rodzinie urodził się chłopiec o imieniu Waldemar. Rósł i wychowywał się pośród rodzeństwa i przyjaciół. Niczym się nie wyróżniał. Rozpoczął naukę w Szkole Podstawowej w Osowcu. Jego szkolne życie toczyło się spokojnie niczym woda płynąca w rzece. Pan Waldemar bardzo często zastanawiał się, jaki los go w życiu spotka. Marzył o szczęśliwej rodzinie, gromadce dzieci i wspaniałej posiadzie. W nocy, kładąc się



spać często śniło mu się, że zostanie królem. Tak więc chłopiec postanowił zrealizować swoje sny. Po ukończeniu szkoły podstawowej młodzieniec rozpoczął naukę w technikum. Życie w technikum przebiegło dość ciekawie.

W niedługim czasie Pan Waldemar został wezwany do służby wojskowej. Przeżył tam wiele wspaniałych chwil. Jednym takim wydarzeniem, które zmieniło jego życie było poznanie dziewczyny, która później została jego żoną. Była to piękna kobieta o ciemnych oczach, czarnych włosach i szczupłej sylwetce. Jej serce było wypełnione radością i miłością do wszystkich ludzi. Na jej buzi zawsze widoczny był uśmiech. Żyli sobie spokojnie, ich dom wypełnił się czterema córkami. Z momentem pojawienia się córek życie nabrało tempa, było poprzepłatane radością i smutkiem. Wtedy w najmniej spodziewanym momencie Waldemar przez mieszkańców został mianowany na sołtysa. Zawsze chętnie brał czynny udział w życiu wioski, chętnie pomagał ludziom.

Był rok 1995, kiedy w naszej wiosce obchodziliśmy 700 rocznicę istnienia Węgier. Pewnej nocy mężczyzna spał bardzo niespokojnie. Zmartwiło to żonę. Ona niecierpliwie wyczekując ranka, zapytała swego męża, co takiego wydarzyło się w jego śnie? Mężczyzna nie zastanawiając się ani chwili opowiedział ukochanej o swoim śnie: Moja Droga, przyśniło mi się, że będę organizował wspaniałą uroczystość. Było wielu wspaniałych gości. W niedługim czasie sen Pana sołtysa się spełnił. Będąc na spotkaniu gminnym Pan Waldemar dowiedział się, że jako przedstawiciel wsi Węgry będzie głównym organizatorem danej imprezy. Sołtys nie wahając się ani chwili podwinął rękawy i wziął się do zwałwej pracy. Zaprosił gości z Niemiec, a także innych miejscowości o nazwie Węgry w Polsce. Podczas uroczystości Pan Waldemar poprosił dzieci i młodzież naszej miejscowości o przygotowanie programu artystycznego. Nie tylko młodzież ale i mieszkańcy Węgry przygotowali piękną paradę i wiele wspaniałych atrakcji. Na początku sołtys – Pan Waldemar przywitał gości i wszystkich uczestników imprezy, na której wygłosił krótkie przemówienie w gwarze śląskiej.

Waldemar ciągle marzył o bardziej ambitnych planach. W głębi duszy zawsze chciał swoim bliskim udowodnić, że stać go na coś więcej. Wtedy małymi kroczkami idąc do przodu zapragnął zostać wójtem. Pod auspicjami swojej rodziny pan sołtys wziął udział w wyborach na wójta. Rywalizacja była ostra. Jednak szczęście nie opuściło bohatera i został naszym wójtem. Życie wójta w karierze nie zawsze było łatwe, nie we wszystkich wzbudzał zachwyt. Nie od wszystkich dostawał wsparcie, niestety jeśli chce się coś osiągnąć, trzeba na to ciężko zapracować. Każdy przecież o tym wie, trud i ciężka praca daje nam owoc. Niestety takie jest życie, o czym przekonał się Pan Waldemar. Nieustannie w dzień, czy w noc wójt ciągle myślał o swoich trudach. Nie poddawał się, zaczął publicznie brać udział w życiu swojej gminy. Odważnie podejmował decyzje, chociaż nie zawsze do końca było wiadomo, czy podejmuje słuszną decyzję. Jednak ów mężczyzna zawsze sugerował się intuicją. Nigdy nie wycofywał się z podjętych zadań.

W swojej karierze wójt nigdy nie zapomniał o życiu dzieci i młodzieży. Co roku organizuje Turniej Tenisa Stołowego pomiędzy uczniami szkół podstawowych i gimnazjalnych naszej gminy. W jego życiu nigdy nie zabrakło aktywności fizycznej, więc w głowie naszego bohatera zrodził się pomysł na Turawskie Biegi Przelajowe. Każdego roku o tej samej porze liczne grupy wiekowe naszych mieszkańców, biorą udział w różnych kategoriach biegowych, na czele których stoi Pan wójt.

Pewnego razu zupełnie nie spodziewając się nasz wójt został zaproszony do Radia Opolu, w celu poruszenia tematów o słynnych Jeziorach Turawskich. Tematyka ta nie jest obca Panu Waldemarowi. Ona niejednokrotnie spędza sen z oczu. Wprawia go w zakłopotanie, że nasze jeziora wkrótce staną się zagrożeniem dla przyrody i turystyki. Pomimo swoich chęci i wielkiego zaangażowania nie może zapobiec temu problemowi. Wójta jednak nie opuszcza nadzieja. On zawsze trzyma się przysłowia „Po nitce do kłębka”.

Z wielkim zaangażowaniem nasz bohater nałożył nacisk na inwestycję w naszej gminie. Jedną taką dużą inwestycją było wybudowanie wielkiego Centrum Handlowego „Turawa Park”.

W centrum tym nie tylko można zrobić zakupy, ale także czasami spędzić miło czas. Są tam organizowane przez wójta z okazji różnych świąt imprezy okolicznościowe jak na przykład Dzień Kobiet czy Dzień Dziecka.

Teraz jednak nasz wójt ma sporo pracy nad swoją nową kadencją w gminie. A więc musi zdobyć zaufanie swoich wyborców, pokazać się z jak najlepszej strony, co niestety nie jest łatwe. W jego sercu pali się iskierka nadziei, że jego mieszkańcy nie opuszczą go i będą w niego wierzyć.

„JERZY FARYS – CZŁOWIEK, KTÓRY O SWOJEJ PASJI, MÓWI Z PASJĄ”

Autor: Natalia Łazarz

PG w Turawie

Opiekun: Sabina Węgrzyn-Gaweł

Każdy człowiek ma jakieś marzenia. Rozmyślamy nad swoim życiem, zachowaniem i umiejętnościami. Gdy przyjdzie moment kończenia szkoły, każdy nastolatek musi podjąć najważniejszą decyzję życiową. Co dalej? Jaką drogą pójść? Trzeba poważnie zastanowić się nad swoimi zainteresowaniami i wybrać szkołę odpowiednią dla własnych zainteresowań. Jest to wybór na całe życie, więc powinien być bardzo dobrze przemyślany.

Te pytania przed laty zadawał sobie także bohater mojej opowieści. Postać niebanalna, a jednocześnie skromna. Obecnie nauczyciel geografii i historii w Publicznym Gimnazjum w Turawie. Często można go spotkać w sali numer 1. Zapewne wielu czytelników domyśla się, o kim mowa, a na ich twarzach pojawia się znaczący uśmiech. Bo jak się nie uśmiechać, kiedy myśli się o panu Jerzym Farysie. Jak doszedł do tego, kim jest obecnie?

Przed reformą szkolnictwa uczniowie po ośmiu latach szkoły podstawowej wybierali rodzaj szkoły i kształcili się dalej.

Pan Jerzy Farys po ukończeniu szkoły podstawowej wybrał się do technikum elektrycznego w Opolu. Jak wspominał, wybór szkoły był decyzją spontaniczną i nie wynikał z zainteresowań elektrycznością.

Następnie ukończył studia podyplomowe z geografii, przyrody, zarządzania, BHP. Mówi o sobie: *„Jestem bardzo zadowolony, że wybrałem właśnie kierunek elektryczny. W ten sposób jest mi całkowicie wygodnie, bo w domu mogę sobie wszystko naprawić i nie potrzebuję pomocy fachowców”*.

Dowiedziałam się, że pan Farys ma bardzo wiele zainteresowań, dlatego podczas jednej z naszych wspólnych rozmów zapytałam o nie:

– *Interesuję się historią, a właściwie historią regionalną.*

– *Skąd to zaciekawienie?*

– *Powiem tak. Urodziłem się tutaj na Śląsku, tzn. w Kadłubie Turawskim. Stąd pochodzi moja rodzina, rodzice, dziadkowie. Dlatego nie może być inaczej. Ja „muszę” interesować się historią regionalną – znać przeszłość moich bliskich.*

Od około 20 lat pan Jerzy bardzo dużo pisze o historii miejscowości naszej gminy Turawa, o ludziach i o różnych innych ciekawych wydarzeniach z nią związanych.

„Zbieram różne informacje na ten temat” – mówi. „Smutne, wesołe, a niekiedy nawet śmieszne – w ten sposób zgromadziłem bardzo dużo materiałów, które publikuję do gazet i czasopism”.

Historyk ma na swoim koncie wydanych kilka książek. Jego pierwsza książka ukazała się 3 lata temu. Dotyczyła ona Parafii Ligota Turawska, a więc historii tamtejszego kościoła, kapliczek, krzyży, powołań kapłańskich i zakonnych.

Powodzenie tej publikacji i duże nią zainteresowanie ludności miejscowej, jak i tych, którzy wyjechali na zachód za tzw. „chlebem”, skłoniło pana Farysa do zbierania kolejnych informacji i poszukiwania źródeł historycznych, na temat całej gminy Turawa, znajdujących się obiektów sakralnych, jak i poświęconych życiu codziennemu. Po żmudnej i ciężkiej pracy, nie odrywając się od obowiązków szkolnych, doprowadził do publikacji aż czterech książek, w tym dzieła dwutomowego. Część pierwsza „Księga historii Ziemi Turawskiej – dzieje gminy” – 926 stron. Część druga pod tym samym głównym tytułem – „Duchowni i obiekty sakralne” – 622 strony.

Część pierwsza to rzetelne, historyczne informacje o historii każdego sołectwa gminy, zabytkach, ludziach, którzy tworzyli historię, ich ułomnościach, radościach i życiu codziennym. Drugi tom, jak sama nazwa wskazuje, to szczegółowa historia obiektów sakralnych, kapłanów, zakonników i tego wszystkiego co było ciekawe w życiu parafian. Opisane wydarzenia i osoby były już dawno zapomniane. Autor wszystkie ważne wydarzenia wydobył na światło dzienne i ocalił od zapomnienia.

Nie będę streszczać tego monumentalnego dzieła, bo nie jest to celem tej rozprawki. Lecz kiedy przebrnęłam przez wszystkie jego strony, bogato ilustrowane w archiwalne zdjęcia, szkice, mapy, ksera łańskich i niemieckich dokumentów, doszłam do wniosku, że wszelkie zło jakie nawiedziło moją rodzinną ziemię, związane było z działaniami wojennymi, prowadzonymi przez wielkich i możliwych tego świata, zarówno żołnierzy armii zwycięskich, jak i przegranych, którzy po wielokroć udeptywali ziemię Śląska Opolskiego. Wcale tu nie mam na myśli tylko okresu II wojny światowej.

W trakcie rozmowy z panem Farysem dowiedziałam się, że nie jest to koniec jego fascynacji pisarskiej: „Ja oczywiście nie przestałem jeszcze pisać. Nadal zbieram informacje i za pół roku, najwyżej rok ukażą się moje kolejne książki” – mówi pan Farys. Ta wiadomość jest zapewne dla wszystkich bardzo dobra, ponieważ książki pana Jerzego Farysa cieszą się dużą popularnością. Zdradził mi, że nowa książka będzie rozszerzeniem informacji o naszej gminie, głównie od XIX wieku do II wojny światowej. Ma już napisane około 500 stron, tak więc wszystko idzie w dobrym kierunku, z czego jestem bardzo zadowolona, jako posiadaczka wcześniejszych książek. Uważam również, że każdy mieszkaniec naszej gminy powinien jak najwięcej wiedzieć o swojej oraz sąsiedniej wsi.

Podsumowując omawianą publikację pragnę dodać, że mój nauczyciel, pan Farys, jako pierwszy tak szczegółowo spisał historię gminy Turawa. Ciekawostką jest to, że autor za swoją pracę i za wydane książki nie pobiera żadnych opłat.

Dumna jestem, że część informacji dotyczących mojej miejscowości, pan Farys zebrał podczas odwiedzin mojego pradziadka Wojciecha Łazarza, który dożył 92 lat. Jako najstarszy mieszkaniec wsi i naoczny świadek współczesnej historii, też przyczynił się do powstania wspomnianego dzieła.

Gmina Turawa najbardziej znana jest w całej okolicy, z położonych w lesie trzech jezior: dużego, średniego i małego, oraz najczystszej jeziora tzw. „Srebrnego”. Do tych atrakcji turystycznych, myślę że dołączą obiekty sakralne i inne zabytki, które przywiodą na szlaki ścieżek rowerowych i pieszych, zwiedzających. Jak wspomniałam powyżej, od ukończenia studiów, pan Farys związany jest z oświatą na terenie gminy Turawa. Najdłużej przepracował w szkole podstawowej w Kadłubie Turawskim, a po reformie oświaty, w Publicznym Gimnazjum w Turawie, gdzie pracuje do dziś. Tutaj właśnie wstąpił do Towarzystwa Miłośników Ziemi Turawskiej, w którym to jako przewodniczący organizuje wystawy i różnego rodzaju konkursy, propagujące znajomość naszej gminy. Można by powiedzieć, że przejście do większej szkoły w Turawie

pozwoili panu Farysowi „rozwinąć skrzydła”. Od pięciu lat jest opiekunem Rady Samorządu Uczniowskiego. Inspiruje i pomaga uczniom w organizowaniu szkolnego i pozalekcyjnego, życia kulturalno-oświatowego, jak i rozrywkowego. Jako nauczyciel historii i geografii bardzo dobrze tłumaczy dany temat, a co najważniejsze jest spokojny i bardzo opanowany. Uczniowie mają to do siebie, że po wyjściu ze szkoły o niektórych nauczycielach chcą jak najszybciej zapomnieć, a o niektórych pamiętać do końca życia. Uważam, że pan Farys jest osobą, o której się pamięta i będzie pamiętać. Dzwonek na przerwę dla wielu z nas jest zaskoczeniem i małym żalem, że to już koniec. W naszej szkole prawie corocznie, z okazji Dnia Nauczyciela, przeprowadzany jest szkolny konkurs na najlepszego nauczyciela w kategorii: „Mistrz”, „Kosa”, „Kumpel”. Za mojej „kadencji”, a jestem w trzeciej klasie, pan Farys dwukrotnie zdobył tytuł nauczyciela „Mistrza”. Na początku wiosny niechętnie przysłuchiwałam się rozmowie mojego nauczyciela z jakąś dziennikarką. Od razu domyśliłam się, że rozmawiają o książce „Księga Historii Ziemi Turawskiej”. Przepraszam, ale podsłuchiłam, że zbieranie materiałów, liczne podróże z tym związane, rozmowy, zajęło autorowi półtora roku czasu. Jestem pełna podziwu, że potrafił pogodzić pracę zawodową, życie rodzinne (a ma żonę i dwoje dzieci), społeczną aktywność, ze swoją wielką pasją i hobby, jaką niewątpliwie jest poszukiwanie, dokumentowanie mniej ważnych i arcyważnych prawd historycznych, które dla nas żyjących tu ślązaków nie są bez znaczenia.

Bibliografia:

Rozmowa z Jerzym Farysem

Internet : Strona Gościa Niedzielnego

Strona NTO

„CZŁOWIEK, KTÓRY ZWYCIĘŻAŁ DZIĘKI WYTRWAŁOŚCI – JOACHIM HALUPCZÓK MISTRZ KOLARSKI”

Autor: Zuzanna Malek

**ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni
Opiekun: Jolanta Gawlyta**

Dzisiaj często słyszymy narzekania, że coraz mniej wśród nas prawdziwych zwycięzców, pasjonatów, którzy całe życie poświęcają swojej „miłości”, którzy zwyciężają dzięki wytrwałości i niezłomności. Pragnę tą pracą przybliżyć postać jednego z mieszkańców gminy Chrzęstowice, nieżyjącego już kolarza Joachima Halupcoka.

Joachim Halupczok urodził się 3 czerwca 1968 roku w Niwkach, był synem Ryszarda i Julii Halupczoków, 5 lutego 1994 roku serce Joachima zabiło po raz ostatni. Zginął w drodze do szpitala. Miał żonę Barbarę. Osierocił dwójkę dzieci, syna Roberta i córeczkę Annę. Tylko chłopiec mógł poznać tatę, gdyż Ania urodziła się po śmierci ojca.

Achim tak go nazywano, początkowo trenował w LKS Ziemia Opolska. W 1987 jeszcze jako junior wygrywał wszystkie mistrzostwa Polski: górskie, na czas, dwójkami, drużynowe, przełajowe. W 1988 został powołany do kadry Polski i wraz z drużyną wziął udział w igrzyskach olimpijskich w Seulu. Zdobył tam srebrny medal w drużynowym wyścigu szosowym na 100 km. Wtedy świat zaczął interesować się Halupczokiem. 26 sierpnia 1989 Joachim Halupczok zdobył złoty medal w gronie amatorów na mistrzostwach świata w Chambéry (Francja). Wygrał mistrzowski wyścig z dużą przewagą nad rywalami. Ten sukces przyniósł mu wygraną w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca Polski. Achim

zwyciężył w etapowym Wyścigu dookoła Nadrenii. Wywalczył trzykrotnie tytuł mistrza Polski. Zdobył mistrzostwo świata w wyścigu indywidualnym.

W 1990 podpisał kontrakt zawodowy i wziął udział w mistrzostwach świata w Utsunomiya. Jesienią tego roku wynikły problemy zdrowotne (arytmia serca), które spowodowały, że musiał zrezygnować ze sportu.

5 lutego 1994 odbywały się zawody piłki nożnej halowej w Opolu. Joachim Halupczok miał tam wystąpić rekreacyjnie jako bramkarz. W czasie rozgrzewki zasłabł i stracił przytomność. Zmarł w drodze do szpitala. Został pochowany na cmentarzu w Osowcu Śląskim. Joachimowi Halupczokowi postawiono pomnik w jego rodzinnej miejscowości w Niwkach. 21 sierpnia 2010 odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika J. Halupczoka.



To jeden z niewielu sportowców, którzy zostają w naszych głowach do końca. Tacy ludzie nie przytrafiają się zbyt często na tym wielkim świecie, dlatego takich ludzi jak Joachim powinniśmy szanować i mieć za przykład. Miejsca, w których żył Achim, szosy po których jeździł, stały się tradycyjnym punktem na kolarskiej mapie Polski.

Znała go cała Polska. Kibicowało mu tysiące pasjonatów tego sportu. Dla mieszkańców gminy Chrzęstowice był to skromny „nasz” chłopak. Wielu pamięta, że trudno było spotkać pana Joachima bez

jego ukochanego roweru. Na nim jeździł wszędzie. Rower i kolarstwo to była jego wielka miłość, której oddał całego siebie. W Chrzęstowicach, gdzie mieszkam, wszyscy wspominają go ciepło i serdecznie. Tacy ludzie nie rodzą się często, dlatego powinni być dla nas co dzień przykładem do naśladowania. Życie kolarza zapewne nie było łatwe, wypełniał je ogromnym wysiłkiem i codzienną pracą okupioną potem i łzami. Ale na pewno warto było, bo jego życie to przecież również pasmo sukcesów, wielu kibiców zagrzewających go do walki i słodki smak odniesionego sukcesu.

W mojej gminie pamiętamy o tym niezwykłym mistrzu kolarstwa. Co roku organizowany jest wyścig pt. „O Puchar Wójta Gminy Chrzęstowice”.

Wielu moich kolegów codziennie siada na rower, pokonuje swoje słabości i podąża jego „ścieżką”.

Bibliografia:

Nasza gmina Chrzęstowice, Wikipedia.

„IRENA SŁABOŃ – KOBIETA Z PASJĄ” **Autor: Wiktoria Mientus, Martyna Woszko**

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni
Opiekun: Jolanta Gawlyta

Są ludzie z różnymi pasjami. Jedni wolą kolekcjonerstwo, inni zaś odkrywają tajemnice przeszłości, a Pani Irena pokochała kroszonkarstwo oraz malowanie porcelany.

Pani Irena Słabłoń urodziła się 23 listopada 1947 w Korczewie. Kilka kilometrów od rodzinnej wsi znajduje się miasto Bełchatów i to tam ukończyła szkołę podstawową. Wybitnie zdała egzaminy do szkoły ceramicznej w Szczawnie. Szkoła ta znajdowała się bardzo daleko

od Korczewa i ze względu na to nawet nie zaczęła się uczyć. Dalszą naukę kontynuowała w liceum w Zelowie. Przed drugim półroczem zachorowała na żółtaczkę i sześć tygodni spędziła w szpitalu w Piotrkowie. Po wyleczeniu nie wróciła do szkoły, lecz została w domu i pomagała rodzicom w gospodarstwie. Kilka miesięcy później zmarła jej babcia, a następnie najmłodsza siostra – Emilia. Zachorowała również mama. Do 20. roku życia mieszkała z rodziną. Później wyprowadziła się do Staniszczy Wielkich, gdzie poznała swojego męża – Joachima. Po kilku miesiącach znajomości w 1968 roku wyszła za niego za mąż. Rok później urodził im się syn – Andrzej, który aktualnie mieszka w Niemczech w Osterwaldzie, a trzy lata później córka – Lidia, która do 2007 mieszkała ze swoim mężem Hubertem Mientus i dwoma córkami Wiktorią i Martą w Staniszczy, lecz przeprowadziła się do Dębskiej Kuźni, rodzinnej wsi męża.

W 1986 roku pani Irena dzięki swojej sąsiadce trafiła do Opolskiej Spółdzielni Pracy Rękodziela Ludowego i Artystycznego. Krócej – Cepelii. Przed zatrudnieniem musiała przejść egzamin – wydrapać kilka kroszonek. Dopiero na podstawie jakości wydrapania jajka oceniano umiejętność i przydatność do pracy. Poszło jej znakomicie i od tego czasu zaczęła malować porcelanę. Dzięki swojej pasji i pracy zwiedziła ogromną część Polski. Była m.in. trzy razy w Sopocie, Zakopanem oraz Krakowie, dwa razy w Warszawie, Częstochowie, Kudowie Zdrój, Szczawnie Zdrój i Wałbrzychu.

W każdym z tych miejsc wystawiła i sprzedawała porcelanę oraz jajka, kilka razy również sprzedawała swoje dzieła w Bierkowicach. Niestety opolska Cepelia nie wytrzymała warunków wolnorynkowych. W 2006 roku ogłosiła upadłość, lecz jedna z jej współpracowniczek postanowiła założyć swoją prywatną firmę i zatrudniła panią Irenę. Działalność istnieje do dziś.

Malowanie porcelany polega na nanoszeniu kontur kompozycji stałówką, stosując czarną farbę ceramiczną. Maluje się od szczegółu do ogółu, czyli od środka kwiatka do obrzeża płatków. Potem na wzór nanosi się kolor. Każda malarka ma swój prywatny i niepowtarzalny sposób na wykonanie dzieła.

Pani Irena nie zajmuje się jedynie kroszonkarstwem oraz porcelaną. Odskokiem jest szydełkowanie, haftowanie, cerowanie i ręczne robótki.

„Bardzo żałuję tego, że posłuchałam ojca i przestałam się uczyć i nie wróciłam do szkoły po chorobie. Od najmłodszych lat lubiłam rysować, wiele osób mówiło mi, że mam ogromny talent i nie mam go zmarnować, lecz życie potoczyło się inaczej”. Mówi Pani Irena.

Ta niezwykła kobieta nie jedno przeżyła w życiu, co chwilę odkrywała coś innego, nowego, ciekawszego w swojej pasji. Doświadczeniem dzieli się z otaczający ją światem – rodziną, znajomymi. Jest bardzo miłą, otwartą i co najważniejsze skromną osobą. Dzięki takim osobom jak ona, regionalne tradycje nie zanikają, tylko rozwijają się coraz bardziej, zaraża swoją pasją wszystkich dookoła. W jej dziełach widać ile serca w nie włożyła. To właśnie dzięki niej świat staje się piękniejszy. Nabiera barw tak jak jej porcelana. Mimo trudności w życiu nigdy nie porzuciła swojej pasji, nie poddała się, dążyła do celu. Wielu ludzi powinno brać z niej przykład. Właśnie dlatego postanowiliśmy napisać o niej pracę. Życzymy Pani Irenie dużo zdrowia a przede wszystkim wytrwałości i powodzenia w zawodzie.

Bibliografia:

- wypowiedź Pani Ireny Słaboń oraz Wiktorii Mientus



„MÓJ TATA – CZŁOWIEK Z PASJĄ”

Autor: Dominik Olczyk

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni
Opiekun: Jolanta Gawlyta

Mój tata, Andrzej Olczyk, urodził się w Sosnowcu. Kiedy miał sześć lat, wraz z rodzicami i siostrą przeprowadził się do opolskiej wioski – Radomierowic. Tam zetknął się po raz pierwszy z „dziką” przyrodą. Po kilku przeprowadzkach zamieszkał w Falmirowicach, małej miejscowości znajdującej się na terenie gminy Chrzęstowice. Ma wiele pasji i zainteresowań, a co najważniejsze chce nimi zarażać innych.

Od najwcześniejszych lat lubił rysować ptaki i zwierzęta. Rysował hodowane przez siebie ptaki, owady, płazy. Bardzo często przerysowywał zwierzęta z książek J. Sokołowskiego, W. Puchalskiego i z własnych zdjęć. Studiował plastykę ze specjalnością druku wypukłego na WSP w Krakowie. W Krakowie miał okazję oglądać historyczne dzieła sztuki oraz sztukę współczesną. W tamtym czasie zaczął uczestniczyć w wystawach. Poświęcił się linorytowi. Zorganizował sześć wystaw indywidualnych. W domu na ścianach wisi wiele jego obrazów i ciągle się zmieniają, bo tata maluje kolejne. W czasie pracy słucha muzyki, to jego kolejna wielka „miłość”. Ulubionymi kompozytorami taty są: J.S. Bach i Ludwig van Beethoven. Słucha też muzyki Jimiego Hendrixa.

Drugą pasją mojego taty jest fotografowanie ptaków. Czeka podekscytowany na kwiecień i maj, ponieważ to wówczas przylatują. Nie możemy wtedy pójść za daleko do ogrodu, bo tam jest miejsce dla ptaków. Nasz ogród jest bardzo ładny ze względu na ilość zieleni. Tata musi bardzo lubić fotografować ptaki, skoro w weekend, gdy cały dom jeszcze śpi, on wychodzi o 4:00 nad ranem i robi im zdjęcia. Nie tylko fotografuje ptaki, ale o każdym z nich mógłby opowiadać bardzo długo i bardzo ciekawie. Niektóre z jego zdjęć zostały umieszczone w albumach o ptakach.

Grafika jest najważniejszą pasją mojego taty. Wieczorami widzę go z dżetem w ręce i głową pochyloną nad płytką linoleum. Kiedyś mój starszy brat zapytał kolegę w przedszkolu:

„A twój tata jakie robi grafiki?” na co biedny znajomy nie umiał odpowiedzieć. Ja i moi bracia możemy na temat grafiki powiedzieć bardzo wiele. To jest w końcu wielka „miłość” taty. Mój tata często maluje obrazy w pracowni, dlatego czasem lubi porysować dla samej przyjemności rysowania. Cokolwiek wyjdzie spod ołówka i pędzla, stanie się arcydziełem. Lubię patrzeć na pracującego tatę. To takie magiczne i piękne.

To chyba wszystko co mogę powiedzieć o pasjach mojego taty. Ma ich wiele i dalej je rozwija. Codziennie poświęca czas na obrazy, które potem dają mu satysfakcję. Na co dzień jest nauczycielem plastyki i techniki w gimnazjum. Chciałbym, aby wszyscy potrafili tak jak on odnaleźć w życiu to, co stanie się miłością i pasją. Dla mojego taty pasja stała się przepisem na życie. Ja i moi bracia jesteśmy dumni, gdy widzimy prace taty na wystawie, gdy słuchamy jak opowiada o tym, co robi. Tata potrafi „zarażać” swoją pasją innych. Ma uczniów, którzy korzystają z jego wskazówek, dla których sztuka staje się ważnym elementem życia, którzy wybrali podobną drogę życia.

Uważam, że mój tata przyczynia się także do promocji naszej gminy. Zawsze podkreśla, że miejsce, w którym mieszka to Falmirowice, że to ono daje mu energię, że tu znajduje się jego pracownia, ogród, w którym obserwuje i fotografuje ptaki.

Bibliografia:

Informacje własne

„ZĘBOWICZANIE – MUZYKA I ŚPIEW Z TRADYCJAMI”

Autorka: Sabina Panicz

ZGS w Zębowicach

Opiekun: Iwona Grabowska

*Śpiewać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej,
ale nie oto chodzi, jak co komu wychodzi.*

Czasami człowiek musi, inaczej się udusi...

Jerzy Stuhr

Człowiek z natury lubi się bawić, śmiać i śpiewać, jednak nie każdemu wychodzi to jednakowo. Zgadzam się jednak z aktorem Jerzym Stuhrem, że czasami trzeba to robić, aby się spełnić i nie udusić, pozwolić na upust naszej twórczości. Tak właśnie powstała grupa śpiewacza w Zębowicach. Zrodziła się z potrzeby serc, aby wyśpiewać, to co w duszy gra. Jednak z całą pewnością można stwierdzić, że śpiew im bardzo dobrze wychodził, czego dowodem mogą być liczne koncerty i nagrody. W 1979 roku powstał w gminie Zębowice zespół pt.: „Zębowiczanki”, który później ze względu na kilku panów śpiewających i grających w zespole został nazwany „Zębowiczanie”. Utworzono go za namową byłego dyrektora szkoły i ówczesnego prezesa zębowickiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego prof. Zenona Jasińskiego. Śpiewały w nim panie: Cecylia Miozga, Helena Skawran, Anna Buczek, Urszula Gola, Emilia Kiwus, Anna Miozga, Irnigarda Pieprzycza i Elfryda Tangerman. Ich mentorką była pani Weronika Borecka – emerytowana nauczycielka muzyki, która werbowwała członków, dobierała repertuar i wspólnie z członkiniami opracowywała pieśni jedno-, dwu-, a nawet trzygłosowe. Panie zbierały się w Bibliotece Gminnej, gdzie nie było zbyt dużo miejsca, a poza tym przeszkadzały w pracy kierownicze biblioteki, jednak to im nie przeszkadzało, z wielkim zapałem śpiewały i cieszyły się wspólnymi chwilami.

Pierwsza pieśnią, jaką wspólnie opracowały był utwór pt.: „Wieczorny dzwon”, który jest do dzisiaj śpiewany. Poza tym panie pisały też swoje piosenki, takie jak: „Dziecino nie płacz” oraz „Służyła dziewczeczka”. Jedną ze śpiewaczek – Pani Anna Wierszak również ułożyła tekst piosenki:

*„Dziecino, nie płacz, a uśmiechnij się gdy słowo kołędy w świat się popłynie
Piękna tradycja nie zaginie Maryjo spójrz na nas i nie martw się
My twego syneczka utulimy Nasze mu pieśni zanucimy.
Dziecino swą rączką błogosław świat Bo pełen jest cierpień, smutku i wad
Chociaż minęło już tyle lat.”*

Członkowie śpiewali pieśni ludowe, okolicznościowe, biesiadne, religijne i miejscowe, głównie śląskie (takie, które znała każda babcia). Były one zbierane do śpiewników i tak znalazły się tam: „Kukułeczka”, „Kiejby jo miol”, „Katarzyna”, „Kokoszka”, „W kluczborku na rynku” itp. Po jakimś czasie zespół utworzył własną kapelę, w której grali panowie: Piotr Szczygieł, Zbigniew Kula, Hubert Gryla, Paweł Miozga i Joachim Sobota. Parę lat grała również pani Daria Jędrzej. Do zespołu bardzo szybko przystępowały też kolejne panie, takie jak: Róża Pipa, Klara Szczygieł, Anna Urbanek. Członkinie namówiły też dwóch panów do śpiewania: Klauzjusza Serwusioka oraz Romana Sułka. Wspólnie napisali piosenkę o mieszkańcach Zębowic:

Służyła dziewczeczka, służył W tym Zębowski dworze (bis)

Wychowała gołąbeczk w tej ciemnej komorze. (bis)

Jak go wychowała, chowała Okienko otwarła (bis)

Wyleć, wyleć gołąbeczku Powróć kochaneczku. (bis)

Zespół obsługiwał wszystkie imprezy w gminie oraz niektóre w powiecie i województwie. Były to uroczystości państwowe, akademie, festyny, konkursy, np. kroszonkarskie, dożynki itp. Zespół liczył około 15 osób. Podczas koncertów wykonywali po 20 piosenek. Na początku swojej działalności wraz z Zębowickim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym nawiązał kontakt z Państwową Szkołą Muzyczną w Opolu. Owoce tego w Zębowicach odbyły się dwa koncerty muzyczne, w czasie których wystąpił również nasz zespół. Pierwszym wyjazdem był przegląd Koła Gospodyń Wiejskich, na którym grupa została bardzo mile przyjęta i otrzymała dyplom. Następne wyjazdy były organizowane w przeróżne miejsca, takie jak: Olesno, Ozimek, Szemrowice, Grodziec, Gogolin, Kraków, Opole czy Tarnów Opolski.



Występ na festynie w Zębowicach

Po wyjeździe pani Boreckiej do Olesna kierownictwo nad zespołem przejął pan Zbigniew Kula. Wiele pań odeszło z zespołu, ale wstępowały inne np. Gabriela Zając, Alicja Wodniok, Zofia Laskowska, Iwona Sułek, Danuta Buczek, Danuta Jančík, Gabriela Cichos i Danuta Sułek. Zębowiczanie nie nagrali profesjonalnej płyty, ale tylko amatorską. Jednak i tak zdobyli wielkie sukcesy. Byli na przeglądzie „Wiatraki” w Tarnowie Opolskim, w Krakowie na spotkaniu wielkanocnym oraz na Festynie Hutników w Ozimku. Dru-

żyna otrzymała nagrody od Wójta Gminy pana Waldemara Czai oraz otrzymała 10 000 zł od Spółdzielni Usług Rolniczych na stroje dla członkiń. To było ogromne wsparcie dla zespołu. Panowie nosili zazwyczaj garnitur. Natomiast panie miały na sobie białą bluzkę z rękawami od łokcia z koronką, kołnierz z koronki, spódnice plisowaną w jednym kolorze, wyszywane gorset oraz czerwone korale. Całość uzupełniał fartuch jednokolorowy zakładany na spódnice. Do ich grona mógł wstępować, kto tylko chciał. Śpiewały gospodynie domowe, rolniczki, nauczycielki i młodzież. Zdarzyło się również, że śpiewała babcia i wnuczka. Niestety obecnie jest brak chętnych do śpiewania, a panie, które śpiewały wcześniej, zrezygnowały z powodu wieku lub choroby i tym sposobem nie ma komu śpiewać, dlatego działalność zespołu jest zawieszona. Szkoda, że chór się rozpadł, to wielka strata dla naszej społeczności i kultury regionu. Panie, które jeszcze mają ochotę i zdrowie chciałyby nadal śpiewać, niestety jest ich zbyt mało. Jednak mam głębokie przekonanie, że należy się im wielka wdzięczność za rozświetlenie naszej gminy i radość, jaką dawali wszystkim słuchaczom. Mam jednak nadzieję, że ich dorobek nie zostanie zapomniany.

Źródła:

- wywiad z panią Anną Wierszak – była śpiewaczką „Zębowiczanki”
- Kronika Zębowiczanki

„ZOFIA LEDNIOWSKA”

Autor: Zuzanna Ledniowska

ZS w Ozimku **Opiekin: Beata Gawlik-Libor**

Pomyślałam, żeby w swojej pracy opisać Zofię Ledniowską – moją babcię. Myślę, że bardzo przyczyniła się do promowania naszego regionu, Gminy Ozimek, jak również Krainy Dinozaurów. Zofia Ledniowska urodziła się 22 czerwca 1941 roku w Biłce Szlacheckiej – w okolicach polskiego wówczas Lwowa. Na skutek powojennego podziału Polski, cała jej rodzina zmuszona była opuścić swój dom. Transportem kolejowym wszyscy mieszkańcy wioski, zostali przeniesieni na Śląsk Opolski w ramach wielkiej akcji repatriacyjnej. Od 1945 roku cała rodzina Pastuch – czyli moi pradziadkowie zamieszkała w Grodźcu. Babcia uczyła się tam w szkole wtedy nazywanej „powszechną”. Razem ze swoimi rodzicami, po skończeniu nauki pracowała na gospodarstwie. W lutym 1960 roku, wyszła za mąż.

Zawsze była osobą muzykalną i uwielbiała śpiewać. Dziadek – jej mąż – również lubił śpiewać i muzykować. Zrobił nawet własnoręcznie skrzypce, które do tej pory są w domu. Pasja do muzyki i folkloru sprawiła, że Zofia Ledniowska postanowiła w 1980 roku założyć zespół folklorystyczny „Jutrzenka”. Zespół działał przy Kole Gospodyń Wiejskich w Grodźcu. W Jutrzence śpiewało dziesięć kobiet i akompaniował akordeonista. Staraniem mojej babci – kierowniczką i solistką zespołu – Wojewódzki Związek Kótek i Organizacji Rolniczych w Opolu ufundował Jutrzence ludowe stroje. Zespół po raz pierwszy wystąpił w Grodźcu prezentując swój program artystyczny podczas „Dnia Seniora” dla najstarszych mieszkańców wsi, gdzie spotkał się z bardzo ciepłym przyjęciem. Występował wielokrotnie podczas wielu imprez i uroczystości na terenie gminy i województwa. Wystąpił ze swoim programem na Ogólnopolskich Dożynkach w Głogówku, wojewódzkich w Olszance i Głubczycach. W 1983 roku, zespół uczestniczył w uroczystościach poświęcenia sztandaru „Solidarności” Związku Zawodowego Huty Małapanew w Ozimku. W tym samym roku po raz pierwszy zaprezentował swój program podczas konkursowych prezentacji Opolskiego Święta Pieśni Ludowej w Gogolinie, zdobywając dyplom i puchar za najlepszy debiut.



W 1984 roku Minister Kultury i Sztuki wyróżnił Zofię Ledniowską przyznając Jej odznakę „Zasłużony Działacz Kultury”. Rok później w 1985 roku w kolejnej edycji Opolskiego Święta Pieśni Ludowej w Gogolinie Jutrzenka „wyśpiewała” nagrodę w postaci pucharu Naczelnika Miasta i Gminy Gogolin. Brała też udział w Przeglądzie Wojewódzkim „Wiatraki” w Tarnowie Opolskim i Strzelcach Opolskich. W Przeglądzie Zespołów KGW prezentował swój program w Muzeum Wsi Opolskiej podczas tradycyjnych „Żniwników”, a także w Święcie Ludowym w Większycach. Koncertował podczas spotkań organizowanych z okazji: Dnia Matki, Dnia Seniora, Dnia Kobiet i Dnia Kombatanta. Te występy były dla mojej babci wielkim przeżyciem i utwierdzały cały zespół w przekonaniu, że oprócz własnej satysfakcji, sprawiają słuchaczom radość. W latach 90. realizowany był przez Telewizję Polską program pt: „Kraj za miastem”, w którym „Jutrzenka” uczestniczyła. Zespół ma w swoim dorobku nagrania w Radio Opole, które często są emitowane na antenie.

W 2000 roku, zespół nagrał swoją pierwszą kasetę. Zaśpiewał też kilka razy na uroczystościach w Bierkowickim skansenie. W 2002 roku „Jutrzenka” śpiewała na Jubileuszu – 140 lat Kółek Rolniczych w Lewinie Brzeskim oraz w Wilamowicach na obchodach jubileuszowych Kółek Rolniczych. Zofia Ledniowska wraz z zespołem śpiewała na Targach Poznańskich POLAGRA – 2002 r. Poza tym 2 razy dała koncert na dożynkach i festynie w Zębowicach, Krasiejowie i w Rogach Niemodlińskich.

Później na zaproszenie WZKiOR, w 2003 roku, reprezentowała województwo opolskie na prezentacji potraw wigilijnych w Warszawie, śpiewając tam pieśni ludowe, kolędy i pastorałki. Po pewnym czasie „Jutrzenka” powiększyła się o trzech mężczyzn między innymi o mojego dziadka Józefa.

Ważnym wydarzeniem dla Zofii i zespołu, było 20-lecie Jutrzenki i 50-lecie zasiedlenia Grodźca przez mieszkańców Kresów Wschodnich oraz 250 lat powstania tej osady. Na tych właśnie uroczystościach „Jutrzenka” wystąpiła ze swoimi piosenkami i przyśpiewkami. Należy nadmienić iż autorem niektórych tekstów i większości przyśpiewek prezentowanych przez Zespół w latach 1980- 2000 była właśnie moja babcia – Zofia Ledniowska.

W 2004 roku na przeglądzie Amatorskiej Twórczości Artystycznej „Wiatraki” w Koszowicach, zajął II miejsce zdobywając puchar i nagrodę pieniężną.

Zofia Ledniowska wraz z Zespołem wyśpiewała wyróżnienie, dyplom i nagrody na Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Kresowej w Żarach. W kolejnych latach „Jutrzenka” uczestniczyła w Festiwalu Folklorystycznym „Góry Opawskie” w Jasennikach w Czechach. Rok 2005 zaowocował nagraniem kolejnej płyty pt: „25 piosenek na 25 lat – Zespołu Jutrzenka”. „Jutrzenka” występowała na wielu różnych imprezach i uroczystościach lokalnych we wsi, gminie, województwie i poza jego granicami, a charakterystyczny głos mojej babci rozślawiał wszędzie nasze okolice.

Zespół „Jutrzenka” koncertuje nadal i śpiewa swe piosenki jednak już bez swojej solistki. Zosia, bo tak wszyscy do Niej mówili odeszła od nas do wieczności 02 czerwca 2012 roku.

Chociaż nigdy nie doczekała się nagrody w postaci tytułu : „Honorowy Obywatel Gminy i Miasta Ozimek” to dla mnie była, jest i będzie „Zasłużoną osobą” naszej gminy.

Mam nadzieję, że teraz też śpiewa – jest zapewne solistką tam w górze, pomiędzy innymi osobami, które tak jak ona kochały muzykę i śpiew.

Kochana babciu – Zosiu będzie nam Ciebie brakowało, na zawsze pozostaniesz w naszych sercach i naszej pamięci. Zapamiętamy również słowa, które często cytowałaś:

„Kto śpiewa, troski rozwiewa” – szkoda, że nam już nigdy nie zaśpiewasz...

„MOJA WIEŚ – MOJE MIEJSCE VI”

Kategoria:
CIEKAWY MIEJSCE LGD „KRAINA DINOZAUROW”

MIEJSCE I

„WIATR OPOWIADA ICH DZIEJE...OBOZY JENIECKIE W OZIMKU I OKOLICY”

Autor: Hanna Werner

GZS w Ozimku

Opiekun: Marzena Wolicka- Mazurkiewicz

*gdzie jesteś Ojcie bo jesteś czuje to boleśnie jak wtedy gdy odjeżdżałeś na front
i po raz ostatni przyłgnąłem do ciebie skronią*

fragment poezji jenieckiej

Ozimek to niewielka miejscowość na terenie województwa opolskiego. Mieszkam tu od urodzenia. Bardzo lubię to miasto, jak i jego mieszkańców, a jest ich tu około dziesięciu tysięcy. Mimo tylu lat tu spędzonych, nie słyszałam zbyt wielu historii związanych z tym miejscem. Lecz nie jestem jedyna. Liczni mieszkańcy do tej pory nie wiedzą, że i w naszej okolicy, podczas II wojny światowej, powstały hańbiące miejsca, o których dzisiaj młodzież nie wie albo i nie chce wiedzieć, a starsi wspominając je, mówią ciszej i nierzadko ukradkiem wycierają wilgotne oczy. Mowa o obozach pracy przymusowej, które znajdowały się na terenie mojej ukochanej miejscowości i przyległych jej terenach, w moim sielskim miejscu, które kojarzyło mi się od zawsze ze słońcem, zabawą i zapachem świeżo skoszonej trawy. Zebrane na ten temat informacje bardzo mnie zaskoczyły. Dowiedziałam się, że obozy pracy przymusowej stworzono dla Żydów, osobno dla Rosjan, Polaków i Ukraińców, były też baraki obozu francuskiego i angielskiego. Miały one charakter filii stalagu w Łambinowicach. Właśnie tutaj wykorzystywano niewinnych ludzi do pracy, Wielu tu zginęło. Pozostały po nich prochy rozwiane przez wiatr, lzy wchłonięte przez ziemię i tylko pamięć...niektórych.

*„Nie szukaj naszych grobów...nam trumien nie dano...
Proch naszą ziemię spopielił, wiatr je gnał kurzawą
I zatarał nasze ślady...”*

fragment poezji jenieckiej

OBÓZ PRACY PRZYMUSOWEJ DLA ŻYDÓW

16 października 1942 roku z obozu Westerbork w Holandii wysłano transport żydowskich mężczyzn, których ulokowano w barakach za dzisiejszą Hutą Szkła w Jedlicach. Obóz istniał do sierpnia lub września 1943 roku. Udało się to ustalić, dzięki datom zgonu. Ilość więźniów wynosiła od stu do trzystu. Dokumentacja niemiecka podaje liczbę stu, jednak świadkowie

twierdzili, że było ich tam znacznie więcej. Obóz otrzymał numer ewidencyjny 3230. Wiadomo, że od 1942 roku przyprowadzano przymusowych robotników z Jedlic przez Antoniów do huty w Ozimku. Zatrudniano ich przy robotach budowlanych. Tam właśnie, montowali hale fabryczne oraz usypywali wały wzdłuż rzeki Mała Panew. Świadkowie wspominają, że więźniowie zawsze brali ze sobą taczkę, na której w drodze powrotnej wieźli zmęczonych i zmarłych współtowarzyszy. Przywoływano przypadki, że dostarczano ziemniaki i chleb wygłodniałym więźniom. Prawdopodobnie zostali oni pochowani w masowym grobie na cmentarzu w Szczedrzyku. Dziś znajduje się tam pomnik – kamienny tryptyk upamiętniający żydowskich więźniów. Jak w każdym podobnym obozie panowały tragiczne warunki, w których ciężko było przeżyć. Ciężka



Pomnik upamiętniający żydowskich jeńców wojennych na cmentarzu w Szczedrzyku /fot. ze zbiorów własnych/.

praca, mało pożywienia, chłód, złe warunki mieszkaniowe, choroby i strach zbierały żniwo. W obozie mordowano chorych i tych, którzy nie potrafili już pracować. Więźniowie padali ofiarą kapo. Polegał to na tym, że strażnicy podczas przemarszu z huty do obozu szli obok kolumny, a więźniów bito i popędzano przez kapo. Na terenie Ozimka (wówczas Malapane) znajdował się również obóz numer 3231 dla kobiet, który powstał w maju 1943. Istniał do maja 1944 roku. Mieścił się na tym samym terenie, co obóz dla mężczyzn. Kobiety zatrudniano w obozowej kuchni, wykonywały również prace porządkowe na terenie obozu. Żadne

dokumenty i artykuły nie mówią o śmierci kobiet żydowskich na terenie Ozimka. Mimo to świadkowie potwierdzają ich obecność.

*„Żałuje pan okruszyn chleba, które spod noża spadły na ziemię,
a jednocześnie budzi się we mnie jakieś dalekie wspomnienie”*

fragment poezji jenieckiej

OBÓZ JEŃCÓW ROSYJSKICH

Obóz jeniecki dla Rosjan znajdował się dokładnie naprzeciw wejścia do starego kościoła. Dziś na jego miejscu stoją hale hutnicze i magazynowe. Został utworzony na samym początku wojny z Rosją, jako filia Stalagu VIII B w Łambinowicach. Obóz jeniecki dla Rosjan był obozem zamkniętym, ponieważ cały był otoczony płotem z drutu kolczastego. Podczas wojny przez cały czas w Hucie pracowało od 700 do 800 jeńców rosyjskich. Rosjanie byli tutaj najgorzej traktowani. Głodzono ich, zmuszano do pracy, szykanowano. Były też przypadki śmiertelnego pobicia. W tym obozie w 1942 roku wybuchła epidemia tyfusu, co spowodowało śmierć wielu osób, ale także zmusiło władze do przewiezienia jeńców do Łambinowic. W tym okresie rolę proboszcza w parafii Ozimek pełnił Paweł Kocur. Był proboszczem od 1939 do 1946. W tym trudnym okresie bardzo dobrze wykonywał swoje obowiązki. Obecność obozów, jak i strażników nie powstrzymała księdza Kocura do odprawiania mszy, podczas której przemycał język polski. Również pomagał robotnikom przymusowym i ich rodzinom. Kiedy Rosjanie zaatakowali kościół, proboszcz ukrył się, udając chorego. Dzięki temu udało mu się przeżyć. Po wojnie poświęcił czas na odbudowanie parafii. Inną istotną dla losów jeńców postacią był

Franz Gach – skromny człowiek, który prowadził aptekę na skrzyżowaniu dróg z Krasiejowa do Schodni. W czasie wojny, w piwnicy swojego domu, urządził ambulatorium, w którym opatrywał Żydów z obozu jenieckiego, a także Rosjan i Ukraińców. Mieszkańcy dostarczali mu jedzenie, które rozdzielał głodnym więźniom.

*„Kto wróci synom ojców, lzy matek zapłaci,
Odbuduje zniszczenia wojennej maszyny?
Więc nie wolno zapomnieć, nie wolno wybaczyć
Tych krzywd i upokorzeń, które dziś cierpimy”*

fragment poezji jenieckiej

OBÓZ JEŃCÓW FRANCUSKICH I ANGIELSKICH

Obóz jeńców francuskich znajdował się w okolicach dzisiejszego Domu Kultury. Zaczynał się za budynkiem nieczynnej już dzisiaj szkoły podstawowej. Dzisiaj, obok Domu Kultury, znajduje się pomnik upamiętniający ten trudny czas w dziejach narodów europejskich – II wojnę światową i jej ofiary. Pomnik przypominający postaci ludzkie stojące w szeregu i przepasane kolczastym drutem został ustawiony dla potomnych pro memoria. Obóz angielski znajdował się tam, gdzie dzisiejszy szpital. Przez całą wojnę liczba wszystkich jeńców wynosiła od 700 do 1000. Większość z nich umarło lub zamordowano.

*„W każdym kamyku ziarenku piasku pyłku i kurzu
tam wśród popiołów i kości rozmielonych, wymieszanych
tłumów duchów w przestworzach zbłąkanych na wieki zostanie też mój”*

fragment poezji jenieckiej

Miejsca, gdzie znajdowały się obozy, kiedyś były dla mnie obojętne. Przechodziłam koło nich tak często, a nigdy nie sądziłam, że mogły dziać się tu takie okrucieństwa. Teraz, będąc w okolicy, wyobrażam sobie, jak mógł wyglądać każdy dzień jeńca spędzony w obozie, ile cierpień wyrzył czas w ich duszach, ile tęsknot nie zostało wypowiedzianych, ile listów do najbliższych nigdy nie zostało wysłanych. Ilu więźniów wróciło do swoich domów? Prawdopodobnie większość została wysłana transportem do obozu w Auschwitz. Na wspomnienia odczuwam smutek i pogardę dla tych, którzy wykorzystywali, krzywdzili, a nawet zabijali niewinnych ludzi, nie mając potem wyrzutów sumienia. Dzisiaj śladów po obozach już nie ma. Prochy rozwiął wiatr, lzy wchłonęła ziemia, a pamięć o jeńcach – ojcach, braciach, synach pozostała w niektórych.... na pewno we mnie.

W miejscu gdzie dzisiaj stoją budynki szpitalne, kiedyś znajdował się obóz dla angielskich jeńców wojennych.

Bibliografia

- Drut opasał w krąg, Antologia poezji jenieckiej z lat 1939-1945, Muzeum Martyrologii i Walki Jeńców Wojennych w Łambinowicach, Opole-Częstochowa 1984.
- Juros Józef Tomasz, W Dolinie Małej Panwi, Historia fryderycjańskiej osady hutniczej Ozimek/ Malapane od 1754 do 1945 roku, Stowarzyszenie Dolina Małej Panwi, Ozimek 2010.
- Józef Tomasz Juros, Franz Gach – aptekarz i dobroczyńca, „Wiadomości Ozimskie” 2011, nr 5.
- Przeciwno przemocy, Wybór wierszy w opracowaniu Harrego Dudy, Wydawnictwo Świętego Krzyża w Opolu, Opole 2001.

MIEJSCE II

„KULTURA OZIMKA W CZTERECH ŚCIANACH ZAMKNIĘTA...”

Autor: Izabela Dota, Marta Walczak

GZS w Ozimku

Opiekun: Marzena Wolicka-Mazurkiewicz

„Dom jest tam, gdzie zaczyna się Twoja historia...”

Dom Kultury jak sama nazwa nosi, był miejscem spotkań wszystkich ludzi. To tutaj gromadzili się, by porozmawiać, pośmiać i miło spędzić czas. W dzisiejszych czasach, nikt jednak nie zwraca na niego uwagi, przechodzi obojętnie, nie myśląc o jego ogromnej wartości. My z dumą opiszemy historię powstania zabytkowego sześćdziesięciodwuletniego budynku – Domu Kultury w Ozimku, który tak jak i kiedyś wspaniale funkcjonuje i przyciąga tłumy turystów i mieszkańców z okolicznych wsi i miast.

Początki

Ludzie od zawsze potrzebowali zaspokajać swoje potrzeby kulturalne, dlatego też powstała koncepcja budowy Zakładowego Domu Kultury w Ozimku. Dzięki poparciu władz i dyrekcji Huty „Małapanew” powoli potrzeba ta zaczęła się urzeczywistniać. 1 maja 1953 roku placówka została przekazana do użytków mieszkańcom. Z czasem Zakładowy Dom Kultury w Ozimku stał się sercem oraz wizytówką miasta i należał do największych, najpiękniejszych ośrodków kultury na Opolszczyźnie. Mieszkańcy szcycili się godną podziwu budowlą, ponieważ niewiele ówczesnych miast posiadało taką bazę kulturalną. W pierwszych latach istnienia budynku kolejno kierowali nim: Eleonora Wójcik, Ernest Janoszka, Henryk Kuich, Władysław Zawada, Józef Wrzesiński, Gizela Rościszewska, Bożena Cholewa, Stanisław Rewieński. Dziś dyrektorem placówki jest Pani Helena Gruszka.



Zakładowy Dom Kultury



Obecny Dom Kultury

Działalność artystyczna

W latach sześćdziesiątych i początkach lat siedemdziesiątych powstały kluby i sekcje zainteresowań: fotograficzna, amatorski klub firmowy „HUTNIK”, majsterkowania, przyrodniczo-biologiczna, astronomii, astronautyki, brydża sportowego, Koło Polskiego Związku Filatelistycznego i inne, przy zakładowym Domu Kultury działał również „Klub Seniora”, Zakładowa Orkiestra Dęta, zespoły chóralne, estradowe i taneczne.

Na rzecz mieszkańców stworzono również Kino „Zwycięstwo”, w którym wyświetlano filmy polskie i światowe. Odbywały się tu również słynne ozimskie poranki dla dzieci oraz funkcja edukacyjna dla młodzieży.

Od 1962 roku działało Społeczne Ognisko Muzyczne, które prowadziło naukę gry na fortepianie, skrzypcach, akordeonie, instrumentach dętych i szarpanych dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Przez pięć lat grupa posiadała własną orkiestrę smyczkową i orkiestrę akordeonistów. W Domu Kultury powstała również sekcja plastyczna, którą kierowała Barbara Wojtyszyn. Dla uczestników organizowano plenery malarskie, konkursy kroszonkarskie oraz barwne korowody marzankowe. Od 1974 r. do 1985 r. działał teatr „Pinokio”, który przedstawiał spektakle w Ozimku i okolicznych miejscowościach.

Dom Kultury rozbudowywał swoją działalność. W lipcu 1998 r. powstał Zespół Tańca Scenicznego związany z czeskim choreografem. Grupa odnosiła wiele sukcesów, wzbudzała wielkie zainteresowanie, zyskała uznanie i aplaus wśród odbiorców. Po roku Zespół Tańca Scenicznego podzielił się na dwie grupy: młodsza – ALFA i starsza – BETA. Mażoretki uczestniczyły w wielu polskich i zagranicznych Przeglądach Zespołów Tanecznych, gdzie odnosiły wiele sukcesów. Ozimek stał się kolebką ruchu mażoretkowego w Polsce.

Dziś przy Domu Kultury działają: Sekcja Taneczna (zespoły mażoretkowe: Beta, Gama, Mini Gama, Diament, Fiołki, zespoły tańca orientального: Kaszmir, Zafira oraz Break Dance, Solo Latino, Gwiazdeczki), Teatralna (Teatr Fieter, Teatr KTO?), Plastyczna (grupy: Kolorowe Jarmarki, Paleciaki, Graficyarze, Śmietanka Artystyczna), Fotograficzna – Fotokomórka, Studio Piosenki „NONET”, Ozimska Orkiestra Dęta.

Organizowane są tu: koncerty zespołów własnych i obcych, spektakle teatralne, wystawy, konkursy, plenery malarskie, seanse filmowe, biesiady, zabawy oraz inne przedsięwzięcia.

Biblioteka

W Domu Kultury w Ozimku funkcjonują dwie biblioteki: Biblioteka dla Dzieci i Młodzieży oraz Biblioteka dla Dorosłych.

Biblioteka dla Dzieci i Młodzieży powstała w 1979 roku. Początkowo znajdowała się w starej szkole w Antoniowie. Jednak po pewnym czasie tak jak Biblioteka dla Dorosłych została przeniesiona do Zakładowego Domu Kultury.

Biblioteka dla Dorosłych powstała na przełomie 1948 i 1949 roku, już wtedy liczyła 485 egzemplarzy książek. Z roku na rok przybywało ich coraz więcej. Mieściła się ona w budynku Rady Narodowej przy ulicy Wyzwolenia. Pierwszym bibliotekarzem był Franciszek Kuriel. Nazwa biblioteki ciągle ulegała zmianie. W 1962 roku zaczęła nosić nazwę: „Miejska Biblioteka Publiczna w Ozimku” i liczyła 5000 egzemplarzy. Przez cały czas działalności borykała się z problemami lokalowymi, dlatego została przeniesiona do Zakładowego Domu Kultury w Ozimku. W 1975 r. biblioteka posiadała 2776 książek, 77 czasopism i 2325 czytelników. W 1971 roku biblioteka zdobyła pierwsze miejsce w województwie w konkursie pt. „Blżej książki współczesnej”, a w skali krajowej dziesiąte miejsce. W 1977 roku uznano ją za najlepiej pracującą bibliotekę związkową w województwie.

Obecnie czytelnia dysponuje 96 000 książek, które można wypożyczyć w: Bibliotece dla Dorosłych i Oddziale dla Dzieci oraz 5 filiach wiejskich: w Grodźcu, Szczedrzyku, Krasiejowie, Dylakach i Krzyżowej Dolinie. Wypożyczalnia organizuje również, różnego rodzaju konkursy, projekty i akcje.

Dzisiaj po 52 latach, obydwie biblioteki wspaniale funkcjonują oraz zapewniają wszystkim mieszkańcom darmowy dostęp do kultury, wiedzy i edukacji pozaszkolnej.

„My wspominamy go tak...” – rozmowa z mieszkańcami Ozimka

1. Jak wspomina Pani Dom Kultury z czasów swojego dzieciństwa?

– Dom Kultury wspominam bardzo mile, gdyż moim zainteresowaniem cieszyły się akwaria, terraria i klatki z egzotycznymi ptakami, które się tam znajdowały. Przed budynkiem znajdował się plac zabaw dla dzieci, piaskownica i huśtawka – „jarnik”. Bardzo często korzystałam również z biblioteki. Z boku Domu Kultury znajdowała się kawiarnia, do której co niedzielę chodziłam z rodzicami na lody i kawę. Kawiarnia ta cieszyła się ogromną popularnością, ponieważ była to w tamtych czasach jedyna kawiarnia w Ozimku. – Mariola Sznicer

2. Który Dom Kultury przed czy po remoncie wydaje się Panu lepszy?

– Oczywiście bez porównania, bardziej funkcjonalny jest Dom Kultury po remoncie. Z tego powodu, że są nowe szatnie, odnowiona sala widowiskowa oraz windy. – Łukasz Ceglarek

3. Czy uczestniczyła Pani w grupach lub zespołach, które działały początkowo przy Domu Kultury?

– Tak. Uczestniczyłam w chórze młodzieżowym szkolnym, który często brał udział w różnych uroczystościach oraz eliminacjach Przeglądów Chórów Młodzieżowych. Uczestniczyłam również w zabawach sylwestrowych i karnawałowych organizowanych przez Dom Kultury. – Anna Tracz

4. Czy chodziła Pani do dawnego kina?

– Tak. W czasach dzieciństwa chodziłam na niedzielne poranki z bajkami, wejściówki były wówczas darmowe. Moimi ulubionymi bajkami były: „Reksio”, „Bolek i Lolek” i „Miś Coralgol”. Ogromnym powodzeniem cieszyły się również projekcje filmowe, które odbywały się w tygodniu. Wyświetlano wówczas najlepsze hity z tamtych lat: „E.T.”, „Bruce Lee”, „W pustyni i w puszczy”, „Człowiek z marmuru”, „Quo Vadis”. – Mariola Sznicer

Z mieszkańcami Ozimka rozmawiały Izabela Dota i Marta Walczak.

Remont

Rezultatem pierwszego remontu była zmiana zewnętrznego wyglądu Domu Kultury. Zmieniono: kostkę brukową przed budynkiem, schody, główne wejście, pomalowano ściany oraz zamontowano ławki i zasadzono rośliny. Drugi remont dotyczył wnętrza budynku i trwał dwanaście miesięcy. Zmieniono wówczas: wygląd sali widowiskowej i sceny, holu oraz szatni, z sufitu zniknęły kasetony z lampami, zamontowano trzy windy, wyremontowano sale w dolnej części budynku oraz odnowiono konstrukcję dachu. Dzięki niemu Dom Kultury zyskał nowe powierzchnie magazynowe. Stworzono park i plac zabaw koło Domu Kultury oraz spory parking.

Specjalnie dla mieszkańców z okazji 50-tej rocznicy nadania praw miejskich zamontowano duży zegar, który wyświetla: datę, godzinę oraz temperaturę.

„Najważniejszy był jednak remont...” – czyli wypowiedź Pani dyrektor Heleny Gruszki

Które z wydarzeń prawie 62-letniej działalności Domu Kultury uważa Pani za najważniejsze?

– W Domu Kultury pracuję od 2008 roku, czyli ok. 7 lat, dlatego trudno mi mówić o tych najważniejszych wydarzeniach sprzed kilkudziesięciu lat wstecz. Każdy z etapów miał swoje wydarzenia i kolej losu. Moim zdaniem najważniejszym wydarzeniem był jednak remont, który przypadł za mojego dyrektorowania. Jest on dużym sukcesem, ponieważ wyremontowany budynek, będzie służył mieszkańcom przez wiele lat.

– Kolejnymi ważnymi wydarzeniami były: „Wojewódzki Przegląd Zespołów Tanecznych”, „Ozimska Furażerka”, „Ozimski Nocnik Teatralny” i szereg innych inicjatyw.

– Następnym przedsięwzięciem było zorganizowanie projektu pt. „Jest w Orkiestrach Dętych Siła”, dzięki któremu zostały zakupione instrumenty.

– Dwa lata temu wydano również egzemplarze czasopisma „Ocalone dla Pokoleń”, jako fragment dorobku artystycznego amatorskich Zespołów Folklorystycznych działających na terenie gminy Ozimek.

– Było jeszcze wiele innych ważnych wydarzeń, ale to te uważam za najistotniejsze. Z Panią Heleną Gruszką rozmawiała Izabela Dota i Marta Walczak.

Podsumowując, Dom Kultury w Ozimku jest miejscem godnym opisanie i polecenia, dlatego jesteśmy zadowolone z tego, że wybrałyśmy akurat ten temat pracy. Cieszymy się również, że mieszkamy w tak pięknym mieście, gdzie mamy możliwość rozwijania swoich zainteresowań i pasji.

Bibliografia:

1. Wywiad z Panią dyrektorką Heleną Gruszką,
2. Wywiad z mieszkańcami Ozimka: Mariolą Sznicer, Anną Tracz i Łukaszem Ceglarek,
3. Judyta Adamczyk, Jubileusz 60- lecia Domu Kultury i 50-lecia Miejskiej i Gminnej Biblioteki Publicznej w Ozimku, Wydawca Dom Kultury w Ozimku, Ozimek 2013,
4. Ulotka 50- cio lecia Nadania Praw Miejskich miasta Ozimek,
5. Zbigniew Kowalski, Jan Kwak, Jan Meissner, Dzieje Huty Małapanew w Ozimku (1754-1979), Wydawnictwo Instytutu Śląskiego w Opolu, Opole 1980,
6. Zdjęcia wykonane przez Izabelę Dota
7. <http://www.nto.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20150324/POWIAT01/150329805>
8. <http://www.dk.ozimek.pl/13-dom-kultury/403-historia.html>
9. https://www.facebook.com/pages/Zafira-i-Kaszmir-Orient/1426354800966608?sk=photos_stream
10. <http://www.dk.ozimek.pl/60-taniec/308-zespoły-mazoretkowe.html>

MIEJSCE III

„KAŻDY DOM MA SWOJĄ CIEKAWĄ HISTORIĘ... HISTORIA DOMU PRZY OPOLSKIEJ 31 W ŻĘDOWICACH”

Autor: Weronika Zyzik

ZSG w Żędowicach

Opiekun: Ania Stachowska

Czy zwykły dom może być ciekawym miejscem? Moim zdaniem tak. Oto historia domu przy ulicy Opolskiej 31 w Żędowicach...

Co roku przed Świętami Wielkanocnymi jadę z rodzicami i babcią do Katowic, aby uprzątnąć po zimie grób rodziców mojej babci, czyli grób moich pradziadków. Ta podróż jest doskonałym sposobem, aby porozmawiać na tematy związane z historią naszej rodziny.

W tym roku też tak było. „Jak miałam tyle lat, co ty obecnie – wspominała babcia – to był rok 1953. W tym okresie Katowice rozwijały się dzięki kopalniom i hutom – powstawały szkoły, domy kultury, rozwijała się infrastruktura. Z drugiej jednak strony przeciętnym ludziom żyło się dosyć trudno, a duże mieszkanie było luksusem”. Ja nie wyobrażam sobie dzisiaj, aby nie mieć własnego pokoju w domu – ciągle marudzę tacie, że mam zbyt mały pokój dla siebie. A moja babcia wraz z trzema braćmi i rodzicami żyli w małym mieszkaniu, w bloku z czerwonej cegły, tak zwanym familoku. Zapytałam babcię, jak to się stało, że zamieszkała w Żędowicach.

„Każde moje wakacje spędzałam razem z moimi braćmi na wsi, właśnie w Żędowicach – zaczęła opowiadać. – Z Katowic łatwo było tam dojechać pociągiem z przesiadką w Tarnowskich Górach. Pokochałam to miejsce. Wychodząc z pociągu, czułam czyste powietrze,

zapach wsi, podziwiałam pola i zielone lasy. Po wyjściu z pociągu z daleka widziałam już domek z ogródkiem mojej cioci – Otylii Giebel”.

Trudno określić, kiedy ten dom został wybudowany. Przekazy wskazują na początek XIX wieku. W latach pięćdziesiątych XX wieku wyglądał on zupełnie inaczej niż obecnie. Otaczał go drewniany płot i miał uroczą altankę pełną kwiatów, w której spożywano latem posiłki, rozmawiano i przyjmowano gości. Dla dzieci altanka była doskonałym miejscem zabaw.

„Ludzie na wsi nie byli zamożni – wspomina babcia – ale bardzo gościnni. Było tu dużo małych gospodarstw – każdy miał kawałek ziemi, którą uprawiał, a w polu pracowały konie i – co rzadko spotykane w innych rejonach – również krowy w zaprzęgu. Traktorów nie pamiętam z tamtych czasów. Lubiłam z koleżankami pomagać przy żniwach i suszyć siano, gdyż była to dla miastowych dzieci wielka frajda” – mówi.

Moja babcia miała u cioci swój pokoik. A ponieważ ciocia była bardzo gościnna, zjeżdżali się tu w odwiedziny liczni krewni. Zawsze byli oni mile widziani oraz skromnie, ale serdecznie goszczeni. Dom był bardzo wiekowy, więc było tu dużo cennych pamiątek po przodkach. Stary zegar stojący i drugi – z kukułką, biurko z fotelem, album ze starymi zdjęciami to pamiątki, które zachowały się do dziś. W domu tym mieszkali ciekawi ludzie. Mój wujek, Emanuel Giebel, w 1928 roku, mając 27 lat, uzyskał dyplom mistrza ślusarstwa umożliwiający mu prowadzenie warsztatu i przyuczanie uczniów do zawodu. Domek, w którym mieszkał, jak większość wiejskich domów, był nieduży, więc chcąc otworzyć warsztat, musiał dobudować do niego kolejne pomieszczenie i tak powstał warsztat wraz ze sklepem. W sklepie można było kupić części zamienne do rowerów, motocykli, piece, maszyny do szycia i wiele innych akcesoriów potrzebnych wówczas w gospodarstwach domowych. Warsztat był, jak na ówczesne czasy, bardzo dobrze wyposażony. Była tam mała kuźnia z dużym kowadłem i piecem wyposażonym w mechaniczny nadmuch, tokarka i wiertarka z napędem pasowym, mała lakiernia i wiele różnych narzędzi. Wiele z tych urządzeń i narzędzi funkcjonuje do dziś.

Przy warsztacie wujek Emanuel wybudował stację benzynową na miarę tamtych czasów – z zakopanym w ziemi zbiornikiem na paliwo o objętości ok. 6000 litrów, który znajduje się tam do dziś.



Zdjęcie po lewej nr 5 Warsztaty szkolne. Zdjęcie po prawej nr 6 Warsztat wraz ze sklepem oraz pieczęć mówiąca, że Emanuel jest ślusarzem i mistrzem mechanikiem oraz że prowadzi sklep z narzędziami i warsztat mechaniczny.

Paliwo dostarczała do stacji znana i dziś firma „ESSO”, o czym świadczy logo tej marki widoczne na niektórych zdjęciach. Lokalizacja stacji była bardzo dogodna, gdyż mieściła się ona przy głównej ulicy łączącej Górny Śląsk z Opolszczyzną. Przejeżdżający tą drogą kierowcy mogli zatankować tu paliwo, ale też zreperować drobne usterki w swoich pojazdach.

W tamtych czasach, podobnie zresztą jak i dzisiaj, chłopcy lubili motocykle i przyjeżdżali do wujka, aby je naprawić, ale także by z nim porozmawiać i wymienić się doświadczeniami na temat poszczególnych marek motocykli. Można powiedzieć, patrząc na poniższe zdjęcia, że przy sklepie funkcjonował pokaźny klub motorowy!

Wujek Emanuel miał również duży garaż z blachy falistej. Wtedy służył on jako magazyn, ale w zamyśle miał być garażem nawet na kilka samochodów. Bo wujek był również entuzjastą samochodów. Długo jednak oszczędzał na swój pierwszy samochód, który mógłby tam garażować... Pomogła tu ciocia Otylia, żona Emanuela. Była ona dobrą gospodynią, która – oprócz wzorowo prowadzonego gospodarstwa domowego – pomagała mężowi w prowadzeniu księgowości. Wujek często drobne naprawy chciał wykonywać za darmo, ale ciocia dbała o budżet, upominała więc dłużników o zapłatę, a robiła to tak skutecznie, że wkrótce udało jej się sporo pieniędzy zaoszczędzić. „A pieniądze trzymała w karniszu – wspomina babcia – gdyż banki w tych czasach były niepewne!”. Samochód, który kupili, był jednym z pierwszych samochodów w wiosce. Niestety, były to lata trzydzieste i niedługo potem wybuchła II wojna światowa. Wujek Emanuel został wcielony do wojska, a samochód skonfiskowano na rzecz armii.

Po wojnie nastąpiło upaństwowienie, a w miejsce sklepu z narzędziami otwarto sklep spółdzielczy „Konfekcja” z ubraniami, materiałami i pasmanterią, w którym przez wiele lat sprzedawała mieszkanka Żędowic – pani Bonk. „Tu zaszła zmiana” – chciałoby się powtórzyć za Marią Dąbrowską...

Wujek Emanuel został nauczycielem zawodu w Szkole Zawodowej w Zawadzkiem. Zmarł w roku 1970.

Jak się okazało, nie jest to jedyna historia związana z tym domem. W II połowie XIX wieku emigrowały do Ameryki rzesze Polaków, także Ślązacy. Przyczyną emigracji była trudna sytuacja ekonomiczna spowodowana między innymi brakiem pracy, niskimi dochodami z gospodarstw oraz wielodzietnością rodzin. Zaczęły się represje w stosunku do Ślązaków – Polaków, następowała także kasacja klasztorów i wyjazdy zakonników.

„W takiej sytuacji społeczno-politycznej z domu w Żędowicach przy ulicy Opolskiej wyjechali do Ameryki Południowej także twoi przodkowie – mówi babcia – dwaj bracia: Florian i Konstanty Giebel”. Nie wiemy, jaki przebieg miały pierwsze lata ich pobytu na drugiej półkuli. Wiemy, że studiowali teologię. W archiwum rodzinnym pozostało kilka zdjęć i cenny, długi list napisany przez młodego księdza Floriana z południowoamerykańskiej miejscowości do swojej macochy na jej urodziny w dniu 15 grudnia 1899 roku. Piękna strona tytułowa świadczy o zdolnościach artystycznych i kaligraficznych młodego księdza Floriana Giebel.

Wierszowane powinszowanie urodzinowe mówi o tęsknocie do rodzinnego domu, o uczuciu wdzięczności do Matki Boskiej, że „dostał dar od losu” – tak dobrą drugą matkę.

Dalsze losy starszego Floriana i jego brata Konstantego związane były z ich posługą kapłańską w Ameryce Południowej. Ksiądz Konstanty Giebel pracował w Boliwii – zmarł w La Paz dnia 6 października 1954 roku. Ksiądz Florian pełnił posługę w Peru, był też dyrektorem szkoły rolniczej obok miejscowości Cusko. Zmarł w Limie dnia 22 października 1954 roku, w dwa tygodnie po swoim bracie.

W tym domu 2 września 1870 roku urodził się także Stefan Giebel, dziadek mojej babci, a mój prapradziadek. Był on wujkiem wspomnianych Floriana i Konstantego. W młodości dziadek Stefan mieszkał w Katowicach Załężu, z żoną i sześciorgiem dzieci. Pracował w Hucie Baildon jako robotnik. „Sam pewnie przy tak licznej rodzinie borykał się z niedostatkiem, a losy innych robotniczych rodzin także nie były mu obojętne” – opowiada babcia.

Dziadek Stefan miał dobry kontakt z ludźmi, był szanowany, potrafił słuchać innych i starał się im pomagać. Zaangażował się w politykę – działał w partii chadeckiej ChD. Przez

dwie kadencje (od października 1929 roku do września 1939 roku) był radnym miasta Katowic. Został wybrany posłem na II Sejm Śląski. Współpracował z wieloma księżmi, a także z Wojciechem Korfantym. Dokończył mandat W. Sosińskiego w III kadencji Sejmu (w 1935 roku). Zmarł 9 maja 1956 roku w Żędowicach, gdzie przebywał przez długie lata po śmierci swojej żony Karoliny. Został pochowany w Katowicach – Załężu obok swojej małżonki.

„W latach 70. do tego domu wprowadził się mój brat z rodziną – mówi babcia. Jego żona, Maria Szafran, uczyła w szkole w Żędowicach i w Zawadzkiem. Była bardzo dobrym pedagogiem”.

Dziś w domu przy ulicy Opolskiej mieszka jej córka, a moja ciocia, Mirosława Kądziołka, która poszła w ślady swojej mamy i również jest nauczycielką – uczy biologii w Liceum Ogólnokształcącym w Zawadzkiem. A sam dom dalej się zmienia. Wujek Zbyszek (mąż Mirosławy) rozbudowuje go – w miejsce starego garażu z blachy falistej wybudował na przykład nowy, dużo większy warsztat, który obecnie wraz z synem Krzysiem wyposaża z myślą o tym, aby rozwinąć w nim działalność gospodarczą i kontynuować tradycje swoich przodków.

Czy zwykły dom może być ciekawym miejscem? Moim zdaniem tak. Przykładem na to jest dom przy ulicy Opolskiej 31 w Żędowicach. Dla mnie to ciekawe miejsce związane z moją rodziną. Ten dom jest także fragmentem historii naszej wioski.

Każdy dom ma swoją ciekawą historię...

Bibliografia

1. Rozmowa z babcią Małgorzatą Zyzik
2. Zdjęcia z archiwum rodziny Zyzik

MIEJSCE III **„HISTORIA HUTY MAŁAPANEW”** *Autor: Patrycja Kołodziej*

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik-Libor



Kiedyś...



Dzisiaj...

Według mojej legendy:

Żył sobie kiedyś pan, który nazywał się Stanisław Ozimek. W młodości był górnikiem, ale z wiekiem rzadziej pracował. Mieszkał samotnie w małym domku nad rzeką Mała Panew.

Prowadził spokojny tryb życia, ale z czasem on i inni ludzie zaczęli narzekać na brak narzędzi, które ułatwiłyby im wykonywanie codziennych czynności. Gdy raz wyszedł na spacer, spotkał pewnego pana, który powiedział mu, gdzie można wydobyć żelazo. Stanisław

mimo że nie pracował już za dużo, postanowił tam pojechać, sprawdzić i sprowadzić żelazo do swojej miejscowości. Następnego dnia udał się tam nikomu nic nie mówiąc i wrócił, tak jak planował – z żelazem. W swoim domu miał piec i kilka narzędzi, które pomogłyby mu poeksperymentować z tym surowcem. Po kilku wieczorach spędzonych przy pracy udało mu się wytopić pierwszy żelazny garnek, ale z nikim nie podzielił się tą nowiną. Dopiero, gdy zrobił ich więcej, poszedł je sprzedać. Każdy chciał mieć taki garnek, ale on sam nie dawał rady ich robić i chciał też wykonać inne narzędzia z żelaza. Postanowił, więc znaleźć do pomocy robotników, których miał zamiar nauczyć zawodu. Po pewnym czasie musiał rozbudować swój warsztat, ponieważ było coraz więcej chętnych ludzi do pracy i wzrosło zapotrzebowanie na żelazo. Z każdym rokiem jego pracownia była większa, a robotnicy zdobywali nowe umiejętności m.in. wytapianie stali i żeliwa.

To miejsce nazwano hutą, a jeszcze później „Hutą Mała Panew”, ponieważ rzeka, która przepływała obok niej tak się nazywała. Mieszkańcy postanowili nazwać swoją miejscowość nazwiskiem pana Stanisława, czyli „Ozimek”.

Według faktów:

Zanim powstała Huta Małapanew...

W XIV i XV wieku nad Małą Panwią powstawały prymitywne huty żelaza w postaci kuźnic, znanych na całym Śląsku. W kuźnicach wytapiano żelazo w piecach łupkowych, stanowiących doły zasypane rudą darniową i węglem drzewnym. Dla osiągnięcia wysokiej temperatury, potrzebnej do wytopu dmuchano powietrze miechami do napełnionego węglem drzewnym i rudą pieca. Miechy pędzono siłą wody rzeki Mała Panew.

Z początkiem XVIII wieku wskutek zapotrzebowania na żelazo, zaczęły powstawać „wysokie” piece, w których osiągnano wyższą temperaturę i wydajność. W masywie leśnym nad Małą Panwią i Kłodnicą istniało w okresie przed powstaniem Huty „Małapanew” 12 wysokich pieców do fryszowania. Po zajęciu Śląska przez króla pruskiego Fryderyka II nastąpił kolejny okres rozwoju hutnictwa. Autorem projektu jego rozbudowy był pruski minister Heinitz, a realizatorem projektu został hrabia Reden. To on zwrócił uwagę na tereny nad Małą Panwią, proponując zbudowanie tu huty żelaza. Fryderyk II wydał rozporządzenie o budowie huty na lewym brzegu rzeki, między wsiami Krasiejów i Schodnia. Miejsce to było korzystne pod względem komunikacyjnym, w niedużej odległości od Odry oraz zasobne w drewno, którego miały dostarczać okoliczne lasy państwowe, zaś sama rzeka Mała Panew stanowiła ważne źródło energii. Hutę usytuowano na miejscu młyna wodnego, należącego do chłopca o nazwisku Ozimek. Nazwisko właściciela przeszło później na nazwę osady zamieszkałej początkowo przez fachowców i urzędników z huty. Realizatorem budowy zakładu był miejscowy nadleśniczy Rehdanz.

W końcu...

W sierpniu 1754 roku stanął na miejscu młyna pierwszy wysoki piec, a w roku następnym drugi. W listopadzie 1754 roku na prawym brzegu Małej Panwi uruchomiono 2 piece do fryszowania. Wraz z budową huty zaczęły powstawać kolonie robotnicze. Pierwsze domy wybudowano w 1765 r. w pobliżu huty i zakwaterowano w nich urzędników oraz wykwalifikowanych hutników. Stanowiły one zaczątek późniejszego Ozimka. Z czasem, dzięki hucie, nasze miasto zaczęło się rozwijać. Huta początkowo była nastawiona na produkcję zbrojeniową i dopiero pod koniec XVIII wieku, kiedy nie było już takiego zapotrzebowania na produkty militarne, rozpoczęto produkcję maszyn i urządzeń dla różnego przemysłu, także dla rolnictwa. W roku 1786 zapoczątkowano produkcję stali, a w 1789 po raz pierwszy na kontynencie zastosowano koks do wytopu surówki. Huta stała się produującym zakładem w tej dziedzinie w Europie.

Od roku 1791 rozpoczęto produkcję maszyn parowych, które wcześniej produkowane były jedynie w Anglii. Wraz z rozwojem huty w XIX w. rozpoczęto budowę mostów żelaznych. Pierwszy łukowy most żelazny powstał dla miejscowości Łażany na Dolnym Śląsku, ale nie przetrwał do dnia dzisiejszego. Do dzisiaj natomiast możemy podziwiać bardziej zaawansowany łańcuchowy most wiszący w Ozimku, również dzieło tutejszej huty. Oddano go do użytku 12 września 1827 roku i stał się głównym miejscem przeprawy na szlaku Opole–Dobrodzień. Most ważył 3 tony i opierał się wielkim zagrożeniom. Po znaczących zniszczeniach w 1945 roku został wyłączony z ruchu kołowego.

„Modernizacja i rozbudowa Huty Małapanew” przypadająca na lata 1945-1980 czyni z niej jedną z największych i najnowocześniejszych odlewni staliwa w Polsce o wielokierunkowej produkcji. Huta w 1997 roku mimo tak zwanej „powodzi tysiąclecia” nie poniosła wielkich szkód.

1 lipca 2001 roku stała się spółką z o.o. i jest kontynuatką działalności Huty „MAŁAPANEW” S.A. w Ozimku. Wraz z produkcją odlewów stalowych i żeliwnych, przejęła od Huty „MAŁAPANEW” jej 250-letnie tradycje odlewnicze. Jest jednym z największych w Polsce producentów odlewów stalowych. Główne asortymenty produkcji to: odlewy surowe i obrobione, walce hutnicze, części do maszyn. Odlewy wytwarzane są z ok. 200 gatunków stali i żeliw. Ciężar pojedynczego odlewu surowego może wynosić od 5 do 12 000 kg. Odbiorcami produkowanych odlewów są wszystkie gałęzie przemysłu a w szczególności przemysł wydobywczy, hutnictwo, przemysł cementowo-wapienniczy, maszynowy, energetyka, okrętownictwo itp. Misją HUTY MAŁAPANEW Spółka z o.o. jest produkcja wysokiej jakości odlewów zgodnie z wymaganiami klienta i w poszanowaniu środowiska. Dla realizacji tej misji Huta wprowadziła Zintegrowany System Zarządzania.

Mimo wielu zalet, hutę dotknął kryzys i z roku na rok jest mniej pracowników i zamknięto dużo wydziałów.

Z hutą wiąże się święto: Dzień Hutnika, obchodzony 4 maja. Wtedy można zwiedzać hutę i podziwiać wszystkie maszyny.

<http://www.malanowicz.eu/mm/pasje/architektura/industria/huty/Ozimek/ozimek.htm>

http://www.krainadinozaurów.pl/app-content/data/strony/konkurs/opowiadanie_lub_egenda/Huta-Malapanew-w-Ozimku.pdf

„ANTONIÓW – UROCZE MIEJSCA”

Autor: Agata Wieszołek

ZS w Ozimku

Opiekun: Beata Gawlik-Libor

Chciałabym przedstawić Antoniów – wioskę o ciekawej historii i malowniczych miejscach na obszarze „Krainy Dinozaurów”. Znajduje się tam wiele ciekawych zakątków i miejsc pozwalających podziwiać wspinałką, dziką przyrodę. Przejdę najpierw do historii.

Antoniów (niem. Antonia) to wioska położona w gminie Ozimek między rzeką Małą Panwią i jej prawym dopływem, potokiem Tanecznikiem. W obrębie Antoniowa wyróżniona jest administracyjnie część miejscowości Niwa Schodzieńska. Antoniów został założony w 1780 r. na bazie istniejących już wcześniej trzech kolonii: Lasy, Niwki i Krzyżowa Dolina, których mieszkańcy mieli za zadanie zapewnienie regularnych dostaw węgla drzewnego do

Huty „Małapanew” w Ozimku. W pobliżu znajduje się też Huta Szkła Jedlice, która powstała w 1960 r. na terenie starych (z XIX wieku) zabudowań walcowni cynku. Antoniów powstał więc w związku z rozwojem Huty „Małapanew”. W 1781 r. nakaz budowy dwudziestu domów z czterdziestoma kwaterami dla kolonistów, których planowano zwerbować na terenie Prus, Austrii i Polski, otrzymał nadleśniczy królewski z Krasiejowa, Antoni Kozok. Budowę rozpoczęto wiosną tego roku, a ukończono w lipcu 1782 r. Werbowani koloniści w zamian za domostwa i ziemię oraz przywileje mieli obowiązek dostarczać do Huty w Ozimku 200 sążni drewna rocznie. Już w lipcu 1781 r. przybyli pierwsi osadnicy, którzy jednak nie wytrzymali ciężkiej pracy w lesie i trudnych warunków życia. Wielu z nich opuściło kolonię już w pierwszych latach, a zastąpili ich mieszkańcy okolicznych miejscowości, przede wszystkim Szczedrzyka, Schodni i Krasiejowa. W roku 1784 Antoniów otrzymuje prawa wsi. W roku 1793 wybudowano kolejne 4 domy dla ośmiu rodzin. Całą kolonię zamieszkuje pięćdziesięciu pięciu pracujących ludzi. Mieszkańcy posiadali 44 krowy, 2 woły i 23 sztuki młodego bydła. Na początku XIX wieku liczba mieszkańców przekroczyła 200. Już jednak w 1830 r. wynosiła 358 osób. W większości byli katolikami, ale trzydziestu siedmiu było ewangelikami, a ośmiu wyznania Mojżeszowego.

W 1781 r. wybudowano pierwszy budynek szkolny. W 1821 r. założono szkołę, do której poza dziećmi z Antoniowa uczęszczały także dzieci ze Schodni, Jedlic i Niwy Schodzieńskiej.

Budynek składał się z dwóch sal lekcyjnych i mieszkania dla nauczycieli. Kolejny budynek szkolny wybudowano w 1880 r.

Większość mieszkańców utrzymywała się z pracy w Hucie oraz z wyrębu lasu i wytwarzania węgla drzewnego, ale było też ośmiu rzemieślników. Wiek XIX to okres powolnego rozwoju wsi, wzrostu liczby mieszkańców, ale też czas licznych epidemii tyfusu i cholery, klęsk żywiołowych, stale wracających okresów nędzy i biedy.

W 1858 r. mieszkańcy dotychczas posiadający kolonijne domy na zasadzie dzierżawy, stają się ich właścicielami. Obok kolonijnych powstają liczne domy wybudowane po drugiej stronie drogi na gruntach schodzieńskich. Na początku XX wieku wieś składająca się z 53 domostw zamieszkuje 421 mieszkańców. W roku 1906 wybudowano nową, murowaną szkołę, a w 1930 r. Antoniów włączono do tworzącej się parafii w Ozimku. Okres międzywojenny XX wieku to czas zastępowania dotychczas drewnianej zabudowy murowaną.

W 1928 r. założono Ochotniczą Straż Pożarną. Od zakończenia II wojny światowej do 1948 r. za remizę strażacką służyła drewniana szopa, znajdująca się na prywatnej posesji, a następnie zaadaptowano pomieszczenia w jednym z opuszczonych budynków.

Wcześniej wyposażenie jednostki stanowiła pompa dwustronna o zaprzęgu konnym, którą później zastąpiła motopompa, przewożona początkowo na wozie konnym, a następnie na przyczepie ciągnika, wypożyczanego z Kółka Rolniczego.

Obecnie jednostka posiada wóz bojowy (rocznik 1984) na podwoziu Stara. Budynek remizy strażackiej został odnowiony, a w przyległej do remizy sali tanecznej odbywają się liczne spotkania Mniejszości Niemieckiej oraz wiele okazjonalnych imprez i występów, m.in. zespołu „Opolskie Dziołchy”.



Szkola w Antoniowie wybudowana w 1821 r.

W 1936 r. dołączono do Antoniowa Niwę Schodzieńską, tworząc w ten sposób samodzielną jednostkę administracyjną.

Słowo „Niwa” – to, co styka się z polem, co przylega do pola, natomiast pochodzenie nazwy miejscowości Antoniów nigdy nie zostało dokładnie wyjaśnione. Wieś ta zaliczana jest do typu wsi fryderycjańskich, zakładanych w XVIII i początkach XIX wieku we wschodnich Prusach w ramach kolonizacji fryderycjańskiej.

Akcja osadnicza zainicjowana przez króla Prus Fryderyka II miała na celu wykorzystanie gospodarcze nieużytkowanych dotąd terenów (bagna, lasy) oraz trwałe przywiązanie kolonizowanych obszarów z państwem pruskim poprzez ściągnięcie niemiecko-języcznych bądź protestanckich osadników.

W przeciwieństwie do typu wsi łąkowej i niwowej wieś fryderycjańska ma regularne i geometryczne kształty, przeważnie są to równomierne parcele wzdłuż jednej drogi.

Przez miejscowość Antoniów przepływa rzeka Mała Panew, która w pobliżu wpada do zbiornika wodnego – Jeziora Turawskiego. Jest rzeką dość ciekawą dla wędkarzy ze względu na duże погоłowie płoci, leszczy i szczupaków.

Na łachach piasku u ujścia rzeki gniazdują ptaki: rybitwy białowąse, pliszki cytrynowe, zimorodki, brodzce krwawodziobe, kszyszki, bączki, płaskonosy, cyranki. Jest to też miejsce postoju dla ptaków wędrownych: brodzca pławnego, wydrzyka tęposternego i długosternego, ostrygojada, terekie, płatkonoga szydłodziobego, rybitwę białoskrzydłą i mewę trójpalczastą oraz gęsi zbożowe. Obszar ten został zaliczony do ostoi ptactwa wędrownego, jest miejscem odwiedzanym przez ornitologów. W lutym tego roku w rzece Mała Panew rozpoczęto poszukiwanie złota i w masie pobranego szlichu składającego się z cięższych pierwiastków odnaleziono drobne złocinki, co dowodzi, że na tych terenach znajdowało się kiedyś złoto.

W pobliskich Jedlicach krzyżują się rowerowe szlaki turystyczne, których trasy przebiegają przede wszystkim wokół Jeziora Turawskiego. Jedlice to mała wieś, założona jako osada w 1775 r. Z najstarszych zabudowań hutniczych pozostał budynek z 1805 r. oraz dworek z ok. 1780 r. i domy robotnicze z przełomu XVIII i XIX wieku. Antoniów i Jedlice łączy most nad rzeką Małą Panwią. Obecnie w Antoniowie znajduje się 6-klasowa Szkoła Podstawowa z oddziałem przedszkolnym, prowadzona przez samorząd gminy.

Budowę nowego budynku szkolnego ukończono w 2001 r., a w jego proces zaangażowana była również Mniejszość Niemiecka i Fundacja Rozwoju Śląska Opolskiego. Od 2011 r. działa przy szkole Stowarzyszenie Pomocy Szkole w Antoniowie, którego celem jest wspieranie działań zmierzających do wszechstronnego rozwoju wychowanków szkoły.

Antoniów może się też poszczycić miejscami cennymi przyrodniczo uznanymi za ostoję flory i fauny, a jest to odcinek Małej Panwi w Antoniowie, dolina Małej Panwi i Libawy, Jezioro Turawskie, a także użytek ekologiczny „Antoniów”, który ma powierzchnię 1,83 ha i jest obiektem chronionym ze względu na walory krajobrazowe oraz chronione i rzadkie gatunki roślin i zwierząt. Do pomników przyrody zaliczany jest dąb szypułkowy rosnący po lewej stronie kanału na zewnątrz ogrodzenia Huty Szklanej Jedlice.

Na terenie Antoniowa i Jedlic znajduje się też wiele zabytkowych domów, budynków gospodarczych, stajni, stodół, 2 kapliczki, leśniczówka, dworek „Beatka” oraz odnowiona i rozbudowana Huta Szklana Jedlice.

Uważam, że obszar Antoniowa i okolic jest bardzo atrakcyjny turystycznie. Położony wśród lasów, gdzie szukający ciszy i spokoju amatorzy długich spacerów, mogą spędzać godziny podziwiając różnorodność roślin, wdychając świeże powietrze i korzystając z darów runa leśnego, a więc licznie występujących tu grzybów i jagód.

Również pobliskie Jezioro Turawskie oraz stawy w Biestrzynie przyciągają wielu turystów w okresie letnim pełniąc rolę otwartych kąpielisk, z których także korzystają okoliczni mieszkańcy.

„HISTORIA MOJEGO DOMU”

Autor: Martyna Barowska

PG w Dobrodzieniu
Opiekun: Ewa Malik

Historia mojego domu

Postanowiłam przybliżyć historię mojego domu. Myślę, że jest to ciekawy temat, ponieważ pokazuje, że zwykle budynki mają ciekawą historię. Dom ten stoi od 300 lat. Stał w tym miejscu, zanim wybuchła I i II wojna światowa.

Zanim przejdę do opisu domu, przybliżę wam wieś, z której pochodzę, czyli Błachów. Ślady osadnictwa na tym terenie sięgają wczesnego średniowiecza, jednak początki i nazwę Błachów można połączyć z nazwiskiem Blach von Lub – rodem szlacheckim z Łubia i Rybnej. Otóż w 1648 roku Friedrich Blacha nabył Dobrodzień z kilkoma okolicznymi wsiami. Do 1674 roku właścicielami Dobrodzienia byli Karl Heinrich i Boguslav Blacha. Właściciele ci założyli owczarnię przy drodze prowadzącej do Opolą. Wokół rósł las. Z czasem powstawały zagrody i założono folwark, który jest moim domem. Wieś przynależała do Ligoty Dobrodzieńskiej. W 1884 roku cały majątek dobrodzieński został własnością królów saksońskich. W tamtym okresie ligocko-błachowskie dobra liczyły 189 ha ról, 48 ha łąk, 570 ha lasów i 20 ha innych terenów.

W pierwszym trzydziestoleciu XX wieku właścicielem folwarku był leśniczy Land. Właśnie od jego nazwiska bierze się nazwa sołectwa, w którym mieszkam – Landa. Landa składa się z dwóch domostw. W pierwszym, w którym mieszkam, była dawna leśniczówka, a w drugim mieściły się mieszkania robotników leśnych. Domy te znajdują się około kilometra od głównej drogi. Zewsząd otaczają je pola i łąki a od południa las. Budynki stoją bokiem do głównej ulicy. Aby wejść do domu, trzeba było go obejść i wejść od strony podwórka.

Dzięki zdjęciu zrobionemu na początku XX wieku wiemy, że dom był murowany. Jego fundamenty mają kształt prostokąta o wymiarach 16x12 m. Dach jest spadzisty pokryty dachówką z kałubnikiem. Posiadał dwa murowane kominy. Dach sprawia, że dom wydaje się dłuższy. Do domu wchodziło się przez drewnianą werandę. W środku znajduje się długi korytarz, który dzieli dom na dwie części. Dom jest podpiwniczony. Posiada dwa piętra. Od pierwszego piętra budynek posiada mur pruski. Na każde piętro prowadzą zabudowane schody. Dom posiada drewniany strop. Otoczony był drewnianym płotem. Przed werandą znajduje się studnia. Na ścianie szczytowej znajduje się pięć okien. Obok domu rośnie wysoka lipa. Miał sad. Dom ten zmienił swój wygląd na przestrzeni lat.

Po II wojnie światowej na te tereny przesiedlono ludzi ze wschodu. Do starej leśniczówki przesiedlono pięć rodzin. Z upływem czasu rodziny zaczęły się przeprowadzać, aż została tylko moja rodzina.

Od mojej mamy dowiedziałam się, że wszystkie pokoje w latach 70. XX wieku były inaczej połączone. Może zacznę



od opisywania parteru. Lauba, przez którą się wchodzi, nigdy jej nie było. Wchodziło się przez ogromne drzwi, które od razu prowadziły do korytarza. Na parterze znajdowało się sześć pokoi.

Po lewej stronie były schody. Prowadziły one na pierwsze piętro a przed schodami drzwi. Po prawej i na wprost drzwi wejściowych też znajdowały się drzwi. Schody były zabudowane. Były na nich przybite deski. Pod schodami przy drzwiach środkowych znajdowało się przejście od piwnicy. Do każdego pokoju prowadziły szerokie drzwi. W pomieszczeniu po lewej stronie znajdowała się kuchnia. Były tam jeszcze jedne drzwi prowadzące do spiżarni. W kuchni po prawej stronie w rogu stał kachlok – piec kachlowy. Były tam jeszcze inne meble między innymi kredens i staropolski komplet mebli kuchennych. Znajdowały się tam dwa wysokie, wąskie i drewniane okna. Z pierwszego był widok na podwórko a z drugiego na drogę. Spiżarnia znajdowała się tam, gdzie teraz są przedzielone na pół dwie łazienki. Znajdowały się tam dwie wnęki będące półkami. Półki znajdowały się na ścianie szczytowej. Przejdźmy teraz do pokoju znajdującego się naprzeciwko kuchni. Był to pokój gościnny. Tak jak i tu okna znajdowały się tak samo tylko z tą różnicą, że z drugiego okna mamy widok na las. Znajdowały się też tam drzwi prowadzące do następnego pokoju. Za drzwiami od strony korytarza stała witryna. Po prawej stronie jak wchodzimy stała wersalka, a na ścianie szczytowej szafa również z tej samej strony. Z tego pokoju do dzisiaj zachowały się drzwi prowadzące do sypialni. Są one bardzo stare, możliwe, że nikt ich nie wymieniał od czasu powstania domu. W pomieszczeniu którędy można było się dostać przez pokój gościnny stały łóżko, kachlok i duża szafa. Była to sypialnia. Również były tam dwa okna ustawione symetrycznie do poprzedniego pomieszczenia. Kachlok stał po lewej stronie od drzwi. Na tej samej stronie stała szafa, która zakrywała ogromne drzwi prowadzące do innego pokoju. Na środku stało jedno łóżko. Aby dostać się do kolejnego pokoju, który był bawialnią trzeba, było przejść po trzech schodkach. Po lewej stronie znajduje się okno. Tak jak wszędzie i tu było ono wysokie, wąskie i drewniane. Teraz przejdźmy na pierwsze piętro. Było tam pięć pokoi. Do każdego pokoju prowadziły szerokie drzwi. Od tego piętra zaczyna się mur pruski. Mur pruski jest to rodzaj ściany szkieletowej wypełnione murem z cegły. Pierwszym pomieszczeniem, które opiszę jest strych. Drzwi znajdują się na środku ściany po lewej stronie. W środku były spichlerze na zboże. Były tam małe, drewniane okna znajdujące się na ścianie szczytowej po obu stronach domu. Przejdźmy teraz do pokoju, który się znajdował na lewo do drzwi do strychu. Była to sypialnia. W pokoju znajdowały się łóżko, mały kachlok oraz szafy. Okno było na ścianie szczytowej. Było wysokie, wąskie i drewniane. Na tej samej ścianie co drzwi od pokoju znajdowały się drzwi do łazienki. Plan łazienki wyglądał jak litera „L”. Okno również było na ścianie szczytowej. Tym razem było ono małe i wąskie. Gdy wyszło się z tego pokoju, po prawej stronie znajdowały się małe drzwiczki. Były to drzwiczki do komina, gdzie znajdowała się wędzarnia. Wędziło się w niej wędliny, boczek i słoninę. Teraz przejdźmy do pokoju znajdującego się naprzeciwko sypialni. Był to pokój dziecinny. Tak jak i tu okno znajdowało się na ścianie szczytowej. Ostatnim pokojem był pokój znajdujący się obok dziecinny. Był tam mały kachlok. Okno było na wprost od drzwi na ścianie szczytowej. Było ono małe i wąskie. Przechowywano tam różne rzeczy – było to pomieszczenie mające charakter schowka. Na korytarzu znajdowały się zabudowane schody prowadzące na drugie piętro. Tak jak i teraz była to pusta przestrzeń. Jest to pomieszczenie potrzebne, aby dostać się do kominów. Co ciekawe jeden z nich odprowadzał dym z wędzarni, drugi – dla kachlowych piecy, a trzeci z pomieszczenia które mogło być „waškuchnią”.

Dodatkowo wybudowano zabudowania gospodarcze takie jak chlew z częścią mieszkalną, obora ze strychem na siano, stodoła ze szopą, kurnik i piekarnia. Za chlewem znajdował się zilołch – kompostownik. Przy domu znajdował się warsztat.

W latach 80-90. XX wieku zostały zrobione podłogi, okna na parterze na ścianie szczytowej zostały zamurowane, było zrobione centralne ogrzewanie, a ze spiżarni zrobiono dwie łazienki. Do jednej wchodziło się z kuchni, a do drugiej z pokoju. Wybudowana została lauba, a kadłubnik został rozebrany, a także wybudowany został garaż. Dom nie zmienił się zbyt od tego, który opisywałam z początku XX wieku.

Pomimo tego że został unowocześniony, łatwo dostrzec jego nietypowy urok i charakter.

Teraz przejdźmy do domu robotników. Został wybudowany na przełomie XIX-XX wieku. Mieszkały tam cztery rodziny, które pracowały u leśniczego.

Dom się nie zmienił na przestrzeni lat. Posiada tylko jedno piętro. Budynek miał duże drzwi wejściowe po obu stronach domu. Każde prowadziły do dwóch odrębnych mieszkań. W środku znajduje się długi korytarz, dzielący również dom na dwie części. Wchodząc od dworu po prawej stronie znajdują się zabudowane schody prowadzące na strych i dwoje drzwi prowadzące do pokoi. Układ każdego pomieszczenia był taki sam. Na jedną rodzinę przypadała jedna kuchnia i sypialnia. Najpierw wchodziło się do kuchni a później do sypialni. W kuchni znajdowały się piec, stół z krzesłami, kredens i szafka na miskę z wodą. W sypialni znajdowały się łóżka i szafa na ubrania. Obydwa pomieszczenia miały wąskie okna. Schody prowadziły na strych. Na strychu znajdowały się spichlerze na zboże. Do tego domu były jeszcze chlew ze strychem na siano, stodoła oraz kurnik. Dom nie jest podpiwniczony, ponieważ została wybudowana osobna piwnica, gdzie przechowywano część zbiorów rolnych takich jak ziemniaki.

Mój dom skrywa wiele tajemnic. Historie ludzi, którzy mieszkali tu przede mną. Zaskakujące jest to, jak wiele ten dom przetrwał, bo właśnie 300 lat historii – to mój dom.

Źródła:

- „Portrety wsi Ziemi Dobrodzieńskiej” oprac. Mirosław Dragon fot. Paweł Mrozek
- opowieści moich rodziców
- strona internetowa http://pl.wikipedia.org/wiki/Mur_pruski

„JEDNOŚĆ W MIEJSCU, O KTÓRYM NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ – HISTORIA RSP „JEDNOŚĆ” W DOBRODZIENIU”

Autor: Dorota Ochman

PG w Dobrodzieniu
Opiekun: Ewa Malik

Połączenie sił to początek, pozostanie razem to postęp, wspólna praca to sukces.

Henry Ford

Tym tajemniczym miejscem jest Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna „Jedność” w Dobrodzieniu, która niegdyś dawała prace setkom ludzi. Uważam, że to ciekawy temat i choć większość ludzi twierdzi, że „nie ma po co, przypominać tej historii”, jestem pewna, że to miejsce jest warte przypomnienia. Temat RSP „Jedność” postanowiłam podjąć w tej pracy, ponieważ słyszałam opowieści rodziców o latach ich młodości. Wspominali z uśmiechem na twarzy to miejsce, więc zaczęłam się dopytać i szukać informacji na ten temat. Niestety efekty były niezadawalające, dlatego postanowiłam zapytać się osób, które tam kiedyś pracowały czy istniały jakieś notatki lub dzienniki, w których byłyby informacje o RSP. Wtedy dowiedziałam

się o kronice, na podstawie której powstała ta praca. Po jej przeczytaniu utwierdziłam się, w przekonaniu, że muszę o tym napisać. Najbardziej intryguje mnie to, że pracowało tam mnóstwo osób, którzy byli naoczniymi świadkami tworzenia i rozkwitu tego zakładu i tylko starsze osoby wiedzą, że to miejsce w Dobrodzieniu tętniło życiem. Bardzo się zdziwiłam, gdy nigdzie nie potrafiłam znaleźć informacji na ten temat spółdzielni, przecież to było miejsce, które cieszyło się ogromnym zainteresowaniem ówczesnych władz, szkół, a nawet gości z innych krajów. Nie chcę, aby RSP młodym ludziom kojarzyło się z zaniedbanymi pozostałościami po jej działalności, które okoliczni mieszkańcy mogą określić mianem zaniedbanego „cementarzyska”. Budynki, które należały do spółdzielni, kryją cząstkę historii ludzi, którzy kiedyś w niej pracowali.

Trzeba zacząć od zera



W tak małym miasteczku jakim jest Dobrodzień 28 lutego 1950 roku odbyła się uroczystość o podniosłym charakterze, na której obecni byli reprezentanci ówczesnych władz partyjnych, administracyjnych, działacze spółdzielczy i społeczni oraz 17 rolników. W tym dniu również został podpisany ważny dokument, jakim był Statut Spółdzielni, której nadano miano „Rolniczy Zespół Spółdzielczy „Jedność”. Przewodniczącym Spółdzielni został Walerian Joniec. Trzeba pamiętać, że aby doszło do tej uroczystości już wiosną 1949 roku pojawiła się idea, aby RSP powstała w Dobrodzieniu. Klasa gleb, znajomość terenu oraz poglądy społeczno-polityczne sprawiły, że z pełnym poparciem tamtejszych zwierzchników partyjnych zaczęto czynić wszelkie starania, aby znaleźć, informować i jednoczyć przyszłych członków, co trwało ok. rok. Osoby organizujące tę akcję, zdawały sobie sprawę, z tego, że nie wszyscy ludzie będą przychylnie nastawieni do ich działania, ale ich nie krytykowali, tylko próbowali z nimi rozmawiać i poznawać ich wątpliwości. Zaczęto organizować spotkania z rolnikami, ale to również spotkało się z niepowodzeniem. Dlatego postanowiono, że powołają trójki aktywistów, które przy każdej okazji będą starać się wysuwać argumenty, które miały zachęcać do członkostwa w spółdzielni. Samozaparcie, ogromna chęć stworzenia spółdzielni i nieustępliwość charakteryzowała właśnie osoby zaangażowane w akcję stworzenia „Jedności”. Jak to zostało określone w kronice trójki ruszyły do pracy „zgodnie z ustalonym porządkiem z ulicy na ulicę, z zagrody do zagrody”. Wytrwale dążyli do wytyczonego celu, nie poddawali się, choć musieli pokonywać wiele trudów.

Tu na razie jest ściernisko...

Spółdzielnia powstała na 156 ha na zniszczonych przez wojnę gruntach. RSP zaczęła swoją działalność, posiadając tylko trzy konie, cztery krowy i zużyty sprzęt do zaprzęgu konnego oraz dwie kosiarki, dwa siewniki i trzy wozy gospodarcze. Powyższy majątek, który został wcielony przez członków, nie był dużej wartości i nie gwarantował dobrej uprawy i zbiorów. Wyremontowano budynki i sprzęt. RSP „Jedność” obejmowała cegielnię, działy gospodarcze, młyny, szklarnie i produkcję skrzynek drewnianych. To właśnie Spółdzielnia „Jedność”, co roku wzbogacała się o nowe obiekty. W RSP wybudowano m.in. szklarnię typu „Tempo”, zmechanizowany magazyn zbożowy, nowe zbiorniki deszczowni i dojkarkę elektryczną. Spółdzielnia specjalizowała się w warzywnictwie i produkcji mleka. Liczba członków rosła z roku na rok, na początku w 1950 było ich 34, a sześć lat później wynosiła 84 członków. Mimo że rok 1955 okazał się dla wielu podobnych miejsc krytyczny, ale nie dla dobrodzieńskiej „Jedności”, gdzie

jedyną porażką okazała się rezygnacja jednego spośród 54 członków. To właśnie RSP określana była jako jedna z przodujących w socjalistycznej Polsce. Sukcesy „Jedności” powodowały, że zagraniczni goście często odwiedzali dobrodzieńską Spółdzielnię, która słynęła z dynamicznego rozwoju. W takich chwilach jestem naprawdę dumna z poczynań ówczesnej RSP „Jedność”.

RSP „Jedność” wizytówką ówczesnych władz

RSP „Jedność” w Dobrodzieniu stała się głównym obiektem zainteresowania ówczesnych władz. Bramę dobrodzieńskiej spółdzielni przekroczyło wiele osób, różnych narodowości, znanych i mniej znanych. Wszyscy ci ludzie, szukali inspiracji i odpowiedzi na pytanie, jak dojść do takiego sukcesu. Spółdzielnia, dzięki sumiennemu prowadzeniu kroniki, zachowała wiele wpisów osób, które odwiedzały to miejsce.

„Brazylijczyk Brenal znalazł prawdę” – tak właśnie brzmiał tytuł jednego z artykułów gazety, który opisywał przybycie do Polski pewnego dziesięcioletniego Victora Brenala (brazylijskiego pracownika na plantacji kauczuku), który przyjechał na V Światowy Festiwal w Warszawie, na który zjeżdżali się reprezentanci z całego świata, manifestując chęć pokoju, przyjaźni równocześnie wspólnie się bawili. Brazylijczyk wraz z osiemdziesięcioosobową delegacją z Syrii, Palestyny, Anglii i Ameryki znalazł się w RSP w Dobrodzieniu (nie pomyliłam się, sama nie mogę w to uwierzyć, ale artykuł mówi sam za siebie). Wszelkiego rodzaju czystość, porządek, wypielegnowane zwierzęta zrobiły duże wrażenie na zwiedzających, zadawali mnóstwo pytań, niektóre wywoływały uśmiech na ustach spółdzielców. W 1967 nawet pierwszy sekretarz Edward Gierek, KW członek państwa PRL, przewodniczący prezydium WRN płk Jerzy Ziętek oraz sekretarz KW Rudolf Juzek w ramach serii spotkań gospodarczych z władzami partyjnymi odwiedzili RSP. Niewiele osób wie, że do Dobrodzienia przejeżdżało tak dużo osób i to z różnych krajów.

W sierpniu 1967 RSP odwiedziła grupa biorąca udział w akcji „Pociąg Przyjaźni” z Doniecka, która przybyła na teren powiatu lublinieckiego. W skład wchodził: Georgij Gawrylowicz Siedriuk pierwszy sekretarz Komitetu Zakładowego KPZR, aktywiści partyjni, pięciu Bohaterów Pracy Socjalistycznej, hutnicy, górnicy oraz weterani wojenni, których przywitano chlebem i solą. W 1968 w RSP gościł minister rolnictwa Mieczysław Jagielski, który szczególnie interesował się plonami, dochodami, pracą i wykorzystaniem służby rolnej. Spotkanie to również poruszało problemy związane z nowymi inwestycjami.

Dobrodzieńską „Jedność” odwiedziły również liczne delegacje rolników i zespołów spółdzielczych ZSRR, Czechosłowacji, NRD i Jugosławii.

RSP przeżywało wiele doniosłych uroczystości. Jedną z nich była wizyta niezwykłego już przewodniczącego rady państwa PRL A. Zawadzkiego i przewodniczącego Węgierskiej Republiki Ludowej Istvan Dobi wraz z reprezentacją wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych w Katowicach.

Nie tylko rolnictwo...

Od początku dobrodzieńskiej Spółdzielni „Jedność” podstawą jej działalności była hodowla trzody chlewnej, bydła, drobiu oraz warzywnictwo. Wraz z mechanizowaniem sprzętu, który służył do podstawowych upraw rolnych, nastąpił wzrost produkcji roślinnej. Hodowano między innymi zboża, buraki pastewne, rośliny przemysłowe, rośliny strączkowe, warzywa i ziemniaki. W dobrodzieńskiej szklarni dojrzewały nie tylko warzywa, ale równie cudownie kwitły goździki, róże i wiele innych kwiatów, które stanowiły dochód Spółdzielni. Powyższe owoce upraw, były bardzo okazałe, dlatego z dumą prezentowano je na różnych wystawach rolniczych. RSP oprócz rolnictwa obejmowała również cegielnię w Błachowie i Przywarach, chlewnię w Malichowie, Bzionkowie i Warłowie. Natomiast w Dobrodzieniu znajdowały się:

młyn, gorzelnia, magazyny zboża, stacja paliw, warsztat, biurowiec znajdujący się w obecnym Park Hotelu oraz budynki mieszkalne w Dobrodzieniu i Rzędowicach. Dwupiętrowy blok mieszkalny w Dobrodzieniu powstał ok.1975, natomiast drugi ok.1980.

Złote lata RSP „Jedność” zakończyły się

1989 rok był przełomową datą w historii Polski – tak właśnie określany jest ten burzliwy okres przemian. Miał on ogromne znaczenie dla gospodarki, która została przekształcona z gospodarki centralnie planowanej w gospodarkę rynkową. Zmiany związane w tamtym czasie określano jako Plan Balcerowicza (pochodziło to od nazwiska ministra finansów). Przemiany te wymagały wiele reform, co spowodowało, że część zakładów podobnych do RSP „Jedność” powoli zaczęły upadać. Miejsca, które jeszcze ostatnimi siłami próbowały się utrzymać w późniejszych latach upadły. Takim zakładem była właśnie dobrodzińska „Jedność”, która w ok. 1998 roku ogłosiła upadłość, a dziś jest w likwidacji.

Uważam, że gdyby włożono więcej pracy w próbę reformowania tej Spółdzielni, bieg wydarzeń potoczyłby się inaczej. Nie chcę oceniać ludzi, którzy próbowali ratować RSP, ale moim zdaniem istniało rozsądniejsze rozwiązanie. Przykładem na to mogą być nie liczne spółdzielnie, które nadal istnieją. Niektóre obiekty choć dziś są własnością prywatną nadal prosperują, np. Ferma Drobiu. Wszystko ma swój koniec, prędzej czy później nadejdzie moment, w którym nawet najbardziej prosperująca firma przeżyje kryzys i właśnie wtedy będzie potrzebny rozsądek, inteligencja i odwaga, której najwyraźniej zabrakło Rolniczej Spółdzielni „Jedność” w Dobrodzieniu.

Bibliografia:

- Kronika RSP „Jedność”
- Rozmowy z rodzicami i byłymi pracownikami RSP
- Zdjęcia z kroniki
- Zdjęcia mojego autorstwa
- Gazeta lubliniecka 11.02.1965, 23.02.1964, 04.03.1968, wrzesień 1967, 21.09.1968, 21.08.1967, 25.06.1968, 11.05.1965, kwiecień 1966
- Dziennik Zachodni 19.06.1968
- Panorama Śląski Tygodnik Ilustrowany Nr 36 122, 9 września 1956

„POGAŃSKI PAGÓREK W KIELCZY”

Autor: Kamila Radziszewska

ZSG w Żędowicach Opiekun: Anita Stachowska

Dla mnie bardzo ciekawym miejscem jest kopiec usypany za kościołem w Kielczy, która jest wioską sąsiadującą z moją, czyli Żędowicami.

Jest to nasyp ziemny, który znajduje się około 200 metrów od wspomnianego kościoła parafialnego w Kielczy. Kopiec ma kształt ściętego stożka, ma około 7 metrów wysokości, a u podstawy około 15 metrów szerokości. Wznosi się on ponad powierzchnię łąk i porośnięty jest drzewami. Istnieje kilka przekazów ustnych mieszkańców wsi dotyczących genezy kopca. Według jednych miał on pełnić rolę obiektu kultowego w czasach przedchrześcijańskich (stąd nazwa „pagórek pogański”). Według innych, kopiec ten miał być zbiorową mogiłą ofiar

zarazy (np. czarnej ospy), która często nawiedzała nasze ziemie w średniowieczu. Jak głosi legenda kopiec jest jednym z trzech, które w dawnych czasach miały się znajdować w tej okolicy. Na miejscu jednego z nich wybudowano kościół (w XII wieku?).

Badania archeologiczne prowadzone tu już przed II wojną pozwalały postawić hipotezę, że wzgórek jest pozostałością po gródku rycerskim, który funkcjonował w okresie od XIII do XV wieku. Na wzniesieniu tym znaleziono 54 kawałki naczyń glinianych toczonych na kole garncarskim. Jeden z odłamków posiadał zdobienia w formie czerwonego paska, inne znów linie faliste i odciski stempelka.



Uważano że prawdopodobnie kopiec był otoczony fosą, która była wzmocniona palisadą, a na jego szczycie stała drewniana wieża mieszkalno-obronna. Grodzisko mogło być mieszkaniem dla rycerza, jak i miejscem ostatecznej obrony. Istnieje też pogląd, że nazwa „Kielcza” mogła powstać od tego właśnie gródka, ponieważ wywodzi się od wyrazu *kiel* lub jego staropolskiej formy *koł*, która znaczy to samo co gród na wzgórzu otoczony palisadą.

Aby zweryfikować poglądy na temat genezy kopca, w 2014 roku wzniesienie zostało prześwietlone przez urządzenie georadarowe. Okazało się, że pagórek to kurhan kryjący w sobie grobowiec, usytuowany na głębokości 5 m, a obłożony dużymi kamieniami i przykryty kopcem ziemnym. Z obszaru południowych Niemiec znane są tego typu grobowce i są one typowe dla Celtów, którzy dotarli na Śląsk około III i II wieku przed Chrystusem. Jeden z takich kurhanów został przekopany i na tej podstawie można odtworzyć budowę kurhanu w Kielczy. Po rozmiarach kurhanu można stwierdzić, że pochowano w nim osobę wysoko postawioną – być może wodza celtyckiego. Także miecze znalezione w 1925 r. w lesie między Kielczą i Krupskim Młynem należały do wojowników celtyckich.

Najprawdopodobniej kurhan mógł być wykorzystany później jako miejsce budowy niewielkiego gródka, a podanie o grzebaniu ofiar zarazy w średniowieczu też może zawierać w sobie załączek prawdy, jako że badania georadarowe stwierdziły kilka pochówków leżących dużo płycej niż grobowiec wodza Celtów.

Ostatnie odkrycia rzucają też nowe światło na pochodzenie nazwy wsi. Celtowie nazywali siebie *Kelto* – *Kelta* więc nazwa wsi Kielcza, może znaczyć po prostu „osadę Celtów”.

Być może najbliższa przyszłość przyniesie więcej informacji o kurhanie w Kielczy, bo naukowcy planują jego dalsze badania.

Bibliografia:

- książka „Z biegiem Małej Panwi z biegiem lat...”
- gazetka „Żandowice i okolice”
- www.zawadzkie.pl
- rozmowa z profesorem Joachimem Szulc

„TO MIEJSCE ZACHWYCIŁO MNIE SWOJĄ HISTORIĄ”

Autor: Kinga Olkowska

GZS w Ozimku

Opiekun: Iwona Podstawa



Dawne dzieje wyspy

Pod koniec XVII wieku zaczęto zasypywanie lewego odgałęzienia rzeki Małapanew w okolicach huty w Ozimku. Gdy rozpoczęto regulacje głównego koryta rzeki powyżej tamy, powstał teren otoczony ze wszystkich stron wodą. W roku 1803 budowlaniec Franz Moritz zmienił przeznaczenie wyspy. Wyznaczył pierwsze ścieżki spacerowe i umieścił przy nich ławki. Od tamtego czasu mówiono na to miejsce „Park Rehdanz’a” na cześć założyciela i budowlanca. Prace finansowali pracownicy Huty Małapanew oraz mieszkańcy osiedli robotniczych. Jednym z ważnych momentów w lokalnej historii było przekazanie hucie przez zarząd Lasów Królewskich. Wydarzenie to miało miejsce 28 września 1814 roku dzięki ówczesnemu dyrektorowi – zarządcy górniczego Gerharda. Od tego czasu prowadzone są modernizacje, które mają upiększyć park. Mało kto wie,

że wybudowano tam strzelnicę, ptaszarnię i kręgielnię. Corocznie odbywają się 3 sierpnia zawody strzeleckie. Osoba, która zajęła pierwsze miejsce nosiła tytuł „Króla Strzelców” aż do następnego turnieju. W 1815 r. wyspa Rehdanz’a powiększyła się o część leżącą na przeciwnym brzegu rzeki. Przyjęła nazwę Reden od nazwiska długoletniego pracownika Wyższego Urzędu Górniczego.

Pomniki

Cały wiek XIX i początek XX to czas, kiedy w Parku Rehdanz’a powstawały liczne pomniki mające na celu upamiętnienie ważnych postaci w historii hutnictwa Śląska i Ozimka, lecz również rocznice i wydarzenia. Pierwszy powstał przed założeniem parku. Był poświęcony Johannowi Georgowi Rehdanz’owi. Pomnik przetrwał do roku 1813 r. Dziś w tym miejscu znajduje się sklep „Black Red White”.

Przenieśmy się do 3 lutego 1813 roku... Ośmiu urzędników i ich synów wyruszyło na wojnę przeciwko Napoleonowi. Przed wyprawą uroczyście zasadzili brzozy, aby szczęśliwie wrócić. Towarzysze broni, którzy przeżyli, własnoręcznie uformowali i odlali pomnik na cześć poległych. Na sześciennym bloku stał żelazny puchar zwycięstwa.

Powstał również ośmioboczny cokół z ośmioma nazwiskami uczestników wojny oraz datą wymarszu. Pomnik, niestety jak wszystkie inne, został zniszczony po 1945 roku, lecz jego resztki pozostały do dzisiaj. Również dyrektor w Wyższym Urzędzie Górniczym we Wrocławiu doczekał się obeliska na swoją cześć. Na tablicy umieszczono napis: „C.B.J Karsten ur. Dnia 26 listopada 1792, zm. 22 września 1853”. Zarządca hutniczy dla Śląska – Johann Friedrich Reil nie został pominięty i dla niego też wzniesiono pomnik.

Mój tata wspomina, iż za czasów PRL-u nie dbano o park. Ławki były niszczone, a w pomnik dla zabawy rzucano kamieniami. Prawdopodobnie działo się tak, ponieważ nie wpajano młodym ludziom szacunku dla historii ziemi śląskiej.

Wyspa po 1945 roku

Park Rehdanz'a, potocznie zwany „wyspą”, jest jednym z ciekawszych miejsc w Ozimku. Nasze miasto znajduje się na Opolszczyźnie nad rzeką Mała Panew. Na wyspę przyjeżdżało wielu znanych ludzi, aby zagrać koncert w tak zwanej „muszli”. Kiedyś kąpano się w Małej Panwi (woda była wówczas bardzo czysta), odbywały się tutaj czwartkowe występy, działało Towarzystwo Strzeleckie. Mimo upływu czasu, to miejsce dalej jest pełne życia. Po remoncie możemy się szczycić nową sceną. Młodzi ludzie przychodzą tu często, żeby spotkać się ze znajomymi, „odpocząć od całego świata”, porozmawiać. Nie tylko młodzież znajduje na „wyspie” swoje miejsce. Także dorośli przychodzą tam, aby zwyczajnie pospacerować i odetchnąć od obowiązków. Współcześnie w Parku Rehdanz'a odbywają się różne festyny i koncerty. Co roku, pod koniec czerwca, są organizowane Dni Ozimka, które trwają trzy dni. Sezonowo pasjonaci przygotowują spływy kajakowe, gdyż niedawno wybudowano nową przystań, znajdującą się na „wyspie”. Możemy się szczycić odwiedzinami zespołów: Blue Cafe, Lecter, Key Features, Big Cyc, Golec Orkiestra i wielu innych.

Park Rehdanz'a to miejsce, które udowadnia, że nie trzeba wyjeżdżać gdzieś daleko, aby zachwycać się pięknem otaczającej nas przyrody.

Bibliografia:

1. Józef Tomasz Juros, „Historia, zabytki i ślady hutnictwa w Dolinie Małej Panwi” historia frydekańskiej osady hutniczej Ozimek/Malapane od 1754 roku do 1945 roku, Ozimek, 2010.
2. Józef Tomasz Juros „Historia, zabytki i ślady hutnictwa w Dolinie Małej Panwi” Ozimek/Spórok, 2012.
3. fotokresy.pl

„CMENTARZ (NIE)PAMIĘCI W OZIMKU”

Autor: Julia Gryc

GZS w Ozimku

Opiekun: Marzena Wolicka-Mazurkiewicz

Zapomniany cmentarz

Krzygę patyną pokryteswą zielenią maskujące się wśród chwastów (...)

czekają na zbłąkanego pielgrzyma co przystanie (...)

skrzypnęły wrota (...)

to tylko wiatr wieczny towarzysz zapomnianego cmentarza.

Niedawno na lekcji języka polskiego dowiedziałam się o nieistniejącym już najstarszym ewangelickim cmentarzu w mojej miejscowości. Nasza wychowawczyni, pani Marzena Wolicka-Mazurkiewicz, uświadomiła nam, że pierwszy cmentarz w Ozimku znajdował się nieopodal huty, na niewielkim wzniesieniu, za stojącą tam dziś księgarnią, mieszczącą się przy ulicy Wyzwolenia.

Niestety wiele, przede wszystkim, młodych mieszkańców naszego miasta jest nieświadomych o istnieniu tam, jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku, pierwszej nekropolii. O cmentarzu nie pamiętają już moi rodzice i ich znajomi (obecni czterdziestolatkowie). Reagowali zdziwieniem i zaskoczeniem. O pojedynczych płytach nagrobnych, które jeszcze na początku lat siedemdziesiątych były tam obecne, wspominają starsi mieszkańcy (obecni sześćdziesięciolatkowie i siedemdziesięciolatkowie). Dotarłam do mieszkańców Ozimka,

którzy pamiętają istnienie cmentarza. Przypominają o okazałych grobowcach, które, wówczas na dzieciach, robiły ogromne wrażenie. Zdziwiło mnie, że najstarszy cmentarz w Ozimku został zamieniony w park, z alejkami i ławeczkami. Dziś teren ten prezentuje się ładnie, przestronnie, z boku wśród roślinności, umieszczono w miniaturze nasz zabytek, najstarszy w Europie żelazny most wiszący.

A jeszcze kilka lat temu, pod względem przestrzennym, nie było tu atrakcyjnie. Park był zaniedbany, zarośnięty, na dodatek nie cieszył się pozytywną opinią. Można stwierdzić, że jest do dziś, gdyż przyciąga on amatorów mocnych trunków, z powodu położonej blisko pijalni piwa. Zainteresowałam się tym tematem i zaczęłam szukać informacji dotyczących tego wątku. Niestety muszę przyznać, że nie było to łatwe. Udało mi się dotrzeć tylko do dwóch wywiadów, wzmianki w „NTO” i do artykułu na stronie Stowarzyszenia „Dolina Małej Panwi”. To z nich poznałam historię nekropolii ozimskiej.



Dowiedziałam się, że cmentarz można zobaczyć na mapie z 1768. Został na niej naniesiony kilkanaście lat po tym, jak pruski król Fryderyk Wielki wydał rozkaz budowy huty żelaza. Nieopodal niej, na pagórku, powstał cmentarz, na którym chowano, przybyłych z Niemiec hutników, głównie ewangelików. Z czasem zaczęto na nim grzebać zwykłych pracowników huty i mieszkańców hutniczych osiedli, przede wszystkim wyznania ewangelickiego. Przez ponad sto lat, od po-

czątku istnienia zakładu do drugiej połowy XIX wieku, chowano tu ludzi. Na tej nekropolii spoczęło wielu zasłużonych budowniczych, inspektorów, mistrzów hutniczych, inżynierów i prostych robotników. Po I wojnie światowej w 1925 roku, na cmentarzu odsłonięto pomnik poległych, który został zniszczony w 1945 roku.

„Pruskiego orła z brązu przetopiono, a płytę pomnika wrzucono do dziury w miejscu, gdzie dziś jest parking Huty „Małapanew”. Warto wspomnieć, że na tym cmentarzu, jako Pomnik ofiar I Wojny Światowej jeden z pierwszych, w 1765 roku, spoczął budowniczy i pierwszy zarządzający Królewską Hutą Johann Georg Rehdez. Jednak jego nagrobek nie przetrwał, gdyż uległ zniszczeniu. Stara nekropolia, przed wojną, została uznana przez konserwatora zabytków Rejencji Opolskiej za unikatową i istnieją ślady, że jeszcze istniała w okresie powojennym.

Znajdowały się wówczas na niej, wspaniałe zabytki, które świadczyłyby dziś o przeszłości naszego miasta: nagrobki, obramowania grobów, epitafia, krzyże, które były odlane z żeliwa w naszej hucie. Byłyby dzisiaj nielicznymi pamiątkami, które przypominałyby nam o ewangelickiej przeszłości Ozimka. Niestety, nekropolia uległa całkowitemu zniszczeniu i pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku została zlikwidowana. Z początkiem lat siedemdziesiątych płyty nagrobne z cmentarza wywieziono, a groby przysypano ziemią i zamieniono to miejsce w skwerek. „Dziś o jego istnieniu świadczą jedynie, wyłaniające się od czasu do czasu z piaskowego gruntu, elementy grobowców”. W sierpniu 2013 roku, na górcie za księgarnią, i na cmentarzu ewangelickim, członkowie Stowarzyszenia „Dolina Małej Panwi” prowadzili prace porządkowe i archeologiczne. Odnaleziono wówczas „fragmenty żeliwnych obramowań nagrobków, resztki grobowców, fragmenty dekoracji”. Podczas tych prac odnaleziono, niezniszczony, w dobrym stanie, żeliwny krzyż z datą 1793 roku. Jest to najstarszy eksponat, który tutaj znaleziono i tak jak inne odzyskane obiekty, po renowacji, trafią do Muzeum Hutnictwa. Do dziś zachowała się niewielka część cmentarza ewangelickiego (z połowy XIX wieku), która powstała w sąsiedztwie wybudowanego w 1821 roku kościoła ewangelickiego. Po wojnie został on również zaniedbany i zapomniany. Niewiele brakowało by zachowane

historyczne płyty nagrobne podzieliły los pierwszego cmentarza. Dzisiaj możemy podziwiać nieliczne nagrobki, które zostały odnowione, wyczyszczone i uporządkowane, między innymi: nagrobek z 1865 roku, jednego z dyrektorów huty Friedricha Ludwiga Wachlera i jego żony Auguste, przetrwała również odlewana z żeliwa płyta nagrobna z 1923 roku, dyrektora huty Johanna Leonhardta Treuheit'a.

Dziś ten cmentarz służy również nam, katolikom. Pomędzy nowymi nagrobkami możemy odnaleźć stare, zabytkowe płyty, marmurowe krzyże, które odzyskują dawne piękno i zainteresowanie ludności naszego miasta.

Szkoda, że stary cmentarz „na górce” przestał istnieć i tak szybko o nim (nie)zapomniano.

Bibliografia:

- <http://www.sdmp.pl/>
- Nowa Trybuna Opolska, Anna Grodzka, Nekropolia w Ozimku nabrała blasku, Opole 27 grudnia 2013.
- <http://www.opole.naszemiasto.pl/>
- J.T. Juros, W Dolinie Małej Panwi, historia fryderycjańskiej osady hutniczej Ozimek/Malapane od 1754 do 1945,
- Ozimek 2010 – Moja wieś – moje miejsce, prace konkursowe III i IV edycji, 2012-2013

Kategoria

**OPOWIADANIE LUB LEGENDA PODKREŚLAJĄCE
SPECYFIKĘ I HISTORIĘ TERENU LGD**

MIEJSCE I

**„PRAWDZIWY BOHATER CZYLI O ZĘBOWICACH W CZASIE
POWSTANIA ŚLĄSKIEGO”**

Autor: Magdalena Jasińska

PG w Dobrodzeniu
Opiekun: Ewa Malik

Wakacje miały być takie piękne! Od czerwca nad nimi rozmyślałam – będę chodzić z przyjaciółmi do kina, jeść lody i robić wszystko, co można robić w dużym mieście. Tymczasem tuż przed zakończeniem roku moja kochana mama oznajmiła mi:

– Mam dla ciebie niespodziankę! Tak dawno nie widziałas się z babcią. Ciągłe nie mamy dla niej czasu, a ona tam siedzi sama w tym domu i nawet nie ma z kim porozmawiać. Pomyślałam więc, że mogłabyś spędzić z nią te wakacje. To będzie super! Z dala od gwaru miasta, na maleńkiej wsi z czystym powietrzem! Już wszystko załatwiłam, jedziesz za tydzień! Po prostu ekstra, mamo jesteś genialna! Każda nastolatka pragnie spędzić lato w jakiejś dziurze zabitej dechami! Lecz oczywiście, dzieci i ryby głosu nie mają.

Wysiadam z autobusu na przystanku we wsi Zębowice. Tam już czeka na mnie babcia. Oczywiście nie obywa się bez całusów i tekstów typu „ale ty wyrosłaś, wnusiu”. Dom babci jest pełen zdjęć mamy z dzieciństwa i dziadka nieżyjącego od kilku lat. Babcia daje mi chwilę na rozpakowanie. Wyciągam laptopa, lecz oczywiście w tym domu nie ma Internetu! Tak bardzo chcę zadzwonić do mamy i błagać, by mnie stąd zabrała, lecz wiem, że nie mogę tego zrobić. W końcu obiecałam jej, że nie będę marudzić. Trzeba to będzie jakoś przeżyć. Po chwili babcia puka do drzwi pokoju.

– Wiem, że jesteś zmęczona podróżą, ale jest pewne miejsce, które chce ci pokazać. Chodź za mną – mówi. Idziemy do starej szopy, z której babcia wyciąga dwa rowery. Gdy jedziemy, nie mogę uwierzyć, że ona ma 70 lat! Z trudem dotrzymuję jej tempa. Nie wiem, dokąd zmierzamy. Wkrótce zostawiamy za sobą wieś. Chcę zapytać, czy daleko jeszcze, gdy nagle babcia zatrzymuje się. Rozglądam się ze zdziwieniem. To ma być niby to miejsce? Jesteśmy na skraju lasu, a przed nami stoi stary, przydrożny krzyż. Babcia wyciąga z koszyka znicz, zapala go w milczeniu. Patrzę na nią pytająco.

– Pewnie, zastanawiasz się, po co cię tu ciągnęłam, prawda Julciu? Widzisz, gdy byłam mała, często przychodziłam pod ten krzyż z moją mamą. Dopiero po pewnym czasie wyjaśniła mi, czemu to robimy. Opowiedziała mi o powstaniu śląskim, które toczyło się właśnie tutaj, w tej wsi. Wiesz coś o powstaniach śląskich?

Przeszukuję pamięć. Nie jestem zbyt dobrą uczennicą, ale nagle coś zaczyna świtać.

– Tak ... Po pierwszej wojnie światowej na Śląsku wybuchły trzy powstania, mieliśmy o tym na historii – mówię niepewnie.

– To dobrze. W czasie III powstania jedna z najbardziej zaciętych potyczek toczyła się właśnie w Zębowicach. Nasi powstańcy dzielnie bronili dworca, nie dopuszczając, by Niemcy

oskrzydłili powstańców broniących Góry św. Anny. Było wiadomo, że do walki pójną tutejsi chłopcy, ciągnęło ich do wojaczki. Lecz nie do tego zmierzam. W powstaniu wzięli udział nie tylko Ślązacy. Wyobraź sobie, że aż z okolic Lwowa przyjechało tutaj walczyć kilkudziesięciu kadetów. Rozumiesz? Nie mieszkali tu, nikogo nie znali, a jednak walczyli za Śląsk i oddali życie dla tego miejsca. W Zębowicach zginęło ich trzech. Lecz ja najbardziej zapamiętałam jednego – Henryka Czekalińskiego. Z zafascynowaniem słuchałam opowieści mamy o tym chłopaku. Gdy umarł, miał tylko 16 lat. Przecież młodzież w tym wieku szaleje, a on musiał podjąć naprawdę dorosłe decyzje, o pozostawieniu rodziny, przyjeździe w zupełnie obce miejsce. Dla mnie był wzorem. „Mało kto o nich pamięta. Nie wiem, gdzie jest grób tych lwowskich żołnierzy, dlatego zaświecamy dla nich znicz pod krzyżem. Ty, Marysiu nie możesz zapomnieć” – mówiła moja kochana mama. Dlatego chciałam byś usłyszała tę historię – zakończyła opowieść smutnym głosem. W zamyśleniu wpatrujemy się w płonący znicz. Ciszę przerywa babcia:

– Już późno, wracajmy do domu. Pewnie jesteś głodna.

Kładę się do łóżka wcześniej. Myślę o Henryku Czekalińskim. Nie rozumiem jego postępowania. Kto poświęca wszystko dla świata, do którego nie należy? Zamykam oczy...

Ktoś potrząsa moim ramieniem. Słyszę „Wstawaj już, wstawaj!”. Przeciagam się i ciągle zaspana rozglądam się dookoła. Coś mi tu nie gra. Nie jestem w domu babci. Wokół mnie kreci się mnóstwo osób. Większość ma przy sobie broń.

– Gdzie ja jestem? – pytam zaniepokojona. Jasnowłosy chłopak, który mnie obudził śmieje się.

– Jesteśmy na zamku w Zębowicach – mówi z wyraźnie innym akcentem. – Przecież to nasza kwatery! A teraz pospiesz się, zaraz ruszamy do ataku na dworzec.

Jakiego ataku? Co tu się dzieje? Nagle przypominają mi się słowa babci: „Nasi powstańcy dzielnie bronili dworca”. Rok 1921 – wybuch III powstania. A ten chłopak, na oko będący w moim wieku to nikt inny jak...

– Zaraz, jak ty się w ogóle nazywasz?

– Masz rację. Nie przedstawiłem się. Sierżant Heniek Czekaliński, Podgrupa „Butrym” Grupy Północnej. Nie mogę uwierzyć. Chciałabym go wypytać o więcej, ale przerywa mi wołanie na zbiórkę.

– Ty jesteś Julia, prawda? Od dzisiaj należysz do naszego oddziału. A teraz chodź.

Nie pozostaje mi nic innego jak pobiec za nim. Uważnie przysłuchuje się słowom dowódcy:

– Jak wiecie rano straciliśmy dworzec, akcja „Zygmunta Powstańca” się nie powiodła, pociąg został uszkodzony. Teraz naszą ostatnią nadzieją jest „Nowak”. Część atakuje z pociągu, reszta idzie za mną. Zbyszek, Franek, Marian i Heniek – uzupełnicie załogę „Nowaka”, a ty... – patrzy na mnie – Nie masz porządnego przeszkolenia, nie wiem dlaczego cię do nas przyjęli. No, cóż... Idź z chłopakami do „Nowaka”. Heniek, pilnuj jej!

– Tak jest, panie poruczniku! – odpowiada głośno Heniek. Wszyscy zaczynają się zbierać. Ja jednak mało rozumiałam z tej przemowy.

– Heniek, a kim jest ten „Nowak”? To ktoś ważny? – pytam. Na to wybucha śmiechem:

– Ha, ha! Nie ktoś, tylko coś! „Nowak” to nasz pociąg pancerny. Doprawdy ten żart ci się udał. Gdy dochodzimy do pociągu, otwieram usta ze zdziwienia. To wielka lokomotywa, para dmucha z jej rozgrzanego komina. Ma siedem wagonów, z jednego wystaje sześć karabinów maszynowych, gdzieś dalej widać armatę. „Łał!” – przychodzi mi na myśl.

– Robi wrażenie, co? – mówi Heniek z uśmiechem, przypatrując się maszynie, po chwili jednak poważnieje – Słuchaj, Julia, nie jesteś przygotowana do walki. Po wyruszeniu schowaj się w wagonie artyleryjskim. Nie wychylaj się, rozumiesz?

– Tak, a co będzie z Tobą? – nie chcę go opuszczać, jest jedyną osobą, którą tu znam, jeśli uznać 15 minut za znajomość.

– Może dadzą mnie do tych karabinów. Nawet nieźle strzelam. Spokojnie, poradzę sobie – uspokaja. Przechodzę na wyznaczone miejsce. Inni ignorują mnie skupieni na swoich zadaniach. Po kilkunastu minutach zbliżamy się do dworca. Rozlega się huk strzałów. Ten dźwięk przeraża mnie. Wciskam się w kąt wagonu i staram się opanować. Padają komendy, po nich strzały. Nie wiem, jak długo to trwa. W końcu pociąg zwalnia i zatrzymuje się. Wyglądam zza stalowej blachy. Chyba wjechaliśmy do tego dworca. Niemców nie widać. Gdy wszyscy opuszczają pociąg rozlegają się wiwaty: „Za dworzec, za „Nowaka”, za powstanie!” i wiele innych. Podchodzę do Heńka, któremu wszyscy gratulują i klepią po ramieniu. Jest radosny, śmieje się i żartuje. Tak jakby tą wcześniejsza potyczka była dla nich igraszką.

– Hej, koledzy broni, proszę o ciszę! Mamy tutaj na zamku wyjątkowego gościa. Dajmy mu przemówić! – woła jeden z oficerów. Na placu staje mężczyzna, starszy może o kilka lat od mojej mamy. Przez tłum przelatuje szept: „To Korfanty, sam Wojciech Korfanty w Zębowicach!” Przypominam sobie tę postać z lekcji historii – Wojciech Korfanty, naczelnik powstania śląskiego, lecz ten starszy wąsaty pan bardziej przypomina mi polityka niż żołnierza.

– Moi drodzy, słyszałem już o waszych chwalebnych zasługach. Dziś przybyłem tutaj, by wypowiedzieć jedno gorące podziękowanie dla ludu śląskiego, za to, że został wierny swoim chrześcijańskim zasadom i swemu przywiązaniu do Polski. Nie okazała się Polska taką, o jakiej marzyliśmy. Ale nie ustajmy w pracy i poświęceniu, aby z niej zrobić Polskę, godną naszych marzeń. Polskę wielką, mocarstwową. Polskę katolicką, praworządną i zawsze sprawiedliwą. Polskę razem ze Śląskiem. Za to dzisiaj walczymy i nie zamierzamy się poddać! – zakończył przemowę, a powstańcy nagrodzili go gromkimi brawami. Rozmowy trwają jeszcze do późnej nocy. Niemcy na pewno nie odpuszczą. Trzeba przegrupować siły, uzupełnić amunicję, nie ma czasu na próżnowanie...

Następne dni przemijają jak wiatr. Heniek opowiedział mi trochę o sobie. Urodził się 8 stycznia 1905 roku w Łęczycach. Uczył się w dość elitarniej szkole – w Lwowskim Korpusie Kadetów. Na wieść o planowanym powstaniu razem z kolegami decyduje o „ucieczce” podjęli bez wahania – palila się w nich iskra służby i walki. Grupkami uciekali z koszar, odziani w pałasze, bez swoich kadeckich mundurów, towarowymi pociągami przedostali się na Górny Śląsk. Tutaj w podgrupie „Butrym” pełnił głównie rolę wywiadowcy. Heniek opowiadał o swoich przygodach, jakby był to dla niego chleb powszedni. Przy nim moje życie wydaje się strasznie błahe – Internet, modne ciuchy – te wartości dotychczas były dla mnie tak ważne...

Mamy pójść do pewnego miejsca po broń. Od dwóch dni wróg też uzupełnia zapasy, więc idziemy dość śmiało. Nie posłaliśmy nikogo na zwiad, dowódca uważa, że lepiej się nie rozdzielać. Nagle znów słyszę ten dźwięk – huk wypalanej strzelby. Ktoś zaatakował nas z zaskoczenia. Powstańcy szybko ustawili się w szyk bojowy. Jednak ja stoję jak sparalizowana. Nie słyszę komend, wiem, że jestem bezbronna.

– Julia, na ziemię! – ktoś krzyczy. To Heniek. Lecz moje nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Mogę tylko patrzeć jak zaraz kula przesyje mnie na wylot. Wystarczy chwila, widzę jak żołnierz spuszcza cyngiel pistoletu. Nagle ktoś odpycha mnie i staje tam, gdzie byłam przed chwilą. Kula nie chybia. Ten chłopak, który w ogóle mnie nie zna, właśnie uratował mi życie. Dwóch powstańców zabiera ledwie przytomnego Heńka pod ramię. Uciekamy do lasu. W końcu ktoś mówi, że się udało, że chyba nas zgubili. Podbiegam do Heńka. Jego koszula zdążyła się już przebarwić na czerwono. Patrzy na mnie wzrokiem częściowo już nieobecny.

– Trzeba wezwać lekarza! Musimy dotrzeć do wsi, kto ma jakieś bandażę?! – krzyczę. Jakiś starszy żołnierz podchodzi i mierzy bacznie okiem Heńka, po czym ze smutkiem kiwa głową.

– Przykro mi, żadne bandaże ani lekarz już mu nie pomogą. Dostał prawie w samo serce.
– Nie, to nieprawda. Coś można jeszcze zrobić, na pewno da się go uratować... – nie wiem kogo próbuję przekonać. Heniek krztusi się, walcząc o oddech.

– To wszystko moja wina. Proszę, wybac mi – moje oczy wypełniają się łzami. Jeszcze nigdy nie czułam się tak bezsilna.

– Nie, Julia – szepcze, widzę, że sprawia mu to wielką trudność. – Kiedy tu przyjechałem, przygotowałem się na to, że mogę nie wrócić. To już takie ryzyko zawodowe – uśmiecha się słabo i z tym uśmiechem umiera. Kto poświęca wszystko dla świata, do którego nie należy? Odpowiedź nasuwa się sama: właśnie tacy ludzie jak on – prawdziwi bohaterzy. Pamięć o nich nie może zostać zapomniana. Nie, ja nigdy cię nie zapomnę, obiecuję...

Otwieram oczy. Leżę w łóżku w domu mojej babci. Jest wczesny rano, ktoś na dole wesoło krząta się po kuchni, radośnie podśpiewując. Wciąż to był tylko sen? Ale wizyta Korfantego, pociąg „Nowak” – tych rzeczy moja wyobraźnia nie mogła tak po prostu wymyślić. Za radą babci idę do biblioteki w tutejszym Domu Kultury. Siadam przy komputerze. Nie włączam Facebooka, tylko wpisuje hasło „III powstanie śląskie Zębówice”. Otwieram pierwszą stronę. Czytam i nie mogę uwierzyć, ale wszystko zgadza się z moim snem. Ciekawe... Może te wakacje nie będą wcale takie nudne? Kto wie ile jeszcze tajemnic może się kryć w tej spokojnej okolicy...

Netografia:

- www.zgszebrowice.pl/
- lwow.zhr.pl/Gaweda,lwowsky_kadeci.html
- www.niezlomni.pl
- www.remierka.eu/historia-lokalna-92-lata-temu-zginal-kapral-hrabia-karol-chodkiewicz-1904-1921
- [pl.wikipedia.org/wiki/Nowak_\(pociąg_pancerny\)](http://pl.wikipedia.org/wiki/Nowak_(pociąg_pancerny))
- pl.wikipedia.org/wiki/Wojciech_Korfanty
- pl.wikipedia.org/iii_powstanie_slaskie
- [pl.wikipedia.org/Zygmunt_Powstaniec\(pociąg_pancerny\)](http://pl.wikipedia.org/Zygmunt_Powstaniec(pociąg_pancerny))
- opolskie.regiopedia.pl

Bibliografia:

- Z. Jasiński, F. Tosch „Kronika jako źródło do dziejów edukacji (przykład Zębówic)”
- M. Wrzosek „Podgrupa „Butrym” w trzecim powstaniu śląskim w 1921 r.” – *Kwartalnik Opolski*
- F. Hawranek „Encyklopedia Powstań Śląskich”

MIEJSCE II

„ECHA TRAGEDII GÓRNOŚLĄSKIEJ W GMINIE ZĘBOWICE”

Autor: Julia Panic

ZGS w Zębówicach
Opiekun: Barbara Puchała

Wojny zaczynają się, kiedy chcesz, ale nie kończą się, kiedy prosisz.

Niccolò Machiavelli

Podczas II wojny światowej okupanci starali się wykazać niemiecki charakter Górnego Śląska. Uznano mieszkańców przedwojennego województwa śląskiego za grupę, którą można odzyskać dla niemieckości. Służyć temu miała przymusowa segregacja ludności na 4 grupy

niemieckiej listy narodowej (tzw. volkslista). Kilkaset tysięcy mężczyzn z rejencji opolskiej – jako obywatele III Rzeszy i reszty prowincji, w wyniku przyznania volkslisty, walczyło po stronie Hitlera.

Tragedia Górnos Śląska rozpoczęła się wraz z wkroczeniem wojsk radzieckich i polskich w styczniu 1945 r. Dla wielu śląskich rodzin, chociaż trudno to sobie wyobrazić, powojenny czas był trudniejszy i bardziej dramatyczny niż sama wojna. Polityka narodowościowa III Rzeszy zaciążyła na mieszkańcach regionu wraz z nadejściem Sowietów, którzy brali odwet na niewinnej ludności za wszystkie zbrodnie dokonywane przez Niemców podczas kampanii na Wschodzie. „Wyzwolenie” Górnego Śląska, szczególnie w zachodniej części, wiązało się z zabójstwami, gwałtami, rabunkami, wywózkami ludzi i sprzętu do ZSRR, umieszczaniem w obozach pracy oraz wysiedleniami Ślązaków zweryfikowanych jako Niemcy. Z rąk czerwonarmistów zginęło co najmniej 2 tysiące cywilów. Ofiarami byli najczęściej starcy, kobiety i dzieci. Na mniejszą skalę morderstwa dotknęły ludność terenów leżących przed wojną po polskiej stronie. W gminie Zębówice skutki „wyzwolenia” były także widoczne. Z opowiadań mojej rodziny i znajomych wynika, że miejscowym bardzo ciężko żyło się po zakończeniu wojny. Wojska, przemieszczające się w kierunku na Górny Śląsk – Berlin, przeszły szybko. Natomiast grupy, które zostały – żołnierze radzieccy – sprawiali tutejszej ludności wiele problemów. Część z nich musiała przed nimi uciekać. Były to przeważnie osoby, uznawane za Niemców, które nie znały języka polskiego. Starsze osoby lepiej pamiętały język, gorzej radziły sobie z nim małe dzieci. Takie rodziny, które nie znały polskiego, umieszczano w obozach, a później wysiedlano do Niemiec.

Czerwonarmiści, przedstawiani przez propagandę komunistyczną jako wyzwolicieli i bratnia armia, w rzeczywistości zachowywali się jak najeźdźcy. W mojej miejscowości, Kniei, spalili szkołę i przejmowali domy wraz z obejściami. Niektóre rodziny zostawiały zajęte gospodarstwa – części z nich udało się je później odzyskać. Początkowo żołnierze zabierali gospodarzom żywność, konie, świnie – w efekcie powszechnie panował głód. Z domów wynosili również sprzęty i przedmioty osobiste.

Większość pochodziła z terenów Azji. Tutejsza cywilizacja była dla nich nieznana, więc nieraz reagowali w irracjonalny sposób: dziwili się, widząc kran z cieknącą wodą, niszczyli obce im urządzenia elektryczne, takie jak radio czy zegarki, ponieważ nie wiedzieli, jak tego używać, rozbijali przetwory w słoiach.

Dochodziło także do aktów przemocy fizycznej – *sałaty* gwałcili młode dziewczyny i mordowali cywilów (wiele ciał odnaleziono w lasach). Często odbywało się to poza kontrolą dowódców. W ten sposób czerwonarmiści odpłacali za krzywdy doznane w czasie wojny. Ludzie chowali wszystkie zdjęcia, dokumenty, mundury, które mogły być dowodem niemieckości. Jeśli ktoś miał amputowaną rękę czy nogę, np. w wyniku pracy w kopalni, od razu podejrzewano go, że stracił ją na froncie. Jednym z dowodów zbrodni popełnionych przez wojska radzieckie jest zbiorowa mogiła, znajdująca się na zębowskiem cmentarzu. Spoczywają w niej niemieccy żołnierze. Wielu ludzi myśli, że pochowano tu Niemców poległych w czasie potyczek z Rosjanami. Prawdziwa historia jest jednak bardziej dramatyczna. Wiedzą o niej tylko nieliczni. Jej świadkami byli mieszkańcy Siedlisk, którzy ukryci w domach widzieli lub słyszeli to zdarzenie.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich, część żołnierzy zatrzymała się w Zębowicach i w Pruskowie. Przebywała tam jeszcze grupa żołnierzy niemieckich. Zaskoczeni, bez stawiania większego oporu, poddali się. Rozbrojonych żołnierzy przesłuchano. Spalono im książeczki wojskowe oraz dokumenty. Następnie poprowadzono jeńców drogą do Olesna w kierunku Osiecka. Zatrzymali się na trasie, przy łące, za którą rósł wysoki las. Rosjanie kazali pojmanym uciekać w tym kierunku. Po chwili rozległy się strzały, które były śmiertelne dla 31 żołnierzy.

Z ciał zdarto wojskowe mundury oraz buty i pozostawiono je w śniegu, gdzie leżały przez tydzień. Dwóm Niemcom udało się uciec w głąb lasu. Ich ciała znaleziono dopiero wiosną i pochowano je w tej samej mogile.

Ofiary tej zbrodni są nadal nieznane, gdyż przed pochówkiem, zabrano im numery identyfikacyjne. Wiadomo jedynie, że byli to ludzie młodzi. Możemy się domyślać, że zostali wcieleni do Wehrmachtu na krótko przed zakończeniem wojny. Do dzisiejszego dnia zbrodnia zostaje niewyjaśniona.



Na zdjęciu obok widać zbiorowy grób, w którym pochowano ciała trzydziestu jeden zamordowanych żołnierzy niemieckich. Mieszkańcy gminy troszczą się o to miejsce, a w Zaduszki przynoszą tu kwiaty i znicze.

Wiele osób z terenu gminy Zębowice zostało także wywiezionych w głąb Rosji. Szacuje się, że jest to około 30 osób, ale nie ma pewności, czy ofiar nie było więcej.

W Kniei spisano dwunastu zesłańców, byli to:

1. Peter/Piotr Prukop – wrócił po roku, pracował w kołchozie
2. Karl/Karol Twardowski – nie wrócił, pochowany na cmentarzu w Tarnopolu
3. Teodor Domin – nie wrócił
4. Paul/Paweł Dawid – nie wrócił
5. Josef/Józef Wojczyk – wrócił latem 1949 r.
6. Franz/Franciszek Schmolka (ojciec)
7. Maksymilian Schmolka (syn)
8. Oskar Grus – wrócił razem z Schmolką po 5 latach w Boże Narodzenie
9. Johann/Jan Opiela – wrócił w 1948 r.
10. Wincenty Bonk – wrócił po 5 latach
11. Teofil Bok – wrócił
12. Rudolf Sikora – wrócił

W tym miejscu pragnę przybliżyć postać jednego z zesłańców.

Piotr Bonk z Kadłuba Wolnego, mąż i ojciec ośmiorga dzieci, górnik z kopalni „Bobrek” w Bytomiu, został wywieziony na Kaukaz między styczniem a lutym 1945 roku. Gdy został internowany, był w wieku 41 lat. Razem z nim przewieziono wagonami bydłocymi mężczyzn w wieku od 15 do 60 lat. Cała podróż trwała około dwóch tygodni.

Na Wschodzie pracował pod przymusem w swoim zawodzie. Z jego opowiadań wynika, że warunki w kopalni były bardzo ciężkie. Górnicy często byli zmuszani do pracy po pas w wodzie. Po kilku latach na Syberii, stan jego zdrowia pogorszył się i tym samym nie był w stanie dłużej pracować. Obawiał się, że zostanie rozstrzelany. Jednak szczęśliwie trafił na Rosjanina, który skierował go do lekarza. Lekarka obozowa potwierdziła, że nie może dłużej pracować w kopalni, więc skierowano go do pracy w kuchni.

Na początku pełnił funkcję palacza i wykonywał prace porządkowe, później został pomocnikiem kucharza. Opowiadał Rosjanom o kuchni śląskiej, szczególnie wychwalał rolandy śląskie. Powiedzieli, że kupią wszystkie składniki potrzebne do ich zrobienia. Postanowił, że zastąpi boczek do roland namoczonym wodą chlebem, po czym podzielił go i rozdał robotnikom. Pracownicy dostawali bowiem bardzo małą ilość jedzenia i było ono mało wartościowe. Za ogrodzeniem obozu stał cmentarz. Panował tam zwyczaj stawiania pośrodku grobu dzbana

wina, a w rogach – placków kukurydzianych. Więźniowie, choć groziła im za to kara śmierci, przechodzili przez płot i zabierali żywność. W sytuacji przyłapania kogoś opuszczającego teren, zmuszano go do wykopywania dla siebie dołu w ziemi, po czym, napełniano wykop wodą do wysokości szyi. Złapana na ucieczce osoba ginęła tak z przemęczenia lub z głodu.

Piotr Bonk wrócił z niewoli po pięciu latach, z pustą walizką, w święto Bożego Narodzenia 1950 roku. Po powrocie nadal mieszkał w Kadłubie Wolnym i pracował w swoim zawodzie. Zaliczono mu pięć lat pracy w Rosji. Opowiadał czasem, ze łzami w oczach, o przeżyciach związanych z pobytem w niewoli. Zapadły mu w pamięci sceny rozstrzelania osób i śmierci innych w wyniku głodu i wycieńczenia.

Jego żona, Monika, sama wychowywała dzieci. Przez dwa lata cierpieli niedostatek i biedę. Często nie mieli co jeść. Starsze dzieci, w wieku 14 lat, by pomóc w utrzymaniu rodziny, zatrudniały się w tartaku, przy pracach sezonowych, w gospodarstwie rolnym, w zamian za pieniądze czy jedzenie. Pamięć o tych dramatycznych wydarzeniach przez wiele lat była skrywana i systematycznie wymazywana przez władze komunistyczne. Ludzie byli w tej sytuacji bezradni, nie mogli mówić głośno o swoich stratach i cierpieniu, ani liczyć na pomoc z zewnątrz. Dopiero wraz z nadejściem roku 1989, wspomnienia ofiar oraz świadków bezpośrednich i pośrednich wyszły na światło dzienne.

Źródła:

- „Tragedia w cieniu „wyzwolenia“. Górny Śląsk w 1945 roku.“, Instytut Pamięi Narodowej w Katowicach
- Rozmowa z panem Gerardem Wonssem, opiekunem Izby Regionalnej w Zębówicach
- Rozmowa z panią Marianną Dylką, wnuczką pana Piotra Bonka
- Lista internowanych w gminie Zębówice w 1945 roku
- Rozmowa z mieszkańcami gminy Zębówice

MIEJSCE II

„SZLAKIEM ZĘBOWICKICH POMNIKÓW W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ”

Autor: Anna Pryszcz

ZGS w Zębówicach

Opiekun: Barbara Puchała

Śląsk to piękny region położony w południowo-zachodniej części Polski, bogaty w zabytki, które świadczą o bardzo burzliwej historii tego regionu. Od stuleci o Śląsk toczyły się walki pomiędzy trzema państwami: Czechami, Niemcami i Polską, co wywarło ogromny wpływ na tożsamość narodową miejscowej ludności. Przez wiele lat Śląsk znajdował się pod panowaniem niemieckim, lecz nie wszystkim to odpowiadało. Rosło niezadowolenie



wśród ludności i coraz większa chęć przynależności do Polski. Dochodziło do różnych antagonizmów. Rodziny dzieliły się na członków opowiadających się za Niemcami lub Polską. Brat powstał przeciw bratu w wyniku czego wybuchły trzy powstania śląskie.

W tej walce mają swój wkład także mieszkańcy gminy, mojej gminy. Wystarczy wspomnieć Augustyna Koja z Zębowic – jednego z organizatorów tzw. powstania oleskiego, czy Izydora Murka, rolnika z Kadłuba Wolnego – znanego działacza chłopskiego, który był propagatorem polskości. Gmina zapisała się na trwałe walkami, jakie toczyły się tu w czasie trzeciego powstania śląskiego. Bitwa pod Zębowicami dzieliła się na 2 etapy: pierwszy okres trwał od 5 do 25 maja 1921 roku, a drugi – od 26 maja do 16 czerwca 1921 roku. Działania na froncie północnym były w istocie „walką o szynę”. Chodziło o odcięcie Niemcom drogi z północy do okręgu przemysłowego. Tak też było w przypadku Zębowic, które leżą na trasie Kluczbork – Fosowskie. Niemcom zależało na przerwaniu frontu, aby uderzyć na tyły podgrupy „Butrym” i oskrzydlić powstańców broniących Góry św. Anny. Nie osiągnęli celu, związani walkami w Zębowicach i okolicy.

Pamięć tamtych dni jest wciąż żywa. Z inicjatywy znanego działacza społecznego, posła na Sejm PRL, Józefa Kwietniewskiego, wybudowany został pomnik poświęcony powstańcom. Znajduje się on przy ulicy Oleskiej 27a, przed budynkiem Publicznego Gimnazjum w Zębowicach.

Ceglany pomnik, pokryty tynkiem miał kształt prostopadłościanu, posadowionego na trzystopniowym podeście i zwieńczonego zniczem w kształcie misy. Malowano go na czarno lub biało. Po renowacji w 2014 roku bryłę obłożono marmurowymi płytami i usunięto znicz. Pozostawiono oryginalną, pamiątkową tablicę, na której widnieje napis:

Chwała Powstańcom poległym za Polski Śląsk 22 lipiec 1959

Monument został odsłonięty 22 lipca 1959 roku. W uroczystości brali udział przedstawiciele władz powiatowych z Olesna i wojewódzkich z Opolą, poczty sztandarowe ZHP, ZBoWiD, Powstańcy Śląscy, 300 osobowa delegacja górników Przedsiębiorstwa Robót Górniczych w Bytomiu, które było fundatorem pomnika, a także kompania honorowa Wojska Polskiego oraz licznie zgromadzeni rodzice i uczniowie szkoły. Była to niezwykle doniosła chwila.

Co roku, 11 listopada, podczas obchodów Święta Niepodległości uczniowie wraz z dyrekcją, nauczycielami, żołnierzami i władzami gminy oddają hołd powstańcom.

Jednym z tych bohaterów był Ignacy Bryś (2.2.1897–17.12.1979) z Zębowic. Szkołę ukończył w Zębowicach, potem pracował w Westfalii jako robotnik w cegielni. W czasie I wojny światowej został wysłany na front do Francji, a następnie do Belgii i Serbii. Po zakończeniu wojny wrócił do Zębowic, gdzie w 1919 r. wspólnie z J. Pryszczem zorganizował grupę Polskiej Organizacji Wojskowej górnego Śląska w Zębowicach. Należał do aktywnych działaczy plebiscytowych. Brał udział w tzw. powstaniu oleskim w 1919 roku oraz w III powstaniu śląskim. Walczył na terenie Olesna, Wachowa, Osiecka, Kadłuba Wolnego, Radawia i Zębowic. Po ogłoszeniu amnestii wrócił do swojej wsi; został pobity, grożono mu śmiercią, dlatego musiał uciec. W czasie II wojny światowej został poddany wraz z żoną torturom przez gestapo. Skutki tych tortur dawały mu się we znaki do końca życia. Odznaczony został Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (dawniej KK OOP) oraz Śląskim Krzyżem Powstańczym. Był członkiem Związku Weteranów Powstań Śląskich oraz ZBoWiD.

Kolejnym powstańcem śląskim o ciekawym życiorysie był Franciszek Ledwig (2.12.1903–5.5.1973) z Radawia. Pracował jako robotnik w majątku radawskim. W nocy z 2 na 3 maja 1921 roku zawiesił polską flagę na zamku w Radawiu. Po zajęciu wsi przez Niemców, został aresztowany i osadzony w Zakrzowie Turawskim. 6 maja zbiegł z aresztu, ukraść konia i zameldował się na placówce powstańczej w Kniei. Walczył na odcinku Myśliń – Zębowice.

W okresie międzywojennym był prześladowany przez Niemców. W 1968 roku został awansowany do stopnia ppor. Odznaczony Śląskim Krzyżem Powstańczym.

Warto jeszcze przypomnieć sylwetkę Teodora Lysego (8.9.1893–10.9.1968), majstra szewskiego z Zębowic, członka POW. 9 czerwca 1919 roku Niemcy urządzili na niego oblężenie, jednak zdołał się schronić w rzece na Borowianach, gdzie przesiedział kilka godzin i dopiero pod osłoną zmierzchu przedostał się do Dobrodzienia. Wrócił do wsi, gdy wszystko się uspokoiło. Brał aktywny udział w akcji plebiscytowej (przez Niemców nazywany był „polskim królem”). Przed powstaniem zajmował się przewożeniem broni i amunicji dla grupy POW. W czasie III powstania walczył w Radawiu i Zębowicach, a po jego zakończeniu udał się do Polski. W 1922 roku otrzymał od rządu polskiego gospodarstwo za Bugiem. Później losy rzuciły go w głąb ZSRR, skąd wrócił w 1946 roku i otrzymał gospodarstwo w Radawiu, którym zajmował się aż do śmierci.

Kolejnym pomnikiem, upamiętniającym wydarzenia z 1921 roku, jest kamień znajdujący się obok Domu Spotkań, przy ulicy Izydora Murka. Pierwotnie zamontowano na nim mosiężną płytę, ale po kradzieży zastąpiono ją marmurową. Widnieje tam napis:

W HOŁDZIE POLEGŁYM POWSTAŃCOM ŚLĄSKIM Z GMINY ZĘBOWICE I UCZESTNIKOM WALK W REJONIE ZĘBOWIC W III POWSTANIU ŚLĄSKIM W 60-ROZNICĘ SPOŁECZEŃSTWO. ZĘBOWICE – MAJ 1981 R.

Obelisk odsłonięto w 1981 roku, w 60. rocznicę III powstania śląskiego. Pomysłodawcą przedsięwzięcia był ówczesny przewodniczący Rady Gminy, Józef Holik.

Niedawno upiękuszono otoczenie pomnika, obsadzając go bukszpanem.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na placu kościelnym znajduje się jeszcze jeden pomnik – tym razem ku czci niemieckich żołnierzy, poległych w czasie obu wojen światowych. Pisząc „niemieckich”, mam na myśli mieszkańców gminy, którzy zostali wcieleni do niemieckiej armii. Na ceglany murku wzniesiono trzyczęściową ścianę, do której przymocowano czarne, granitowe płyty. Środkową część zdobi kamienny krzyż z mosiężną głową Chrystusa. Widnieje na niej napis:

Gedenkstätte der Kriegsoffer

1914–1918 1939–1945

Miejsce pamięci ofiar wojennych

Ewige Ruhe schenke allen o Herr

Z prawej i lewej strony wypisane są nazwiska 226 poległych na frontach całej Europy. W większości byli to bardzo młodzi mężczyźni – aż 68 w przedziale wiekowym 19-24 lat. Wielu z nich pochodziło z tej samej rodziny. Tych, którzy czuli się Polakami, wcielano do Wehrmachtu pod przymusem. Inni, uważający się za Niemców, zgłaszali się na ochotnika.

Pomnik powstał z inicjatywy potomków poległych żołnierzy. Każda rodzina wpłacała na ten cel po minimum 50 zł. Wykonaniem zlecenia zajął się pan Skraba z Bąkowa, właściciel zakładu kamieniarskiego.

Jednym z żołnierzy, którzy oddali życie, walcząc w szeregach armii niemieckiej podczas II wojny światowej był August Weber. Urodził się 22 maja 1919 r. w Zębowicach. Wraz z trzema braćmi został wcielony do Wehrmachtu i walczył na froncie wschodnim. Poległ 22 marca 1942 roku. Po jego śmierci rodzina otrzymała dokument, powiadamiający o stracie członka rodziny. W tłumaczeniu na język polski brzmiał on następująco:

„Z przykrością muszę Państwu powiadomić, iż Państwa syn, der Uffz. August Weber, 22 marca 1942 roku został postrzelony w brzuch i przyjęty do szpitala polowego. Zmarł 22 marca 1942. Składamy Państwu szczere wyrazy współczucia z powodu tak wielkiej straty. Pogrzeb odbył się w Merefie (Rosja). Merefie leży około 20 km na południe od Charkowa. Wszystkie jego prywatne rzeczy zostaną państwu wysłane”.

Burzliwe dzieje minionych pokoleń odcisnęły piętno na budowaniu poczucia tożsamości narodowej moich rówieśników, ich rodziców i dziadków. Jedni, jak przed laty, uważają się za Niemców, inni – za Polaków, a pozostali mówią o sobie, że są Ślązakami. I tylko przyjezdni, którzy nie znają specyfiki tego regionu, dziwią się, jak to możliwe, że w jednej miejscowości wznosi się pomniki powstańcom, walczącym o polskość, a tuż obok – żołnierzom niemieckim.

Źródła wiedzy:

- wywiad z panem Gerardem Wensem, opiekunem Izby Regionalnej
- „Zębownicy Powstańcy”, Zenon Jasiński
- „Kronika szkolna jako źródło do dziejów edukacji (przykład Zębowic)”, Zenon Jasiński, Frank Tosch
- dokumenty z prywatnych zbiorów pana Gintera Wolnego
- wywiad z panem Konradem Dzikowskim, nauczycielem historii

MIEJSCE III

„NIGDY NIE CHODŹ NA RAKWIOŁY”

Autor: Julia Zaręba

PG w Zawadzkiem

Opiekun: Teresa Kemska

Każda miejscowość ma swój własny kanon legend oraz opowiadań z nią związanych. Może się nimi również pochwalić Zawadzkie – niewielkie, malownicze miasteczko położone na granicy województw opolskiego i śląskiego, w powiecie strzeleckim. Uroku i tajemniczości naszym opowiadaniom dodaje niesamowita okolica, miasteczko bowiem usytuowane jest pośród lasów i łąk, w dolinie Małej Panwi. Poza licznymi skrzatami oraz utopkami w leśnych ostępach czai się jeszcze jedno niezwykle stworzenie, o którym chciałabym opowiedzieć.



Zanim przedstawię wam jego historię, musicie wiedzieć, dlaczego zostało ono powołane do życia. W XX wieku w Zawadzkiem wybudowano walcownię oraz ciągarnię rur stalowych. Duża ilość lasów i bliskość wód sprzyjały szybkiej rozbudowie zakładu. Huta w Zawadzkiem stała się miejscem atrakcyjnego zatrudnienia. Do miejscowości zaczęli przyjeżdżać ludzie poszukujący pracy. Zachwyceni okolicą sprowadzali także swoje rodziny i krewnych z całej Polski. Osobom, które wcześniej zamieszkiwały Zawadzkie, niezbyt się to spodobało. Postanowili znaleźć sposób na przyjezdnych, by nie czuli się zbyt pewnie i mogli się w jakiś sposób wkupić do nowego środowiska. Było to wymyślenie stworza, którego nazwali rakwioł. Tego dziwnego zwierzaka przybysz musieli złapać, ale przecież było to niemożliwe...

Jak wyglądał rakwioł? Osobnik miał być mniejszy od sarenki, lecz większy od zająca. Mały, brązowoszary, włochaty stworek poruszał się na dwóch łapach. Mieszkał w norach, na polach niedaleko lasów. Należał do rzadkich okazów, dlatego ludzie wymyślili różne sposoby na jego upolowanie.

Jednym z nich było pójście ze starszymi mieszkańcami Zawadzkiego do lasu, by schwycić rakwioła. Zwykle do łapania tajemniczego zwierzaka wykorzystywano właśnie ludzi zamierzających osiedlić się na naszych terenach. Nie wiedzieli oni jednak o nim nic, więc udawali się do miejscowych po konieczne informacje. Starsi pokazywali miejsce, w którym przypuszczalnie ukrywał się rakwioł. Przyjezdny brał więc koszyk pełen pysznego sernika i butelkę wódki. Podążając za swoimi przewodnikami, przemierzał krętymi, leśnymi ścieżkami szmat drogi. Emocje rosły, w końcu oczom wędrowców ukazywała się malownicza, zielona polana. Młodziak wyjmował zawartość swojego kosza: sernik i butelkę wódki i ofiarował swoim przewodnikom jako podziękowanie. Zostawiali go na polanie, by mógł spokojnie poczekać na rakwioła. Czekał... i czekał... nasłuchiwał i wypatrywał, ale tajemniczego stworka i tak nie ujrzał. Aż nadchodził wieczór i zrezygnowany „myśliwy” postanawiał udać się do domu. Gdy tylko zawadczanie zauważyli zmęczonego chłopca z pustym koszykiem wracającego po zachodzie słońca z lasu, to od razu wiedzieli, że ktoś musiał go wysłać na rakwioły.

Drugim sposobem stosowanym w szczególności w okresie zimowym było łapanie rakwioła w prześcieradło. Każdy szanujący się myśliwy wie, że zwierzęta leśne mają najlepszą sierść w czasie trwania najzimniejszej pory roku. Ludzie twierdzili, że stworzonko to ma najładniejszą sierść ze wszystkich leśnych mieszkańców. Ciekawy przyjezdny postanawiał zapolować na rakwioła, żeby móc go zobaczyć i zdobyć jego puszyste futro. Udawał się po poradę do miejscowych ludzi. Proponowali mu oni rozłożyć białe prześcieradło na środku polany i schować się pod nim. Gdy tylko rakwioł się zbliży, ma go pochwycić i przykryć prześcieradłem. Zadowolony potencjalny mieszkaniec naszej miejscowości wyruszał na wędrowkę w głąb lasu. Dotarłszy na śnieżną polanę, rozkładał białe prześcieradło, chował się pod nim i spokojnie czekał. Było mu bardzo zimno, lecz pocieszała go myśl o przepięknym, puszystym futrze zwierzaka oraz czekającym uznaniu. „Myśliwy” cierpliwie siedział i wypatrywał swojej ofiary. Był bardzo zmarznięty, ale z reguły nie rezygnował. Gdy zbliżał się wieczór, zwierzęta wychodziły ze swoich dziennych kryjówek i straszyły chłopca. W końcu przerażony, zmarznięty i zły biegiem wracał do domu. Wtedy z reguły już wiedział, że z niego zakpiono.

Trzecim sposobem robienia sobie żartów z nowych kolegów było wysłanie ich w okolice huty. Działo się to w czasie nocnych zmian. Mężczyźni często rozmawiali o tajemniczym stworzonku w pracy, by zaciekawić przybysza. Zainteresowany historią dopytywał się o wszystkie szczegóły na temat rakwioła. Nowo zatrudniony pracownik nie znał dobrze huty i łatwo dawał się nabrać. Koledzy wysyłali go w miejsce, gdzie spuszczano z wytrawialni odpady prosto do specjalnego zbiornika. Poprowadzony przez swoich kolegów na Pustki szedł z koszykiem i szukał tajemniczego stworka. Przeprawa przez to niezbyt czyste i nieuporządkowane miejsce zwykle kończyło się źle. Mokry, brudny i zły wracał z polowania na rakwioła. Widząc uradowanych kolegów, uświadamiał sobie, że zrobili sobie z niego żarty.

Opowiadania ludowe podobnie jak legendy występują w różnych wersjach. Tak też odmienne były przekazy informatorów, które powyżej przedstawiłam. Każdy z nich obrazował polowanie na tajemniczego stworka w sposób różny lecz posiadający elementy wspólne. Rakwioł był zwierzątkiem bardzo rzadkim i pożądanym przez nowych mieszkańców. Ciekawi jak wygląda stworek, nie zauważali, że inni mogą z nich tylko sztydzić. Wyprawa na rakwioła stanowiła w tamtych czasach świetną rozrywką dla mieszkańców. Mogli choć na chwilę zapomnieć o swoim codziennym, monotonnym życiu i pośmiać się z kogoś innego. Był to również sposób wkupienia się w nowe środowisko, bo przecież delikwent zabierał jedzenie i picie, które pozostawiał swoim przewodnikom.

Choć stworek był zmyślony, to słyszało się jednak, że naprawdę istniał. Wielu ludzi opowiadało, że pojawiał się on najczęściej w okolicy Pustek. Jest to jeden z najstarszych terenów Zawadzkiego. Jeszcze zanim powstała huta, starsi ludzie wysyłali nowo przybyłych na

rakwioły i mieli z tego powodu świetną rozrywkę. W późniejszym czasie zwyczaj ten też kontynuowano. Krajobraz wokół Zawadzkiego jest typowo równinny i bardzo zalesiony. Sprzyjał więc opowieściom o występowaniu wielu fantastycznych stworzeń, między innymi rakwioła.

Po pewnym czasie ludzie coraz rzadziej przyjeżdżali do Zawadzkiego w poszukiwaniu pracy. Wzmianki o rakwiole zaczęły zanikać. Po tajemniczym stworku zostały tylko wspomnienia i opowiadki, które potem wykorzystywali starsi ludzie do straszenia niegrzecznych dzieci.

Nazwa zwierzątka prawdopodobnie została stworzona z połączenia dwóch wyrazów – rak i wiać. Ma to swoje uzasadnienie. Nowy mieszkaniec po długim oczekiwaniu w czasie mrozu na rakwioła miał całą twarz czerwoną – jak rak. Słyszając szelest i zbliżające się zwierzęta „wiał” jak tylko szybko mógł do domu.

Nigdy nie chodź na rakwioły ... to brzmi jak ostrzeżenie dla naiwnych i łatwowiernych. Sugeruje nam, żebyśmy nie podążali śladem dawnych przybyszów. Rakwioł – zwierzątko fantastyczne, w dużym stopniu symbolizuje właśnie te cechy. Nowo przybyli nie zastanawiali się nad prawdziwością istnienia stworzonka. Liczyła się dla nich tylko myśl, że jeśli go złapią, zdobędą uznanie i akceptację ze strony rodzimych mieszkańców.

Zawadzkie jeszcze w II połowie XX wieku przyciągało przyjezdnych ofertą pracy w hucie oraz pięknym zalesionym krajobrazem. Zwyczaj wkuupywania się nadal pozostał, ale na pewno w innej postaci.

Praca powstała w oparciu o następujące źródła:

1. Relacja ustna:

- Roland Rzepczyk
- Henryk Pałek
- Patrycja Buchwald

2. Strona internetowa:

- www.zawadzkie.pl/index.php/gmina/historia
- <http://www.dawnezawadzkie.cba.pl/ophist.htm>

3. Bibliografia:

- Jerzy Lubos – „ZAWADZKIE – miasto w rozwoju”
- Jan Rajman – „Zawadzkie. Historia i współczesność”

4. Rysunek własnego autorstwa

MIEJSCE III **„HISTORIA W POCZTÓWKACH ZAPISANA...”**

Autor: Damian Pielorz

GZS w Ozimku

Opiekun: Sylwia Widawska

*Warto poświęcić czas i obcując ze wspaniałą przyrodą,
poznać ciekawą historię i przeszłość śląskiej ziemi*

Józef Tomasz Juros

Pewnego słonecznego dnia wybrałem się na dłuższą wycieczkę rowerową po Ozimku i okolicach. Dotarłem do urzędu gminy, gdzie znalazłem parę ciekawych ulotek oraz mapkę naszej gminy, z których później skorzystałem w trakcie trwania mojej „przygody”. Udałem się do pobliskiego Domu Kultury, by dowiedzieć się kilku informacji o historii naszej okolicy.

Korzystając ze strony internetowej naszej gminy, dowiedziałem się, że obszar miasta i wsi do niej należących wynosi około 12 tysięcy hektarów oraz, że Ozimek współpracuje z kilkoma miastami w Europie, takimi jak: Rýmařov, Přerov, Heinsberg, Krompachy. Uczniowie z Gminnego Zespołu Szkół mogą razem działać ze szkołą w Rýmařovie poprzez różnego rodzaju spotkania czy wyjazdy. Co dwa lata organizowane są uroczyste Dni Miast Partnerskich – przemienne: raz w Ozimku i raz w Heinsbergu. Pobliskie tereny leżące w dorzeczu Małej Panwi umożliwiają rozwój agroturystyki, która szczególnie nasiliła się w ostatnim czasie, przyciągając rzesze turystów. Nie brakuje ich również nad zbiornikami wodnymi w Biestrzynie, gdzie można wędkować i oddawać się rekreacji. Swoich sił można wypróbować w stadninach konnych w Antoniowie, Grodźcu i Dylakach, a tutejsza plaża w Grodźcu i w Biestrzynie przyciąga coraz więcej gości. Oczywiście największym „magnesem Opolszczyzny”, a tym samym i naszej „Krainy Dinozaurów”, jest JuraPark w Krasiejowie, który po uruchomieniu w zeszłym roku atrakcji, jaką jest Park Nauki i Ewolucji Człowieka, stał się jeszcze sławniejszy w Polsce. Podczas swojej pierwszej wizyty w tym miejscu, mogłem przenieść się w czasie do mezozoiku i kenozoiku, poznać potężne gady, spotkać się z mamutami czy pomachać do pierwszych ludzi. W Krasiejowie znajdują się również najstarsze szczątki prądinozaurów sprzed 225 milionów lat, a „śląskiego jaszczura z Opola” możemy podziwiać w Pawilonie Paleontologicznym. Ekspozycja to jedyne muzeum na świecie, które działa nad czynnym stanowiskiem paleontologicznym. W drodze do zabytkowego mostu z 1827 wstąpiłem do pobliskiego cmentarza ewangelickiego. Dzięki kilku tablicom, współfinansowanych przez działające, lokalne Stowarzyszenie Dolina Małej Panwi, mogłem poznać życiorysy osób zasłużonych dla Ozimka, między innymi: Johanna Leonhardta Treuheit, który „wpisał się” w historię pobliskiej huty Mała Panew czy Friedricha Ludwiga Wachlera. Tuż przy zabytkowym kościele ewangelickim zobaczyłem pomnik Karla Friedricha Schinkla, który w szczególności przyczynił się dla ówczesnego Ozimka. Po krótkiej chwili udałem się w stronę najstarszego w Europie mostu wiszącego z 1827 roku. Warto dodać, że od kilku lat tuż przy „Perełce Ozimka” działa Muzeum Hutnicze, które prezentuje dzieje hutnictwa w dolinie Małej Panwi od średniowiecza do czasów nowożytnych. Jednak najbardziej zainteresowały mnie pewne „małe arcydzieła”...

Choć historia naszej gminy rozpoczęła się już w neolicie, chciałbym skupić się na jednym z ważniejszych momentów życia i rozwoju gminy, kiedy to powstawały pierwsze kartki pocztowe i znaczki. Warto jednak wspomnieć czas, kiedy ludzie wszystko przekazywali ustnie, a od XIX wieku mogli to również zapisać na kartkach pocztowych, które były ważnym jak na tamte czasy środkiem komunikacyjnym. A przecież koniec XVIII wieku był okresem wielkiej rewolucji przemysłowej w Europie. Zbiegła się ona również w czasie z odkryciem na Śląsku potężnych pokładów węgla. Kartki te przedstawiały często zabytki najbliższej okolicy, obrazy ówczesnych malarzy bądź wydarzenia, które były ważne dla lokalnych mieszkańców. Używano ich również jako najprostsze sposoby reklamy. Początkowo „małe arcydzieła” były drukowane w pracowniach Bytomia, Gliwic i Opola. Później powstawały drukarnie w Ozimku. Czemu akurat tutaj? Ozimek w tamtych czasach był bardzo ważnym miejscem, gdyż znajdowała się tutaj Huta Malapane, która była podstawowym źródłem utrzymania dla bardzo wielu ludzi. Przykładem takich drukarni mogą być: zakład Erich’a Scholza z Malapane – Hüttendorf czy drukarnia Josef’a Röhricha ze Schodni Niwy. I pomyśleć, że najstarsza widokówka pochodziła już z 1895 roku. Dzięki widokom, ludziom na nich przedstawionych i budowiom ukazanych na kartkach pocztowych czy znaczkach, mamy szansę poznania przeszłości naszej małej ojczyzny... „Za Niemca”, jak dawniej mawiano, wydanych zostało wiele takich kart. Babcia opowiadała mi, że: „każdoł wieś je aby na jednej takiej kartce”. Nasza gmina również doczekała się wielu „małych arcydzieł”. A w swojej pracy uchylę wam rąbek historii zapisanej właśnie na nich...



„Malapane O.-S.”, czyli jak to było w Ozimku po 1935 roku

rzono również karczmę. Po skończonej „szuchcie” odpoczywali tutaj hutnicy, jak również okoliczni mieszkańcy bądź przyjezdni.

A „chopy”, jak wiadomo, marudzili na swoje „baby” i opowiadali o Hajdli i jej „rzići”... A „baby” beblały, czyli plotkowały na wyspie... Na pierwszym zdjęciu jest kościół ewangelicki według projektu Karla Schinkla. Widzimy również „Opolską Amazonkę” z wyspą Reh-danz’a w tle. Jak wcześniej wspominałem, „baby” beblały na wyspie. Miały one wtedy czas, by trochę odpocząć od swoich „chopów” i „bajtlów”. O czym wtedy plotkowały kobiety? Otóż rozmawiano wtedy o wszystkich «bezuchach» (odwiedzinach) na przyszły tydzień, o dziółszce dla Józia, czy o odpuszczeniu na „Annabergu”. Było, a właściwie jest to miejsce spotkań okolicznych mieszkańców. Obecnie można skorzystać ze spływów kajakowych, które zabierają nas w długą podróż w dolinie Małej Panwi. Nawet „rybniórze” znajdą tutaj swój „mały kącik”. Tuż obok widzimy dom doktora. Mieszkał i pracował tu doktor Klinge. Lekarze oraz pielęgniarki sprawowali wówczas opiekę medyczną nad pracownikami Królewskiej Huty Malapane. Sprzedawali oni również lekarstwa. Najbliższe apteki znajdowały się w Dobrodzieniu i Opolu. Dopiero w 1919 roku wybudowano punkt sprzedaży lekarstw. Okoliczni mieszkańcy również leczyli się u miejscowego Doktora. Widzieli oni w tym miejscu spokój, pomoc, opiekę, dobrą radę czy miłe słowo Pana Doktora. W dzisiejszych czasach słowo „przychodnia” wzbudza w nas niezbyt miłe skojarzenia. Poniżej widzimy gościniec Karla Wehnera w kolonii Hüttendorf, w którym odpoczywali goście czy przyjezdni. Widzimy również piękną bryczkę, jadącą zapewne na okoliczny targ w Ozimku. Handlowano na nim głównie garnkami i innego rodzaju naczyniami lub przyrządami. Stąd zamiennie używano nazwy Topfmarkt (z niemieckiego Topf – garnek). Targowiska odbywały się co tydzień, w każdą środę. Według

Na stronie tytułowej umieściłem pierwszą kartkę pocztową pochodzącą z 1901 roku. Ukazuje ona dawne zabytki Malapane, czyli Ozimka z XIX wieku wraz z osiedlem hutniczym Hüttendorf. Mieszkali tutaj przede wszystkim pracownicy Huty Małapanew, jak i również sama miejscowa ludność. Mieszkańcy Ozimka używają również zamiennie nazwę Łazy (Łaze). Według księdza Piotra Gołąba „łaz” to miejsce „wyrobione” bądź „uformowane” w lesie, bądź ścieżka. W hutniczej kolonii otworzono również karczmę. Po skończonej „szuchcie” odpoczywali tutaj hutnicy, jak również okoliczni mieszkańcy bądź przyjezdni.

A „chopy”, jak wiadomo, marudzili na swoje „baby” i opowiadali o Hajdli i jej „rzići”... A „baby” beblały, czyli plotkowały na wyspie... Na pierwszym zdjęciu jest kościół ewangelicki według projektu Karla Schinkla. Widzimy również „Opolską Amazonkę” z wyspą Reh-danz’a w tle. Jak wcześniej wspominałem, „baby” beblały na wyspie. Miały one wtedy czas, by trochę odpocząć od swoich „chopów” i „bajtlów”. O czym wtedy plotkowały kobiety? Otóż rozmawiano wtedy o wszystkich «bezuchach» (odwiedzinach) na przyszły tydzień, o dziółszce dla Józia, czy o odpuszczeniu na „Annabergu”. Było, a właściwie jest to miejsce spotkań okolicznych mieszkańców. Obecnie można skorzystać ze spływów kajakowych, które zabierają nas w długą podróż w dolinie Małej Panwi. Nawet „rybniórze” znajdą tutaj swój „mały kącik”. Tuż obok widzimy dom doktora. Mieszkał i pracował tu doktor Klinge. Lekarze oraz pielęgniarki sprawowali wówczas opiekę medyczną nad pracownikami Królewskiej Huty Malapane. Sprzedawali oni również lekarstwa. Najbliższe apteki znajdowały się w Dobrodzieniu i Opolu. Dopiero w 1919 roku wybudowano punkt sprzedaży lekarstw. Okoliczni mieszkańcy również leczyli się u miejscowego Doktora. Widzieli oni w tym miejscu spokój, pomoc, opiekę, dobrą radę czy miłe słowo Pana Doktora. W dzisiejszych czasach słowo „przychodnia” wzbudza w nas niezbyt miłe skojarzenia. Poniżej widzimy gościniec Karla Wehnera w kolonii Hüttendorf, w którym odpoczywali goście czy przyjezdni. Widzimy również piękną bryczkę, jadącą zapewne na okoliczny targ w Ozimku. Handlowano na nim głównie garnkami i innego rodzaju naczyniami lub przyrządami. Stąd zamiennie używano nazwy Topfmarkt (z niemieckiego Topf – garnek). Targowiska odbywały się co tydzień, w każdą środę. Według

mnie, ta kartka „je najgryfniejszą”, czyli najładniejszą.

Tuż obok zamieściłem kolejną „gryfną” kartkę z Ozimka. Główny napis umieszczony w środku kartki „Gruss aus Malapane O.-S.” oznacza „Pozdrowienia z Ozimka, Górny Śląsk”. Na pierwszym zdjęciu widać szkołę i kościół ewangelicki wraz z pomnikiem poległych w I wojnie światowej. W szkole początkowo uczyły się dzieci robotników, gdyż edukację oraz opiekę zdrowotną zapewniała Królewska



Huta. Później uczyły się tutaj również dzieci katolickie i ewangelickie. Babcia opowiadała mi, że młodzi chętnie chodzili do szkoły, a po „skończonej szchicie grały w balla”. Były to czasy, kiedy nie poświęcano czasu „ekranom”, w które dziś wpatrujemy się bez ustanku. Na drugiej fotografii widzimy pocztę i aptekę. Były to bardzo ważne miejsca użyteczności publicznej w gminie. Jak wspominałem wcześniej, aptekę otworzono dopiero w 1919 roku. Na poczcie załatwiano wiele spraw. Oczywiście mówię tutaj o wysyłaniu „małych cudenek”. Niestety, obecnie wysyłanie kart pocztowych stało się „niemodne”. E-mail, Facebook, Skype zawładnęły teraz światem komunikacji. Myślę, że jest to spowodowane tym, że ludzie po prostu nie mają czasu, gonią ich różnego rodzaju sprawy, nad którymi często nie potrafią zapanować. Zgadzam się ze słowami Adama Zagajewskiego, który powiedział, że: „to czas ma ciebie, trzyma cię w garści”

A tu mamy kolejną pamiątkę z XIX wieku. Na pierwszej fotografii widzimy piekarnię Paula Brischa w Hüttendorf. Oprócz świeżego pieczywa, można było tu kupić tzw. artykuły kolonialne. Pracował tutaj również Franz Brisch. Warto dodać, że był on fundatorem krzyża przy ulicy Brzeziny. Niżej widzimy zabytkowy wiszący most z hutą w tle. Jest on najstarszym wiszącym mostem żeliwnym w Europie (1827 rok). Służył on ogólnej komunikacji na trasie Ozimek-Zawadzkie. Jest obecnie największą chlubą gminy. Nie dziwi więc fakt, że znalazł godne miejsce w herbie miasta. A tytuł „Zabytek zadbany” w kategorii *Architektury przemysłowej i dziedzictwa techniki* jest powodem do bycia dumnym z tego miejsca. Tuż obok widać pomnik poległych w I wojnie światowej. Znajdował się on po prawej stronie drogi prowadzącej do kościoła ewangelickiego. Niestety został zniszczony, tak jak inne zabytki z XIX wieku. Nad obeliskiem widać kościół katolicki z „farą księdza”, czyli plebanią. Obecnie często nazywa go się „starym kościołem” bądź „kościółem przy Hucie” Pamiątka z 1921 r.

Na powyższym „cudeńku” z lat dwudziestych XX wieku widać kilka istniejących do dziś zabytków, niestety z jednym wyjątkiem. Mówię tutaj o Urzędzie Hutniczym, który widać w lewym górnym rogu. Znajdował się po lewej stronie mostu wiszącego. Warto dodać, że miejsce to wybudowano jeszcze w XVIII wieku. Jest to zarazem jedna z najstarszych budowli, tak zwanej „starej dyrekcji”. W późniejszych latach służył dyrekcji zakładu. Niestety, budynek, który rozebrano kilka lat temu, był według mnie, jednym z ciekawszych miejsc historycznie związanych z okolicą. Tuż obok zamieszczono kościół i szkołę ewangelicką. Jego projektantem był niemiecki architekt Karl Friedrich von Schinkel. Jednak mieszkańcy wspominają jeszcze czas, kiedy to nabożeństwa odbywały się z zamku hutniczym na terenie huty. Niestety, zamek działający od 1763 roku, rozebrano po 11 latach. Ciekawostką jest to, że pierwszym pastorem i nauczycielem był Johann Christian Richter. Warto dodać, że następcą Richtera – pastor Georg Quint, który pełnił funkcję duszpasterza do 1858 roku – przyczynił się do budowy kościoła ewangelickiego. Jego działalność uhonorowali okoliczni mieszkańcy, którzy nazwali jego imieniem jedną z ulic w Krasiejowie (dzisiejsza ulica Brzeziny). Położenie kamienia węgielnego dokonano 24 czerwca 1819 roku (w uroczystość świętego Jana Chrzciciela), a poświęcenie kościoła nastąpiło w 1821 roku. Wszystkie zabudowania parafii należały wówczas do Królewskiego Wyższego Urzędu Górniczego, mającego swą siedzibę w Brzegu. W prawym dolnym rogu kartki znajdują się: most wiszący i warsztaty hutnicze. Zaś na ostatnim obrazku przedstawiony został dworzec kolejowy w Ozimku na trasie Opole – Fosowskie. Warto dodać, że z początkiem XX wieku działały tu dwie poczekalnie oraz dworcowa restauracja, którą prowadził Wilhelm Przibylla. A lokalne stowarzyszenie lekkoatletyczne Reichsbanner „Schwarz-Rot-Gold” miało tutaj swoją siedzibę.

Na tym zakończyłem podróż w czasie po Malapane. Myślę, że to była bardzo udana lekcja historii, mimo że nie spotkaliśmy po drodze mamutów czy pierwszych ludzi... Warto zwrócić uwagę na to, że stare widokówki, na których historia jest zapisana w postaci graficznych ob-

razów, pozwoliły mi odbyć podróż po dawnym Ozimku/Huttendorfie. Mogłem zapoznać się z rozmieszczeniem obiektów użyteczności publicznej i prywatnych, a jednocześnie porównać ich dawny wygląd z obecnym, bo przecież jeszcze istnieją w krajobrazie Ozimka, chociażby przy obecnej ulicy Wyzwolenia... Należy więc dołożyć wszelkich starań, by pielęgnować i dbać o tego typu świadectwa, by przyszłe pokolenia mogły poznawać historię swej małej ojczyzny lub jak niektórzy mawiają – „swojego Heimatu”. Dzięki pracy i wytrwałości niektórych osób, mogłem poznać, przedstawić i opowiedzieć o wydarzeniach dawnych lat. Takie „małe skarby przeszłości”, a pokazały tak wiele. Niestety, część z nich zaginęła bądź została zniszczona, jak większość zabytków podczas II wojny światowej. W dzisiejszych czasach coraz trudniej do takich pamiątek dotrzeć. Mam nadzieję, że wytrwałość i zaangażowanie, nie tylko członków Stowarzyszenia Dolina Małej Panwi, ale wszystkich mieszkańców gminy, mających świadomość regionalną, przyczyni się do uratowania cennych, często ginących śladów przeszłości.

Praca powstała w oparciu o następujące źródła:

a) Bibliografia

- Juros Józef Tomasz, W Dolinie Małej Panwi, historia fryderycjańskiej osady hutniczej Ozimek/Malapanie od 1754 do 1945, Wrocław.
- Juros Józef Tomasz, Ozimek i okolice na dawnej pocztówce (TEKA 1), Stowarzyszenie Dolina Małej Panwi, Ozimek 2011.
- Juros Józef Tomasz, Historia, zabytki i ślady hutnictwa w Dolinie Małej Panwi, Stowarzyszenie Dolina Małej Panwi, Ozimek/Spórok kwiecień 2012.
- Praca zbiorowa, Górnośląski leksykon biograficzny, Katowice 1997.
- Praca zbiorowa, Niemcy górnośląscy, leksykon biograficzny, Gliwice 2004.
- Praca zbiorowa, ŚLĄSK – Polska niezwykła, Wydawnictwo DEMART, Warszawa 2007.

b) Źródła internetowe:

- <http://ozimek.pl/przewodnik.html>
- <http://www.krainadinozaurow.pl/>
- <http://www.sdmp.pl>

c) Źródła własne

WYRÓŻNIENIE **„TAJEMNICA ŚW. MARII MAGDALENY”** *Autor: Wiktoria Moskalik*

PG w Dobrodzieniu **Opiekun: Ewa Malik**

Ziemia od wieków skrywa swoją tajemnicę. Szczątki dwojga ludzi pochowane są pod kościołem św. Marii Magdaleny w Dobrodzieniu, jedno z nich zwrócona są ku północy, drugie – południu. Tyle wiem. Kim byli? Dlaczego i kiedy zostali pochowani? W jaki sposób? Nikt nie wie. To jest tajemnica ziemi.

O całej sprawie wiadomo niewiele. Swoją wiedzę zgodził się ze mną podzielić ksiądz proboszcz Alfred Waidok. Udało mi się ustalić, że kryptę odnaleziono w latach osiemdziesiątych XX wieku (około 1989 roku) podczas remontu kościoła. Na grobowiec natknęły się dzieci podczas „zwiedzania” świątynnych piwnic. Podczas eskapady odkryły ukryte przejście. Za murem kryło się pomieszczenie o szerokości pięciu metrów. Na ziemi wśród kamieni i gruzu leżały zwłoki. Zachowały się tylko w niewielkiej części. Najciekawszym odkryciem

były buty z ostrogami oraz złote guziki od płaszcza, które wskazują na wiekowość znaleziska, mimo to były one w dobrym stanie. Na uwagę zasługuje też sposób ułożenia zwłok. Leżą one dokładnie pod prezbiterium (najważniejsze miejsce w świątyni). Jedno z ciał leży zwrócone ku ołtarzowi, natomiast drugie w przeciwną stronę.

Ksiądz przedstawił mi najbardziej prawdopodobną wersję. Otóż kościół św. Marii Magdaleny jest bardzo stary (najstarsze wzmianki mówią o roku 1311). Początkowo był on jednak drewniany, niestety spłonął całkowicie podczas wielkiego pożaru w Dobrodzieniu w 1846 roku jak i większość części miasta. W miejscu drewnianej świątyni wzniesiono ceglany kościół, który stoi do dziś. Wewnątrz kościoła możemy podziwiać barokowe rzeźby św. Apolina, św. Barbary i św. Jana Chrzyciela. Duże, łukowate okna wypełnione są witrażami. W kościele znajdują się też trzy obrazy. Jeden z nich umieszczony jest na ołtarzu przedstawia patronkę Marię Magdalenę dwa pozostałe po prawej i lewej.

Z zewnątrz kościół jest otoczony drzewami. Fundamenty współczesnego kościoła położone są tuż nad fundamentami starego i jego kryptą. Tymczasem pod ziemią spoczywały szczątki, o których przez lata zapomniano, a może nie chciano pamiętać. Kości ułożone przodem do ołtarza wskazują na osobę duchowną, a te w przeciwną na osobę świecką – mówi proboszcz parafii. Jak jednak mieli na imię? Kim byli i jak żyli? Może pod podłogą kościoła leży dawny możny ziem dobrodzieńskich, którego dawno chwałę, męstwo, siłę i bogactwo zatarła i skruszyła bezlitosna śmierć. A może co tydzień idziemy do kościoła, nie wiedząc, że kilka metrów pod nami leży pierwszy proboszcz parafii Najświętszej Marii Magdaleny?

A może jednak szczątki nie są aż tak stare? Jest rok 1859. Dziewięć lat po pożarze Dobrodzień zaczyna się odradzać. Status proboszcza piastuje Straus z Dobrodzienia. Nie szczędzi wysiłków, aby odbudować kościół. Pojawiają się też sponsorzy finansujący budowę kościoła. Może mieszkańcy chcąc uczcić proboszcza i ofiarodawcę po śmierci pochowali ich na honorowym miejscu, w krypcie pod kościołem?

Ale dlaczego zakładamy, że cmentarz musi być katolicki? Powszechnie wiadomo, że na dzieje Śląska bardzo ważny wpływ miały Sierodki i Husyci organizujący na Śląsk w 1420 zbrojne napady (rejzy husyckie). Nieopodal Dobrodzienia założyli nawet w 1904 wieś Wikelmont (Bzinica Nowa). Do dziś znajduje się tam cmentarz Bożych Bojowników. Czy więc kości znalezione pod kościołem św. Marii Magdaleny mogą należeć do wyznawców Kielicha z Czech? Nie możemy przecież zapomnieć, że średniowiecznego miasteczka stolarzy nie ominęły wpływy husytów. Przez kilkadziesiąt lat Dobrodzień był miasteczkiem, w którym żyli ewangelicy, których szczątki są pochowane na cmentarzu przy ulicy ks. Gładysza. Dzisiejszy kościół Marii Magdaleny był świątynią Ewangelistów, dlatego niewykluczone jest, że pochowano tam jednego z pastorów np. Schicara lub jego syna i następcę Carla Ludwika Apperokta.

A może krypta pochodzi z czasów tak odległych, że mówi się o nich tylko w legendach? Z czasów przed 966 r., kiedy ziemie Polski zamieszkiwało wiele ludów pogańskich? Znamy sposoby chowania w plemionach kultury łużyckiej. Zmarłych chowano głową ku północy lub południu (co odpowiada ułożeniu tajemniczych zwłok). Na niektórych obszarach Śląska zmarłych grzebano w pozycji embrionalnej, co miało symbolizować podobieństwo początku i końca, nigdy nieustającego kręgu życia (z prochu powstałeś, w proch się obrócisz). Najczęściej spotykane były pochówki całopalne.

Jaka jest geneza tych obrzędów? Jakie miały znaczenie dla ówczesnych ludzi? Co symbolizowały? Czy to przypadek, że zostali pochowani dokładnie pod prezbiterium? Jaką wyznawali religię? Przedstawicielami jakiej kultury byli? Czy ziemia Dobrodzienia skrywa jeszcze więcej zapomnianych grobów? Czy wzorem Paryża, Rzymu i Los Angeles – leży na katakumbach i starożytnych cmentarzach?

Klucz do tych odpowiedzi kryją dawne wierzenia i podania.

Przywiązanie pogan do natury i sił astralnych może pomóc zrozumieć, czym kierujemy przy wznoszeniu świątyń (może w miejscu prezbiterium drzemie mistyczna moc). Dlaczego chowamy zmarłych? Jakie znaczenie ludzie przypisywali śmierci? Czy był to koniec życia, a może odrodzenie?

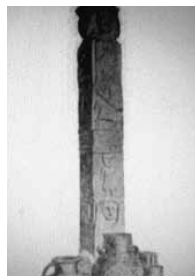
Otóż w większości kultur (chrześcijańskiej, starogreckiej, egipskiej, hinduskiej) śmierć nie była końcem ostatecznym, lecz dawała szansę na odrodzenie się pod inną postacią (przeniesienie nieśmiertelnej duszy do raju, na pola elizejskie, reinkarnacja – dawała nowe życie. Ludy słowiańskie wierzyły, że śmierć jest tylko bramą do innego lepszego, wyidealizowanego, pozbawionego trosk świata i akceptowano każdy jej przejaw.

Opolanie szczególnie cieżko darzyli ziemię. Interpretowali ją jako schronienie, oparcie, azyl. Grób miał więc znaczenie miejsca wiecznego spoczynku w ramionach Matki Ziemi (niech mu ziemia lekką będzie). Z drugiej strony obecna jest tu też tradycja palenia zmarłych, możemy tu szukać odwołania do feniksa, symbolu wiecznego odrodzenia się. Ogień jest siłą niszczycielską, spalanie może też przynosić oczyszczenie (w średniowieczu palono ubrania chorych, aby zniszczyć wirusy), niszczy to co złe, pozwala stworzyć coś nowego na miejscu starego, przynosi oczyszczenie emocjonalne Katharsis (chrzest ognia).

Czy więc dwoje ludzi pochowanych pod Kościołem św. Marii Magdaleny mogą być współplemieńcami prastarych Opolan?

Jedna z legend o powstaniu Dobrodzienia mówi, o mędrцу imieniem Dobrowid. Różne wersje, podania i historie przypisują go do plemiona Opolan, Gothów, Wandalów zmienia się również brzmienie jego imienia. Jak większość pra plemion byli oni koczowniczym ludem. Co więc skłoniło ich do osiedlenia się na miejscu nazywanym później Dobrodzień. Czy mędrzec wyczuł magię tego miejsca? Mówi się, że plemię Dobrowida osiedliło się na terenie Dobrodzienia i tworzył własną kulturę. Wyrabiali narzędzia, dzbany, misy oraz miecze – choć nie byli plemieniem wojowników. Niestety mimo że cywilizacja była na wysokim poziomie musieli opuścić Śląsk. Na tereny dzisiejszego Dobrodzienia przybyło krwawe plemię Hunów. Nie wiemy, co się stało z Dobrowidem. Czy udało mu się uciec wraz z całym plemieniem? Czy stanął do heroicznej bitwy z najeźdźcami gdzie poległ jako bohater?

Możliwe, że umarł zanim na Śląsku pojawili się Hunowie, a jego współplemiennicy pochowali i uczcili. Jakie miejsce mogli wykraść na pochówek człowieka, który znacząco przyczynił się do ich rozwoju. Człowieka, który nauczał wskazywał drogę, pocieszał i doradzał?



Musiało być to miejsce o dużym znaczeniu. Miejsce kultu religijnego. Może prastarzy opolanie wyczuli magiczną aurę wznoszącą się nad Dobrodzień. Może późniejsi chrześcijanie wyczuli samą moc i zinterpretowali to jako znak Boży. Ile tak naprawdę łączy nas z pierwotnymi plemionami? Może nasza tradycja to pozostałość dawnych obrzędów. Może tych dwoje ludzi było Husytami i w swoim czasie najeżdżało Śląsk? Może walczyli w jego obronie?

Może kilkadziesiąt metrów pod ziemią leży założyciel parafii i książe Dobrodzienia. Może zasiali pierwsze ziarna na polach Dobrodzienia? Może żyli na Śląsku, a może tylko tędy przechodzili. Kim więc byli? Jak żyli? W co wierzyli? Jak mieli na imię?

Jestem świadoma tego, że pozostawiłam zbyt dużo pytań bez odpowiedzi, ale właśnie dla tego postanowiłam napisać tę pracę. Uważam, że krypta pod Kościołem św. Marii Magdaleny nie powinna zostać zapomniana, zapomniemy o ludziach, którymi byli i nie ma znaczenia, czy byli poganami czy katolikami, walczyli czy nawoływali do pokoju, tworzyli broń czy garnki, byli możnymi czy biedakami, bo jeśli zapomniemy o nich to wkrótce zapomniemy też o prakulturach, na fundamentach, których zbudowano kulturę europejską. A jeśli zapomniemy o swojej genezie, kulturze i tradycji, wtedy zapomniemy o tym kim sami jesteśmy.

Mam nadzieję, że zainteresuję moimi przemyśleniami historyków, archeologów i naukowców, którzy odpowiedzą na przynajmniej części postawionych w powyższym tekście pytań. Każdy jednak w tej chwili może odpowiedzieć na jedno bardzo ważne pytanie, od którego może znaleźć wszystko inne: „Czy chcę, aby ziemia na zawsze skryła swoją tajemnicę”?

Źródła:

- Rozmowa z ks. Proboszczem Alfredem Waindokiem
- Józef Kostrzewski Pradzieje Śląska
- E. Madeja Krótka historia Kościoła św. Marii Magdaleny w Dobrodzieniu
- legendy o początkach Dobrodzienia,
- wierzenia Słowian,
- strona internetowa gazety NTO z dnia 19 listopad 2009 r.

„JAK TO Z TYM JAJKIEM BYŁO?”

Autor: Martyna Skuła

GZS w Ozimku

Opiekun: Marzena Wolicka-Mazurkiewicz

Jajko jest symbolem życia i witalności. To także początek istnienia wielu istot żywych. Od lat jest składnikiem potraw i jednym z symboli Świąt Wielkanocnych. Czy w naszym regionie są jakieś specjalne tradycje i obrzędy z nim związane? Na Opolszczyźnie podczas śniadania wielkanocnego gospodarz rozdawał każdemu kawałek święconego jajka. Wierzono, że zjedzenie święconego jajka ochroni przed złem. Istnieje jeszcze inna tradycja, polegająca na tym, że każdy uczestnik śniadania wielkanocnego bierze jajo i uderza w jajo kogoś innego. Osoba, która do końca zabawy będzie miała niestłuczone jajko, zaczyna śniadanie wielkanocne. Ale jaja nie są tylko do jedzenia.



Od lat Świątom Wielkanocnym towarzyszą pięknie ozdobione jajka. Ludzie obdarowują się nimi nawzajem. W bardzo odległych czasach jajek nie ozdabiano, ale również ofiarowywano je w prezencie. Podarki składano tylko ze zdrowych jaj. Sprezentowanie jajka o niewłaściwym kształcie, starego albo pękniętego było nieodpowiednim zachowaniem. Od wieków zachwycały się pięknie ozdobionymi pisankami. A kiedy dokładnie na Śląsku pojawił się ten zwyczaj? Tradycja malowania jaj rozpoczęła się za czasów biskupa krakowskiego Wincentego Kadłubka, czyli na początku XII wieku. Zdobiono je na różne sposoby. Wyróżnia się trzy główne techniki: kroszonki, pisanki i naklejanki. Często jesteśmy nieświadomi jak pracochłonne może być wykonanie takiego dzieła. Kroszonki najczęściej wywołują u ludzi zachwyt. Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej na ich temat. W tym celu przeprowadziłam rozmowę z panią Haliną Knosłą, która kroszonkuje od czasów szkoły podstawowej.

Jak każdy obyczaj, kroszonkarstwo jest przekazywane z pokolenia na pokolenie. Na pytanie skąd u pani w domu wzięła się ta tradycja, pani Halina odpowiada:

„To wszystko za sprawą mojej mamy. Jak byłam mała, to ona trochę zdobiła jajka i wtedy ja postanowiłam, że też zacznę. W szkole odbywały się konkursy kroszonkarskie, w których osiągałam sukcesy i z roku na rok robiłam coraz więcej i więcej kroszonek i robię je dalej do dzisiaj”.

Każda praca wymaga odpowiedniego przygotowania. Jak się okazuje w drapaniu jajek nie tylko ważny jest odpowiednio przygotowany warsztat. Liczą się również umiejętności i charakter.

„Trzeba być cierpliwym i spokojnym, bo jak ktoś jest nerwowy to nie wysiedzi tych dwóch godzin w miejscu, bo około tyle trwa zrobienie jednego jajka. Potrzebne jest jeszcze skupienie. Często jest tak, że w tym czasie kiedy człowiek skrobie to zaczyna myśleć o tym czego jeszcze nie zrobił, co musi zrobić i zaraz chce to nadrobić. Wtedy trzeba być wytrwałym, bo nie można przerwać drapania i pójść zrobić coś innego” – mówi pani Halina.

Kiedy już jesteśmy przygotowani mentalnie do pracy, trzeba przyszykować narzędzia. Bardzo ważny jest dobór jajka. Należy być bardzo skrupulatnym i uważnym podczas wybierania. Jajo musi przejść szczegółową kontrolę i spełnić wszystkie wymagania. Najważniejsza jest jakość skorupy, to przecież na niej wszystko będzie wydrapane. Do farbowania najlepsze jest jasne jajo, uzyskany kolor staje się wtedy intensywniejszy. Skorupka powinna być odpowiednio gruba. Jak to sprawdzić? Wystarczy popatrzeć na jajo pod słońce i wybrać to, przez które przechodzi mniej światła, czyli ma ciemniejszą skorupę. Ale to nie wszystko. Należy jeszcze sprawdzić, czy jajo jest odpowiednio zbudowane. W tym celu wkłada się je do wody i obserwuje jego ułożenie. W jajach prawidłowo zbudowanych szerszy koniec unosi się nad dnem. Jajko już wybrane, ale co dalej? O tym jak wygląda cała procedura mówi pani Halina:

„Ja robię tak, że gotuję jajko przez dwie godziny, ale nie w bulgoczącej wodzie. Przez ten cały czas to, co jest w środku, wyparuje przez skorupkę. Jeśli po wyciągnięciu z wody w środku jajka będzie coś stukać, to znaczy, że jest źle ugotowane. Potem farbuje się je. To już zależy od każdego. Ja farbuję w farbach do tkanin, ale można w specjalnych barwnikach do jaj. Potem odstawia się jajko do wyschnięcia i jak już będzie suche zaczyna drapać”.

Kolory kroszonek mają znaczenie. Szczególnie dawniej symbolika była brana pod uwagę, ponieważ wiązała się bezpośrednio z śmigusem-dyngusem. Otóż za polanie dziewczyny i chłopak otrzymywał kroszonkę, ale w odpowiednim kolorze. Dawniej używano tylko naturalnych barwników. Kolor czerwony uzyskiwało się z wywaru z czarnej porzeczki, kwiatu malwy i mieszanin różnych ziół. Jeśli chłopiec otrzymał kroszonkę tej barwy, znaczyło to, że dziewczyna go kocha. Barwnik z łusek cebuli farbował na kolory żółty i brązowy. Brązowe jaja dawano narzeczonym albo młodym małżonkom, natomiast żółte dawało się chłopakowi, którego się nie chce. Oznaczało to, że chłopak ma dać dziewczynie spokój, bo i tak nie ma u niej szans. Kroszonki barwione na zielono, w wywarach z młodych pędów jęczmienia lub pszenicy, dawano chłopcom, którzy chodzili jeszcze do przedszkola albo do szkoły podstawowej, nazywano ich „szkalcami”. Wywar ze świeżego drewna dębowego z opilkami żelaza farbował jajka na fioletowo i niebiesko. Te pierwsze dawano starszym kawalerom w myśl przysłowia „Kto fioletowi pszaje (kocha) – kawalerem zostaje”. Natomiast niebieskie jaja otrzymywali kawalerowie, którzy spotykali się z różnymi dziewczynami. Kroszonki czarne, barwione w korze dębowej, dawano ważnym i szanowanym osobom, takim jak wójt, ksiądz czy nauczyciel.

Jeśli już zafarbumy jajko najwyższy czas zacząć drapać. Tylko pytanie – co na tym jajku wydrapać? Jakie wzory dominują dziś, a jakie dawniej?

„Najpopularniejsze są wszelkiego rodzaju kwiaty, rośliny i trawy. Ja pomysły czerpałam z serwetek i obrusów, bardzo często na oltarzu w kościele, bo one mają powtarzające się wzory. Na konkursach są oceniane tylko te kroszonki, które są w tradycyjnym sposobie, czyli takie gdzie wzór jest poziomo albo pionowo. Tak zwane „dywany”, czyli takie gdzie wzór jest na skos albo w jeszcze inny sposób, nie są oceniane, ale to nie znaczy, że nie można takich robić”. – opowiada pani Halina.

Oprócz wzorów na jajkach często pojawiały się życzenia, wierszyki lub dowcipne teksty. Niektóre z nich brzmią tak: *„Ja za wodą – ty za wodą, jajko Ci to jako podom, niech ten napis*

Cię ośmieli, Byś był u mnie co niedzieli” albo „Kółko mnie się nie obracaj, daremnych słów nie utracaj, bo to wszystko nadaremnie, nie będziesz miał żonki ze mnie”. Można by powiedzieć, że kroszonki były ogromną pomocą w zdobyciu męża lub odpędzenie adoratora.

A co mogły robić kobiety, żeby umilić sobie czas drapania? Podśpiewywać sobie, ale nie obojętnie co. Powstawały krótkie przyśpiewki jajeczne. Na przykład takie:

„Hej kury za wodą, kaczkę za wodą Uciekaj Marysiu, bo Cię poboda
Trzymam jajka w ręce Jakby mego Janka Chętnie wzięłabym go Dzisiaj na kolanka
Hej kury za wodą, kaczkę za wodą Uciekaj Marysiu, bo Cię poboda
Skrobię sobie skrobię I tak cicho nucę Co mu w domu zrobię Jak do niego wrócę”.

Z biegiem czasu wszystko zaczyna się zmieniać. Powstają specjalne barwniki, narzędzia i inne techniki zdobienia jajek. W latach sześćdziesiątych XX wieku na Opolszczyźnie zaczęto stosować nową technikę naklejanek. Oprócz naklejania sitowia bardzo popularne stało się zdobienie jajek kolorowymi wstążkami, nitkami i koralikami. Również wzory kroszonek nie zawsze były takie same. W połowie XX wieku na jajkach były skrobane duże i wyraźne wzory. Z biegiem lat wszystkie kształty stają się coraz mniejsze i coraz bardziej precyzyjne.

Nowy styl kroszonkarstwa powstawał podczas konkursów. Wówczas spotykały się kobiety z różnych regionów i każda mówiła jakie są charakterystyczne wzory u niej w okolicy, a kiedy już się nasłuchały to zaczynały mieszać – trochę z tego regionu, trochę z innego i dlatego spotykamy się dzisiaj z tyloma różnymi jajkami.

Skorupka jest krucha i trzeba bardzo dbać o kroszonki, żeby nie uległy zniszczeniu. Jeśli wszystkie jajka się pozbijają, kolejne pokolenia nie będą miały czego podziwiać. Kroszonkarki znalazły swoje „domowe” sposoby, żeby utrwalić jajka.

„Ja utrwalam przezroczystym lakierem do paznokci, ale można też lakierem w spray’u. Jajko dzięki temu się błyszczy i nawet jak ktoś dotknie brudnymi rękami to nie zmieni jego wyglądu” – opowiada pani Halina.

Wiadomo, że każdy zajmujący się skrobaniem ma trochę inne nawyki i metody. Czas płynie. Odchodzi się od starych obyczajów, każdy próbuje wnieść coś nowego do kroszonkarstwa. To niesamowite, jak wielkie wrażenie może na nas wywrzeć coś tak niewielkiego. Podczas jarmarków i różnych wystaw możemy zobaczyć najróżniejsze jajka – od kurzych przez gęsie do strusich. Jednym z bardziej znanych imprez jest coroczny Jarmark Wielkanocny w Muzeum Wsi Opolskiej w Bierkowicach. To muzeum dba też o kontynuację tego obrzędu organizując konkursy. To niesamowite, jak wielkie wrażenie może na nas wywrzeć coś tak niewielkiego. Możemy być spokojni, że ta tradycja przetrwa bardzo długo i kto wie – jakie sposoby na ozdabianie jajek wymyślą kolejne pokolenia?

„O DIABLE, KTÓRY STRASZYŁ NAD RZEKĄ MAŁA PANEW”

Autor: Agata Misiek

ZSG w Żędowicach

Opiekun: Anita Stachowska

Mała Panew to malownicza rzeka przepływająca przez miejscowości naszej gminy: Kielczę, Żędowice i Zawadzkie. Jej brzegi porastają stare drzewa i gęste krzewy, a piaszczyste brzegi odcinają jej zakola od zielonej ściany lasu. Woda w rzece płynie spokojnie, ale zwiększa swój nurt pod drewnianym mostkiem w okolicy Huty „Andrzej” w Zawadzkiem. Znajduje się tu tak zwana „Kocia Góra”, na którą dawni pielgrzymi prawdopodobnie chodzili się modlić.

Obecnie „Kocia Góra” to nieduże wzniesienie na terenie Nadleśnictwa Zawadzkie, miejsce zimowych zabaw dzieci i młodzieży.

Z tą okolicą związana jest jednak pewna legenda...

Dawniej w okolicach „Kociej Góry” zawitać można było do schowanej pomiędzy drzewami gospody pani Ludmilly. W ciągu dnia najczęściej spotykało się tutaj furmanów bądź podróżnych handlarzy. Wieczorami, po polowaniach, zaglądali do przytulnej gospody leśnicy. Pani Ludmilla była bardzo otwartą, skłoną do żartów osobą. Jej gościnność znana była w całej okolicy, tak więc gospoda najczęściej była pełna gości. Szczególnie dużo było ich zimą, gdy narciarze i saneczkarze zjeżdżali w dół z Kociej Góry. Wesoło było także zimowymi wieczorami, gdy grupa leśników zasiadywała przy swoim stoliku przy grogu i grzonym winie.



Pewnego razu, późnym wieczorem, gdy gospodyni zamknęła drzwi wejściowe i zabrała się do sprzątanía lokalu, ktoś zapukał w okno. Pani Ludmilla, zdziwiona i zaniepokojona, wzięła ze stołu płonącą lampę, podeszła do framugi okna i podniosła lampion do góry, by lepiej zobaczyć późnego gościa. Ukazała się przed nią dziwna i mroczna postać handlarza. Zapytała go, czego szuka tutaj o tak późnej porze.

– Droga pani, proszę mnie wpuścić do środka przynajmniej na godzinę. Chciałbym skosztować tych posiłków, które znane są w całej okolicy i do

tego trochę się ogrzać. Obiecuję, że zapłacę pani sówicie – powiedział przybysz.

Twarz gospodyni rozpromieniła się, a jej złowrogie spojrzenie zniknęło. Postanowiła wpuścić gościa do środka. Otwierając drzwi, rzekła do niego:

– Wejdz, wędrowcze, w imię Boga naszego jedyne!

Handlarz zmieszał się po tych słowach i zaczął zwlekać z wejściem do środka. Pani Ludmilla pomyślała: „Najpierw mu się śpieszy, by wejść do mojego domu, a teraz się zastanawia. Raczej nie chce mieć nic wspólnego z imieniem Bożym...”

Wtedy jednak obcy przekroczył próg domu i podążył za gospodynią. Usiadł przy stałym stoliku leśników i patrzył na kobietę z szelmowskim uśmiechem. Po chwili rzekł:

– Tutaj, przy piecu kaflowym, jest najcieplej, droga pani! Teraz poproszę o kubek grzanego wina i o jakiś ciepły posiłek z pani nieziemskiej kuchni! Czuję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi!

Gospodyni powtórzyła z przekąsem: „Dobrymi przyjaciółmi...”

Odwróciła się na pięcie i udała się do kuchni. Podczas gdy przygotowywała posiłek, mówiła sama do siebie: „Mogłam go nie wpuszczać... Widać, że tylko pije, nawet kąpieli na bierze. Tak, zapłaci sówicie – przecież widać, że pieniędzy ten człowiek nie ma!”

Dokończyła posiłek i wróciła do swojego gościa. Kiedy odsuwała krzesło, aby usiąść obok niego, popatrzyła na jego stopy. Stara gospodyni aż skurczyła się ze strachu i zbladła na twarzy! To były stopy diabła! Ale nawet fakt, że ma do czynienia z wcielonym diabłem, na dłuższą metę nie wyprowadził jej z równowagi. Już po chwili wrócił jej dobry humor i bez wahania usiadła obok jedzącego gościa. Zapadła między nimi cisza, którą gospodyni postanowiła przerwać. Zwróciła się do swojego nowego „przyjaciela”:

– Smakuje? U starej Ludmilly serwuje się pieczeń taką, jakiej nawet diabeł na ogniu piekielnym nie przyrzędzi!

Handlarz o mało nie zakrztusił się kawałkiem mięsa. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa. Po chwili rzekł:

– Ty jesteś baba z piekła rodem! Jak rozpoznałaś, kim jestem?

Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

Ludmilla odpowiedziała:

– Nie była to trudna zagadka. Za dużo pijesz, jak na szlachetnego pana. Nie pachniesz jak handlarz. A twoje stopy! Możesz je rozłożyć, jak daleko tylko chcesz i może jestem już stara, ale potrafię jeszcze rozróżnić palce od kopyt! A teraz powiedz mi, czego tu szukasz?

Gospodyni nabrała pewności siebie i spojrzała na diabła. On zaśmiał się wesoło, po czym powiedział:

– Jesteś bardzo odważna, droga pani, ale przede wszystkim potrafisz dobrze gotować. Taka żeńska istota, jak ty, przydałaby mi się w moim podziemnym królestwie. Nasza matka jest już stara. Traci wzrok i nie potrafi już gotować. Rozpocząłem poszukiwania tutaj, na ziemi, kogoś, kto ją zastąpi. Odwiedziłem tyle gospód! I znalazłem ciebie. Jesteś, matulu, najlepszą gospodynią, jaką widziałem.

Popatrzył na zdziwioną kobietę i dodał:

– W piekle jest bardzo przyjemnie. Niczego ci nie zabraknie, jeżeli się o to martwisz. Spełnimy każde twoje życzenie, kochana matulu.

– W imię Boga! Nie nazywaj mnie „matulą”! Przede wszystkim zostaw twój pomysł w piekle! – krzyknęła gospodyni.

Odchodząc raptownie od stołu, strąciła kilka naczyń i przewróciła krzesła. W rzeczywistości była bowiem trochę przestraszona i zastanawiała się, jak pozbyć się niesamowitego gościa. Szybko jednak doszła do siebie, podążyła do kuchni i postanowiła, że ugotuje diabłu prawdziwie diabelski napój. Użyła do jego przygotowania ogromnej ilości pieprzu, najmocniejszej gorzalki, jaką miała i różnych ostrych ziół. Zrobiła ten napój w nadziei, że pozbędzie się w ten sposób diabła.

Wróciła do swego gościa i podała mu napor. Powiedziała mu, że może sprawdzić, czy rzeczywiście nadaje się na gosposię samego Lucyfera. Diabeł, nieświadom niczego, wypił wszystko – w jego oczach zaświeciły się czerwone ogniki i zakaszłał tak głośno, aż porcelanowe dzbanki zaczęły się trząść na drewnianym kredensie! Kiedy mógł już normalnie oddychać, rzucił pani Ludmille wyzwanie:

– Zagrajmy w kości!

Po czym szybko dodał:

– Jeśli wygram, pójdiesz ze mną. Jeżeli będzie odwrotnie, będę po wsze czasy unikać tych stron. Nie znam się wprawdzie na grze w kości, ale prawdziwy diabeł potrafi nauczyć się wszystkiego. Nawet gdybym przegrał – zaznaczył jednak – wrócę tu jutro jeszcze raz, by w ciemnościach pożegnać się z tobą lub zabrać cię do piekła!

Zanim rozpoczęli grę, gospodyni przygotowała jeszcze więcej diabelskiego napoju, bo miała już w głowie plan, jak unicestwić swojego przeciwnika. Rozpoczęli grę. Diabeł bacznie obserwował, jak pani Ludmilla rzucała kostkami. Kiedy była kolej diabła, rywalka zachęcała go do zrobienia łyku napoju. W momencie, gdy diabeł kaszlał zachłyszawszy się naparem, obracała kości tak, że wygrywała. Została zwyciężczynią pojedynku. Diabeł ze smutkiem musiał przyznać, że wygrała. Jednak obiecał jej, że wróci do niej jutro wieczorem, aby się najeść. Gdy opuścił gospodę, zmęczona staruszka usiadła na krześle. Zaczęła się modlić. Podczas rozmowy z Bogiem wpadł jej do głowy genialny pomysł. Aż podskoczyła z radości na krześle i powiedziała sama do siebie: „Mam!”

Następnego wieczoru staruszka siedziała spokojnie i wyczekiwała na swojego gościa. Gdy rozległo się pukanie, pani Ludmilla wstała i podeszła do drzwi. Zobaczyła w nich diabła. Otworzyła. Szatan z uśmiechem spoglądał na gospodynię. Zapytał:

– Rozważyłaś moją propozycję? Pójdiesz ze mną do mojego królestwa?

– Nie jestem całkowicie przekonana. Daj mi jeszcze chwilę do namysłu. Czy w tym czasie mogłabym poprosić cię o drobną przysługę? – zapytała.

– Zrobię wszystko, co mi każesz, jeżeli tylko zostaniesz moją kucharką w piekle – obiecał diabeł.

Gospodyni założyła na głowę chustę i zaprowadziła Lucyfera na drewniany mostek nad Małą Panwią. Spojrzała na diabła.

– Widzisz po tamtej stronie – pokazała – przed tamą, ten wystający z wody drewniany pal? Za każdym razem, gdy na niego spoglądam, denerwuję się, gdyż zakłóca on równomierny spad wody z tamy.

– Obalę go jednym ruchem dłoni! – odparł diabeł.

Wskoczył do wody, śmiejąc się. Zanurzył się w rzece i po chwili wypłynął na powierzchnię obok wystającego pala. Obrócił się w stronę mostu, pomachał starej ciotce i wykrzyknął:

– Popatrz, ja wszystko potrafię!”

Podniósł prawą pięść i z całej siły uderzył w pal. Zaledwie jednak jego ręka dotknęła drewna, zakrzyknął ponownie:

– Auuuu!

Zagrzmiał, zawył, zahuczał jak burza i z potężnym hukiem zniknął na zawsze w odmętach Małej Panwi. Stało się tak, ponieważ chytra gospodyni poprosiła leśników, którzy u niej jedli, aby postawili przed tamą drewniany krzyż – tak, by tylko jego góra wystawała z wody i by diabeł nie mógł go rozpoznać. Tak oto pani Ludmilla wyprowadziła diabła w pole. Nie była odtąd więcej przez piekło nękana aż do końca swych dni. A ludzie po dziś dzień mogą spoglądać na drewniany pal wystający z wody przed tamą na Małej Panwi...

Zapraszam, przyjdźcie go zobaczyć. Mała Panew to rzeka pełna tajemnic...

Bibliografia

www.dawnezawadzkie.cba.pl/legendy.htm

Rozmowa z babcią Gertrudą Lonczyk

„SZLAKIEM KAPLICZEK DANIECKICH”

Autor: Wiktoria Jaksy

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni Opiekun: Jolanta Gawlyta

Jestem młodą dziewczyną, ciekawą świata uczennicą Gimnazjum w Dębskiej Kuźni. Marzę o dalekich podróżach, o poznawaniu ciekawych miejsc i ludzi. Mam szczęście, że rodzice dzieląją moją pasję i mogę z nimi podróżować po Polsce i Europie.

Kiedy wracamy z wakacji pełni wrażeń i obrazów miejsc, które poznaliśmy, moja babcia często powtarza: „swego nie znacie, cudze chwalicie”. Babcia to mądra kobieta, więc może warto poznać kawałek „mojej małej ojczyzny”, tego miejsca znanego mi od dziecka.

Przypomniały mi się słowa utworu Włodzimierza Słobodnika, który wyznał:

„Wielki jest świat, lecz mały skrawek ziemi,

Na której żyję,

O wiele większy od całego świata...”

Dlatego postanowiłam, że wybiorę się na wiosenny spacer szlakiem kapliczek danieckich.

Mieszkańcy Śląska są bardzo religijni, a przydrożne kapliczki są tego wyrazem. To dowody wiary naszych przodków, którzy budowali je z różnych powodów. Są takie, które stanowiły wotum za cudowne wyzdrowienie, szczęśliwy powrót z wojny albo takie, które miały chronić mieszkańców wsi przed złem i nieszczęściami. Każda z nich związana jest z inną historią. Jedne były stawiane przez całą wieś, inne przez jednego fundatora. Wszystkie wrosły w nasz krajobraz, a mieszkańcy Dańca starają się dbać o te perełki naszej architektury.

Mój spacer zacznę od tej kapliczki, przed którą zatrzymują się ci, którzy wjeżdżają do Dańca od strony Dąbrowic, od *Golcowej Kapliczki*.

W Dańcu, na pagórku przy drodze z Dańca do Dąbrowic stoi od niepamiętnych czasów kapliczka. Murowana jest z kamienia, otynkowana i ma daszek kryty dachówką. W środku za żelazną kratą stoi rzeźba św. Jana Nepomucena. Ze wszystkich stron świata jest ten pagórek widoczny. Św. Jan strzeże danieckie pola od nieurodzaju, nawałnicy, gradobicia, zaś mieszkańców Dańca i ich dobytek – od choroby, zarazy i wszelkich innych klęsk. Kapliczka ta stała kiedyś samotnie w polu, oddalona od wsi. W latach po drugiej wojnie światowej, do św. Jana w swojej samotnej małej świątyni przywędrowała wieś. Wybudowano wzdłuż tej drogi kilka budynków. Przy samej kapliczce mieszkańcy posadzili niegdyś kilka drzew.



„Świat się zmienił, zmieniły się obyczaje i zwyczaje. Święty Jan już dawno nie widział kosiarzy wracających wieczorem z pola do domu. Już dawno nie siedzieli oni u stóp tej kaplicy, posilając się po pracy. Już dawno nie słyszał tętentu galopujących koni, za to znalazł się wśród mieszkańców Dańca – tych z prawej i tych z lewej strony, a także tych, którzy już poszli na wieczny odpoczynek. [...] Ukłońmy się nisko kiedy przechodzić będziemy obok tej kapliczki i danieckiej nekropolii, gdzie podają sobie ręce Śmierć i Życie. Ci, co tu spoczywają przemawiają do nas, jakby nas chcieli ostrzec.”

Pisał pan **Konrad Mientus**.

Druga to *Kapliczka Matki Boskiej*

(zwana również zwyczajowo „Kapliczką na Kolonii”)

U nas w Dańcu, kilkaset metrów od wioski istnieje Kolonia naszej miejscowości. Tu – na skrzyżowaniu dróg, na skraju lasu stoi piękna kapliczka. Wrosła ona już w nasz krajobraz. Zdobi naszą miejscowość od zawsze, jak daleko sięga pamięć mieszkańców. W naszej małej ojczyźnie kapliczki to coś normalnego. My młodzi nie zastanawiamy się jak powstały. Po prostu są. Tak jest również z tą świątynią na Kolonii. I choć nieznana jest przeszłość tej kapliczki, to tu była świadkiem wydarzeń II wojny światowej.

„Wynurza się z lasu jakby monstrancja z tabernakulum”

Pięknie mówił o niej **K. Mientus**

Pomimo iż mieszkańcy zawsze dbali i dalej dbają o porządek i kwiaty, to kapliczka wymagała gruntownego remontu. Dokonał tego w latach 70-tych nieżyjący już Józef Cichoń – najbliższy sąsiad. Oraz inni mieszkańcy. Świątynia została wzniesiona po roku 1968 w samym środku wsi. Obiekt miał pełnić funkcję dzwonnicy. Prawdopodobnie dlatego została wzniesiona ta kaplica. Wcześniej w tym miejscu znajdowała się inna kapliczka, która została rozebrana ze względu na jej stan. Dzwon, który od dawna służył w starej kaplicy został również powieszony w nowej. W ten sposób kaplica ta przerodziła się w dzwonicę i zastąpiła tę poprzednią. Od momentu wzniesienia nowej kaplicy- dzwonnicy, ta świątynia stała się miejscem sprzyjającym kulturowaniu lokalnej pobożności. Dawnej to stąd wyruszały pielgrzymki wiernego ludu do

sanktuarium na Górze świętej Anny. Przy tej kaplicy odprawiano nabożeństwa majowe, ta tradycja pozostała do dnia dzisiejszego. W tej kaplicy znajduje się duża figura Matki Bożej, która służy również dzieciom Marii z Dańca podczas ważnych wydarzeń kościelnych w naszej i sąsiednich parafiach.

Chciałabym, aby o nasze kapliczki troszczyli się wszyscy. Żeby dalej chroniły nas przed złem i nieszczęściem. Żeby moje dzieci i dzieci moich dzieci mogły tak jak ja wybrać się na spacer szlakiem kapliczek danieckich.

„HISTORIA OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ W ZĘBOWICACH”

Autor: Anna Tokarczyk

ZGS w Zębolicach Opiekun: Barbara Puchała

Każde miejsce, każda rzecz na świecie ma swoją własną, niepowtarzalną historię. Jedne są znane i rozpoznawalne przez wszystkich, a inne tylko przez niektóre osoby we wsi czy mieście. Święty Florian, patron strażaków, szczególnie musiał strzec jednostkę OSP w Zębolicach, ponieważ może się ona pochwalić niezwykłą przeszłością. Niestety, zaledwie garstka mieszkańców zna opowieści z dawnych lat (niektóre sprzed wojny) o *fojermanach*, którzy z narażeniem życia ratowali ludzi i ich dobytek.



Początki zorganizowanej działalności przeciwpożarowej sięgają połowy dziewiętnastego wieku, a dokładniej miały miejsce po wielkim pożarze w majątku ziemskim w 1888 roku. Zakupiono wówczas ręczną pompę i sprzęt do gaszenia ognia oraz wyznaczono ludzi, którzy mieli zajmować się obsługą sprzętu. I to właśnie powołanie pierwszej brygady pożarowej przyczyniło się do powstania zorganizowanego ruchu strażackiego na terenie Zębolic. Straż mie-

ściła się początkowo w szopie, w majątku, a po wojnie została przeniesiona do remizy na ulicy Murka, obok GS w Zębolicach. Jednostka działała w tamtym okresie tylko we wsi Zębolicie i zajmowała się ochroną domów i majątków. Niestety, z tego okresu nie zachowały się żadne dokumenty świadczące o ważniejszych akcjach ratowniczo-gaśniczych.

W roku 1902 roku powołano do życia po raz pierwszy jednostkę Ochotniczej Straży Pożarnej. Jej założycielami byli: pierwszy prezes – Hugon Mucha, naczelnik OSP – Jan Barnert, oraz skarbnik OSP – Kanywiser. Wówczas siedziba OSP została przeniesiona do nowego pomieszczenia, które było własnością Władysława Niedźwiedzia. Wtedy też znacznie rozszerzył się rejon działania. Brano udział w akcjach ratowniczo-gaśniczych również poza terenem byłego powiatu. Odwagą i poświęceniem wykazali się ochotnicy podczas gaszenia wielkiego pożaru w 1905 roku w Grodźcu koło Ozimka, który trwał 4 dni i spalił 107 budynków. Podobnie było w czasie akcji gaśniczej w Dobrodzieniu w 1907 roku, gdy jednostka OSP w Zębolicach zajęła I miejsce wśród załóg z kilku powiatów.

W 1909 r. w Zębowicach miał miejsce pożar, w którym spłonęły kolejno: stodoła na placu majątkowym obok kuźni, obora, chlewnia i stodoła obok zamku, stodoła parafialna oraz stodoła i inne zabudowana na terenie ówczesnej Szkoły Zbiorczej w Zębowicach. Żywiół szalał trzy dni i przesuwiał się łańcuchowo. W akcji ratowniczej brały udział jednostki z Opolą, Kluczborka i Olesna.

Podczas wojny większość strażaków została powołana do wojska. Dlatego zorganizowano obowiązkową jednostkę straży pożarnej. Po wojnie przywrócono działalność straży ochotniczej, ale w całkiem nowym składzie. Uaktywnienie OSP nastąpiło w czasach międzywojennych z powodu poprawy usprzętowania oraz podnoszenia poziomu wyszkolenia członków. W 1932 roku jednostka OSP w Zębowicach zakupiła motopompę wraz z jej wyposażeniem, a dotychczasową pompę ręczną przekazano OSP w Ozimku. Przydatność motopompy sprawdzono w czasie akcji na terenie tartaku w Oleśnie. Od tej pory pożary nie były już takie groźne.

Staż, w opisywanym okresie, nie prowadziła działalności profilaktycznej. Wysiłek koncentrowano głównie na szkoleniu członków – podczas spotkań dwa razy w tygodniu oraz przez udział w ćwiczeniach. Fundusze na cele przeciwpożarowe uzyskiwano ze składek członków wspierających i społeczeństwa, dotacji gminnej oraz z tytułu premii za udział w akcjach gaśniczych.

Kolejne zdekompletowanie nastąpiło w latach 1939–1945. Było ono tak poważne, że w okresie wojennym działała jedynie drużyna młodzieżowa oraz Kobięca Brygada Pożarowa. Pożar w Kadłubie Wolnym w 1942 roku, w którym spłonęło pięć gospodarstw oraz pożar plebanii w Zębowicach w 1945, były ważniejszymi wydarzeniami z tamtego okresu. Jednak bardzo często dochodziło również do pożarów lasów, przy gaszeniu których brała udział nie tylko jednostka OSP w Zębowicach, ale również mieszkańcy.

Pierwsza próba wzniesienia nowej siedziby remizy strażackiej w Zębowicach w 1939 roku nie powiodła się, pomimo posiadania na ten cel funduszy w kwocie czterech tysięcy marek. Pieniądze zostały przeznaczone na cele wojenne, dlatego budowę przełożono na okres późniejszy.

Działalność OSP wznowiono po wojnie w 1946 roku. Jednym z pierwszych, którzy podjęli się odbudowy jednostki OSP był komendant z okresu międzywojennego, Paweł Bawaj. Zgromadzone środki zostały i tym razem wykorzystane na wykończenie innych budowanych już obiektów. Dzięki temu, że państwo przeznaczyło pewne fundusze na dofinansowanie rozwoju ruchu pożarniczego, zakupiono najnowszy sprzęt gaśniczy oraz wyposażenie osobiste każdego strażaka. Rozszerzono formy działania również na innych odcinkach, dzięki czemu wzrosła ranga i autorytet OSP w środowisku.

W 1946 roku nastąpiły znaczne zmiany w usprzętowaniu. Zakupiono po raz pierwszy do alarmowania syrenę ręczną, a w 1958 syrenę elektryczną. W tym samym czasie poprawiało się wyposażenie w sprzęt gaśniczy, ochrony osobistej i środki transportu.

Od roku 1948 prowadzono szkolenia, ponieważ uważano, że usprawni to gaszenie pożarów. W straży zaczęły działać drużyny młodzieżowe i żeńskie, aktywne w latach 1965–1974. Przygotowywano również młodzież szkolną do działalności w OSP.

Pierwszy samochód pożarniczy oraz drugą motopompę kupiono w 1963 roku. Poprawiło to skuteczność działania straży i pozwoliło utworzyć dwie sekcje pożarnicze.

Dzięki zorganizowaniu świetlicy strażackiej, w 1958 roku upowszechniła się działalność kulturalno-oświatowa. Mieszkańcy wsi Zębowice mieli możliwość coraz częstszego uczestniczenia w obchodach tygodnia strażackiego, pokazach sprawnościowych, zgaduj-zgadulach i innych imprezach o tematyce przeciwpożarowej. Strażacy podczas tych uroczystości mogli się pochwalić dobrym sprzętem strażackim, oraz jednakowym umundurowaniem, które zostały zakupione ze środków społecznych i dotacji. Wielkim sukcesem w okresie istnienia Polski Ludowej było to, że niektórzy strażacy byli profesjonalnie przeszkoleni i przygotowani do swojej działalności.

W okresie powojennym kroniki odnotowują jedynie trzy większe pożary na terenie wsi Zębowice, między innymi: w 1958 pożar magazynu majątkowego, w 1963 pożar stodoły (również w majątku) i w 1969 pożar stodoły polnej. Przez następne lata żywioł dawał o sobie znać od czasu do czasu i nie był dużym zagrożeniem, bo występował w małym zasięgu. Podczas następnych dziewięciu lat nie zdarzył się żaden pożar. Ten stan rzeczy potwierdza słuszność zasady, że lepiej zapobiegać pożarom niż je zwalczać.

Dnia 14 maja 1978 roku po raz pierwszy rozwinięty został sztandar, który ufundowali mieszkańcy wsi Ochotniczej Straży Pożarnej w Zębowicach. Sztandar ten był najlepszym wyrazem wdzięczności dla wszystkich, którzy przyczynili się do rozwoju pożarnictwa na tym terenie.

Wszystkie wydarzenia sprzed I wojny światowej zostały odnotowane w Kronice Jednostki OSP w Zębowicach, którą opracował Ginter Wolny. Dalsze losy straży również zostały spisane, choć nie tak dokładnie jak te wcześniejsze.

W roku 1978 zawiązał się społeczny komitet budowy remizy strażackiej, a już w 1982 roku oddano do użytku budynek strażnicy, który jest obecną siedzibą OSP. Jednostka, w nagrodę za zaangażowanie społeczne, otrzymała drugi samochód STARA 244, a w 1997 została włączona do KSRG.

Współczesne dzieje straży to na przykład zakupienie przez Urząd Gminy samochodu pożarniczego JELCZ 004, który strażacy wyremontowali za własne środki. Wycofano również z podziału bojowego STARA 25, a zastąpiono go JELCZ-em GCBA 6/32, który do chwili obecnej jest jedynym ciężkim samochodem na terenie Gminy Zębowice.

Jednym z osiągnięć jednostki jest odznaczenie OSP w Zębowicach Złotym Znakiem Związku w 2003 roku, w 115 rocznicę działalności straży.

Powódź w roku 2010 doprowadziła do zalania ścian remizy oraz pomieszczeń piwnicznych. W związku z tym strażacy przystąpili do wyremontowania siedziby. Zmodernizowano instalację elektryczną, centralne ogrzewanie, a w boksach garażowych zamontowano skuteczniejsze ogrzewanie nawiewowe.

Obecnie jednostka liczy 53 członków dorosłych, dwóch wspierających i czterech honorowych. Posiada dwie drużyny młodzieżowe – 20 członków. OSP jest wyposażona w zestaw hydrauliczny do ratownictwa technicznego, dwie pompy pływające, piły do drewna oraz betonu i stali, agregat prądotwórczy z zestawem oświetleniowym, torbę medyczną z zestawem do pierwszej pomocy. Posiadany sprzęt i poziom wyszkolenia druhów zapewniają możliwość zabezpieczenia przeciwpożarowego, pomocy przy usuwaniu skutków zdarzeń komunikacyjnych i innych zagrożeń.

Mieszkańcy Gminy Zębowice mogą czuć się bezpieczni, a jednocześnie dumni z takiej tradycji i historii straży. Nie zawsze było łatwo przez wojny, powodzie, ale strażacy, mimo przeciwności losu, zawsze byli zwarci i gotowi pomóc w niebezpieczeństwie.

„Dzisiejsza rzeczywistość Ochotniczej Straży Pożarnej w Zębowicach niewątpliwie z upływem czasu również przejdzie do historii, a więc wszystkie nasze poczynania zostaną należycie ocenione przez społeczeństwo i przyszłe jego pokolenia. Zostanie po nas opinia jak służyliśmy społeczeństwu i jak spłaciliśmy nasz dług wobec naszej Ojczyzny.” – Ginter Wolny.

Źródła:

- Kronika Jednostki OSP w Zębowicach, Ginter Wolny
- Historia OSP w Zębowicach, spisana przez Mariana Janika
- rozmowa z Gerardem Wonssem, opiekunem Izby Regionalnej
- rozmowa z Marianem Janikiem, naczelnikiem OSP w Zębowicach
- rozmowa z Ginterem Wolnym, członkiem OSP w Zębowicach

„PRZYDROŻNE KRZYŻE I KAPLICZKI MÓWIĄ”

Autor: Aleksandra Pyka

GZS w Ozimku

Opiekunowie: Małgorzata Szpała, Marzena Wolicka-Mazurkiewicz

*Do kapliczki śródpolnej wróciłem,
za opiekę w pokornej podzięce
i przeprosić, że dawno nie byłem...
Przy okazji poprosić o więcej...*

(„Do kapliczki śródpolnej”)

Przydrożne kapliczki i krzyże stanowią nieodłączną i jakże piękną część naszego krajobrazu. Są widocznym znakiem wiary i pobożności mieszkańców. Stanowią nierzadko swego rodzaju wota dziękczynne – za wyzdrowienie, narodziny oczekiwanego potomka, ocalenie życia, powrót z wojny, wota błagalne – o urodzaj, przebaczenie, pomyślność. Stoją długie lata, ludzie przechodzą obok nich – jedni obojętnie, pochłonięci swymi sprawami, inni przystają, przyklękają, dumają. Może w tej ciszy usłyszą ich głos? Każda kapliczka, każdy krzyż posiadają swoją szczególną historię. Postanowiłam je poznać...

Wiele razy słyszałam o atrakcjach naszego regionu, jednak nigdy nie miałam wystarczająco czasu, aby pozwiedzać, pooglądać nieznaną zakątki. Moją wiosenną wycieczkę chciałam odbyć w miejsce mało znane, takie o którym zazwyczaj się nie mówi. Od dziadków dowiedziałam się o szlaku krzyży i kapliczek w gminie Kolonowskie. Nie znałam tych miejsc, ale stwierdziłam, że poszukam o nich kilku informacji. Wyjazd postanowiłam odbyć rowerem, sama, żeby mieć wystarczająco czasu na wgłębienie się w historię mojego regionu.

Pierwszymi obiektami, które zobaczyłam na szlaku były kapliczka i krzyż. Znajdują się przy ulicy Bolesława Chrobrego w Spóroku. Odwiedzona przeze mnie kapliczka jest poświęcona Matce Bożej. Dowiedziałam się także, że pochodzi z XIX wieku. Na początku jej istnienia obok stał drewniany krzyż, jednak około 1955 roku został zastąpiony betonowym. W dole krzyża stoi figurka Matki Boskiej, z którą po dziś dzień dziewczynki chodzą podczas procesji na Boże Ciało. Kapliczka została ufundowana przez trzy rodziny ze Spóroka. W dziękczynieniu za pomyślną podróż do Ameryki postanowili postawić tę kapliczkę. Stojąc tam, zastanawiałam się jak wielu ludzi nie zna historii tych zabytków, nie wie, że zostały tutaj postawione w jakimś celu, nie przypadkowo.

Postanowiłam zwiedzać dalej. Następnym obiekt odwiedzony przeze mnie mieści się przy ulicy Guznera i w przeciwieństwie do pozostałych jest kapliczką z 1918 roku. Poświęcono ją św. Bernadecie i Najświętszej Maryi Pannie. Jest to kapliczka dziękczynna za pomyślną i owocną pracę w kopalni. Fundator obiektu nie jest znany, ale wiemy, że miał on bliski kontakt z franciszkanami z Katowic, to przypuszczalnie dzięki nim kaplica formą i kształtem przypomina grotę w Lourdes. Na początku istnienia w środku znajdowała się porcelanowa figurka Matki Bożej i klęczącej u jej stóp Bernadety, jednak po czasie została zniszczona, a obecnie postawiono tam nową figurkę. Teraz ozdobą kapliczki jest sama Najświętsza Maryja Panna.

Następnym punktem mojej wycieczki była kapliczka znajdująca się na tej samej ulicy. Została ofiarowana Matce Bożej, wybudowana około 1890. Kapliczka oddaje honor tragicznie zmarłemu gospodarzowi, który zginął podczas orania pola. Jest to jedynie jedna wersja legendy, według drugiego podania wraz z gospodarzem zginęła jego córka. W środku możemy dostrzec ukoronowaną Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus na ręku. W 1950 roku przystąpiono

do pierwszego remontu. Odrestaurowano wtedy zniszczoną figurkę i wmurowano butelkę ze święconą wodą. Gruntowny remont kapliczki odbył się w 2012.

Gdy znalazłam się na placu Targowym, dostrzegłam następny krzyż i dołączoną do niego tabliczkę. Krzyż został umieszczony właśnie tam, aby upamiętnić kościół oraz cmentarz. Oba obiekty zostały zniszczone w pożarze w roku 1881. Święty symbol został wykonany z marmuru, a na jego bocznych krawędziach i ściankach namalowano ozdobne wzory, ornamenty. Figurę Jezusa Chrystusa wykonano z gładkiej ceramiki. W 1901 roku ufundowała go miejscowa kobieta – Joanna Schauder. Jednak zapamiętano ją nie tylko z upamiętnienia tego miejsca. Trzydzieści lat później w testamencie swój dom przekazała Siostrom Zakonnym Służebniczkom Najświętszej Maryi Panny z niedaleko położonej Leśnicy. Po zrobieniu kilku zdjęć, ruszyłam dalej.

Trzecim z kolei odwiedzionym przeze mnie zabytkiem był krzyż przy ulicy Żeromskiego w Staniszczech Wielkich. Z zamieszczonego obok informatora dowiedziałam się, że został ustawiony jako wotum błagalne. Jednocześnie jest to pierwszy krzyż na trasie wykonany z drewna. Korpus Pana Jezusa zawieszony na krzyżu, odlany został z metalu. W trakcie dni krzyżowych odbywają się tutaj nabożeństwa błagalne, na których modlitwy poświęcone są mieszkańcom wsi i ochronie ich przed złem tego świata – wojnom, zarazom, klęskom żywiołowych. Potocznie jest on nazywany „Krzyżem Cesarza”. Nazwa została mu nadana od nazwiska prawdopodobnie fundatora – Leopolda Cesarza. Mówi się jedynie o prawdopodobieństwie, bo nie jest to stwierdzone jednoznacznie. Wykonałam pamiątkowe zdjęcia



i ruszyłam dalej. Przy rzece Mała Panew dostrzegłam krzyż. Dowiedziałam się, że posiada błagalny charakter, wykonany został z pięknego drewna modrzewiowego. Figurka Pana Jezusa została przeniesiona ze starego krzyża, który stał nieco dalej. Corocznie w uroczystość św. Marka odbywają się do niego procesje. Mieszkańcy wsi proszą wtedy o urodzajne wiosenne siewy. Następnie pokierowałam się na ulicę Bolesława Prusa. Byłam bardzo zadowolona, że to tutaj przyjechałam w drodze powrotnej do domu, ponieważ historia tego miejsca zaciekała mnie najbardziej. Krzyż, który mnie zafrapował, został postawiony przez rodziców poległego podczas I wojny światowej dwudziestolatka, Stanisława Gerlicha. Początkowo pełnił on funkcję jego grobu. Znajdują się na nim dwa napisy. Jeden, na cokole, poświęcony został zmarłemu, drugi jest cytatem: „Patrz człowiecze, co ja uczyniłem dla ciebie, a coś ty uczynił dla mnie?” Uznałam, że ta sentencja pasuje do wielu odwiedzionych przeze mnie miejsc.

Ostatnim, odwiedzionym przeze mnie miejscem, był krzyż ustawiony przy ulicy Granica, tamtejszy betonowy krzyż znajduje się w tak zwanym Lesie Chłopskim. Upamiętnia on przybycie mieszkańców Szczedrzyka do Staniszczy Małych, podróżowali oni wtedy rzeką Mała Panew. Początkowo stał tam drewniany, jednak w latach sześćdziesiątych zastąpiono go obecnym – betonowym. To niesamowite jak wiele historii mogą kryć z pozoru zwykłe kapliczki i krzyże. Każdy z nich miał własną przeszłość, znaczenie dla miejscowych ludzi. Kryły one radość, ból, smutek, śmierć, stratę, ale także nadzieję. To krzyże i kapliczki błagalne pełnią największą rolę w wierze mieszkańców. To do nich odbywane są coroczne procesje, to przy nich ludzie wznoszą swoje modlitwy do Boga, porzucają zabobony i przesady, ponieważ jak kiedyś powiedział św. Antoni pustelnik „Gdy pojawia się znak krzyża, magia traci swą moc, a zaklęcia nie przynoszą żadnego skutku”. Właśnie takie kapliczki i krzyże, jakie spotkałam na mojej drodze, najbardziej fascynują, ponieważ są piękne w swojej prostocie. Otacza je nie

tylko cisza, ale również aura tajemniczości. Z pewnością nie raz, nie dwa, wrócę na mój szlak, stanę przy kapliczce i jeszcze raz posłucham, co do mnie mówi...

*Czyjeś ręce położyły kwiaty przy kapliczce na rozstaju dróg,
czyjeś usta wyszeptaly pacierz u Twych stóp...*

(„Kapliczka”)

Bibliografia:

1. Gerard Mańczyk, Kapliczki i krzyże przyrodne na terenie Gminy Kolonowskie, Opole 2014.
2. Informacje na podstawie tablic informacyjnych przy krzyżach i kapliczках
3. Rozmowy z mieszkańcami Spóroka i Staniszcz

„ZA WIELKOM WODOM”

Autor: Jesika Lysy

ZGS w Zębowicach

Opiekun: Barbara Puchała

Pragnienie, by żyć lepiej, nie jest niczym złym, ale błędem jest styl życia, który wyżej stawia dążenie do tego, by mieć aniżeli być i chce więcej mieć, nie po to, aby bardziej być, lecz by doznać w życiu największej przyjemności.

Jan Paweł II

Ołma łosprowiała mi, że zyjmy w dziwnych casach – ludzie zamiast siedzieć w chałpach ze swojymi dziećmi, to wyjzdzajom do Nijmiec, Holandii i Austrii zarołbiać piniondze. Powność piyrwyj tak nie boło! Ale ołpa pejdziół mi, że za Nijmca, jak boł modym karlusym jeżdziół do roboty za granica.

Niedowno dowiedziałach się, że w XIX wieku Ślonzoki tyz łostowiali łojcowizna i rusali w świat sukać lepego życioł. Wyjzdzali jesce dalyj, bo as do Ameryki! Emigranci ze Ślonska sprzedołwali swoj majontek, zeby kupić bilet na statek. Musieli sie wyprzyć swojego obywałtelstwa i wyjzdzali do nowego, lepego świata jako bezpaństwowcy. Brali ze sobom siolki, talyrze, pugi, brony, łobocki i jodło. Nie zapomnieli tys o krzizach i śwyntych łobrołzkach. Wozami zaprzyngniyntymi w krowy i konie, i tys piechty sło sie na banchof do Opola, Gliwic i Koźła. Stond pociongiem bez trzy dni z postojami jechali do Bremen bez Wrocław i Berlin. Z Bremen mieli łoni jesce jechać 60 kilometrow do portu Bremerhaven, z ftorego łodpływali na żaglowcach i parowcach do Ameryki. Wiyńksość płynoła do Teksasu, do portu Galveston, a po przesiadce na mniejsze statki – dalyj , do portu w Indianoli.

Z Osiecka, Knieje i Zymbowic w 1855 roku kilkadziesiont kobiyt i chopow wyjechało do Teksasu. Chciałabych łopowiedzieć o rodzinie Anny i Josefa Dworaczykow, ftozri wyjechali 160 łołt tymu do Yorktown w hrabstwie De Witt i o familii Jambor, ftozri pojechali do Elsinore Calif.

Pani Maria Wolna pejdziła mi, że pisma z Yorktown przichodziły as do 1939 roku. Do dzisiej łostały ino trzy z łołt 1903–1934 i połra łobrołzków, na ftozych widać potomkow Anny i Josefa. Idzie sie z nich dowiedzieć wiela ciekawych rzecy, ftoze chca tu łopowiedzieć.

W nojstarsym piśmie, adresowanym na Josefa Webera, stoi:

Yorktown, Teksas

14 stycznia 1903

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

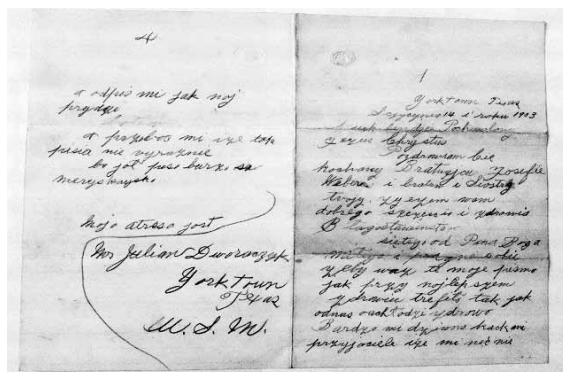
Pozdrawiam Cie kochany bracie Josefie Weber i braci i siostry Twoje. Zyczę Wam dobrego szczęścia i zdrowia, błogosławieństwa świętego od Pana Boga miłego i pragne sobie, żeby Wam to moje pismo jak przy najlepszym zdrowiu trafiło tak jak od nas odchodzi zdrowo. Bardzo mi dziwno Kochani Przyjociele, iż mi nic nie piszecie, jeżeli żyjecie albo nie, albo jak Wom się tam powodzi na tym Śląsku Waszym, albo co tam nowego słysząc u Was, albo jakie żniwa były u Was zeszłego roku. Bo u nas były dość dobre żniwa poszłego roku. Toż Ci bada tyz pisał, wiela mom bratow a siostrów. Bratow mom 8, a siostrów mom 2. To ino starso siostra jest wydano, potyn brat Peter, ten co był przy wojsku, potem Jan ten tyz jest łozyniony (...), Arkadius jest za mnom dopiyo, potym jestem joł, jescze modsi potyn Jozef i Pawoł i Tomek i Rozalia.

Napisz kiedy sam przyjedziesz do Ameryki. Kiedy byś boł przijechoł jak jo się zawodził to byś boł (...) coviekym bogacem (...)

Tuz nie mam wiencyj do pisania. Joł jest syn Josefa Dworaczyk i Anny Dworaczyk.

Tuz łostoń z Bogym az do pisania drugygo. A odpis mi jak najprzyndzej. A przykro mi, iże tak pise niewyraźnie, bo joł pise (...) amerykańsku. Mojo atresa jest:

Julian Dworaczyk



Na początku kobieity łobocoły sie w Teksasie tak jak na Śląsku – zawdziywały mazelonki i jakle. Te klajdy boły ździebko za krotkie (10 cali nad kostka), bes to Amerykany patrzeli na niy jak na bezwstydnice. Na spolonyj słońcym ziymy Teksasu potomkowie Anny i Josefa Dworaczykow musieli sie zmożać z pogodom, ło cym pise do Konrada Webera Ferdynad Styra – chop Rózi Dworaczyk.

Yorktown, Teksas, 23 lipca 1934 r.

Moje Kochani Przyjociele

Wasz list odebrałem 15 czerwca z wielką uciechą. Naj przód Was wszystki pozdrawiam i Twoja ciotka Anna na wiele set razy. Żniwa u nas są latoś dość liche. Jest bardzo sucho. Wele nas żniwa jakies są, ale niektóry miasta to jest sucho, co az woda powysychała we studniach, co jest tak sucho, toz wcale nie mają żniwow. Posyłam pięć obroskow teros w mieszkani. Wam posłę jescze wiencyj obrazkow. A mnie na tem obrazku to mnie nie wystraszcie się, bo ja jestem bardzo chudo. Nasz syn Bonifacy jest muzykantem. Gra na skrzypcze i na harmonice. Tam u nas jest nie do kupienia (...) za bawełnę. Drogie tera wszystko (...). tos ludzie powiadają iże się zmieni dopiero za dwie lata to jescze albo naciupiemy bawołny. Nie możemy składać jeno połowa tego, co my zawse sadzili (...)

Na ocalałych fotografiach widać kolyjde pokolynia rodziny Dworaczykow i scyny z ich zycioł: przed kościołym parafialnym, we wojsku, cy przed domym.

Tera jescze chciałach przedstawić jedno familia, co wyjechała tys do Teksasu. A boła to familia Marty Wons (z domu Szczesny), a gynał to boł wujek od tyj Marty, co mioł na nazwisko Jambor. Wyjechali do Elsinore Calif pod koniec XIX wieku. Pisali do łoft siedymdziesiontych. Kiedyś nawet jejich potomkowie odwiedzili Polska, bo chcieli łobejrzyć łojczyzna łod swojygo ołpy. Mom połra zdjynć, ftoře się nie zniscoły. Ze zatku wszystko łopisywali.

Przed naszym domym, Ja z zona w naszym nowym samochody. Widok, Lake Elsinore, który jest tyłko 5 minut drogi od domu.

Po śmierci pana Jambor'a kontakt się urwał. Niewielu się różniły dzieje Ślonzoków, którzy wyjeżdżali 160 łot tymu łód losów dzisiejszych emigrantów. I piyrwyj, i teraz sukoajom lepszego życia, ale nigdy nie zapomominajom łó swojy małyj łójczyźnie – łó Ślonsku. Pamiyntajom gołdka łójców i zawse ciongnie ich na stare śmiecie, zeby choć trocha powdychać łufu przodków.

Źródła:

- „Ślasy Tekszańczy - Emigracja ze Śląska do Teksasu w latach 1852-1859” opracowanie dokonane przez Silesian Profiles Committee
- www.rozmiarke.com
- rozmowa z panią Heleną Kuzior
- rozmowa z panem Ernestem Lys
- rozmowa z państwem Dorotą i Gerardem Wonsami
- rozmowa z panią Marią Wolną

*W listach i opisach zdjęć zachowano oryginalną pisownię. Fragmenty nieczytelne pominięto.

KATEGORIA:
**OSOBA, KTÓRA W SZCZEGÓLNY SPOSÓB
PRZYCZYNIŁA SIĘ, BĄDŹ PRZYCZYNIĄ DO ROZWOJU
LUB PROMOCJI OBSZARU KRAINY DINOZAUROW**

MIEJSCE I
**„O ZWYKŁYCH – NIEZWYKŁYCH MIŁOŚCIACH DO MAŁEJ
I DUŻEJ OJCZYZNY. PANI SYLWIA WIDAWSKA
I PASJE SERCU JEJ BLISKIE”**

Autor: Magdalena Klemens, Sandra Nowak

GZS w Ozimku

Opiekunowie: Małgorzata Szpała, Marzena Wolicka-Mazurkiewicz

Zakorzenie jest zapewne stałą potrzebą natury ludzkiej
s(Cz. Miłosz)

Pewnego dnia, na lekcji geografii, rozmawialiśmy o naszej okolicy. Wiedzieliśmy, że nauczycielka, którą jest pani Sylwia Widawska, bardzo dobrze zna geografię regionu, lecz zdziwiło nas, iż potrafiła tak szczegółowo i ciekawie o nim opowiedzieć. Pani Widawska wydawała się być całkowicie pochłonięta tematem. Właściwie na każdej lekcji nawiązuje do tego, co dzieje się na terenie gminy Ozimek i w okolicy, interesuje się historią hutnictwa w dolinie Małej Panwi, walorami turystycznymi „Krainy Dinozaurów”, a także gospodarką Opolszczyzny. Postanowiłyśmy się bliżej przyjrzeć działalności pani Sylwii i dowiedzieliśmy się wielu interesujących rzeczy. Pani Sylwia Widawska z wyróżnieniem ukończyła w roku 1982 Uniwersytet Wrocławski jako magister geografii, a w roku 1997 uzyskała uprawnienia do nauczania języka niemieckiego w szkole zdając państwowy egzamin we Wrocławiu. Od wielu lat dokształca się biorąc udział m.in. w Wojewódzkim Forum Edukacji Regionalnej, warsztatach organizowanych przez ośrodki metodyczne i LGD „Kraina Dinozaurów” oraz kursach pozwalających zdobyć szeroką wiedzę o regionie, co pomaga jej w doskonaleniu procesu nauczania i prowadzeniu działalności społecznej. Chociaż studiowała dość daleko od domu, to w wywiadzie, który z nią przeprowadziłyśmy, przyznała, że trudno jej było opuścić rodzinny Krasiejów i postanowiła tu powrócić, aby podjąć pracę nauczycielki w Szkole Podstawowej w Krzyżowej Dolinie i Liceum Ogólnokształcącym w Ozimku, a w roku 1999 – w Gimnazjum nr 1. Mogłoby się wydawać, że pani Sylwia Widawska to tylko nauczyciel geografii z pasją, jaką jest przekazywanie informacji o „Krainie Dinozaurów”, odkryciach paleontologicznych, historii Krasiejowa, czy organizowanie wycieczek krajoznawczych. Ważne miejsce w nauczaniu u pani Sylwii zajmuje realizacja tematyki regionalnej zawartej w autorskim programie edukacyjnym. Okazało się, że to tylko początek zainteresowań pani Sylwii, a wiele z nich w dużym stopniu przyczyniło się do promocji „Krainy Dinozaurów”. Ciekawe projekty edukacyjne takie jak: „Walory turystyczne Opolszczyzny”, „Rozwój osadnictwa w gminie Ozimek – układy urbanistyczne wsi”, „Ludność Opolszczyzny”, „Gospodarka Opolszczyzny”, „90 Rocznica Powstań Śląskich”, „Najważniejsze wydarzenia geologiczne

regionu” sugerują, jaką wiedzę nauczycielka chce przekazać uczniom i jakie sprawy są bliskie jej sercu. Od kilku lat pod opieką pani Widawskiej uczniowie biorą udział w konkursie „*Moja wieś – Moje Miejsce*”, w którym cztery razy zajęli pierwsze miejsca pisząc prace na temat: „Józef Tomasz Juroś odkrywca i pasjonatem lokalnej historii Ozimka i Doliny Małej Panwi”, „Paul Gottscholl – krasiejowski „Wit Stwosz”, „Garerety”, czyli turawski ród Garnierów, „Historia parku Rehdez’a w Ozimku. Dwa razy nagradzani byli za drugie miejsca za prace: „JuraPark – magnesem przyciągającym turystów” i „Stary zwyczaj skubania pierza w Szemrowicach”. Wyróżnienia otrzymały prace uczniów na temat „Piotr Gołąb – językoznawca, werbista i męczennik ze Schodni” oraz „Stary Młyn – dziedzictwo czterech wieków i tak zwana Myślina Królewska w Krasiejowie”.



Wystawa geologiczna zorganizowana w szkole przez p.S. Widawską i uczniów.

Kilka lat temu, gdy była szefem zadaniowym „Szkoły z klasą”, nagrała wraz z uczniami audycję radiową pod tytułem „Mała Ojczyzna”, które zostało wyemitowane na antenie Radia Opole, a w szkole zorganizowała wystawę prezentującą wszystkie wsie gminy Ozimek. W roku szkolnym 2012/2013 miał miejsce w Gminnym Zespole Szkół w Ozimku finał konkursu „*Moja wieś – moje miejsce*”, a pani Widawska była jego współorganizatorką. Spędziła dużo czasu na przygotowaniu wraz z uczniami projektu edukacyjnego pod tytułem „Roczna podróż przez zwyczaje i obrzędy Śląska Opolskiego” i przedstawienia pod tytułem „Śląsku mój – słowo cudnego uroku”. Pani Widawska zawsze znajduje czas, aby zainteresować uczniów swoim otoczeniem. Dlatego organizuje spotkania z ludźmi, którzy przyczynili się do dokładniejszego poznania naszych okolic, między innymi z botanikiem – dr. K. Spalkiem, prezesem Stowarzyszenia Dolina Małej Panwi – Józefem T. Jurosem, paleontologami: dr. Tomaszem Sulejem i prof. UO Eleną Jagd-Yazykową, regionalistą – śp. Konradem Mientusem, autorem książek o Śląsku – Markiem Szoftyskiem. Pod opieką pani Sylwii gimnazjaliści mogą również wybrać się na wycieczkę regionalną do miejscowości takich jak: Byczyna, Biskupice, Opole, Kluczbork, Moszna, Ładza, Paczków, w Góry Opawskie, do Stobrawskiego Parku Krajobrazowego, na Górę św. Anny i do Kielczy na warsztaty geologiczne, czy też do Muzeum Hutnictwa w Ozimku. To nie są tylko zwykłe wyjazdy, lecz zwiedzanie połączone z pracą i nauką. Pani Widawska dba o to, by uczniowie pamiętali o ciekawostkach, o których dowiedzieli się podczas wycieczki, dlatego sama przygotowuje karty pracy dla uczniów. Wiele działań pani Sylwii ma związek z naszą gminą i jej promowaniem. Zajmuje się także przygotowywaniem uczniów do udziału w konkursach, których celem jest rekomendowanie naszej gminy. Wśród wielu, w których gimnazjaliści pod opieką naszej nauczycielki prezentowali swe wiadomości i umiejętności był konkurs „Ze Śląskiem na Ty” i ogólnopolski konkurs „Odkrywam swój region”. Kilkrotnie jej uczniowie brali udział w „Śląskim Beraniu” w Izbicku. Nasza bohaterka dwukrotnie uczestniczyła w realizacji projektów unijnych. W jednym z nich pod nazwą „Program zajęć dodatkowych wspierających rozwój kompetencji kluczowych uczniów szkół gimnazjalnych województwa opolskiego w roku szkolnym 2010/2011”, w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki 2007-2013” współfinansowanego ze środków UE – rozwijała kompetencje społeczne i obywatelskie uczniów ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień regionalnych (tradycje śląskie, osoby zasłużone dla rozwoju gminy, miejsca pamięci, historia Ozimka, lokalne grupy działania).

Oczywiście promocja „Krainy Dinozaurów” nie kończy się tylko w murach naszej szkoły. Oprócz pracy dydaktycznej pani Widawska znana jest z działalności społecznej na terenie wsi Krasiejów. Pani Sylwia jest współtwórcą Muzeum Paleontologicznego i Historycznego we wcześniej wspomnianej miejscowości. Przez kilka lat prowadziła również społecznie zajęcia edukacyjne dla dzieci i młodzieży, turystów z kraju i zagranicy, promując krasiejowskie odkrycia. Zorganizowała zajęcia dla grupy nauczycieli z Niemiec, przyjmowała w muzeum m.in. uczestników Rajdu Rowerowego Samorządowców z gmin „Krainy Dinozaurów”, radnych Sejmiku Wojewódzkiego z Opola i Wrocławia, grupę dziennikarzy z Polski, dyrektorów Stowarzyszenia Szkół Innowacyjnych, młodzież w ramach projektu „Świat Przyjaciół”, zagranicznych uczestników „Impresji plastycznych”, których podejmował Dom Kultury w ramach Dni Ozimka, a także uczestników projektu „Odnowa Wsi” z województwa śląskiego podejmowanych przez Urząd Marszałkowski w Opolu.

Na prośbę Teresy Kudyby – autorki filmu „*Dinozaury z Krasiejowa*” pani Sylwia napisała konspekt pod tytułem „Odkrycia paleontologiczne w Krasiejowie na tle wydarzeń geologicznych w Polsce”, który razem z filmem dotarł do wielu szkół w województwie opolskim. Dowiedzieliśmy się również, że w 2007 roku pani Widawska wzięła udział w nagraniu filmu o historii wsi i ekspozycji w Muzeum Historycznym w Krasiejowie, który kilka razy został wyemitowany na antenie TVP3 Opole.

Oczywiście aktywność pani Widawskiej jest także doceniana w lokalnej prasie. Artykuły na temat działalności naszej nauczycielki w szkole i poza nią, a także publikacje o historii Krasiejowa uświadamiają czytelnikom, że pani Widawska ma dużą wiedzę o naszych okolicach i chętnie się nią dzieli. Bardzo się stara, by dolina Małej Panwi była bardziej doceniana przez samorządy lokalne, jak również zwykłych turystów z województwa opolskiego.

Pani Sylwia udziela się także społecznie w Stowarzyszeniu Miłośników Krasiejowa, jak również w Radzie Sołeckiej wsi, w której działa już trzecią kadencję, a przez cztery lata pełniła rolę sekretarza. Aktualnie zajmuje się prowadzeniem strony internetowej Krasiejowa, której jest współautorką. Opisane na niej zostały miejsca warte zwiedzenia, jak kościół czy muzeum, a także walory przyrodnicze miejscowości i historia Krasiejowa. Kilka lat temu Urząd Gminy i Miasta w Ozimku poprosił panią Widawską o opracowanie „Ścieżki przyrodniczo-dydaktycznej Ozimek – Krasiejów”. Podążając nią, można zapoznać się z Ozimkiem, jak i jego historią, poznać zabytki w tej miejscowości, podziwiać roślinność doliny Małej Panwi, pomniki przyrody, można dowiedzieć się, jak rzeka wpływa na ukształtowanie terenu w okolicach. Ścieżka obejmuje także zwiedzenie Muzeum Paleontologicznego w Krasiejowie i obecnego JuraParku. Pani Widawska często bierze udział w różnych konferencjach na temat naszych okolic lub takich, w których może promować Dolinę Małej Panwi. Jedną z nich była konferencja w Opolu, która miała na celu podsumowanie działalności Stowarzyszenia „Dinopark”, po której ukazał się w „*Wiadomościach Ozimskich*” artykuł pani Widawskiej pod tytułem „Odkrycie wciąż poznawane”. Pani Sylwia stara się wspólnie z Radą Sołecką promować walory turystyczne i historyczne Krasiejowa, dzięki czemu kilka lat temu w konkursie „*Piękna Wieś Opolska*” w kategorii „*Najpiękniejsza wieś*” Krasiejów otrzymał wyróżnienie, a w roku 2005 – zajął trzecie miejsce. W roku 2011 wieś zdobyła wyróżnienie za projekt „Krasiejów wsią turystyczną – adaptacja Starej Szkoły na potrzeby turystyki, edukacji i muzealnictwa” w kategorii „*Najlepszy projekt*”. Zarząd Województwa Opolskiego przyznał wsi status lidera w programie „Odnowa Wsi”. Nasza nauczycielka jest tak zaangażowana w życie Krasiejowa, że postanowiła wziąć udział w szkoleniu liderów „Odnowy Wsi”, podczas którego współtworzyła wizję Krasiejowa na przyszłe lata. Z okazji piętnastolecia programu pod tą samą nazwą, pani Sylwia brała udział w nagraniu filmu promującego wieś. Także w regionalnych mediach (Radio Opole) – mówiła o walorach turystycznych gminy i działalności regionalisty – Józefa Tomasza

Jurosa, zaś w programie TVP INFO o historii wsi Krasiejów. Stworzyła także opracowanie pod tytułem „Analiza krajobrazu pod względem turystycznym” w ramach pilotażowego programu Leader + finansowanego przez Sekcję Europejskiego Funduszu Orientacji i Gwarancji Rolnej.

Biorąc pod uwagę jak bardzo pani Sylwia Widawska angażuje się w działalność miejscowości w której mieszka, jak i w promowanie jej, można stwierdzić, że nie jest to zwykły nauczyciel – to pasjonat i osoba udzielająca się społecznie. Za wyróżniającą się pracą i osiągnięcia na polu dydaktycznym (wielu finalistów i kilku laureatów Wojewódzkiego Konkursu Geograficznego i Języka Niemieckiego oraz laureatów Konkursu Wiedzy Geologicznej na etapie ponadwojewódzkim) nagradzana była wielokrotnie Nagrodą Dyrektora Szkoły i trzykrotnie Nagrodą Burmistrza Ozimka. Dwa razy z okazji Dnia Działacza Kultury otrzymała z rąk Burmistrza nagrodę za edukację kulturalno-wychowawczą dzieci szkolnych. W roku 2013 jej uczennica reprezentowała region śląsko-opolski na Konkursie Wiedzy Geologicznej w Warszawie zajmując pierwsze miejsce w kraju. Pani Widawska ma na swoim koncie liczne dyplomy uznania i podziękowania. Cieszymy się, że my – uczennice trzeciej klasy gimnazjum mogłyśmy poznać zwykłego – niezwykłego człowieka. Niedługo kończymy szkołę i idziemy w świat. Z pewnością wiedza o regionie, którą zdobyliśmy dzięki Pani Widawskiej pozwoli nam wybrać dla siebie odpowiednie miejsce na Ziemi, ... będzie nim Ozimek i jego okolice.

Bibliografia:

1. Wywiad z mgr Sylwią Widawską
2. Widawska Sylwia, Archiwalne kroniki z działalności fakultetu „Turystka i Krajoznawstwo” z lat 2000–2010 i koła geograficznego z lat 2011–2015
3. Widawska Sylwia, „O edukacji regionalnej w szkole”, Biuletyn Szkolny, 2001
4. Widawska Sylwia, „Ścieżka przyrodniczo-dydaktyczna Ozimek–Krasiejów”, www.wodip.opole.pl/dinopark
5. Wiadomości Ozimskie nr 3, rok 2013, nr 8, 9, 10 rok 2013
6. www.krasiejow.pl

MIEJSCE II

„NASZA PANI JADZIA – NAUCZYCIELKA Z PASJĄ”

Autor: Ewelina Strzelbicka

ZSG w Żędowicach
Opiekun: Jolanta Baron

Jest jedna zasadnicza rzecz określająca wyjątkowość człowieka – pasja

Pani Jadzia to osoba nietuzinkowa. O wyjątkowości Naszej Pani świadczy jej pasja, a jest nią taniec i co za tym idzie Zespół „Żędowanie”, który liczy już 11 lat! Mnie również udzielił się entuzjazm pani Jadzi, więc zapisałam się do Zespołu, zaczęłam tańczyć i trwa to już 7 lat. Przez cały ten czas miałam to szczęście, że uczestniczyłam w życiu „Żędowian”, a tym samym obserwowałam tytaniczną pracę naszej trenerki.

Pierwsze kroki

Pani Jadwiga Breguła urodziła się 30.09.1966 r. w Lublińcu. Była trzecim dzieckiem państwa Elżbiety i Ernesta Bregułów. Z uśmiechem na twarzy i z wrodzoną ciekawością od najmłodszych lat szukała przygód, zadziwiała ją wszystko, co wokół niej się działo. Będąc

dzieckiem, pani Jadzia marzyła o tym, aby leczyć ludzi, pomagać innym, chciała być lekarzem. Momentem zwrotnym w tych planach była choroba i wczesna śmierć mamy. Z tańcem też wiązała swoją przyszłość. Zawsze chciała być baletnicą. Marzyła o pięknej sukience, baletkach i scenie. Ale życie napisało inny scenariusz. Śmierć mamy, dzieciństwo pod skrzydłami ojca i mieszkanie na wsi nie sprzyjało wówczas rozwojowi młodego talentu. Pozostawało przestawianie mebli, wyczarowywanie „nowych” miejsc. To zamiłowanie pozostało naszej pani do dnia dzisiejszego.

Zawsze szukałam ruchu i zmian – twierdzi pani Jadzia i jak tylko najdzie ją ochota, tańczy z meblami.

Pani Jadzia swoją edukację rozpoczęła w Zbiorczej Szkole Gminnej w Pawonkowie. Później przez 4 lata uczęszczała do Liceum Ogólnokształcącego w Dobrodzieniu, natomiast na Uniwersytecie Wrocławskim w 1995 roku rozpoczęła studia na kierunku Pedagogika w Zakresie Pracy Kulturalno-Oświatowej. Mieszkanie w dużym mieście otworzyło przed świeżo upieczoną studentką nowe możliwości. W tym okresie pani Jadzia ukończyła m.in. kilka kursów tańca towarzyskiego i dobrze wspomina ten czas...

W szkole i w zespole

Parkiet trzeba było jednak zamienić na miejsce przed tablicą. Pani Jadwiga Breguła jest nauczycielką w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Żędowicach od 21 lat. Uczy nas geografii, wychowania fizycznego i tańca. Za największy swój sukces zawodowy pani Jadzia uważa uzyskanie przez ucznia naszej szkoły tytułu laureata konkursu geograficznego, jednak sukcesem emocjonalnym jest radość z okłasków, które otrzymuje zespół.

Kolejna przygoda z tańcem, która trwa do dnia dzisiejszego, rozpoczęła się stosunkowo niewinnie, bo od „Śląskiego Berania”. Ten konkurs gawędziarski jest sztandarową imprezą w naszej szkole, a jego celem jest pielęgnowanie rodzimej gwary, tradycji i obyczajów. Pani Breguła jest autorką wielu monologów i scenek rodzajowych, które wielokrotnie były nagradzane na Wojewódzkim Konkursie Gawędziarskim w Izbicku. Jednak dla pani Jadzi było to za mało, więc postanowiła uświetnić nasz festiwal gwary muzyką i tańcem ludowym. Najpierw zatańczyliśmy jednego walczyka. W kolejnych latach pojawiły się następne i tak się zaczęło..... Początkowo w granatowych spódniczkach, białych bluzeczkach i rajstopach, w sportowym obuwiu i w fikuśnie zaplecionych warkoczyczkach tańczyliśmy odpowiednie do naszych umiejętności i wieku tańce ludowe i regionalne zabawy taneczne. Jednak apetyt rósł w miarę jedzenia, toteż w niedługim czasie rozpoczęły się przygotowania do tańców śląskich, a po nich przyszedł czas na tańce narodowe. I trwa to do dziś. Stosunkowo szybko nauczyliśmy się poloneza, później rozpoczęliśmy naukę krakowiaka i do dnia dzisiejszego zgłębiaamy tajemnice niezwykle trudnego kujawiaka. W repertuarze mamy także mazura i oberka. Ogromną radość sprawia nam nauka tańców regionalnych. Jest wśród nich mietlorz, cieszyńsiok, trojak, gołąbek, druciorz, diobołek, a nawet groziok.

Obecnie pani Jadwiga trenuje sześć grup tanecznych podzielonych na trzy bloki wiekowe. Najmłodszy zespół rekrutują się spośród uczniów klas I-III, którzy zgodnie z umiejętnościami pracują w dwóch grupach. Uczniowie klas IV-VI tworzą grupę średnią, pracującą również na dwóch poziomach. Zaś uczniowie gimnazjum stanowią najstarszą grupę, liczącą szesnaścioro tancerzy! Obecnie trwają przygotowania nad wyłonieniem grupy reprezentacyjnej.

Jak oni wyglądają!

Z upływem czasu zmieniał się również nasz wizerunek, ponieważ zdaniem pani Jadzi, aby oddać charakter i klimat tańca, trzeba zadbać o odpowiednie stroje. Początkowo nieocenione

okazały się nasze uzdolnione mamy i oczywiście nasza pani, które z kwiecistych materiałów i resztek wzorzystych firanek wyczarowywały cuda. A my czułyśmy się coraz piękniejsze! Obecnie ogromnego wsparcia udziela nam pani dyrektor Małgorzata Kozioł, która przygarnęła nasz Zespół pod skrzydła Stowarzyszenia Przyjaciół Szkoły w Żędowicach, które sprawuje patronat nad nami. Dzięki temu niestrudzona pani Jadzia sukcesywnie pisze projekty na realizację zadań publicznych w celu pozyskiwania środków finansowych na naszą działalność.



Tanecznym krokiem w świat...

Ogromnego wsparcia udzielają nam również nasi burmistrzowie, którzy w akcie uznania dla naszej pracy wysyłają nas jako reprezentantów Gminy Zawadzkie na różnego rodzaju spotkania z miastami partnerskimi. Byliśmy już w Wahrenbruck w Niemczech. Odwiedziliśmy również Otrokoice w Czechach. Wielokrotnie zatańczyliśmy w Dubnicy na Słowacji, gdzie występowaliśmy nie tylko dla słowackiej polonii, ale zaprezentowaliśmy się również na Międzynarodowym Festiwalu! Najczęściej jednak prezentujemy się w środowisku lokalnym. Uświetniamy miejscowe festyny i spotkania jubileuszowe. Dajemy również koncerty okolicznościowe w obrębie województwa. Dużym wyzwaniem są konkursy folklorystyczne. Na „Wiosennych prezentacjach” w Głogowie zdobyliśmy grand prix oraz wyróżnienie. Niejednokrotnie występowaliśmy na spotkaniach zespołów folklorystycznych. Gościliśmy na Przeglądzie Amatorskich Zespołów Ludowych i Grup Obrzędowych „Na ludową nutę” w Ozimku oraz na Międzynarodowych Spotkaniach Zespołów Artystycznych Mniejszości Narodowych i Etnicznych „Źródło” w Dobrodzieniu. Pamiętamy także o potrzebujących, toteż wspieramy naszymi występami imprezy charytatywne. Na jednej z nich, również w Dobrodzieniu, zatańczyliśmy „W rytm serca dla Zuzi”. A w Domu Pomocy w Wiśniczach zaprezentowaliśmy się przed jego mieszkańcami.

Droga do sukcesu

Poczucie rytmu i zamiłowanie do tańca, jak twierdzi nasza pani, nie wystarczają, aby nauczyć młodych tancerzy, zgodnie z obowiązującymi regułami, nawet najprostszego walczyka. Dlatego od momentu powołania do życia Zespołu ciągle doskonalili swój warsztat i umiejętności, uczestnicząc w szkoleniach z zakresu tańca – od ludowego do towarzyskiego. Już sześciokrotnie brała udział w warsztatach organizowanych przy Zespole Pieśni i Tańca „Śląsk” w Koszęcinie. Również dla nas oraz nauczycieli z terenu naszej Gminy pani Jadzia

organizuje lekcje tańca prowadzone przez profesjonalistów z Koszęcina, w których zresztą aktywnie uczestniczy, by, jak twierdzi, móc dalej uczyć się tańczyć z młodzieżą. Bo *taniec zajmuje mi cały mój wolny czas* przyznaje pani Jadzia.

Z pasją i z rodziną przez życie

Chociaż taniec odgrywa ogromną rolę w życiu naszej pani, to, jak przyznaje, nie jedyna jej pasja. Z równie wielkim entuzjazmem opowiada o swojej rodzinie, mężu, który jest nieprawdopodobnie wyrozumiałym i pomocnym człowiekiem, bo niejednokrotnie wspierał wysiłki naszej pani, służąc pomocą, np. przy transporcie tancerzy i dekoracji sali. A utalentowane muzycznie dzieci pomagały mamie przygrywając tancerzom. Natomiast w czasie wolnym, którego nie ma za wiele, z pasją jeździ na rowerze, chodzi po górach, no i oczywiście przestawia meble.

O czym marzy?

Marzenia związane są z zespołem. Pani Jadzia chciałaby mieć w swojej drużynie tanecznej więcej chłopców, abyśmy mogły tańczyć w parach mieszanych. Chciałaby także, żeby tancerze kończący gimnazjum, kontynuowali naukę tańca, aby mogli rozwijać umiejętności, które nabyli w czasie wieloletniej nauki. Poza tym uroniłaby mniej łez przy kolejnych rozstaniach. A prywatnie marzy o rajdzie rowerowym po górach.

O co poprosiłaby złotą rybkę?

O zdrowie dla siebie i swojej rodziny.

Bibliografia:

- materiały zgromadzone podczas wywiadu z panią Jadwigą Bregułą,
- zdjęcia udostępnione przez panią Jadwigę Bregułę i koleżankę Dagmarę Świtałę,
- zdjęcia z publikacji „10 lat Dziecięcego Zespołu Ludowego Żędowianie”, 2014 r.
- zdjęcia z publikacji „Zespół Żędowianie”, 2014 r.

MIEJSCE III

„WSPOMNIENIE O PANU JERZYM SZWUGRZE”

Autor: Wiktoria Mientus, Martyna Woszek

ZSP nr 3 w Dębskiej Kuźni
Opiekun: Jolanta Gawlyta

Warto spotykać w życiu ludzi z pasją. Pasją, która nie tylko inspiruje, ale również pomaga żyć, czyniąc to życie o wiele ciekawszym. Takim człowiekiem był pan Jerzy Szwuger, mieszkaniec Dębskiej Kuźni, który zmarł 15 października bieżącego roku. Pochowany został na cmentarzu w Dębskiej Kuźni.

Pan Jerzy Szwuger pochodził z Nakła. Był emerytowanym rolnikiem. Mieszkał również w Groszowicach pod Opolem. Do Dębskiej Kuźni przeprowadził się po ślubie z panią Anną, około pięćdziesiąt jeden lat temu.



Kiedy rok temu postanowiliśmy, że weźmiemy udział w kolejnej edycji Konkursu „Moja wieś – moje miejsce”, chcieliśmy zadać mu pytanie, kiedy narodziła się jego pasja będąca miłością do starych, śląskich przedmiotów. Niestety, to już niemożliwe. Wielu młodych ludzi mogłoby spytać po co mu taka pasja, jaki w niej jest sens, skoro pochłania tyle czasu, a nie przynosi korzyści materialnych. My nigdy byśmy o to nie zapytały, pamiętając cudowne lekcje historii w jego Izbie Muzealnej i Kolekcjonerskiej, widząc jego miłość do starych przedmiotów, entuzjazm z jakim o nich nam opowiadał. Jego życiową dewizą było zdanie: „Obcowanie ze sztuką uszlachetnia człowieka”. Muszą być to prawdziwe słowa, bo pan Jerzy Szwuger był takim szlachetnym i wspaniałym człowiekiem. Pasja zbierania starych rzeczy, jak wspomina jego żona, narodziła się w nim kilkadziesiąt lat temu. Od zawsze interesował się historią. Jak większość młodych ludzi miał hobby – kolekcjonował znaczki pocztowe, a później przedmioty, które posiadają ciekawą historię. Każda taka rzecz była przywożona do domu. Z czasem tych eksponatów było tak dużo, że Pan Jerzy potrzebował miejsca do ich pokazywania innym. Na początku muzeum liczyło dwa pokoje, jednak Pan Jerzy zbierał dalej przedmioty domowego użytku, które już nie są używane, maszyny rolnicze, antyczne meble, instrumenty muzyczne. Zbierał również porcelanę, stare monety, obrazy, figury świętych. Wśród tych przedmiotów można zauważyć „lampę Alladyna”, muszle z Teneryfy, papirusy i wiele innych, ciekawych eksponatów wartych zobaczenia. Często mawiał, że te przedmioty są niemymi świadkami życia naszych przodków. W swej kolekcji posiadał około dwadzieścia zegarów, w których czas się zatrzymał. Przedmioty do wystaw pan Jorg (tak mówią na niego tutejsi mieszkańcy) przywoził z podróży, dostawał je też od rodziny, przyjaciół i ludzi doceniających jego pracę. Gdy tych rzeczy było już dużo to wypełnił kolejne pokoje. Obecnie jest ich pięć. Każdy pokój jest urządzony w innym stylu. Jeden w stylu wiedeńskim, drugi w gdańskim. Osobny pokój jest przeznaczony dla lalek. Te lalki nie służyły do zabawy. To lalki dekoracyjne, wykonane z porcelany. Z każdym przedmiotem znajdującym się w tych pokojach wiąże się jakaś ciekawa historia. Pan Jerzy opowiadał na przykład, w jaki sposób w jego muzeum znalazły się butelki. Po prostu pewnego dnia wykopał je w swoim ogródku. Butelek takich już prawie się nie spotyka. Mają one tekst wryty w szkło i pochodzą z okresu II wojny światowej. Teraz na butelki przykleja się etykiety. Pan Szwuger dołączył te butelki do swej wystawy. Pan Jorg wiele podróżował, poznając historię lokalną, kulturę i tradycję mieszkańców innych miejscowości i krajów. Jego Izbę Muzealną – Kolekcjonerską odwiedzają głównie dzieci lub młodzież ze szkół. Pan Jerzy opowiadał nam takie historie, których na pewno nikt nie znajdzie w żadnym podręczniku do historii. Zawsze czuliśmy się u niego, jak oczekiwani goście, częstowani świeżo upieczonym przez panią Annę kołaczem, raczeni przez pana Szwugra nie jedną pasjonującą historią.

Izba to nie jedyna pasja pana Szwugra. W swoim ogrodzie posiadał piramidę, którą postawił Jan Mateja – elektryk, ale też cieśla. Piramida znajduje się na miejscu rzeki Ptaszówki, przecinającej tereny, na których teraz leży Dębska Kuźnia. Rzeka sama wyschła, gdy podczas drugiej wojny światowej angielscy jeńcy wyprostowali ją przy okazji budowy drogi. Ta piramida nie jest zwyczajna, nie jest zrobiona z kamienia, natomiast jest zbudowana z płyt paździerzowych, rozpostartych na stelażu z drewna. Na tym położone zostały dachówki z papy, aluminiowe krawędzie i czapa z miedzi. Miejsce, na którym znajduje się piramida i to jak została wykonana zapewnia jej „energię z kosmosu”. Energia ta pomaga wyzdrowieć tutejszym mieszkańcom oraz dojrzewać owocom. Ludzie przynoszą tu też wodę, aby się naenergetyzowała i nabrała mocy. Przychodzą tu także sami, żeby medytować i odpocząć.

Ta piramida leczy, uzdrawia i odmładza, mawiał jej właściciel. Pan Szwuger od spodu szczytu piramidy zawiesił kryształ górski. Ponoć ma on skupać w sobie moce z kosmosu i ściągać je.

Pan Jerzy został nagrodzony w dwutysięcznym dziewiątym roku jako jeden z dwunastu animatorów i twórców kultury przez Marszałka Województwa Opolskiego. Nie ma Go już wśród naszej małej społeczności, ale to dzięki niemu wielu z nas docenia stare przedmioty, wiedząc, że w każdym z nich może być zamknięta ciekawa historia. W naszej szkole też mamy klasę, do której znosimy „starocie”, które zostały znalezione u babci na strychu. To dzięki takim ludziom stajemy się uważniejsi i wrażliwsi, chcemy poznawać historię. Uważamy, że przyczynił się do promocji naszej „małej ojczyzny”.

MIEJSCE III

„PIOTR LEMPA – WYBITNY ŚPIEWAK OPEROWY Z DOBRODZIENIA”

Autor: Zuzanna Sułkowska

PG w Dobrodzieniu

Opiekun: Ewa Malik

Zapewne większość osób mieszkających na terenie gminy Dobrodzień i nie tylko, zna Piotra Lempę. Niektórzy pamiętają pewnie jego dzieciństwo, muzyczne początki, a także wzloty i upadki. Jego kariera obecnie pędzi w zawrotnym tempie i wszyscy życzymy mu, aby nadal tak było, ale możemy zadać sobie pytanie jak to wszystko się zaczęło?

Otóż pierwsze kroki w stronę muzyki Piotr Lempa stawiał na zajęciach scholii prowadzonej przez panią Beatę Sikorę w szkole podstawowej. Następnym etapem była Szkoła Muzyczna w Lublińcu. Tam artysta zaczynał od gry na instrumentach. Nad śpiewaniem jeszcze wtedy się nie zastanawiał. Jego wybór padł na takie instrumenty jak fortepian i gitara, jednak przez brak miejsc w szkole na te właśnie instrumenty zmuszony był zdecydować się na akordeon i klarnet. Piotr starał się jak mógł niestety to nie było to, czego oczekiwał, przez co został wyrzucony ze Szkoły Muzycznej w Lublińcu, a towarzyszyły mu słowa: „muzyka nigdy nie będzie miała z ciebie żadnego pożytku...”

Patrząc na kolejne zdarzenia w życiu Piotra i na to co obecnie osiągnął, widzimy jak bardzo nauczyciele tej szkoły muzycznej się mylili. Piotr jednak nie poddał się zupełnie i przychodził ćwiczyć grę na organach do kościoła pw. św. Marii Magdaleny w Dobrodzieniu. Tam, ksiądz zaproponował mu posadę organisty. Chłopak nie czuł się jeszcze na tyle pewnie, aby pełnić tak ważną rolę, więc ćwiczył przez następne dwa miesiące pod czujnym okiem organisty – pana Dionizego Brylki, zanim zdecydował się zagrać sam. Kiedy był na studiach, również zdarzało mu się grywać w kościele i ciągle podkreśla, że bardzo jest wdzięczny księdzu Alfredowi Waindokowi, za to, że mu na to pozwalał.

Nadszedł czas na szkołę średnią. Jego wybór padł na Technikum Elektroniczne w Opolu. Stwierdził jednak, że nie tego szuka i skończył Liceum Ogólnokształcące w Dobrodzieniu. Wielokrotnie zmieniał również kierunki studiów. Najpierw zdecydował się na informatykę we Wrocławiu, jednak później przeniósł się na Politechnikę w Częstochowie. Tam wybrał kierunek zarządzanie i marketing. Kiedy studiował, w oczy rzuciła mu się ulotka dotycząca przesłuchań do chóru „Collegium Cantorum”. Wybrał się tam i został przyjęty. Była to dobra decyzja, ponieważ śpiewał potem w tym właśnie chórze przez kolejne cztery lata. Sam artysta przyznaje, że gdyby wiedział, jakiej klasy był to chór, to nie poszedłby na przesłuchanie. Jeździli oni po całym świecie, wydawali płyty oraz dawali wspólnie koncerty. Te wyjazdy,

próby, nagrania i inne rzeczy zajmowały bardzo wiele czasu, dlatego pod koniec czwartego roku studiów w Częstochowie, Piotr musiał zadać sobie pytanie czy ważniejsza jest dla niego nauka, czy muzyka? Ostatecznie zwyciężyła artystyczna strona jego duszy, co zaowocowało tym, że artysta postanowił zdawać do Akademii Muzycznej w Bydgoszcy. Tego samego dnia kiedy miał przesłuchania, Piotr nagrywał płytę wraz z chórem do 3.00 w nocy. Po nagraniu od razu pobiegł na pociąg, który nie mógł dotrzeć do Bydgoszcy punktualnie przez kolizję. Piotr zadzwonił jednak na uczelnię i pozwolono mu dotrzeć z opóźnieniem. Zdawał w dresach i z plecakiem, jednak został przyjęty. W ten sposób studiował pierwszy rok w Bydgoskiej Akademii Muzycznej i piąty rok na Częstochowskiej Politechnice. Niestety przez tak duży nawał obowiązków, Piotr musiał zrezygnować z chóru. Na uczelni pieczę nad Piotrem sprawował profesor Leszek Skrla, który zaproponował mu przeniesienie się do jego macierzystej uczelni – do Gdańska. Chłopak skorzystał z propozycji i od tego czasu uczył się w Akademii Muzycznej im. S. Moniuszki w Gdańsku. W czasie nauki zarabiał jako statysta w operze i tam usłyszał o przesłuchaniu do chóru. I w ten sposób już na pierwszym roku studiów śpiewał w chórze opery. W Gdańsku miał już swojego profesora i w tym czasie zaczął koncertować. Jego pierwszy występ odbył się w Katedrze Lubelskiej, gdzie zaśpiewał „Requiem” Mozarta wraz z solistami opery. Miał wtedy 24 lata. Wtedy nastąpił przełom. Piotr dostał kilka małych ról w operze, a na trzecim roku został solistą opery. W dodatku nagrodzono go Nagrodą Marszałka Województwa Pomorskiego w kategorii najlepszy debiut roku 2003. Rozpoczął również współpracę z Teatrem Muzycznym w Gdyni, gdzie dostał już nieco bardziej wyszukane role w spektaklach jak „Jesus Christus super Star” i „Dracula”. Rozpoczął także turne po Szwajcarii i Niemczech. Piotr w międzyczasie skończył studia w Częstochowie, a w 2004 roku został wybrany Absolwentem Roku tej uczelni. Cała uroczystość odbyła się 16 kwietnia w Częstochowie. Artysta został wytypowany spośród ponad trzystu osób zgłoszonych do konkursu i znalazł się w ścisłej dziesiątce nominowanych. Co najciekawsze Piotr był najmłodszym spośród nominowanych do tego tytułu, a mimo wszystko to właśnie on go zdobył. Studia Piotra w Gdańsku również dobiegały już końca i pozostał tylko etat w Operze Bałtyckiej.

Szczęście jednak ani na chwilę nie opuszczało artysty, gdyż został on zaproszony na Schlezvik Holstein Music Festival, na którym opiekunem wokalnym był człowiek z Londynu. Właśnie on po koncercie podszedł do Piotra i zaproponował mu studia w Królewskiej Akademii Muzycznej w Londynie. Muzyk nie był przekonany, czy tam pasuje, jednak pojechał do Londynu. Wszystkie egzaminy dla osób spoza Anglii na uczelni odbywały się w jednym dniu. Dotyczyły one śpiewu solo, znajomości języka angielskiego, włoskiego oraz francuskiego i czytania a vista, czyli wykonania utworu bez wcześniejszego przygotowania. Piotr był przygotowany na śpiew, ale reszta była dla niego zaskoczeniem. Jednak wielki talent Piotra i niewiarygodne szczęście pomogły mu i artysta dostał się na uczelnię. Problem stanowił także aspekt finansowy, jednak tutaj z pomocą również przyszła akademia, która zaproponowała własne stypendium zamiast polskiego. Po tych wydarzeniach Piotr wrócił do ojczyzny tylko na chwilę, aby ukończyć piąty rok studiów na bydgoskiej uczelni i zrobić dyplom, a od września miał rozpocząć życie w Londynie.

Po dwóch latach skończył studia w Londynie i zaczął śpiewać w Manchester w „Don Giovannim”. Po premierze i warsztatach wokalnych przeniósł się do Internacional Akademii of Voice. Jakby tego było mało zainwestował w niego również Włoski Instytut Kultury, który zaproponował mu kurs śpiewu włoskiego u Mirelli Freni – światowej sławy śpiewaczki. Piotr powoli zdobywał ogromne doświadczenie, występując jeszcze w czasie swojego pobytu w Londynie w takich spektaklach jak „Norma” czy „Czarodziejski flet”. W 2014 roku mogliśmy usłyszeć o wielkim sukcesie artysty, a mianowicie o debiucie Piotra w Royal Opera House Covent Garden. Za to 13 kwietnia właśnie 2014 roku wraz z ETO Opera został nagrodzony

prestiżową nagrodą Olivier Award za „Outstanding Achievement in the Opera”. Jest to naprawdę ogromne osiągnięcie, a dla porównania ta nagroda w środowisku muzyki klasycznej jest jak filmowe Oscary lub muzyczne nagrody Grammy.

Piotr ma także wiele wydanych płyt na swoim koncie. Jego pierwszymi „krążkami” są dwie płyty nagrane wraz z chórem Collegium Cantorum oraz płyta z nagraniem utworu solowego „Missa Misericordia”. Najnowsza to „And so... This is christmas...”. Muzyk ma na swoim koncie również płytę „Georg Sati Accademia di bel Canto”, którą tuż po premierze we Włoszech ofiarował Stowarzyszeniu Dobrodzień Potrzebującym na cele dobroczynne. Piotr podejmował się również innych działań charytatywnych. Organizował koncerty w Dobrodzieniu, z których dochód był przeznaczany właśnie na Stowarzyszenie Dobrodzień Potrzebującym. Możemy zauważyć, że po tych wszystkich sukcesach w kraju i poza jego granicami Piotr Lempa nigdy nie zapomina o swoim małym Dobrodzieniu, w którym się wychował. Jakies dziesięć lat temu pojawił się pomysł na to, aby i w naszej miejscowości zorganizować koncert i tak powstał cykl koncertów „Piotr Lempa i przyjaciele”. Były one organizowane w Dobrodzieńskim Domu Kultury od 2004 roku. Od 2006 roku organizatorem koncertów było Stowarzyszenie „Dobrodzień Potrzebującym” we współpracy z MGOK. Jednak po ośmiu przeróżnych koncertach Piotr postanowił pójść o krok dalej, a mianowicie podnieść cykl koncertów do rangi festiwalowej. I tak pierwszy Dobrodzień Classic Festival odbył się w 2011 roku. Przez dwa dni cały Dobrodzień rozbrzmiewał muzyką klasyczną. W pierwszej części festiwalu świętowaliśmy 700-lecie parafii pw. św. Marii Magdaleny w Dobrodzieniu i to właśnie tam odbył się pierwszy koncert. W drugim dniu Classic Festival odbyła się w sali DOKiS Wielka Gala Operowo-Operetkowa, na którą jak co roku Piotr Lempa zaprosił swoich przyjaciół; Katarzynę Hołysz – sopran, Mirosławę Yordanową mezzosopran i Karola Kozłowskiego – tenor. Został zaproszony także student II roku Paweł Bożek, aby promować młodych zdolnych artystów. W 2012 roku sytuacja się powtórzyła znów mieliśmy przyjemność uczestniczyć w koncercie, ale tym razem już w II Dobrodzień Classic Festival. Tym razem koncert odbył się także w mieście powiatowym, czyli w Oleśnie gdzie do współpracy zaprosił Miejski Chór OlenSis pod dyrekcją Kariny Duch. III Dobrodzień Classic Festival w 2013 roku miał również edycję dwudniową jak rok wcześniej. W 2014 roku odbył się IV Dobrodzień Classic Festival, który został objęty honorowym patronem przez Marszałka Województwa Opolskiego – Andrzeja Bułę. Ten koncert był wyjątkowy, ponieważ już po raz 10-ty odbywało się święto muzyki w Dobrodzieniu, na które z utęsknieniem czekamy co roku. IV Classic Festival trwał przez trzy dni. W pierwszym dniu uczestniczyliśmy w koncercie muzyki sakralnej w kościele pw. św. Marii Magdaleny w Dobrodzieniu. Drugi dzień spędziliśmy w Miejskim Domu Kultury w Oleśnie na koncercie pod tytułem „Najpiękniejsza muzyka świata”. Trzeci dzień koncertu to Dom Kultury w Dobrodzieniu, gdzie odbyła się charytatywna gala operowa „Piotr Lempa i Przyjaciele” 10 urodziny.

Artysta nie poprzestaje tylko na festiwalu. Odwiedzając w okresie świąt Bożego Narodzenia swoje rodzinne miasto 26 grudnia, Piotr organizuje w kościele pw. św. Marii Magdaleny w Dobrodzieniu kolędowanie. Kolędowanie odbywa się dzięki współpracy z księdzem proboszczem Alfredem Waindokiem. Słuchanie, a także wspólne kolędowanie, do którego zawsze namawia Piotr Lempa, jest bardzo nastrojowe. Odbywa się ono przy zagaszonym świetle, przez co możemy zauważyć grę świateł na ścianach kościoła, który przygotował Dionizy Brylka. Oprócz tradycyjnych kolęd pojawiają się angielskie piosenki świąteczne, jednak najbardziej wzruszająca jest „Kolęda dla nieobecnych”, którą Piotr dedykuje wszystkim, którzy odeszli od nas w minionym roku. W 2014 roku podczas kolędowania obyla się premiera najnowszej płyty artysty z kolędami zatytułowanej „And so... This is christmas...”.

O Piotrze usłyszałam od mamy. To ona zaraziła mnie muzyką klasyczną i od tej pory razem chodzimy na koncerty Piotra i nie tylko. Ten wyjątkowy człowiek pokazał, że jeżeli się chce to można, i że trzeba wierzyć we własne szczęście i umiejętności. Tym co osiągnął, pokazuje nam wszystkim, że nawet skromny chłopak z tak małej miejscowości jak Dobrodzień może się wybić i zasłynąć w wielkim świecie.

Źródła:

- <https://www.google.pl/search?>
- „Echo Dobrodzienia” nr 73
- „Echo Dobrodzienia” nr 92
- „Echo Dobrodzienia” nr 84
- „Echo Dobrodzienia” nr 85
- „Echo Dobrodzienia” nr 93
- „Echo Dobrodzienia” nr 90

WYRÓŻNIENIE „TERESA OZIMEK OD KRASZANKI DO PORCELANY”

Autor: Agnieszka Kania

ZGS w Zębowicach Opiekun: Iwona Grabowska

Pani Teresa Ozimek zamieszkała w Kosicach znana jest z pięknie zdobionej ceramiki i jajek wielkanocnych. Swoją pasję odkryła w dzieciństwie, w szkole podstawowej dzięki niezwykłej pani wychowawczyni Urszuli Nawrockiej, która wysłała ją na konkurs kroszonkarski do Opola, gdzie zdobyła I miejsce na 100 uczestników. Pani Teresa zdobienia jaj techniką rytowniczą nauczyła się od matki. Barwi je w farbach do tkanin. Do skrobania stosuje nożyki rytownicze. Tworzy wyrafinowane kompozycje roślinne, zazwyczaj jej kompozycje są bardzo czyste i przejrzyste. W Wojewódzkim Konkursie Plastyki Obrzędowej Kroszonki Opolskiej uczestniczy od 2004 roku, w latach 2007, 2008, 2010 uzyskała pierwszą nagrodę.



Ręce pani Teresy przy pracy.

Trochę historii...

Od pradawna jajko jest symbolem nowego życia. Dlatego na wiosnę obdarowywano się jajkami. Aby jednak to się stało i miało „sposobny czas”, wybrano Poniedziałek Wielkiej Nocy, bo wtedy było wiadomo, że nastąpiło zmartwychwstanie i życie zwyciężyło nad śmiercią. Jak głosi legenda w Poniedziałek Wielkanocny rano mężczyźni polewali niewiasty wodą (symbol życia), a one się odwzajemniały, darując im jajko (drugi symbol życia). Czas jednak nieubłaganie płynął do przodu i zaczęto się zastanawiać, jakby ten „ceremoniał” ubogacić. Mężczyźni zaczęli więc do wody dodawać „pachnidła” – sok z brzozy, wywar z tataraku i innych kwiatów i ziół. Niewiasty, myśląc o rewanzu, zaczęły jaja barwić na kolorowo. Przy czym każdy kolor miał swoje znaczenie i przeznaczenie, choć dzisiaj już nie jest to przestrzegane. Jaja barwione na **zielono** dawano chłopcom, którzy chodzili do szkoły podstawowej i przedszkola. Barwione na kolor **czarny** dawano szanowanym osobom takim

jak: nauczyciel, ksiądz, hrabia i starszym mężom lub innym osobistościom. Jajka barwione na **brąz** otrzymywali narzeczeni i młodzi małżonkowie. Jaja **fioletowe** otrzymywali starsi kawalerowie. Barwione na **niebiesko** otrzymywali kawalerowie, którzy zostali zdemaskowani, że mają kontakty z różnymi dziewczynami – czyli jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, tacy, co to skaczą z kwiatuszka na kwiatuszek. Jaja barwione na **żółto** dawała dziewczyna chłopcu, którego nie chciała. To był znak, że ma jej dać spokój. Żółto barwione jajko jako jedyne było surowe.

Dawniej, tworząc wzory na jajkach, ludzie wyrażali swoje uczucia. Dosyć starym napisem jest np.: „Nie chodź kroszoneczko koleją (drogą), bo Cię tam chłopcy poleją”. Jeżeli dziewczyna chciała dać chłopcu znać, że go kocha pisała: „Piszę to, co serce mi dyktuje, że moje serduszko Ciebie miłuje”. Żona pisała do męża: „Choć lata płyną – miłość nie rdzewieje i że tak zostanie, skrytą mam nadzieję”.

Rozpoczęcie zdobienia porcelany przez panią Teresę

Po zakończeniu szkoły podstawowej pani Teresa rozpoczęła naukę w szkole jako zdobnik ceramiki, gdzie rozwijała swoje plastyczne zainteresowania. Po ukończeniu szkoły pracowała w Opolskiej Cepelii. W 2001 roku założyła swoją prywatną działalność. Jej wyroby trafiają m.in. do sklepów w Krakowie, gdzie są chętnie kupowane przez turystów z kraju i za granicą. Jej wyroby artystyczne charakteryzuje znakomita technika: doskonała i precyzyjna kreska oraz przejrzystość i wielobarwność kompozycji, w których kolor niebieski stanowi tylko uzupełnienie. Podczas malowania stosuje cieniowanie, co daje piękny efekt wizualny. Potrafi uzyskać efekt zbliżony do fladowania – spływania, przenikania się kolorów. Maluje ceramikę użytkową (talerze, kubki, wazy, półmiski, salaterki itp.). Pomalowaną porcelanę wypala w specjalnym piecu ceramicznym, w temperaturze 820°C, dzięki czemu wzory są trwałe i nie ulegają odbarwieniu (można myć w zmywarce). W warsztacie pani Teresy znajdują się niezbędne rzeczy do zdobienia porcelany. Najważniejszym elementem jest specjalnie wyprofilowany stół, na którym znajdują się m.in.: słoiki z farbami (10 kolorów), stalówka do konturów, terpentyna, kalafonia i biała porcelana.

Pani Teresa jest zdobywczynią wielu nagród i wyróżnień. W 2012 roku Muzeum Wsi Opolskiej przeprowadziło I Wojewódzki Konkurs Malowania Porcelany, w którym zdobyła I nagrodę, natomiast rok później zdobyła nagrodę główną.

Jeszcze jeden łyk historii...

W 1963 roku w trakcie obrad jury Wojewódzkiego Konkursu Kroszonkarskiego pojawił się pomysł, aby podjąć działania zmierzające do przeniesienia tradycyjnego wzornictwa z kroszonek na bardziej trwałe materiały. Z inicjatywy prezesa opolskiej Cepelii młoda opolska twórczyni ludowa wykonała pierwsze próby zdobnicze na porcelicie pozyskanym z zakładu w Tułowicach. Pod koniec lat 60. porcelanę zaczęto wykorzystywać do malowania. W 1968 roku oficjalnie uruchomiono dział zdobnictwa porcelany. Od tego momentu ta bardzo nowoczesna jak na owe czasy forma, należy obok kraszanek do najbardziej rozpoznawalnych, regionalnych wytworów Opolszczyzny. Malowana porcelana opolska była obecna w galeriach Cepelii na terenie całego kraju. Niestety w wyniku przemian gospodarczych, które nastąpiły w Polsce po 1989 roku opolska Cepelia ogłosiła upadłość. Dzisiaj zauważa się powolny wzrost zainteresowania ręcznie dekorowanymi wyrobami. Aktualnie funkcjonujące pracownie to firmy jednoosobowe (tak jak w przypadku pani Teresy Ozimek).

Bibliografia:

- wywiad przeprowadzony z panią Teresą Ozimek
- książka „O jajku prawie wszystko” – Wydawnictwo Nowik

- czasopismo „Opolskie kroszonki”
 - książka „Artyści ludowi i ginące zawody”
 - czasopismo „Folk – Art” – Komprachcice
 - czasopismo „I Wojewódzki Konkurs Sztuki Nieprofesjonalnej”
 - strona internetowa „Starterfirm” – Teresa Ozimek
- Zdjęcia wykorzystano za zgodą artystki.

WYRÓŻNIENIE

„CHÓR KANTATA POD KIERUNKIEM PANA WŁADYSŁAWA REGNERA”

Autor: Weronika Puchrowicz

PG w Dobrodzieniu
Opiekun: Ewa Malik

Biała koszula, garnitur, nienagannie zawiązany krawat ... mężczyzna w sile wieku, z pięknymi włosami w kolorze srebrnym. Jak nie zaniemówić z wrażenia, gdy jest się świadkiem sytuacji, gdy jeden człowiek skupia na sobie wzrok kilkunastu oczu, gdy jeden człowiek, kilkoma ruchami potrafi kierować kilkunastoma członkami chóru?



Jestem absolwentką szkoły muzycznej pierwszego stopnia w klasie skrzypiec. Swoją przygodę z muzyką rozpocząłam wiele lat temu. Myślę jednak, że ona nigdy się nie skończy. I właśnie podążając jej szlakiem, uczestniczyłam w występie Chóru Kantata, na czele którego stoi właśnie ten mężczyzna, od którego opisu rozpoczęłam swoją pracę.

Władysław Regner urodził się w 1946 roku. Od najmłodszych lat był tam, gdzie grała muzyka. Gdy tylko w okolicy grał jakikolwiek instrument, musiał tam być. Na małym akordeonie na 12 basów rozwijał swoje podstawowe umiejętności gry na tym instrumencie. Pierwsze lekcje z podstawy muzyki uzyskał od muzyka- amatora pana Jeczena, który w sąsiedniej miejscowości uczył gry na instrumencie, prowadził też chór i orkiestrę.

Po skończeniu 7 klasy pan Regner zdał egzamin wstępny do Liceum Pedagogicznego w Mielcu. Warunkiem przyjęcia, oprócz zdanego egzaminu z matematyki i języka polskiego, było posiadanie łyżew i skrzypiec. W rozmowie ze mną pan Regner z rozrzewnieniem powiedział: „miałem i łyżwy, i miałem skrzypce”. Należał do chóru i orkiestry, grał na akordeonie.

Po skończeniu Liceum Pedagogicznego młody człowiek podjął pracę jako kierownik świetlicy w Zespole Szkół w Ropczykach. Po roku pracy kontynuował naukę w 2-letnim Studium Nauczycielskim w Krośnie, na Podkarpaciu.

I w tym momencie życia, w 1968 roku, pan Regner zamieszkał i podjął pracę w Dobrodzieniu. Naukę kontynuował na Uniwersytecie Śląskim, na kierunku muzyki, plastyki i pracy kulturalno-oświatowej w Cieszynie. Po skończeniu 4-letnich studiów uzyskał wyższe wykształcenie muzyczne.

W latach 1990–2006 pełnił funkcję najpierw zastępcy, a później dyrektora Szkoły Podstawowej oraz Publicznego Gimnazjum.

Przede wszystkim jednak to człowiek, który kocha muzykę. O tym mogłam się przekonać, goszcząc w jego domu.

Gdy zadałam pytanie: – Dlaczego taka nazwa chóru? Zamiast odpowiedzi usłyszałam pytanie:

– A wiesz co to znaczy cantare?

– Oczywiście – odpowiedziałam – śpiewać.

– No właśnie to jest zadanie chóru – śpiewać. A co do repertuaru to oczywiście wszystko zależy od okoliczności występu. Repertuar jest zróżnicowany. Od powstałej 750 lat temu pieśni „Gaude Mater Polonia” i „Bogurodzicy” aż po muzykę współczesną przez utwory St. Moniuszki, F. Schuberta, J. Verdiego, S. Maklakiewicza, Z. Koniecznego czy P. Rubika.

W 88 numerze Echa Dobrodzienia z roku 2013 czytamy: „13 stycznia 2013 roku odbył się koncert chóru Kantata działający pod dyktando Władysława Regnera. Jak co roku mogliśmy usłyszeć tradycyjne kolędy oraz trzy nowe utwory: „Wigilijna świąteczna noc”, „Pospieszcie pastuszki” oraz „W dzień Bożego Narodzenia”. W sumie usłyszeliśmy 16 kolęd i pastorałek. Tak duży repertuar pozwala na rozpoczęcie licznych koncertów”

Boże Narodzenie uświetnione zostało utworem „Witaj gwiazdko złota”, „Całą noc padał śnieg”, „Wigilijna noc”, „Białe Boże Narodzenie”, „Kołysanka”. Nie zabrakło oczywiście najpopularniejszej kolędy „Cicha noc”.

Stałymi punktami kalendarium koncertowego Chóru Kantata są koncerty kolęd w kościołach w Dobrodzieniu i okolicy, koncert z okazji Święta Niepodległości 11 listopada.

Gdy pan Regner wspominał o dniu Beatyfikacji Jana Pawła II w kościele Marii Magdaleny w Dobrodzieniu (27 kwietnia 2014 roku) to w Jego głosie wyraźnie można było usłyszeć radość i wzruszenie. Śpiewaliśmy ulubione utwory papieża „Barkę”, „Moje miasto Wadowice”, „Liczę na ciebie ojczyste”, „Czarna Madonno”, „Abba Ojczyste” – powiedział.

Wspominał również o udziale w Letnich Koncertach Organowych organizowanych od kilku lat w naszym mieście.

Chór corocznie bierze również udział w festiwalu Zespołów Mniejszości Narodowych i Etnicznych Źródło, w koncertach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W swoich planach koncertowych pan Władysław Regner ma również na uwadze ludzi, którzy nie mogą przybyć na koncerty. Myśli o ludziach przebywających w zakładach karnych, czy w szpitalach, na oddziałach zamkniętych. Wielokrotnie Chór Kantata dawał koncert w Zakładzie Karnym w Lublińcu, Przywarach, czy Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Dobrodzieniu. Pan Regner opowiadał mi jakim niezwykłym wydarzeniem był ich koncert w Zakładzie Karnym w Przywarach w styczniu 2013 roku. W pierwszej części koncertu skazani mogli usłyszeć kolędy, w drugiej „Gaude Mater Polonia”, piosenki z musicalu „Skrzypek na dachu”, „Krakowiaczka”. Sądzę, że to musi być bardzo ważne dla ludzi, którzy pomimo że popełnili błędy i muszą za nie ponieść konsekwencje, potrzebują przecież wrażeń i przeżyć, których dostarcza właśnie muzyka i śpiew.

Żadna uroczystość na terenie naszego miasta i gminy nie może odbyć się bez udziału Chóru Kantata. Wpisał się on na stałe w kalendarz imprez, stał się wizytówką naszego regionu.

Chór śpiewa również w języku niemieckim i ukraińskim. Dzięki żonie pana Władysława pani Gertrudzie, która podała mi do ręki książkę Dobrodzień – Czortków dowiedziałam się, że 24 maja 2010 roku w zaprzyjaźnionym Czortkowie odbył się Pierwszy Międzynarodowy Festiwal „Przyjaźń bez granic 2010”. Zaproszenie do udziału w tym festiwalu otrzymał chór Kantata. Muzyka łączy kultury i ludzi. W repertuarze obok pieśni historycznych, takich jak: „Bogurodzica” czy „Gaude Mater Polonia” znalazły się również pieśni o charakterze tańców polskich (krakowiak, mazur, kujawiak). Nie zabrakło również pieśni ukraińskich, które zostały przyjęte szczególnie gorąco. Pieśń o ręczniku znana zarówno w Polsce i na Ukrainie dedykowana była dla pań Marii, Natalii i Nadii, z którymi zapoznaliśmy się w Dobrodzieniu w czasie wizyty w ramach wymiany młodzieży gimnazjalnej z Czortkowa i Dobrodzienia. Ta współpraca, w ramach wymiany, pozwoliła nawiązać nowe kontakty z rówieśnikami innej narodowości, poznania ukraińskich obyczajów i tradycji, zwiedzanie ciekawych zakątków Ukrainy.

Próby chóru odbywają się w każdy poniedziałek w Domu Kultury w Dobrodzieniu. Organizacja spotkań jest zależna od tego na jakim etapie przygotowania znajdują się członkowie chóru. Jeżeli nie zbliża się termin konkretnego koncertu, chór uczy się nowych utworów i od czasu do czasu powtarza te stare, znane i ciągle przynoszące radość. W rozmowie pan Regner wspomniał, że podobnie jak sportowcy przed meczem muszą przeprowadzić rozgrzewkę, tak chór przed przystąpieniem do pracy musi wykonać ćwiczenia na rozśpiewanie i rozgrzewające głos.

Dlaczego ludzie wybierają taki sposób spędzania wolnego czasu? Z pewnością z miłości do muzyki. Jedną z chórzystek pani Elżbieta Borkowska powiedziała, że próby są dla niej przyjemnością i chwilą zapomnienia o problemach codziennego życia. Śpiewa w Chórze Kantata, gdyż od dzieciństwa styczność z muzyką sprawiała jej przyjemność i pomimo że wejście w dorosłość przyhamowało jej muzyczną aktywność, chętnie przyjęła propozycję zaśpiewania dla najmłodszych i pozostała w chórze do dziś.

Wielkim marzeniem dyrygenta jest, by chór liczył co najmniej 40 osób, a nie jak teraz 17. Chciałby również, by do Chóru Kantata należało więcej mężczyzn, by móc stworzyć chór, w którym występują zarówno sopran i alt, jak i tenory, barytony i basy.

W numerze Echa Dobrodzienia z lipca 2008 roku znajduje się artykuł zatytułowany „Czy Dobrodzień będzie miał swój chór?” Czytamy tam, że wszystko zaczęło się od pomysłu na uświetnienie Mikołajków 2007. Było wielu chętnych, by zaśpiewać dla najmłodszych. Jednak występ solo na scenie wymaga bardzo dużej odwagi i tej właśnie odrobinę zabrakło. Pojawiły się głosy, że razem to łatwiej. Tę myśl pochwyciła pani dyrektor przedszkola Ewa Macha i próby śpiewu dla najmłodszych ruszyły pełną parą.

Byli to nauczyciele, dyrektorzy, studenci, emeryci i młodzież, a nawet przedstawiciele rady, czy sama poprzednia pani burmistrz. Dyrygentem został mianowany Władysław Regner, gdyż taką rolę można było powierzyć tylko człowiekowi, który jest profesjonalistą, kocha muzykę i tą muzyką obdarowuje innych.

06 grudnia 2007 roku wystąpił chór z repertuarem: „Jak to miło”, „Zagraj dziecku kołysankę”, „Kundel rudy”, „Słoneczko już gasi złoty blask”.

Śpiewając w proszących powoli płatkach śniegu chór osiągnął swój pierwszy sukces. Kolejne miesiące jednak podpowiadały, że to się nie uda. Autorka artykułu kończy z ogromną troską i niepokojem, że, „inicjatywa zrodzona z tak wielkiego zapału powoli go tracąc może zaniknąć.” Ja jednak mogę dzisiaj powiedzieć, że po rozmowie z panem Władysławem Regnerem jestem przekonana, że przed Chórem Kantata jeszcze bardzo dużo wyzwania, gdyż jest to człowiek, który ma ogromne marzenia i wiele pomysłów.

Bibliografia:

- rozmowa z panem Władysławem Regnerem
- strony internetowe: www.dokis.info
www.dobrodzien.pl
- „Echo Dobrodzienia i okolic” nr 71/2008 nr 88/2013
- „Ziemia Lubliniecka” nr 123/2014
- „Dobrodzień – Czortków” pod redakcją Pawła Mrozka, wyd. Gmina Dobrodzień, 2004 r.

„KSIĄDZ ALOJZY MALCHEREK – CZŁOWIEK, KTÓRY ZMieniŁ OBlicZE KRASIEJOWA”

Autor: Fabian Mannsfeld

GZS w Ozimku

Opiekun: Małgorzata Dziewulska

Nazywam się Fabian Mannsfeld. Mając dziewięć lat, postanowiłem zostać ministrantem. Wówczas proboszczem mojej parafii był ksiądz Alojzy Malcherek. Fascynowało mnie bardzo jego życie, które nie było łatwe. Lubiłem słuchać opowiadań księdza, jego wspomnień, którymi czasami zechciał się z nami podzielić.

Ksiądz Alojzy przybył do parafii Krasiejów w 1966 roku i pełnił funkcję wikarego – ekonoma, pomagał wówczas ciężko choremu proboszczowi – księdzu Janowi Kokoszce. Natomiast po jego śmierci 29 czerwca 1968 roku został proboszczem.

Z człowiekiem, który zmienił oblicze Krasiejowa, spotkałem się, aby dowiedzieć się o jego życiu, czyli dzieciństwie, drodze do kapłaństwa, a także posłudze kapłańskiej.

– Szczęść Boże. Zawsze pragnąłem spotkać się z księdzem, by przeprowadzić wywiad, dzięki któremu ludzie będą mogli poznać księdza ze strony, jakiej jeszcze nie znali. Wróćmy do czasów młodości... Kiedy rozpoczęła się wojna, był ksiądz nastolatkiem. Jakie wspomnienia pozostały z tamtych czasów?

– W ten czas chodziłem do szkoły podstawowej, do pierwszej klasy od 1 kwietnia 1940 roku. W naszej miejscowości frontu nie było, nawet nie było widać wojsk niemieckich. Jednakże kiedyś przyszli do nas dwaj żołnierze i chcieli się posilić. Matka przygotowała im coś do jedzenia, ale bardzo szybko, ponieważ się spieszyli. Tego dnia jednak nie zapomniałem. 25 stycznia 1945 roku do naszego domu przyszli dwaj Rosjanie. Jeden kompletnie pijany. Drugi zaś był trzeźwy i to właśnie dzięki niemu żyjemy. Ten pijany chciał nas wszystkich zastrzelić. Wówczas była z nami jeszcze sąsiadka. W pewnej chwili pijany żołnierz kazał ojcu naprawić coś przy furmance, którą przybyli. Ojciec usunął usterkę i uciekł, ponieważ bał się, iż oni zabiorą go na Syberię, bo zdarzały się takie przypadki. Także w ten czas pozostała tylko moja matka, sąsiadka, ja i moje siostry. Nagle pijany żołnierz powiedział: „Od ciebie i od ciebie (wskazując na sąsiadkę i matkę), twój mąż i twój syn zabili moją matkę i dlatego ja was zabiję również”. Drugi żołnierz okazał się dobrym człowiekiem (poza drobnymi kradzieżami, ponieważ od ojca wziął zegarek i inne przedmioty), był też trzeźwy, dlatego zawdzięczamy mu, że przeżyliśmy, gdyż wziął za łachmany pijanego człowieka i uspokoił go.



– **Jak wyglądała księdza droga do kapłaństwa? Kiedy zrodziło się powołanie?**

– W drugiej połowie lat 40, czasami miałem ochotę zostać księdzem, ale to różnie bywało, gdyż człowiek był jeszcze niezdecydowany. W wieku 17-18 lat, postanowiłem studiować teologię.

– **W jakich parafiach pełnił ksiądz posługę przed przyjściem do Krasiejowa?**

– Zanim przyszedłem do Krasiejowa, byłem wikarym w Raciborzu w parafii Serca Pana Jezusa. Po dwóch latach zostałem przeniesiony jako wikary – ekonom do dekanatu branickiego. Wikary – ekonom to ksiądz, który jeszcze nie jest mianowanym proboszczem, ale pełni funkcję proboszcza. Obsługiwałem wówczas dwie parafie i trzy kościoły. Wszystko było tam zniszczone, ponieważ w tych miejscach toczył się front (poza Ukrainą) podczas II wojny światowej, największe walki pancerne. Zostałem tę wieś w ruinach, a nazywała ona się Łódka. Miałem wrażenie, że tutaj skończyła się wojna przed dwoma tygodniami. Kiedyś była to duża, bogata wieś, gdyż w tych rejonach występowała bardzo urodzajna gleba. Przez wojnę wieś ta zmaląła, ponieważ żołnierze zmusili ludność do opuszczenia niektórych swych terenów. Kościół również uległ zniszczeniom. Poprzedni proboszcz w 1947 roku opuścił parafię, gdyż nie miał z czego się utrzymać. Z początkiem listopada 1959 roku przybyłem do plebani, która nie była zamieszkana od kilkunastu lat. Trzeba było od razu zaczynać wszelkie remonty. Dach został bardzo uszkodzony i należało prowizorycznie dokonać jego naprawy, bo zbliżała się zima. Natomiast wiosną zabrałem się do remontu wieży kościelnej, gdyż krzyż umieszczony na jej czubku mógł spaść, co groziło śmiertelnym wypadkiem. Wnętrze kościoła z kolei należało otynkować, instalację elektryczną wymienić, wprawić nowe ławki, a na końcu mojego sześcioletniego pobytu kazałem sprawić sześć okien witrażowych.

– **Wspomniał ksiądz przedtem jeszcze o dwóch innych kościołach, co z nimi się stało? Czy też nadawały się do remontu?**

– Oczywiście. Miałem jeszcze do obsługi dwa kościoły w sąsiedniej parafii, gdzie wprawdzie mieszkał proboszcz, ale już emerytowany, który liczył około 80 lat. Gdy przyszedłem, dowiedziałem się, że tamten proboszcz emeryt mieszka w zakrystii, ponieważ plebania i wszystkie zabudowania zostały spalone, kościół zaś zrujnowany. Dwa tygodnie po śmierci tego kapłana otrzymałem wezwanie, aby wstawić się do kurii biskupiej w Opolu. Dowiedziałem się wówczas, że mam pójść znów jako wikary – ekonom do parafii Krasiejów, gdyż poprzedni proboszcz jeszcze żył, a dwóch proboszczów nie może być w jednej parafii. Mój poprzednik ksiądz Kokoszka nie mógł już prowadzić parafii ze względu na swą ciężką chorobę. Ówczesny biskup poinformował mnie, iż przybyłem tutaj z prawem następstwa, czyli jak ksiądz Kokoszka umrze, to w ten czas ja zostanę mianowany proboszczem. Nie bardzo wierzyłem w te słowa, gdyż dotarły do mnie wieści, iż starsi, poważni księża ubiegają się o tę parafię. Jednak biskup Wycisk dotrzymał słowa. O tym, że zostanę proboszczem, dowiedziałem się w dniu pogrzebu mojego poprzednika.

– **Co ksiądz czuł, dowiadując się, iż zostanie proboszczem w Krasiejowie?**

– Czuję radość. Kiedy po raz pierwszy przybyłem do Krasiejowa, poszedłem do znajdującego się tam kościoła i zrobił on na mnie ogromne wrażenie. Nie spodziewałem się być proboszczem tak cudnego kościoła. Mogę szczerze powiedzieć, iż nasze sanktuarium należy do jednego z piękniejszych w diecezji opolskiej. Ale oczywiście jak wszędzie, tak też i w Krasiejowie czekały mnie różne remonty. Na początku pomyślałem: „Piękny kościół, a marne dzwony”. Ludzie pragnęli nowych, głośniejszych dzwonów. Chociaż w Ozimku odlewano dzwony, to jednak nie korzystałem z tej oferty, ponieważ były to dzwony stalowe, a ja chciałem lepsze, niezastąpione, jedne w swoim rodzaju, dlatego udałem się aż do Przemyśla. Tam odlewano dzwony z brązu, więc były o wiele ładniejsze a i ich dźwięk bardzo piękny. Dzwony o łącznej wadze prawie dwóch ton zostały zawieszona na wieży w kościele w Krasiejowie w 1989 roku. Wszystko zawdzięczam ofiarności parafian, którzy dbali o swą świątynię. Później zauważyłem,

iż tutaj w świątyni jest za zimno. Rada parafialna pragnęła, by zamontować ogrzewanie. Mój poprzednik mógł je zrobić, lecz powiedział: „Skoro będzie ogrzewanie, to kościół szybciej się zbrudzi”. Co jest prawdą. Kościół, gdy ma ogrzewanie, musi być utrzymany w czystości. Kurz wznosi się na górne partie kościoła i osadza się na znajdujących się tam sklepieniach. W naszym sanktuarium jest bardzo dużo sztukaterii, zatem kurz ma gdzie osiąść. Ogrzewanie zostało zrobione przed zimą w 1979 roku. Ponadto w następnych latach były również wykonywane inne prace takie jak brukowanie placu kościelnego, jego ogrodzenia, likwidacja wszelkich krzewów oraz drzew, które powodowały, iż świątynia nie była nasłoneczniona nawet od zachodniej strony, gdzie po pewnym czasie na ścianach budynku zaczął pojawiać się mech, dlatego w 1984 roku odnowiliśmy tynki.

– **Na jakie trudności trafił ksiądz podczas realizacji swoich planów?**

– Żadnych trudności nie miałem, natomiast zawsze mogłem liczyć na moich parafian. W radzie parafialnej byli ludzie, którzy współpracowali ze mną. Jeżeli posiadałem jakieś plany co do parafii, to przedstawiłem je. Członkowie rady bardzo chętnie podchodzili do moich pomysłów, gdyż zależało im, aby nasza parafia była zadbana. A przy kościele stale była praca. Najpierw został on odnowiony przez malowanie murów, wyłączając sklepienie, gdyż tam znajdowały się malowidła, do których nie mógł się dobierać „zwykły” malarz. Świątynia gruntownie została odmalowana w latach 1998–2003. Podczas remontu powstał nowy ołtarz do Miłosierdzia Bożego. Obraz „Jezu Ufam Tobie” namalował pan Maciej Maciuch, a ramy tego dzieła zrobił pan Paul Goczol z Krasiejowa. Pan Goczol bardzo przyczynił się do upiększenia naszej świątyni, między innymi, przy głównym ołtarzu wyrzeźbił rzeźby, aby ołtarz lepiej i bardziej bogato się prezentował. W latach 90-tych zostało także zrobione nowe tabernakulum o wiele większe, wygodniejsze i oczywiście bardzo piękne. Jego wykonawca powiedział, że jest to jedne z ładniejszych tabernakulum, jakie stworzył. Poprzednie tabernakulum było za wąskie, za niskie i zbyt głęboko należało sięgnąć po kielichy. Zostało ono umieszczone na bocznym ołtarzu św. Barbary, natomiast pan Goczol dorobił jeszcze drewniane obudowy. W latach 80-tych został zrobiony ołtarz św. Małgorzaty twarzą do ludu w prezbiterium. Z tynkowania kościoła posiadałem jeszcze pieniądze. Postanowiłem, nic nie ogłaszając ludziom, że sprawię nowy ołtarz. I tak pewnej niedzieli parafianie zauważyli całkiem inny, bogatszy i piękniejszy ołtarz niż poprzedni, który istnieje do dzisiaj.

– **Skąd wziął ksiądz pomysł na tablice upamiętniające parafian poległych podczas I i II wojny światowej, które znajdują się przed kościołem w Krasiejowie?**

– Tablice upamiętniające poległych z I wojny światowej wisiały w przedsionku bodajże od 1920 roku, lecz po wkroczeniu Rosjan podczas II wojny światowej, zostały one schowane, gdyż nastąpiła wówczas polska władza ludowa. Nawet ja nie wiedziałem, gdzie one są. Okazało się, że były schowane gdzieś na wieży. Starsi parafianie wiedzieli o tym i dlatego, później w 70-tych latach zostały one znów powieszzone na tym samym miejscu, co przed wojną. Na tablicach zostały tylko uwiecznione nazwiska parafian poległych podczas I wojny światowej, dlatego razem z panem Materne zebraliśmy także nazwiska poległych z II wojny światowej. Pomyśleliśmy, że należy znaleźć odpowiednie miejsce, na którym można byłoby je umieścić. Dlatego na marmurowych tablicach należało wypisać wszystkie nazwiska poległych parafian. Zostały one poświęcone w roku 2008 przez księdza profesora Helmuta Jurosa.

– **Co uważa ksiądz za swoje największe osiągnięcie?**

– Po prostu jestem zadowolony, że żyję nadal z ludźmi w zgodzie, spotykam się z nimi, rozmawiam. Starałem się uczynić to, co do mnie należy, a ja znowu nie jestem typem księdza, który w krótkim czasie chciałby dużo zrobić, po prostu przewrócić wszystko do góry nogami. Ja robiłem wszystko powoli, dokładnie, rozkładałem te prace, żeby iść również ludziom na rękę, ponieważ oni też mają swoje plany, muszą też dbać o swoją gospodarkę, oszczędzać,

gdyż nie siedzą na pieniądzech. Dach kościelny był najpierw bardzo w porządku, lecz nastąpiły ogromne burze, które spowodowały ubytek dachówek, niszczenie dachu. Przerwałem ogrodzenie cmentarza, ogradzanego po raz drugi, bo widziałem potrzebę naprawy dachu kościoła. Gdybym był rok młodszy, to byłbym dłużej, wobec tego zdążyłbym ten dach kościoła zrobić. Ksiądz biskup zarządził, iż mając 75 lat, trzeba iść na emeryturę. Zdążyłem kupić dachówki na cały kościół, następnie zostawiłem ponad 100 000 złotych obecnemu proboszczowi. Zanim jeszcze odszedłem, nzbierałem 20 000 złotych i również przekazałem mu to w całości, gdyż nie były to pieniądze moje, tylko parafian, więc nie mogłem ich zatrzymać, zabrać ze sobą. Przekazałem listy ludzi, którzy dawali ofiary. I mamy piękny dach!

– **Jakie uczucia towarzyszyły księdzu, gdy opuszczał naszą parafię?**

– Ja... liczyłem się z tym, iż wszyscy księża muszą opuścić swoją parafię, gdy mają odpowiedni wiek lub nie są już fizycznie zdolni do posługi. Wiedziałem, że tutaj w Opolu znajduje się dom księży emerytów, w którym zamieszkać. Liczyłem się z tym, to normalna rzecz.

– **Czyli czuje się ksiądz spełniony we wszystkim, co uczynił?**

– Tak. To, co mogłem, to ja zrobiłem i nie nalegałem na ludzi, nie ścigałem pieniędzy od nich. Byłem zadowolony z tego, co mi parafianie dawali i to było wystarczająco, natomiast żadnym materialistą nie jestem, wręcz przeciwnie, gdy ktoś jest w potrzebie, mogę go zawsze wspomóc.

– **Czy zechciałby proboszcz przekazać jakieś wskazówki dla nas – młodzieży?**

– Bądźcie zawsze wierni swojej wierze i swojemu życiu religijnemu. Chrześcijaństwo istnieje już od dwóch tysięcy lat, a założycielem jest sam Jezus Chrystus. Chrześcijaństwu zawdzięcza świat bardzo wiele, przede wszystkim kulturę. Bądźcie ludźmi religijnymi z przekonania, a nie dlatego że rodzice są katolikami i wam każą nimi też być. Bo człowiek musi być katolikiem z przekonania. Każdy z nas ma wolną wolę.

– **Czego mógłbym księdzu życzyć?**

– Przede wszystkim zdrowia, którego w dzisiejszych czasach każdy potrzebuje.

– **Dziękuję księdzu za interesującą rozmowę. Życzę dużo zdrowia i pomyślności.**

Podczas rozmowy z księdzem Alojzym z Malcherkiem zauważyłem jego skromność. Człowiek ten może być dla wielu z nas autorytetem, gdyż poświęcił swoje życie, służąc Bogu i ludziom. Również parafianie, z którymi rozmawiałem, bardzo chwalili dawnego proboszcza. Ze wzruszeniem wspominali, że zawsze starał się pomóc innym, nigdy nie szukał konfliktu, był otwarty na wszelkie propozycje, oraz iż posiadał niesamowity głos, któremu nikt nie dał rady dorównać. Wszyscy opowiadali o nim jako o ciepłym, dobrym człowieku, który zawsze pomoże, nawet w najtrudniejszych chwilach. Ksiądz Alojzy Malcherek był obecny również w życiu prywatnym wielu parafian, podczas ważnych dla nich chwil i nie tylko. Mimo opuszczenia naszej parafii nasz były proboszcz dalej jest z nią związany ciałem i duchem.

Chciałbym serdecznie podziękować siostrze Urszuli, pani Kornelii oraz państwu Maternie za wszelkie udostępnione źródła oraz opowieści, dzięki którym napisałem tę pracę. Chciałbym również podziękować samemu księdzu Alojzemu Malcherkowi, który zgodził się spotkać się ze mną i opowiedzieć o swym interesującym, ale i niełatwym życiu.

„KARL FRIEDLICH SCHNIKEL – ARCHITEKTURA INSPIRACJA DO ŻYCIA”

Autor: Marta Niedbalec

GZS Gimnazjum nr 1 w Ozimku

Opiekun: Joanna Ciekalska

Lekcja historii: „Tematem dzisiejszych zajęć będzie styl klasycystyczny”. Analogiczny termin „classicus” od razu skojarzył mi się z pewną postacią. Wertując strony książek, natrafiłam na znane nazwisko: Schinkel, a dokładnie Karl Friedrich Schinkel. Wyraz twarzy artysty stał mi się bardziej bliski, gdy deliberowałam jego życiorys, a przechadzając się ozimskimi arteriami, zobaczyłam pomnik, na którym dumnie się prezentował. Znalazła się tu również informacja dotycząca życia i zasług dla naszej miejscowości.

Nowe życie

Nowator naszego kościoła oraz najstarszego żelaznego mostu w Europie urodził się 18 marca 1781 roku. Z pochodzenia był narodowości niemieckiej. W swoim codziennym życiu zajmował się architekturą i malarstwem. To wybitny twórca z okresu klasycyzmu w Królestwie Prus, który aranżował i wprowadzał w życie wiele swoich pomysłów. Wypadałoby jednak odpowiedzieć na pytanie, dlaczego akurat Schinkel został wybrany przeze mnie jako autorytet architektów tworzących zarówno w Niemczech jak i w Polsce. Otóż przyczynił się do powstania pięknego – wspomnianego wyżej – kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, z całą pewnością Schinkel wizytował także Hutę Królewską Malapane w Ozimku 30 lipca 1832 roku, w czasie swojej służbowej podróży po Śląsku. Prawdopodobnie w czasie właśnie tej wizyty architekt wykonał cykl rysunków konstrukcyjnych mostu wiszącego. Jego zamiłowanie do architektury zaowocowało opuszczeniem przez Schinkela gimnazjum i oddaniem się studiom architektonicznym. Osobą, która zaciękała Karla był Friedrich Gilly zakładający budowę Partenonu na planie ośmiokąta. Plan ten nigdy nie został zrealizowany.

Nowe autopsje

Zdeterminowany Friedrich bardzo wcześnie zajął się rysunkiem. W czasie studiów młody architekt został uczniem swojego mistrza i jego ojca. Pochłonięty zamiłowaniem do rysunku mężczyzna założył wraz ze swoim mentorem biuro architektoniczne pod nazwą „Privatgesellschaft junger Architekten”. W 1800 roku jego nazwisko zniknęło z listy studentów, nie wiadomo więc jak długo studiował. W tym samym roku wspólnik, a także wykładowca Schinkela zmarł na gruźlicę, zostawiając rozpoczęte projekty do ukończenia temu wybitnemu człowiekowi. Niedługo po śmierci Gilly’ego jego ojciec wraz z Karlem realizowali pracę między innymi klasycystycznego pałacu w Owińskach niedaleko Poznania. Nie przyniosło im to jednak dużego profitu. Marzeniem Schinkela było studiowanie architektury we Włoszech. Aspirację udało mu się zrealizować po przebudowach małych budynków, dzięki którym zarobił potrzebne pieniądze. W 1803-05 r. Karl, będąc jeszcze studentem, wybrał się w podróż w kierunku Włoch. Po przybyciu do Rzymu młody architekt poznał Wilhelma Humboldta oraz Josepha Antona Kocha – pejzażystę z Austrii. Nowy towarzysz Schinkla admirował jego rysunki, ten zaś zdecydował wzorować się na przyjaciółach i opublikować swoje prace po przyjeździe do domu. Zgodę na publikację wszelkich prac uzyskał przed wyprawą od Johanna Friedricha Ungera – wydawcy z Berlina. Wracając na łono rodziny, Friedrich odwiedził Neapol, Sycylię oraz Paryż. Przeszedłszy przez progę Berlina pieniądze zarabiał jako malarz. Nie miał możliwości pracy w jakimkolwiek

zakładzie gdyż po klęsce Prus w czasie bitwy pod Jeną – Auerstedt wszystko zostało zniszczone. Publikacja dzieł Schinkel’a porównywana była do budowania zamków na lodzie, plany zostały jednak wykorzystane w nieco innych celach, jak na przykład do wykonania pierwszych obrazów: „Anitke Stadt an einem Berg” namalowanego w 1805 r. oraz dioram – obrazów, których pewne części są nieprzezroczyste, inne przezroczyste, dające efekt trójwymiarowości przy dobrym oświetleniu – i panoram. Dwa lata po namalowaniu pierwszego obrazu – wzorcem rysunków z podróży – Karl, aż do 1815 r. wykonał wspomniane wyżej panoramy i dioramy dla Wilhelma Ernsta Gropiusa, który prowadził w domu artysty kawiarenkę. Oprócz tego założył od 1806 r. fabrykę masek i lalek. Syn nowatora teatru, Carl Gropius, należał do kręgu znajomych Schinkla. W 1809 roku, w dzień Bożego Narodzenia Friedrich Schinkel miał zaszczyt przedstawienia swojej dioramy rodzinie królewskiej. Tego samego roku zawarł pakt małżeński z Susanne Berger, z którą zapoznał się przez Gropiusa. Przy protekcji Humboldta, architekt został asesorem Geheimer Oberbaussessor – rządu budowlanego. Praktykant miał za zadanie ocenianie projektów i rekomendowanie, bądź krytykowanie ich według imperatyw. W swojej karierze Schinkel sporządził własne plany, na przykład nagrobku dla królowej Luizy pruskiej w 1810 oraz pomnik poległych w wojnach VI koalicji antyfrancuskiej. Szczycił się także dziełami malarskimi.

Nominowanie na stanowisko tajnego radcy budowlanego odbyło się z powodu śmierci Ludwiga Simona – pruskiego architekta. Rok po zgonie Ludwiga władca Prus zlecił artyście adaptację serca Berlina, mając na celu upamiętnienie zwycięstwa kraju nad Napoleonem. Schinkel wykonywał także prywatne zlecenia. Architekt sam nie był w stanie podołać wszystkim obowiązkom, zatrudniał więc do swojej pracy uczniów, którzy adwokatowali mu, między innymi Johanna Heinricha, Augusta Stulera, kierowników budów.

Od ekspertyzy do konserwacji

Karl zapoczątkował politykę konserwacji wszelkich ważnych zabytków na terenie Prus. Jedną z takich budowli była katedra Św. Piotra i Najświętszej Marii Panny w Kolonii. Sam architekt zamierzał dbać o budynek i nadzorować jego konserwację. Mężczyzna był przeciwno burzeniu tego typu budowli, zalecał spisywanie listy zabytków. W 1820 został bardzo doceniony za swoją pracę oraz nominowany członkiem Akademii Sztuk pięknych w Berlinie. Wybrany także na stanowisko wykładowcy w Akademii Budowlanej.

„Od myślenia głowa nie boli”

Według polskiego przysłowia od nadmiaru wiedzy nie ma schorzeń. Jednak właśnie z przepracowania architekt przez cztery lata od roku 1824 zmuszany był do uczęszczania na kuracje, które nie dawały upragnionych rezultatów. Krótko po terapiach Schinkel przeszedł udar mózgu, wskutek którego został prawostronnie sparaliżowany. Następnie zapadł w śpiączkę, z której nigdy się nie obudził.

Śmierć nestora

Karl Friedrich Schinkel zmarł 9 października 1841 r. w swoim mieszkaniu, w Akademii Budowlanej. Sekcja zwłok wykazała, że cierpiał na miażdżycę tętnic mózgowych. Schinkel został pochowany na cmentarzu Friedhof der Dorotheenstädtischen und Friedrichswerderschen Gemeinden. Na jego nagrobku znajduje się medalion z portretem architekta.

Światowa renoma

Projekty Schinkla trafiały do europejskiego kanonu architektury neoklasycystycznej. Widać było wpływ klasycyzmu Friedricha Gilly’ego. Dzięki tak zwanemu stylowi empire prace nawiązywały do architektury greckiej.

Arteriami niebiańskich dróg

Kościół Ewangelicko-Augsburski – przy wzorcu Karla Friedricha – zaczęto budować w 1821 r. poświęcono go zaś w 1860 r. Budynek do dziś posiada: jedną wieżę, ołtarz, nawę. 1 marca 1960 r. został wpisany do rejestru zabytków województwa opolskiego.

Bibliografia :

1. Józef Tomasz Juros, W Dolinie Małej Panwi, Stowarzyszenie Dolina Małej Panwi, Ozimek 2010
2. Oficjalna strona internetowa Gminy Ozimek, <http://www.ozimek.pl>
3. http://pl.wikipedia.org/wiki/Karl_Friedrich_Schinkel
4. <http://www.mostypolskie.pl>

„SOŁTYS BLISKI MEMU SERCU”

Autor: Michał Wieczorek

PG w Turawie Opiekun: Agnieszka Waluś

Każdy z nas ma lub miał babcię. Babcia kojarzy się z ciepłymi bamboszami, okularami na nosie, robieniem na drutach, czytaniem bajek dzieciom. Moja babcia jest inna. Zamiast odpoczywać sobie na zasłużonej emeryturze, aktywnie uczestniczy w życiu lokalnej społeczności. Nazywa się Róża Wieczorek z domu Czaplík i jest sołtysiem wsi Węgry.

Babcia urodziła się 62 lata temu w Węgrach w rodzinie robotniczo-chłopskiej. Jej mama Anastazja z domu Kukut była gospodynią domową, a ojciec Jan zdunem. Mieli 2,5 hektarowe gospodarstwo rolne, z którego jednak nie można było utrzymać 5-osobowej rodziny, dlatego pradiadek musiał pracować zawodowo. Babcia Róża ma dwóch braci, którzy w latach 80-tych wyjechali do Niemiec za pracą i tam zostali. Ona, wierna swojej małej ojczyźnie, pozostała w Węgrach.

Po ukończeniu szkoły podstawowej, zdobyła wykształcenie średnie, ekonomiczne i podjęła pracę w firmie handlowej w dziale kadr, gdzie pracowała 32 lata. W międzyczasie wyszła za mąż, urodziła dwóch synów, a obecnie dochowała się jeszcze wnuczki Moniki i trzech wnuków: Michała, Adama i Patryka. Wszyscy mieszkamy w sąsiedztwie. Pracując jeszcze zawodowo, już dużo czasu poświęcała pracy społecznej. Przez dwie kadencje była członkiem zarządu koła DFK Węgry, współorganizatorem obchodów 700-lecia Węgień w 1996 roku, a w 2001 roku obchodów dożynek gminnych Gminy Turawa.

W 2003 roku została członkiem Rady Sołeckiej i funkcję tę pełniła przez dwie kadencje, natomiast w listopadzie 2010 roku mieszkańcy wsi dali jej mandat zaufania i wybrali ją do Rady Gminy Turawa. Babcia Róża ponownie mogła się przekonać o zaufaniu mieszkańców, gdy w styczniu 2011 roku wybrana została sołtysiem wsi Węgry. Była pierwszą kobietą na tym stanowisku w historii wioski! W „Księdze historii Ziemi Turawskiej” autor, Pan Jerzy Farys, zapisał: „Od stycznia 2011 r. po raz pierwszy w historii Węgień, wsią zarządza sołtyska. Sołtysiem została Róża Wieczorek. Przed nową panią sołtys czeka wiele wyzwań, by zarządzać tak sprawnie, jak wszyscy powojenni sołtysi”. Słowa te dobrze określają cel jaki postawiła sobie babcia Róża – jak



najlepiej pracować dla dobra mieszkańców Węgier. W tym miejscu należy wspomnieć w kilku słowach o „małej ojczyźnie”, jak nazywa swoją rodzinną miejscowość Pani Sołtys.

Węgry są niewielką wioską w gminie Turawa, w województwie opolskim. Obecnie liczy 997 mieszkańców. Znajduje się tu kościół pod wezwaniem św. Józefa Robotnika, ponad stuletni most na rzece Mała Panew, stowarzyszeniowa szkoła podstawowa, przedszkole publiczne, remiza strażacka, pomnik poległych na wojnach światowych, jeden z pierwszych placów zabaw w gminie i zielony skwerek w centrum wioski, które są oczkiem w głowie Pani Sołtys.

Babcia Róża nigdy nie narzeka na nadmiar wolnego czasu. Dzień rozpoczyna bardzo wcześnie rano, od pójścia do kościoła na różaniec i Mszę św. Tam „ładuje swoje akumulatory” i wraca pełna sił i dobrze nastawiona do wykonywania swoich codziennych obowiązków, zarówno jako babcia jak i sołtys. Odwozi i odbiera ze szkoły wnuki, z którymi mieszka, codziennie rowerem objeżdża całą wieś, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu i nie dzieje się nic złego. Bardzo lubi porządek, dlatego sprząta, kosi trawę i podlewa rośliny na zielonym skwerku i placu zabaw. Cieszy ją to, że z placu korzystają uczniowie ze szkoły stowarzyszeniowej, jak i inni mieszkańcy, szczególnie mamy ze swoimi małymi pociechami. Dbą o to, żeby od wiosny do jesieni mieszkańców cieszył tam widok pięknych roślin. Przy placu zabaw stoi pień starej lipy, w który została wbudowana kapliczka św. Józefa. Z inicjatywy babci Róży, przy pomocy członków rady sołeckiej i ludzi dobrej woli, co roku organizowana jest przy niej majówka – dokładnie 1 maja w dniu św. Józefa Robotnika, patrona naszego kościoła parafialnego. Po nabożeństwie mieszkańcy są zapraszani na kawę i ciasto przygotowane przez węgierskie gospodynie. Takie spotkania dają wszystkim wiele radości. Inne cykliczne imprezy organizowane przez Panią Sołtys to: majówka przy kaplicy Matki Bożej Fatimskiej, dożynki wiejskie i korowód ze św. Marcinem 11 listopada, w którym św. Marcin na koniu, dzieci z lampionami i pochodniami, przy dźwiękach orkiestry dętej przechodzą ulicami wsi na plac zabaw, a tam przy ognisku wszyscy uczestnicy są częstowani rogalami świętomarcińskimi i ciepłą herbatą. Należy również wspomnieć o innych dziełach Pani Sołtys. Swoją kadencję rozpoczęła od wykonania projektu na budowę chodnika w centrum wsi, ustawienia luster ulicznych, znaków „Stop” przy ruchliwym skrzyżowaniu, lamp solarnych w miejscach nieoświetlonych, a wszystko to dla bezpieczeństwa mieszkańców.

Wielką pasją mojej Babcia jest kultywowanie tradycji regionalnych. Objawia się to szczególnie w dwóch dziedzinach: wyplataniu koron żniwnych i przygotowywaniu tradycyjnych potraw. Babcia współpracuje z grupą aktywnych kobiet, z którymi co roku podejmuje trud wykonania nowej korony żniwnej. Tradycja ta kultywowana jest w naszej miejscowości już od wielu lat. Jest to praca bardzo precyzyjna i żmudna, ale efekty są zachwycające. Zaczyna się od zebrania zboża w odpowiednim momencie – na przełomie czerwca i lipca, kiedy jest jeszcze trochę zielone. Później zboże musi wyschnąć i nabiera wtedy jasnego, złocistego koloru. Następnie wykonuje się metalowy stelaż. Sposób plecienia zależy już tylko od wyobraźni i pomysłowości. Ważne jest wykorzystanie tylko naturalnych materiałów: kłosów różnych zbóż, nasion (dyni, fasoli, słonecznika, kukurydzy, gorczycy), żywych kwiatów i sznurka do wiązania. Koronę wieńczy wykonany z ziarenek krzyż. Panie z naszej wioski specjalizują się w wykonywaniu koron kłosowych (wykonuje się również korony ziarnkowe). Tradycja ich wykonywania przekazywana jest z pokolenia na pokolenia, dlatego do wyplatania korony zaangażowane są również młode dziewczyny. Efekty ich pracy były wielokrotnie nagradzane na konkursach koron żniwnych w gminie, powiecie, a także w województwie opolskim. Z koroną żniwną wiąże się największe wydarzenie w naszej miejscowości, którego podjęła się Pani Sołtys – organizacja Dożynek Gminnych – Węgry 2014. Przez 13 lat nikt u nas nie podjął się tego trudu, a tu potrzebne były tylko szczere chęci, dobra organizacja pracy i pomoc kilku aktywnych osób. Wszystko udało się bardzo dobrze. Mieszkańcy stanęli na wysokości zadania – pięknie i pomysłowo przyozdobiłi

swoje domostwa, wzięli udział w dożynkowym korowodzie i licznie stawili się na placu przed OSP, aby wspólnie świętować i dziękować za plony. Babcia serdecznie wszystkim podziękowała za wsparcie i zaangażowanie, ale nie chciała słyszeć, żeby Ją ktoś chwalił lub Jej dziękował za cokolwiek bo uważała, że jak coś robi, to nie dla pochwał, a dla dobra ogółu. Babcia jest bardzo skromną osobą. Kolejnym jej osobistym sukcesem jest bez wątpienia powstanie w Węgrach „Izby Tradycji Kulinarnej”. Wiąże się ona z jej pasją do przygotowywania regionalnych potraw. Od wielu lat z sukcesami bierze udział w biesiadach i konkursach kulinarnych organizowanych przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Opolski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Łosio-
wie. W 2009 roku w konkursie „Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów” otrzymała wyróżnienie za „Babkę z mięsa mielonego”, a w 2011 roku zdobyła I miejsce w konkursie „Kulinarne Dziedzictwo Opolszczyzny”, za zielone ciasto, czyli „Ciasto ze szpinakiem”. Po wyborze na funkcję sołtysa marzyło się babci, żeby wygospodarować jakieś pomieszczenie, gdzie można by było stworzyć salę spotkań wiejskich, a przede wszystkim spotkań dla kobiet. No i udało się! Wymyśliła adaptację pomieszczenia, w którym kiedyś było biuro DFK i biblioteka mniejszości niemieckiej. W tym pomieszczeniu praktycznie nic się nie działo. Chodziła z tym pomysłem i nie odpuszczała. W sensie stworzenia takiego miejsca utwierdziła ją Pani Prezes Stowarzyszenia Lokalnej Grupy Działania „Kraina Dinozaurów”, która wymyśliła nawet nazwę sali – „Izba Tradycji Kulinarnej”. Już z konkretnym pomysłem udała się do Urzędu Gminy i w końcu osiągnęła swój cel. Pan Bartłomiej Kita – Kierownik Referatu Turystyki i Promocji napisał mały projekt na adaptację pomieszczenia do LGD „Kraina Dinozaurów” i o dofinansowanie ze środków LSR, a Rada Opiniująca zatwierdziła projekt. Babcia razem z grupą zapaleńców zakasała rękawy i wspólnymi siłami zrealizowała swoje marzenie. 12 listopada 2014 roku, odbyło się przecięcie wstęgi i uroczyste otwarcie izby, na które zostali zaproszeni goście: Prezes Stowarzyszenia LGD „Kraina Dinozaurów” Pani Anna Golec, wraz ze swoją współpracownicą, Wójt Gminy Turawa Pan Waldemar Kampa, Skarbnik Gminy Pani Maria Zubeil, ks. proboszcz Tadeusz Muc, Pan Bartłomiej Kita, któremu zawdzięczamy dużą pomoc i zaangażowanie w realizację tego przedsięwzięcia oraz współpracownicy Pani Sołtys, którzy remontowali pomieszczenie. Babcia Róża razem z Panią Lidią Fronia przygotowała stosowny do miejsca i czasu poczęstunek, składający się z tradycyjnych wypieków: placków kartoflanych z blachy z musem jabłkowym, które mają „Certyfikat Produktu Tradycyjnego Śląska Opolskiego” (przyznany Pani Lidii Fronia), zapiekanki z mięsa mielonego i ciasta własnej roboty. Spotkanie odbyło się w bardzo miłej atmosferze, ze snuciem planów działania na przyszłość. Moja Babcia lubi się uczyć i rozwijać swoje zainteresowania. Jako członek Stowarzyszenia Lokalnej Grupy Działania „Kraina Dinozaurów”, 5-ciorotnie uczestniczyła w „Podróżach Studyjnych” organizowanych przez stowarzyszenie. Zwiedziła województwo zachodnio-pomorskie, świętokrzyskie, podkarpackie, śląskie i małopolskie. Zdobyła dużo doświadczeń i przywiozła dużo pomysłów. Chcąc choćby niektóre wprowadzić w naszej miejscowości, musiałby jeszcze bardzo długo pełnić funkcję sołtysa. Jednak znając Jej determinację i niespożytą energię jest to całkiem możliwe.

Babcia Róża bardzo stara się być dobrym sołtysiem dla wszystkich mieszkańców. Pragnie jednoczyć społeczność dla wspólnego dobra. Nie zapomina o najstarszych i chorych mieszkańcach, których regularnie odwiedza, a dla jubilatów ma ciepłe życzenia i drobne podarunki. Współpracuje ze wszystkimi organizacjami działającymi na terenie Węgiei, to jest z: OSP, Kołem Mniejszości Niemieckiej, gronem nauczycielskim, uczniami i ich rodzicami ze Społecznej Szkoły Podstawowej. Uczniowie zapraszają Panią Sołtys na różne uroczystości szkolne, w których bardzo chętnie uczestniczy, bo lubi dzieci. Wystąpiła w roli św. Mikołaja rozbawiając tych najmłodszych i w roli żebraka na obchodach uroczystości św. Marcina. Jest osobą otwartą i szczerą, nie wstydzi się tego, co robi, nie boi się krytyki, bo uważa, że krytyka jest bodźcem do dalszego, lepszego działania. Jej celem jest praca nad tym, żeby mieszkańcom żyło się coraz lepiej i panowała w sołectwie zgoda

i harmonia. Zawsze też może liczyć na wsparcie rodziny szczególnie męża, a mojego dziadka Józefa. Cieszy się dużym zaufaniem wśród młodych i starszych mieszkańców, czego efektem jest jej ponowny wybór na stanowisko sołtysa. Moja babcia jest wyjątkowa. Energią i zapałem zaraża wszystkich wokół siebie. Jest pracowita, konsekwentna w działaniu i ma wiele ciekawych pomysłów. Wszędzie jej pełno i nad wszystkim czuwa. Czasem tylko zastanawiam się jak ona na to wszystko znajduje czas? Gdy ją o to zapytałem odpowiedziała: „Michałku, przecież doba ma 24 godziny! Na pewno ze wszystkim zdążę”. Taka jest moja babcia, a jednocześnie sołtyska wsi Węgry – Róża Wieczorek. Bardzo ją Kocham.

Bibliografia:

- Wywiad z Panią Różą Wieczorek
- Kronika Wsi Węgry
- Jerzy Farys – „Księga historii Ziemi Turawskiej. Cz. 1: Dzieje gminy”, Wyd. Urząd Gminy Turawa, Opole 2013
- <http://wegry.turawa.pl>

„ZAGADKA MIEJSCA URODZENIA WINCENTEGO”

Autor: Martyna Kwapien

ZSG w Kielczy

Opiekun: Ewelina Solka



Wincenty z Kielczy to wybitny, trzynastowieczny dziejopisarz, hagiograf oraz kompozytor. Znany jest nam dzisiaj przede wszystkim jako autor hymnu „Gaude Mater Polonia”. Mistrz Wincenty urodził się na przełomie XII i XIII wieku, ok. 1200 roku. Zmarł w podeszłym wieku, mając powyżej 70 lat.

Powołując się na słowa Plezi, opisujące Wincentego: „[...] Był dobrze czytany w polskim piśmiennictwie historycznym: znał na pewno wszystkie istniejące wtedy kroniki polskie, tj. Galla, Kadłubka i Kronikę węgiersko-polską, poza tym nieokreślony bliżej zabytek dziejopisarski niewielkich rozmiarów, może nie dochowany do dziś katalog biskupów krakowskich. Nie obce mu były również utwory hagiograficzne: żywot św. Wojciecha Tempore illo, żywot św. Dominika pióra Piotra Ferrandi, a nadto jakieś gesta sanctorum, skąd zaczerpnął niektóre szczegóły legendy o św. Spirydionie i św. Maternie. Poza tym chętnie sięgał do tradycji ustnej, o ile tylko była mu dostępna [...]” możemy stwierdzić, iż był on człowiekiem żywo interesującym się historią, a także „Jeśli nie był krytycznym dziejopisem, to w każdym razie gorliwym miłośnikiem historii narodowej”.

Rodzina dominikanina była zaliczana do klienteli potężnego śląskiego rodu Odrowążów. Kwestią pochodzenia i identyfikacji Wincentego z Kielczy, bądź Wincentego z Kielc, zajmował się m.in. wybitny historyk Marian Plezia. Wraz z Kazimierzem Tymienieckim i Tadeuszem Wojciechowskim nie mieli wątpliwości, co do jego pochodzenia. Byli pewni, że wywodził się z Kielc. Wszyscy uważali podobnie, różniła ich tylko kwestia jego społecznego pochodzenia. Plezia zwracając uwagę na szybką karierę Wincentego na dworze biskupa krakowskiego, Iwona, wskazał na pochodzenie rycerskie, a nie poddańcze, jak twierdził Wojciechowski.

Inną hipotezę miał Gerard Labuda. Uważał on bowiem, że kariera duchowna Wincentego wskazuje na pochodzenie z rycerskiego rodu. Ze względu na to, iż Kielce nie były własnością

rycerską, zaczął doszukiwać się innej miejscowości Kielcza, która spełniałaby dwa warunki: byłaby własnością rycerską, a także jej właściciele mogliby utrzymywać bliższe kontakty z rodem Odrowążów. „Labuda ponadto odrzucił przypuszczenie, że pisanie się Wincentego „z Kielc” mogło być wynikiem posiadania przez niego w tamtejszej kolegiacie jakiejś prebendy”. Te założenia zaprowadziły mediewistę do ziemi opolskiej, gdyż tu znajduje się gniazdo rodowe Odrowążów oraz istnieje wieś Kielcza, położona nad Małą Panwią, będąca własnością rycerską. Tak też Labuda dowiódł, że dominikanin Wincenty wywodził się z rycerskiej wsi Kielcza położonej w księstwie opolskim.

Hipoteza ta doprowadziła do znacznych modyfikacji wcześniejszych poglądów Mariana Plezi, który pisał: „Miejsce jego pochodzenia zapisywane bywa w łacińskich źródłach średniowiecznych niejednolicie: de Kilecza (Kelcia) lub de Kelcze (Kyelcze). Do niedawna wszystkie te zapisy odnoszono bez wahania do miasta Kielce. Jednakże całkiem świeżo G. Labuda zwrócił uwagę, że na Opolszczyźnie, koło Strzelec, istniała miejscowość Kilecza. Dodajmy od siebie, że zapis: de Kilecza pojawia się w najbardziej chyba miarodajnym, choć późnym źródle [...], co czyni domysł Labudy, że ojczyzny Wincentego szukać należy na Opolszczyźnie, jeszcze bardziej prawdopodobnym”. Plezia przekonany o słuszności hipotezy Labudy, zasugerował, że Wincenty był nawet spokrewniony z dwoma Odrowążami, I. Odrowążem oraz J. Prędotą.

Z monumentalnego dzieła poświęconego literaturze polskiej okresu średniowiecza, Teresy Michałowskiej, o dominikaninie możemy dowiedzieć się wielu informacji. Wincenty swoje wykształcenie mógł odebrać w szkole katedralnej krakowskiej. Około r. 1222 miał być kapłanem biskupa krakowskiego Iwona Odrowąża (1218-1229), który objął tę godność po rezygnacji Wincentego Kadłubka, a więc za życia swego wielkiego poprzednika. W latach 1227-1235 Wincenty z Kielczy należał do grona kanoników krakowskich. Nie wiadomo dokładnie, kiedy wstąpił do zakonu kaznodziejskiego. W 1237 r. wziął udział w wyprawie do Modeny, udającej się tam w celu sprowadzeniu do kraju zwłok zmarłego w r. 1229 i pogrzebanego we Włoszech Iwona; ciało spoczęło następnie w Krakowie w kościele Św. Trójcy, ofiarowanym w 1222 r. przez biskupa dominikanom. Można przypuszczać, że w okresie zasiadania Prandoty na stolcu biskupim (1242-1266) Wincenty odgrywał jakąś rolę w zabiegach o kanonizację Stanisława. Zwrócono uwagę, że skreślony przez pisarza opis uroczystości kanonizacyjnych w Asyżu we wrześniu 1253 roku sprawia wrażenie relacji naocznego świadka. Trudno wykluczyć obecność Wincentego w Krakowie 8 maja 1254 roku podczas licznego zjazdu z okazji uroczystego podniesienia kości (elevatio ossium) św. Stanisława. Na następne lata datuje się powstanie utworów hagiograficznych o nowym polskim świętym. Po r. 1257 Wincenty przebywał w klasztorze dominikańskim w Krakowie, a w latach 1258-60 w Raciborzu, gdzie mógł być przeorem. Umarł zapewne w latach siedemdziesiątych; zachowała się tylko dzienna data jego śmierci: 2 stycznia.

Chcąc wyjaśnić kwestię – Wincenty z Kielczy czy z Kielc – należało ponownie prześledzić dane źródłowe o Wincentym. Pierwszy fakt, który pojawił się już na początku, że imię Wincenty było w tamtej epoce bardzo popularne, dosyć skomplikował identyfikację. Należało wtedy rozpatrzyć trzy możliwości. Pierwsza sugeruje, że Wincenty był niskiego stanu i pochodził z Kielc. Druga świadczy o pochodzeniu rycerskim Wincentego. Zaś trzecia mówi o tym, iż Wincenty posiadał w Kielcach prebendę i przebywał tam tak długo, że zaczęto go utożsamiać z tą miejscowością. Druga możliwość eliminuje pierwszą, gdyż Kielce są własnością biskupią, więc należy wskazywać na Kielce w województwie opolskim.

1222 r. Wincenty świadkował na dokumencie ugody zawartej między Baranem Putysławowiczem a biskupem Iwonem w sprawie wsi niedaleko Krakowa. Można więc przyjąć, że przed rokiem 1222 znalazł się w otoczeniu biskupa Odrowąża. Tytuł zamieszczony przed jego imieniem świadczy, że już wtedy posiadał święcenia kapłańskie.

W opisie cudów towarzyszącym Żywotowi Większemu Św. Stanisława znajdziemy wzmiankę o garbarzu, któremu polecono, by wyspowiadał się u dominikanina Wincentego w krakowskim kościele Trójcy Świętej przy kolumnie naprzeciw grobu świętego Jacka. Święty ten zmarł w 1257 r. Możemy więc wnioskować, że po tym roku Wincenty był spowiednikiem w kościele dominikańskim. Mogło to być kilka lat po tej dacie, więc skoro w 1260r. przeorem raciborskim był Jan, to znaczy, że Wincenty przestał pełnić tę funkcję. Skoro pełnił funkcję przeora w Raciborzu należałoby go szukać na śląsku, a nie w małopolskich Kielcach.

Jedna z wersji zakłada, że „de Kelcia” przy imieniu Wincentego oznacza „z Kielc”, ale w sensie sprawowania jakiegoś dostojenstwa kościelnego. W dokumentach śląskich i małopolskich widzimy, że duchowni są wymienieni z konkretną funkcją, którą sprawowali oraz z miejscem, gdzie znajdował się ich kościół. Mimo wszystkich wątpliwości, które pojawiają się w momencie wyobrażania, jak mógł powstać zapis utożsamiający Wincentego z prebendą kielecką, uważam za niemożliwe, że pisanie według miejsca posiadania prebendy kościelnej można było zastąpić miejscowością urodzenia.

Przy opisie cudu św. Stanisława, dominikanin Wincenty podaje, że: „komes Janus syn Jarosława, mąż szlchetnego rodu oraz brat[anek] mój Piotr, syn brata mego Henryka... zacni ci mężowie w gronie innych pielgrzymów udawali się do grobu apostoła Piotra. Wspomniany zaś kleryk Piotr jechał z nimi na studia do Bolonii. Żywiąc nabożeństwo do św. Stanisława prosił mnie odjeżdżając, abym mu dał cząstkę relikwii tego świętego, aby był mu opiekunem i przewodnikiem w jego wędrówce”. Na podstawie tego fragmentu można przyjąć, że Wincenty należał do niewielkiego grona duchownych w Krakowie. Musiał się także cieszyć ogromnym zaufaniem biskupa Prędoty, gdyż miał on dostęp do relikwii św. Stanisława. Tym sposobem wyeliminowałam Kielce, jako miejsce urodzenia lub pełnienia godności kościelnej, zatem zostaje już tylko **Kielca**.

Bibliografia:

- Labuda G., 1971, *Twórczość hagiograficzna i historiograficzna Wincentego z Kielc*, „Studia Źródłoznawcze. Commentationes” XVI, s. 103-137.
- Michałowska T., 2002, *Średniowiecze*, Warszawa, s. 167-180, 218-220, 233-236.
- Plezia M., 1999, *Dookoła sprawy św. Stanisława*, Bydgoszcz.
- Pleziowa J., 1987, *Średniowieczne żywoty i cuda patronów Polski*, Warszawa.
- Wojciechowski T., 1904, *Szkice historyczne jedenastego wieku*, Kraków.
- www.montes.pl (27.04.2015)
- www.polishnews.com (30.04.2015)

CZŁOWIEK O WIELU PASJACH”

Autor: Karol Koprek

ZSG w Zębowicach

Opiekun: Iwona Grabowska

Pasja to „bardzo silne upodobanie do czegoś, zajmowanie się tym z namiętnością”, może to być „obiekt tego upodobania, zwykła dziedzina”.

„Najsmutniejsi ludzie, jakich w życiu spotkałem, to ci, którzy nie interesują się niczym głęboko. Pasja i zadowolenie idą ze sobą w parze, a bez nich każde szczęście jest wyłącznie chwilowe, nie ma bowiem bodźca, który by je podtrzymywał”.

Nicholas Spark

Moja miejscowość należy do Gminy Zębowice. Znajduje się na obszarze Krainy Dinozaurów i jest malowniczo położona wśród lasów w dorzeczu Małej Panwi i Stobrawy, przez którą przepływa rzeka Libawa. Obszar lasów należy do chronionego krajobrazu Lasów Stobrawsko-Turawskich. Jestem bardzo dumny z mojej małej ojczyzny, a zwłaszcza z jej niezwykłych mieszkańców. Jednym z nich jest pan Zbigniew Kula z Zębowic, który zainspirował mnie swoją pasją. Sprawia mu to wiele zadowolenia, dodaje siły i motywuje do dalszego działania.



Kim jest Zbigniew Kula?

Zbigniew Kula urodził się w 1956 roku w Kluczborku. Uczęszczał do Szkoły Podstawowej w Łomnicy, a później w Zębowicach, którą ukończył w 1971 roku. Czas na zdobycie zawodu to lata 1971 – 1976. Najpierw chodził do Szkoły Zawodowej w Dobrodzieniu, ucząc się zawodu cukiernika – ciastkarza, potem do Zaocznego Technikum Cukierniczego we Wrocławiu. Pracował jako cukiernik w WSS Społem w Ozimku. W 1976 roku wezwano go do wojska, lecz po trzech miesiącach został zwolniony do cywila z tytułu choroby. W 1977 roku zrobił kurs na Mistrza Rolnika w Przystajni, a następnie Wieczorowe Technikum Rolnicze, które ukończył w 1980 roku. Po ślubie z Waltraudą Dylong mieszkali w Poczółkowie z rodzicami i prowadzili gospodarstwo rolne. Od 1980 roku mieszkają w Zębowicach i prowadzą gospodarstwo rolno-ogrodnicze. Dochowali się dwóch synów i dwie córki. Pan Zbyszek to niespokojny duch, wciąż go gdzieś ciągnie, czegoś szuka czy pragnie. Postanowił więc wstąpić do zespołu „Zębowiczanie”, miało to miejsce w 1987 roku. Od 1991 roku został szefem zespołu. Kupił również lokal po byłym barze na siedzibę zespołu. Był radnym Gminy jako Działacz Młodzieżowy. Od roku 1998 do 2014 był Wiceprzewodniczącym Rady Gminy Zębowice. Mówią o nim, że jest i do tańca, i do różańca. Myślę, że to święta prawda. Szafarzem Nadzwyczajnym i członkiem Rady Parafialnej w Zębowicach jest od 1990 roku. Od 2000 roku był członkiem zarządu OSP, a w 2004–2010 szefem Komisji Rewizyjnej, obecnie członek ZGOSP. Był również założycielem Stowarzyszenia Rozwoju Wsi Zębowice, a od 2002 do 2010 roku wiceprezesem. Pan Zbyszek lubi pracować, ale też się bawić. Był wielokrotnie prowadzącym i współorganizatorem „Dni Zębowic” oraz „Nocy Świętojańskiej”. Poza tym robi korony żniwne, ozdabia jajka –kroszonki i maluje porcelanę. Jest człowiekiem bezinteresownym i hojnym, co roku daruje kwiaty rabatowe kościołowi w Zębowicach i Stowarzyszeniu Rozwoju Wsi.

Skąd się wzięły u Niego takie pasje?

Na to pytanie otrzymałem wiele odpowiedzi. Po dłuższym zastanowieniu powiedział: „Myślę, że całe moje życie to jakieś pasje. Zbierałem jako dziecko znaczki pocztowe i monety. W szkole podstawowej należałem do chóru i teatru szkolnego pod kierunkiem Z. Jasińskiego. Kiedy wybrałem zawód cukiernika, to w pięć lat awansowałem od ucznia do brygadzysty brygady młodzieżowej, a następnie do majstra i kierownika ciastkarni. Wojsko przerwało moją karierę cukiernika. W 1987 roku pani Weronika Borecka zaproponowała mi śpiewanie w „Zębowiczanych”, zacząłem grać na bębnie i prowadzić kapelę. Graliśmy na „poltrach”, w knajpach i gdzie tylko było można. Po czterech latach dostałem od pani Weroniki zadanie przygotowania zespołu na występ „Obrzędy weselne”. Napisałem scenariusz pt. „Polter w Zębowicach” i po sprawdzeniu przez Panią Simonides wystawiliśmy jako „Skorupiorze” na scenie teatru w Kielcach, zajmując trzecie miejsce na 49 zespołów z całego kraju. Zdobieniem kroszonek i malowaniem porcelany też zaraziła mnie

pani Weronika. Mieliśmy śpiewać w Opolaninie na Wojewódzkim Konkursie Kroszonkarzy, trzeba było się pokazać i trwa to do dziś. Robienie koron żniwnych to moja długoletnia pasja. Zrobiłem siedem koron, a trzy razy reprezentowałem Gminę w Dożynkach Wojewódzkich”.

Inną jego pasją są kwiaty, które okalają cały jego dom mieszczący się przy drodze z Zębówic do Radawia. Można powiedzieć, że tu łączy się pasja z pragmatyzmem, miłość do kwiatów przynosi zatrudnienie dla rodziny i zabezpieczenie finansowe. Pan Zbigniew od lat handluje sadzonkami kwiatów i nie tylko. To nie koniec jego pasji. Pan Kula to poeta. Pisze przepiękne wiersze, które wypływają wprost z jego duszy. „Pisanie wierszy przyszło samo, po zawale na ścianie przedniej serca, gdy usłyszałem od lekarza: miał Pan szczęście. Moim warsztatem pracy jest biurko, zaprojektowane i zrobione osobiście z pasji. We wszystkich sprawach wspiera mnie moja kochana żona”.

Jeden z wierszy:

„Nad Libawą”

*Gdzie rzeka nieszeroka, spokojnie sobie płynie
tam gdzie stał młyn, pierwszy na tej rzece
w pięknej kadłubskiej dolinie.*

*Jest staw i zajazd „Pod Kotwicą” zwie się
w nim szczupaki i karpie w dużej obfitości pływają
czystą wodą mącą, rakom przeszkadzają.*

*Las się przygląda, w czystej toni, jak w zdrzadle,
aż by się chciało rzec, uf jak tu ładnie.*

*Gospodarze pracowici, swych gości zapraszają,
strawę gotują, rybki z rożna podają.*

*Kapela, z swojska gra nutki ludowe
echo niesie piosnkę ku lasom i polom,
gdzie w dole rzeki, bobry się kochają
i wszystko w nosie mają.*

Jest to wiersz o naszym terenie i można go nazwać w mojej opinii promocyjny.

Drugi wybrany wiersz przeze mnie o rodzinie i ojczyźnie:

Moja śląska ojczyzna – mój dom

*Gdzie tylko w życiu byłem, gdzie chodziłem, czy jeździłem.
Spotykałem złych, czy dobrych ludzi.*

Ale żaden kraj mnie nie zachwycił i pobudził.

Tak jak mój dom, moja ojcowizna.

*Najlepiej i najładniej jest tu, gdzie się urodziłem i wychowałem
tu jest mój stary śląski dom moja ojcowizna.*

*Ojczyzna to jest dom na skale budowany,
tam gdzie w progu stoi mama moja, a mój ojciec i mój dziad
w tej skale ma swój wkład.*

*Ojcowizna i przepiękna i jedyna, mego serca richtik raj,
tak jak żona sercu bliska z mymi dziećmi i wnukami,
w kościółku klęcząca, by Bóg był wiecznie z nami...*

Do największych swoich osiągnięć zalicza założenie rodziny, wychowanie dzieci i doczekanie się sześciu wnucząt. Choć otrzymał, wiele podziękowań i dyplomów to rodzina jest dla niego najważniejsza i napawa go ogromną dumą. Warto jednak wspomnieć o niektórych wyróżnieniach. W 2002 roku odebrał Nagrodę Marszałka Województwa Opolskiego. W 2010 roku otrzymał medal z okazji Dwudziestolecia Samorządności Opolszczyzny, a w 2011 roku nagrodę pn. January Powiatu Oleskiego. Po piętnastu latach w straży otrzymał order za wy-

sługę lat w OSP. Nie sposób wyliczyć jego osiągnięć, zaangażowania i poświęcenia. Zapytany jednak o plany na przyszłość odpowiada krótko: „Jak Bóg da”, czyli jak dopisze zdrowie i co nam życie przyniesie. Pan Kula to człowiek zaangażowany w różne sfery działalności ludzkiej, musi ciągle działać, coś musi zmienić, o coś musi walczyć, bo taki po prostu jest. Przy tym jest niezwykle skromny i sympatyczny. Bardzo mi imponuje swoją postawą i i niespożytą energią. Chciałbym być takim człowiekiem, który naprawdę żyje, całym sobą.

Na zakończenie pragnę przytoczyć cytaty Zbigniewa Kielba:

„Warto spotykać ludzi z pasją. Pasją, która nie tylko istnieje, ale również pomaga żyć, czyniąc to nasze życie o wiele ciekawszym doświadczeniem”.

Źródła:

- Wywiad z Zbigniewem Kula
- www.lubimyczytac.pl/cytaty/t/pasja
- Zdjęcie z str. www.firmy.powiatoleski.pl/baza/firma_zdjecie_duze.php?id_jez=3&id_fzd=128
- <http://www.goldenline.pl/grupy/Zainteresowania/nasze-pasje/cytaty-o-pasji,2115840/>
- E. Cichoń, M. Dedyk „Wielka księga ziemi Żębówickiej” 2001

„BEATYFIKOWANY KSIĄDZ JÓZEF CZEMPIEL Z ŻĘDOWIC – DUSZPASTERZ, PATRIOTA, CZŁOWIEK”

Autor: Justyna Szopa

ZSG w Żędowicach
Opiekun: Anita Stachowska

Historię tworzą ludzie. To, zdawałoby się oczywiste stwierdzenie, wyraża głęboką prawdę. Dlatego ilekroć mówimy o historii, mówimy o ludziach, którzy ją tworzą.

Kardynał Ignacy Jeż

Za każdym razem, kiedy wchodzę do mojego parafialnego kościoła, kieruję wzrok na jeden z portretów umieszczonych przed prezbiterium. Zawsze zastanawiało mnie, kim jest znajdująca się na nim osoba i czym sobie zasłużyła na uwiecznienie w tak ważnym miejscu. Udział w konkursie „Moja wieś – moje miejsce” stał się okazją, by zagłębić się w historię tej postaci.

Mężczyzna w okularach, o poważnej, a zarazem skupionej twarzy, to błogosławiony ks. Józef Czempiel, duszpasterz żędowickiej parafii w latach 1919 – 1922. Szukając informacji na temat losów ks. Czempieła, dotarłam do wielu książek i opracowań związanych z duchownym, ale najistotniejszym dla mnie źródłem wiedzy była rozmowa z dr Agnieszką Kubal, krewną ks. Józefa Czempieła. To dało mi możliwość poznania błogosławionego jako człowieka, który – jak każdy z nas – miał wady i zalety, ale to nie przeszkodziło mu w drodze do beatyfikacji.



Życiorys ks. Józefa Czempieła

Józef Czempiel urodził się 21 września 1883 roku w Józefce pod Piekarami Śląskimi. Już dwa dni później, 23 września 1883 roku, został ochrzczony. Wywodził się z typowej, śląskiej rodziny. Jego ojciec, Piotr Czempiel, był górnikiem oraz drobnym kupcem – miał swój sklepik. Matka Józefa, Gabriela z Oparów, pochodziła z Orzecha. Mieli sześcioro dzieci – czterech synów: Józefa, Franciszka, Augustyna, Edwarda oraz dwie córki: Martę i Marię.

W rodzinie Czempielów mówiono dialektem śląskim i pielęgnowano tradycje związane z tym regionem. Młody Józef zaczął naukę w wieku sześciu lat w szkole ludowej w Józefce. Dalsza ścieżka nauki zaprowadziła go do klasycznego gimnazjum w Bytomiu. To tam, 12 marca 1904 roku, zdał egzamin dojrzałości. Już od początku nauki w Bytomiu wiedział, że chce ukończyć studia teologiczne, dlatego też po maturze rozpoczął naukę na Wydziale Teologii Katolickiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Określał się tam mianem „śląskiego Polaka”.

Podczas studiów Józef Czempiel chętnie angażował się w działalność polskich towarzystw młodzieżowych, dzięki czemu został wiceprezesem, prezesem oraz sekretarzem Kółka Polskiego. Został również członkiem tajnego Związku Młodzieży Polskiej „Zet”, a także członkiem organizacji polskich studentów „Swoi”.

22 czerwca 1908 roku przyjął święcenia kapłańskie z rąk księdza kardynała Jerzego Koppa w kościele św. Krzyża we Wrocławiu, a 25 czerwca 1908 roku odprawił swoją pierwszą mszę świętą w rodzinnej parafii – przed wspaniałym obrazem Matki Bożej Piekarskiej. Pierwszą placówką, w której działał ks. Józef Czempiel, była parafia św. Józefa w Rudzie, gdzie pracował w latach 1908 – 1916. Tam, jako młody wikary, propagował życie abstynenckie. *„Idea wstrzeźliwości od alkoholu jest bez wątpienia owocem głębokiego i gruntownego uświadczenia”* – pisał ks. Józef Czempiel. Założył nawet w 1910 roku „Biuro doradcze dla osób chorujących na alkohol i dla osób, które z pijakami nie wiedzą sobie żadnej rady”, które w parafii rudzkiej wyleczyło około 70 alkoholików. Tchnął także życie w istniejące już Stowarzyszenie Abstynentów. Wikary cieszył się tam uznaniem, dzięki niemu do placówki dołączyło ponad 800 członków. Ksiądz Józef zgadzał się z papieżem Piusem X i za jego dekretem zachęcał do częstego przyjmowania Komunii Świętej i udziału w rekolekcjach zamkniętych.

W czerwcu 1916 roku przez krótki czas jeździł do Miedznej, miejscowości w okolicach Pszczyny, aby tam głosić Słowo Boże. Następną placówką były położone w pobliżu Toszka Wiśnicze. Tam pomagał ks. Stanisławowi Łebkowi, który był jego krewnym. Po śmierci ks. Łebka pojechał do Baborowa, gdzie urzędował przez pół roku. Następnie, w 1918 roku, udał się do Dzieńmarowic w powiecie głubczyckim. Niestety, popadł tam w konflikt z władzami kościelnymi, którym nie podobało się to, że ks. Czempiel, przygotowując dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii Świętej, nauczał ich języka polskiego.

Działalność ks. Czempieła w Żędowicach

Po przykrym zdarzeniu w Dzieńmarowicach, dzięki wstawiennictwu ks. Józefa Wajdy – proboszcza pobliskiej parafii w Kielczy, ks. Józef 26 stycznia 1919 roku przybył do Żędowic. Trafił do żędowickiej parafii w bardzo trudnym okresie – kościół wymagał gruntownego remontu, trzeba było uporządkować obejście świątyni oraz naprawić przeciekający dach. Przyszły błogosławiony bardzo szybko doprowadził do renowacji kościoła i sumiennie realizował kolejne zadania. Sukcesywnie pokonywano kolejne przeszkody, a ksiądz Józef zarażał ludzi swoim entuzjazmem. Wspólnie odremontowano kościół, uporządkowano obejście świątyni i naprawiono parkan.

W 1919 roku ks. Czempiel, pod pseudonimem *Makkabeus*, współpracując z ks. Emilem Szramkiem, wydał książkę w języku niemieckim *Das Recht auf die Muttersprache im Licht Christentums (Prawo do języka ojczystego w świetle nauki chrześcijańskiej)*. Nie była ona po-

zytywnie odbierana przez niektórych parafian, mimo to spotkała się z ich zainteresowaniem. W tym samym roku ksiądz Czempiel doprowadził do usamodzielnienia się żędowickiej parafii pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej od parafii w Kielczy.

Przyszły błogosławiony przyczynił się do powstania w Żędowicach Kongregacji Mariańskiej i Trzeciego Zakonu. Brał udział w działalności Towarzystwa Śpiewu „Cecylia”. Zaopiekował się także zdolną młodzieżą i zachęcał ją do zdobywania zawodu nauczyciela. Był zdania, iż „po stosunku do dzieci poznaje się człowieka”. Pomagał w działalności miejscowego kółka teatralnego. Zorganizował także kursy języka polskiego i wykłady z historii Polski dla młodzieży i dorosłych. Jako kapłan był wyjątkowo energiczny i aktywny, zawsze chętny do pomocy, ale też bezkompromisowy. Działał w ruchu spółdzielczym w powiecie strzeleckim. Nauczał, że musimy troszczyć się o rodzeństwo, szczególnie w życiowych przeszkodach.

W Żędowicach kontynuował swoją gorliwą działalność propagującą ideę abstynencji, za co otrzymał tytuł „Apostoła trzeźwości” na Śląsku oraz nagrodę Złotego Krzyża Zasługi (1932 rok). Krewna błogosławionego, Agnieszka Kubal, wspomina o jego wsparciu dla tych swoich parafianek, które zmagaly się z problemem alkoholizmu w swoich rodzinach.

Ks. Czempiel był zdania, iż „nędza każdego alkoholika jest dlatego duża, ponieważ sam nie może sobie z nią poradzić”.

Okres, w którym ks. Józef Czempiel sprawował posługę duszpasterską w żędowickiej parafii, to czasy bardzo niespokojne dla tutejszej ludności i całego Kościoła. Ks. Czempiel aktywnie angażował się wtedy w życie polityczne swej małej ojczyzny. Agnieszka Kubal nazywa błogosławionego Józefa Czempieła wielkim patriotą. Ks. Czempiel w swojej działalności duszpasterskiej dążył bowiem do umocnienia świadomości narodowej w połączeniu z wiernością Kościołowi. Nie godził się na kompromisy w tym zakresie. Pomógł on we wznowieniu działalności przez Zjednoczenie Zawodowe Polskie. Z jego inicjatywy powstało Towarzystwo Polek, oddział organizacji „Sokół” i Polska Organizacja Wojskowa. W okresie kształtowania się granic przyszły błogosławiony powołał do życia Polski Komitet Plebiscytowy i stanął na jego czele.

W mojej rozmowie, krewna księdza – Agnieszka Kubal, stwierdziła, że poczynania ks. Czempieła budzą w niej mieszane uczucia. Szanuje ona i docenia jego ogromny patriotyzm, ale z drugiej strony niepokojący wydaje się jej jego brak tolerancji dla innych narodowości i wyznań. „Ksiądz Czempiel budzi we mnie z jednej strony uczucia ciepłe, które oczywiście przeważają, ale też trochę mieszane – mówi. „Mój przodek wydawał gazetkę i tam pisał „swój do swojego po swoim”, ale namawiał też do tego, aby Polacy kupowali różne rzeczy w sklepach, które prowadzą polscy kupcy, a nie na przykład u Żydów – to jest dla mnie niepokojące z tego względu, iż później wybuchła wojna i Żydzi, szczególnie polscy Żydzi, byli na celowniku nazistów. Wywożono ich do obozów koncentracyjnych. Co prawda ksiądz nie mógł przewidzieć, że wojna doprowadzi do takiego ludobójstwa, ale jego postawa nie do końca była właściwa” – wyznaje pani Kubal.

Dzięki zaangażowaniu księży Czempieła i Wajdy plebiscyt w Żędowicach wypadł korzystnie dla strony polskiej (1070 – za Polską, 232 – za Niemcami), ale mimo to ziemie te pozostały w rękach niemieckich. Zagrożenie życia wymusiło na księdzu decyzję o opuszczeniu parafii i przeniesieniu się na tę część Górnego Śląska, która została przyznana państwu polskiemu. Po opuszczeniu Żędowic przez proboszcza parafianie wspominali go jako „srogiego Polaka”, czyli człowieka bardzo zaangażowanego w sprawę polską.

„Widocznie do pracy kapłańskiej musi się dołączyć męczeństwo”

ks. Józef Czempiel

Następną placówką duszpasterską, w której kontynuował działalność społeczną i polityczną, były Wielkie Hajduki, dzisiejszy Chorzów Batory. Swoją posługę kapłańską rozpoczął

tu w pierwszym tygodniu lipca 1922 roku. W Hajdukach nie poprzestał na głoszeniu Słowa Bożego, angażował się również w organizowanie akcji charytatywnych.

Z jego inicjatywy powstała między innymi akcja dobrowolnego opodatkowania się parafian na rzecz osób bezrobotnych.

Działalność księdza Czempieła przerwał wybuch II wojny światowej. 13 kwietnia 1940 roku duchowny został zatrzymany przez gestapo. Powodem aresztowania księdza było jego inteligenckie wykształcenie oraz „zbyt wielki wpływ na polski lud Śląska”. Zabrano go po porannej mszy świętej, kiedy znajdował się w konfesjonale. „Proboszcz już nie wróci” – oznajmiono parafianom.

Ksiądz Czempiel najpierw trafił do Dachau, gdzie przyznano mu numer 22043, a potem przewieziono do obozu zagłady w Mathausen – Gusen. Wiosną 1942 roku został zakwalifikowany jako inwalida do wyjazdu na tzw. „lepsze warunki”. Ksiądz był świadomy tego, iż w rzeczywistości wyjazd oznaczał pewną śmierć. Ślad po nim zaginął na przełomie maja i czerwca 1942 roku.

Na wniosek parafian hajduckich, w latach 90. XX wieku, rozpoczęto starania o beatyfikację ks. Józefa Czempieła. Kapłan został wyniesiony na ołtarze 13 czerwca 1999 roku przez Jana Pawła II. Nabożeństwo dziękczynne za beatyfikację ks. Józefa Czempieła odbyło się w Żędowicach we wrześniu 1999 roku. Parafianie ufundowali również tablicę upamiętniającą postać księdza.

„Marnotrawni potomkowie powinni pamiętać o zasługach swoich przodków..”

Pamięć o ks. Czempiele przetrwała w kolejnych pokoleniach jego bliskich. Agnieszka Kubal „zapytana o to, czy podczas rodzinnych rozmów wraca się do losów wybitnego przodka, odpowiada: „Oczywiście, w każdej rodzinie są takie postacie główne, o których często się rozmawia przy rodzinnym stole, przy świętach i właśnie u nas taką postacią jest ks. Czempiel. Oczywiście, ks. Józef żył dawno temu i ta pamięć jest trochę wyblakła, ale myślę, że jest on częścią tożsamości naszej rodziny”. Dr Kubal mówi, że osobą, która szczególnie kultywowała wspomnienia o bł. ks. Czempiele, była jej babcia: „Moja babcia, Danuta Kalinowska, która była lekarzem pediatrą w Zawadzkiem, dbała o te wspomnienia. Pamiętam, że w jej gabinecie stała ogromna szafa, a w jej środku było mnóstwo papierów – to były zarówno wspomnienia o ks. Czempiele pisane przez jej tatę, czyli profesora Jerzego Lubosa, jak i wspomnienia, które ona sama spisywała, a o których dowiedziała się od ojca. Babcia z kolei przekazywała je nam, czyli kolejnemu pokoleniu. Przykładała dużą wagę do tego, aby wspomnienia o księdzu Józefie przetrwały w naszej rodzinie. To ona zabierała mnie do miejsc, gdzie ksiądz Czempiel pracował” – wspomina.

Rodzinie udało się zgromadzić kilka pamiątek pozostałych po błogosławionym. Pani Agnieszka wymienia różne dokumenty i zdjęcia – zaznacza jednak, że większość z nich znajduje się w muzeum ks. Józefa Czempieła w Chorzowie Batorym.

Zgłębianie historii ks. Czempieła uzmysłowiło mi, że każdy człowiek, pomimo swoich wad, może zostać błogosławionym. Postać księdza Józefa pokazuje, że nie ma ludzi idealnych, wszyscy popełniamy błędy, jednak nie są one przeszkodą w drodze do świętości. Jestem dumna, że w naszej parafii posługę kapłańską pełnił błogosławiony ksiądz Józef Czempiel – męczennik za wiarę.

Bibliografia:

- <http://www.archidiecezja.katowice.pl/90/index.php/archiwum-wydarzen/117-90-lecie-archidiecezji/blogoslawieni-i-sludzy-bozy/5972-bl-ks-jozef-czempiel-1942>
- http://ruda_parafianin.republika.pl/b/par/ksi/k02/142.htm
- <http://nowezycie.archidiecezja.wroc.pl/numery/052001/02.html>
- http://www.encyklo.pl/index.php5?title=B%C5%82._J%C3%B3zef_Czempiel
- http://ruda_parafianin.republika.pl/swi/j/jczemp/05.htm
- http://ruda_parafianin.republika.pl/swi/e/emil.htm

<http://slideplayer.pl/slide/2823487/>

Jacek Kurek, Machabeusze bl. ks. Józef Czempiel wśród chorzowskich „towarzyszy”, Chorzów 2012.

Żędowice – ziemia i ludzie, pod red. Joachima Szulca, Żędowice 2000.

praca konkursowa pani Agnieszki Kubal Pierworodni

wywiad z panią Agnieszką Kubal

„SZKOLNY WOLONTARIAT, CZYLI CZY JEST W TOBIE DUSZA WOLONTARIUSZA”

Autor: Wiktoria Gajda

GZS w Ozimku

Opiekun: Marzena Wolicka- Mazurkiewicz

*„Spałam i śniłam, że życie jest samą przyjemnością, obudziłam się i spostrzegłam,
że życie jest służbą na rzecz innych. Służyłam i zobaczyłam, że służba jest przyjemnością.”*

– Matka Teresa z Kalkuty

W naszej szkole, jest wiele zajęć dodatkowych, począwszy od muzycznych, kończąc na naukowych czy sportowych. Jednak jest kółko, które cieszy się największą popularnością, które sprawia, że niemożliwe staje się możliwe. Zajęcia te uczą nas, że małe gesty potrafią dać taką radość i szczęście, że aż nie można go zmierzyć, zważyć czy ocenić. Mowa o Szkolnym Wolontariacie. To w nim każdy z nas jest



Oto nasi wolontariusze...

super bohaterem. To w nim uśmiech drugiego człowieka, jest najcenniejszym skarbem w życiu. Pomagając innym, sprawiamy radość również sobie.

Szkolny Wolontariat w GZS Gimnazjum nr 1 w Ozimku powstał w listopadzie 2002 roku. Od początku opiekunkami jego są Małgorzata Dziewulska oraz Marzena Wolicka-Mazurkiewicz – nauczycielki gimnazjum. Pomysł wolontariatu zrodził się spontanicznie. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom gimnazjalistów, którzy w szkole poszukują możliwości realizacji „siebie dla innych”, powstała grupa wolontariuszy, aktywnej młodzieży, która nie pozostaje obojętna na potrzeby innych i jest zdolna do zorganizowania pomocy, kiedy tylko będzie ona potrzebna. Liczba chętnych uczniów, dla których celem nadrzędnym stał się drugi człowiek, przerosła oczekiwania opiekunek, dlatego opracowany został Program Szkolnego Wolontariatu „Pomagać innym”. Program Szkolnego Wolontariatu został przyjęty do realizacji przez Radę Pedagogiczną Gimnazjum nr 1 w Ozimku. Należy podkreślić, iż zajęcia Szkolnego Wolontariatu cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Początkowo uczestniczyło w nich około dwadzieścioro uczniów, dziś liczba ta wzrosła do osiemdziesięciorga. Pierwsi wolontariusze są dziś dorosłymi ludźmi, ale nie zapomnieli o pomocy innym...Związali swoje życie zawodowe z działalnością społeczną. Wśród nich są pielęgniarka, terapeuta, pedagog, nauczyciel i ksiądz.

Na zajęciach Szkolnego Wolontariatu szukamy nowych form pomocy innym, a także realizujemy tematy interesujące młodzież takie jak: niepełnosprawność, bezdomność, narkomania, alkoholizm, bulimia, anoreksja i wartości we współczesnym świecie. Szkolny wolontariat to jednak przede wszystkim, działanie.

W ramach działalności Szkolnego Wolontariatu przeprowadzono kilkadziesiąt akcji o charakterze lokalnym, jak i ogólnopolskim. Do takich należy organizacja XII, XIII, XIV, XVI, XVIII, XX, XXII Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Podczas, których łącznie zebraliśmy ponad 161.519.32 zł. Co roku pomagamy dzieciom z Domu Dziecka w Turawie, zawożąc im różnego rodzaju środki czystości, zabawki i słodycze. Od 2008 roku bierzemy udział w akcji „Szlachetna Paczka”, przygotowując świąteczne paczki dla ubogiej rodziny. Staramy się również organizować zbiórki pieniężne i kiermasze, z czego dochód przeznaczony jest na wybrany cel charytatywny. Pamiętamy o niepełnosprawnych z naszej gminy, robiąc dla nich różnego rodzaju wieloboje. Nie zapominamy także o naszej planecie, systematycznie sprząając ją podczas akcji „Sprzątamy lasy w naszej miejscowości”. Od 2009 roku zbieramy dary na rzecz Miejskiego Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt w Opolu. Przy współpracy z Salezjańskim Ośrodkiem Misyjnym wzięliśmy udział w adopcji na odległość. Należy również podkreślić zaangażowanie naszych wolontariuszy we współpracę ze Stowarzyszeniem Rodziców i Przyjaciół Dzieci Niepełnosprawnych „Integracja” w Ozimku. Nasi uczniowie systematycznie uczęszczają do świetlicy stowarzyszenia i pomagają w prowadzeniu zajęć dla niepełnosprawnych dzieci i młodzieży. Ponadto staramy się zawsze w październiku porządkować cmentarz ewangelicki w Ozimku.

Wszystkie akcje Szkolnego wolontariatu spotkały z ogromnym zainteresowaniem i życzliwością młodzieży gimnazjalnej, jej rodziców, pracowników szkoły oraz mieszkańców naszej gminy. Działania Szkolnego Wolontariatu uczą młodzież szacunku do wszystkich ludzi bez względu na wiek, stan zdrowia czy status społeczny. Za udział w licznych akcjach charytatywnych otrzymaliśmy „Certyfikat szkoły zaangażowanej społecznie”. Dzięki pracy Szkolnego Wolontariatu mieliśmy i mamy przyjemność współpracować z wieloma organizacjami- stowarzyszeniami, domami dziecka, ośrodkami dla niepełnosprawnych, samotnych, bezdomnych, hospicjami, szpitalami, schroniskami dla zwierząt, szkołami (również za granicą), parafiami ... ale i z osobami szczególnie- zapaleńcami, zupełnie „niezwyklejszymi” ludźmi, którzy swoim przykładem pokazują nam, gimnazjalistom, jaką postawę przyjąć wobec innych.

Najlepszą drogą do odnalezienia samego siebie jest zagubienie się w służeniu innym

- Ghandi

„TAKIEJ SOŁTYSKI TO ZE ŚWIECĄ SZUKAĆ...”

Autor: Karolina Pyć

ZGS w Zębowicach Opiekun: Barbara Puchała

„Ojczyzna to kraj dzieciństwa, miejsce urodzenia, to jest ta mała najbliższa ojczyzna...” – tak mawiał Tadeusz Różewicz, ale czy tylko? Na przykładzie Gabrieli Respondek widać, że nie. Urodzona w Myślinie, w swoim rodzinnym domu 23 lutego 1970 roku od dziecka miała zdolności organizacyjne i zapowiadała się na aktywną działaczkę. Od najmłodszych lat wraz z dziećmi ze wsi organizowała kuligi, śpiewała w chórkach, więc o nudzie nie było mowy. Żyłka organizatora przydała jej się w dorosłym życiu. Przełom nastąpił gdy w 1989 roku wyszła za mąż i przeprowadziła się do Zębowic.

Żyjąc w nowej społeczności zastanawiała się, dlaczego ludzie są tacy bierni, nie robią nic, by zmieniać swoje otoczenie?! Powoli wchodziła w nowe środowisko i coraz więcej osób się na niej poznało. Zaczęto ją namawiać, aby stanęła do wyborów na sołtysa Zębowic. Społecznika z krwi i kości nie trzeba długo namawiać, więc wkrótce pani Gabriela zgodziła się i z chęcią podjęła wyzwanie, by spróbować „rozruszać” miejscowych. – Pamiętam te wybory, jakby były zaledwie wczoraj, a minęło już 12 lat! – wspomina pani sołtys – wzięło w nich udział sporo ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że to od nich zależy przyszłość wsi.



Gabriela Respondek wygrała znaczącą przewagą głosów – poparło ją ponad 50 osób, podczas gdy na dotychczasowego sołtysa zostały oddane zaledwie 3 głosy. Mieszkańcy wiedzieli, że Zębowice potrzebują zmian i wybrali odpowiednią osobę na to stanowisko. Tego samego dnia powołano Radę Sołecką i już tydzień później podjęto pierwsze działania.

Na początek postanowiono zadbać o najmłodszych mieszkańców Zębowic. W centrum, obok przystanku PKS znajdował się plac porośnięty przez dzikie krzewy i chwasty. Nie była to najlepsza wizytówka wsi. Zdecydowano zatem, aby stworzyć w tym miejscu ogródek jordanowski. Połowę kosztów budowy pokryli sponsorzy pozyskani przez Gabrielę Respondek, a drugą połowę pokryły środki zebrane podczas organizowanych imprez np.: majówek. Z pomocą przewodniczącej Rady Gminy, Gabrieli Buczek, i wójta gminy Zębowice, Waldemara Czai, na dawnym „pobojowisku” stanęły huśtawki, zjeżdżalnia i piaskownica. Ludzie, którzy oczyszczali teren wspominają, że był on bardzo zanieczyszczony wszelkiego rodzaju śmieciami. Dzięki pomocy mieszkańców stworzenie placu zabaw zajęło tylko kilka dni. Uroczyste otwarcie okazało się sukcesem – przyszło aż pół wioski, by podziwiać pracę aktywistów. Wszyscy cieszyli się, że w Zębowicach coś się dzieje i że ich pociechy będą miały gdzie spędzać swój czas wolny. Telefon z inspekcji sanitarnej sprawił, że entuzjazm trochę opadł. Zalecono, żeby zadbać o czystość, szczególnie w piaskownicy, tak by do piasku nie miały dostępu psy i koty. Nakazano stworzyć projekt, bo samo zgłoszenie nie wystarczyło. Jak pisze nto: „Atmosfera stała się na tyle ciężka, że Gabriela Respondek w nerwach rzuciła: – Już nigdy niczego nie zorganizuję w czynie społecznym!”. Wiemy, że to nieprawda, kłody rzucane pod nogi nie były w stanie powstrzymać chęci działania i zmian. Miłą niespodzianką okazało się zdobycie wyróżnienia za plac zabaw w konkursie Odnowy Wsi Opolskiej. Skwerki zdobiące Zębowice to także zasługa pani sołtys. Na przestrzeni lat wraz powstało ich kilka.. Jako pierwszą zagospodarowano wysepkę przy przystanku PKS. Postawiono mini wiatę i umieszczono na niej napis zachęcający przyjezdnych do odwiedzania wsi: *Wsi spokojna, wsi wesola Do pracy, zabawy skora!*

Sponsorem inicjatywy był śp. Piotr Krawczyk, wówczas prowadzący firmę dekarską mieszkaniec Zębowic oraz właściciel gospodarstwa ogrodniczego z Turzy.

Jako kolejny upiększono niewielki plac obok Domu Spotkań. Pani sołtys skrzyknęła mieszkańców i niebawem na miejscu chwastów stanął wiklinowy koń. Wójt gminy Zębowice, Waldemar Czaja, poświęcił swój czas i prywatnym samochodem pojechał po niego aż pod Poznań. Niestety, zawsze znajdzie się ktoś, kto pracy innych nie docenia, wręcz niszczy jej efekty. Zakrapiana alkoholem impreza dwóch mieszkańców wioski skończyła się zdewastowaniem placu zabaw, skweru i konia z wikliny. Mimo trudności, liderka Odnowy Wsi zgłosiła Zębowice do kolejnej edycji konkursu Odnowa Wsi Opolskiej i tym razem udało się zdobyć II miejsce.

Ogólna poprawa wizerunku Zębowic to zasługa mieszkańców, Rady Sołeckiej i oczywiście pani sołtys w ramach projektu Odnowy Wsi. Od 11 maja 2004 r. działa stowarzyszenie Roz-

woju Wsi Zębówice. Pomysł na stowarzyszenie zrodził się w głowie pani Gabrieli Respondek po rozmowie z ówczesnym sołtysiem Szemrowic, który wcześniej założył taką organizację w Szemrowicach. Początkowo w Stowarzyszeniu Rozwoju Wsi Zębówice było 26 osób, ta liczba stale się powiększa. Organizacja utrzymuje się ze składek i pieniędzy pozyskiwanych w ramach imprez okolicznościowych. Jedną z członkiń SRW, pani Krystyna Karońska, mówi:

– Wszystko co powstało w Zębówicach to zasługa stowarzyszenia.

Z inicjatywy Gabrieli Respondek po raz pierwszy od wielu lat w roku 2004 Zębówice zorganizowały dożynki. W przygotowaniach włączyła się młodzież szkolna – na plastyce uczniowie nawlekali na nitki nasiona zbóż, które potem były wykorzystane w tworzeniu korony dożynkowej. W 2004 społecznicy wspólnymi siłami przygotowali festyn z okazji Dni Zębówic. Pani sołtys zadbała, aby jak najwięcej mieszkańców zaangażowało się w organizację imprezy- stoiska gastronomiczne obsługiwali członkowie SRW, gospodynie piekły ciasta, a mężczyźni pomagali w rozstawieniu namiotów oraz stołów i krzeseł. W następnych latach Dni Zębówic stały się imprezą cykliczną.

Wioska przywiązuje dużą wagę do tradycji i stale ją kultywuje. Od kilku lat kobiety ze wsi bawią się wspólnie na „Babskim Combrze”, a młode dziewczęta wiją wianki na Noc Świętojańską, by dowiedzieć się kogo poślubią. W Zębówicach stale dba się o wszechstronny rozwój mieszkańców. Pani sołtys zorganizowała wiele form doskonalących w różnych dziedzinach, m.in. kurs komputerowy dla 15 osób (odbywał się on w szkole, a prowadziła go ówczesna nauczycielka matematyki pani Karońska) i lekcje tańca (uczestnicy byli na tyle zdolni, że jeździli na występy, na które, poświęcając swój czas, własnym samochodem woziła ich Gabriela Respondek). Zimą dzieci i młodzież biorą udział w kuligach, przygotowywanych we współpracy z miejscowymi myśliwymi, a latem – w rajdach rowerowych po przepięknych terenach Doliny Małej Panwi. Odbywały się również wyjazdy na kręgle. Pamiętnym wydarzeniem podczas jednego z festynów był mecz „chopy: baby”, gdzie zawodnicy i zawodniczki zdobywali gole przebrani w zabawne stroje. Od kilku lat fani zimowych sportów jeżdżą razem na narty do Ramzowej. Gdy nadejdzie zima, pani sołtys otrzymuje mnóstwo telefonów z pytaniem: „Kiedy jedziemy na narty?”. Na początku nowego stulecia szkole podstawowej w Zębówicach groziła likwidacja. Do walki o uratowanie placówki pociągnęła rodziców m.in. pani sołtys. Zmotywowała ludzi i pracowała z nimi przy renowacji budynku.

Jeśli mowa o szkole, pani Gabriela Respondek od kilku lat jest przewodniczącą Rady Rodziców i tu także prężnie działa. Ostatnio wyszła z inicjatywą renowacji pomnika ku czci Powstańców Śląskich, znajdującego się przed budynkiem PG w Zębówicach. Niegdyś szpecący, obecnie godnie pełni rolę symbolu bohaterstwa naszych przodków.

Gabriela Respondek- sołtys Zębówic, kiedyś radna, członkini straży, mniejszości niemieckiej- wszystko robi w czynie społecznym, nie odnosi z tego tytułu żadnych korzyści materialnych. Warto wspomnieć, że pasję społecznikowską łączy z obowiązkami rodzicielskimi. Mając tyle zajęć na głowie, nadal ma czas, żeby zająć się rodziną, odwiedzić przyjaciół i zadbać o swoje zdrowie. Codziennie chodzi „na kijki”, przemierzając długie trasy. Zrezygnowała z funkcji radnej, bo brakowało jej czasu. Jednocześnie stale się rozwija, jeździ na szkolenia i zdobywa nową wiedzę oraz doświadczenia. W tym roku kończy trzecią kadencję na stanowisku sołtysa i oczekuje 15 kwietnia, gdy odbędą się nowe wybory. Niezależnie od ich wyniku nadal zostanie aktywną działaczką. Mówi się o niej, że jest „koniem, który wszystkich ciągnie.”

Bibliografia:

- Rozmowa z panią Gabrielą Respondek,
- Rozmowa z panią Krystyną Karońską,
- nto.pl,
- Archiwalne artykuły nto,
- Picasa Web-Maniek430